

A man in a dark trench coat stands in a doorway, looking back over his shoulder. The scene is lit with dramatic, high-contrast lighting, with the interior being dark and the exterior being bright. The man's expression is serious and alert. The doorway is framed by dark wood or metal, and the wall to the right is peeling and aged. The overall mood is gritty and suspenseful.

CHRIS
PAVONE

PODRÓŻNIK

Chris Pavone to autor, którego po prostu trzeba czytać.
Lee Child

CHRIS
PAVONE

PODRÓŻNIK

PRZEŁOŻYŁ
Paweł Wolak



MUZA

WARSZAWSKIE WYDAWNICTWO LITERACKIE

*Wiedzieć, że ktoś ma tajemnicę,
to znać połowę tajemnicy.*

Henry Ward Beecher

Prolog

Mendoza, Argentyna

Nagle otwierają się drzwi. Do pokoju wpada jaskrawe światło, a w progu pojawia się czarna sylwetka potężnie zbudowanego mężczyzny.

- O co chodzi? - pyta Will, podnosząc się na łokciach i mrużąc oślepienie oczy. - Coś się stało?

Mężczyzna milczy.

- Czego pan chce?

Nieproszony gość trwa bez ruchu, nie odzywając się ani słowem. Wygląda jak niemy kolos. Lustruje wzrokiem pokój hotelowy: zmiętoszona pościel, do połowy wypalone świece, butelka wina i kieliszki.

- ¿*Qué quieres?*^[1] - duka po hiszpańsku Will.

Zanim wtargnął tu ten obcy facet, leżał na łóżku i zmartwiony wpatrywał się w sufit. Teraz w jego głowie kłębią się rozmaite scenariusze. Który z nich jest najbardziej prawdopodobny? Pijany gość hotelowy? Nocny stróż, który pomylił drzwi? Zazdrosny chłopak? Włamywacz? Morderca?

Will zaczyna wpadać w panikę. Ukradkiem spogląda w stronę uchylonych za ledwie kilka minut temu drzwi balkonowych, które wychodzą na ciągnącą się za hacjendą winnicę. W oddali majaczą pokryte śniegiem szczyty Andów, a na niebie jaśnieje okrągły księżyc. Will siada na łóżku, lekko zawstydzony swoją nagą klatką piersiową.

- Kim pan jest? - pyta zdecydowanym głosem, starając się pokazać, że nie stracił pewności siebie. - Czego pan tu szuka?

Mężczyzna kiwa głową, robi krok do przodu i zamyka za sobą drzwi.

W pokoju zapada półmrok rozświetlany jedynie blaskiem świec i jasnoniebieską poświatą elektronicznego zegara. Jest za dziesięć trzecia. Will ma płytki, nierówny oddech. Po jakimś czasie jego wzrok przyzwyczajają się do ciemności. Uciekać czy się bić? A może jedno i drugie? Zaczyna się rozglądać w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby posłużyć za broń. Lampa podłogowa? Stłuczona butelka po winie? Najlepszy byłby pogrzebacz, ale kominek znajduje się po drugiej stronie pokoju, za plecami intruza, którego zamiary wciąż pozostają niejasne.

- To ja chciałbym wiedzieć, co ty tutaj robisz - odzywa się wreszcie mężczyzna, po czym włącza światło. Słysząc ciche pstryknięcie i nagle pokój zalewa oślepiający blask. Źrenice Willa zwięzają się o ułamek sekundy za wolno i dopiero po chwili zdaje sobie sprawę, że gdzieś już widział tego faceta. Nie jest jednak w stanie sobie przypomnieć, kiedy to było, ale na pewno niedawno. Nie czuje z tego powodu radości, lecz raczej smutek, jakby zorientował się, że coś zgubił. - Will Rhodes, tak? Kim ty tak naprawdę jesteś?

W głosie nieznanego nie ma ani śladu obcego akcentu. Will coraz mocniej uświadamia sobie grozę sytuacji. Wysoki, napakowany Amerykanin powoli zbliża się do łóżka, ale trwa to dość długo, ponieważ pokój jest naprawdę duży. Ten luksusowo wyposażony apartament wypełnia mnóstwo niepotrzebnych mebli oraz kosztownych detali i bibelotów związanych z produkcją wina i argentyńską pampą. Na ścianie wiszą poroża, a na podłodze leży chodnik z wołowej skóry. Ten pokój ma przypominać zamożnym klientom, którzy mogli przecież wybrać pobyt w dowolnym zakątku globu, dokąd i po co przyjechali. Will nocował już w wielu podobnych hotelach na całym świecie, zawsze na czyjś rachunek.

- Czy to napad rabunkowy? - Will zaczyna sporządzać w myślach inwentarz cennych przedmiotów, które może stracić, ale na całe szczęście nie jest ich zbyt wiele. - A może chodzi o porwanie? - Tylko źle poinformowany amator ryzykowałby uprowadzenie Willa Rhodesa. Ewentualny okup byłby przecież śmiesznie niski. Ten facet nie wygląda jednak na źle poinformowanego amatora.

Nieznanomy staje wreszcie obok łóżka i sięga do kieszeni kurtki. Will wzdryga się na samą myśl o tym, co za chwilę się stanie. Jest w końcu środek nocy, a jego codzienne życie, w którym ma żonę, zostało gdzieś na drugim końcu świata.

Jeśli wcześniej miał jakieś wątpliwości, to teraz wszystko stało się jasne. Wczoraj wieczorem popełnił straszny błąd. Sprawy potoczyły się zbyt gładko, żeby dało się w to uwierzyć. Zachował się jak skończony idiota.

- Masz - mówi mężczyzna, a następnie wykonuje szybki ruch nadgarstkiem i w otwartej dłoni Willa ląduje smartfon. Na ekranie widać rozmazany obraz. W ciemnym, bliżej niezidentyfikowanym pomieszczeniu mającą jakieś kształty.

- Co to jest?

- Włącz odtwarzanie.

Will dotyka wyświetlacza i u dołu pojawia się pasek nawigacji z rozpoznawalnymi na całym świecie symbolami. Naciska trójkąt.

Nieostra stop-klatka zaczyna się ruszać i Will widzi nagą kobietę, która siedzi okrakiem na mężczyźnie, rytmicznie poruszając biodrami w górę i w dół, jakby była tłokiem pracującej na pełnych obrotach maszyny parowej. Filmik jest kiepskiej jakości - słabe światło, dziwny kąt ustawienia kamery, zniekształcony dźwięk - ale już po dwóch sekundach Will rozpoznaje obie postaci i naciska „stop”. Obraz zastyga i na ekranie pojawia się zbliżenie na wygięte w łuk plecy kobiety, jej odrzuconą do tyłu głowę i rozchyłone z rozkoszy usta. Udawanej rozkoszy.

Teraz wszystko jasne.

Will nie jest zaskoczony, że wpadł w tarapaty. Dziwi go jednak rozmiar katastrofy. To, co mu się przydarzyło, jest niesprawiedliwe i niewspółmierne do jego winy. Ale czy na pewno? A może właśnie na coś takiego zasłużył?

Zaczyna gorączkowo zastanawiać się nad możliwymi wyjściami z sytuacji. Nie ma zbyt wiele czasu do namysłu. Przez moment wydaje mu się, że powinien coś na siebie włożyć. Wystarczyłoby powiedzieć: „Kurczę, mógłbym się chociaż ubrać?”. Szybko dochodzi jednak do wniosku, że w ubraniu będzie mniej przekonujący. W samych spodniach od piżamy pozostanie ofiarą i łatwiej wzbudzi litość strażników, których ma zamiar spotkać na zewnątrz. Ten hotel traktuje kwestie bezpieczeństwa bardzo poważnie. Kierownictwo chce przyciągnąć naprawdę bogatą klientelę, ponad wszystko ceniąc sobie spokój, więc obiekt znajduje się pod stałym nadzorem profesjonalnych ochroniarzy, którzy blisko współpracują z policją.

Will wyciąga rękę, żeby oddać telefon, i przetacza się na skraj łóżka.

Do dzieła!

Kiedy mężczyzna sięga po komórkę, Will ciska nią z całej siły na drugi koniec pokoju.

Nieznajomy śledzi wzrokiem jej lot, a w tym samym czasie Will skacze na równe nogi, rzuca się na niego, powala na ziemię i siada okrakiem na jego potężnym tułowiu. Wali go pięścią w twarz, po chwili wymierza kolejny cios i widzi lejącą się z nosa krew.

Podrywa się i nie czując wysiłku z powodu buzującej w żyłach adrenaliny, dopada do rozchyłonych zasłon i wybiega na zewnątrz. Pędzi boso po oświetlonej blaskiem księżycą, chłodnej, zroszonej murawie. Jego celem jest główna część hotelu, w której na pewno znajdzie uzbrojonych ochroniarzy. Bez wątplenia są w stałym kontakcie z *federales*, którzy przynajmniej na

jakiś czas zatrzymają intruza. Wtedy Will będzie mógł zadzwonić. Na samą myśl o tym nabiera pewności siebie. Jest już w połowie drogi...

Nagle zupełnie niespodziewanie dostaje pięścią w twarz. Zatacza się do tyłu i traci równowagę. Pada na plecy i na tle nieba widzi własne stopy. Przed uderzeniem głową o ziemię dostrzega jeszcze kobietę - tak, tę samą kobietę - która bierze zamach i wymierza mocny prawy sierpowy. Will traci przytomność.

Część pierwsza

Rozdział 1

Nowy Jork, kilka tygodni wcześniej

Jest za piętnaście szósta rano. Wzdłuż spokojnej, zielonej brooklińskiej ulicy biegnie mężczyzna ubrany w dżinsy, brudny T-shirt i znoszone białe tenisówki. Sapie z wysiłku, a po twarzy cieknie mu pot. Nie uprawia jednak joggingu, tylko pracuje. Sięga do płóciennej torby, bierze zamach i ciska gazetę, która przelatuje nad ogrodzeniem, ląduje na szczycie schodów i zatrzymuje się tuż przed drzwiami wejściowymi do kamienicy. Idealny rzut.

Tuż za nim sunie zdezelowane kombi z uchyloną klapą bagażnika przytrzymywaną przez kilka niedbale zaczepionych linek. Za kierownicą jadącego z prędkością paru kilometrów na godzinę chevroleta siedzi siostra gazeciarza. Kupili to auto na złomowisku na Willets Point od faceta, który też przyjechał z Campeche. W Nowym Jorku mieszka wielu Meksykanów, ale jedynie garstka pochodzi z miasta położonego na zachodnim wybrzeżu Jukatana. Zapłacili czterysta dolarów. To był dobry interes. Właściciel zrobił im przysługę, za którą trzeba będzie się w jakiś sposób odwdziżyć.

Torba jest pusta. Mężczyzna wbiega na ulicę, wyciąga z bagażnika gruby plik gazet i wraca na chodnik. Przed następnym domem rozstawiono rusztowanie, a okno do salonu zabite jest kawałkiem sklejk. W niewielkim ogródku rośnie jedynie w połowie uschnięty krzew dzikiej róży, a poza tym leży sterta desek i stoi kilka kozłów do piłowania drewna.

Mężczyzna rzuca, ale tym razem nie trafia. Pracuje już od godziny i być może jest po prostu zmęczony. Gazeta przewraca plastikowe wiadro, z którego wypada butelka po piwie, toczy się po betonie i rozbija na najwyższym stopniu schodów.

- *Mierda.*

Gazeciarz wbiega na górę, podnosi wiadro i zbiera potłuczone szkło. Ostre odłamki mogą być śmiertelnie niebezpieczne. Jego kuzyn Alonso odstraszył czymś takim *coño*^[2], który zaczepiał Estellitę w barze przy autostradzie. Przemoc zawsze była częścią życia Alonso, czasem należała nawet do jego obowiązków służbowych. Agresja stanowi nieodłączną część natury niektórych ludzi, jest jak krwistoczerwona nić wplatana w turkusowe i

indygowe *serape*^[3], które babcia tkła na krośnie przywiązany do rosnącego na podwórku drzewa. To było, jeszcze zanim ten biznes przeniósł się do bardziej malowniczych osad położonych bliżej kurortów. *Turistas* gotowi byli słono zapłacić za podróż zakurzonymi drogami do zabitych dechami wioski, żeby kupić wyroby miejscowego rękodzieła bezpośrednio od bosych chłopów.

Mężczyzna wrzuca potłuczoną butelkę do bagażnika i wraca do pracy. Stara się ruszać szybciej, żeby nadgonić stracony czas. Dziesięć sekund tu, dwadzieścia tam i na końcu trasy można mieć pół godziny w plecy. Klienci są wściekli. Wychodzą na próg w szlafrokach, biorą się pod boki i patrzą, czy sąsiedzi dostali już swoją gazetę. Po takiej wpadce można zapomnieć o dziesięciodolarowych napiwkach na święta. Nie ma za co zapłacić czynszu i ani się obejrzyysz, a musisz błagać jakiegoś *narcotraficante*, żeby pozwolił ci stać na czatach. Jesteś tylko kolejnym *ilegal*, który ukrywa się przed policją, urzędem imigracyjnym i DEA, aż pewnej nocy dostaje kulę w ulicznej strzelaninie, bo ma przy sobie sześćdziesiąt dolarów albo kilka gramów *llelo*^[4].

Mężczyzna rzuca kolejną gazetę.



Hałas rozbijanej butelki budzi Willa Rhodesa dużo wcześniej, niżby chciał. Na dodatek śniło mu się coś naprawdę przyjemnego. Chce objąć żonę i poczuć pod palcami jej skórę, miękką, ciepłą i pokrytą brzoskwiniowym meszkiem. Na pewno ma na sobie cienką jedwabną koszulkę, gładką i chłodną w dotyku. Z łatwością można zsunąć ramiączko i dotknąć jej piegowatego barku, kuszącego wgłębienia u nasady szyi, zjechać ręką niżej...

Kolejna nieprzyjemna niespodzianka. Chloe nie ma w łóżku.

Jego dłoń spoczywa na starym prześcieradle z obcym monogramem holenderskiego kupca, które Will kupił tanio w komplecie na pchlim targu przy jakimś zatęchłym kanale w Delft. Sprzedawczynią była ekscentryczna szwaczka, która zajmowała się przerabianiem wiekowych materiałów na standardowe wymiary, żeby pasowały do współczesnych materaców, łóżek i produkowanych masowo stołów. Napisał o tym nawet artykuł, kilkaset słów dla niezależnego tygodnika. Na dobrą sprawę pisał już artykuły o wszystkim.

Chloe przykleiła do poduszki kartkę z wiadomością.

Poszłam do biura. Mam spotkanie wcześniej rano. Przyjemnej podróży! -

C.

Żadnego „kocham cię” albo „będę tęsknić”. Tylko suche fakty.

Wczoraj wieczorem Will miał już wychodzić z baru karaoke, kiedy wpadł w sidła tej babki z firmy produkującej wina - pończochy ze szwem, seksowny różowy stanik i skłonność do pochylania się tak nisko, żeby było widać jej okazały dekolt. Właśnie wrócił do stolika po odśpiewaniu *Fake Plastic Trees*. Naprawdę wczuł się w tę piosenkę. Gdy kilkunastu podpitych kolegów zaczęło bić brawo, lekko się uklonił. Miał wrażenie, że ich oklaski były głośniejsze i bardziej szczerze niż aplauz paru tysięcy ludzi w wielkiej sali balowej, w której kilka godzin wcześniej odbierał nagrodę.

- Świetnie wyglądasz we fraku - powiedziała, kładąc mu rękę na udzie.

- Każdy facet świetnie wygląda we fraku - odpowiedział. - Właśnie o to chodzi. Dobranoc!

Jednak wrócił do domu dopiero o drugiej nad ranem. A może dochodziła już trzecia? Na pewno miał problem z trafieniem kluczem do zamka. W korytarzu ściągnął buty z lakierowanej skóry, żeby nie hałasować na drewnianych schodach. Po drodze chyba się potknął - tak, ma siniaka na goleni - a potem stanął w progu sypialni i chwiejąc się, wpatrywał w odkrytą nogę swojej żony. W blasku ulicznej latarni jej ciało miało kolor jasnożółtego atlasu...

Chloe nie znosi, kiedy w środku nocy Will wraca do domu podpity i zaczyna się do niej przystawiać. Myśli wtedy swoim przyrodzeniem, zapominając, że jest brudny, spocony i nie najlepiej pachnie. Najprawdopodobniej więc szybko się rozebrał - tak, na krześle leży rzucony niedbale frak, a na podłodze muszka - i od razu zapadł w głęboki sen, chrapiąc jak drwal i śmierdząc jak gorzelnia.

Zasłania ręką oczy przed ostrym słońcem wpadającym przez duże dwunastoszybowe okno, w którym nie wisi żadna zasłona. Ramy pokryte zadrapaniami i purchlami oraz odkształcone w wielu miejscach szyby stanowią oryginalne wyposażenie domu, który wybudowano w 1884 roku, kiedy nie istniały telefony, laptopy, internet, samochody, samoloty i bomby atomowe, a o wojnach światowych nikt nawet nie słyszał. To było jeszcze przed narodzinami jego pradziadków. Dla niego i dla Chloe to jednak nowy dom.

Na dole słysząc jakiś hałas. Trzask zamykanych drzwi wejściowych?

- Chloe? - krzyczy zachrypniętym głosem.

Potem skrzypią schody. Will próbuje odkaszląć.

- Chlo?

W korytarzu słycać zbliżające się kroki. Robi się nieprzyjemnie.

- Zapomniałam portfela - mówi Chloe i rozgląda się po pokoju. Omiata wzrokiem wielką zniszczoną komodę, znajduje portfel, po czym zwraca się do męża. - Dobrze się czujesz?

To pytanie zabrzmiało jak wyrzut.

- Przepraszam, że tak późno wróciłem. Obudziłem cię? - Chloe nie odpowiada. - Już miałem się zbierać, ale.

Chloe krzyżuje ręce na piersiach. Nie ma najmniejszej ochoty słycać tej historii. Chciałaby tylko, żeby jej mąż wcześniej wracał i mniej pił. Niestety, czas, który spędzają w domu, rzadko się na siebie nakłada. Chloe jest w pełni świadoma, że zostawanie po godzinach jest częścią pracy Willa. To żadne widzimy się, tylko obowiązek. W końcu sama wykonywała kiedyś ten zawód.

Will jest jednak rozgoryczony, że w dniu jego wylotu Chloe znowu wychodzi wcześniej z domu, zostawiając na poduszce lakoniczną wiadomość.

Mimo to zdaje sobie sprawę, że lepiej będzie, jeśli wyrazi skruchę i jakoś się wytłumaczy.

- Przepraszam. Wiesz, jak bardzo lubię karaoke. - Odchyła kołdrę i poklepuje materac. - Chodź tu do mnie. Mogę ci to jakoś wynagrodzić?

- Mam spotkanie.

Jej nowe biuro znajduje się w dzielnicy, w której są głównie urzędy, kancelarie prawnicze i sądy. Will spotkał ją kiedyś przypadkiem podczas lunchu. Próbował załatwić jakąś sprawę w wydziale budownictwa i zobaczył ją, gdy kupowała kanapkę. Oboje byli zaskoczeni i wyraźnie podenerwowani, jakby zostali przyłapani na czymś niestosownym. To był jednak tylko pojedynczy incydent.

- Poza tym za sześć dni będę miała owulację. Więc lepiej oszczędzaj siły, marynarzu.

- Ale za sześć dni będę we Francji.

- Wydawało mi się, że wracasz w piątek.

- Malcolm przedłużył wyjazd.

- Co takiego?

- Przykro mi. Zapomniałem ci powiedzieć.

- W takim razie dupa. Kolejny stracony miesiąc.

No cóż, Will nie nazwałby tego miesiąca straconym.

- Przepraszam.

- Ciągłe to powtarzasz. - Chloe kręci głową. - Dobra, muszę iść.

Podchodzi do łóżka, które jest jedynie leżącym na podłodze materacem, bez żadnej ramy ani podkładki ze sprężynami. Will wie, jak powinien wyglądać idealny stelaż, ale jeszcze takiego nie znalazł. Należy do ludzi, którzy wolą czegoś nie mieć, niż iść na ustępstwa. Dlatego właśnie w tym domu jest tyle pustych framug, drzwi bez klamek, umywalk bez kranów i zwisających z sufitów nagich żarówek. Will nienawidzi półśrodków.

Chloe nie lubi tej cechy charakteru swojego męża i niekończący się remont coraz bardziej działa jej na nerwy. Dla niej nie musi być perfekcyjnie, wystarczy, że będzie dobrze. Will doskonale zdaje sobie z tego sprawę i dlatego nie dopuszcza jej do podejmowania żadnych decyzji. Wie, że jego żona zbyt łatwo daje za wygraną i jest skłonna pójść na kompromis. Zresztą nie tylko w sprawie domu.

Chloe pochyla się i całuje go delikatnie w usta. Will łapie ją za rękę.

- Naprawdę robi się późno - mówi, ale w jej głosie słychać wahanie. Rumieni się, z trudem powstrzymując uśmiech. - Muszę lecieć. - Kiedy Will lekko ją pociąga, nie stawia żadnego oporu i nawet nie próbuje się wyrwać. Przewraca się na łóżko i kładzie na swoim mężu.



Will leży rozwalony w pościeli, a Chloe układa włosy, poprawia kolczyki i wiąże apaszkę. Jest kobietą, więc wykonuje te czynności niezwykle sprawnie, niemal automatycznie. Dla Willa to czarna magia - w końcu mężczyźni potrafią tylko się ogolić.

- Lubię na ciebie patrzeć - mówi, starając się sprawić jej przyjemność.

- Uhm - mruczy Chloe, nie zwracając na niego specjalnej uwagi.

Uważa się, że najtrudniejszy jest drugi rok małżeństwa, ale w ich wypadku to się nie potwierdziło. Byli młodzi, świetnie się bawili i nie mieli żadnych zmartwień. Ich praca polegała na zagranicznych wojażach. To był wspaniały rok.

Kryzys przyszedł dopiero cztery lata po ślubie. Właśnie wtedy przeprowadzili się do zrujnowanego domu, który zostawił im w spadku ojciec Chloe. To miała być inwestycja na przyszłość. Niestety, okazało się, że trzy mieszkania wynajmują słabo wypłacalni, często bezrobotni lokatorzy, a nieruchomości ma nie do końca uregulowany status prawny. Na dodatek zaginęły gdzieś plany instalacji wodnej i elektrycznej. Krótko mówiąc, wszystkie typowe problemy plus parę takich, które trudno było przewidzieć.

Prace remontowe ruszyły z kopyta, ale bardzo szybko trzeba było je przerwać z powodu dojmującego braku gotówki. Will nie mógł wyjść ze zdziwienia, że wszystko jest takie drogie. Chloe nie była wcale zaskoczona, ponieważ dokładnie tego się spodziewała.

Wprowadzili się więc do domu z zerwanymi podłogami, nie do końca działającą instalacją wodno-kanalizacyjną, nieskończoną kuchnią, popsutymi oknami i wybebeszoną izolacją. Połowa pierwszego i całe drugie piętro w ogóle nie nadawały się do zamieszkania. Remont okazał się kompletną porażką. Byli splukani, a Chloe żywiła wobec Willa coraz więcej urazy z powodu braku chęci pójścia na jakikolwiek kompromis, który pozwoliłby zakończyć ten koszmar.

W dodatku po roku próbowania wciąż nie mogła zajść w ciążę, chociaż robili wszystko zgodnie z drakońskim harmonogramem. Will aż nazbyt dobrze rozumiał, że testy owulacyjne i kalendarzyki są dokładnym przeciwieństwem erotycznych zabawek.

Kiedy Chloe nie zajmowała się planowaniem kolejnych stosunków, które odbywali zawsze w pozycji misjonarskiej, rzekomo najbardziej sprzyjającej zapłodnieniu, wpadała w ponury nastrój. Jej zły humor miał kilka różnych odmian: otwarcie wrogą, burkliwą, urażoną i taką jak dziś - obojętną.

- Jak ci się wydaje, o co chodzi z tym przedłużeniem pobytu?

Will wzrusza ramionami, ale Chloe tego nie widzi, ponieważ patrzy w inną stronę.

- Nie wiem. Malcolm nie był specjalnie rozmowny. - Will na razie nie chce o tym mówić. Najpierw sam musi poznać szczegóły dotyczące nowych zadań, dodatkowego wynagrodzenia i zwiększonej liczby podróży służbowych.

- A tak w ogóle to co u niego słychać?

Rok temu doszło w redakcji „Travelers” do sporych przetarasowań i właśnie wtedy zaangażowano Willa. Chloe nie spodobał się ten pomysł, ponieważ jej zdaniem nie powinni pracować w tej samej podupadającej firmie działającej w branży, która chyli się ku upadkowi. Złożyła więc wypowiedzenie. Zrezygnowała z etatu i została redaktorem współpracującym. W podobnym charakterze zatrudnionych było kilkudziesięciu innych dziennikarzy. Niektórych łączyły z pismem bardzo luźne związki i dostawali symboliczne wynagrodzenie, ale liczył się prestiż. Mogli wpisać nazwę periodyku w stopkach swoich e-maili i na wizytówkach. Robiło to dobre wrażenie i pomagało w znalezieniu nowych zleceń.

„Szukanie nowych zleceń” to dobry opis tego, czym zajmują się dziennikarze piszący do kolorowych magazynów.

Chloe podeszła do sprawy racjonalnie, robiąc listę za i przeciw. W tym małżeństwie to ona jest dobrze zorganizowanym pragmatykiem, a jej mąż działającym pod wpływem emocji idealistą.

- Wydaje mi się, że Malcolm bardzo przejmuje się sprzedażą firmy - mówi Will. - Negocjacje zbliżają się do końca i obie strony robią kompleksowe ekspertyzy.

- Boi się, że straci pracę?

- Myślę, że tak, choć na pewno się do tego nie przyzna, wiesz, jaki on jest.

Chloe potwierdza chrząknięciem. W końcu zna Malcolma znacznie lepiej niż Will. Przez wiele lat razem pracowali i nie było łatwo, kiedy któregoś dnia Malcolm został jej szefem. Chloe twierdzi, że odeszła z redakcji w przyjaznej atmosferze, ale Will nie za bardzo w to wierzy. Spotkanie z Malcolmem, które odbyło się za zamkniętymi drzwiami, trwało zdecydowanie za długo.

Oboje utrzymują również, że nic nigdy między nimi nie było - żadnych flirtów, żadnej fascynacji, żadnych przygód podczas wspólnych wyjazdów na Majorkę lub do Malezji. Co do tego Will również ma wątpliwości.

- Dobrze, teraz już naprawdę spadam. - Chloe pochyla się i całuje męża zdecydowanie namiętniej niż za pierwszym razem. - Miłej podróży.



Spakowanie się na tygodniową podróż za granicę potrafi niektórym zająć wiele godzin. Stają przed otwartą szafą i bez żadnego planu przesuwają kolejne wieszaki, grzebią w apteczce, szukając pasty do zębów w jak najmniejszej tubce, przetrząsają szuflady i półki, żeby znaleźć przejściówkę, nie pamiętają, gdzie schowali obcą walutę - może w biurku? - a potem wiele razy sprawdzają, czy na pewno wzięli ze sobą paszport.

Will już dawno temu przestał być jednym z tych żalonych amatorów. Otwiera swoją jaskrawoniebieską walizkę na kółkach, tak charakterystyczną, że łatwo ją zauważyć w biurze rzeczy znalezionych lub opisać boyowi hotelowemu. Rzucalaby się również w oczy na taśmociągu, ale Will nigdy nie odprawia bagażu.

Automatycznymi ruchami wyjmuje z komody gotowe stosiki ubrań i wkłada je do walizki. Dokładnie te same rzeczy, które zabrał na poprzedni

wyjazd, lądują w ściśle określonych miejscach, wyznaczonych przez zrolowane majtki i skarpetki. Spakowanie się zabiera Willowi pięć minut. Potem słychać metaliczny zgrzyt suwaków i rozlega się przyjemny dźwięk gumowych kółek stawianych na parkiecie.

Will idzie do swojego gabinetu. Na jednej z półek stoją pudełka po butach ze starannie wypisanymi nazwami: Europa Zach., Europa Wsch., Afryka i Bliski Wschód, Azja i Australia, Ameryka Łacińska i Karaiby, USA. Z Europy Zachodniej wyjmuje spięty plik banknotów euro, stosik biletów na paryskie metro oraz plan miasta w formie książeczki w bordowej okładce. Bierze też przejściówkę i od razu zakłada ją na wtyczkę zasilacza komputerowego, żeby pasowała do egzotycznych europejskich gniazdek.

Ostatnią rzeczą, którą musi zabrać, jest paszport, wyjątkowo gruby, ponieważ zawiera dodatkowe strony wklejone przez urzędnika Departamentu Stanu. W środku wizy i pieczętki wstawione przez pograniczników z różnych państw. Rzadko się zdarza, żeby funkcjonariusz urzędu imigracyjnego nie skomentował zawartości tego dokumentu. Will był już niejednokrotnie zatrzymywany na granicy i pewnie jeszcze nieraz mu się to przytrafi.

Staje w drzwiach i rozgląda się dookoła, zastanawiając się, czy czegoś nie zapomniał.

No tak, niewiele brakowało. Otwiera szufladę i wyjmuje ładnie zapakowane, przewiązane jedwabną wstążką pudełeczko. Jest wystarczająco małe, żeby zmieściło się w kieszeni marynarki, ale na tyle duże, żeby sprawiać kłopot.

Ostrożnie schodzi na parter po chybotliwych schodach. Otwiera drzwi wejściowe, podnosi z ziemi gazetę i gramoli się w dół po nierównych betonowych stopniach. Na moment przystaje w mikroskopijnym ogródku. Na nadspodziewanie żywotnym pnączu oplatającym żelazne ogrodzenie pojawiło się kilka czerwonych kwiatów.

Rusza w stronę stacji metra, ciągnąc za sobą walizkę. Jest do tego przyzwyczajony. Robi to w końcu co kilka tygodni.

W pewnym momencie przejeżdża kółkami po szczątkach pojedynczej róży, którą najwyraźniej spotkał przykry koniec, o czym świadczą porzrzucone po ziemi płatki i złamana łodyga. Will spogląda na czerwone strzępy, zastanawiając się, kiedy to się stało i kto zdeptał rosnący tuż przed domem kwiat. Nie może powstrzymać się przed myślą, że to sprawka Chloe.

Ostatnio coraz częściej obawia się, że zaczęli się od siebie oddalać, że ich małżeństwo będzie kolejnym związkim, który rozpadnie się z powodu

problemów finansowych, zbyt licznych wyjazdów i mającego widma niepłodności. Martwi się, że miłość nie zawsze wystarcza, że nie jest czymś dostatecznie trwałym, że przykre momenty przesłonią te radosne.

Schyla się i stwierdza, że martwy kwiat to wcale nie rosnąca przed domem róża, tylko zwiędły goździk, który ktoś wrzucił przez ogrodzenie. Dociera do niego, że ta sprawa w ogóle go nie dotyczy.

Może martwi się zupełnie nie o te rzeczy, o które powinien?

Rozdział 2

Nowy Jork

Na tabliczce przy drzwiach widnieje napis: „Redaktor naczelny”. Żadnego nazwiska, jakby obecny szef nie różnił się niczym od swoich poprzedników i ewentualnych następców. W tym gabinecie to, jak się nazywasz, nie ma większego znaczenia. Liczy się stanowisko. W końcu w siedemdziesięcioletniej historii pisma funkcję redaktora naczelnego pełniły zaledwie cztery osoby.

- Proszę wejść!

Po jednej stronie wielkiego biurka siedzi w wygodnym fotelu Malcolm Somers, a po drugiej Gabriella Rivera. Jej profil odcina się na tle olbrzymiego, sięgającego od podłogi do sufitu okna. Widać z niego inne biurowce ciągnące się wzdłuż Avenue of the Americas - tysiące pomieszczeń, a w nich faceci w krawatach i garniturach, komputery, wieszaki na ubrania, ergonomiczne krzesła, pachnące formaldehydem biurka w kształcie litery L i nieprzepuszczające słońca rolety. Gdzieś tam w górze jest niebo, a w dole znajduje się ruchliwa ulica, którą można zobaczyć, jeśli przytknie się twarz do szyby. Ale tak robią tylko dzieci Malcolma, kiedy odwiedzają ojca w pracy.

Gabriella nawet się nie odwraca, żeby sprawdzić, kto wszedł do gabinetu. Siedzi nieruchomo z perfekcyjnie skrzyżowanymi nogami, kiwając uniesionym w górę pantoflem na niskim obcasie. Wygląda bardzo szykownie, jakby promowała jakiś produkt o nazwie „seksowna bizneswoman na eleganckim krześle”. Rzecz jasna jest również chodzącą reklamą samej siebie.

- Przepraszam, że przeszkadzam - mówi Will. - Niedługo mam lot...

Stoi w progu, czekając, aż szef odprawi Gabriellę i pozwoli mu wejść.

- Gabbs? - zwraca się Malcolm do swojej podwładnej.

Zastępczyni redaktora naczelnego reaguje dopiero po dłuższej chwili. Kiwa głową, wstaje i wygładza spódnicę, której krój może budzić sporo kontrowersji. Wszystko zależy od punktu widzenia. Większość mężczyzn uznałaby tę część garderoby za odpowiednio krótką i obcisłą, większość

kobiet byłaby przeciwnego zdania.

Gabriella odwraca się i posyła Willowi olśniewający uśmiech. Jednak śnieżnobiałe zęby i zmysłowe usta to tylko fasada, pod którą Will dostrzega niechęć z powodu przerwane spotkanie. Albo przynajmniej tak mu się wydaje. Nie pierwszy raz ma dziwne wrażenie, że tych dwoje coś łączy.

- Przepraszam - mówi po raz kolejny, choć wie, że nikt go nie słucha.

Kobieta wzrusza ramionami, ale widać, że jej myśli są gdzie indziej.

- Przyjemnej podróży. Jedziesz do Francji, prawda? Na jak długo?

- Na tydzień.

Gabriella przechyla głowę, jakby się nad czymś zastanawiała.

- Powinniśmy umówić się na drinka - proponuje, ale Willowi zdaje się, że wcale nie o to jej chodzi. - Dawno nigdzie razem nie byliśmy. - W drodze do wyjścia ściska go za ramię i Will czuje, że przechodzi go dreszcz. Nie da się ukryć, że od tej kobiety bije niesamowita energia erotyczna.

- Drzwi! - krzyczy za nią Malcolm.

Gabriella zamyka drzwi od zewnątrz, może trochę za mocno, ale nie na tyle, żeby uznać to za niegrzeczne.

Marynarka Malcolma wisi na drewnianym stojaku. Szef ma podwinięte rękawy, rozpiętą pod szyją koszulę i poluzowany krawat. Wygląda, jakby właśnie skończył długi dzień pracy i zabierał się do wypicia szklaneczki szkockiej. Sprawia wrażenie zmęczonego - ma podkrążone oczy i zapadnięte policzki. To dziwne, ponieważ zazwyczaj tryska zdrowiem. Jest typem sportowca spędzającego weekendy na świeżym powietrzu, korzystając z przywilejów, które daje mu jego posada. Żegluje, gra w golfa, bawi się z dziećmi.

Teraz jest jednak inaczej. Wygląda jak siedem nieszczęść.

- Jak leci? - pyta podwładnego. - Przepraszam, że nie mogłem wczoraj dłużej zostać. Dokąd poszliście? Jak ci poszło z tą seksowną babką z firmy winiarskiej?

- Przestań wygadywać takie rzeczy. Któregoś dnia ktoś to usłyszy i będę miał kłopoty.

Malcolm podnosi ręce w przepaszającym geście i znacząco się uśmiecha, dając do zrozumienia, że to tylko wygłupy. Nie od dziś wiadomo, że kreuje się na mizogina, który lubi poświntuszyć i z każdym jest za pan brat. Odgrywa też inne role - przesadnie krytycznego szefa, kapryśnego redaktora naczelnego i żonatego faceta w średnim wieku, który ma skłonność do niewybrednych żartów. Wszystko to jednak maski, które zakłada i zdejmuje z

nieskrywaną obojętnością. Malcolm potrafi kpić nawet z własnej ironii, więc trudno się zorientować, co tak naprawdę myśli.

- Jak było w Luksemburgu? Miałeś iść na raut do jakiegoś zamku... nie, nie, chyba pałacu. Dobrze pamiętam? Jak wrażenia?

- Nudy na pudy, chociaż uściśnąłem rękę wielkiego księcia. Impreza odbywała się w okazałym gmazysku w samym centrum miasta. Wśród gości byli głównie dyplomaci, bankierzy i nadęci europejscy arystokraci. No i pewnie paru szpiegów w smokingach.

Malcolm spogląda na Willa, wykrzywiając usta w dziwnym półśmiechu.

- Słuchaj - mówi, zmieniając ton głosu - kiedy masz zamiar oddać tekst do ramki o szwajcarskich Alpach? To raptem trzysta słów. Naprawdę potrzebujesz aż tyle czasu? Wydaje ci się, że taki przystojniak jak ty może mieć wszystko w dupie i.

- Nieprawda.

- Zbliża się termin wydania numeru.

- Przestań! Zrobię to jeszcze dzisiaj.

Malcolm wstaje, przeciąga się i przechodzi na drugą stronę biurka. Gdy zbyt długo siedzi w jednym miejscu, wyraźnie utyka. Po dwóch godzinach spędzonych w teatrze albo w samolocie kuleje jak powykręcany reumatyzmem staruszek. Na korcie rusza się jednak jak młody bóg.

- Muszę nanieść kilka poprawek, ale dostaniesz ten tekst po południu. Poza tym to pięćset słów, a nie trzysta, zapominalski skurczybyku.

Malcolm sadowi się w fotelu obok niskiego stolika.

- Okej, mógłbyś na chwilę usiąść? Chciałbym pogadać o nowym cyklu felietonów. Zdecydowałem, że właśnie tobie powierzę to zadanie. Potraktuj to jako awans. Gratuluję, panie Rhodes!

- Jestem zaszczycony.

- Na razie powstrzymaj entuzjazm. Rubryka będzie zatytułowana: „Amerykanie za granicą”. Tematem będą, uwaga, uwaga! Amerykanie, którzy mieszkają... No gdzie?

- Zaryzykuję: za granicą?

- Właśnie takiej bystrości umysłu oczekuję od przedstawiciela dziennikarskiej śmietanki ze Wschodniego Wybrzeża.

- Jestem z Minnesoty.

- Ale masz dyplom uczelni należącej do Ivy League.

- Skończyłem dziennikarstwo na uniwersytecie Northwestern. A ty nie chodziłeś przypadkiem do szkoły, która chlubi się strojami sportowymi w

kolorze szkarłatu?

- Słuchaj, interesuje mnie każdy aspekt życia ekspatów^[5]. Dlaczego wyjechali? Na podstawie jakich kryteriów wybrali miejsce pobytu? Czy zintegrowali się z miejscową społecznością? Chciałbym, żebyś wyszedł poza stereotypy i pokazał czytelnikom, jak to naprawdę wygląda. Tylko nie grzeb zbyt głęboko. Nie interesują mnie opowieści o depresji i samotności ludzi mieszkających na obczyźnie. To jedno wielkie gówno. - Malcolm wyciąga dłoń, jakby chciał pokazać to wielkie gówno i jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności jego palce kierują się w stronę Times Square.

Will nie jest pewien, czy dobrze zrozumiał.

- Do czego zmierzasz? O co tak naprawdę chodzi?

- O to co zawsze. - Malcolm rozkłada ręce, jakby chciał powiedzieć: „Przecież to oczywiste”. - Eskapistyczna fantazja. Wymarzony styl życia. Do tego odpowiednie reklamy. Dostaniesz pięć tysięcy za cztery teksty rocznie. Obok informacja o autorze i okazałych rozmiarów fotografia. Rzecz jasna, jeśli będziesz w stanie wysmażyć te felietony na czas, ty gnuśny i leniwy bałwanie.

Will zastanawia się nad tą propozycją. Nie tego się spodziewał, ale czymże jest sukces w tej branży? Jedyne, co przychodzi mu do głowy, to propozycja filmowa albo umowa na napisanie książki, na którą nie ma nawet pomysłu.

Lubi sobie wyobrażać, że dostanie to, na co zasługuje. Ma nadzieję, że świat jest właśnie tak skonstruowany - przynajmniej świat wykształconych białych Amerykanów z wyższej klasy średniej. Krótko mówiąc, wierzy w merytokrację.

Ale na co tak naprawdę zasługuje? Czy ma prawo zazdrościć innym? Czy wolno mu żywić urazę? A może powinien być niezmiernie wdzięczny za to, co ma?

Czuje, że jego idealizm chwieje się w posadach. Z dnia na dzień, a nawet z minuty na minutę traci nadzieję i popada w rozpacz. Czy ma jeszcze szanse na idealne życie? Zachowuje się jak dwunastoletni chłopiec, który nie może się zdecydować, czy jest dzieckiem, czy nastolatkiem. Zakochuje się w dziewczynach, ale w środku nocy lubi się przytulić do pluszowego misia.

Malcolm nie ma takich problemów. Jest dziesięć lat starszy od Willa i właśnie w ciągu tej dekady idealizm całkowicie i nieodwołalnie ustępuje miejsca pragmatyzmowi. Will nie wie jednak, w jaki sposób i kiedy do tego dochodzi. Czy tym przełomowym momentem jest ślub? Narodziny dziecka?

Śmierć matki albo ojca? Odejście obojga rodziców? Przekroczenie trzydziestki? Czterdziestki? Pięćdziesiątki? Co takiego sprawia, że ludzie myślą: czas wydorosłeć, stawić czoło rzeczywistości i wziąć się w garść?

Jedno jest pewne - Will nie doszedł jeszcze do tego punktu i dlatego często odczuwa zawód, gdy świat mocno odstaje od jego ideałów.

- Czego tak naprawdę oczekujesz, Mal? Oryginalności?

- Przecież wiesz, że zawsze oczekujemy oryginalności. Ma być oryginalnie w dokładnie ten sam sposób co zawsze. Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, co to dla ciebie oznacza? - Will kręci głową. - Nieograniczone możliwości. Spotkasz całe tabuny napalonych żon, które siedzą same w domu i umierają z nudów. Będziesz mógł w nich przebierać jak w ulegawkach.

- Daj spokój.

Malcolm szeroko się uśmiecha.

- Lepiej zacznij się przygotowywać. Właśnie dlatego zdecydowaliśmy, żebyś został we Francji kilka dni dłużej. Nasze paryskie biuro ma dla ciebie listę kontaktów.

- Naprawdę?

- Nie podoba ci się picie wina na południu Francji?

- Nie o to chodzi. Grzebałem trochę w archiwum i znalazłem kilkadziesiąt artykułów poświęconych tej części Europy. Wcale nie przesadzam, już wiele razy pisaliśmy na ten temat.

- Robisz sobie jaja? Siedziałeś w archiwum?

- Co mam ci powiedzieć? Ja naprawdę traktuję tę robotę poważnie.

- Doceniam to, ale archiwum? Nawet nie wiem, gdzie to jest.

- Na dwudziestym ósmym piętrze, naprzeciwko księgowości.

- Nie przypominam sobie, że bym cię o to prosił - mówi Malcolm i robi zdziwioną minę.

- Przez długi czas - kontynuuje Will - w prawie każdym numerze drukowaliśmy artykuł o Francji. Mam wrażenie, że Jonathan wyczerpał temat.

Imię byłego redaktora naczelnego przez dłuższą chwilę wisi w powietrzu. Wszyscy go uwielbiali. Jonathan Mongeleach był duszą towarzystwa i zawsze otaczał go wianuszek adoraterek. Krążyło wiele plotek na temat jego romansów, burzliwego rozwodu i różnych mniej przyjemnych cech jego charakteru.

Pewnego dnia Jonathan zniknął. Dosłownie zapadł się pod ziemię - nie

przyszedł do pracy i wszelki słuch o nim zaginął. Właśnie wtedy Malcolm przeniósł się do jego gabinetu - na początku tymczasowo, a potem już na stałe - i zatrudnił Willa.

- Będę z tobą szczery - powiedział. - Potrzebuję sojusznika, kogoś, kto będzie moim doradcą, pomocnikiem, adiutantem i partnerem do gry w tenisa. Na liście kandydatów spełniających te kryteria jest tylko jedno nazwisko. Zgadzasz się?

Tak więc na zniknięciu Jonathana obaj sporo zyskali i trudno było udawać, że jest inaczej. Will objął wyższe stanowisko w bardziej prestiżowej firmie. W wypadku Malcolma zmiana była jeszcze większa. Jako redaktor naczelny dużego pisma jeździł służbowym autem z szoferem, dostawał dodatek na ubranie i mógł korzystać z praktycznie nieograniczonego funduszu reprezentacyjnego. Poza tym miał olśniewająco piękną żonę, wspaniałe dzieci, przestronne mieszkanie i dom letniskowy. Już przed objęciem nowej posady niczego mu nie brakowało, a potem dostał jeszcze więcej.

Przez kilka pierwszych dni po zaginięciu podejrzewano, że Jonathan został zamordowany. Co prawda cieszył się powszechną sympatią, ale miał też wielu wrogów. Nie znaleziono jednak ciała i z upływem czasu zaczęto snuć przypuszczenia, że Mongeleach upozorował własne zniknięcie. Pojawiły się pogłoski o długach karcianych, bankructwie, zemście byłej żony i depreczających mu po piętach funkcjonariuszach urzędu skarbowego. Mówiło się też o samobójstwie, być może sfingowanym, oraz o ubezpieczeniu na życie, którego beneficjentem była jego córka. Jednak jak do tej pory niczego nie udało się udowodnić. Co więcej, żadna z rozlicznych teorii nie została jednoznacznie obalona, a życie w redakcji toczyło się swoim torem.

Wreszcie Will przerywa ciszę i stwierdza:

- Może wyjechał do Francji i nigdy nie wróci.

- Tak, to całkiem prawdopodobne. Jednak gdziekolwiek jest, na pewno nie chce, żeby ktoś go odnalazł. Jeśli rzecz jasna w ogóle żyje.

- Myślisz, że umarł?

- Niewykluczone. Wszyscy wiemy, że to był dziwny facet, przebiegły i bez wątpienia niezwykle inteligentny. Mam wrażenie, że wpakował się w jakieś niezłe gówno i mogło się to skończyć tragicznie. - Malcolm otwiera szufladę i wyjmuje z niej wyściełaną kopertę. - À propos Francji. To dla Inez. Daj jej te dokumenty przy najbliższej okazji.

Kolejna zagraniczna przesyłka. Na kopercie widnieje czerwona pieczętka:

„Tajne. Do rąk własnych”.

Kiedy rok temu szef pierwszy raz poprosił o taką przysługę, Will zapytał, co jest w środku.

- Widzisz stempel? Do kogo zaadresowana jest ta koperta? Do ciebie? - zapytał wtedy Malcolm.

- No nie.

- Właśnie. „Tajne, do rąk własnych”, rozumiesz?

- Okej.

- Pamiętasz włamanie hakerów do Sony? A cyberataki na Biuro Zarządzania Personalem i holding finansowy JP Morgan Chase? Czy mówi ci coś nazwisko Snowden? Przechowywanie danych w postaci cyfrowej nigdy nie było równie niebezpieczne. To samo dotyczy komunikacji elektronicznej.

- Malcolm postukał palcem w kopertę. - Dlatego preferujemy staroświeckie metody i wysyłamy cholernie dużo papierów.

Od tego czasu Will przewiózł przez ocean wiele takich pakunków. Więcej niż kilka trafiło również do jego rąk. Były to notatki służbowe, formularze płacowe, dokumenty ubezpieczeniowe, rozmaite umowy i zawiadomienia.

- Słuchaj, za chwilę mam ważną rozmowę konferencyjną, więc wypierdalaj. - Malcolm wyciąga rękę i udaje, że strzela z niewidzialnego pistoletu.

Will wstaje, przechodzi przez ogromny gabinet i kiedy chwyta za klamkę, słyszy za plecami głos swojego szefa:

- Aha, jeszcze jedno, Rhodes. Uważaj na siebie.

Falls Church, Wirginia

Pomieszczenie ma rozmiary boiska do gry w koszykówkę, ale wysokość szafy na ubrania. Niskie, klaustrofobiczne biuro oświetlone jarzeniówkami, z szarą wykładziną i cienkimi, sięgającymi piersi, tapicerowanymi ściankami oddzielającymi poszczególne boksy. Jest ich prawie sto, a w każdym biurko z laminowanym blatem i plastikowe krzesło na kółkach, którym można jeździć po leżącym na podłodze kawałku twardego gumoleum, ale nie więcej niż pół metra w jedną lub w drugą stronę. To są w końcu bardzo małe boksy.

Na biurkach stoją komputery z dwudziestotrzycalowymi monitorami. Wszystkie krzesła są zajęte i nie ma miejsca na więcej personelu, chociaż niewątpliwie by się przydał. Operacja prowadzona jest na trzy zmiany, przez

dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, wliczając święta. Nie ma takiego momentu, w którym można by wyłączyć światło.

Większość pracowników to pochodzący z południowej Azji mężczyźni koło trzydziestki. Zarabiają od dwunastu do dziewiętnastu dolarów za godzinę. W jednym z boksów, niczym nieróżniącym się od pozostałych, siedzi Raji. Na monitorze pojawia się okienko raportujące szczegóły podróży którejs z tysiąca pięciuset osób znajdujących się na liście obserwowanych. Codziennie Raji otrzymuje kilkanaście takich powiadomień.

Przekleja informacje do specjalnego programu:

Amerykański paszport numer 11331968

Lot: 19 JFK do CDG

Miejsce: 12A

Kod alarmowy: 4

Naciska „Publikuj” i sięga do torebki z chipsami o smaku barbecue.

Nowy Jork

- Kogo ja widzę - mówi Reggie, jak zawsze uśmiechając się od ucha do ucha. Will nie pamięta, żeby ten facet, który od kilkadziesiąt lat zajmuje się na lotnisku tak zwaną odprawą przy krawężniku, był w złym humorze. - Dokąd tym razem, agencie 007? - Reggie lubi żartować, że Will wcale nie jest dziennikarzem, tylko szpiegiem, a praca w gazecie to jedynie wygodna przykrywka. Nie jest jedyną osobą, która robi takie ironiczne aluzje.

- Tym razem Francja.

- U la, la!

Przybijają piątkę, po czym Will sięga do kieszeni i wyciąga ładnie zapakowane pudełeczko.

- To dla Aishy. Wiem, że uwielbia te czekoladki.

- Nie trzeba było!

- Żaden kłopot. Dostałem je. - To nieprawda. - Jak się czuje w tym tygodniu?

- Lepiej, dziękuję.

Will kiwa głową.

- Przekaż jej ode mnie najlepsze życzenia urodzinowe.

- Na pewno przekażę, panie Bond. - Reggie puszcza do niego oko. - Przyjemnego lotu.

Will nie rozumie, jak można czerpać tyle radości z wykonywania tak gównianej roboty. Albo przynajmniej tak przekonująco udawać. Trzeba jednak pamiętać, że sam nigdy nie był zatrudniony na typowy etat i nie ma pojęcia, jak wygląda czterdziestogodzinny tydzień pracy.

Przemierzając terminal, Will ogląda się w lustrach. Wokół niego zestaw znanych marek: Kimberly-Clark, American Standard, Rubbermaid, Purell i wiele innych. Sam też jest marką: Will Rhodes, pisarz i podróżnik, z nieodłącznym notatnikiem w zamszowej okładce, ubrany w płócienną marynarkę, koszulę z bawełny oksfordzkiej, spodnie z diagonalu, półbuty na gumowej podeszwie i krawat z dzianiny - wygodny strój, który się nie gniecie i nie brudzi. Nie przyklejają się do niego kłaczki i nawet po przelocie przez ocean i dwudziestogodzinnej podróży wciąż dobrze wygląda.

Po starcie Will połyka tabletkę nasenną i popija whisky. Rozkłada siedzenie, wkłada zatyczki do uszu i zasłania oczy maseczką. To dla niego standardowa procedura i poszczególne ruchy wykonuje niemal automatycznie. Prawie od razu zasypia.



Nie wie, jak długo spał - dziesięć minut? Trzy godziny? - gdy nagle budzi go nieprzyjemny hałas. Kadłub boeinga 747 zaczyna się trząść. Will czuje wibracje w udach, a potem drzenie przechodzi wyżej, przez kość ogonową do kręgosłupa.

Ściąga maseczkę, wyjmuje zatyczki i odwraca się w stronę siedzącego obok mężczyzny w wysokich tenisówkach i bejsbolówce odwróconej daszkiem do tyłu. Facet jest dobrze po trzydziestce, a wygląda i zachowuje się jak nastolatek. Kiedy ostatni raz na niego spojrział, ssał lizaka i grał na komputerze.

- Co się dzieje? - pyta go Will.

Mężczyzna tylko kręci głową. Jest biały jak ściana, ma wytrzeszczone oczy i otwarte ze zdziwienia usta.

- Szanowni pasażerowie, proszę się upewnić, że mają państwo zapięte pasy, a wszystkie stoliki znajdują się w pozycji pionowej.

Will setki razy słyszał dokładnie te same słowa. Proszę się rozgościć na pokładzie naszego samolotu. Wiemy, że mogli państwo wybrać innego przewoźnika. Naszym priorytetem jest bezpieczeństwo. Chcielibyśmy serdecznie powitać wszystkich pasażerów. Znaleźliśmy się na wysokości

przelotowej i kapitan wyłączył sygnalizację „Zapiąć pasy”...

W przejściu pojawia się stewardesa. Idzie szybkim krokiem, chwytając się mocno za oparcia foteli. W pewnym momencie uderza kolanem w podłokietnik. Zatrzymuje się, żeby utrzymać równowagę i opanować nerwy. Kiedy dociera na przód samolotu, opada na składane siedzenie używane przez załogę podczas startu i lądowania, zapina pas i bierze głęboki oddech.

Ze schowków wypadają maski tlenowe i przez kabinę przetacza się fala paniki. Will zakłada maskę i zgodnie z instrukcją próbuje normalnie oddychać. Ogarnia go jednak coraz większy niepokój. Czuje, że strach dosłownie przygważdża go do miękkiej skóry siedzenia numer 12A.

Samolot pikuje.

Pasażerowie zaczynają krzyczeć.

Nowy Jork

Malcolm obchodzi biuro na trzynastym piętrze, sprawdzając, czy nie ma jakichś maruderów, którzy mogliby mu przeszkadzać. Na całe szczęście zostali tylko pracownicy niższego szczebla, którzy na pewno nie mają odwagi, żeby o wpół do ósmej wieczorem zawracać głowę naczelnemu. Jedynym wyjątkiem jest redaktor działu kulinarnego, na którego wszyscy mówią Sir Parmezan. On chyba w ogóle nie wychodzi z pracy, ale też nigdy nie odwiedza gabinetu szefa.

Malcolm zamyka drzwi na klucz i podchodzi do ściany, na której wiszą oprawione w ramki okładki magazynu „Travelers”. Dla gości, którzy regularnie odwiedzają ten pokój, najlepsze projekty w historii pisma wyglądają jak wystawa w muzeum.

Kuca w rogu przy półkach z książkami, odsuwa na bok kilka starych przewodników, wkłada rękę w szczelinę i naciska zamontowany w ścianie guzik.

Przez dziesięciolecia ten mechanizm wydawał się wystarczająco skomplikowany, ale w latach siedemdziesiątych, na fali postnixonowskiej paranoi, nowy redaktor naczelny Jonathan Mongeleach dał się przekonać, że należy zamontować dodatkowe zabezpieczenie. W następnej dekadzie analogowy zamek zastąpiono elektronicznym, a potem instalowano coraz wymyślniejsze urządzenia cyfrowe. Wymieniano je z rosnącą częstotliwością, ponieważ rozmaici eksperci i konsultanci twierdzili, że w

porównaniu z najnowszym wynalazkiem zeszłoroczne rozwiązanie to przestarzały szmelc. Rzecz jasna mieli w tym swój interes, ale przeciętny użytkownik, taki jak Malcolm, nie był w stanie ocenić, jak bardzo wpuszczają go w maliny. Cały czas podejrzewał jednak, że to jeden wielki przekręt.

Obecnie mechaniczny przycisk odgrywa drugorzędną rolę. Malcolm dezaktywuje główny system alarmowy za pomocą panelu ukrytego na wysokości klatki piersiowej, za grubą publikacją encyklopedyczną. Przytyka do niego swój kciuk i wstukuje długi kod dostępu.

Rozlega się ledwie słyszalny trzask. Jeden segment regału wysuwa się razem ze ścianą kilka centymetrów do przodu i lekko obraca na solidnych, mosiężnych zawiasach. Cała konstrukcja waży kilkaset kilogramów. Malcolm otwiera ją na tyle szeroko, żeby się prześlizgnąć, znika w środku i zamyka sekretne pomieszczenie od wewnątrz.

Rozdział 3

Paryż

W jego kieszeni brzęczy telefon. Ten dzwonek oznacza stan najwyższej gotowości. Odbiera zaszyfrowaną na innym kontynencie wiadomość i odkodowuje ją za pomocą skomplikowanej, chronionej patentem aplikacji, która wymaga regularnego aktualizowania. Ten potężnie zbudowany mężczyzna ma wrażenie, że przez większą część swojego życia czeka, aż różne podłączone do internetu urządzenia ściągną najnowszą wersję jakiegoś programu. „Aktualizacja... Proszę czekać... Aktualizacja...”.

Przechodzi przez subtelnie oświetlony, elegancki bar czterogwiazdkowego hotelu w drugiej dzielnicy Paryża, którego klientelę stanowią głównie zagraniczni biznesmeni i ekskluzywne prostytutki. Właśnie dlatego tutaj przyszedł. Szuka niebieskookiej blondynki, która mogłaby zaspokoić jego fantazje wywołane przez zbyt częste kontakty zawodowe z inną niebieskooką blondynką. O Boże! Czasami rozmawiają nawet o seksie. Wychodzi na opustoszały bulwar, wyciąga telefon i wybiera numer. Kobieta z jego fantazji leży właśnie na łóżku w lekko obskurnym hotelu w centrum Bordeaux i czyta książkę Roberta Hughesa o Australii.

- Halo? - mówi, odstawiając na stolik szklanekę wody mineralnej. Na głowie ma lokówki, a na twarzy maseczkę błotną. Robi wszystko, żeby dobrze jutro wyglądać. Z wyjątkiem pójścia spać, a zrobiło się już naprawdę późno.

- Jest na pokładzie samolotu. Gotowa?

Kobieta głośno wzdycha. Głupie pytanie, na które można dostać tylko głupią odpowiedź. Albo usłyszeć coś nieprzyjemnego.

- Jak zawsze, Roger.

- Na pewno świetnie ci pójdzie - mówi mężczyzna, mając nadzieję, że te słowa ją uspokoją, choć zupełnie nie wie, jak mógłby jej pomóc. Nigdy czegoś podobnego nie doświadczy i nawet w najmniejszym stopniu nie jest w stanie tego zrozumieć. Blondynka robiła już w swoim życiu wiele okropnych rzeczy, ale to będzie coś zupełnie nowego. - Poradzisz sobie - dodaje mężczyzna, zdając sobie sprawę, że to tylko jeden z tych wyświechtanych

zwrotów, które mają dodawać otuchy.

Kobieta rozłącza się, odkłada książkę i wbija wzrok w sufit, licząc, że uda jej się wreszcie zasnąć.

Północny Atlantyk

Silne turbulencje ustają równie nieoczekiwanie, jak się zaczęły. Jest środek nocy i nagle robi się spokojnie. Samolot wyrównuje lot i szybuje dwanaście tysięcy metrów nad powierzchnią oceanu, setki kilometrów od najbliższego lądu.

Wszystko trwało raptem kilkanaście sekund, może pół minuty. Wystarczająco długo, żeby Will poczuł strach przed śmiercią i dowiedział się o sobie czegoś, czego wolałby nie wiedzieć.

Paryż

Jest wczesny poranek. Will mija Luwr i wchodzi do spowitych mgłą ogrodów Tuileries, po których spacerują młode matki z dziećmi i starszanki z gazetami pod pachą. O tej porze w środku tygodnia ten sam typ ludzi snuje się po parkach na całym świecie. Wychodzi na ulicę przy placu Zgody i idzie Champs-Élysées w kierunku Łuku Triumfalnego. Po lewej stronie ma wieżę Eiffla. Kolekcja największych hitów.

- *Excusez-moi, Monsieur.* - Na jego drodze wyrasta starszy mężczyzna i wyciąga kawałek papieru, który okazuje się naprędce poskładanym planem miasta. Obok niego stoi kobieta o surowym wyrazie twarzy, która wygląda na rozczarowaną żonę. - *Je cherche la café qui s'appelle Le Fouquet's. Est-ce que vous le connaissez?*^[6]

Bardzo często zdarza się, że w obcych miastach ludzie pytają Willa o drogę i, o dziwo, zazwyczaj jest im w stanie pomóc. Zwykle zaczepiają go turyści, którzy szukają jakichś zabytków. Tacy jak ten mężczyzna, mówiący po francusku z rosyjskim akcentem.

- *Oui.* - Will wyciąga rękę w stronę słynnego łuku. - *Là-bas*^[7].

- *Merci, Monsieur. Vous êtes très gentil*^[8].

Już w dzieciństwie Will uwielbiał kartografię. Zapamiętywał nazwy ulic i jezior, wymyślał trasy do Ziemi Ognistej lub na biegun północny i wbijał w

wiszącą na ścianie mapę świata pinezki. W zależności od koloru oznaczały cuda natury, wytwory człowieka, miejsca, które już widział i te, które dopiero miał zamiar odwiedzić.

Przy Grand Palais Will skręca z bulwaru i wchodzi w boczną uliczkę, wzdłuż której ciągnie się niezwykle wąski chodnik. To sam środek ósmej dzielnicy. Robi się cicho, a ruch niemal zamiera. Will jest zmęczony i rozkojarzony. Idzie zbyt blisko krawężnika i gdy pojawia się samochód, musi odskoczyć i przywrzeć plecami do chropowatego muru. Mija go rozpędzony peugeot. Z otwartego okna wystaje łokieć kierowcy i Will zdaje sobie sprawę, że gdyby chciał, mógłby mu ukraść zegarek.

Skręca w jedną ulicę, a potem w następną. Nie musi nawet wyciągać wetkniętego w tylną kieszeń spodni bordowego planu miasta. Wreszcie staje przed elegancką kamienicą w stylu belle époque. Na zaśnieżonej i podrapanej tabliczce z mosiądzu, która już od pół wieku wisi na tej wapiennej fasadzie, widnieje napis „Travelers”.

Ludzie związani z magazynem wiedzą, że jego pierwszą zagraniczną filię otwarto właśnie w Paryżu. Pod tym szyldem rozpoczęło działalność ekskluzywne biuro podróży dla wymagających klientów. To było odważne posunięcie, które ku ogólnemu zaskoczeniu okazało się sporym sukcesem. U szczytu popularności w latach pięćdziesiątych na całym świecie funkcjonowało trzydzieści kilka placówek „Travelers”, które w połowie były biurami podróży, a w połowie zagranicznymi oddziałami czasopisma. Pozwalało to nie tylko nawiązać współpracę z miejscowymi talentami dziennikarskimi, lecz także przyciągało reklamodawców i dawało szerokie możliwości promocyjne.

Ostatnie dziesięciolecie nie było dla branży szczególnie łaskawe, jednak w czasach, gdy papierowe magazyny szukają nowych źródeł finansowania - konferencje i festiwale, linie odzieżowe i usługi dekoratorskie - „Travelers” ucieka do przodu. Jest pierwszym czasopismem, które zdecydowało się na zupełnie inny model biznesowy, co wydatnie przyczyniło się do zwiększenia rozpoznawalności marki i poszerzenia grona wiernych klientów.

Niektóre biura podróży nadal przynoszą zyski. Mimo wczesnej pory - dziesiąta rano w zwykły dzień tygodnia - parter paryskiej filii jest już otwarty, choć na klientów czeka na razie bardzo nieliczny personel: jedna konsultantka, która siedzi za biurkiem, odgradzona od reszty pomieszczenia szklaną taflą, trzymając w wypielęgnowanych dłoniach dzisiejsze wydanie „Le Monde”. Na razie nie ma żadnych interesantów, ale „Travelers” chlubi

się, że w takich miejscach jak Paryż jego przedstawicielstwo jest czynne od rana do późnego wieczora.

Will nie przyszedł jednak do biura podróży.

Przytyka do czytnika zwykłą białą kartę magnetyczną, bez żadnych symboli i napisów. Bramka otwiera się z ledwie słyszalnym trzaskiem. Will wspina się na górę po szerokich schodach. Na pierwszym piętrze pokoje mają ponad pięć metrów wysokości, a podłogi wyłożone są marmurem. Podchodzi do strzelistych podwójnych drzwi z ogromną mosiężną gałką na środku.

Nie wie, co dzieje się w pozostałych częściach budynku. Widział, jak kręcą się tu jacyś ludzie, ale nie ma żadnych tabliczek ani jakiegokolwiek oznakowania, które wskazywałoby, kto tu pracuje.

Naciska guzik i wmontowany w ścianę panel wysuwa się z cichym świstem. Will przeciąga kartę przez szczelinę i otwiera kolejne drzwi.

Paryskie przedstawicielstwo „Travelers” składa się z dużego pomieszczenia dzielonego, przynajmniej teoretycznie, przez dwie osoby: młodą Francuzkę i nieco starszego Amerykanina. Will nigdy nie widział ich w tym pokoju razem. O wiele większą sympatią darzy kobietę i jest zadowolony, że dzisiaj trafił właśnie na nią. Inez lubi apaszki, ma piegi i szeroko rozstawione oczy łani.

- *Bonjour, Monsieur Rhodes. Comment ça va?*

- *Ça va bien. Et toi?* - Will wyjmuje kopertę i podaje ją Inez.

- *Pas mal. Et merci*^[9].

Kobieta bierze przesyłkę i słycać sekwencję dźwięków sześciocyfrowego, wybieranego tonowo kodu, który otwiera szufladę. Taki zamek został zamontowany specjalnie z myślą o pracującym na pół etatu niewidomym redaktorze. Dźwięki są ledwie słyszalne, ale coś Willowi przypominają, jakąś melodię albo refren znanej piosenki, którą kiedyś wykonywał jego zespół. Jest lekko wkurzony, że nie potrafi sobie tego przypomnieć. Czy to początki starczej demencji? Niedługo zaczną tracić słuch i będzie miał kłopoty z erekcją.

Inez wyciąga z szuflady teczkę, w której schowana jest wyściełana koperta. Firma ma doskonale funkcjonujący system przechowywania dokumentów. W końcu zagraniczne przedstawicielstwa utworzono na długo przed pojawieniem się komputerów i internetu. Co kilka lat ktoś proponuje cyfrową rewolucję, ale redaktor naczelny dusi takie inicjatywy w zarodku.

Will siada i otwiera kopertę nożem do papieru, zdecydowanie za ostrym, więc robi to bardzo ostrożnie. Ze środka wyjmuje kilka kartek, parę zdjęć na

błyszczącym papierze, w formacie piętnaście na dwadzieścia jeden centymetrów, oraz mapy, które na pewno gruntownie przestudiuje, starając się zapamiętać nie tylko główne drogi i dokładne położenie celu swojej podróży, lecz także nazwy ulic, parków, plaż, muzeów, miast, wsi i łańcuchów górskich. Za każdym razem, kiedy dokądś się wybiera, musi znać to miejsce od podszewki.

- To nowe dokumenty?

- *Oui. Je crois que c'est vrai*^[10].

- Niektóre wyglądają znajomo. Jest pani pewna?

- Zdaje pan sobie sprawę, że nie jestem w stanie udzielić takich informacji. - Ta dziewczyna nigdy nie jest w stanie udzielić żadnych informacji. - Aha, mam coś jeszcze. - Otwiera inną szufladę i wyjmuje z niej dużą nylonową torbę na suwak.

Will zagląda do środka.

- *Merci, Mademoiselle, comme toujours.*

- *De rien, Monsieur Rhodes*^[11].



Przez cały dzień łązi po mieście, wsiada do metra i wysiada z niego, zagląda do kawiarni na wzmacniające espresso i robi notatki. Późnym popołudniem bierze prysznic, przebiera się i wychodzi z hotelu, mijając sztuczne rośliny w doniczkach i dwóch krzepkich portierów, którzy w zależności od sytuacji mogą być bardzo przyjaźni albo wręcz odwrotnie.

Na ulicy zatrzymuje się długi czarny mercedes. Otwierają się drzwi i widać zastawioną torbami tylną kanapę. Siedzi na niej kobieta wyglądająca trochę jak Pig-Pen z *Fistaszków*, któremu udało się dorobić. W powietrzu roztacza się zapach perfum i lakieru do włosów. Kobieta obrzuca Willa taksującym spojrzeniem, opuszcza ciemne okulary, wyprostowuje nogi wystające spod spódnicy Chanel i wychodzi na chodnik rue Saint-Honoré, żeby po chwili zniknąć w hotelowym lobby. Kolejne udane popołudnie spędzone na zakupach. Czas na relaksującą kąpiel w pianie, kieliszek schłodzonego sancerre, lekturę magazynu wnętrzarskiego, a potem lekką kolację w L'Arpège, szklaneczkę czegoś mocniejszego przed snem, a na koniec spektakularny seks z przystojnym mężem...

Chociaż niekoniecznie. Może to tylko wyidealizowana wersja jej życia, którą Will wymyślił, żeby łatwiej było ją sprzedać czytelnikom. Zawsze gdy

siada za klawiaturą, stara się stworzyć podobną fantazję. Jego celem jest wywołanie marzeń i tęsknot, a następnie pokazanie, że to wcale nie mrzonki. Iluzoryczne życie ludzi z wyższych sfer nie jest tak bardzo nieosiągalne dla kobiety, która mieszka w dużym domu w północnym Indianapolis. Chociaż nie jeździ do Paryża na zakupy, to może sobie przecież pozwolić na torebkę reklamowaną na stronie osiemdziesiątej dziewiątej, tuż obok felietonu Willa. Taką torebkę można znaleźć w każdym lepszym centrum handlowym w Ameryce, a potem udawać, że kupiła się ją na rue Saint-Honoré tuż przed wizytą w jednej z eleganckich restauracji na rue de Varenne.

Zazwyczaj się o tym nie mówi, ale Will jest głęboko przekonany, że tak naprawdę w całym tym biznesie chodzi o to, by czytelnicy kupili właśnie taką torebkę.

Okrąża plac Vendôme, głównie po to, żeby sprawdzić, czy nic się nie zmieniło, ale tutaj nigdy nic się nie zmienia, może z wyjątkiem coraz bardziej zaawansowanego remontu hotelu Ritz. Wchodzi na dziedziniec Palais-Royal i spaceruje pod siedemnastowiecznymi arkadami, zaglądając do butików z antykami, galanterią skórzaną i rzemieślniczą biżuterią. Kupuje dla Chloe T-shirt z terierem, który wabi się Gigi. Jego żona uwielbia tę rasę psów, ale nie na tyle, żeby sprawić sobie szczeniaka. Uważa, że byłaby złą opiekunką dla zwierząt.

Po północnej stronie Palais-Royal znajduje się kilka barów. Will wchodzi do jednego z nich - przestronne wnętrze, jasne drewniane meble, duże okna - i zamawia kieliszek wina z przystawkami. Potem skręca za róg i wstępuje do mniejszego i bardziej zatłoczonego *bar à vins*^[12], w którym już kiedyś był. Siada za zniszczonym kontuarem na wysokim stołku obitym skórą i obserwuje klientów, których twarze odbijają się w wielkim lustrze. Potem zjada pikantną jagnięcinę duszoną z warzywami, którą popija czerwonym winem o mocnym aromacie, od czasu do czasu zapisując coś w swoim notatniku w zamszowej okładce. Kupił go we Florencji. Jest już nieco sfatygowany, ale w środku są zapiski, które robił na siedmiu kontynentach. Taki notes to prawdziwy skarb.

Jedzenie jest niemal idealne, być może tylko trochę za mocno doprawione. Bar też przypadł mu do gustu - ciemna, nastrojowa sala z wiszącymi na ścianach zygzakowatymi półkami z setkami butelek, stoły z surowego drewna, celowo niepasujące do siebie talerze i sztuce, klasyczny jazz puszcany z winylowych płyt, które od czasu do czasu się zacinają i przeskakują, oraz nie do końca wygodne skórzane taborety, na których

wiercą się goście. Taki jest już urok tego miejsca, część jego klimatu.

- *Ça était, Monsieur?* - pyta go barman.

- *Formidable, Pierre. Formidable*^[13]

Wśród klientów dużo jest atrakcyjnych kobiet w eleganckich spódnicach i w butach na wysokich obcasach. Towarzyszą im mężczyźni z falującymi włosami i jedwabnymi apaszkami owiniętymi wokół szyi. Pary śmieją się, dokazują i przekomarzają, dźgając palcami powietrze, co ma wzmocnić siłę ich argumentów. Willowi bardzo się tu podoba.

Paryż jest jednym z tych miast, w których mógłby zamieszkać. Często to sobie wyobraża, zastanawiając się, jak bardzo realna byłaby taka przeprowadzka. Fantazjuje o zupełnie innym życiu, ważąc argumenty za i przeciw. Po to właśnie są podróże - można zanurzyć stopy w nieznanym wodach, żeby sprawdzić, czy sprawia nam to przyjemność.

Często musi powstrzymać chęć napisania, że chciałby przenieść się gdzieś na stałe - do Marais, Malibu, Dordogne albo na wzgórze Cotswolds. Zdaje sobie sprawę, że czytelnicy nie oczekują od niego takich wynurzeń, ponieważ nie ma to żadnego związku z ich doświadczeniem. Choć nigdy nie wyraził takiej opinii wprost, jest niemal pewien, że w jego artykułach można wyczytać między wierszami: „To świetne miejsce do życia w alternatywnym wszechświecie”.

Płaci rachunek, żegna się z Pierre'em i wychodzi na spokojną ulicę.

W niektórych zakątkach Paryża o tej porze wciąż jest głośno i gwarno - chodnikami spacerują tłumy ludzi, trąbią taksówki, na rogach obściskują się pary, w powietrzu kłębi się dym papierosowy, a przechodnie krzyczą do komórek: *J'arrive*^[14]. Ale w tej części miasta jest inaczej. Will idzie powoli w kierunku następnej przecznicy, jednak w połowie drogi zamiera z przerażenia...

Nie wziął z baru swojego notatnika.

Odwraca się na pięcie i rusza niespokojnym krokiem kogoś, kto zapomniał zabrać coś ważnego. Nie zwraca szczególnej uwagi na to, co dzieje się dookoła i dlatego nie zauważa potężnie zbudowanego mężczyzny, który idzie w przeciwnym kierunku, starając się unikać jego wzroku.



Pogrążony w myślach błąka się po niemal wyludnionych ulicach. Z odrętwienia budzi go kobiecy krzyk i trzaśnięcie drzwiami. Czasem

zapomina o zagrożeniach, które późnym wieczorem czyhają na samotnych przechodniów w wielkim mieście. Ogląda się przez ramię i przyspiesza kroku.

W pokoju hotelowym czekają na niego obicia z aksamitnego pluszu, ozdobne poduszki, błyszcząca armatura i śnieżnobiałe kafelki. Jest cicho i spokojnie, ale czuje się tutaj jak w wysterylizowanym kokonie. Zaczyna żałować, że tak szybko wrócił. Przypominają mu się myśli, które miał w głowie, gdy samolot spadał. Są niczym grupa protestujących, którzy wykrzykują głośno swoje hasła, nie pozwalając, żeby ich ignorował. Ich główne przesłanie brzmi: „Powinieneś być szczęśliwy, a nie jesteś”.

Dla Willa wszystko musi być perfekcyjne. Chce mieć perfekcyjną żonę, perfekcyjne dzieci, perfekcyjnie odrestaurowany stary dom, w którym będzie podawał gościom perfekcyjne jedzenie i perfekcyjne wino w perfekcyjnych kieliszkach. Jego garnitur powinien być perfekcyjnie skrojony, a buty perfekcyjnie wyglansowane. Na wyjazdach musi mieszkać w perfekcyjnym hotelu, przemieszczać się nocnymi pociągami i chodzić na wycieczki z miejscowym przewodnikiem. Jego kariera to w gruncie rzeczy nieustająca pogoń za perfekcją.

Na razie się nie udaje, ale Will jest już blisko. Jeśli nie teraz, to w następnej pracy, przy następnym posiłku, podczas następnego wyjazdu. Może w przyszłym roku, a może trochę później.

Chloe nie jest tak idealna, jak mu się kiedyś wydawało. Brakuje im pieniędzy i ten stan wcale nie wygląda na przejściowy - mieszkają w rozpadającym się domu w podejrzanej dzielnicy, czekając na dodatkowy dochód, który kiedyś na pewno się pojawi. Wtedy będą mogli skończyć remont, umeblować pokoje i przygotować się na narodziny dziecka, o którym tak bardzo marzą. Zaczną wreszcie prowadzić dorosłe życie. Stanie się tak w bliżej niesprecyzowanej, ale nieodległej przyszłości. Wystarczy, że dotrą do punktu przełomowego, tego mającego w oddali frustrującego wkrótce.

Will zdaje sobie sprawę, że tak naprawdę jest szczęściarzem. Wykonuje zawód, który daje mu wiele przyjemności, lecz mimo to czuje się znudzony i zblazowany. Coraz częściej podejrzewa, że wybrał niewłaściwą ścieżkę kariery. I być może niewłaściwą żonę. Ma wrażenie, że w wieku trzydziestu pięciu lat podjął już najważniejsze decyzje w swoim życiu. Czyżby wszystkie były złe?

Rozdział 4

Saint-Émilion, Francja

- Dziękuję wszystkim za przybycie. Witam gości z Ameryki, Anglii, Szwecji oraz, *comment dit-on*, Afryki Południowej! Nawet z Australii! - Francuski winiarz podnosi ręce i zaczyna bić brawo. Po chwili przyłączają się do niego pozostali. - To dwusetna rocznica powstania naszego *château*. Jesteśmy zaszczytzeni, że przyjechaliście świętować to wydarzenie razem z nami. *Merci à tous! A table!*^[15]

Długi stół ustawiono na tyłach zamku, na sporej połaci płaskiego trawnika, za którym zaczyna się opadające w stronę rzeki zbocze z majaczącymi w ciemnościach kolejnymi rzędami winorośli. Po obu stronach stołu szumią fontanny z unoszącymi się na wodzie świeczkami, a na blacie stoi kilkanaście zniczy w szklanych sześcianach. Cały ogród oświetlony jest przytwierdzonymi do drzew lub wbitymi w ziemię pochodniami. Wszędzie widać migoczące płomienie.

Will znajduje na stole swoją wizytówkę - starannie kaligrafowane pismo z wymyślnymi esami-floresami, srebrne kółka na serwetki, małe wazoniki z miniaturowymi bukietkami kalii etiopskich. Właśnie za to kocha Francuzów. Uwielbia ich niepohamowane pragnienie piękna, które sprawia, że przestaje się wstydzić własnego perfekcjonizmu.

Po jego lewej stronie siedzi kobieta z marsową miną kogoś ciągle czymś rozczarowanego. Will rozpoznaje jej nazwisko. To pisząca o winie doświadczona dziennikarka, znana z wysmakowanego podniebienia, prostackich manier i nieznośnego snobizmu.

No! No! Za to po prawej ktoś zupełnie nowy. Will na pewno nigdy jej wcześniej nie widział.

- Elle Hardwick - przedstawia się nieznajoma i wyciąga rękę.

- Miło cię poznać. To rzadkość spotkać kogoś, kto zadawała się jedną literą zamiast pełnego imienia. Tak jak Bono, ale chyba odważniej.

- Nie, nie. - Kobieta rozbijając się uśmiecha. - „Elle” tak jak tytuł magazynu. - Ma wyraźny australijski akcent. - Albo zaimek we francuskim.

- Albo supermodelka?

- Tak, masz rację. *Elle, qui s'appelle Elle, lit*^[16] Elle.
- Teraz wszystko jasne.
- Cieszę się. A jak ty się nazywasz?
- Mówią na mnie pan Rhodes. Will Rhodes.
- Naprawdę? Will Rhodes? Jestem twoją wielbicieleką. Miło cię poznać. To dla mnie wielki zaszczyt.

Niestety, zasady *savoir-vivre*'u wymagają, żeby przerwać rozmowę z Elle i poświęcić przynajmniej dziesięć minut drugiej sąsiadce. Agresywna *sommelierka* nawet nie próbuje ukrywać, że żywi szczególną urazę do Ameryki i nie przepada za mężczyznami. Will próbuje być szarmancki, co wzbudza jeszcze większą niechęć. Z każdą chwilą czuje, że coraz bardziej się pograża.

Na całe szczęście wie, że za przetrwanie tego koszmaru czeka go nagroda. Jawna niechęć i zdawkowe odpowiedzi nadętej dziennikarki sprawiają Willowi perwersyjną przyjemność. Ta sytuacja jest w jakiś absurdalny sposób perfekcyjna. Żeby w pełni cieszyć się wygraną, trzeba najpierw pocierpieć.

Kiedy kelnerzy zabierają puste talerze po *amuses-bouches*^[17], Will odwraca się, żeby kontynuować przerwana rozmowę z Elle.

- Można powiedzieć, że Will Rhodes to jedna z legend tej branży.
- Dziękuję za komplement, ale uważam, że to spora przesada. A kim jest Elle Hardwick?
- Pracuję dla magazynu „Australian Adventurer”. Specjalizujemy się w opisywaniu przygód.
- Jesteś nowa?
- W jakim sensie?
- Pierwszy raz na takiej imprezie? - Wskazuje ręką na stół. - Ja jestem stałym bywalcem. Organizatorami są producenci win, hotelarze, przedsiębiorstwa żeglugowe, dystrybutorzy alkoholi i restauratorzy. Setki uroczystych lunchów, koktajli i długich wieczornych popijaw. Wszystko dla ludzi, którzy zawodowo o tym piszą. Takich jak ja. Nie ma nas zbyt wielu i wcześniej czy później znasz każdego przynajmniej z widzenia. Ale o ciebie nigdy się jeszcze nie otarłem. - O Boże, czy on to naprawdę powiedział? - Przepraszam za sformułowanie.

Elle śmieje się ze średnio udanego dowcipu. Nie jest oburzona ani nawet zniesmaczona. Naprawdę ją to rozbawiło? A może tylko mu się wydaje?

- No tak, chyba jestem nowa. Ciągle czekam na swój wielki dzień. A jak

to było u ciebie?

Niektóre zawody mają jasno określone punkty rozwoju kariery: dożywotni etat na uniwersytecie, wspólnik w kancelarii adwokackiej, stanowisko wiceprezesa. Jednak Will nie może się pochwalić czymś podobnym.

- To chyba zależy, co masz na myśli, mówiąc „wielki dzień”.

Elle spogląda na niego zza uniesionego kieliszka.

- Załóżmy, że przeprowadzam z tobą wywiad. Opowiedz mi o swojej pierwszej pracy.

- To chyba nie najlepszy pomysł.

- Proszę?

Will zmienia pozycję i przysuwa się bliżej pięknej nieznajomej, przyglądając się jej wystylizowanej fryzurze i starannie nałożonemu makijażowi. To atrakcyjna kobieta, która chce wyglądać olśniewająco. Jak wysoki facet, który wkłada buty na grubej podeszwie.

- Z twojego punktu widzenia być może trudno to zrozumieć - mówi kobieta, pochylając się kilka centymetrów do przodu, ale Will ma wrażenie, jakby się do niego przytuliła. - W tej branży ty jesteś na samym szczycie drabiny, a ja na samym dole. Chciałabym się wspiąć trochę wyżej i chyba nie można mnie za to winić.

To prawda. Will jest grubą rybą w małym stawie. A obok niego siedzi atrakcyjna wędkarka, która właśnie rzuca przynętę.

- Po skończeniu college'u przeniosłem się do Nowego Jorku. W Stanach to jedna z rzeczy, które robią ludzie marzący o pisaniu.

- Naprawdę? Nigdy bym nie przypuszczała.

- Zarabiałem na życie, imając się różnych zajęć i jednocześnie szukając zleceń jako wolny strzelec. Pisałem głównie artykuły reklamowe i krótkie teksty do czasopism branżowych. Z miesiąca na miesiąc miałem coraz mniej pieniędzy. Pewnie wiesz, jak to jest.

- Tak, wiem.

- W końcu dostałem pracę redaktora w kolorowym czasopiśmie. Miałem ubezpieczenie i stały dochód. Po kilku miesiącach zwolniło się miejsce w dziale kulinarnym.

- Zawsze chciałeś pisać?

- Tak. - Will postanowił zostać pisarzem już w trzeciej klasie podstawówki. Bardzo poważnie traktował wypracowania z angielskiego, w ogólniaku redagował szkolną gazetkę, a potem skończył studia dziennikarskie. To był chyba ostatni moment, w którym ambitni młodzi

ludzie marzyli o byciu członkami prasowego establishmentu. Nie chodziło tylko o pieniądze, lecz także o możliwość pisania na ciekawe tematy. Chcieli uprawiać publicystykę, pisać o świecie zewnętrznym i innych ludziach, a nie o sobie. Nie interesowały ich pamiętniki, blogi, tweety i zmiany statusu w mediach społecznościowych. Nie byli zapatrzeni we własny pępek.

- Ciekawiło cię właśnie jedzenie?

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. W szkole podstawowej pewnie trudno było mi sobie wyobrazić, że jako dorosły będę pisał wypracowania o włoskich serach pleśniowych.

Elle wybucha śmiechem i zasłania usta o ułamek sekundy za późno.

- Potem dostałem ciekawą ofertę z magazynu kulinarnego. Pracowałem tam przez parę lat. No i w końcu „Travelers”.

Pozornie udało mu się osiągnąć wszystko, co zamierzał. Jest zawodowym dziennikarzem, utrzymującym się z pisania. Wziął udział w trzech wyprawach safari, zwiedził Machu Picchu, wyspy Galápagos i Antarktydę, widział zorzę polarną i polarne słońce, jechał Orient Expressem, płynął na pokładzie „Queen Elizabeth”, był nad Morzem Czerwonym i nad Morzem Martwym, w Dolinie Śmierci i w Dolinie Bogów. Prawie jak Johnny Cash.

Co teraz?

- Oto moje CV, panno Hardwick. - Pije łyk wody. To będzie długa noc, a on nie chce się za szybko wstawić. Ma ochotę poczuć szum w głowie, ale w odpowiednim momencie.

- Na czym polega tajemnica twojego sukcesu?

- Nie ma żadnej tajemnicy. Poza tym, co to za sukces...

- Nie daj się prosić.

- Sam nie wiem. Chyba ciężko pracuję.

- To znaczy?

- Dużo czytam, dużo piję i dużo jem. Traktuję to jak naukę.

- A pisanie?

- Ciągle coś poprawiam. Pisanie to poprawianie. - Dobra, wystarczy. Nie powinien tyle o sobie mówić. Strasznie się rozgadał. - A ty? Co robiłaś przed. hm.

- „Australian Adventurer”. Tylko z nimi współpracuję. Nie jestem na etacie.

- Aha.

- Wcześniej po prostu się kręciłam. Chyba tak to można nazwać. Widziałam na przykład w Austin dyskusję panelową z twoim udziałem.

Przez moment Will ma pustkę w głowę, ale zaraz wszystko sobie przypomina.

- Mój Boże, tylko nie to.

- Moim zdaniem byłeś niesamowity. Wręcz genialny. Ale bez brody cię nie poznałam. Zresztą teraz lepiej wyglądasz.

Will zaczyna się jej przyglądać w blasku świec - urocze dołeczki, delikatny uśmiech, uniesiona brew, smukła szyja, lekko opalone ramiona, palec serdeczny bez obrączki. Piękna, seksowna nieznajoma, która mieszka bardzo, bardzo daleko.

- Jaką masz dla mnie radę? Co twoim zdaniem powinnam robić?

Wie, co chciałby jej odpowiedzieć, ale nagle zaczyna obawiać się dwuznaczności i zbyt śmiałych spojrzeń. Nie chce, żeby to zaszło za daleko. Flirtowanie jest zwykle niewinne, przecież i tak nic z tego nie wychodzi. Nikomu nie dzieje się krzywda i nikt nie czuje się zraniony. To tylko zabawa. Jednak tym razem Will ma wątpliwości. To, co robi, wcale nie wydaje mu się niewinne.

- Powinnaś zgadzać się na wszystkie propozycje.

- *Oui, Monsieur Rhodes?* - Elle znowu unosi brew. - Naprawdę na wszystkie?



Wieczór mija błyskawicznie. Nieznajoma rzuca kuszące spojrzenia, a Will jest tym wszystkim lekko oszołomiony. Na stole pojawiają się kolejne dania - zupa, mięso, ryba, sałata i deser - a kelnerzy serwują starannie wyselekcjonowane wina ze słynnej piwnicy. Wosk spływa po świecach, tworząc atrakcyjne wzory i rozlewając się na obrus. Na jasnym materiale widać plamy - rubinowe po sosie żurawinowym podawanym do bażanta i złote po sosie szafranowym do ryby. Stół obsypany jest okruszkami chleba i serowymi wiórkami. Na blacie stoją popielniczki wypełnione niedopałkami ze śladami szminki oraz leżą wypalone zapalki, torebki, okulary, korki i przewrócony wazonik z pojedynczą kalia, która wygląda, jakby za dużo wypila i w środku imprezy postanowiła się zdrzemnąć. Dobranoc.

- Może wrócimy do naszego wywiadu, panie Rhodes - mówi Elle, opierając łokieć na stole i pochylając się do przodu. - Pańskie dzieciństwo.

- No cóż, panno Hardwick. Przyszedłem na świat jako biedny czarnoskóry chłopiec...

Elle wybucha niekontrolowanym śmiechem.

- W Australii mało kto widział film *Szajbus i pingwiny*.
- Dziwię się, że ktoś w ogóle go kojarzy.
- Ja czasami jeżdżę za granicę.
- Jesteśmy ci za to głęboko wdzięczni.
- Naprawdę? - Elle znowu unosi brew.
- Tak mi się wydaje.

Patrzą sobie głęboko w oczy. Dla Willa ten moment mógłby trwać całą wieczność. Pierwsza odzywa się Elle:

- Skąd jesteś? Jaką drogę przeszedłeś, żeby znaleźć się obok mnie przy tym stole?

Will wypija łyk wina i smakuje go z miną znawcy, udając, że zanim odda się przyjemnościom, musi trochę popracować.

- Spędziłem niczym niewyróżniające się dzieciństwo w Saint Paul w stanie Minnesota. Wiesz, gdzie to jest?

- Hm, czy przelatuję nad tym miastem w drodze do Nowego Jorku?
- Lecąc z Australii, przelatujesz nad wszystkim.
- Cóż, w takim razie nie mam pojęcia.

- Skończyłem Uniwersytet Northwestern z nikłymi umiejętnościami zawodowymi i gigantycznym kredytem studenckim na karku. Na antypodach też musicie się zadłużyć, żeby pójść na studia?

- Oczywiście. Nadal jesteś splukany? Od kiedy zrobiłeś dyplom, nie minęło przecież tak wiele czasu.

- Pochlebiasz mi.

- Być może, panie Rhodes. - Na jej twarzy znowu pojawia się czarujący uśmiech. Will jest coraz bardziej przekonany, że to wcale nie zabawa. Czyżby miał do czynienia z niebezpieczną kobietą?

- Szczerze mówiąc, panno Hardwick, nigdy nie wygrzebałem się z dołka. Udało mi się jedynie zmienić strukturę moich długów. Między różnymi zobowiązaniami finansowymi wykopałem podziemne przejścia i skonstruowałem coś w rodzaju mrowiska. Dzięki temu zachowałem pozory wypłacalności, ale tak naprawdę jestem bankrutem.

Will nigdy nie wierzył, że na pisaniu dorobi się wielkiego majątku, ale mizeria finansowa, której doświadcza, jest dla niego bardzo niemiłym zaskoczeniem. Co gorsza, za kilka lat jego zawód może w ogóle przestać istnieć. Nawet Chloe nie jest w pełni świadoma, w jak głębokich tarapatkach się znaleźli. Na początku znajomości Will postanowił udawać, że stan jego

portfela nie jest żadnym problemem. Po prostu płynął z prądem. Kiedy zaczęli ze sobą mieszkać i dzielić wydatki, sytuacja nieco się poprawiła. Jednak Will cały czas tkwi po uszy w długach i jak do tej pory nie zebrał się na odwagę, żeby powiedzieć o tym swojej żonie.

- To naprawdę smutna historia, panie Rhodes. *Très triste*^[18].

- Właśnie dlatego nie mogę spać po nocach. Zważyłem we własne możliwości i mam stany lękowe. Śni mi się powracający koszmar, w którym mieszkam w przyczepie kempingowej gdzieś na północy New Jersey, sam i bez grosza przy duszy. Leżę na łożu śmierci i z wściekłości toczę pianę z ust, ponieważ nikt mi nie powiedział, że powinienem nauczyć się chińskiego albo opanować podstawy programowania, albo, sam nie wiem, pójść na prawo.

Dlaczego zaczął się przed nią wyżalać? Chyba zna odpowiedź na to pytanie, ale nie chce się do tego przyznać.

- Ma to jednak swoje zalety - kontynuuje. - Bezsensowność wygania mnie z łóżka i każe usiąść przy komputerze. Raz napiszę trzysta słów, raz tysiąc, a czasami zdarza mi się wysmażyć nawet trzy tysiące. Z triumfalnym wyrazem twarzy zanoszę tekst do redakcji i dołączam kopertę z fakturami potwierdzającymi poniesione wydatki. Można powiedzieć, że jestem najbardziej wydajny, kiedy w środku nocy dostaję napadu paniki z powodu stanu moich finansów.

Elle zagryza wargę, być może powstrzymując się przed jakimś dwuznacznym komentarzem.

- A czym zajmuje się twoja żona? - pyta nagle, obrzucając Willa kokieterijnym spojrzeniem.

Auć! Czy ona celowo chce zmienić nastrój i sprowadzić go na ziemię? A może chodzi o coś innego, bardziej subtelnego? „Tak, Will, wiem, że jesteś żonaty, ale mam to gdzieś”.

Australijka znowu unosi brew. O Boże, to wygląda naprawdę kusząco.

Elle Hardwick, kobieta, która ma wielkie szanse zniszczyć jego małżeństwo.



Naprzeciwko Elle siedzi teraz facet z „Saveura”, a obok niego Bethany, specjalista od reklamy, którego Will spotkał już kilka razy na podobnych przyjęciach. Miejsce opryskliwej dziennikarki zajął jowialny szkocki kucharz Callum. Bertrand, właściciel winnicy, opowiedział właśnie dowcip i wszyscy

wybuchają śmiechem. Jak na taką imprezę Will naprawdę nieźle się bawi. Poza tym u jego boku siedzi seksowna nieznajoma, która ma ochotę się z nim przespać albo przynajmniej świetnie udaje.

- Jesteś żonaty? - pyta Callum.

- Uhm - mruczy Will. - Tak, jestem.

Na drugim końcu stołu zakochany w sobie szef kuchni z wielkim namaszczeniem otwiera trzylitrową butelkę wina. Bez przerwy coś trąkocze, wydając z siebie dziwne dźwięki. Przypomina Willowi pijaną francuską hienę.

- Na każdym kroku czyhają pokusy. - Callum przechyla głowę w stronę Elle. - Prawda?

Will nic nie odpowiada.

- Jak sobie z tym radzisz?

- Z wielkim trudem - mówi Will i wstaje od stołu. - *Excusez-moi.* - Poklepuje Szkota po ramieniu i odchodzi chwiejnym krokiem w kierunku zamku, starając się utrzymać równowagę na grząskiej trawie.

W środku razi go ostre światło. Źrenice przyzwyczajone do łagodnego blasku świec zwięzają się o wiele za wolno. Draperie wydają się zbyt fioletowe, a kafelki w łazience za bardzo niebieskie. W lustrze widzi swoją twarz: lekki zarost, ziemista cera i przekrwione oczy. Trudno się dziwić, w końcu już od dobrych siedmiu godzin raczy się winem. To zadziwiające, jak duża część jego pracy polega na siedzeniu do późna w nocy i picciu alkoholu w towarzystwie nieznajomych. Chociaż może w innych zawodach jest tak samo.

Opłukuje policzki i czuje, jak zimna woda wlewa mu się do oczu i ust. Na pewno dobrze mu to zrobi. Wyciera twarz, zaczesuje włosy, poprawia krawat, po czym patrzy w lustro, szukając w swoich oczach stanowczości. Jest na suto zakrapianej imprezie, z dala od domu, bez żony.

No właśnie, żona. Gdyby tu była, choćby na kilka sekund złapałaby go pod stołem za rękę. Często tak robi, jakby chciała mu powiedzieć: „Jestem i będę przy tobie”. Właśnie po to ludzie biorą ślub. Ale akurat teraz jej nie ma.

Will nigdy się nie dowiedział, co zniszczyło małżeństwo jego rodziców. Pod koniec darzyli się nieskrywaną nienawiścią - albo wrzeszczeli, albo zwracali się do siebie w trzeciej osobie: „Powiedz matce, żeby wracała do domu”. Ojciec zmarł, kiedy Will miał jedenaście lat. Po jakimś czasie dotarły do niego plotki - on rzekomo zmieniał kochanki jak rękawiczki, a ona popadła w alkoholizm. Ale to były tylko objawy choroby.

Był zbyt młody, żeby odbyć z ojcem poważną rozmowę na ten temat, a kiedy dorósł, nigdy nie zebrał się na odwagę i nie zapytał o to matki. Poprzestał na wyobrażaniu sobie dziesiątków różnych scenariuszy wyjaśniających, dlaczego para ludzi może się tak bardzo znienawidzić. Opowiadał sobie umoralniające historyjki i przysięgał, że sam nigdy nie popełni takiego błędu. Miał zamiar zestarzeć się i umrzeć u boku swojej żony. Wspólnie ominą wszelkie pułapki i pokonają przeszkody, a gdyby jakimś cudem im się nie udało, to przyzna się do porażki i zakończy ten związek. Lepiej się rozwieść i dźwigać to brzemie, niż tkwić w gównianym małżeństwie.

Tak, i co teraz?

Bierze głęboki oddech i wychodzi z łazienki. Tak jak się spodziewał, w korytarzu czeka na niego Elle. Opiera się o ścianę z lekko uniesioną głową i wpatruje się w niego błękitnymi oczami, w pełni świadoma swojej atrakcyjności.

Bał się tego i jednocześnie o tym marzył. Co teraz zrobi?

W zachowaniu wierności zawsze pomagało mu przekonanie, że to mężczyzna w pełni kontroluje sytuację. Kobieta może rzucić jakąś aluzję, ale nie zainicjuje fizycznego kontaktu.

I do tej pory tak właśnie było. Elle robi krok do przodu, podnosi dłoń i kładzie kciuk na jego policzku, a pozostałymi palcami gładzi go po karku. Kiedy zaczyna się do niego przybliżać, Will ma ostatnią szansę, żeby zmienić bieg wydarzeń. Może odwrócić twarz, odsunąć się, zacisnąć usta albo gestem dać jej do zrozumienia, że sprawy posunęły się za daleko. Ale tego nie robi. Pozwala Elle przejąć inicjatywę, na początku trochę niechętnie, a potem już bez żadnych oporów. Przez minutę lub dwie - zresztą jak to zmierzyć? - całują się namiętnie, stojąc w korytarzyku prowadzącym do łazienki, w starym *château* gdzieś w południowo-zachodniej Francji. Jest środek nocy i oboje mają bardzo daleko do domu.

Potem rozlegają się głosy - chyba Bertrand w towarzystwie sommeliera - i Elle się odsuwa. Przez dłuższą chwilę wpatruje się w Willa, jakby przedłużając obietnicę. Potem mruga i Willowi wydaje się, że słyszy jej głos: „Tak, jestem twoja, zrób ze mną, co chcesz”.



Przy stole siedzi już tylko kilka osób, co oznacza koniec imprezy. Wstają i

chwiejnym krokiem wchodzą na żwirową ścieżkę prowadzącą na parking z taksówkami. Kierowcy opierają się o maski samochodów, spoglądając na pasażerów z wyższością kogoś trzeźwego, kto ma zaopiekować się kimś pijanym.

- Zatrzymałeś się w *auberge*^[19], prawda? - pyta Elle, zwalniając krok.

- Tak.

- Który masz numer pokoju? - szepcze, nie patrząc mu w oczy. Zalega cisza i słychać tylko chrzęst obcasów na żwirze. Mija ich kompletnie pijany Szkot. Potyka się, ale jakimś cudem udaje mu się utrzymać równowagę.

Will nie jest w stanie znieść rosnącego napięcia. Naprawdę pragnie tej kobiety. Kto się o tym dowie? No kto?

Nikt, ale on będzie musiał z tym żyć. Już ma wyrzuty sumienia z powodu pocałunku i z każdą sekundą jest coraz gorzej. Nie jest facetem, który robi takie rzeczy. Nie chce, żeby mówili: „Will Rhodes? Oczywiście, że miał we Francji romans z tą piękną Australijką. Przecież to dla niego typowe”.

- Słuchaj, Elle.

Dziewczyna się zatrzymuje.

- Chyba sobie żartujesz - mówi, patrząc mu głęboko w oczy i ze zdziwienia lekko rozchylając usta. Wygląda na urażoną. Will zastanawia się, czy kiedykolwiek ktoś jej odmówił.

- Jestem żonaty.

- To nie ma nic do rzeczy. Kompletnie nic. - Wyraz zaskoczenia na jej twarzy ustępuje miejsca rezygnacji. - Ciekawe, założyłeś, że ja na pewno nie jestem mężatką, prawda?

Will uznaje, że to pytanie retoryczne - lepiej milczeć, niż się wygłupić.

- Rób, jak chcesz - mówi Elle i rusza w stronę parkingu. Will stoi bez ruchu i dopiero po chwili nadrabia dzielący ich dystans. - Albo raczej nie rób.

To już koniec, wszystko będzie dobrze. Spotkana za granicą piękna nieznajoma i pijacki pocałunek w środku nocy. Kogo to obchodzi? Przecież nikt się o tym nie dowie, a on na pewno da sobie jakoś radę.

Rozdział 5

Saint-Émilion

- Przepraszam - mówi Elle. - Trochę wczoraj przesadziłam.

Will podnosi wzrok znad talerza, na którym leży aksamitna szynka, świeży chleb z solonym masłem i trochę leśnych owoców. Łupy zgarbione z bufetu śniadaniowego. W całej Europie serwują niemal to samo, z drobnymi regionalnymi wariacjami: śledź w Skandynawii, fasola w sosie pomidorowym na Wyspach Brytyjskich.

- Nie, to ja ciebie przepraszam. - Czy naprawdę jest mu przykro, że odrzucił jej zaloty? Czy żałuje, że coś go ominęło? A może jedno i drugie? - Usiądziesz ze mną?

Rano Elle wygląda mniej efektownie, zresztą tak jak wszyscy. Zero makijażu, upięte z tyłu głowy włosy, luźny T-shirt, dżinsy. W dziennym świetle jest bardziej rzeczywista - to prawdziwa osoba z prawdziwymi uczuciami, a nie seksowna nieznajoma poznana na wytwornym przyjęciu, na którym sprawiała wrażenie boskiego ideału. Elle jest zwykłą śmiertelniczką, która, jeśli się postara, może wyglądać nieziemsko, szczególnie w blasku świateł.

- Słuchaj... Naprawdę chciałam cię przeprosić. - Siada przy stoliku. - Wcale taka nie jestem. Po prostu wczoraj w nocy poczułam, że łączy nas coś wyjątkowego. Zgodzisz się ze mną? - Will kiwa głową. - Ja również jestem w stałym związku. Nie mamy ślubu, nie jesteśmy nawet zaręczeni, ale. - Odwraca wzrok i patrzy na chropowatą ścianę. - Nie chciałam, żeby ten wieczór się skończył. A potem wszystko szybko się potoczyło. Ten pocałunek.

Tak, nie da się ukryć, że do tego doszło, myśli Will.

- Dziś już wiem, że powinnam lepiej nad sobą panować. Dobrze, że chociaż ty zachowałeś się jak należy.

- Nie wiem, czy „dobrze” to właściwe słowo.

Uśmiecha się, a na jej twarzy pojawia się lekki rumieniec.

- Przynajmniej dobrze się bawiliśmy, prawda? - mówi, przysuwając się bliżej.

Spędzają razem przedpołudnie. Łączy ich dziwna poufalość nieznanym, którzy całowali się poprzedniego wieczoru. Spacerują po ogrodzie między starymi krzewami różanymi, wymieniając ukradkowe spojrzenia, a potem jadą do miasteczka, żeby kupić ładowarkę do jej telefonu, choć oboje zdają sobie sprawę, że ta wyprawa jest skazana na niepowodzenie.

Kiedy w pewnym momencie Elle mówi: „Muszę jechać na lotnisko. Mam dzisiaj samolot”, Will czuje ukłucie w sercu.

Czy to dobry pomysł, żeby ją odwiedzić? Na jakim etapie znalazła się ich dziwna relacja? Nie chciałby przekroczyć granicy i zniszczyć tego, co udało im się zbudować, ale nigdy nie był w takiej sytuacji i nie wie, jak daleko może się posunąć.

Na pożegnanie całuje ją w policzek. Tak, właśnie tutaj powinien się zatrzymać.

Ale tego nie robi. Nie odrywa ust od jej skóry. Trwa to sekundę, dwie, trzy, dziesięć... Na pewno za długo. Elle się nie odsuwa, dając mu do zrozumienia, że inicjatywa leży po jego stronie.

Kiedy wreszcie się od niej odkleja, Elle głośno wzdycha i patrzy mu głęboko w oczy.

- Do widzenia - mówi melodyjnym głosem. To jedna z wielu rzeczy, które tak bardzo mu się w niej podobają, a przecież poznał tę kobietę dopiero wczoraj i pewnie nigdy więcej jej nie zobaczy.

Saint-Jean-de-Luz

Spaceruje uliczkami starego miasta, podziwia skromne pobielone domy i idzie na półkolistą plażę zastawioną leżakami w paski i wyblakłymi parasolami. Dawno temu, przed drugą, a może nawet pierwszą wojną światową, to był naprawdę niezwykle elegancki kurort. Przebrzmiała sława ma w sobie pewien urok, ale w takich miejscach czuć również tęsknotę za minionymi czasami, a nawet rozpacz z powodu czegoś bezpowrotnie utraconego.

Od czasu do czasu Will zdaje sobie sprawę, że bezwiednie się uśmiecha. Szczerzy się sam do siebie jak jakiś głupek, ale nie jest w stanie nad tym zapanować. Co chwilę przed oczami staje mu twarz Elle, jej urocze dołeczki, uniesiona brew, no i ten słodki pocałunek. Jak do tego doszło i dlaczego stało

się to aż tak szybko?

Ostatni raz czuł się w ten sposób po pierwszej randce z Chloe. Co prawda znali się od lat, ale nigdy się ze sobą nie umówili. To był magiczny wieczór. Następnego dnia wracał z jakiegoś nudnego lunchu. Szedł Czterdziestą Trzecią Ulicą i, pogrążony w dziwnym błogostanie, uśmiechał się od ucha do ucha. Nagle usłyszał głos:

- Z czego się tak do cholery cieszysz? - Na środku chodnika stał jego stary kumpel Dean.

- Poznałem dziewczynę - odpowiedział, ale przecież i tak wszystko było jasne. Faceci zachowują się tak tylko z jednego powodu.

To było pięć lat temu.

Teraz wraca do hotelowego pokoju z oknami wychodzącymi na położony nad samym klifem basen. Leży na łóżku z laptopem i robi notatki z wczorajszego dnia. Postanowił, że najpierw zajmie się pracą, a potem przyjdzie czas na przyjemności.

Wpisuje w wyszukiwarkę „Elle Hardwick” i wybiera zakładkę z grafiką. Na ekranie pojawiają się fotografie uśmiechniętej Australijki. Na widok zdjęcia zrobionego na plaży Willowi robi się gorąco - bikini, ciemne okulary, kształtne piersi, płaski, opalony brzuch, kusząco odchylone biodro. O mój Boże...

Idzie na basen, żeby popływać w chłodnej wodzie, a potem próbuje się dodzwonić do żony.



Po niemal perfekcyjnym obiedzie - ostrygi, morski okoń, *meursault*^[20] i *galette*^[21]- skonsumowanym w niemal perfekcyjnej jadalni z widokiem na zachodzące nad Atlantykiem słońce, Will wraca do swojego prawie perfekcyjnego pokoju. Kończy notatki i zaczyna przerabiać je na gramatyczne zdania, z których powstają akapity, a potem cały artykuł o urokach wina i potraw degustowanych wiosną w południowej Francji.

Jego myśli co chwilę wędrują do Elle. Z trudem powstrzymuje chęć dalszego szperania w internecie. Ma ochotę do niej zadzwonić albo przynajmniej wysłać esemesa. Dlaczego nie pojedzie na lotnisko i nie wsiądzie w samolot, żeby ją odnaleźć? Jeśli istnieją równoległe wszechświaty, chciałby znaleźć się w tym, w którym ta fascynująca kobieta byłaby teraz u jego boku.

Pireneje Atlantyckie

Mały fiat z wyciem silnika wspina się na strome wzniesienie, coraz bardziej oddalając się od wybrzeża i kierując w stronę skąpanych w słońcu, poszarpanych górskich szczytów. Przez godzinę Will zwiedza gospodarstwo rolne emerytowanego francuskiego przewodnika turystycznego, który przedstawia mu z imienia każdą kozę. Potem idzie do gwarne go baru i zjada lunch w towarzystwie baskijskiego nacjonalisty. W telewizji pokazują jakiś mecz, a na zewnątrz chłopcy grają w pelotę i piłka co chwilę odbija się od ściany. Rozmowa niespecjalnie się klei, ponieważ jeden z gości tłumaczy wszystko z baskijskiego na hiszpański, który Will zna słabo i nie jest pewien, czy wszystko dobrze zrozumiał.

Później wsiada do samochodu i zapuszcza się w górskie doliny, w których napotyka coraz mniej śladów cywilizacji. Przejeżdża przez spokojne wioski zamieszkane jedynie przez psy i starców. Co jakiś czas uspokajający głos informuje go, ile kilometrów zostało do celu. GPS był w nylonowej torbie, którą dostał od Inez. Na tylnej obudowie znajduje się nalepka: „Własność «Travelers», prosimy o zwrot do najbliższego biura”.

Skręca z głównej szosy i wjeżdża na wąską drogę gruntową wijącą się w górę wzdłuż strumienia. W koleinach jest pełno wody. Musiała tędy przejść ulewa, chociaż nad oceanem było całkiem sucho.

- Dojechałeś do celu.

Osada składa się z zaledwie kilkunastu zabudowań postawionych wokół zakola potoku. Nie ma tu żadnego sklepu, nie mówiąc o barze lub restauracji.

Will podchodzi do stojącej na poboczu pompy, naciska wajchę i już po chwili raczy się idealnie czystą zimną wodą. Robi zdjęcie staroświeckiemu urządzeniu, które ktoś niedawno pomalował na różowo.

Idzie nad strumień. Jest szeroki, płytki i wypełniony kamieniami. Wzdłuż brzegu ciągnie się ścieżka prowadząca w stronę wysokich szczytów, które w późnopopołudniowym świetle wydają się niebieskie. W oddali widać zachodzące słońce. Will zaczyna wspinać się pod górę. Słyszy tylko odgłosy natury: szum wody, śpiew ptaków, meczenie kóz i rżenie konia.

Znowu wraca myślami do Elle. Zdaje sobie sprawę, że uległ obeszładniającemu zauroczeniu i czuje siłę wzajemnego przyciągania, które pojawiło się zupełnie nagle, ale w żaden sposób nie można mu się oprzeć. Co

sprawiło, że się w niej zadurzył? Chodzi o rysy twarzy i smukłą szyję? A może o uniesioną brew lub sposób, w jaki się pochylała, żeby go lepiej słyszeć? No i te dołeczki... Jednak dlaczego do cholery miałyby go pociągać wgłębienia w czyichś policzkach? Czy naprawdę liczy się tylko wygląd?

A może raczej ton głosu? To, co mówiła? Jej opinie? To, w co wierzy? Jej żarty? Książki i płyty, które lubi? To, jak sobie radzi w życiu? Jak tańczy? To, za kogo się uważa i kim chciałaby zostać? Czy rzeczywiście chodzi o którąś z tych rzeczy? Co tak naprawdę sprawia, że jesteśmy sobą? I dlaczego właściwie się w kimś zakochujemy?

Pograżony w myślach potyka się na nierównej ścieżce, która robi się coraz węższa i coraz bardziej zdradziecka, szczególnie w pobliżu skalistego brzegu. Will boi się, że wpadnie do wody. Podnosi z ziemi długą gałąź, odrywa liście i drobniejsze gałązki, i idzie dalej, podpierając się nią jak kijem. Słońce chyli się ku zachodowi, w powietrzu latają chmary owadów, a po niebie szybują świergocące szpaki. Zatrzymuje się, żeby zrobić zdjęcie i zapisać coś w notesie. Chciałby w jakiś sposób uchwycić tę przemijającą chwilę.

Dochodzi do miejsca, w którym potok przyspiesza, tworząc bystrza. W szerokim rozlewisku stoi siwy mężczyzna w woderach i łowi ryby na muchę. Bierze zamach. Długa żyłka zakreśla na niebie elegancki łuk. Po chwili sztuczna przynęta dotyka strumienia i podskakując, mknie w stronę wędkarza. Zmarszczki na wodzie mają zwabić pstrągi, ale ryba nie bierze. Mężczyzna ponownie zarzuca wędkę, ale rezultat jest taki sam. Nie daje za wygraną i próbuje po raz trzeci.

- ¡Buenos dias! - krzyczy Will. - *Yo soy Will Rhodes. Yo...*^[22]

- Amerykanin?

- Tak. A pan?

Mężczyzna kiwa głową i rusza w stronę brzegu, brnąc przez wodę, która płynie znacznie szybciej, niż mogłoby się wydawać, po czym wychodzi na ląd, ostrożnie stawiając kroki na zdradliwym terenie.

- Taylor Lindhurst - przedstawia się i wyciąga rękę na powitanie. - Miło pana poznać. Turysta?

Will kręci głową.

- Dziennikarz, a w zasadzie pisarz i podróżnik.

- Serio?

- Tak. Ryby biorą?

- Nie za bardzo. Szczególnie od kiedy pan się pojawił i zaczął hałasować. Ale na ogół łowię tyle, że spokojnie wystarczy na kolację.

- Niezła dieta. Mieszka pan tutaj?

- Tak, spędzam w tej okolicy jesień życia. - Mimo siwizny mężczyzna nie wygląda na emeryta, a nawet jeśli, to świetnie się trzyma. Jest szczupły, barczysty, z mocnymi bicepsami opiętymi rękawami T-shirta, i umięśnionym karkiem wystającym znad kołnierzyka wędkarskiej kamizelki. Wyciąga z kieszeni paczkę papierosów i błyszczącą złotą zapalniczkę, która nie za bardzo pasuje do reszty stroju. - A pan co tutaj robi? - pyta i wydmuchuje smugę gęstego dymu. - To miejsce leży raczej na uboczu.

- Mam nadzieję. W przeciwnym razie ktoś by już o nim napisał. Wie pan, o co mi chodzi?

- Tak. Był pan w miasteczku?

- Rozmawiałem w kawiarni ze starym Rinaldo i jego żoną. Oglądałem też kozy monsieur Larozze'a. Ta okolica to frapująca mieszanka kultury francuskiej, hiszpańskiej i baskijskiej. Zgodzi się pan ze mną?

- Między innymi dlatego tu zamieszkałem. Granica jest rzut beretem stąd.

- Mężczyzna wskazuje wędką zarosnięte krzakami wzgórze i górujące nad nimi skaliste szczyty.

- Bardzo trudno tu dojechać.

- Ma to swoje zalety. Panie... Rhodes... ?

- Tak.

- Miło było pana poznać, ale muszę jeszcze złapać ryby na kolację, a zostało już niewiele czasu. Jest jeszcze coś, w czym mogę panu pomóc?

- Nie, proszę sobie nie przeszkadzać. Chciałem tylko poczuć atmosferę tego miejsca. Mógłbym zrobić zdjęcie i zapisać pana nazwisko?

Mężczyzna zastyga w bezruchu.

- W porządku - odpowiada po chwili namysłu. - Nazywam się Taylor Lindhurst, pisane tak, jak się słyszy, chyba że ktoś jest bardzo kreatywny. Pewnie chciałby pan mnie sfotografować w wodzie?

- Tak. - Will przyjaźnie się uśmiecha. - Byłoby super.

Mężczyzna wchodzi do obfitującego w pstrągi strumienia, gdzieś w pobliżu francusko-hiszpańskiej granicy, i zarzuca wędkę. W późnopopołudniowym świetle żyłka zatacza idealny łuk. Lepszego zdjęcia nie zrobiłby nawet zawodowy fotograf.

- Do widzenia, panie Lindhurst. Dziękuję za poświęcony mi czas.

Tak wygląda życie Willa - podróże do obcych krajów i rozmowy z nieznanymi.



Taylor Lindhurst jeszcze raz zarzuca wędkę, ale nie może się skoncentrować i tylko udaje, że łowi ryby. Tak naprawdę zabija czas, czekając, aż dziennikarz oddali się od rozlewiska. Po kilku minutach wychodzi na brzeg i rozgląda się dookoła. Ani śladu intruza. Pakuje sprzęt, a jego ruchy robią się coraz bardziej nerwowe. Kiedy zbiega w dół ścieżki, potyka się boleśnie o pokryty mchem kamień. Trochę kuleje, ale stara się utrzymać tempo, żeby jak najszybciej znaleźć się przy odgałęzieniu prowadzącym do zagospodarowanej części jego posiadłości.

Jest właścicielem całego zbocza - w sumie kilkaset akrów ziemi z krystalicznie czystym strumieniem i łąką, na której stoi solidnie zbudowany stary dom z basenem. Na bardzo długim podjeździe zaparkowana jest zdezelowana półciężarówka marki Renault z kluczykami w stacyjce. Taylor lubi życie na poziomie, ale nie chce rzucać się w oczy, kiedy jedzie do miasteczka po zakupy.

Wrzuca najpotrzebniejsze rzeczy do torby podróżnej, zastanawiając się, czy powinien jechać samochodem, czy przejść na piechotę przez granicę i zaszyć się w górach w północno-zachodniej Hiszpanii.

Nie spodziewał się, że tak to będzie wyglądać. Nie jest jednak do końca pewien, czy rzeczywiście coś się stało. Być może ten facet wcale nie kłamał i naprawdę jest zupełnie nieszkodliwym dziennikarzem.

Wsiada do żółtej półciężarówki. Należała do tego samego starego rolnika, który sprzedał mu dom. Przekręca kluczyk, ale motor dławi się i gaśnie.

Cholera.

Odczekuje chwilę i próbuje jeszcze raz. Słysząc charkot, a silnik jakby znowu się krztusił...

Dzięki Bogu, tym razem się udaje. Taylor ma nadzieję, że dotrze do głównej szosy, zanim młody Amerykanin wróci do swojego samochodu zaparkowanego przynajmniej kilometr stąd.

Renault pędzi wąską gruntową drogą, podskakując na wybojach. Po obu stronach ciągną się gęste zarośla, a między nimi rosną strzeliste drzewa. Samochód wjeżdża w głęboką dziurę i rozlega się głucho tąpnięcie, które Taylor czuje u nasady kręgosłupa. Ze schowka wypadają dokumenty ubezpieczeniowe, prawo jazdy i zniszczony egzemplarz powieści Faulknera, którą wozi w aucie na wypadek, gdyby pojawiła się niespodziewana okazja do lektury.

Nie zwraca jednak uwagi na bałagan. Wykręca tułów, żeby wyciągnąć telefon z kieszeni spodni i uderza się w kolano. Syczy z bólu, ale powstrzymuje się od krzyku. Na takie rzeczy nie pozwala sobie nawet w zaciszu własnego auta.

Przegląda listę kontaktów, kątem oka obserwując drogę. Nie jest w stanie skupić się na żadnej z tych czynności i nagle prawe przednie koło samochodu wpada w dół. Rozlega się przeszywający zgrzyt. Taylor czuje go w całym ciele, szczególnie w klatce piersiowej, a potem na domiar złego wali się głową w sufit.

Półciężarówka staje w miejscu.

- Cholera. - Próbuje wysiąść, ale drzwi się zablokowały i musi mocno na nie naprzeć. Słyszą skrzypnięcie, a potem głośny pisk, ale opór wreszcie ustępuje. Niestety, karoseria jest jeszcze bardziej powyginana niż wcześniej. Unieruchomione auto oznacza, że Taylor może skoncentrować się na telefonie. Znajduje właściwy numer.

„Nieudane połączenie”.

- Chyba sobie żartujesz.

Na ekranie miga pojedyncza kreska zasięgu, która raz się pojawia, a raz znika. Taylor potrząsa telefonem, ale na niewiele się to zdaje.

Rozgląda się w poszukiwaniu jakiegoś wzniesienia. Odchodzi od strumienia, przedziera się przez zarośla, kluczy między niskimi drzewami i wspina się na niewielką skałę. Spogląda na ekran - wciąż tylko jedna kreska, ale przynajmniej nie miga. Od czasu do czasu pojawia się nawet druga.

Jeszcze raz wybiera numer. Dzwoni za granicę, więc wie, że musi poczekać. Po piętnastu sekundach słyszy sygnał połączenia.

- Tak?

- Tu Pantera - mówi. - Zostałem zdemaskowany.

Rozdział 6

Nowy Jork

Will podnosi raketę i bije brawo, uderzając dłonią w naciąg. Gem, set i mecz dla Malcolma. Znowu. Podchodzi do siatki i pociąga łyk wody z butelki.

- Nieźle ci poszło - mówi bez przekonania Malcolm. Podają sobie ręce, po czym niemal jednocześnie sięgają po telefony i zaczynają przeglądać e-maile z nadzieją, że nie pojawiły się żadne problemy ani pilne sprawy do załatwienia.

- Jak było we Francji? - Malcolm odkłada komórkę i pije wodę, patrząc na zabłąkaną piłkę, która przyturlała się z sąsiedniego kortu. Podnosi wzrok i widzi biegnącą za nią dziewczynę. Dzisiaj chyba każda kobieta w Nowym Jorku ma na sobie coś krótkiego. To pierwszy naprawdę ciepły dzień tej wiosny.

- Uwielbiam spódniczki tenisowe - stwierdza Malcolm, zaczynając swój ulubiony temat. Kiedy coś go podnieci - a dzieje się tak bardzo często, ponieważ nie jest specjalnie wybredny - zaraz informuje o tym Willa, który zwykle z chęcią podejmuje wątek. Dzisiaj jednak jest inaczej.

- Było naprawdę świetnie. Tekst o paryskim *bar à vins*^[23] powinien ci się spodobać. Kolacja w *château* była natomiast zupełnie bezbarwna. Nic ciekawego. - To oczywiście nieprawda, ale o wyjątkowości tego wieczoru Will nie może przecież napisać.

- W porządku. Przekazałeś notatki do Paryża?

- Tak.

- Rozmawiałeś z kimś interesującym?

Zgodnie z nową strategią każdy tekst powinien mieć swojego bohatera, niezależnie od tego, czy chodzi o międzynarodową gwiazdę, czy niczym niewyróżniającego się szaraka. Twarze na fotografiach i cytaty w każdej kolumnie mają przyciągnąć uwagę czytelników.

- Nie, nie sędzę.

- Coś jeszcze?

- Na przykład co?

- Przestań pieprzyć! Wiesz, o co mi chodzi. Na pewno kogoś poznałeś. Zawsze tak jest.

Will kręci głową.

- Nie daj się prosić! - Malcolm szturcha go w ramię. Nie robi tego delikatnie. - Wiesz, kiedy ostatni raz byłem na randce?

- Nie jeżdżę za granicę w celach randkowych, Mal. Nie umawiam się z kobietami.

- Jedenaście lat temu. Pieprzone jedenaście lat temu, ty cholerny szczęściarzu. - Malcolm zdejmuje przez głowę przepoconą koszulkę i Will widzi na jego barku grube, szpecące blizny pochodzące jeszcze z czasów wojny. Na nodze ma ślad innej rany sprzed ćwierćwiecza. To, co się wtedy stało, raz na zawsze zmieniło jego życie. - Rozbijasz się po całym świecie, nosisz spinki do mankietów, a kiedy wchodzisz do lobby pięciogwiazdkowego hotelu, kobiety pozerają cię wzrokiem. Opowiedz mi jakąś ciekawą historię. Umieram tutaj z nudów.

- Naprawdę? Wydaje mi się, że niczego ci nie brakuje. Masz perfekcyjne życie. Z czego jesteś niezadowolony?

- Z monotonii, Will. - Wyciąga z torby świeżą koszulkę. - Nadal twierdzisz, że nie poznałeś ani jednej atrakcyjnej kobiety?

Z jednej strony, Will ma ochotę się pochwalić. Jeśli o tym opowie, jego przygoda stanie się bardziej rzeczywista. Z drugiej strony, nie jest wcale pewien, czy to dobry pomysł. Może lepiej, jeśli o wszystkim zapomni? Niech wieczór z Elle pozostanie niezrealizowaną fantazją. Ale jeżeli wymazać pocałunek - ciągle wmawia sobie, że nic wielkiego się nie stało - to ta cała historia jest przecież zupełnie bez znaczenia. Nie popełnił żadnej niewybaczalnej zbrodni. Całował się tylko z olśniewająco piękną kobietą, która dosłownie się na niego rzuciła. I nie poszedł z nią do łóżka.

Powinien dostać za to jakiś cholerny medal. Albo ręcznie kaligrafowany dyplom, na pergaminie i z woskową pieczęcią, który zostałby mu wręczony podczas niezwykle kameralnej ceremonii.

- No cóż...

- Dawaj!

- Poznałem jedną Australijkę.

- Super! Uwielbiam Australijki. Mieszkają na końcu świata. Lepsze od nich są tylko Japonki.

- Przyjęcie właśnie się skończyło. Było już naprawdę późno. Okazało się, że zatrzymaliśmy się w tej samej oberży. Nagle zapytała mnie, który mam

numer pokoju.

- Niemożliwe! Co zrobiłeś?
- Uwierz mi, nie było łatwo.
- Domyślam się.

Will zastanawia się, czy Malcolm kiedykolwiek wydorosłeje. Jest żonatym mężczyzną grubo po czterdziestce, ma dwoje dzieci w wieku szkolnym i zajmuje stanowisko redaktora naczelnego popularnego czasopisma, które zatrudnia kilkadziesiąt osób. Czy nie powinien zachowywać się stateczniej? Ale co to niby znaczy? Być może faceci na zawsze pozostają psychicznie niedojrzali, tylko niektórzy potrafią lepiej udawać.

- To była cholernie atrakcyjna kobieta, Mal. Nawet nie jesteś sobie w stanie tego wyobrazić. Pod każdym względem wystrzałowa laska.

- Opisz ją.

- Nie chodzi tylko o wygląd. - Will uruchamia przeglądarkę w telefonie. Kilka kart jest już załadowanych, wśród nich zdjęcia Eleanor Hardwick. - Inteligentna, z niesamowitym poczuciem humoru, no i ten akcent...

- Uwielbiam australijską wymowę.

- Ewidentnie chciała się ze mną przespać. - Wybiera fotografię przedstawiającą opaloną blondynkę w bikini i naciska na ikonę. - Kusiła swoimi wdziękami i naprawdę trudno było się oprzeć.

Po moście Williamsburg przejeżdża pociąg i słycać głucho dudnienie. Jest rześki, słoneczny dzień. Za oknem rozciąga się niebieskie bezchmurne niebo. Od wielu lat, niezależnie od pory roku, Will nazywał taką aurę pogodą z jedenastego września.

Malcolm ogląda zdjęcie, po czym zamyka oczy i kiwa głową, jakby rozważał w myślach jakąś głęboką mądrość.

- Jesteś skończonym durniem - stwierdza, oddając Willowi telefon. - Zdajesz sobie z tego sprawę? - Głośno wzdycha. - Mamy tylko jedno życie i w każdej chwili możemy pójść do piachu. Bach! I już po nas. Nie masz ochoty na więcej?

- Owszem, mam.

- Nie byłoby lepiej, może nawet sprawiedliwej, gdybyśmy przed śmiercią mieli więcej doświadczeń, więcej kobiet, więcej wszystkiego? Co by się stało, gdybyś poszedł do łóżka z tą Australijką? Komu by to zaszkodziło? - Nie pierwszy raz rozmawiali na ten temat. - Próbujesz mi powiedzieć, że to zrobiłeś?

- Co zrobiłem?
- Oparłeś się pokusie.
- Tak jak zawsze - odpowiada Will i pociąga łyk wody. Malcolm tylko kręci głową. - Ale muszę przyznać, że to była najtrudniejsza rzecz w moim życiu.



Chloe otwiera szklane drzwi z żelaznym okratowaniem i wchodzi do baru Ebbets Field. W środku wita ją typowo postindustrialny wystrój: nagie mury, staroświeckie żarówki zwisające bezpośrednio z biegnących po suficie przewodów, mosiężne wentylatory, dużo matowego metalu, deski podłogowe z recyklingu i ciemnoszara farba. W tym wystudiowanym wnętrzu na pewno można dostać bourbon z limitowanej serii i rzemieślnicze wódki serwowane w wysokich szklankach z wielkimi kostkami lodu. Mniej więcej połowa miejsc przy barze jest zajęta przez samotnych mężczyzn, którzy przyszli na obiad i właśnie studiują menu.

- Dzień dobry - mówi przystojny facet z trzydniowym zarostem i posyła Chloe szeroki uśmiech.

- O mój Boże! Dean Fowler! Co tu tutaj robisz?

- Will ci nie powiedział?

- Nie.

- To moja knajpa.

- Naprawdę? Od kiedy to pisarze prowadzą restauracje?

- Ściśle rzecz ujmując, współprowadzą. Chcesz wiedzieć, jak to naprawdę wygląda? Zainwestowałem kupę forsy w remont, a od momentu otwarcia dostaję tylko kolejne rachunki. Okazało się, że szpanerski bar z pretensjonalnym jedzeniem nie jest wcale tak lukratywnym biznesem, jak próbowano mi wmówić. - Na chwilę milknie i przypatruje się uważnie Chloe.

- Panno Palmer, ślicznie dziś wyglądasz!

- Mam męża, Dean. - Chloe stara się lekko uśmiechnąć, ale zdaje sobie sprawę, że szczerzy się od ucha do ucha. - Zmieniłam nazwisko na Rhodes.

- Jasne, pamiętam. Na co masz ochotę? - Przywołuje barmana ledwie widocznym uniesieniem brwi. - To Marlon, nasz profesor drinkologii.

Marlon wita się z Chloe skinieniem głowy.

- Poproszę negroni z lodem. - Zdaje sobie sprawę, że powinna sprecyzować, z jakim dżinem i z jakim wermutem, ale nie ma na to ochoty.

Całe szczęście Marlon nie dopytuje, chociaż wygląda naprawdę profesjonalnie. Ma wąski krawat w delikatną kratę, podwiązki na rękawach i wąsik jak aktor z filmów porno.

- Chloe Palmer, zawsze byłaś taka atrakcyjna? - Dean bez żadnego skrępowania patrzy jej głęboko w oczy.

Marlon wygląda na wyraźnie rozbawionego. Miesza koktajl z miną kogoś, kto już nieraz słyszał podobne rzeczy.

- A może po prostu służy ci małżeństwo z Willem?

Chloe zbywa te zaczepki milczeniem. Dean nie oczekuje od niej żadnej reakcji i rzuca takie uwagi trochę od niechcienia, jakby chciał jej przypomnieć, że może na niego liczyć jak na bezpieczną przystań w czasie sztormu. Trzeba jednak przyznać, że miło się tego słucha. Po odejściu z „Travelers” zaczęła obsesyjnie ćwiczyć i cieszy się, że w odróżnieniu od męża ktoś to zauważył.

Dean i Will przyjaźnią się od wielu lat, ale ostatnio zaczęli się od siebie oddalać. Chloe nawet nie próbuje się oszukiwać, że to z jej powodu - doskonale wie, że nie jest w typie Deana. Podejrzewa raczej, że znajomy męża żywi do niej urazę, ponieważ za bardzo udomowiła jego kumpla. Skończyły się samotne wyjścia do baru, weekendowe wypadki na narty i inne atrakcje. Jako małżeństwo nigdy nie spotkali się z Deanem w celach towarzyskich.

- Tak więc na dobre przeniosłaś się na Brooklyn - Dean zmienia temat, najwyraźniej uznając, że dość już tanich prowokacji. - To dom twoich rodziców, prawda?

- Ojciec kupił go jako inwestycję na przyszłość. Niestety, nie przewidział, że będzie z tym tyle kłopotów. Z wieloma rzeczami wciąż nie jesteśmy w stanie sobie poradzić. - Zakup nieruchomości, podobnie jak inne przedsięwzięcia jej rodziców, nie był wcale złym pomysłem, ale diabeł tkwi w szczegółach: prześladował ich pech, wybrali zły moment i nie do końca wszystko dobrze przemyśleli. Po śmierci ojca zrujnowany dom wylądował na głowie Chloe.

Will przekonał ją, że trzeba zrobić remont.

- Uda nam się - powiedział. - Przecież zawsze nam się udaje.

- Naprawdę? - Chloe nie była wcale taka pewna, chociaż niewątpliwie nieźle sobie ze wszystkim radzili. Will trochę majsterkował, a Chloe potrafiła nawet więcej niż on, ale nie mieli żadnego doświadczenia w remontowaniu domów.

- Dlaczego miałyby nam nie wyjść? Zobaczysz, będzie fajnie.
- Jesteś pewien? W takich sytuacjach ludzie nie mówią, że będzie fajnie.
- Ale my tak mówimy. - Przyciągnął ją do siebie i pocałował w usta.

Will był głęboko przekonany o ich wyjątkowości i uważał, że są odporni na problemy, które nękają inne pary i przyczyniają się do rozpadu pozornie trwałych związków. Na początku Chloe uwielbiała jego nieracjonalny optymizm i podziwiała niezachwianą wiarę w to, że wszystko może być perfekcyjne. Sama była beznamiętną pragmatystką. Jednak z czasem mentalność Willa zaczęła doprowadzać ją do szału. To prawda, że w ich starym mieszkaniu na Lower East Side roіło się od karaluchów, a okolica nie należała do najbezpieczniejszych, ale przynajmniej nie musieli się martwić o utrzymanie budynku we właściwym stanie.

- No tak, dom wygląda na nie do końca... - odzywa się Dean.

- Wyremontowany? Tak, to studnia bez dna. - Chloe stara się dać mu do zrozumienia, że nie ma ochoty rozmawiać na ten temat. - W każdym razie, gratulacje! Widziałam cię na ceremonii wręczenia Oscarów. To musiało być niesamowite przeżycie.

- Nigdy nie czułem się tak nieistotny. Chciałem jak najszybciej stamtąd uciec, ale nie było łatwo. Wydaje mi się, że kiedy wysiadłem z samolotu, wciąż byłem niezłe nawalony i kupiłem tę knajpę, żeby się lepiej poczuć.

- Pomogło?

- Szczerze mówiąc, tak. Mam świetny nastrój. A ty?

- W porządku.

- Słyszałem, że odeszłaś z „Travelers”. Mogę zapytać dlaczego? - Dean zadaje dziś wiele niewygodnych pytań. - Miałaś dość współpracy z tym męczącym palantem Malcolmem Somersem?

Chloe stara się wytrzymać jego spojrzenie.

- Malcolm nie jest wcale taki zły. Chodziło o coś innego. Do zespołu dołączył Will i wspólnie doszliśmy do wniosku, że dwoje dziennikarzy piszących dla tego samego magazynu oznacza w naszym wypadku dwoje wiecznie nieobecnych i słabo opłacanych małżonków. Baliśmy się, że w ogóle przestaniemy się widywać. Poza tym, sam wiesz, papierowe media to nie jest tak zwana dynamicznie rozwijająca się gałąź gospodarki. Uznaliśmy więc za rozsądne, że któreś z nas powinno odejść. Warto mieć więcej niż jedno źródło dochodów.

- Dlaczego padło na ciebie?

- Will był nowy i miał dużo entuzjazmu. Ja pracowałam tam już od

dekady. Jak na jednego pracodawcę to naprawdę długo. Życie jest krótkie i doszłam do wniosku, że należy spróbować czegoś nowego.

- Czym się teraz zajmujesz?

Wiedziała, że wcześniej czy później padnie to pytanie i nie będzie w stanie udzielić odpowiedzi, która zrobiłaby jakiegokolwiek wrażenie na Deanie Fowlerze, człowieku odnoszącym sukcesy w trzech zawodach.

- Na razie się rozglądam. Pracuję trochę tu, trochę tam. Mam część etatu w agencji reklamowej. Redaguję dla nich różne teksty.

- Brzmi interesująco.

- Poza tym piszę artykuły na zamówienie i sporo podróżuję. - Wzrusza ramionami. - Prowadzę życie wolnego strzelca. Tak jak ty, tylko bez bestsellerów, nagród literackich, nominacji do Oscarów, chybionych inwestycji i długiej kolejki młodych pańienek, które tylko czekają, żeby rozłożyć przed tobą nogi.

- W każdej chwili mogłabyś przeskoczyć na początek tej kolejki.

Chloe sama zaczęła i nie za bardzo wie, jak się z tego wyplątać.

- To miejsce naprawdę przynosi same straty?

Dean reaguje na kolejną zmianę tematu ze spokojem.

- Nigdy w życiu nie podjąłem żadnej decyzji ze względów finansowych.

- No i zarobiłeś kupę pieniędzy.

- Tak to można ująć.

Chloe pociąga łyk drinka i kątem oka widzi, że Dean wpatruje się w jej usta. Postanawia z premedytacją przeciągnąć ten moment i oblizuje wargi. Manipulowanie mężczyznami to naprawdę bułka z masłem.

- O wilku mowa! - wykrzykuje nagle Dean i kieruje wzrok w stronę wejścia.

Chloe odwraca głowę i widzi swojego męża. Przez ułamek sekundy jest zaskoczona jego obecnością, ale to niewątpliwie Will we własnej osobie, co więcej, dokładnie w miejscu, w którym się z nim umówiła. Wystarczyło, że zaczął ją czarować inny mężczyzna, i zapomniała o bożym świecie.

Do pewnego stopnia żałuje, że nigdy nie poszła z Deanem do łóżka. Przynajmniej zweryfikowałyby krążące na jego temat legendy. Jeszcze jedno doświadczenie, które ją ominęło. Przez długi czas myślała, że życie polega na gromadzeniu wciąż nowych wrażeń, ale ostatnio zdała sobie sprawę, że jest wręcz odwrotnie: z wiekiem jest coraz nudniej, a każdy dzień wygląda tak samo.

Między innymi dlatego odeszła z „Travelers”. Potrzebowała odmiany.

Wyobrażała sobie, że jej kariera zawodowa przypomina drzewo i chciała wspiąć się na wyższą, bardziej odsłoniętą gałąź. Niestety, jak do tej pory nie znalazła na niej żadnych owoców.

Falls Church

Raji zaczyna się pakować i myśli o obiedzie, kiedy do jego boksu zagląda Brock. Ma podwinięte rękawy i na jego umięśnionym przedramieniu widać tatuaż Semper Fi. W dłoni ściska piłeczkę antystresową.

- Jak leci, kolego?

Raji odwraca się do kierownika i kiwa głową. W tym samym momencie z zamontowanych w monitorze brzęczących głośniczków rozlega się sygnał informujący o nowym alercie. Ta teoretycznie przyjemna melodyjka doprowadza Rajiego do szału. Jedna z obserwowanych osób właśnie odprawiła się na jutrzejszy nocny lot na drugą półkulę.

Amerykański paszport numer 11331968

Lot: 8 JFK do EZE

Kategoria biletu: B2

Miejsce: 19D

Kod alarmowy: 4

Ten facet to prawdziwy obieżyświat. Raji od pół roku nie wyściubił nosa poza przedmieścia północnej Wirginii, a w centrum Waszyngtonu był ostatni raz zeszłej jesieni. Nigdy w życiu nie wyjechał za granicę. A ten koleś właśnie wrócił z Francji i już wybiera się do Argentyny. Dlaczego, do cholery, nie może usiedzieć na tyłku?

Raji ma to gdzieś. To nie jego broszka. Martwi go coś zupełnie innego: burczy mu w brzuchu, a na zegarku jest już 18.08. Wczorajszy obiad w chińskiej knajpie był kompletną porażką. Dziś postawi na wypróbowaną kuchnię i pójdzie do Applebee's - tłusto, słono, szybko i tanio. Może jutro spróbuje czegoś nowego.

- Słuchaj, Raji. Nasz zagadkowy zleceniodawca powierzył nam właśnie nowe zadania.

Dla Rajiego wszyscy klienci są równie zagadkowi. Są ich setki i można ich odróżnić jedynie po kodach, które, jak podejrzewa, oznaczają różne operacje prowadzone przez CIA i inne agencje rządowe. Raji wysyła powiadomienia i raporty przez zamkniętą sieć, na którą składają się

numerowane skrzynki pocztowe niepowiązane z żadnymi nazwiskami ani miejscami. Nie ma pojęcia, kto odbiera tworzone przez niego dokumenty.

Jednak jeden z klientów jest jeszcze bardziej tajemniczy niż pozostali i w kontaktach z nim obowiązują specjalne procedury. Wszystkie dane wywiadowcze są ściśle tajne i nie mają do nich wglądu menadżerowie Virginia Data Analysis, co, biorąc pod uwagę obowiązujące w firmie standardy poufności, jest naprawdę czymś wyjątkowym. Co jeszcze dziwniejsze, to sam klient wybrał Rajiego do pracy przy tym projekcie. Kiedy Brock się o tym dowiedział, wypalił:

- Komu zrobiłeś łaskę?

Od tego czasu minęło już pół roku, a Raji wciąż nie ma pojęcia, dlaczego kopnął go taki zaszczyt.

- Lista została skrócona. Teraz obserwujesz tylko dwanaście osób. Mniej obiektów, ale rzecz jasna o wiele bardziej gruntowna inwigilacja.

Raji stuka w klawiaturę, nie odrywając wzroku od ekranu. Większość ludzi z nowej listy pracuje dla nowojorskiego magazynu. Reszta to ich małżonkowie i kilku obcokrajowców na stałe mieszkających za granicą. Dziwne grono.

- Klient chce o nich wiedzieć dosłownie wszystko. Sprawdzasz transakcje kartami kredytowymi, wypłaty z bankomatów, telefony, esemesy, bramki na autostradach, zakupy i rezerwacje przez internet. Śledzisz każdy ich krok, na całym świecie, dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Nowy Jork

Will całuje żonę, która wygląda dziś olśniewająco: jest zgrabna i szczupła, na wysokich obcasach i w obcisłej spódnicy, z głębokim dekoltem i naszyjnikiem z wisiorkiem, który sprawia, że ciężko oderwać wzrok od jej piersi. Reakcja Chloe jest jednak dość chłodna, wręcz oziębła. Czy szykuje się jakaś nowa awantura? A może to jeszcze pozostałości starej? Czasami trudno powiedzieć, kiedy kończy się jedno nieporozumienie, a zaczyna kolejne. Chloe ma skłonność do rozpamiętywania uraz z przeszłości, wszystkich bez wyjątku.

Will zdaje sobie sprawę, że nieźle narozrabiał, ale Chloe nic o tym nie wie. To całkowicie wykluczone. Jednak być może czuje bijącą od niego aurę występku. Sam zmaga się z wyrzutami sumienia.

Przez kilka dni po spotkaniu z Elle był w siódmym niebie. Podróżował do pięknych miejsc i wspominał chwile spędzone w towarzystwie seksownej Australijki. Rozpierała go radość, że kobieta, dla której stracił głowę, również go pożąda. Czego chceć więcej?

Ekscytacja szybko jednak minęła i kiedy znalazł się na pokładzie samolotu do Nowego Jorku, zaczął odczuwać narastającą nienawiść do samego siebie. Otworzył komputer i zabrał się do pracy. Potem wziął książkę i próbował czytać, ale wciąż coś go rozpraszało, więc obejrzał jakiś kiepski film. Podróż niemiłosiernie się dłużyła.

Przyjechał do domu smutny i zmęczony, zastanawiając się, dlaczego oparł się pokusie i nie poszedł z Elle do łóżka. Miał wrażenie, że we Francji rozregulował się jego kompas moralny i stracił poczucie tego, co dobre, a co złe. Nie wiedział jednak, co zyskał w zamian.

Teraz stoi obok swojej żony i słyszy skierowane do siebie pytanie Deana.

- Jak tam życie na walizkach?

Obejmuje Chloe w pasie i odpowiada:

- Nieźle. Wysyłają mnie w spokojne miejsca. Jutro lecę do Argentyny. A co u ciebie? Wszystko w porządku?

Aluzje sugerujące, że Will jest rzekomo szpiegiem, to stały temat do żartów. W wypadku Deana sprawy mają się jednak zupełnie inaczej. Przez większą część swojej kariery zawodowej pracował jako zagraniczny korespondent w różnych niebezpiecznych częściach świata i wszyscy są przekonani, że z agentami CIA muszą go łączyć więcej niż bliskie relacje.

- Tak, świetnie mi idzie.

- Dean uważa, że twoja inwestycja budowlana ciągle wygląda na nieskończoną - wtrąca się Chloe. - Dziwi się, że jesteśmy w stanie mieszkać w takim bałaganie. W każdym razie próbował dać mi to do zrozumienia.

- Moim zdaniem domu nigdy nie da się do końca wyremontować - mówi Dean. Will widzi, jak Chloe przewraca oczami, zirytowana faktem, że kolejny facet bierze stronę męża, choć ona wcale nie uważa, żeby mieli w tej sprawie odmienne interesy.

Do knajpy wchodzi znajomi, z którymi Rhodesowie umówili się na kolację. Kolejna para z Brooklynu mieszkająca w domu z brązowego piaskowca. Obejmują się na powitanie i całują w policzki. Will przedstawia im Deana, a potem cała czwórka siada przy stoliku w słabo oświetlonej sali restauracyjnej. Na ścianie wisi tablica z wypisanym kredą menu. Przewidywalny zestaw: sałatka z jarmużu, ekologiczna wieprzowina,

wyrabiane na miejscu wędliny, wszystko od starannie dobranych, lokalnych producentów. Krótko mówiąc, lokal dla hipsterów w powycieranych dżinsach, którzy jeżdżą na miejskich rowerach z płytami winylowymi pod pachą. Nagle Will czuje się jak stereotypowy bohater swoich artykułów. Idzie na kolację do modnego lokalu w towarzystwie ludzi niczym nieróżniących się od postaci, które zaludniają pisane przez niego teksty. Kelnerka odczytuje z kartki listę specjałów, używając zwrotów, które śnią mu się po nocach: „ekologicznie złowiona ryba”, „dzisiaj proponujemy państwu...”, „średnio wysmażony”, „szef kuchni poleca.”.

Wyobraża sobie, o czym będą rozmawiać przez najbliższe dwie godziny: z góry przesądzona dyskusja, czy zamówić drugą butelkę wina, i udawana sprzeczka o to, kto ma zapłacić rachunek, zawsze dwadzieścia procent większy, niż można się było spodziewać.

Potem niespieszny spacer do domu. Przez okno będzie widać światło ulicznej latarni i kołyszące się na wietrze gałęzie dębu. Chloe położy się na łóżku i rozsunie nogi. Kiedy poczuje, że Will jest już w środku, zamknie oczy, obliże usta i zacznie poruszać biodrami. Czy będzie marzyć, że kocha się z innym mężczyzną? Will na pewno wyobrazi sobie, że uprawia seks z ponętą Australijką.



- Hej! Co się dzieje? - mówi Will, rozcierając zaspane oczy.

- Nie mogę zasnąć, więc postanowiłam się przebiec. - Chloe całuje go w czubek potarganej czupryny. - Kocham cię.

Wychodzi przed dom i rozgląda się w prawo i w lewo. Ostatnio ta okolica zrobiła się modna i sprowadza się tu coraz więcej klasy średniej, ale proces gentryfikacji dopiero się zaczął. Na drugim końcu kwartału wciąż stoi osiedle komunalne, a na rogu spotkać można handlarzy narkotyków, którzy wystają tam dzień i noc jak warta honorowa. Podczas joggingu Chloe nie zakłada słuchawek. Nie chce stracić czujności i narazić się na niebezpieczeństwo.

Biegnie na zachód i po dwudziestu minutach staje nad brzegiem rzeki. Po obu stronach wznoszą się mosty łączące Brooklyn z Manhattanem, wielkie konstrukcje będące triumfem sztuki inżynierskiej. Trudno sobie wyobrazić, żeby coś takiego powstało dzisiaj. Sektor publiczny w Ameryce działa na zupełnie innych zasadach.

Wokół nie widać żywej duszy. Chloe spogląda w dół ślepej uliczki,

ciągnącej się aż do dzikiego parku, który oddziela rzekę od wyremontowanych budynków przemysłowych. W połyskującej wodzie odbijają się światła mostów i okolicznych drapaczy chmur. Przychodzi jej na myśl Woody Allen. „Nie interesuje mnie, co myślą inni, ale moim zdaniem to miasto zwala z nóg”.

Odwraca się od wspaniałego widoku i dokładnie w tym samym momencie zza rogu wyłania się mężczyzna. Również uprawia jogging, biegnie szybko, w równym tempie. Ma długie nogi, atletyczną sylwetkę i lekko utyka. Na jego znoszonym T-shircie widać napis „Harvard Football” - nie najlepszy wybór jak na tę okolicę, jakby właściciel chciał powiedzieć bandytom: „Napadnijcie na mnie!”.

Chloe rozgląda się dookoła, sprawdzając ciemne okna fabryk przerobionych na lofty i niepokojąco czarne szyby kilkunastu samochodów. Jej uwagę przyciąga szczur chowający się w studziencie kanalizacyjnej, która prowadzi do ukrytego pod ulicami podziemnego świata.

Mężczyzna zwalnia i zatrzymuje się kilka kroków przed Chloe.

- Cześć, Malcolm.

- Cześć. - Całuje ją w policzek. - Świetnie wyglądasz.

- Dziękuję.

- Zmiana dobrze ci służy.

Chloe odwraca wzrok, nie będąc w stanie wytrzymać jego oskarżycielskiego spojrzenia.

- Musiałam, to był naprawdę ostatni moment.

Malcolm kiwa głową.

- Chciałabyś usłyszeć, że za tobą tęsknię? - Chloe milczy. - Cóż, tak właśnie jest.

- Mal...

Nie pozwala jej dokończyć:

- Ale nie dlatego poprosiłem cię o spotkanie.

~ ♦ ~

Jedzie taksówką na drugą stronę rzeki. Wysiada kilkaset metrów przed domem i resztę drogi pokonuje szybkim truchtem. Wcale nie potrzebuje tych dodatkowych kilku minut joggingu, szczególnie że coraz bardziej dokucza mu kolano. Chodzi raczej o wygląd: musi się porządnie spocić. Wyszedł pobiegać w środku nocy i żona nie powinna zauważyć, że wraca do

mieszkania całkiem suchy. Allison domyśli się, że miał z kimś spotkanie i być może jej podejrzenia padną na Chloe. Żona Malcolma zachowuje się ostatnio mało racjonalnie, ale tym razem przynajmniej w połowie miałaby rację.

Oślepiają go reflektory jadących w przeciwnym kierunku samochodów, słyszy trąbienie klaksonów i widzi migające światelka rowerów.

Martwi się o Willa. Uznał, że może go obdarzyć bezgranicznym zaufaniem. Był niemal pewien, że Will nie będzie wtykał nosa w nie swoje sprawy, nie skompromituje się i nie napyta sobie żadnej biedy. Głównie dlatego go zatrudnił. Uważał go za kogoś, na kim można polegać. Niestety, ostatnio zaczął mieć wątpliwości.

Niepokoi go również nowa praca Chloe. No i Gabriella - miała naprawdę koszmarny rok.

Poza tym jak zawsze sen z powiek spędza mu „Travelers” - codzienne zmagania związane z prowadzeniem magazynu, zarządzanie personelem, szukanie nowych współpracowników i zajmowanie się opłakaną sytuacją finansową. Na dodatek firma ma swoje pilnie strzeżone tajemnice, które w każdej chwili mogą wyjść na jaw.

Za rogiem znajduje się główne wejście do budynku, ale Malcolm nawet przy nim nie zwalnia.

Kiedy w zeszłym roku razem z Allison szukali nowego mieszkania, jednym z nielicznych kryteriów, na których spełnieniu mu zależało, były dwa niezależne wyjścia prowadzące na dwie różne ulice. Rzecz jasna nigdy nie powiedział tego na głos, a podczas oględzin trudno było to sprawdzić.

- Czy jest tutaj garaż? Mogę go zobaczyć? - pytał agenta nieruchomości. - A pralnia w piwnicy? Moglibyśmy tam zajrzeć?

W takich chwilach Allison patrzyła na niego jak na wariata.

Małe kamienice odpadały w przedbiegach, chyba że były usytuowane na narożnej działce. W końcu musiał poinformować Allie, że chciałby mieszkać w designerskim wieżowcu z całodobową portiernią, stałym dozorcą, garażem i innymi udogodnieniami, chociaż tak naprawdę jedyną rzeczą, na której mu zależało, było tylne wyjście na inną ulicę.

Dzięki temu może, tak jak teraz, niepostrzeżenie zakraść się do środka i mieć pewność, że nikt go nie widzi.

Rozdział 7

Buenos Aires

Will męczy się na dziwnym pokazie tanga, który mógłby służyć jako interludium w jakimś filmie Davida Lyncha, a potem w ramach odtrutki idzie do baru karaoke. To jedna z nielicznych rozrywek, na które sobie pozwala, gdy spędza samotny wieczór w obcym mieście.

Śpiewa *What a Good Boy*. W czasach studenckich jego zespół wystąpił w małym klubie na Wicker Park jako support przed Barenaked Ladies. Stało się tak za sprawą szczęśliwego zbiegu okoliczności. Wtedy Will miał jeszcze nadzieję, że w przyszłości będzie zawodowo zajmował się muzyką. Niestety, kapela szybko się rozpadła z powodu miłosnego trójkąta. Nie chodziło o brak talentu ani konflikty ambicjonalne, lecz łatwe do przewidzenia perypetie sercowe. Pół roku później Will miał już nową dziewczynę i był zajęty redagowaniem uniwersyteckiej gazety.

Schodząc z małej sceny, zauważa, że dostał esemesa wysłanego z nieznanego miejscowego numeru. W treści adres jakiegoś klubu. „Kto to?”, odpisuje.

„Luis! Kuzyn Estebana!”

Esteban to hotelowy konsjerż, który robi wrażenie kogoś, kto jest w stanie spełnić wszystkie zachcianki swoich gości. O co może mu chodzić? Okazuje się, że lokal jest tuż za rogiem, a Will przecież zawsze akceptuje ciekawe propozycje. Z wyjątkiem tych wysuwanych przez piękne Australijki.

Idzie w kierunku skrzyżowania, starając się wymijać zalegające na chodniku psie odchody i śmieci. Płaci za wstęp i daje bramkarzowi napiwek, po czym wbiega na parkiet i zaczyna tańczyć. Czuje, jak po skórze spływa mu pot wypłukujący z porów resztki malbeca^[24]. Znika też dziwne napięcie wywołane pokazem tanga. To przedstawienie było naprawdę niepokojące: podstarzali mężczyźni z nasmarowanymi brylantyną włosami i zbyt mocno wymalowane kobiety w za wysokich obcasach, posyłające powłóczyste, lepkie spojrzenia wyrażające wieczne niezaspokojenie.

- Hej! - Luis wskazuje na kieliszek i przesuwając go po kontuarze w kierunku Willa. Po chwili zamawia dwa następne i podaje je siedzącym obok młodemu

kobietom. - ¡Salud!

Cała czwórka niemal jednocześnie wychyla porcję mocnego trunku i krzywi się z niesmakiem.

- Tęsknię za Ameryką! - krzyczy Luis, bez żadnego związku z czymkolwiek. - Chodziłem do college'u w Karolinie Północnej! Dwa lata! To moja kuzynka Magdalena, a to jej przyjaciółka Tatiana!

- ¡Mucho gusto!

- ¡Hola!

Will przygląda się dziewczynom. Trudno je od siebie odróżnić - długonogie brunetki o typowo argentyńskim seksapilu.

- Oyé, Will! - Luis przysuwa się bliżej i Will czuje jego kwaśny oddech, charakterystyczną mieszankę potu, alkoholu i papierosów. - Idziemy na imprezę! Zabawa do białego rana! - Luis stuka palcem w skrzydełko swojego nosa. - Jest piątkowy wieczór! - Tak, to z pewnością wystarczający powód. - Dołączysz do nas?

Klub mieści się w piwnicy budynku z połowy lat pięćdziesiątych. Wzdłuż bulwaru stoi wiele podobnych domów - fasady z marmuru i trawertynu, palmy w donicach, przeszklone hole z szerokimi kontuarami, za którymi siedzą portierzy w liberiach. Dyskotekowa muzyka i kokaina sprawiają, że to miejsce przypomina Miami z lat osiemdziesiątych. Za chwilę pojawi się Don Johnson i pośle wszystkim swój czarujący uśmiech. Zamiast tego mizdrzą się do Willa argentyńskie piękności.

Czyżby cały świat sprzysiągł się, żeby zdradził swoją żonę? Może to nawet zabawne, ale Willowi wcale nie jest do śmiechu.

- *Muchas gracias* - mówi, kładąc rękę na ramieniu Luisa. - Przykro mi, ale niestety nie mogę wam towarzyszyć. - Stara się udawać, że wołałby zostać, ale tak naprawdę nie ma ochoty na dalsze odgrywanie tej tragikomedii.

Capri

Amerykanka patrzy na ekran wibrującego telefonu. Esemes od męża ze zdjęciem jakiegoś ładnego miejsca. „Szkoda, że cię tu nie ma. Jak Stambuł?”

Rozgląda się po tarasie położonym na szczycie urwiska, z którego rozpościera się pocztówkowy widok na skaliste brzegi Capri, półwysep Sorrento, Wybrzeże Amalfitańskie, Positano i miasteczka uczezione stromych klifów. Przyjechała tutaj zaledwie kilka godzin temu. Najpierw

jeden samolot, potem drugi, a na koniec prom i taksówka.

Sprawdza w telefonie prognozę pogody dla Stambułu.

„Wilgotno, deszczowo i paskudnie - pisze. - Szkoda, że nie mogę być z tobą”.

Odkłada komórkę i zapala papierosa, z trudem powstrzymując się od kaszlu. Jezus Maria, jak można czerpać z tego przyjemność? Nałóg nikotynowy daje jednak wiele możliwości. Można wstać i przejeść się po tarasie, żeby wziąć popielniczkę z innego stolika, a przy okazji dobrze się rozejrzeć.

Podchodzi do niskiego murku oddzielającego *terrazzo* od niemal pionowego urwiska. Sto metrów niżej morskie fale rozbijają się o ostre głązy i widać skrawek plaży, z której nikt jednak nie korzysta. Ten piękny i dziki fragment wybrzeża jest całkowicie odcięty od cywilizacji, nie prowadzi tam żadna droga ani nawet ścieżka.

- *Un'altra limonata, Signora Delgado?*^[25] - pyta kelnerka. Marina Delgado, właśnie pod tym nazwiskiem przebywa we Włoszech. Nawet w myślach stara się do siebie zwracać w ten sposób.

- *Si, grazie.* - W gimnazjum miała koleżankę Marinę i dzięki temu jest trochę łatwiej.

Na tarasie, między ceramicznymi donicami z kaktusami i lawendą, odpoczywa jedenastu gości hotelowych. Siedzą przy stolikach z kutego żelaza, na płóciennych poduszkach w kwieciste wzory pasujące do parasoli. Na szklanych blatach stoją dobrze schłodzone drinki, leżą kolorowe magazyny i złożone okulary przeciwsłoneczne. Marina ma na sobie ogromne lustrzanki, których oprawki zakrywają połowę twarzy. Jest prawie nie do poznania, chyba żeby ktoś jej szukał, co w tym miejscu wydaje się niezwykle mało prawdopodobne.

Na wyspie bez problemu można znaleźć bardziej luksusowe hotele, lepsze restauracje, większe apartamenty, okazalsze wnętrza i zaradniejszych konsjerżów, ale tylko to miejsce oferuje wspaniały pomost widokowy umieszczony ponad sto metrów nad powierzchnią Morza Tyrreńskiego. Roztacza się stąd zapierająca dech w piersiach panorama: skaliste klify wyłaniające się z lazurowej wody, po której pływają jachty i łodzie motorowe. Na horyzoncie majaczy brzeg kontynentu. Nigdzie nie ma ładniejszego widoku. Jeśli zatrzymujesz się w tym hotelu, to tylko po to, żeby leżeć na tarasie.

Odpoczywa tu para wysokich umięśnionych Niemców o różowej skórze.

Gruby facet z wąsami, który wygląda na Hiszpana.

Para nastolatek, które siedzą ze wzrokiem wbitym w ekrany swoich telefonów i nie zwracają najmniejszej uwagi na to, co się dzieje dookoła. Zamieszkują świat mediów społecznościowych, w którym piękny widok może być co najwyżej tłem do kolejnego selfie: jestem tutaj, spójrz na mnie i powiedz, że mnie lubisz.

Dwie kobiety w średnim wieku - matki dziewczynek? - przycupnęły z dala od innych, być może po to, by dać córkom trochę prywatności. Rozmawiają ze sobą przyciszonymi głosami. Pewnie wymieniają plotki i opowiadają sobie zawstydzające anegdoty o innych nastolatkach, które dokonały złych wyborów, co miało łatwe do przewidzenia konsekwencje.

No i jeszcze trójka emerytów: być może małżeństwo w towarzystwie siostry, starej panny.

Marina jest jedenasta: skąpo ubrana, z papierosem w ręku, leży na szezlongu i czyta czasopismo poświęcone modzie. Przyciąga uwagę, ale niczym nie różni się od podobnych kobiet, które można spotkać w eleganckich hotelach.

Nagle pojawia się dwunasta osoba: mężczyzna w hotelowym szlafroku frotté w kolorze morskiej zieleni, z pretensjonalnym złotym herbem na piersiach.

Marina celowo opóźnia moment, w którym zza ciemnych szkieł spojrzy na nieznanego. Czuje, że zaczyna walić jej serce i nie wytrzymuje napięcia.

Podnosi wzrok, żeby lepiej mu się przyjrzeć.

To nie on.

Argentyna

Will jeździ konno po estancji^[26], uczy się, jak kraść żywy inwentarz i doić krowy o poranku. Patrzy w oczy jagnięcia na chwilę przed tym, jak rzeźnik poderżnie mu gardło i powiesi na krokwi, żeby cała krew ściekła do cynowego wiadra.

Następnego wieczoru pieką jagnię na żelaznym rożnie nad ogniskiem rozpalonym w zagłębieniu. Potem odcinają maczetą wielkie kawałki mięsa i piją miejscowym malbkiem z butelki bez etykiety.

Przez cały dzień Will ani przez moment nie myśli o Elle. Powoli o niej

zapomina i znikają wyrzuty sumienia. Wszystko będzie dobrze.

Capri

Topnieje lód w drinkach, a parasole zaczynają łopotać w popołudniowej bryzie. Mocniejszy powiew zdmuchuje ze stolika celofan, którym opakowana była paczka papierosów.

Z brzucha Amerykanki zsuwa się magazyn mody i ląduje na wyłożonej terakotą podłodze.

Budzi się przestraszona i przez moment nie wie, gdzie jest i jaką rolę odgrywa. Z powodu zbyt wielu godzin spędzonych w samolocie dokucza jej silne pragnienie. Sięga po szklankę z ciepłą rozwodnioną lemoniadą, przepłukuje usta i rozmasowuje powieki.

Kiedy rozgląda się po tarasie, zauważa, że podczas niechcianej drzemki skład gości nieco się zmienił. Pojawił się siwy mężczyzna o wysportowanej sylwetce. Jest już dobrze po pięćdziesiątce, ale wciąż biją od niego energia i pewność siebie.

Marina stara się skoncentrować i otrząsnąć z resztek snu. Uważnie przygląda się towarzystwu wypoczywającemu na tarasie. Widzi kilka nowych twarzy, kelnerkę i chłopaka od basenu. Sprawdza telefon, żeby zobaczyć, która godzina i czy ktoś do niej nie napisał, po czym ponownie powtarza w myślach cały plan - krok pierwszy, drugi, trzeci, aż do osiemnastego. Wszystko, co ma zamiar zrobić, razem z dokładnym harmonogramem czasowym i rozwiązaniami awaryjnymi na wypadek, gdyby coś poszło nie tak. Zaczyna huczeć jej w głowie i czuje rosnące napięcie...

Stop!

Głęboki wdech i wydech. Jeszcze raz - wdech i wydech. Prawie jak joga, ale jednak nie do końca.

Wytrząsa papierosa z paczki i próbuje go zapalić. Po dwóch nieudanych próbach potrząsa zapalniczką i z rosnącą frustracją kilkakrotnie przejeżdża palcem po metalowym kółku.

- Cholera - mruczy pod nosem.

Rozgląda się dookoła, jakby szukając wzrokiem innych palaczy, ale tylko udaje niepewność, ponieważ doskonale wie, co za chwilę zrobi. Wstaje i poprawia skąpe bikini, które w żadnych okolicznościach nie zostałyby uznane za mało odważne. Czuje, że starszy mężczyzna zaczyna patrzeć w jej

stronę. To w końcu niemal instynktowna reakcja.

Robi krok do przodu, ale zatrzymuje się, jak gdyby się nad czymś zastanawiała. Pochyliła się w pełni świadoma, że przyciąga uwagę, i podnosi ręcznik, którym owija się wokół bioder. Nie chce sprawiać wrażenia kobiety, którą można posądzić o skłonność do ekshibicjonizmu.

Rusza przed siebie, pewnie stawiając kroki, jeden za drugim, i kontrolując oddech.

- *Scusi?* - Uśmiecha się do mężczyzny, ale raczej dyskretnie, w taki sposób, w jaki młoda, ładna kobieta zwraca się do faceta, od którego coś chce i myśli, że powinna być miła. - *Parla inglese?*

- Tak - odpowiada. Jest przystojniejszy, niż się spodziewała.

- Czy mogłabym prosić o ogień? Moja jednorazówka się chyba... popsuła.

- Ależ oczywiście. - Podaje jej ciężką złotą zapalniczkę, która zapala się z przyjemnym trzaskiem. Marina podpala papierosa niebieskim płomieniem i zamyka klapkę. To nie jest przedmiot w jej stylu, ale chciałaby go zatrzymać. Może po wszystkim weźmie go sobie na pamiątkę? Nie, to chyba nie jest najlepszy pomysł.

- *Grazie* - mówi i nie spiesząc się, wraca na swój szezlong.

Krok trzeci: wykonany.

Argentyna

- To jest życie - mówi Will, podziwiając szeroką, rozległą równinę, która zdaje się nie mieć końca. W takim miejscu wszystko wydaje się możliwe. Dwa najbliższe wielkie miasta, Buenos Aires i Santiago, leżą osiemset kilometrów stąd. - Tak musiał wyglądać Dziki Zachód, zanim wybudowali biurowce i centra handlowe.

Fernando nie rozumie żartu, ale nawet nie próbuje się dowiedzieć, co Will ma na myśli. To nie należy do jego obowiązków.

- Mieszkają tu jacyś Amerykanie? Na przykład emeryci?

- *Si.*

- Zabierzesz mnie do nich? Chciałbym z nimi pogadać.

Składają wizytę starszej parze z Nevady, która kupiła wciąż działające gospodarstwo hodowlane i przerobiła je na pensjonat. Niestety, prawie nie mają gości. W jednym z okolicznych miasteczek spotykają się z kobietą z Palm Beach, która zakochała się w graczu w polo, wyjechała z nim do

Buenos Aires, zaszła w ciążę, a wtedy on ją rzucił. Postanowiła skorzystać z pomocy nowo poznanych argentyńskich znajomych i zamieszkała razem z dzieckiem w ich hotelu na głębokiej prowincji. To nie była najlepsza decyzja, ale ta kobieta miała najwyraźniej skłonność do dokonywania złych wyborów życiowych.

- Napije się pan czegoś? - pyta Amerykanka. - Dziecko śpi. - O co może jej chodzić?

Will znajduje jakąś wymówkę i wraca na rancho. Siada w swoim pokoju w towarzystwie cierpiącego na artretyzm małego teriera Chico i zmusza się do pisania, po czym kładzie się do łóżka, po raz kolejny sam, na kompletnym odludziu, z dala od domu.



Przedstawicielka sieci hoteli to jak zwykle młoda atrakcyjna kobieta, kompetentna i dobrze poinformowana, świetnie sprawdzająca się w roli przewodnika i towarzysza podróży. Oprowadza Willa po mieście, a następnie zawozi go do położonego na wsi nowego ośrodka wypoczynkowego. Główny budynek hotelowy stoi między winnicami. Na horyzoncie majaczą szczyty Andów, nad którymi rozpościera się ciemnobłękitne niebo. Do dyspozycji gości są boiska do gry w polo, sztucznie zarybione jezioro i pole golfowe z osiemnastoma dołkami.

Will ucina sobie krótką drzemkę, a potem idzie pobiegać, bierze prysznic, goli się, zakłada krawat, świeżą koszulę i wyglansowane buty.

- *Bienvenidos, Señor Rhodes*^[27]. - Hostessa uśmiecha się przyjaźnie. Ma piękne, białe zęby i kruczoczarne włosy. - Proszę za mną. - Mijają jakieś pretensjonalnie urządzone wnętrza, skręcają, schodzą po kilku wykafelkowanych stopniach i zatrzymują się w drewnianym wejściu prowadzącym do obszernej prywatnej jadalni, w której czekają już goście z kieliszkami w rękach. Naprzeciwko stoi blondynka w obcisłej sukience, ale Will nie widzi jej twarzy. Kelner podaje mu wino.

- *Gracias* - mówi Will i na dźwięk jego głosu blondynka powoli się odwraca i spogląda przez ramię...

Rozdział 8

Capri

Kiedy wraca do hotelu, jest już ciemno. Zjadła kolację w tętniącym życiem miasteczku i wróciła taksówką. To nie było miłe doświadczenie - kierowca pędził jak szalony, a droga była naprawdę wąska i kręta.

- *Buona sera* - mówi do ciemnowłosej recepcjonistki o zielonych oczach, która sprawia wrażenie kogoś, kto wolałaby robić zupełnie coś innego.

- *Buona sera, Signora Delgado.*

Przechodzi przez restaurację. Wcześniej zamówiła stolik, ale potem zmieniła zdanie. Chciała tylko zajrzeć do książki rezerwacji, z której dowiedziała się, że siwy mężczyzna będzie jadł kolację o ósmej, więc właśnie powinien kończyć. Jest pewna, że siedzi przodem do wejścia, co oznacza, że teraz na nią patrzy.

Co widzi? Młodą kobietę, która lekko się chwieje, jakby trochę za duża wypięła. Nagle się pochyła, żeby zdjąć jeden but, a potem drugi, i kieruje się do wyjścia po drugiej stronie sali, co oznacza, że najprawdopodobniej idzie na taras. Samotna dziewczyna w romantycznym hotelu, być może dochodząca do siebie po miłosnym zawodzie, podchmielona i bezbronna...

W słabo oświetlonym pokoju śniadaniowym nikogo nie ma. Marina chowa buty do swojej niezwykle pakownej torebki i wyjmuje z niej małe pudełeczko, prosty sześcian ze stali nierdzewnej z pojedynczym przełącznikiem. Uruchamia urządzenie i chowa je obok długiego bufetu, za wysokim wazonem z kwiatami, trzy metry od zamocowanej na ścianie bezprzewodowej kamery. Zasięg tego ustrojstwa wynosi rzekomo piętnaście metrów, ale lepiej mieć pewność, że wszystko dobrze zadziała.

Otwiera ramieniem drzwi prowadzące na taras i szybkim krokiem podchodzi do bocznej furtki, przy której stawia drugie pudełeczko. Siada na krześle i zamawia u kelnerki butelkę czerwonego wina stołowego.

Nalewa trochę na dno kieliszka i miesza, żeby na ściankach pojawił się osad. Większość trunku ląduje w doniczce. Bierze mały łyk tylko po to, by zabarwić sobie usta. Dzisiaj w ogóle nie pije alkoholu.

Jeszcze raz zagląda za murek oddzielający taras od przepaści - nic nie

widać, ciemno jak w grobie. Wyteża wzrok, szukając świateł, które mogłyby świadczyć, że w gęstwinie znajdują się jakieś niewidoczne za dnia zabudowania. Trochę na zachód stoi jakiś dom, ale na całe szczęście zbyt daleko, żeby się tym przejmować.

W porządku - myśli. - Wszystko sprawdzone, pozostaje tylko wprowadzić plan w życie. Bierze bardzo głęboki oddech i czeka.

Mendoza

Will otwiera usta ze zdziwienia.

- Co za niespodzianka! - mówi kobieta.

- Mój Boże! - Tylko tyle jest w stanie z siebie wykrztusić.

- Chyba moja bogini, jeśli chodzi o ścisłość.

Wciąż stoją w drzwiach prowadzących do jadalni. Przysuwają się do siebie i Will markuje pocałunek, cmokając powietrze koło jej ucha. Zawsze tak robi, gdy wita się z kobietami, ale ona naprawdę całuje go w policzek i robi to sekundę dłużej, niż można się było spodziewać.

- Ale chyba nie będziemy się o to sprzeczać - mówi Elle, patrząc mu śmiało w oczy, po czym zdecydowanym ruchem łapie go za rękę i - czyżby mu się zdawało? - gładzi go delikatnie kciukiem.

Ostatnio tak bardzo się starał, żeby to żona była przedmiotem jego erotycznych fantazji. I prawie mu się udało.

- Naprawdę bardzo się cieszę, że cię widzę. Nie byłam pewna, czy kiedykolwiek się spotkamy. Co tutaj robisz?

- A jak myślisz?

- Wydawało mi się, że zajmujesz się Europą.

- No cóż, Argentyna to w zasadzie Europa. - Elle patrzy na niego z niedowierzaniem. - Nasz południowoamerykański korespondent nie jest, delikatnie rzecz ujmując, ekspertem od wina, a redakcja chce opublikować artykuł właśnie na ten temat, więc wysłali mnie.

- Jesteś enologiem i znasz hiszpański?

- Pff, to tylko Argentyna. Radzę sobie.

- Jasne. - Na jej twarzy pojawia się przebiegły uśmiech. - Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Tym razem podczas kolacji przy stole siedzi tylko osiem osób. Głównym językiem jest hiszpański, więc zarówno Will, jak i Elle nie są w stanie w pełni zaangażować się w rozmowę, dlatego z konieczności, ale też i z wyboru, spędzają czas we własnym towarzystwie.

Kolejny wieczór, podczas którego traci się rachubę serwowanych dań. Z czasem atmosfera robi się luźniejsza, co chwilę wybuchają salwy śmiechu, a biesiadnicy nie unikają fizycznego kontaktu i łapią się za ramiona i nadgarstki. Elle nie wygląda na zaskoczoną, gdy Will niby przypadkowo dotyka jej dłoni.

- Masz ładne ręce - mówi Australijka. - Jak pianista. Albo kieszonkowiec.
Cienki lód, po którym stąpa Will, zaczyna pękać.



Kolacja dobiega końca. Goście wymieniają się wizytówkami, ściskają sobie dłonie i obiecują, że wkrótce prześlą informacje o świetnym hotelu nad chilijskim jeziorem albo przekażą dane kontaktowe do niezwykle interesującego winiarza z Estremadury.

Elle patrzy na Willa i unosi seksownie brew.

- Pójdiesz ze mną na jeszcze jednego drinka, na którego, jak sądzę, masz ochotę?

Will może udawać naiwnego, ale tak naprawdę doskonale zdaje sobie sprawę, o co jej chodzi. Wie również, jak powinna brzmieć jego odpowiedź, ale mówi:

- Tak.

Siadają na pluszowych stołkach przy hotelowym barze i zamawiają drinki. To jeden z tych wieczorów, który mógłby nigdy się nie kończyć. Elle opowiada o swoich romansach i miłosnych zawodach, otwarcie zachęcając Willa do zwierzeń. Typowe rozmowy, które prowadzi się na drugiej randce, z wypiekami na twarzy i przyjemnym łaskotaniem w brzuchu. Tak było, gdy Will miał piętnaście i dwadzieścia pięć lat, jednak teraz jest już grubo po trzydziestce. Od bardzo dawna nie był na drugiej randce i zapomniał, jak to jest. Czy będzie odczuwał takie emocje również w podeszłym wieku? A może to już ostatni raz? Niestety, można to stwierdzić tylko z perspektywy czasu.

Dochodzi pierwsza w nocy. W lobby zrobiło się pusto. Za kontuarem

siedzi ze spuszczonego wzrokiem nocny recepcjonista i w coś się wpatruje, pewnie w swój telefon. Drzwi wejściowe są wciąż otwarte, a na zewnątrz stoi uzbrojony ochroniarz, opierając się o filar.

- No cóż - stwierdza Elle i na dłuższą chwilę zalega cisza. Dyskretna obecność barmana dodaje im otuchy, ale ta część wieczoru dobiega już końca. Czy nastąpi dalszy ciąg?

- Chyba trzeba się pożegnać - mówi Will, ale nie ma wystarczająco dużo odwagi, żeby spojrzeć jej w oczy.

- Mam pokój na końcu tego korytarza. A ty?

Will wyjmując z kieszeni skórzany breloczek z liczbą 32.

- Nie mam pojęcia. - Ten numer nic mu nie mówi i czuje się dezorientowany.

- Tak, mieszkaś obok mnie.

Czy kiedykolwiek musiał zrobić coś równie trudnego? Jest środek nocy, stoi w pustym hotelowym korytarzu w towarzystwie pięknej kobiety, która już raz dała mu do zrozumienia, że chce się z nim przespać, i musi się powstrzymać, żeby jej nie pocałować. Czy to ponad jego siły?

Nie zdradzam swojej żony - myśli. - To nie w moim stylu.

Czuje, jakby przyciągała go do Elle jakaś tajemnicza siła, i z podniecenia zaczyna mu szumieć w głowie. Stara się myśleć o czymś innym, ale przychodzi mu to z największym trudem. Nie jest w stanie odgonić stających mu przed oczami obrazów, najpierw całkiem niewinnych, a potem niemal pornograficznych. Wyobraża sobie kształt jej piersi, zapach skóry, uczucie, gdy dotyka...

Odwraca się i widzi, że ona robi to samo, jakby oboje podjęli decyzję w tym samym momencie. Przywierają do siebie ustami, ale się nie przytulają.

W pewnym momencie Elle przerywa pocałunek i bez słowa rusza w dół wyłożonego miękką wykładziną korytarza. Will zastanawia się, co powinien teraz zrobić.

Capri

Mężczyzna zbliża się powolnym krokiem. Między palcami trzyma uniesionego w górę papierosa, którego osłania przed wiatrem drugą ręką. Ten gest sprawia wrażenie wystudiowanego, nazbyt opiekuńczego.

- Piękny wieczór, prawda? - W jego głosie słychać delikatny zaśpiew ze

Środkowego Zachodu, ale trudno określić skąd konkretnie.

- Chyba tak - odpowiada bez entuzjazmu Marina. Musi pamiętać, że jest przygnębiona i nie ma ochoty kontemplować przyrody. Przyjechała tu, żeby się nad sobą rozczulać.

- Czy mógłbym pani towarzyszyć?

Otwiera usta, a na jej twarzy maluje się wahanie. Wreszcie odpowiada:

- Jasne.

Mężczyzna wyciąga rękę.

- Mam na imię Sean. - Marina wie, że to nieprawda. Sean Cullen to jedna z jego wielu fałszywych tożsamości. W hiszpańskich Pirenejach ukrywał się pod nazwiskiem Taylor Lindhurst.

- Marina. - Ona również kłamie, ale przynajmniej ma nadzieję, że on nie zdaje sobie z tego sprawy.

Siadają na niskim murku odgradzającym płaski taras od pionowej przepaści. Poniżej rozpościera się morze, a powyżej - niebo. Marina stawia kieliszek na nierównej powierzchni. W wulkanicznej skale widać pęknięcia i bąble, z których wyrastają niewielkie kępki roślinności. Marina odwzajemnia uścisk, zastanawiając się, czy mężczyzna zauważy, że jej dłoń jest wilgotna i lekko się trzęsie. Tak jak się spodziewała, trzyma jej rękę o sekundę za długo.

Nigdy wcześniej tego nie robiła. Kilka razy była bardzo blisko, ale podejrzewa, że to nic szczególnego. Nigdy nie poszła jednak na całość. Wiedziała, że będzie się denerwować. Nie sądziła jednak, że aż tak bardzo.

Najwyższy czas.

Podnosi kieliszek i wypija ostatni łyk wina. Krok numer piętnaście. Doszła do punktu, z którego nie ma odwrotu. Przed nią najważniejsza część programu. Nagle kątem oka zauważa jakiś ruch. Odwraca się przez ramię.

Znowu ta cholerna kelnerka.

Czy poprosić o dodatkowy kieliszek, żeby poczęstować winem swojego towarzysza? Z jednej strony chce, żeby z nią został, z drugiej - nie powinna mu się narzucać. To byłoby zbyt bezpośrednie, nienaturalne, nawet podejrzan.

Spogląda na butelkę.

Mężczyzna widzi jej wahanie i mówi:

- Czy mógłbym napić się z panią wina?

- Uhm. - Marina przechyla głowę i robi minę wstawionej kobiety, która zdała sobie sprawę, że za dużo wypila i może popełnić jakiś błąd. - Jasne.

- *Signorina* - Mężczyzna odwraca się do kelnerki. - *Un bicchiere, per*

favore?^[28]

Teraz trzeba poczekać. Najgorsze jest czekanie, którego się nie spodziewamy.

Mendoza

W jego pokoju czeka butelka wina. W blasku świec Will pieści każdy centymetr kwadratowy ciała Elle: jej ramiona, piersi, szyję, uszy, cudownie długie nogi... Gra wstępna ma w sobie coś z wyrafinowanej tortury. Wreszcie zaczynają się kochać. Will jest coraz bardziej podniecony, napięcie staje się trudne do zniesienia i po chwili zalewa go obezwładniająca fala rozkoszy.

Leży szczęśliwy na wielkim łóżku, w miękkiej pościeli, ale już po kilku sekundach uczucie błogostanu ustępuje miejsca wyrzutom sumienia. Natarczywe, oskarżycielskie myśli pojawiają się nie wiadomo skąd i za chwilę są gotowe do ataku. Kiedy Elle siada na nim okrakiem, Will ma wciąż przyspieszony oddech. Jej nagie, kuszące ciało jest pokryte świecąca warstwą potu i pachnie seksem. Will czuje na plecach zadrapania, a jego męskość jest wciąż obolała, ale zdaje sobie sprawę, że podniecenie wróci, gdy Elle weźmie go w usta i znowu zaczną się kochać. Nie zasną aż do świtu, wypróbują każdą możliwą pozycję, zrealizują wszystkie fantazje, wycisną tę jedną noc jak cytrynę, ponieważ to nigdy więcej się nie powtórzy. Will wie, że pod żadnym pozorem nie może do tego dopuścić.

Wyobrażał sobie wcześniej seks z piękną nieznajomą w hotelowym łóżku, po drugiej stronie świata. Rzeczywistość przerosła jednak wyobrażenia. Pod pewnymi względami jest o wiele lepiej, ale pod innymi o wiele gorzej.

Elle zsuwa się z kochanka i wstaje z łóżka. W blasku migoczących świec jej ciało nabiera złotego połysku. Nalewa sobie szklankę wody i zachłannie pije.

Will podchodzi do drzwi balkonowych i lekko je uchyla. Trzepoczą zasłony i do środka wpada odświeżająca bryza, która chłodzi jego rozgrzane i podniecone ciało. Przez chwilę przygląda się księżycowi w pełni, po czym wraca do łóżka.

Elle wcale do niego nie dołącza, tylko zaczyna kręcić się po pokoju, szukając swojego ubrania. Zakłada majtki i stanik.

- Co robisz? - Elle podnosi z podłogi resztę swojej garderoby. - Dlaczego się ubierasz?

Wkłada sukienkę przez głowę i wygładza dłonią nierówności.

- No cóż, panie Rhodes - mówi. - Nie sądziłam, że sprawi mi to przyjemność.

Will nie rozumie, o co może jej chodzić. Przez chwilę myśli, że ma do czynienia z psychopatką. Musi przyznać, że między innymi dlatego powstrzymywał się od zdrady. Nie był to najistotniejszy powód, ale z pewnością jeden z ważniejszych. Nigdy nie wiadomo, do czego zdolny jest drugi człowiek, jakie kierują nim motywy i czego pragnie. Uprawiając z kimś seks, oddajesz życie w jego ręce. Jeśli nie znasz dobrze tej osoby, nie możesz przewidzieć, co z tego wyniknie.

Z pewnością dzieje się coś dziwnego i Will nie ma pojęcia, jak powinien zareagować. Może to jakaś gra? Czy ta w gruncie rzeczy nieznajoma kobieta specjalnie zachowuje się w ten sposób, żeby go do czegoś sprowokować? Chodzi o jakąś erotyczną zabawę?

Elle siada na krawędzi łóżka i zakłada buty na wysokim obcasie, eleganckie, czerwone szpilki, które niemal krzyczą: „Chodź się ze mną pieprzyć”. Nagle wyciera palcem policzek. Czyżby płakała? Potem wstaje i nawet na niego nie spoglądając, otwiera drzwi na rozświetlony korytarz i bez słowa pożegnania wychodzi z pokoju.

Co jest grane? Czy ona naprawdę to zrobiła?

- Elle? - krzyczy za nią Will. - Hej ! Elle!

Leży w pościeli, łudząc się nadzieją, że kochanka za chwilę wróci. Może poszła po lód?

Mija minuta. Potem dwie.

Kiedy wstaje z łóżka, czuje, że cały trzęsie się z nerwów. Nalewa sobie wody, wypija duszkiem i drżącymi dłońmi ponownie napełnia szklankę. Wkłada spodnie od piżamy i zawiązuje niedbały węzeł. Wraca pod kołdrę i spogląda na elektroniczny zegar. Jest 2.48 nad ranem.

Patrzy w sufit i stara się leżeć spokojnie, choć w środku jest kompletnie zdezorientowany. Przeczesuje ręką włosy i bierze głęboki oddech. Czy właśnie zrujnował sobie życie?

I właśnie w tym momencie otwierają się drzwi.

Capri

Mężczyzna stara się jej zaimponować opowieściami o znajomym

miliarderze z Abu Zabi, ekskluzywnym ośrodkiem wypoczynkowym na Szeszelach i tak dalej, bez końca, aż do znudzenia. Jestem bogaty i strasznie ważny. Mam wielkiego kutasa. Czy mogę go w ciebie wsadzić?

Marina słucha go jednym uchem. Siedzą obok siebie na murku, wystarczająco wysokim, żeby przez przypadek nie spaść w dół, ale nie na tyle, by powstrzymać kogoś, kto chciałby przez niego przeskoczyć.

Rozgląda się po opustoszałym tarasie i jeszcze raz przebiega w myślach przez kolejne kroki swojego planu. Przypomina sobie początek ich znajomości i pierwsze spotkanie półtora dnia temu. Z pozornie błahych czynności mogą wynikać bardzo poważne konsekwencje:

1. Wyjmij papierosa i spróbuj go zapalić popsutą zapalniczką.
2. Rozejrzyj się w poszukiwaniu innych palaczy, podejź do mężczyzny, poproś go o ogień.
3. Wróć na leżak, nie okazując mężczyźnie specjalnej życzliwości.
4. Zamów osobiście stolik na wieczór tylko po to, żeby zająć do książki rezerwacji.
5. Odwołaj rezerwację.
6. Zjedz kolację w miasteczku, wróć taksówką.
7. Przejdź przez salę restauracyjną, lekko się zataczając, jakbyś była pijana.
8. Zatrzymaj się, zdejmij buty i idź dalej boso, żeby przyciągnąć uwagę.
9. Postaw bezprzewodowy zagłuszacz na stole, a drugi przy furtce.
10. Zamów u kelnerki butelkę wina.
11. Wylej część wina do doniczki.
12. Nalej trochę do kieliszka, żeby pobrudzić ścianki i krawędź, wypij jeden łyk.
13. Usiądź na murku i czekaj.
14. Kiedy pojawi się mężczyzna, wypij resztę wina.
15. Podejź do stolika po dolewkę.
16. W drodze powrotnej wsuń rękę do kieszeni i załóż rękawiczkę.
17. Wyciągnij nóż sprężynowy, dźgnij mężczyznę w szyję i zepchnij w przepaść.

Część druga

Rozdział 9

Mendoza

Will powoli odzyskuje przytomność. Na początku widzi wszystko jak przez mgłę. Leży na trawie, ktoś zaczyna go ciągnąć, ale jego stopa w coś się zaplątuje. Au! Po jakimś czasie ta sama osoba rzuca go na ziemię jak worek kartofli.

Potem pojawia się niepewność i strach. Od ciosu pięścią piecze go nos, policzek i dolna warga. Dokucza mu też ból głowy, szczególnie z tyłu, w miejscu, którym uderzył w twardy grunt. Jednak najgorsza jest świadomość, że znalazł się w poważnych tarapatach i ponosi za to całkowitą odpowiedzialność.

Być może niektórzy ludzie zdają sobie sprawę, że zaraz popełnią największy błąd w swoim życiu. Zakładają kominiarkę i wchodzą do banku. Przekręcają kluczyk w stacyjce, mimo że widzą potrójnie po wypitej tequili. Will niczego się nie spodziewał. Teraz już wie, że powinien był mieć się na baczności.

W pewnym momencie orientuje się, że leży na szezlongu, a obok kuca Elle i przykłada mu do twarzy zawinięte w ściereczkę kostki lodu. Naprzeciwko widzi mężczyznę, który wtargnął do jego pokoju. Siedzi wyprostowany na krześle i również robi sobie zimny okład.

Czy Will naprawdę wyobrażał sobie, że tak po prostu, bez żadnych konsekwencji prześpi się z piękną nieznajomą?

- Nie martw się - mówi Elle. - Wcale nie jest tak źle, jak myślisz.

- Co jest grane, do cholery? - bełkocze spuchniętymi wargami. Jest zbyt przestraszony, żeby czekać, aż sami mu wszystko wyjaśnią.

Mężczyzna odkłada worek z lodem i bierze do ręki telefon.

- Jeden z adresów e-mailowych twojej żony - mówi - to chloe, kropka m, kropka palmer, małpa, travelers, kropka kom, prawda? Ciekawe, że w kontaktach służbowych nadal używa panińskiego nazwiska.

O co mu, kurwa, chodzi?

- To szantaż? Chcecie pieniędzy? - pyta Will.

Elle wstaje i idzie do łazienki, ale nie zamyka drzwi. Odkręca kran, płucze

ścierkę, wyciska z niej wodę i wkłada do środka świeży lód.

- Wiecie, że jestem splukany?

- Nie chodzi o pieniądze. - Elle znowu przykłada zimny okład do jego policzka. Jej głos brzmi jakoś inaczej, ale Will nie jest w stanie stwierdzić, na czym polega różnica.

- W każdej chwili mogę wysłać e-maila twojej żonie - mówi mężczyzna i podkreśla wagę swoich słów, podnosząc telefon, na którym zapisane są dowody winy. - Ale równie dobrze mogę to zrobić jutro. Albo dopiero za tydzień.

Will patrzy na urządzenie z wrogością. Czyżby coś mu umknęło? Być może przekazali mu wcześniej jakieś ważne informacje, ale był wtedy jeszcze na pół przytomny i o wszystkim zapomniał.

- Ale czy Chloe w ogóle musi się o tym dowiedzieć? - kontynuuje mężczyzna. - Zamiast wysłać jej e-maila, zlecę przelew dziesięciu tysięcy dolarów na twoje konto. Wydaje mi się, że dokładnie tyle potrzebujesz, żeby uregulować status prawny swojego domu i zakończyć remont.

Na pewno widział już kiedyś tego faceta: krótko ostrzyżone, siwe włosy, mocna kwadratowa szczęka, starannie wygolone policzki, wąskie brwi, które niczym plażowe parasole osłaniają ciemne chytre oczy, długa szrama przypominająca wygiętą przez wiatr tyczkę, głębokie zmarszczki, charakterystyczne wgłębienie na czole, usta z przyklejonym do nich na stałe szyderczym uśmiechem. To podła, niegodziwa twarz. Twarz kogoś, kto jest za pan brat z przemocą, być może policjanta albo wojskowego.

Will spogląda na Elle. Czy to naprawdę ta sama kobieta, z którą jeszcze kilka minut temu leżał razem w łóżku? Czy to ona uderzyła go pięścią, kiedy biegł po trawniku ile sił w nogach?

- Kolejny przelew na taką samą sumę dostaniesz w przyszłym miesiącu. I tak dalej. Już zawsze.

Will rozgląda się dookoła, starając się namierzyć ukrytą kamerę. Jego wzrok zatrzymuje się na turkusowych cyfrach stojącego na biurku elektronicznego zegara.

- Bingo - mówi Elle, potwierdzając jego podejrzenia.

Właśnie w tym momencie Will orientuje się, na czym polega różnica: zmienił jej się akcent.

- Wcale nie brzmisz jak Australijka - stwierdza. - Jesteś Amerykanką?

- Nie tylko.

- Co to, do cholery, znaczy?

Mężczyzna wyciąga z kieszeni portfel. Z jednej z przegródek wyjmuje laminowany dokument i rzuca go w stronę Willa, mocno podkreślając jak krupier rozdający karty do blackjacka.

Will przypomina sobie, gdzie go wcześniej widział. To było miesiąc temu, w ciemnej uliczce, po kolacji w barze winnym.

- Łaziłeś za mną w Paryżu? - pyta i ogląda legitymację z każdej strony, obracając ją w palcach. - Skąd mam wiedzieć, co to jest?

- To prawda, skąd masz wiedzieć? - odpowiada mężczyzna. - Ale nawet jeśli trzymasz w ręku podróbkę, to trzeba przyznać, że jest świetnie zrobiona, prawda? Przyjrzyj się hologramowi, spójrz na zdjęcie biometryczne i wzór na papierze. Profesjonalny dokument, a nie jakieś gówno wydrukowane w automacie z salonu gier wideo.

Will nie ma pojęcia, w jaki sposób miałby to ocenić.

- Ciekawe, czy istnieją jeszcze takie salony - zastanawia się na głos mężczyzna. - Teraz chyba wszyscy grają w domu, siedząc w gaciach przed telewizorem.

- Istnieją metody weryfikacji - wtrąca Elle. - Mógłbyś odwiedzić centralę, choć szczerze mówiąc, byłoby to dość skomplikowane. W każdym razie istnieje taka możliwość, choć osobiście odradzam. Szkoda fady.

Will ma w ustach posmak żółci i skręca go w żołądku. Boże, naprawdę nie powinien wymiotować w takim momencie. Przeżył dzisiaj już wystarczająco dużo upokorzeń. Chociaż z drugiej strony puszczenie pawia byłoby pięknym zwieńczeniem jakże udanego wieczoru, podkreślającym to, jak bardzo czuje się do dupy. Być może takie ostateczne upodlenie przyniosłoby mu nawet pewną satysfakcję.

Powstrzymuje jednak torsje i przełyka ślinę.

- Czego ode mnie chcecie, do kurwy nędzy? - warczy przez zaciśnięte zęby.

- Niewiele - odpowiada Elle.

- Gówno prawda.

- No cóż, nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo. Dla ciebie to bułka z masłem, a dla nas miałyby to spore znaczenie.

- Potrzebujemy informacji - wtrąca mężczyzna. Chyba chce pokazać, że też się liczy w tej rozgrywce, chociaż to kobieta odwaliła całą czarną robotę.

- Pierdol się.

Elle robi wściekłą minę i przez moment Will boi się, że znowu go uderzy. Takiego upokorzenia nie wziął pod uwagę. Jednak po chwili na jej twarzy

pojawia się złośliwy uśmiech.

- Ty już to dzisiaj robiłeś, prawda? - syczy pogardliwie.

Will ma ochotę ją udusić.

- Słuchaj - mówi łagodniejszym tonem, jakby chciała przemówić mu do rozsądku. - To nie są żadne negocjacje, ale nie musisz podejmować decyzji już teraz. Masz czas do śniadania.

Wstaje, a jej umięśniony towarzysz robi to samo.

- Zostaniesz współpracownikiem CIA albo zrujnujemy ci życie, panie Rhodes.

Capri

Przechyla się przez murek i patrzy w otchłań, starając się przyzwycząić wzrok do ciemności. Nie jest jednak w stanie niczego zobaczyć. Przed jej oczami rozpościera się kompletna pustka.

Nie może uwierzyć, że właśnie to zrobiła i jak szybko do tego doszło. Odebranie komuś życia zabrało jej dosłownie sekundę - wystarczył błyskawiczny cios w tchawicę. Mężczyzna był tak zaskoczony, że nawet nie próbował się bronić.

Miała nadzieję, że nie będzie musiała używać noża. Planowała zepchnąć faceta do przepaści, ale rozsiadł się wygodnie i wydawało się, że nie tak łatwo straci równowagę. Nawet jeśli naparłaby na niego z całej siły, istniało ryzyko, że się nie zachwieje i nie polecą w dół. I co wtedy? Dupa. Musiałaby walczyć wręcz ze znacznie większym, silniejszym i najprawdopodobniej lepiej wyszkolonym przeciwnikiem.

Kupiła sprężynowiec w podejrzanym sklepie koło dworca kolejowego w Neapolu. Ta okolica cieszyła się zasłużenie złą sławą. Załatwiali tu swoje interesy bandyci wszelkiego autoramentu. Nie zostawiła na nożu odcisków palców, dlatego po zadaniu ciosu nawet nie próbowała go ruszać. Tkwił wbity głęboko w szyję mężczyzny. Gdyby spróbowała go wyjąć, mogłaby zachłapać krwią nie tylko siebie, lecz także wszystko dookoła. Potem pchnęła bezwładne ciało w pustkę. Zaległa kompletna cisza. Nawet nie usłyszała, kiedy uderzyło w skały.

Rzecz jasna miała kilka planów awaryjnych. Nie mogła wykluczyć, że mężczyzna pozostanie obojętny na jej wdzięki. Poza tym bała się, że ją przejrzy i będzie próbował ją zabić. Całe szczęście myślał penisem. Właśnie

na to liczyła i miała rację. Okazało się, że postawiła na właściwego konia.

Czuje, że cała się trzęsie, a przez jej ciało co chwilę przechodzą dreszcze. Ma wrażenie, jakby w jej żyłach zamiast krwi płynął prąd pod wysokim napięciem. Musi być ostrożna. Łatwo kogoś zabić, o wiele trudniej nie dać się złapać.

Drżącymi rękami wyjmuje z kieszeni paczkę chusteczek dezynfekujących i wyciera nimi oba kieliszki i butelkę. Następnie ciska wszystko w dół przepaści, doskonale zdając sobie sprawę, że zbocze jest nie tylko zbyt strome, by śledczy mogli je gruntownie przeczesać, lecz także porośnięte bujną roślinnością, która zatrzyma dowody zbrodni. Dzięki temu szkło na pewno nie spadnie na plażę, na której policja w końcu znajdzie ciało.

Zdejmuje gumową rękawiczkę i zwija ją do środka, tak żeby krew nie wypłynęła na zewnątrz. Ściąga lniany żakiet, który również może być pobrudzony, ale jest za ciemno, żeby to stwierdzić. Zwija go w wąski walek i chowa do torebki.

Szybkim krokiem przechodzi przez taras i klęka przy basenie. Obmywa chłodną wodą dłonie, przedramiona i twarz. Zakłada jedwabny sweterek, adidas, czerwono-złotą czapkę klubu AS Roma i okulary zerówki w topornych oprawkach.

I właśnie w tym momencie ktoś łapie za klamkę i słysząc cichy trzask otwieranych drzwi.

„Cholera”.

„Tylko nie kelnerka, błagam”.

Marina stoi plecami do wejścia i byłoby nienaturalne, gdyby nie sprawdziła, kto wchodzi na taras. Odwraca się więc powoli, czując, jak serce podchodzi jej do gardła.

Na całe szczęście to tylko starsza para: mężczyzna w jasnej marynarce i plecionych mokasynach w towarzystwie wyfiokowanej kobiety z kilkoma sznurami pereł na szyi.

- *Buona sera* - mówi mężczyzna.

- *Buona sera* - odpowiada na pozdrowienie Marina. Musi jeszcze zabrać zagłuszacze i jak najszybciej stąd zniknąć. Nie ma zamiaru wracać do swojego pokoju. Pamiętała, żeby niczego nie dotykać bez gumowych rękawiczek. Na pewno zostawiła wszędzie sporo swojego DNA, ale tym się specjalnie nie martwi.

Starsza para podchodzi do murku. Kobieta pochyla się i wyciąga szyję. Jej mąż również zagląda w przepaść i zaczynają szeptać do siebie po włosku.

Mężczyzna patrzy na Marinę, a potem znowu w dół urwiska. Czy to możliwe, że coś zobaczył?

Okazuje się, że do zatoczki wpłynął właśnie całkiem spory, rozświetlony jacht.

Marina zakłada torebkę na ramię i już chce wychodzić, ale w ostatniej chwili coś sobie przypomina. Rozgląda się, podnosi ze starannie ułożonego stosika czysty ręcznik i wyciera nim klamkę. Zabiera zagłuszacz z pokoju śniadaniowego, wraca na taras i odkłada ręcznik na miejsce.

Starsi ludzie nadal spoglądają w dół przepaści. Marina przemyka wzdłuż ściany i zabiera drugi zagłuszacz. Oba urządzenia są cały czas włączone. Lepiej dmuchać na zimne.

Idzie przed siebie ciemnym wąskim przejściem, gdy nagle słyszy czyjś głos:

- *Ciao*. - To jeden z pomywaczy wyszedł na papierosa.
„Cholera. Cholera. Cholera. Cholera”.

Umieszczone nad wejściem do hotelu reflektory oświetlają mężczyznę tak, że widać każdy szczegół jego twarzy. Marina ma na sobie czapkę z daszkiem i jest prawie pewna, że jej fizjonomia pozostaje w cieniu. Ale czy na pewno?

Musi podjąć decyzję w ciągu najbliższej sekundy. A co, jeśli mężczyzna jednak ją widzi?

Nie, nie może go zabić. Jest nieuzbrojona, ale akurat z tym problemem powinna sobie poradzić. Martwi ją coś innego. Jego zniknięcie od razu zostałoby zauważone, nawet jeśli udałoby się jej ukryć ciało. Facet jest przecież w pracy i zaczęliby go szukać: „Gdzie jest Giancarlo? Znowu wciąga amfę?”. Znaleźliby trupa, wezwali policję i urządzili obławę...

Nie.

Marina patrzy na jego zniszczoną przez narkotyki twarz i pokryte tatuażami ramiona. Mężczyzna rzuca ukradkowe spojrzenie. On również wydaje się zaskoczony. Raczej nie będzie nikomu opowiadał o tym spotkaniu, a już na pewno nie z własnej woli. To nie jest ktoś, kto lubi rozmawiać z policją.

- *Scusi* - mówi Marina. - *Una sigaretta, per favore?*^[29] - Papierosy znowu przychodzą jej na ratunek. Ironia losu.

Mężczyzna zaciąga się, mierząc Marinę wzrokiem. Ma przed sobą kobietę, która najprawdopodobniej wymknęła się z hotelu tylnymi drzwiami. Pytanie: dlaczego? Może to jakaś bogata i wpływowa klientka, więc lepiej

spełnić jej prośbę i nie wdawać się w dyskusje. Klepie się po kieszeni i wyjmuję paczkę.

- *Grazie* - mówi Marina, pochylając się do przodu, żeby wziąć papierosa bezpośrednio do ust. Zgrzyta metalowe kółko zapalniczki i mężczyzna podaje jej ogień. Czuć charakterystyczną woń krzemienia, a potem mocny zapach butanu i już po chwili płuca Mariny wypełniają się dymem. Z całej siły stara się powstrzymać kaszel.

- *Prego*.

Marina rusza w stronę wyjścia. Owija dłoń rękawem swetra i otwiera furtkę, a potem po cichu ją zamyka. Ma gumowe podeszwy, więc prawie nie słysząc jej kroków. Dochodzi do nieoświetlonej drogi i znika w gęstym mroku.

Mija ją rozpędzone auto. Szosa jest jeszcze węższa, niż jej się wydawało, gdy jechała taksówką. Musi uważać.

U stóp wzgórza leży miasteczko. Głucha noc ustępuje nagle miejsca ulicznemu gwarowi. Skupiska domów, zadbane ogródki, rzędy równo zaparkowanych samochodów i - jasna cholera - stroboskopowe światło policyjnego radiowozu.



Jaką rolę powinna odegrać? Do kogo powinna się upodobnić?

Ściąga czapkę i wielkie okulary w brzydkich oprawkach. Rozczesuje włosy palcami, szminkuje usta, zakłada buty na wysokim obcasie i przewiesza torebkę przez ramię. Gotowe.

Jest późno, ale miasteczko wciąż tętni życiem. Na placykach, w kawiarniach i restauracjach przesiadują ludzie. Jedzą, piją i palą papierosy. Obok migającego radiowozu stoi policjant i coś tłumaczy dwóm wyraźnie podchmielonym mężczyznom. Na całym świecie zaledwie garstka mundurowych zajmuje się ściganiem seryjnych morderców, natomiast prawie każdy ma na co dzień do czynienia z pijackimi burdami.

Gliniarz, wyraźnie znudzony rutynowym zadaniem, spogląda na Marinę, która na jego widok niemal się potyka, a serce podchodzi jej do gardła. Uśmiecha się nieznacznie, starając się zapanować nad nerwami. Naprawdę nie ma najmniejszej ochoty rozmawiać teraz z policją. Bardzo możliwe, że ten sam facet będzie prowadził dochodzenie w sprawie zabójstwa. Na Capri służy zapewne jedynie garstka policjantów.

Marina stara się nie przyspieszać i idzie spokojnym krokiem. Czuje na sobie jego wzrok. Pewnie patrzy na jej tyłek. Samotna dziewczyna spacerująca bardzo późnym wieczorem po miasteczku. Wszechobecny lęk przed napaścią na tle seksualnym miesza się ze świadomością, że w każdej chwili może zostać aresztowana pod zarzutem morderstwa. Dwa różne zagrożenia, oba równie rzeczywiste.

Może powinna to wszystko lepiej przemyśleć.

Skreca w wąską uliczkę i wchodzi po schodach do dwugwiazdkowego pensjonatu.

- *Buona sera* - mówi do recepcjonisty. - *Otto*.

Dziś rano wynajęła tu pokój i zostawiła walizkę. Zapłaciła gotówką za jedną noc i wcześniejsze zameldowanie.

W niewielkim pokoiku patrzy w lustro wiszące nad taną komodą. Pojedyncze łóżko? Od wielu lat nie spała w pojedynczym łóżku. Przypominają jej się studenckie czasy.

Czy uda jej się zasnąć? Może w ogóle nie warto próbować?

Czy naprawdę z zimną krwią zamordowała właśnie mężczyznę?

Przygląda się własnemu odbiciu, szukając jakichś zmian. Czy stała się innym człowiekiem? Wpatruje się uważnie w swoje tęczęwki, ale nie widzi żadnej różnicy, poza - co to jest? - małą kropką na skórze, w kąci oka. Wyciera plamkę koniuszkiem palca: to krew.

Nadal jest tą samą osobą, prawda?

Mendoza

- Dlaczego ja? - pyta Will. Siedzą przy stole na wyłożonym terakotą tarasie. Jest chłodno. Wszyscy pozostali goście schronili się w środku hotelu.

- Po co tyle wysiłku, żeby mnie zrekrutować?

- Ostatnio spędziłeś tydzień w Belgii i Luksemburgu. Podczas tego pobytu byłeś na trzygodzinnym raucie w rezydencji wielkiego księcia. Wśród gości byli najbardziej wpływowi holenderscy biznesmeni i dyplomaci.

- Skąd to wiecie?

- Po imprezie odwiedziłeś pobliski bar dla ekspatów i piłeś w towarzystwie przynajmniej jednego agenta MI6^[30], handlarza bronią, który działa na granicy prawa, ale jest bardzo ostrożny, i rumuńskiej kochanki ambasadora jednego z państw Europy Wschodniej. Pamiętasz ją? Nie miała

stanika, nogi aż do szyi, długie rzęsy?

- Uhm.

- Rozbijasz się po całym globie, a akredytacja prasowa umożliwia ci wstęp do pałaców, ambasad i na różne ekskluzywne wydarzenia. Pracujesz dla znanego magazynu podróżniczego, co daje ci żelazne alibi. Jak sądzisz, ilu ludzi na świecie ma podobne możliwości? Kilkudziesięciu?

- Nie mam bladego pojęcia. Ciekaw jestem, skąd wy macie takie informacje.

- Jesteśmy największą i najlepszą agencją wywiadowczą w historii cywilizacji. Technologia pozwala obecnie na szukanie potencjalnych współpracowników bezpośrednio z naszej kwatery głównej w Wirginii. Zostałeś wytypowany, panie Rhodes. Obserwujemy cię już od dość dawna.

- Ale po co ta cała heca z szantażem? Mogliście przecież zapytać.

- Nie zgodziłbyś się.

- Skąd ta pewność?

- Ponieważ na studiach wszystkie twoje zajęcia z historii i polityki prowadzili lewicowi intelektualiści, często o bardzo radykalnych poglądach. Chodziłeś na seminarium z filozofii marksistowskiej, a na zaliczenie kursu z amerykańskiej polityki zagranicznej napisałeś pracę o wpadkach CIA w Ameryce Łacińskiej. Twierdziłeś, że Agencja w zasadzie nie powinna zajmować się niczym, do czego została powołana.

Will pamiętał to wszystko jak przez mgłę. Naprawdę coś takiego wysmażył?

- To było dawno temu.

- Zmieniłeś zdanie? Jesteś stałym prenumeratorem „The Nation”, „The New Republic”, „New Yorkera” i „New York Timesa” Twoje ulubione strony internetowe, poza pornografią...

- Ej, chyba przesadzasz.

- Poza pornografią, kulinariami, architekturą i dekoracją wnętrz, to bez wyjątku portale promujące lewicową ideologię. Podpisałeś petycje przeciwko uprawnieniom nowojorskiej policji do zatrzymywania i przeszukiwania przechodniów oraz rządowemu programowi inwigilacji obywateli. Poza tym aktywnie popierasz walkę o prawa homoseksualistów, wspomagasz organizację Planned Parenthood i jesteś za wyższym opodatkowaniem milionerów. Byłeś też zwolennikiem akcji Okupuj Wall Street. Mam wyliczać dalej? - Will nie może otrząsnąć się z szoku. - Tak więc na pewno byś odmówił, a moim celem jest przecież nakłonienie cię do współpracy.

Neapol

Wszędzie pełno policji. Mundurowi bacznie się wszystkim przyglądają i Marina czuje się osaczona. Rzuca nerwowe spojrzenia, wykonuje dziwne ruchy, co chwilę dotyka okularów i ściska w dłoni kolumbijski paszport wystawiony na nazwisko osoby, która nigdy nie istniała.

Zdaje sobie sprawę, że nie powinna się tak zachowywać. To może wzbudzić podejrzenia. Musi wziąć się w garść.

Na wiszącym w hali odlotów telewizorze pojawiają się jednak bardzo niepokojące obrazy: policjanci przeczesują jakieś trudne do rozpoznania miejsce. Dużo ludzi w mundurach, z krótkofalówkami w rękach, którzy wyglądają, jakby rozmawiali o piłce nożnej albo plotkowali o kobietach. Na pasku przesuwają się informacje o morderstwie, ale ekran jest zbyt daleko, żeby Marina mogła wszystko przeczytać. Mogłaby wyjść z kolejki, ale wie, że to zły pomysł.

Nagle zauważa, że w jej stronę idzie policjant w niebieskim uniformie. Marina nie jest w stanie oderwać od niego wzroku, chociaż z całej siły stara się zmusić do patrzenia w innym kierunku.

Czuje, że jest na granicy załamania nerwowego.

Kolejka pasażerów czekających na krótki lot do Rzymu powoli przesuwają się do przodu. Marina kupiła bilet wczoraj wieczorem. Błędym świtem poszła na piechotę do portu, wsiadła na prom, a potem złapała taksówkę na lotnisko. Po przyjeździe zmieniła lot na wcześniejszy.

Załóżmy, że stało się najgorsze. Czyli co? Gliniarze znaleźli ciało. Trupa mógł zauważyć ktoś na jachcie i przerażony zaczął krzyczeć: „Aaa! Dzwońcie po policję!”. Błyskawicznie przyjechał radiowóz, chociaż jest weekend. Szybko ustalono, że mężczyzna spadł z hotelowego tarasu. Znalezione nocnego recepcjonistę i któregoś z kelnerów, którzy zidentyfikowali ciało. Wytatuowany pomywacz przyznał, że widział, jak Marina wymyka się tylnymi drzwiami. W hotelowym rejestrze odnaleziono kserokopię jej kolumbijskiego paszportu. Udało się ustalić, że kupiła bilet do Rzymu, a nad ranem zmieniła lot na wcześniejszy. Od razu wysłano na lotnisko funkcjonariuszy...

Jeśli tak, to wokół bramki powinien kłębić się tłum policjantów, a nie snuć się jeden znudzony gliniarz na kacu. Nie, ten facet nie ma najmniejszego

zamiaru jej aresztować.

Na razie nikt jej nie szuka i jeszcze przez długi czas nie będzie. Bardzo możliwe, że nigdy nie trafią na jej ślad.

Przed wieczorem nikt z personelu nie powinien się zorientować, że zniknął jeden z gości. A potem? Czy w ogóle ich to zainteresuje? Mają przecież numery kart kredytowych i bez problemu ściągną należność od Kolumbijki i Amerykanina, którzy rozpłynęli się w powietrzu.

Uff! Dziewczyna z obsługi wyciąga wreszcie rękę po jej paszport.

Zanim ktokolwiek zacznie jej szukać, kobieta posługująca się nazwiskiem Marina Delgado przejdzie przez odprawę celną w Turcji, wyjdzie z lotniska i zniknie gdzieś w Stambule.

Po jakimś czasie znowu wsiądzie do samolotu i wróci do swojego prawdziwego życia i prawdziwego męża, który jest święcie przekonany, że pojechała zupełnie gdzie indziej i zajmowała się zupełnie czymś innym.

Rozdział 10

Nowy Jork

Powrót do domu po popełnieniu najgłupszego błędu w życiu to prawdziwa mordęga. Will czuje się tak, jakby zdobył nielegalnie pistolet, włożył do środka naboje i wręczył go nagiej kobiecie, której w ogóle nie zna. „Proszę, masz możliwość sprawienia mi ogromnego bólu i zniszczenia życia nie tylko mnie, lecz także mojej żonie. Broń jest już odbezpieczona. No dalej, strzelaj. Mój los spoczywa teraz w twoich rękach”.

Will zdaje sobie sprawę, że nic już nie może zrobić. Stało się. Żadnych zmian, renegocjacji lub poprawek. Musi wziąć na barki ten ciężar i starać się zasnąć ze świadomością, że ktoś mierzy do niego z nabitego rewolweru i w każdej chwili może pociągnąć za spust. Paf!

Trudno uwierzyć, że zrujnował życie sobie i Chloe.

Wysiada z taksówki i patrzy na swój rozpadający się dom. Za rdzewiejącym ogrodzeniem rośnie krzew dzikiej róży, którym nikt się nie zajmuje. Dziwne, że wciąż nie usechł i puszcza zielone pędy.

Will staje w progu i krzyczy:

- Chloe?

Cisza.

Zostawia torbę w korytarzu i przechodzi przez salon. Podłoga jest wyłożona pięknym, ale bardzo już zniszczonym parkietem. W kącie zagraconej kuchni stoi stary francuski piec, efektowny, lecz zupełnie niefunkcjonalny.

Will nie spodziewa się zastać żony w domu. Jest w końcu normalny dzień tygodnia i nie wybiło jeszcze południe. Chloe nie ma co prawda pełnego etatu, ale wychodzi wcześniej rano i stara się zachowywać jak osoba zatrudniona na normalnej posadzie. Chodzi o to, żeby nie poczuć się jak bezrobotna.

Will wolałby jej teraz nie spotkać. Boi się chwili, gdy pierwszy raz spojrzy jej w oczy jako kłamca, cudzołożnik i współpracownik CIA. Cóż za kombinacja. W zeszłym tygodniu, przed wyjazdem do Argentyny, o nic takiego by siebie nie podejrzewał, jednak to było naprawdę bardzo dawno

temu.

Jak mógł uwierzyć, że kobieta taka jak Elle będzie podrywać żonatego mężczyznę czy w ogóle jakiegokolwiek mężczyznę? Nie chciał widzieć czegoś, co było oczywiste.

Został upokorzony i wystrychnięty na dudka. Był wobec Elle szczery, a ona od początku go okłamywała. Można się głupio zakochać, często się o tym słyszy, powstają na ten temat książki, filmy, wiersze i piosenki. Nie piętnuje się kogoś, kto zadurzy się w niewłaściwej osobie. Nieodwzajemnione uczucie czy niespełniona miłość traktowane są jak wojenne rany albo wręcz przypadki męczeństwa. Ale to, co przydarzyło się Willowi? Straszny wstyd i tyle.

Tak łatwo dał się podejść.

- Chloe? - Zastanawia się, czy zdradzi go wyraz twarzy albo sposób, w jaki pocałuje żonę. - Jesteś tam?

Rozgląda się, sprawdzając, czy nic się nie zmieniło. Podskórnie i zupełnie nieracjonalnie spodziewał się jakiejś metamorfozy, ale tak naprawdę zmiana dokonała się tylko i wyłącznie w jego wnętrzu.

Staje w progu sypialni, ale nie wchodzi do środka. Chloe leży w łóżku i ściga z oczu maseczkę.

- Wszystko w porządku? - pyta żonę.

- Tak, jestem tylko przemęczona. - Niespodziewanie dostała zlecenie, które wiązało się z kilkoma długimi przelotami. To nic nowego. Są już razem na tyle długo, że zdążyli się przyzwyczaić do popołudniowych drzemek, nocnych posiłków i ciągłej walki ze złym samopoczuciem po podróży samolotem. - A co u ciebie? Jak było w Argentynie?

Will ma teraz jedyną szansę, żeby powiedzieć prawdę. Znowu znalazł się na rozstaju dróg i musi podjąć ważną decyzję. Zdaje sobie sprawę, że jedno kłamstwo pociągnie za sobą całą lawinę kolejnych i będzie za późno, żeby cokolwiek odkręcić. Jego małżeństwo, całe jego życie, zostanie raz na zawsze skażone i nic tego nie zmieni. Stanie się kłamcą i oszustem.

Ma jednak wybór. Może przecież powiedzieć: „Zdradziłem cię, Chloe. Zostałem uwiedziony, a potem mnie szantażowali i zgodziłem się na współpracę z CIA. Mam im przekazywać informacje. Będą mi za to płacić. Mogę z tego zrezygnować, wszystko zależy od ciebie. Popełniłem błąd, przepraszam. Powiedz, co mam zrobić. Naprawdę jest mi strasznie przykro”.

Może się do wszystkiego przyznać. To będzie niewątpliwie strasznie bolesne przeżycie, ale jakoś dadzą sobie z tym radę, prawda?

Tak, ma taką możliwość, ale z niej nie korzysta.



- Jezu - mówi Malcolm. - Co ci się stało?

Will podskakuje na krześle. Po raz pierwszy ktoś zaskoczył go w niewielkim pokoju, w którym znajduje się archiwum.

- O to ci chodzi? - Dotyka spuchniętego policzka, jakby w ogóle zapomniał, że coś jest nie tak. - Byłem w klubie i doszło do bójki.

- Co takiego? Gdzie?

- W Buenos Aires. Wiem, że nie najlepiej to wygląda, ale naprawdę nic mi nie jest. Było późno, doszło do przepychanek, potem jacyś kolesie zaczęli okładać się pięściami i jeden przypadkiem walnął mnie w twarz. Nawet nie wiem, o co poszło ani kto mnie uderzył. Po prostu miałem pecha.

- Mój Boże. Byłeś w szpitalu?

- Z czymś takim? Daj spokój, Malcolm. - Will zdaje sobie sprawę, że nerwowo stuka butem w podłogę. Od tych wszystkich kłamstw zrobił się niespokojny.

- Okej, niezły z ciebie macho. - Malcolm stoi w drzwiach i łagodnie się uśmiecha. Ma podwinięte rękawy koszuli i poluzowany krawat. Beztroski skurczybyk! - Czego dzisiaj szukasz? - pyta, rozglądając się z dezaprobatą po klaustrofobicznym pomieszczeniu bez okien. - Chcesz poszerzyć listę miejsc, o których nie powinniśmy więcej pisać?

Will nie przyszedł tu w konkretnym celu i wcale nie miał zamiaru przeglądać starych roczników pisma, ale musi udzielić jakiejś odpowiedzi.

- W przeszłości publikowaliśmy sporo szowinistycznej propagandy.

- Naprawdę? Kiedy konkretnie?

- Głównie w latach osiemdziesiątych. Dość obrzydliwe teksty, niektóre nawet rasistowskie.

Malcolm wygląda na zbitego z tropu. Chyba nie do końca podoba mu się ta rozmowa. Jest w końcu szefem. To on zarządza pismem, co oznacza między innymi, że odpowiada za błędy i wypaczenia poprzedników. Tak działają duże organizacje.

- Opowiedz o Argentynie. Bez zagłębiania się w przeszłość i bez szczegółów nocnych eskapad.

- Było bardzo fajnie. - Ćwiczył tę wypowiedź w domu przed lustrem. - Widziałem wiele niezwykle fotogenicznych miejsc. Zresztą zdjęcia mówią

same za siebie. Działo się tak dużo, że doznań wystarczy mi do końca życia. - Próbuje ironicznie zachichotać, ale wydobywa z siebie tylko odgłos przypominający kaszel. - Bardzo różnorodny kraj. Chcę napisać tekst z perspektywy jego mieszkańców i podrasować go winnymi anegdotami. Coś z tego będzie i myślę, że szybko się uwinę.

- Chyba jednak nie jesteś taki beznadziejny.

Ostatnie kilka godzin Will spędził całkowicie bezproduktywnie. Prawie nic nie zrobił i z nikim nie rozmawiał. Bał się, że inni w jakiś sposób wyczują jego kłamstwo i dlatego schronił się w archiwum.

- Na pewno wszystko w porządku? - pyta Malcolm.

- U mnie? No cóż, trochę boli...

Szef wbija w niego badawcze spojrzenie. Will stara się to wytrzymać i nie mrugnąć ani nie odwrócić wzroku. Czuje, że znacznie przyspieszył mu puls. Mijają kolejne sekundy.

- W końcu to zrobiłeś, prawda?

- Co?

Na twarzy Malcolma pojawia się szeroki uśmiech.

- Uległeś pokusie, ty draniu. Z kim się przespałeś? - Will kręci głową. - Nie powiesz mi? Po tych wszystkich latach? Zatrzymasz tajemnicę dla siebie?

- Nie ma żadnej tajemnicy.

- Za to dostałeś fangę w nos? - Will milczy. - Łziesz jak pies, prawda?

- Sam sobie zadajesz pytania i sam na nie odpowiadasz. - Will próbuje się uśmiechnąć, ale ogarnia go panika. Ma wrażenie, że z każdą chwilą coraz bardziej się pogrąża. Kopie sobie grób, a Malcolm sypie ziemię na jego głowę.

- Zdajesz sobie sprawę, że wcześniej czy później sam mi o wszystkim opowiesz?

~ ♦ ~

Malcolm zapina marynarkę, zaczesuje włosy i sprawdza zawartość zwykłej papierowej teczki. Nie ufa ludziom, którzy przychodzą na spotkanie ze skórzanymi aktówkami, z których wyjmują dokumenty wydrukowane na grubym teksturowanym papierze. Niby poważni gracze, a potrzebują takich podpórek. Przerost formy nad treścią. Niepotrzebne gadżety mające zrekompensować brak przekonujących argumentów. Malcolm gra w tenisa w

zwykłym T-shircie, a na spotkania zabiera tekturową teczkę.

Sala konferencyjna jest widna i przestronna. Przez sięgające od podłogi do sufitu okna widać panoramę miasta. Wokół długiego stołu wypolerowanego na wysoki połysk siedzą ludzie. Malcolm nie rozpoznaje większości z nich, ale zna najważniejszą osobę w tym gronie: mężczyznę w dobrze skrojonym garniturze.

- Dzień dobry! Nazywam się Malcolm Somers i jestem redaktorem naczelnym „Travelers”.

Kilka osób kiwa głową na powitanie i robi taką minę, jakby chcieli powiedzieć: „W porządku, zaczynaj”.

- Być może jestem nieobiektywny, w zasadzie to na pewno tak jest, ale moim zdaniem powstanie tego magazynu było jednym z najważniejszych wydarzeń marketingowych dwudziestego wieku. W czasach, w których zatrudnia się specjalnych konsultantów do tworzenia spójnej narracji marki, nasza historia nie potrzebuje żadnych upiększeń.

Malcolm naciska klawisz na laptopie i za jego plecami wyświetla się pierwszy slajd wcześniej wgranej prezentacji. PowerPoint to jak skórzana aktówka na dokumenty. Malcolm podejrzewa, że chodzi raczej o zaciemnienie niż rozjaśnienie tego, co ma się do powiedzenia, ale po dekadzie spędzonej w salach konferencyjnych przełamał swoją niechęć i poprosił Stonely’ego Rodrigueza, swojego technologicznego guru, żeby nauczył go, jak się tym wszystkim posługiwać.

- W tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku kończy się wojna. Benjamin Donaldson leży w Szpitalu Waltera Reeda w Waszyngtonie. Walczył we Francji z broniącymi się rozpaczliwie nazistami i został ciężko ranny. - Na ekranie pojawia się czarno-białe zdjęcie przedstawiające lekko uśmiechniętego mężczyznę z podkrążonymi oczami. - Dźgnięto go nożem w Marsylii. Leżał w wąskiej uliczce starego portu i niemal wykrwawił się na śmierć.

Malcolm napisał scenariusz tej prezentacji, wydrukował go i ćwiczył przed lustrem, a potem wyrzucił notatki do kosza. Nigdy nie czyta z kartki, może z wyjątkiem bajek na dobranoc, ale zdążył już zapamiętać ich kilkadziesiąt, więc, ściśle rzecz ujmując, nie czyta ich na głos.

- Przed tym tragicznym wydarzeniem Benji zdążył zobaczyć sporą część Francji i był pod wielkim wrażeniem piękna tego kraju. - Słysząc kliknięcie i za plecami Malcolma przesuwały się czarno-białe fotografie plaży w Saint-Tropez, wzgórz Prowansji i średniowiecznych wiosek przeplatane

kolorowymi reprodukcjami obrazów van Gogha (pola pszenicy) i Moneta (katedry). - Leżąc w szpitalu, Benji strasznie się nudził i zastanawiał się, co ma zrobić ze swoim życiem. Przed wojną skończył Dartmouth College i pracował w Nowym Jorku jako dziennikarz dla kilku popularnych czasopism. Chciał wrócić do tej branży, ale nie był w stanie zapomnieć o swoich podróżach. Pomyślał, że takich jak on jest więcej. Miliony żołnierzy walczyło w Europie, na południowym Pacyfiku i w północnej Afryce. Ci ludzie widzieli spory kawał świata. - Kolejne kliknięcia: Lazurowa Grota na Capri, wydmy na Saharze, tropikalna laguna. - Benji wyobraził sobie nowy typ amerykańskiego turysty. Przewidział gwałtowną obniżkę cen biletów lotniczych i szybki rozrost siatki połączeń. Założył, że dolar będzie się umacniał. Krótko mówiąc, przewidział pojawienie się wszystkich czynników, które doprowadziły do niespotykanego wcześniej ożywienia branży turystycznej. Miał doświadczenie dziennikarskie, więc zaczął mu kiełkować w głowie pewien pomysł: ilustrowany magazyn podróżniczy dla przedstawicieli klasy średniej. Zebrał fundusze i zatrudnił redaktora naczelnego, który stworzył zespół doświadczonych dziennikarzy i fotografów. Wszyscy cierpieli na nerwicę frontową lub tak zwany zespół stresu pourazowego i szukali zawodowej odskoczni od makabrycznych przeżyć z czasów wojny.

Malcolm robi przerwę i rozgląda się po zebranych, sygnalizując, że nastąpi zmiana tematu. Zawsze tak robi, gdy ma zamiar opowiedzieć tę historię.

- Ich doświadczenia są mi bardzo bliskie. Przez kilka lat pracowałem jako korespondent wojenny w Afganistanie i Iraku. Odłamek miny pułapki ranił mnie w ramię i tułów. Po powrocie nadal chciałem pisać, ale nie miałem ochoty narażać życia.

Wyjechał za granicę między innymi dlatego, żeby zobaczyć, jak wygląda prawdziwa wojna. Chciał się znaleźć w śmiertelnym niebezpieczeństwie i poczuć strach. Dzisiaj trudno mu uwierzyć, że był aż tak bardzo nierozważny. To pewnie znak, że się starzejemy. Zaczynają nas przerażać lekkomyślne decyzje podejmowane w młodości.

Chociaż w sumie może dobrze się stało. Gdyby nie został ranny, nie wróciłby do domu i nie poznał swojej żony. Nie miałby dzieci, wykonywałby inną pracę i prowadził zupełnie inne życie. Bardzo możliwe, że zginąłby za granicą w zamachu terrorystycznym, został porwany albo zamordowany tak jak ich afrykański korespondent w zeszłym roku.

- Do nowojorskiej redakcji dołączają niezwykle kreatywni graficy i redaktorzy tryskający świeżymi pomysłami. Dynamiczny zespół tworzy magazyn, który z dnia na dzień staje się sensacją wydawniczą.

Kliknięcie: okładka pierwszego numeru pisma.

- Od samego początku strony „Travelers” wypełnione są zapierającymi dech w piersiach zdjęciami. Równie dobrymi jak w „Life”, tylko o wiele optymistyczniejszymi. Do tego obszernie, działające na wyobraźnię artykuły w stylu „New Yorkera”, czasami dorównujące objętością sporej noweli. Magazyn oferuje możliwość całkowitego zanurzenia się w temacie nie tylko tym czytelnikom, których stać na bilet PanAmu lub TWA, lecz także rosnącemu gronu ludzi odbywających podróże palcem po mapie. Na dobrą sprawę to właśnie my stworzyliśmy ten segment rynku. W złotym wieku prasy drukowanej reklamodawcy dosłownie zabijali się o takich klientów. W ciągu zaledwie pięciu lat pismo stało się rentowne.

Kliknięcie: wykres przychodów brutto, strony z reklamami, grafika przedstawiająca zysk netto. Przejdźcie do czegoś tak konkretnego i wymiernego jak finanse sprawia, że kilka osób z uznaniem kiwa głową. Jeden facet nawet coś zapisuje.

- Do redakcji „Travelers” napływa nieprzerwany strumień listów, które Benji czyta z wielkim zainteresowaniem. Dowiaduje się, że wielu zagorzałych czytelników czuje niedosyt. Chcą więcej porad i więcej szczegółów. Stara się więc spełnić ich oczekiwania. Przygotowuje numery specjalne, wydaje zeszyty poświęcone konkretnym miejscom, organizuje seminaria.

Kliknięcie: okładki dodatków o Toskanii i Portugalii.

- Jednak odbiorcy tak naprawdę nie chcą masówki, pragną czegoś wyjątkowego, przeznaczonego tylko dla nich. Czegoś, o czym nie napiszą amerykańscy dziennikarze, którzy kilka razy do roku jadą do Francji, żeby przez większość czasu po pijaku uganiać się za spódniczkami.

Kilka osób chichocze, ale mężczyzna w dobrze skrojonym garniturze zachowuje kamienną twarz. Malcolm nie wie, czy spodobał mu się żart, czy też wręcz przeciwnie. A może po prostu już go kiedyś słyszał.

- Benji postanawia wykonać ryzykowny manewr.

Kliknięcie: skromna witryna sklepowa przy rue de Rivoli.

- Pierwsze biuro Międzynarodowej Agencji Turystycznej Travelers zostało otwarte w Paryżu, *naturellement*. Naprzeciwko Luwr, jedną przecnicę dalej Meurice, a za rogiem plac Vendôme z hotelem Ritz. Umowę

najmu podpisano na rok. Przedstawicielstwo miało się zajmować obsługą amerykańskich turystów, których nie zadowalały zwykle przewodniki po stolicy Francji. Oni chcieli mieć wstęp do wyjątkowych miejsc.

Kliknięcie: luksusowe wnętrze restauracji Le Grand Véfour.

- Interesowały ich prywatne zaproszenia, poufne informacje o ekskluzywnych wydarzeniach, możliwość zjedzenia obiadu w restauracji, w której stoliki były zarezerwowane na wiele tygodni wcześniej. Ich celem było przeżycie czegoś wyjątkowego i byli gotowi za to odpowiednio dużo zapłacić. Która firma spełniała ich zachcianki i komu zaufali? „Travelers”.

Kliknięcie: czarno-biała fotografia przedstawiająca eleganckiego mężczyznę opierającego się na lasce.

- Benji zatrudnił obytego w świecie paryżanina Jean-Pierre’a Fouriera, który świetnie sprawdził się w roli osoby organizującej bogatym Amerykanom wyszukane rozrywki. Jean-Pierre zabierał swoich klientów na specjalne wycieczki po katedrze Notre Dame i umożliwiał zwiedzanie Luwru poza oficjalnymi godzinami otwarcia. Rezerwował stoliki w najlepszych restauracjach i najelegantszych kawiarniach. Załatwiał zaproszenia na modne imprezy. Wynajmował samochody na wycieczki do Wersalu i klubu golfowego w Morfontaine. Potrafił zdobyć bilety na wyprzedane spektakle operowe i baletowe oraz wejściówki na wspaniałe koncerty w Sainte Chapelle. Można było również liczyć na jego dyskretną pomoc w znalezieniu pań do towarzystwa.

Malcolm zauważa, że jedna z kobiet spuszcza wzrok, a siedzący obok facet zakłada nerwowo nogę na nogę. Niektórzy poczuli się zażenowani tą informacją, ale nie mężczyzna w dobrze skrojonym garniturze.

- Łatwo było przekonać amerykańskich turystów, że zasługują na wszelkie luksusy i wyjątkowe przeżycia, a może nawet ich potrzebują. Już po roku pierwsza zagraniczna filia przeniosła się z ciasnego biura do znacznie większego lokalu w spokojniejszej i elegantszej części miasta, co bardzo odpowiadało pewnemu typowi klientów. Paryskie przedstawicielstwo odniosło sukces nie tylko jako agencja turystyczna, lecz także jako rozszerzenie marki „Travelers”. Czasopismo napędzało rozwój biura podróży i vice versa.

Kliknięcie: elegancka witryna niedaleko Via del Corso.

- Powstają filie w Rzymie, Florencji, Madrycie, Barcelonie, Atenach i Londynie. Wydatki są stosunkowo niewielkie, a zyski imponujące. Benji celowo unika rozgłosu, ponieważ oferta skierowana jest do szczególnego

grona odbiorców.

Kolejne kliknięcia: okładki pisma z lat pięćdziesiątych, sześćdziesiątych i siedemdziesiątych.

- Te same czynniki, które przyczyniły się do sukcesu magazynu, zadecydowały o dynamicznym rozwoju agencji turystycznych. Po Europie Zachodniej przychodzi czas na Afrykę Północną, Bliski Wschód i Amerykę Łacińską, a po upadku muru berlińskiego na Europę Wschodnią. Samo czasopismo również odnosi liczne sukcesy. Przyciąga najwybitniejsze talenty, zdobywa nagrody i zajmuje dominującą pozycję na rynku. Marka „Travelers” stale rozszerza siłę swojego oddziaływania i przynosi coraz większe zyski. Pod każdym względem staje się liderem swojej branży. Na początku lat dziewięćdziesiątych na sześciu kontynentach działa trzydzieści kilka przedstawicielstw „Travelers”. Każdego roku ukazuje się dziesięć dodatków specjalnych, a pismo ma największy nakład w swojej kategorii i oferuje najdroższą powierzchnię reklamową.

Kliknięcie: lata osiemdziesiąte i dziewięćdziesiąte.

- A potem?

Kliknięcie: czarny ekran. Malcolm rozgląda się po zebranych. Wszyscy wiedzą, co się stało, ale jak w szkole podstawowej nikt nie chce pierwszy zgłosić się do odpowiedzi na tak oczywiste pytanie.

- Potem byłem ja - mówi mężczyzna w dobrze skrojonym garniturze siedzący na drugim końcu stołu.

Malcolm napotyka jego wzrok. Dzieli ich sześć metrów lakierowanego blatu z drewna tekowego. Mebel będący doskonałym przykładem duńskiego modernizmu stanowi wyposażenie tego biura od samego początku.

- Potem ja się pojawiłem.

Mężczyźni wpatrują się w siebie z przeciwległych krańców stołu. Potentat nowych mediów, który chce kupić jeden z ostatnich bastionów symbolizujących minioną epokę. Są mniej więcej w tym samym wieku, najprawdopodobniej odebrali podobne wykształcenie, a kręgi ich znajomych i partnerów biznesowych na pewno się na siebie nakładają. Na diagramie Venna^[31] byłyby to dwa zbiory z dużą częścią wspólną. Malcolm jest jednak zdziwiony, że spotkali się dopiero miesiąc temu. Nigdy nie wymienili uścisków dłoni na plażach Hamptons ani nie wpadli na siebie podczas imprez charytatywnych w sali balowej Cipriani, na których pojawiali się we frakach szytych na zamówienie w zakładzie Sama, mieszczącym się w hongkońskiej dzielnicy Kowloon.

- Tak, to prawda. Świat mediów zmienił się nie do poznania. Stary nośnik informacji, czyli papier, wydrukowany, zszyty i dostarczany do kiosków i skrzynek pocztowych w całym kraju, ustąpił miejsca internetowi. Stara struktura finansowania: konsumenci płacący za treść plus zyski z reklam skierowanych do tychże konsumentów, również została zastąpiona nowym modelem.

Kliknięcie: na ekranie pojawia się główna witryna portalu travelers.com.

- Nie chciałbym lekceważyć tej rewolucji ani roli, jaką pan w niej odegrał. Bez wątpienia tak zwana tożsamość marki i lojalność konsumentcka znaczą dziś coś zupełnie innego. Jednak mimo wszystko dla wielu odbiorców, czy też raczej czytelników, te zmiany są nieistotne. Dla nich liczy się przede wszystkim treść oraz firma, która ją dostarcza.

Kliknięcie: logo „Travelers”.

Malcolm spogląda na twarze zgromadzonych, szukając oznak powątpiewania. Nic takiego nie widzi, co jednak nie oznacza, że wszyscy się z nim zgadzają. Znowu natrafia na obojętny wzrok osoby, która najprawdopodobniej będzie jego nowym szefem.

- Nakład papierowego wydania „Travelers” znacząco spadł. To z pewnością nikogo z państwa nie dziwi. Jednocześnie strona internetowa i wersje elektroniczne naszego czasopisma mają się całkiem nieźle, a liczba tak zwanych unikatowych użytkowników rośnie. Krótko mówiąc, grono naszych odbiorców stale się powiększa.

Kliknięcie: jeszcze jeden wykres, wielkie liczby stają się jeszcze większe.

- Jak można się było spodziewać, cyfrowa rewolucja odbiła się również na biurach podróży. Musieliśmy zamknąć wiele naszych zagranicznych przedstawicielstw.

Kliknięcie: mapa świata z 1998 roku z gwiazdkami oznaczającymi filie „Travelers”. Po chwili połowa z nich gaśnie.

- Co ciekawe, okazało się jednak, że istnieje całkiem sporo ludzi, którzy są wystarczająco dobrze poinformowani. Nie chcą kolejnych zniżek i nie pragną nowych możliwości. Nie interesuje ich ilość, ale jakość. Szukają kogoś, kto udzieli im najlepszych rekomendacji i powie, co należy wybrać. Krótko mówiąc, zależy im na tym, o czym trąbi się dzisiaj na prawo i lewo, czyli na tak zwanym wyjątkowym doświadczeniu. Na czym to polega? Najważniejsze jest zaufanie. Wiara w czyjeś kompetencje. Lojalność wobec marki. Jeśli prosisz szefa kuchni, żeby przygotował dla ciebie posiłek, zdajesz się całkowicie na jego wybór. Liczysz, że dostaniesz to, co w pełni cię

usatysfakcjonuje, ale nie będziesz musiał zaprzętać sobie głowy drobnymi, lecz uciążliwymi decyzjami. Tak samo jest w wypadku księgarza polecającego powieści, przewodnika wskazującego najlepsze miejsca do łowienia pstrągów czy sommeliera rekomendującego tę, a nie inną butelkę margaux w restauracji z gwiazdką Michelina.

Kolejne kliknięcia: górskie strumienie i butelki wina.

- „Travelers” od zawsze świadczy podobne usługi wymagającym turystom. Tak, to prawda, że zmieniły się nośniki, ale zawartość pozostała taka sama. Najważniejsza jest marka i zaufanie.

Kliknięcie: okładka ostatniego numeru pisma.

- Panie i panowie, oto „Travelers”. Najbardziej godna zaufania marka w branży turystycznej.

Rozdział 11

Sztokholm

Amerykanin, który każe na siebie mówić Joe, budzi się jak zwykle wcześnie rano. Jest do tego przyzwyczajony. Szczotkuje zęby, myje twarz i wyciera się cienkim postrzępionym ręcznikiem, który razem z tanimi meblami i mopem stanowi wyposażenie mieszkania. Żaden luksus, ale na początek wystarczy. Ciekawe, ale to właśnie łazienki wciąż przypominają mu, że jest za granicą: zawsze ciasne, z armaturą w dziwnych kształtach, rozsuwanymi drzwiami harmonijkowymi i zupełnie nieamerykańskim zapachem kosmetyków: mydła, kremu do golenia i szamponu.

Schodzi ze wzgórza na Folkungagatan, główną ulicę dzielnicy. Mija sklep z artykułami żelaznymi, zakład fotograficzny, pizzerię, kebabownię, supermarket, bar z sushi i mały lokal, w którym serwują zaskakująco dobre curry.

Kupuje gazetę i wchodzi do cukierni na ciastko i kawę. Składa zamówienie i rozgląda się po niewielkim pomieszczeniu. Jak zwykle siedzi tu kilka osób, ale nikt nie zwraca na niego specjalnej uwagi. Jego ulubione miejsce, w najdalszym kącie sali, jest wolne.

Czyta gazetę od deski do deski, delektuje się ciastkiem i powoli sączy kawę. Nigdzie się nie spieszy. Nie czekają go dziś żadne obowiązki. Tak jest zresztą codziennie. Przez pół wieku niemal non stop pracował, nawet jeśli wydawało się, że ma urlop. Potem musiał przejść na emeryturę.

Najpierw pojechał na Islandię i zaczął spokojne życie na wsi, ale od czasu do czasu dla odmiany odwiedza jakieś znane zachodnioeuropejskie miasto. Szczególnie upodobał sobie Sztokholm.

Za każdym razem, gdy otwierają się drzwi, podnosi głowę, ale tylko prześlizguje się wzrokiem po twarzach wchodzących klientów. Nie zwraca też uwagi na telewizor nastawiony na dwudziestoczworogodzinny kanał informacyjny pokazujący głównie wiadomości gospodarcze. Jaki rodzaj ludzi jest zainteresowany aktualną ceną akcji firmy Intel? Na pewno nie on.

W pewnym momencie w drzwiach cukierni staje kobieta. Jest wysoka i tak piękna, że nie da się jej nie zauważyć. Zamawia cappuccino i podchodzi

do gabloty z wypiekami, żeby dokonać trudnego wyboru.

Amerykanin spogląda na telewizor znajdujący się bezpośrednio nad jej ramieniem. Na ekranie pojawia się wiadomość z ostatniej chwili, o dziwo niezwiązana z finansami: na Capri odnaleziono ofiarę morderstwa. Sprawa wzbudziła zainteresowanie zagranicznych mediów: zbrodnia w luksusowym hotelu na słynnej wyspie, zepchnięty w przepaść trup z nożem w szyi, poszukiwana tajemnicza kobieta.

Joe stara się skupić, ale docierają do niego jedynie strzępy informacji. Ostatnio znacznie pogorszył mu się słuch, zresztą jak wszystko inne. Starzeje się i to w zastraszającym tempie. Bardzo długo uważał, że jest w świetnej formie. Był nawet pod wrażeniem własnej siły i odporności. Ale te czasy bezpowrotnie minęły.

Wstaje od stolika i idzie w stronę telewizora, nie zwracając najmniejszej uwagi na piękną blondynkę.

- Ofiara to najprawdopodobniej obywatel Stanów Zjednoczonych, od dawna mieszkający za granicą - mówi reporterka, wyprostowana jak struna na tle połyskującego w słońcu morza. Po lewej stronie ekranu pojawia się zdjęcie zamordowanego mężczyzny.

- Jasna cholera - mruczy pod nosem Joe i staje jak wryty na środku cukierni, blokując drogę wysokiej Szwedce.

- Ostatnim znanym adresem Taylora Lindhursta była niewielka wioska w południowo-zachodniej Francji.

Chociaż wielu rozsądnych ludzi mogło z rozmaitych powodów dybać na życie Lindhursta - nowe nazwisko starego znajomego - najprostsze wyjaśnienie wydaje się jednak najbardziej prawdopodobne.

Joe powinien jeszcze dzisiaj stąd zniknąć - spakować walizkę, przejść przez służbę na Gamla Stan, złapać pociąg na lotnisko i wrócić na Islandię. A może lepiej dać sobie spokój z bagażem i już teraz udać się na przystań Vartahammen, żeby wsiąść na pokład pierwszego lepszego nocnego promu na Łotwę lub do Estonii. Tam nikt nie będzie go szukał, a nawet jeśli, to i tak go nie znajdą.

Do tej pory wydawało mu się, że w Skandynawii jest całkowicie bezpieczny. Wmawiał sobie, że umrze tutaj śmiercią naturalną. Albo w końcu go dopadną, a wtedy wszystko stanie się tak szybko, że nie zdąży usłyszeć świstu kuli. Nawet w środku nocy stara się sam siebie przekonać, że ta druga ewentualność byłaby lepsza.

Nowy Jork

Will wychodzi na Szóstą Aleję, prosto w sam środek Manhattanu. To właśnie tutaj bije serce amerykańskich mediów: Time Life, McGraw-Hill, Sirius and Fox, CBS oraz S&S. Wielkie korporacje, drapacze chmur, jednolita, anonimowa zabudowa z połowy dwudziestego wieku, łopoczące flagi i tryskające fontanny, wielkie modernistyczne rzeźby górujące nad wózkami z prażonymi orzeszkami i hot dogami, a wokół tłum małych ludzików pędzących gdzieś jak mrówki. Will jest jednym z nich. Przechodzi przez wybrukowany skwer, omiatając wzrokiem setki otaczających go twarzy. Jest zwykły dzień roboczy, wpół do szóstej po południu.

Zatrzymuje się na rogu. Obok przejeżdżają taksówki i limuzyny, SUV-y i mini coopery, samochody ciężarowe i autobusy. Trąbią, charczą i wypuszczają z siebie czarne kłęby toksycznych spalin. Will stoi na samym skraju chodnika i ma wrażenie, jakby kołysał się nad przepaścią, w którą w każdej chwili może runąć. Czuje, jak za jego plecami zbiera się tłum. Ma ochotę się odwrócić, ale tego nie robi.

Zmienia się światło. Will przebiega na drugą stronę i przeciska się w stronę Piątej Alei. Panuje tutaj jeszcze większy ruch niż na Szóstej. Centrum Rockefellera, katedra św. Patryka, dom towarowy Saks. Wszędzie nieprzebrana masa ludzi.

Odwraca się, żeby sprawdzić, czy ktoś go nie obserwuje.

Wraca na Szóstą i schodzi na plac znajdujący się pod Centrum Rockefellera. Mieści się tu stacja metra i pasaż handlowy z pizzeriami oraz lokalami, w których można wyczyścić buty i kupić parasol za sześć dolarów. Przedziera się przez tłum, wspina po schodach i wychodzi na drugą stronę. Idzie na Górny Manhattan, ale w pewnym momencie zatrzymuje się przy straganie z gazetami, rzuca okiem na kilka okładek i rusza w przeciwną stronę. Skręca w boczną uliczkę, a potem w jeszcze jedną.

Kluczy w ten sposób przez dobre pół godziny. Lustruje wzrokiem przechodniów, mija sklepy z pamiątkami, indyjskie restauracje, jubilerów i kioski z prasą. Przystaje przed irlandzkim pubem z brudną witryną, jakby się zastanawiał, czy wejść do środka, ale zmienia zdanie i wraca do dwupiętrowej przeszklonej jadłodajni z miejscami do siedzenia na antresoli. Z dołu widzi parę nóg w skórzanych kozakach.

W środku oślepia go jasny blask jarzeniówek. Po raz pierwszy w życiu

przebył tak zwaną trasę kontrobservacyjną i jest aż nazbyt świadomy fizjologicznych reakcji swojego organizmu. Serce wali mu jak oszalałe, ma spocone dłonie i cały się trzęsie.

Zamawia kawę, chociaż wcale nie potrzebuje środków pobudzających. Tak naprawdę ma ochotę na zimne piwo. Jest już w końcu późne popołudnie, a na dodatek zrobiło się całkiem ciepło. Kto o takiej porze idzie na kawę?

Wyrzuca do kosza gorący napój i kupuje piwo, nie zwracając uwagi na lekko zdziwioną minę sprzedawcy. Przechodzi obok osłoniętej lady z gorącymi daniami. Potrawy z taniej jadłodajni, które bierze się na wynos i je w samotności.

Wspina się na antresolę i wybiera pusty stolik, w którego pobliżu nie ma żadnych ludzi. Siada plecami do ściany.

Nie może się powstrzymać i spogląda w stronę kobiety, która wkłada właśnie do papierowego kubka torebkę herbaty.

Will przebiega wzrokiem po szpaltach gazety, ale tak naprawdę wcale nie czyta. Na następnej stronie jest jakiś artykuł o Pakistanie, a może Afryce Zachodniej. Pije odrobinę piwa, ale prawie nie czuje smaku, więc bierze większy łyk.

Pamięta o telefonie i wyjmuje z niego baterię. Nauczył się tego dwa dni temu na drugiej półkuli. Chowa komórkę do kieszeni i sięga po szklanekę...

- Will Rhodes?

Kobieta staje przy jego stoliku i szeroko się uśmiecha.

- To ty? - Will podnosi się z plastikowego krzeselka i całuje ją w policzek, udając, że cieszy się ze spotkania.

- Nie zaproponujesz, żebym się dosiadła?

- Jasne, proszę - mówi, wskazując wolne miejsce.

Kobieta trzyma w rękach torebkę, jakieś czasopismo, banana, serwetkę i kubek z herbatą. Kładzie wszystko na stoliku, robiąc tym samym niezły bałagan. Spięła włosy z tyłu głowy i chyba w ogóle nie jest umalowana. Ma na sobie luźny sweter i nieco staromodną spódnicę. Nie wygląda, jakby specjalnie o siebie dbała, i w niczym nie przypomina fantazji ze snów erotycznych.

Will nadal nie może uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Albo w zasadzie, że już się stało.

- Chyba nie jestem w stanie tego zrobić - mówi.

- Spokojnie, dasz radę. Pierwszy raz jest zawsze najtrudniejszy. Tak jest ze wszystkim. Mam dla ciebie dobrą wiadomość: znamy szczegóły twojej

argentyńskiej wycieczki, więc nie musisz pisać raportu.

- To po co się spotykamy?

Kobieta zaczyna obierać banana.

- Żeby przetestować różne rzeczy.

- A co konkretnie?

- Procedury - wyjaśnia, zdejmując kolejne paski skórki.

- Czyli sprawdzić, czy wykonuję rozkazy i wracam, gdy się mnie zawoła?

- Tak - odpowiada i odgryza kawałek banana, po czym przeżuwa i połyka.

- Chcemy też wiedzieć, jak radzisz sobie z pokonywaniem trasy kontrobowej.

Jeszcze w hotelu Elle i Roger przez wiele godzin wyjaśniali mu, o co chodzi, a potem ćwiczył na ulicach Mendoza.

- Jak mi poszło?

- Raczej średnio.

- Świetnie, kolejna rzecz, której nie potrafię. Mogę już iść?

- Naprawdę masz zamiar się tak zachowywać?

Patrzy na nią z nieskrywaną złością. Trudno mu uwierzyć, że jeszcze kilka dni temu był w niej zakochany. Co więcej, wydawało mu się, że ona czuje do niego to samo. Teraz jej nienawidzi.

- Czy ktoś coś podejrzewa? - pyta Elle. - Może Chloe?

Will milczy.

- A twój szef? Malcolm, prawda? Malcolm Somers?

Cisza.

- Co mu powiedziałeś o wyjeździe do Argentyny? Wspomniałeś o nas?

Will wciąż się nie odzywa.

- Pokazywałeś mu zdjęcia? Na przykład to na plaży w bikini? - Odchyła się i odgryza spory kawałek banana. - Wiesz, że nigdy nie byłam w Australii? To był Photoshop.

- Czy my jesteśmy przyjaciółmi? Przestań się zgrywać, dobra?

- Wydaje ci się, że jak zaczniesz okazywać mi jawną niechęć, to będziesz miał łatwiej? Co ty sobie w ogóle wyobrażasz? - Pochyliła się i zniżyła głos. - Słuchaj, we Francji i Argentynie dobrze się razem bawiliśmy. Byłam w pracy, ale te wieczory naprawdę sprawiły mi przyjemność. Wcale nie ściemnam.

Will prychnął lekceważąco, ale Elle nie reaguje.

- W każdym razie miło cię znowu widzieć - mówi podniesionym głosem, jakby zwracała się do szerszej, lecz nieistniejącej publiczności. - Muszę

lecieć. - Wstaje, zbiera swoje rzeczy, ale zostawia na serwetce skórkę od banana. - Do zobaczenia za tydzień.

- Naprawdę?

Elle stuka palcem w kawałek papieru - kopertę? - który musiała położyć na blacie razem ze śmieciami, po czym znika.

Zgodnie z instrukcją Will oczekuje kilka minut, a potem chowa kopertę do kieszeni i wychodzi na ulicę. W porównaniu z prawie pustą jadłodajnią, w której było cicho jak w sali operacyjnej, na zewnątrz panuje nieznośny hałas. Skąd bierze się tylu ludzi z plecakami i słuchawkami na głowie? Jakie mają sekrety? Kogo okłamują?

Po drugiej stronie ulicy Will zauważa znajomą twarz: o ścianę opiera się Roger, kolega Elle. Ma skrzyżowane nogi, a w ręku trzyma telefon. Nie rzuca się w oczy. Wygląda, jakby na kogoś czekał i próbował coś zrobić z wolnym czasem. Jak długo tu sterczy? Czy przez cały dzień śledził Willa, a ten się nawet nie zorientował?

W uchu Rogera tkwi słuchawka połączona kabelkiem z telefonem. Musiał podsłuchiwać całą ich rozmowę. To więcej niż pewne. Zresztą być może nie tylko on.

Will patrzy na zegarek. Do obiadu z żoną zostało mu sporo czasu. Jeśli się nie myli, Chloe przechodzi właśnie owulację.

Mendoza

- Twoim zadaniem będzie identyfikowanie celów, z którymi można nawiązać współpracę - powiedziała.

- Celów?

- Zagranicznych dziennikarzy, polityków, biznesmenów, policjantów. W kręgu naszych zainteresowań jest każdy, kto ma jakieś wpływy albo regularnie kontaktuje się z ważnymi ludźmi. Połowę życia spędziłeś w podobnym gronie, ale sam jesteś tylko płotką.

Wyprostował się, dotknięty tymi słowami, ale trudno było im zaprzeczyć.

- Nikt nie zwraca na ciebie specjalnej uwagi i nie będzie podejrzewał, że nie jesteś osobą, za którą się podajesz. Idealnie odpowiadasz naszym wymaganiom. Łatwa i intratna praca. Kto wie, może nawet sprawi ci przyjemność. Twoje zadania mogą być całkiem ekscytujące.

Will wbił wzrok w talerz, na którym leżała fura nietkniętego jedzenia. To

było jego drugie śniadanie w towarzystwie tej kobiety. Poprzednim razem miał wilczy apetyt.

- Nie oczekujemy, a nawet nie chcemy, żebyś sam decydował, kto jest ważny. To moje zadanie. To ja oceniam wartość potencjalnych celów. Ty robisz rozpoznanie i składasz raport.

- Rozpoznanie czego?
- Ich słabości.
- Tak to nazywacie?
- Wszyscy to robią, ale tylko nieliczni się do tego przyznają.



- Trzymaj - powiedziała, wręczając Willowi skrawek papieru.

Na karteczce zapisana była starannym odręcznym pismem alfabetyczna lista barów i restauracji. Jedna pozycja na każdą literę alfabetu: Arthur's Alehouse, Bridget's Saloon, Café Fifty, Drinkwaters. Obok lokalizacja: róg Czwartej Dziewiątej i Dziesiątej, okolice Lexington i Trzydziestej Siódmej i tak dalej.

- W tych miejscach będziemy się spotykać. Naucz się tego na pamięć, a potem zniszcz.

Will wpatrywał się w kartkę, starając się znaleźć jakiś punkt zaczepienia, osadzić te lokale w znanej mu rzeczywistości, ale bezskutecznie.

- Chodzi o Nowy Jork? Nie słyszałem o żadnej z tych knajp.

- I właśnie o to chodzi. Niewyszukane bary i tanie jadłodajnie. Miejsca, w których można się napić i najeść za niewielkie pieniądze. Mało prawdopodobne, że wpadniesz tam na kogoś znajomego. Jednak nie można tego wykluczyć. W takiej sytuacji musisz dać sygnał do ewakuacji. Kichniesz, żeby zwrócić moją uwagę, a potem dla potwierdzenia wytrzesz nos wierzchem dłoni.

- W porządku.
- Pokaż, jak to robisz.
- Uważasz mnie za idiotę?
- Na razie nie. Rób, co ci każę.

Will udaje, że kicha i wyciera nos.

- Świetnie. Niezależnie od miejsca to będzie oznaczało koniec spotkania. Jednak nie spodziewaj się, że od razu zniknę. Przez jakiś czas będę zajmować się swoimi sprawami: czytać gazetę, przeglądać internet, jeść hot doga.

- Hot dog?

- Jeśli dasz znak, a ja nie zareaguję, zostaw mnie w spokoju. Nie podchodź, nie próbuj nawiązać kontaktu wzrokowego. Nie zbliżaj się również, kiedy to ja dam sygnał ewakuacyjny.

- A co, jeżeli kichnę przypadkiem?

- Nie rób tego.

Spacerowali gruntową dróżką, wijącą się między budynkami gospodarczymi hacjendy. Mijali krowy, konie, stodoły, poidła i długie koryta wypełnione paszą. Część hotelowa znajdowała się jakieś osiemset metrów stąd, wystarczająco daleko, żeby przy sprzyjającym wietrze poczuć wiejskie zapachy, ale nie na tyle blisko, żeby stanowiło to problem. Smród krowiego gówna z pewnością oznaczałby, że luksusowy ośrodek straciłby w rankingach jedną gwiazdkę, a może nawet dwie.

- O spotkaniach będę cię informować esemesem - powiedziała, wręczając Willowi toporny telefon z klapką.

- Co to jest?

Spojrzała na niego jak na półgłówka.

- Na pierwszy rzut oka wygląda jak komórka na kartę, ale tak naprawdę to bardzo precyzyjne urządzenie lokalizujące, które pozwoli określić twoje położenie z dokładnością do kilku metrów.

- Super. Od razu czuję się lepiej.

- Wcale nie chodzi o to, żeby wiedzieć, gdzie jesteś, lecz o to, by zarejestrować sygnały wysyłane przez inne telefony znajdujące się w twoim bezpośrednim otoczeniu. Specjalna aplikacja prześle ich numery do centrali, dzięki czemu będzie można sprawdzić, co się z nimi dzieje w ciągu kilku godzin po spotkaniu.

- Po co?

- Żeby zobaczyć, kogo spłoszyłeś. Oraz z kim skontaktuje się spłoszony. Między innymi w ten sposób ustalamy wartość potencjalnych współpracowników.

Will zaczął oglądać urządzenie, które wyglądało jak najtańsza komórka z supermarketu.

- To również zwykły telefon, którego będziesz używał w kontaktach ze mną i tylko ze mną! Dzwonisz albo wysyłasz esemesa. - Elle zdjęła pokrywkę i wyjęła baterię. - Jednak kiedy jesteś w Ameryce, wyłączasz zasilanie. Uruchamiasz raz dziennie, najlepiej w południe, i sprawdzasz wiadomości. Jeśli będę chciała się spotkać, wyślę ci słowo klucz, na przykład

„wymijający” albo „sromotny”.

- Sromotny?

- Ważna jest pierwsza litera. Widzimy się w miejscu, którego nazwa zaczyna się na kolejną literę alfabetu. Jeżeli dostaniesz wiadomość ze słowem „deuteronomiczny”...

- Kto to wszystko wymyślił? - burknął Will i spojrzał na listę. - Zobaczymy się w knajpie Edgecombe na Murray Hill. A co, jeśli się nie pojawię?

- Będę wkurzona.

- Uhm. Kiedy?

Elle spojrzała na niego skonsternowanym wzrokiem.

- Od razu.

- Pytałem, kiedy będą te spotkania.

- W ciągu godziny po otrzymaniu esemesa wysyłasz potwierdzenie. Musisz dać sobie wystarczająco dużo czasu, żeby pokonać trasę kontrolobserwacyjną.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Później ci wszystko wyjaśnię. Ważne, że sam wyznaczasz czas spotkania i podajesz go w wiadomości zwrotnej, ale tak naprawdę widzisz się ze mną dwie godziny później. Piszesz: „szesnasta trzydzieści”, a przychodzisz o.

- Wpół do siódmej.

- Brawo. Szybko się uczysz.

Spojrzał na nią z ukosa, dezorientowany i niepewny, jaka relacja ich łączy. Dlaczego mu dokucza?

- Okej. Tak będzie po każdym wyjeździe?

- Zgadza się.

- Skąd będziesz wiedzieć, że wróciłem?

Na to naiwne pytanie Elle zareagowała wybuchem śmiechu.

- Kiedy przyjdiesz do baru lub jadalni - kontynuowała - nie nawiązuj ze mną kontaktu wzrokowego. Ja też nie będę na ciebie patrzeć. Zamów coś i usiądź przy pustym stoliku, z dala od innych klientów. Udawaj faceta, który przyszedł na poranną kawę albo na piwo po skończonym dniu pracy i chce pobyć chwilę w samotności. Zawsze wybieraj miejsce z dala od drzwi i okien. Jasne?

- Tak. Nie mogę siedzieć na widoku.

- Podejdę, gdy będę miała pewność, że nikt nas nie obserwuje. Albo cię zawołam.

- Jak?

- Nawiążemy kontakt wzrokowy. Ważna rzecz: musisz mieć całkowitą pewność, że na ciebie patrzę i to przynajmniej przez kilka sekund. Jeśli jest inaczej, nawet się do mnie nie zbliżaj. Może się zdarzyć, że w ogóle na ciebie nie spojrzę. W takiej sytuacji odczekam pięć minut, kichnę, wytrę nos i wyjdę z lokalu, ani słowem się do ciebie nie odzywając. Pod żadnym pozorem za mną nie idź. Spotkanie odwołane. Zrozumiałeś?

Will skinął głową.

- Wiesz dlaczego?

- Tak mi się wydaje.

- Co jest niejasne?

- Po co ktoś miałby mnie śledzić.

- Może wcale nie chodzi o ciebie?

Szli w milczeniu. Will potrzebował czasu, żeby nowe informacje w pełni dotarły do jego świadomości. Na niebie krążył jastrząb. Unosił się nad ich głowami, wykorzystując prądy powietrzne. Pewnie szukał ofiary. Will miał nadzieję, że nie padnie łupem drapieżnika. Chociaż być może już tak się stało.



Często jej się to zdarza? W zeszłym miesiącu też tak kogoś potraktowała? Znowu coś takiego planuje?

- Nie nazywasz się Eleanor Hardwick, prawda?

- Jasne, że nie.

- Ale istnieje przecież Eleanor Hardwick? Australijska dziennikarka? Czytałem jej artykuły w internecie. No i trochę ją szpiegowałem.

- Prawdziwa Elle mieszka w Sydney z mnóstwem kotów. To rodzaj obsesji. Nie tylko opiekuje się żywymi stworzeniami, lecz ma także całą masę fotografii i obrazów. Nosi swetry z kotami i zbiera popielniczki w kształcie tych zwierząt.

- Jak mam się do ciebie zwracać?

- W formalnych sytuacjach: oficer prowadząca Hardwick. Na co dzień wystarczy Elle. Jesteśmy dziennikarzami. Poznaliśmy się we Francji. Pamiętasz?

Była oficerem CIA, a nie początkującą australijską dziennikarką? Naprawdę zeszłej nocy poszedł z nią do łóżka? A może tylko mu się

wydawało?

- Mamy udawać, że się znamy?

- Udawać? Przecież naprawdę się znamy. Mamy świadków na dwóch kontynentach. Co więcej, najprawdopodobniej znowu spotkasz tych ludzi. Jeśli zaczniemy odgrywać komedię, wpakujemy się tylko w zupełnie niepotrzebne tarapaty. Historia naszej znajomości jest może prosta, ale przez to wiarygodna. Nie musimy ściemniać. Poznaliśmy się w Saint-Émilion, a potem wpadliśmy na siebie - cóż za niespodzianka! - w Mendozie. Wczoraj wieczorem poszliśmy razem na drinka.

- I?

- I co? Jesteś przecież żonaty, czyż nie?

Naprawdę oczekiwała odpowiedzi?

- Popełniłeś łatwy do przewidzenia i całkowicie zrozumiały błąd. - Jej wyjaśnienie brzmiało bardzo naturalnie, jakby już kiedyś odbyła podobną rozmowę. - Na twoim miejscu nikomu bym o tym nie mówiła. Chyba że zaczniesz chodzić do terapeuty, co w sumie jest całkiem niezłym pomysłem.

- Nie rozumiem. To ma być część mojego kamuflażu?

- A chciałbyś?

Był zdezorientowany i nie wiedział, o czym tak naprawdę rozmawiają. O prawdziwym życiu czy o fikcyjnej historyjce, którą próbowali skonstruować? A może to jedno i to samo? Czuł, jak rośnie w nim frustracja i pojawiają się pierwsze oznaki złości.

- Nigdy wcześniej nie zdradziłem żony. Nawet się z nikim nie całowałem.

Odwróciła się, pokazując, że jest gotowa go wysłuchać. Will postanowił dać wyraz swojemu niezadowoleniu.

- Jak mogłaś mi to zrobić? - Czuł się naprawdę skrzywdzony. - Jaką trzeba być osobą, żeby zachowywać się w ten sposób?

- Nie powinieneś brać tego do siebie. - To było wyjaśnienie, a nie przeprosiny.

- A niby, kurwa, do kogo?

- Hej ! - Podniosła rękę, pokazując, żeby się uspokoił. - Nikt cię przecież do niczego nie zmuszał. Dałeś się podejść, a ja to wykorzystałam. Na tym polega moja praca. Poza tym to nie było specjalnie trudne.

- Chce mi się rzygać. Jesteś potworem.

- Z pewnością nie można cię obarczyć stuprocentową winą, ale też nie jesteś bez grzechu.

Wiedział, że to prawda. Był zły nie tylko na nią, lecz także na siebie.

Wszystko schrzanił, ponieważ był słaby i próżny.

- Powiem ci coś jeszcze. Każdego można osaczyć i wykorzystać, więc się za bardzo nie przejmuj.

Odwrócił się i spojrział w stronę odpicowanej dla potrzeb turystów hacjendy: wyidealizowana wersja życia, które tak naprawdę jest trudne i zagmatwane. Spędzili tutaj cały dzień. Tak jak kilka tygodni wcześniej w Bordeaux, ale wtedy Will myślał, że się w sobie zakochują, co okazało się kompletną ułudą. Dzisiaj rozmawiali o jego nowej pracy i nowych zobowiązaniach, które oznaczały, że będzie musiał okłamywać swoich kolegów, przyjaciół, no i przede wszystkim żonę.

- Przepraszam, że walnęłam cię pięścią w twarz.

Norfolk, Wirginia

Od wyjazdu do sielskiej Argentyny minęło zaledwie kilka tygodni, ale Will ma wrażenie, że to było wieki temu. Jest teraz chyba w największej bazie morskiej na świecie i jednym z centrów dowodzenia strategicznego NATO. Patrzy na lotniskowce i łodzie podwodne, niszczyciele i krążowniki. Pracuje tu osiemdziesiąt tysięcy ludzi: grube karki, panoramiczne okulary przeciwsłoneczne i barczyste, wyprostowane sylwetki. Czegoś takiego nie widzi się w redakcjach na Manhattanie.

Na lotnisko wyjeżdża po niego nieoznakowany szary SUV na cywilnych numerach z Wirginii, z przyciemnianymi tylnymi szybami, przez które nic nie widać. Kierowca wita się w Willem, bierze od niego bagaż, ale się nie przedstawia.

Odjeżdżają sprzed terminalu i po kilku minutach zatrzymują się przed zamkniętą fabryką, na której terenie nie widać żywego ducha. Przy krawężniku stoi samotny mężczyzna.

- O co chodzi? - pyta Will.

Kierowca nie odpowiada, tylko odblokowuje drzwi. Will nie zdawał sobie sprawy, że były zablokowane. Mężczyzna wsiada na tylną kanapę.

- Cześć - mówi i podaje Willowi kawałek czarnego materiału. - Muszę cię poprosić, żebyś to założył. Względy bezpieczeństwa.

Will patrzy na krótko obciętego mężczyznę, który wcale nie wygląda, jakby żartował, po czym zakłada opaskę.

Samochód rusza i rozpędza się do siedemdziesięciu, może osiemdziesięciu

kilometrów na godzinę. Od czasu do czasu autem potrząsają podmuchy wiatru i zmienia się ciśnienie powietrza, co oznacza, że wjechali w tunel. Will jest niemal pewien, że znajdują się na Chesapeake Bay Bridge-Tunnel, trzydziestosiedmiokilometrowym odcinku autostrady łączącym aglomerację Norfolk z półwyspem Delmarva.

Potem pędzą wzdłuż Wschodniego Wybrzeża, czasami zatrzymując się na czerwonych światłach. Najprawdopodobniej jadą drogą numer 13. Przed podróżą Will przez kilka godzin studiował mapę, podejrzewając, że właśnie tak to się skończy. Jego kartograficzna obsesja wreszcie się do czegoś przydała.

Nagle skręcają na wyboistą drogę gruntową. Po kilku minutach SUV się zatrzymuje, Will słyszy elektroniczny szum i zgrzyt jakiegoś mechanizmu. Otwiera się brama wjazdowa.

- Możesz odsłonić oczy.

Will ściąga szeroką opaskę i rozgląda się dookoła: po jednej stronie widzi wysokie ogrodzenie z siatki, a z przodu wąski trakt, na którym nie zmieści się więcej niż jeden pojazd. Dojeżdżają do skromnego wiejskiego domu - biały dach kryty gontem, zielone okiennice - do którego dobudowano z tyłu niskie, pozbawione okien skrzydła. Obok stoją dwa duże klimatyzatory.

- Recepcja jest w holu na parterze - mówi mężczyzna z tylnego siedzenia. Wyciąga rękę i przez ułamek sekundy Will myśli, że chce mu uścisnąć dłoń.

- Proszę mi oddać swój telefon.

Will wspina się po kilku stopniach na werandę i otwiera drzwi. U stóp schodów prowadzących na piętro stoi biurko. Siedzi przy nim poważnie wyglądający mężczyzna. Obrzuca Willa badawczym spojrzeniem i mówi:

- Będzie pan mieszkał w pokoju numer sześć na piętrze. Teraz proszę jednak iść na siłownię na świeżym powietrzu. Czekają tam na pana.

Wschodnie Wybrzeże, Wirginia

- Mam rozumieć, że jako dziecko ćwiczyłeś karate? - pyta mężczyzna w obcisłym T-shircie, bojówkach z kamuflażem i wojskowych butach. Przedstawił się jako Jim.

W szkole podstawowej i w gimnazjum Will uprawiał różne sztuki walki.

- To dobry początek - mówi Jim. - Będzie nad czym pracować.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, rzuca się na Willa, ale ten robi całkiem

profesjonalnie wyglądający unik.

- Co ty, do cholery, wyprawiasz?! - wrzeszczy.
- Witam na kursie walki wręcz.

Jim jeszcze raz atakuje, tym razem jednak agresywniej i mocno uderza przeciwnika w klatkę piersiową. Will zatacza się do tyłu, z trudem łapiąc oddech.

Jim rozstawia szeroko stopy i delikatnie się uśmiecha.
W porządku, myśli Will. Do roboty.



- Zapamiętałeś kody?

Will kiwa głową.

- Dobrze. W takim razie powtórz.

Will recytuje wszystkie nazwy, adresy i sekwencje liczb, których nauczył się w ciągu ostatniego dnia. Są wśród nich również hasła alarmowe.

- O co chodzi? - zapytał, kiedy Elle po raz pierwszy mu o tym wspomniała.

- Gdyby zdemaskowała cię żona, wysyłasz kod „gwiazdka jeden”, szef: „gwiazdka dwa”, ktoś inny: „gwiazdka trzy”.

- Czy to rzeczywiście takie niebezpieczne, jeżeli Chloe się dowie?

- Może tak, a może nie. Jak zaczną ci deptać po piętach organy porządku publicznego: „krzyżyk jeden”, agenci wywiadu: „krzyżyk dwa”, ktoś inny: „krzyżyk trzy”.

- Organy porządku publicznego? Będę łamał prawo?

Cisza.

Jeszcze raz powtarza listę kodów: dom, biuro i znajdujące się w okolicy stacje metra. Potem zagranica: hotelowe lobby, najbliższy bar położony na zachód, informacja na głównym dworcu kolejowym, kasa biletowa dla pasażerów pierwszej klasy miejscowych linii lotniczych, rosnące liczby oznaczające dystans od miejsca, w którym pojawiło się zagrożenie.

- A co z amerykańską ambasadą?

- Nie będziesz tam chodził.

- Nawet jeśli wpadnę w tarapaty?

- Przestrzegaj procedur, a my ci pomożemy.

- Ale co w sytuacji, gdy znajdzie się w bezpośrednim niebezpieczeństwie?

- Będziesz musiał sobie poradzić.

Patrzy na nią wyraźnie zaniepokojony.

- Will, chcę, żebyśmy się dobrze zrozumieli: między tobą a mną jest ogromna różnica. Ja zostałam zwerbowana, przeszłam przez całą procedurę rekrutacyjną, a potem mnie zatrudnili i przeszkolili. Mam ubezpieczenie zdrowotne i emerytalne oraz certyfikat dostępu do informacji niejawnych. A ty nie. Dlatego właśnie przyjechaliśmy do podrzędnego ośrodka treningowego, a nie na Farmę. Nie jesteś na etacie CIA, nie pracujesz dla Langley^[32], pracujesz dla mnie.

~ ♦ ~

- Podajesz wszystkie istotne szczegóły: zawód, miejsce zamieszkania, wiek, wygląd, cechy charakterystyczne oraz gdzie się spotkaliście, w jakich okolicznościach i o której godzinie.

- Mam cię informować o każdej nowo poznanej osobie?

- Nie. Nie interesują mnie szefowie kuchni, winiarze, rolnicy i cały ten biznes lifestylowy.

- Dobra, czyli macie w dupie to, czym się zawodowo zajmuję.

- Szukamy ludzi, którzy coś znaczą. Ludzi, z którymi moglibyśmy nawiązać współpracę: dyplomatów, urzędników administracji rządowej, wpływowych przedsiębiorców, ważne figury ze świata mediów oraz rzecz jasna przestępców, chociaż pewnie rzadko spotykasz kogoś, kto się do tego otwarcie przyznaje, prawda? Aha, no i Amerykanów.

- Dlaczego akurat Amerykanów?

- Pozwól, że ci coś wyjaśnię: nigdy nie pytaj dlaczego. Ani teraz, ani nigdy. To nie twój interes. Co więcej, to również nie mój interes. Naszym zadaniem jest dowiadywanie się kto, co, kiedy i gdzie, a nie dlaczego.

Był zdziwiony, że Elle zwraca się do niego tak ostrym tonem, jak gdyby była o coś zła. Jeśli ktoś miał powody do irytacji, to raczej nie ona.

- Tak właśnie działa wywiad. Pracujesz, nie mając pojęcia, jaki to ma sens. Zlecają ci różne zadania i dobrze, jeśli wiesz, jak je wykonać. Gdyby jednak ktoś przedstawił ci jakieś wyjaśnienie, lepiej puścić to mimo uszu.

Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie.

- Nigdy nie proś o wytłumaczenie. Możesz sam się nad tym zastanawiać, ale wtedy tylko rozboli cię głowa. Jeśli zaczniesz pytać, wyjdiesz na naiwniaka.

- Przecież jestem naiwniakiem.
- To nieprawda, już nie jesteś.



Co tam słyhać w Wirginii?

- Gorąco - mówi Will. - I duszno. - Nie jest specjalnie rozmowny, ponieważ nie chce okłamywać Chloe bardziej niż to konieczne. Powiedział jej, że zatrzymał się po drugiej stronie zatoki Chesapeake. Korzysta z telefonu stacjonarnego, ale osobom, do których dzwoni, wyświetla się numer jego komórki.

Elle mieszka na tym samym piętrze. Na do widzenia rzuciła, że przed obiadem weźmie prysznic. Will wyobraża sobie, jak wstaje z niewygodnego materaca, idzie korytarzem, puka do jej drzwi, a ona otwiera mu w samym ręczniku i mówi: „O, cześć, zapraszam do środka...”.

- A co u ciebie? - zwraca się do żony. - Czym się teraz zajmujesz?



Na ekranie widać pokój Willa filmowany z dwóch ukrytych kamer.

- Rozmawia z żoną? - pyta Roger.
- Tak.

Dźwięk jest zadziwiająco czysty, ale pogawędka małżonków nie przynosi żadnych rewelacji, co było zresztą łatwe do przewidzenia. Elle i Roger siedzą w pomieszczeniu ochrony na parterze, przed ścianą monitorów, na których obserwować można każdy zakątek położonego na osiemdziesięciu hektarach ośrodka z czterdziestoma miejscami noclegowymi.

- Jednego nie rozumiem. Dlaczego organizujemy mu szkolenie z walki wręcz?

Elle głośno wzdycha. Miała nadzieję, że stosunkowo ograniczona inteligencja Rogera nie będzie stanowiła specjalnego problemu. Liczyła przede wszystkim na jego siłę, a nie rozum. Teraz ma wątpliwości. Co się stanie, jeśli popełniła błąd i ten facet okaże się jedynie ciężarem?

- Wcale go nie szkolimy. On tylko ćwiczy na siłowni i niczego się nie uczy. Możemy go w ten sposób ocenić. - Przysuwa twarz do monitora. - I przez cały czas mieć go na oku.

Rozdział 12

Londyn

- Wypoczynek czy interesy?
- Interesy.
- A czym się pan zajmuje, panie Rhodes?
- Jestem pisarzem.

Funkcjonariusz urzędu imigracyjnego podnosi wzrok znad dokumentów.

- Naprawdę?

Will potwierdza skinieniem głowy.

- Jak długo planuje pan zostać w Wielkiej Brytanii?

- Hm, pojutrze jadę do Szkocji, a potem do Irlandii. - Nie jest sobie w stanie przypomnieć kiedy. - Chyba za pięć dni.

Chciałby wziąć głęboki oddech, ale uznaje, że w takiej sytuacji lepiej nie okazywać zdenerwowania.

- Przepraszam. Jestem strasznie zmęczony.

Urzędnik przypatruje się uważnie Willowi, bez wątpienia zastanawiając się, z jakiego rodzaju świrem ma do czynienia. Po chwili, zupełnie nieoczekiwanie, wbija stempel do paszportu i oznajmia:

- Witamy w Zjednoczonym Królestwie.

Kilka minut później Will jedzie już pociągiem na dworzec Paddington. Osuwa się na wolne siedzenie i stara się uspokoić. Potem łapie czarną taksówkę, która zawozi go do hotelu na Mayfair. Saudyjscy książęta traktują tę dzielnicę jak tor Formuły 1. Ulicami pędzą żółte lamborghini i czerwone ferrari, a ryk silników informuje wszem wobec o bogactwie właścicieli.

- Cześć - mówi Will, nagrywając się na pocztę głosową swojej żony. Chloe rzadko odbiera telefon, ale prawie zawsze oddzwania. Przynajmniej do niedawna tak było. Jednak ostatnio ciągle jest zajęta: albo ma spotkanie, albo ćwiczy jogę, albo właśnie jedzie metrem, albo rozmawia przez komórkę z kimś innym. - To ja. Właśnie przyleciałem do Londynu. Kocham cię.

Na szklanych drzwiach londyńskiego biura wciąż wisi tabliczka z napisem „Otwarte”. Przed pierwszym stanowiskiem, w skórzanych fotelach klubowych, siedzi para Amerykanów w średnim wieku. Obsługuje ich

profesjonalnie wyglądająca kobieta, która posyła Willowi przelotny uśmiech. Will kieruje się w stronę starszego mężczyzny, który siedzi z tyłu pomieszczenia, przekłada jakieś papiery, rozmawia przez telefon i nie wygląda zbyt przyjaźnie. Nazywa się Cecil Wilmore, ale w Nowym Jorku wszyscy mówią na niego pan Mamrot.

Czekając, aż Mamrot skończy, Will bierze do ręki gazetę i czyta artykuł o Amerykaninie, którego znaleziono martwego z nożem w szyi. Policja prosi o kontakt osoby mogące udzielić jakichkolwiek informacji na temat kobiety, która przebywała w tym samym hotelu. Obok tekstu zamieszczono niewyraźne zdjęcie z kamery przemysłowej: postać w wielkich okularach przeciwsłonecznych, z włosami spiętymi z tyłu głowy. To może być każdy.

- Aha, to ty - bełkocze Mamrot obrażonym tonem, jakby Will się spóźnił, chociaż wcale tak nie jest. - Jedziesz do Edynburga, prawda?

- Co powinienem zobaczyć?

- Jest tam taki duży zamek. Warto się wybrać. - Will nie ma pojęcia, czym mu się naraził, ale czuje, że ten facet szczerze go nienawidzi. - Co jeszcze? Mmm, koniecznie spróbuj haggis^[33] - dodaje i odwraca się do monitora.

- Dzięki, to było bardzo pomocne. - Will nigdy nie dostał równie beużytecznych wskazówek.

- Mmm.

Wyjmuje z kieszeni kopertę i wręcza ją Mamrotowi. W zamian otrzymuje listę nowych restauracji i niedawno wyremontowanych hoteli, nazwiska ludzi, z którymi warto się spotkać, oraz miejsca, które trzeba odwiedzić. Do tej pory przekazano mu dziesiątki podobnych dokumentów, ale ostatnio wiele się zmieniło. Po raz pierwszy wyjechał z kraju jako tajny współpracownik CIA, żeby zbierać dane wywiadowcze na obcej ziemi. Zdaje sobie sprawę, że łamie prawo.

Nieważne, co robisz, ważne dlaczego.

Falls Church

Raji musi wysłać kolejne powiadomienie dotyczące właściciela amerykańskiego paszportu numer 11331968, który właśnie zapłacił za pokój swoją kartą kredytową. Raji uruchamia aplikację z wirtualną mapą, żeby odnaleźć hotel i wpisać adres w specjalnym formularzu. Jest dokładny i nie zadowala się pojedynczym źródłem. Nie lubi chodzić na skróty i każdą

informację sprawdza przynajmniej dwa razy. Chce mieć stuprocentową pewność, że wszystko się zgadza: nazwy ulic, numery domów, skrzyżowania, strefy czasowe i opóźnienia lotów, każdy szczegół związany z podróżami osób znajdujących się na przekazanej mu niedawno skróconej liście obserwowanych.

Całkiem sympatyczny hotel. Raji nie nocował w równie ładnym miejscu i jest prawie pewien, że nigdy mu się to nie przydarzy.

- Jak leci, Raji? - O lichą ściankę, za którą siedzi Zander, opiera się ich szef Brock. - Jedziesz do Szkocji?

- Tak, jasne.

- Kto to jest? - pyta Brock i nachyla się nad monitorem, żeby przeczytać informacje z małego okienka.

Obaj dobrze znają procedury: rozmowy o obserwowanych są surowo zabronione, szczególnie w ramach nowego projektu zleconego przez niezwykle tajemniczego klienta. Nikt się tym jednak specjalnie nie przejmuje. Gdyby nie mogli plotkować o nieistotnych drobiazgach dotyczących życia nieznanym im osób, ta praca byłaby śmiertelnie nuda.

- Jakiś dziennikarz zajmujący się tematyką podróżniczą.

Brock jest wyraźnie zawiedziony. Interesują go tylko kobiety.

- Okej, Raji, nie przeszkadzam w robocie.

Szef rusza w dalszy obchód boksów, w którym siedzi jego zespół, „moi ludzie”, jak ich nazywa. Raji podejrzewa, że Brock korzysta z krótkiej instrukcji bycia dobrym menadżerem, którą dołączono do jakiegoś artykułu w „Broni i Amunicji”.

Kiedy dwa lata temu przechodził przez proces rekrutacyjny, Brock był drugą osobą, z którą rozmawiał. Pierwszą był facet z działu HR, który poprosił go o podpisanie różnych papierów, między innymi zgody na zdjęcie odcisków palców i badanie próbki moczu. Nawet nie próbował tego wszystkiego zrozumieć. Tydzień później odbył spotkanie z Brockiem, a potem czekał w spokojnej recepcji, aż szef działu znajdzie czas na dziesięciominutową rozmowę kwalifikacyjną, która miała być czystą formalnością.

Podpisał kolejny plik papierów i wypełnił następne formularze. Zgodził się też na upokarzające badanie przeprowadzone przez rzekomego lekarza, który nie potrafił posługiwać się ciśnieniomierzem. Całe szczęście, że ten konował nie próbował pobierać krwi.

Potem Raji został zatrudniony. Dostał kartę identyfikacyjną z paskiem

magnetycznym, na którym zapisane były jego personalia, informacje dotyczące stanu zdrowia i wykształcenia, poprzednie adresy zamieszkania, numery ubezpieczenia społecznego rodziców i dane kontaktowe byłych pracodawców.

Raji nie ma pojęcia, czy dysponuje certyfikatem dostępu do informacji niejawnych, a jeśli tak, to jakiego stopnia. Co więcej, nie jest w stanie powiedzieć, dla kogo tak naprawdę pracuje, czym zajmuje się jego firma i komu podlega. Bez wątpienia chciałby znać odpowiedzi na wszystkie te pytania, ale zdążył się przyzwyczaić, że o niczym się go nie informuje. O wiele większe znaczenie ma dla niego stabilność zatrudnienia, wypłacana co dwa tygodnie pensja i kompleksowe ubezpieczenie zdrowotne. Badania nie były specjalnie szczegółowe, w każdym razie niewystarczająco, żeby odkryć, co mu dolega.

Nowy Jork

- Nigdzie nie idziesz - mówi Gabriella.

- Mylisz się. - Malcolm zamyka z trzaskiem teczkę i podnosi ją z biurka. -
Idę.

Gabriella stoi z założonymi rękami w drzwiach gabinetu Malcolma. Ma rozczarowaną minę i jest czymś wyraźnie rozdrażniona. Chociaż to nie ona jest szefem, stara się na każdym kroku podważyć służbową hierarchię. Z kolei Malcolm nie ustaje w wysiłkach, by zgnieść tę rebelię w zarodku. Ich relacja zawodowa jest napięta, co nie przeszkadza im jednak być przyjaciółmi w życiu prywatnym.

- Nie wiem, co powiedzieć, szefie - mówi Stonely Rodriguez. Siedzi w fotelu Malcolma i wpatruje się uważnie w ekran jego komputera, trzymając prawą rękę na myszce, a lewą podpierając podbródek. - Ma pan na twardym dysku jakieś straszne gównno.

- Tak, to akurat wiem. Nie mam natomiast pojęcia, czy potrafisz się tego pozbyć.

- Mogę spróbować.

Stonely pociąga za daszek czerwonej czapeczki z logo Cincinnati Reds. Ma kilka takich bejsbolówek i nosi je na zmianę. „Zakładam je z powodu litery C”, tłumaczy, gdy ktoś go o to zapyta. „Mam na imię César. Stonely to przydomek, które dostałem, gdy dopiero po tygodniu zorientowałem się, że

mam złamany palec”. Wtajemniczeni wiedzą, że prawie nic z tego nie jest prawdą.

- Dzięki. Zrób, co w twojej mocy. - Malcolm odwraca się do Gabrielli. - Możesz się ze mną zabrać. Podwiozę cię do śródmieścia.

- No co ty? Od kiedy jesteś takim dupkiem?

- Cholera - chichocze Stonely, ale się reflektuje i zasłania dłonią usta. - Przepraszam, szefie.

- Jakim dupkiem, Gabs?

- Takim, który odbywa spotkania w służbowym samochodzie.

- Moja droga, to się zaczęło już wiele lat temu, prawda, Stonely?

- Nic o tym nie wiem, szefie.

- Dobra, jedziesz ze mną czy nie? Muszę odebrać dzieci ze szkoły i nie mogę nawalić. Zero tolerancji dla spóźnień. - Dla Malcolma to nowy obowiązek, ustępstwo na rzecz Allison. Robi to tylko raz w tygodniu, ale już zdążył nauczyć się reguł.

Widać, że Gabriella ze sobą walczy, czego oznaką jest nerwowy grymas na jej twarzy. Szybko się jednak opanowuje i mówi:

- Daj mi chwilę. Muszę wziąć torebkę.

Zjeżdżają windą na parter, nie odzywając się do siebie ani słowem. W dużej, wyłożonej lustrami kabinie są sami, ale Gabriella wie, że jej szef nie rozmawia w takich miejscach. Malcolm wykorzystuje ten czas na wysłanie tweeta. Kilka miesięcy temu dyrektor generalny zalecił mu założenie konta na Twitterze i regularne zamieszczanie wpisów. Po raz kolejny media społecznościowe miały pomóc w rozwiązaniu nieistniejącego problemu. Malcolm miał zapytać, o czym ma ćwierkać i po jaką cholere, ale ugryzł się w język. Doszedł do wniosku, że jeśli tego nie zrobi, nie będzie musiał lekceważyć jasno sformułowanych poleceń.

Dotyka ekranu smartfona i wstukuje wiadomość: „Jestem pod wielkim wrażeniem pracy mojego wspaniałego zespołu! Jesteście najlepsi! #duma”. Większość z jego tweetów to czcze komplementy, niemające zwykle żadnego związku z rzeczywistością. Najdziwniejsze jest jednak to, że niektórzy odpisują na te brednie.

Przed biurem czeka już na nich samochód.

- Poproszę do szkoły, Hectorze - mówi Malcolm. - Dzięki. - Nie chce być dupkiem, który nie dziękuje swojemu szoferowi, choć trzeba przyznać, że czasami łatwo o tym zapomnieć. Wciąż nie przyzwyczyił się do roli faceta, który ma auto z kierowcą. Już sam fakt, że stał się kimś takim, nie do końca

mu odpowiada. Wielu gości bez żadnego skrępowania korzysta z dobrodziejstw bycia palantem. Nawet się z tym obnoszą i udaje im się przekonać samych siebie do czegoś, co przychodzi Malcolmowi z ogromnym trudem. - Pieprzone korki - warczy i spogląda na zegarek. Popołudniowe zatory są nie do uniknięcia, ale i tak potrafią wyprowadzić człowieka z równowagi. - Lepiej jeździć metrem.

- To dlaczego tego nie robimy?

- Przecież wiesz, że nie mogę korzystać z komunikacji miejskiej.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Niby czemu?

- Kłóciłoby się to z moim wizerunkiem. Szef najbardziej wpływowego magazynu podróżniczego na świecie nie może tłoczyć się w wagonie między niedomytymi pasażerami i wisieć na uchwycie.

- W metrze nie ma takich uchwytów, Mal. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

To rzeczywiście niezgodne z polityką firmy. Redaktor naczelny nie może jeździć do pracy środkami transportu publicznego i pod żadnym pozorem nie wolno mu chodzić do barów szybkiej obsługi. Zabronione jest także korzystanie z usług niektórych linii lotniczych, szczególnie tych uparcie odmawiających współpracy.

Istnieje również zadziwiająco skomplikowana lista ograniczeń dotyczących garderoby. Chodzi głównie o rozmiar i widoczność znaków towarowych. Załącznik D do kontraktu Malcolma wyszczególnia dozwolone marki, a załącznik E te zabronione. Oba wykazy razem z kilkoma innymi klauzulami podlegają corocznej aktualizacji. Za każdym razem Malcolm wydaje parę tysięcy dolarów na prawnika, który analizuje zaproponowane zmiany. Potem trzeba jeszcze dokonać przeglądu szafy. Malcolm prosi o pomoc swoją żonę, która nie tylko robi sobie z tego złośliwe żarty, lecz także celowo wszystko opóźnia.

Nowe reguły pojawiły się wraz z nowym stanowiskiem. Niektóre nie są szczególnie uciążliwe - niewielu ludzi narzekałoby na to, że mają szofera - ale czasem Malcolm ma ochotę na zjedzenie big maca w wagonie metra.

Na dobre utknęli w korku. Malcolm zauważa samochód z naklejką „Dziecko w aucie”, wyciąga telefon i wysyła kolejnego tweeta: „«Dziecko w aucie»? Dzięki za informację! Gdybym nie wiedział, bez namysłu bym was staranował. #zapatrzonny w siebie”.

Przy skrzyżowaniu z Czterdziestą Drugą ruch się przerzedza i czarny samochód bez przeszkód mknie przez Garment District.

- O czym chciałaś ze mną pogadać, Gabs?

W kierunku południowym światła uliczne są dobrze zsynchronizowane i nie zatrzymując się, można jechać pięćdziesiątką. Przedzieranie się przez Manhattan w godzinach szczytu nie zawsze musi być mordęgą, szczególnie jeśli natrafi się na zieloną falę.

- Dlaczego powierzyłeś nowe zadanie właśnie Willowi?

- Proszę, przestań owijać w bawełnę. Nie mamy czasu, więc wal prostu z mostu. O co ci chodzi?

- Dobrze wiesz, że sama świetnie bym to zrobiła.

Malcolm teatralnie wzdycha. Tak samo zachowuje się przy swoich dzieciach, gdy ma już dość ich przekomarzania, nie podoba mu się, jak zachowują się przy stole, chce wyrazić dezaprobatę wobec ich wątpliwej higieny albo innych wybryków typowych dla ośmio- i czterolatków.

- Tak, Gabs. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Ale to była twoja decyzja. Przyszłaś do mnie i powiedziałaś...

- Zdajesz sobie sprawę, że od tamtej pory dużo się zmieniło.

- Powiedziałaś: „Malcolm, muszę wrócić do domu”. Specjalnie dla ciebie dokonałem wielu zmian. Trudnych zmian. Stworzyłem nowe stanowisko i powierzyłem ci nowe obowiązki.

- Z którymi doskonale sobie radzę.

- Tak, to prawda. W tym, co teraz robisz, jesteś niezastąpiona. Jednak nie chodzi o twoją starą pracę. Pracę, którą wykonuje teraz Will.

Gabriella przez kilka sekund milczy. Nie chce zaprzeczyć, że zasłużyła na pochwałę, ale jednocześnie nie może jej tak po prostu przyjąć.

- Nie czuję się z tym dobrze. To nie jest to, czym powinnam się zajmować.

- Moja droga, co mogę ci powiedzieć? Na tym polega bycie dorosłym.

- A co z Willem?

- Po pierwsze, to chyba nie do końca twój interes, a po drugie, jestem pewien, że Will świetnie sobie radzi za granicą. A to oznacza, że nie może pracować na miejscu. Teraz to twoja działka.

- Dlaczego nie?

Malcolm przekrzywia głowę i wbija wzrok w Gabriellę, ale nie odpowiada na jej pytanie.

- Czy on wie?

- Jasne, że nie.

- Przez te wszystkie lata nigdy mu niczego nie sugerowałaś?

- Gabs, daj spokój.
- Kiedy mu powiesz? Masz w ogóle taki zamiar?

Malcolm zmienia temat:

- Nadal chcesz to robić?

- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Czuję się jednak spychana na boczny tor i to tylko dlatego, że jestem kobietą.

- Bzdury. Wcale tak nie jest i myślę, że doskonale zdajesz sobie z tego sprawę. - Malcolm robi wiele rzeczy, które są obraźliwe dla kobiet, ale nie można mu zarzucić tego rodzaju seksizmu. - Jestem mizantropem, a nie mizoginem, a to spora różnica.

- To dlaczego ty jesteś szefem, a nie ja?

Malcolm również się nad tym zastanawiał. Gabriella dłużej pracuje w „Travelers”, lepiej zna się na zarządzaniu i ma szersze kontakty w nowojorskiej socjocie, a na dodatek świetnie wypada w telewizji i doskonale radzi sobie podczas publicznych wystąpień. Nie może się co prawda pochwalić bogatym doświadczeniem w dziennikarstwie zagranicznym, ale to nie powinno mieć większego znaczenia. No i brakuje jej chromosomu Y.

- Nie wiem, Gabs. - Malcolm jest przekonany, że to jednak seksizm, całe szczęście, tym razem to nie jego wina.

Zalega cisza. Oboje są świadomi, że skłamał, ale żadne nie ma ochoty na dalsze drażnienie tematu.

- Masz od niego jakieś wiadomości?

Malcolm kręci głową i pyta:

- A ty?

Gabriella również zaprzecza. Tym razem nie wiedzą jednak, czy to drugie kłamie.

Samochód zatrzymuje się przed Village Academy. Wzdłuż krawężnika stoi sznur importowanych SUV-ów, niemal wszystkie są czarne i mają włączone światła awaryjne. Siedzą w nich podstarzali hipsterzy: seksowne mamuśki w sportowych strojach i ciemnych lustrzankach oraz zarośnięci tatusiowie luzacy w bejsbolówkach. Do przednich szyb ich range roverów i mercedesów przyklejone są nalepki „I love Montauk”, a na bagażnikach dachowych leżą deski surfingowe.

- Nie chcę czekać w samochodzie - mówi Malcolm. - Czuję się wtedy jak kompletny dupek. Możesz mi towarzyszyć albo poproszę Hectora, żeby zawiózł cię z powrotem do biura lub dokąd chcesz.

- Idę z tobą. Popatrzę na miejscową faunę.

- Dzięki, Hectorze. Do zobaczenia jutro.

Malcolm wysiada z tylnego siedzenia. Chciałby udawać, że ten szpanerski samochód to tylko jednorazowy wybryk. Nie miał wyboru, bo pada deszcz, popsuło się metro albo nie może chodzić. Żadna z tych rzeczy nie jest jednak prawdą, przynajmniej nic mu o tym nie wiadomo. Przez chwilę zastanawia się, czy nie powinien zacząć jeszcze bardziej kuleć. To byłoby dobre wyjaśnienie, dlaczego zajechał pod szkołę autem z szoferem. Przychodzą mu do głowy inne schorzenia, które mógłby symulować, ale Gabriella zaraz by to zauważyła i zapytała, co on do cholery wyprawia.

Może na potrzeby przyszłych mistyfikacji powinien trzymać w bagażniku laskę? Albo parę kul inwalidzkich? Łapie się na tym, że takie wymyślne żarty coraz bardziej go fascynują.

Rozgląda się po zatłoczonym chodniku. Kilka osób patrzy w jego stronę, odrywając wzrok od smartfonów. Jest jednym z ojców, którzy wyrwali się z pracy. Dochodzi trzecia po południu. Ma na sobie garnitur, a w takim stroju zazwyczaj nie odbiera się dzieci ze szkoły. Co więcej, przyjechał czarną limuzyną z szoferem w towarzystwie olśniewającej kobiety, która nie jest jego żoną. Na pewno zaczną się plotki.

- Widzę, że niektórzy faceci dostali zgodę na zabranie swoich latorośli. To jakiś postęp.

Część ojców ma na sobie dzinsy i sportowe buty. Ten typ traktuje swoich synów jak kumpli, czego Malcolm nienawidzi, choć nie jest w stanie powiedzieć dlaczego.

- Słuchaj, Mal, te plotki są prawdziwe?

- Przepraszam, ale o czym teraz mówimy?

- Czy dogadaliście się w sprawie warunków przejęcia? Zostaniemy wchłonięci przez międzynarodowe imperium zła? - Rozmowy na ten temat rozpoczęto jeszcze za czasów Jonathana, potem sprawa przycichła, ale kilka miesięcy temu negocjacje znowu ruszyły z kopyta i tym razem fuzja wydawała się nieunikniona.

Malcolm przechyla głowę i przewraca oczami.

- No cóż, nie nazwałbym ich imperium zła.

- Jezus Maria.

- Tak naprawdę nie mamy wyboru. Od lat nasze wyniki finansowe pozostawiają wiele do życzenia.

- W jaki sposób fuzja rozwiąże ten problem?

- Będziemy wydajniejsi.

- Masz na myśli zwolnienia?
 - Zwolnienia i cięcia. Plus deprecjacja.
 - Nie masz pojęcia, o czym mówisz, prawda?
 - Jasne, że nie. Jestem dziennikarzem, a nie jakimś bubkiem w garniturze.
- Gabriella mierzy go wzrokiem. - Co mam ci powiedzieć? Nie ja o tym decyduję i wcale nie podoba mi się ten pomysł. Musimy jednak zachować szczególną ostrożność.

Samo przejście nie stanowi jeszcze poważnego zagrożenia. Malcolm obawia się, że będą chcieli przeświecić całą firmę. Pojawi się nowy szef i zacznie węszyć. Na pewno zainteresuje się tym, co dzieje się w sekretnym pomieszczeniu ukrytym za regałem z książkami.

- To dla nas bardzo niebezpieczny czas. Wkrótce oboje możemy stracić pracę.

Gabriella potwierdza skinieniem głowy, chociaż to dla niej żadna nowość.

- Ale co to ma wspólnego ze mną, Mal?

Malcolm wskazuje na wybiegające ze szkoły dzieci. Jest ich około setki i już po chwili wpadają w ramiona stęsknionych rodziców.

- Gabs, a dlaczego w ogóle robimy to, co robimy?

Kiedy to mówi, zdaje sobie sprawę, że palnął bzdurę. Przede wszystkim nie powinien zabierać Gabrielli do szkoły. To było niedelikatne. Często zapomina, w jakiej sytuacji znajduje się jego podwładna. Patrząc na nią, można odnieść wrażenie, że ma wszystko, czego zapragnie, ale wcale tak nie jest.

- Gabs, wiesz, że cię potrzebuję.

- Czyżby?

Malcolm widzi, jak Sylvie, jego starsza córka, wychodzi na zewnątrz przez ciężkie stalowe drzwi. Cały czas gada z koleżanką, której również nie zamykają się usta. Obie mówią bardzo głośno, zupełnie nie zwracając uwagi na nic poza sobą.

- Proszę cię, Gabs, tym razem mi zaufaj.

Patrzy mu prosto w oczy, jakby czegoś szukała, po czym kiwa głową i odchodzi. Stojący obok faceci udają, że na nią nie patrzą, ale większość nie robi tego zbyt przekonująco.

Malcolm zastanawia się, czy Gabriella będzie dla niego kolejnym problemem. I bez tego ma ich całą masę. Przypomina to szwedzki stół pełen dań, na które nie ma się najmniejszej ochoty. Jak doszło do tego, że jego życie zrobiło się tak skomplikowane?

Sztokholm

Amerykanin wysiada z taksówki w odległym zakątku dzielnicy Södermalm, przed magazynem przerobionym na klub. Bramkarz obrzuca go nieprzyjaznym spojrzeniem, ale wpuszcza do środka. Gość płaci za wstęp i przechodzi przez dudniący korytarz do sali tanecznej, w której bawi się przynajmniej tysiąc osób. Wszyscy są od niego młodszy i to o czterdzieści, a nawet pięćdziesiąt lat.

Przyciąga uwagę obsługi, wyciągając banknot o wysokim nominale.

- Poproszę piwo! - krzyczy. - I chciałbym pogadać z Larsem!

Słychać syk otwieranej butelki. Barman stawia ją na kontuarze, a wzburzona piana zaczyna spływać po ściankach.

- Tam go znajdziesz - mówi, wskazując podbródkiem ciemny kąt, w którym stoi samotny mężczyzna. Opiera się o ścianę i lustruje wzrokiem salę, kiwając głową w rytm muzyki.

- Dzięki! - Amerykanin nie bierze reszty, co na pewno zostanie zapamiętane. Lubi dawać wysokie napiwki, czym celowo zwraca uwagę obsługi hotelowej, kelnerów i taksówkarzy. Wyświadczając komuś przysługę, liczy na wzajemność. Życie to niekończący się ciąg transakcji - wpłaty i wypłaty, saldo dodatnie, saldo ujemne. Poza tym nie chce sprawiać wrażenia kogoś, kto się ukrywa. Tacy ludzie nie mogą być przesadnie hojni, ponieważ to wzbudza zainteresowanie.

- Cześć, Lars.

Nieznaczne skinienie głową.

- W-w-witamy w Magazynie, Joe. Dobrze się b-b-bawisz? Czegoś ci b-b-brakuje? Widzę, że już zamówiłeś p-p-piwo, więc może masz ochotę na coś w-w-więcej?

- A co proponujesz?

Lars spogląda na klienta i dokonuje szybkiej oceny.

- Co tylko chcesz. Może młodą b-b-blondyneczkę? Albo ch-ch-chłopca?

- Mam szczególne wymagania. Możemy pogadać w jakimś spokojniejszym miejscu?

Lars odpycha się od ściany i odwraca przodem do Amerykanina. Ostre światło stroboskopowe co chwilę rozświetla ich twarze.

- Ch-ch-chodź ze mną.

Jakający się Szwed rusza przed siebie. Mijają pomalowany na czarno mur, przeciskają się przez gęsty tłum tańczących, przechodzą pod wysokim łukiem i na moment przystają w sporym pomieszczeniu z niskim sufitem, w którym obściskują się dzieciaki odurzone ekstazy, amfetaminą i kokainą - ręce chwytające za pośladki i krocza, gołe ramiona, nagie piersi, czyjś członek objęty dłonią, której każdy palec udekorowany jest przynajmniej jednym pierścieniem. Grupka ludzi przygląda się temu w napięciu. Nie wiedzą, co się za chwilę wydarzy, ale na pewno coś się wydarzy.

Po drugiej stronie widać podświetlone na czerwono drzwi przeciwpożarowe. Lars otwiera je jednym pchnięciem. Alarm został najwyraźniej wyłączony, co w takich miejscach nie powinno nikogo dziwić. Wychodzą na świeże powietrze i wspinają się po metalowych schodach na pomost, który łączy jeden magazyn z drugim.

Robi się cicho, tylko w tle słychać dudnienie muzyki. Znajdują się na terenie jakiegoś zakładu przemysłowego i trudno powiedzieć, gdzie jest ulica, a gdzie woda. Amerykanin jest lekko zdezorientowany i próbuje określić położenie na podstawie migających na horyzoncie świateł, ale szybko daje za wygraną. W końcu jakie to ma znaczenie?

- P-p-powiedz mi, czego chcesz.

- Potrzebuję dokumentów. - Amerykanin zawsze ma przynajmniej jeden zapasowy paszport, ale w zaistniałej sytuacji potrzebuje nowego. Fałszywe papiery niezwykle szybko tracą swoją ważność.

- To b-b-będzie kosztowało.

- Wiem.

Lars zapala papierosa i wydmuchuje dym, który przez chwilę unosi się nad poręczą wąskiej kładki. Kilkanaście metrów niżej stoi ciężarówka. Wysoko.

- Z-z-zobaczę, co się da zrobić.

Rozdział 13

Edynburg

Will stoi w najwyższej położonym miejscu Royal Mile i podziwia roztaczający się stąd widok. Rozgląda się, wdychając świeże powietrze, które z powodu bliskości zatoki Firth of Forth pachnie solą. Czuje, że jest skoncentrowany i w pełni świadomy wszystkiego, co się wokół niego dzieje.

Ta niezwykła ostrość widzenia pojawiła się wczoraj, kiedy jechał pociągiem z Londynu i czytał elektroniczne wydanie wspomnień agenta CIA. To była czwarta książka z tego gatunku, którą połknął w ciągu ostatniego miesiąca. Wszystkie wgrał na tablet, żeby nikt nie widział, czym się zajmuje. Dzięki temu wreszcie zrozumiał, dlaczego ostatnio tak bardzo wzrosła sprzedaż literatury pornograficznej.

Stara się dokształcić, żeby lepiej wykonywać swój nowy zawód. Traktuje te lektury jak pracę domową do odrobienia, tak samo zresztą jak szperanie w archiwum „Travelers”. Już w dzieciństwie lubił się uczyć, a w dorosłym życiu ta pasja wcale się nie skończyła. Wciąż studiuje mapy, stare przewodniki, artykuły gazetowe i podręczniki do nauki języków obcych. Zacztytuje się w esejach, pamiętnikach i książkach kucharskich, a jego nowym konikiem jest tematyka szpiegowska.

Pociąg mijał kolejne okazałe dworce w stylu wiktoriańskim: mury z czerwonej cegły, wielkie, niespóźniające się nawet o sekundę zegary i łukowate dachy podtrzymywane przez żłobkowane kolumny i żelazne podpory. Krajobraz nie wyróżniał się niczym szczególnym: głównie podmiejska zabudowa, na przemian niskie, kamienne domy pokryte mchem i nowoczesne budowle o futurystycznych kształtach - przeważnie walce i trójkąty - wykonane z metalowych prefabrykatów w barwach podstawowych. Poza tym pasące się na polach owce z czarnymi pyskami, nagie skarpy, kamieniste plaże i wzburzone Morze Północne, nad którym rozpościerało się ponure niebo w rozmaitych odcieniach szarości. Wszystko jak z obrazów Turnera i płócien Wyetha.

Naprzeciwno Willa siedział nastoletni chłopiec, nerwowo ściskając swój bilet. Obok leżała jego niewielka torba podróżna. Słuchawkę wetknął tylko w

jedno ucho, jakby nie chciał stracić kontaktu ze światem. Być może po raz pierwszy w życiu jechał gdzieś sam. Miał nowe buty i starannie wyprasowaną koszulę.

Will miał wrażenie, że wszystko jawi mu się z niezwykłą wyrazistością. Wykluczał mało prawdopodobne możliwości i analizował zachowanie współpasażerów: wychuchanego młodzieńca, gburowatego konduktora mówiącego z niezrozumiałym akcentem, roztrzepanej dziewczyny, która dosiadła się w Leeds, i lubieżnego faceta, który spacerował po zatęchłym wagonie i obleśnie gapił się na każdą napotkaną kobietę.

Will czuł, że do tej pory poruszał się jak we mgle, a jego doświadczenia wydawały się mało istotne. Całe szczęście, już się to zmieniło. Teraz grał o większą stawkę.



Najważniejsze zabytki Edynburga są łatwo rozpoznawalne, a w mieście trudno się zgubić, ponieważ wszystko widać jak na dłoni.

Jest późny poranek i robi się coraz cieplej. Will czeka w kolejce, w której można się poczuć jak w wieży Babel. Za jego plecami histeryzuje jakiś kilkulatek, który chce czegoś, czego najwyraźniej nie może dostać. W tłumie widać wielu „profesjonalnych” turystów odzianych w nieprzemakalne stroje z superlekkich tkanin, z licznymi suwakami i kieszeniami. Ramię w ramię stoją spanikowani Chińczycy, wysokie Niemki z różowymi włosami i wychudzeni Francuzi, cuchnący dymem papierosowym. Wszyscy ściśnięci w jednej kolejce, w oczekiwaniu na błyszczący prospekt i audioprzewodnik, który będą mogli zawiesić na swoich szyjach jak krowi dzwonek.

Will jak zwykle wybiera audiowycieczkę.

Potem idzie zjeść haggis. Zawsze robi to, co należy robić: w Hongkongu zamawia pierożki, w Oaxaca mole, a w Neapolu pizzę. Szuka idealnego wyrazu tego, co banalne.

Tym razem jest jednak coś jeszcze.

Dublin

Nie tylko leje jak z cebra, lecz na dodatek mocno zacina. Przed takim deszczem nie ochroni żadna parasolka. Will ma przemoczone spodnie, buty i

skarpetki. Spaceruje po georgiańskiej dzielnicy Dublina ze służbowym aparatem i robi zdjęcia: nagie mury, surowe fasady, regularne rzędy okien i czarnych furtek z kutego żelaza. Wszystko subtelnie podkreśla powagę tego miasta: Merrion Square, park St Stephen's Green, zadbane dziedzińce Trinity College. Dominują dwa kolory: szarość i zieleń.

Will zwiedza kolejny stary zamek, tym razem w towarzystwie rozentuzjanzmowanych Amerykanów o irlandzkich korzeniach. Potem idzie na prywatną wycieczkę z przewodnikiem po Leinster House i ściska dłonie kilku zdeorientowanych parlamentarzystów, którzy mają o wiele ważniejsze rzeczy do roboty niż pogawędkę z trzeciorzędnym amerykańskim dziennikarzem. Właśnie w takich momentach, kiedy staje twarzą w twarz z ludźmi, którzy mają rzeczywisty wpływ na świat - na przykład politykami lub rasowymi reporterami - zdaje sobie sprawę z ogromnej różnicy między tym, co chciał kiedyś robić, a tym, czym faktycznie się zajmuje. Łazi ze swoim notesem, jakby pisał jakiś ważny artykuł, gdy tymczasem musi nagryzmolić kilkaset słów o rybnej zapiekance lub jakimś gatunku piwa.

Wieczorem robi to, co każdy turysta: spaceruje uliczkami Temple Bar opanowanymi przez hałaśliwy tłum imprezowiczów. Panuje tu taka sama atmosfera jak w Dzielnicy Łacińskiej w Paryżu, na Bourbon Street w Nowym Orleanie i w innych słynących z nocnego życia zakątkach wielkich miast: niewielkie opłaty za wstęp, niezbyt skrupulatna kontrola dokumentów, mocne shoty i słodkie napoje do popicia, zaduch i głośnie muzyka, tłok przy barze po ogłoszeniu ostatniej kolejki oraz kłopoty z utrzymaniem równowagi w drodze do domu. Krótko mówiąc, wszystkie „atrakcje” masowego pijaństwa.

Will szybko stamtąd ucieka. Z przebywania w takich miejscach nie wynika nic dobrego. Idzie do robotniczego pubu w północnej części Dublina. Ten lokal polecił mu taksówkarz podczas drogi z lotniska. Okolica wygląda mało zachęcająco, co odstrasza zagraniczną młodzież i studentów. Will zamawia guinnessa. Piwo jest słabo gazowane, gorzkie i podane w odpowiedniej temperaturze.

Robi się późno. Po wypiciu kilku pint Will wychodzi na opustoszałą ulicę. Jest chłodno i nieprzyjemnie. W oddali słychać pisk opon, a z innej strony dobiega czyjś szyderczy śmiech. Potem ktoś krzyczy i głośnie szczeka pies. Typowe nocne odgłosy, które mogą przyprawić o ciarki na plecach. Will zdaje sobie sprawę, że jest na to wszystko bardziej wyczulony niż kiedyś.

Od hotelu dzieli go kilka kilometrów, a szanse na złapanie taksówki

wydają się mizerne. Może powinien wrócić do pubu i poprosić barmana o pomoc? Albo użyć własnego telefonu i załatwić sprawę przy użyciu nowoczesnych technologii?

Podciąga spodnie i próbuje zebrać myśli. Nie powiedziałby, że jest pijany, ale z pewnością nie jest też trzeźwy.

Zza rogu wychodzi trzech młodych mężczyzn. Nie da się ukryć, że samotny turysta przyciągnął ich uwagę.

Will jest gotowy. Trenował i starał się trzymać formę. Może nawet czekał na taką okazję.

Nowy Jork

Po dwóch dniach spędzonych w obozie treningowym w stanie Wirginia Will wrócił do domu z zaczątkami nowych umiejętności, nad którymi trzeba było jeszcze sporo popracować. Szkolenie było więc kontynuowane. Uczył się prowadzenia działań inwigilacyjnych i pokonywał na ulicach Nowego Jorku kolejne trasy kontrobservacyjne. Zwykle robił to wcześniej rano albo w porze lunchu, czasami poświęcał temu wolne popołudnie. Śledził przypadkowych przechodniów, przeprowadzał rekonesanse i uczył się poruszać tak, żeby nikt go nie zauważył. Elle i Roger obserwowali każdy jego krok, a potem przekazywali uwagi, siedząc w ustronnych boksach w tanich jadłodajniach lub obskurnych barach.

- A broń palna? - zapytał pewnego dnia Elle.

- Co masz na myśli? - odpowiedziała, maczając frytkę w sosie pieczeniowym. Will po raz pierwszy widział, żeby ktoś zamawiał do frytek brązową breję podawaną w naczyniu ze specjalną chochelką.

- Kiedy dostanę pistolet?

- Do reszty zwariowałeś? Mam nadzieję, że nigdy. Zbyt wielu nieodpowiedzialnych ludzi nosi przy sobie broń. W zasadzie prawie wszyscy są nieodpowiedzialni.

Will nie potrafił wymyślić żadnego dobrego kontrargumentu. Na dodatek Elle miała rację.

- Umiesz posługiwać się pistoletem? Chyba nie, prawda? Poza tym nie możesz wziąć broni za granicę, więc tylko napytałbyś sobie biedy albo ktoś by cię zastrzelił. Jeśli naprawdę zależy ci na którejś z tych rzeczy, daj mi znać. Postaram się spełnić twoje marzenia.

Will uznał, że nie ma sensu dalej drażnić tematu.

Nazajutrz w czasie lunchu miał okazję, żeby wykorzystać swoje umiejętności w praktyce. Był umówiony na spotkanie i chciał sprawdzić, czy nikt go nie obserwuje. Tym razem działał na własną rękę, bez opieki i bez żadnej kontroli. Ruszył na zachód. Przyspieszał, a potem nagle się zatrzymywał i wracał po własnych śladach. Wchodził do budynków, przemykał przez przejścia podziemne i tunele, znikał w gęstym tłumie i przebiegał przez puste zaułki. Mijał nowoczesne biurowce, teatry i eleganckie kamienice. W końcu dotarł do jednego z ostatnich zakątków Manhattanu, w którym nie pojawiły się jeszcze nowe inwestycje. Stał między rozpadającym się magazynem a zapuszczonym garażem dla taksówek.

Przed małym wiatrakiem przysypiał umundurowany ochroniarz. Will po prostu koło niego przeszedł, wspiął się po wysokich stromych schodach i pchnął ciężkie metalowe drzwi.

W dużym pustym pomieszczeniu czekał na niego nieznajomy mężczyzna. Na podłodze leżały maty, a ściany wyłożone były miękkim materiałem.

- Cześć. Nazywam się Will.

Mężczyzna wyciągnął dłoń na powitanie. Miał żelazny uścisk.

- Frank. - Otaksował Willa wzrokiem, nawet nie próbując tego ukryć. - Chcesz, żebym cię nauczył podstawowych technik MMA^[34], prawda?

- Tak, zgadza się. - Will umówił się na spotkanie, dzwoniąc ze służbowego telefonu stojącego w archiwum.

- W porządku. - Mężczyzna kiwa głową, ale ciężko powiedzieć, czy się zgadza. - Dlaczego?

- Chciałbym umieć się obronić.

Dublin

Pub znajduje się pięćdziesiąt metrów za jego plecami, a groźnie wyglądający faceci szybko się zbliżają, ale nadal są jakieś siedemdziesiąt metrów przed nim. Will zastanawia się, czy zdąży się odwrócić i uciec z podkulonym ogonem do wciąż pełnego lokalu. Być może ci goście właśnie tam idą. A nawet jeśli nie, to mogą wejść do środka, wyczuwając strach i licząc, że posmakują czyjejś krwi.

Nie, tym razem nie da za wygraną.

Rusza w ich stronę, napinając mięśnie i starając się wyostrzyć zmysły. Czuje zapach dymu papierosowego i słyszy pokasływanie. Patrzy na tego, który kaszle, i zdaje sobie sprawę, że to jeszcze dzieciak, chudy i pryszczaty. Jego kumple są w tym samym wieku. To nerwowe nastolatki, które wymknęły się na ulicę z paczką podwędzonych fajek. Krztuszą się i chichoczą, bojąc się, że ktoś ich złapie.

Kiedy mijają Willa, jeden z nich mówi:

- Dobry wieczór panu. - W końcu jest dorosłym facetem, który właśnie wyszedł z pubu. Jest późny wieczór, a na ulicy panuje ciemność.

Will źle ocenił sytuację. To on wzbudził w nich strach.

Nowy Jork

Gabriella opuszcza Upper East Side, mając wrażenie, że cofnęła się w czasie i jest jedną z postaci serialu *Jeffersonowie*. Zostawia luksusowy apartament na najwyższym piętrze, pod samym niebem. Terrance wynajął go po bardzo atrakcyjnej cenie dzięki rodzinnym koneksjom, najpierw na krótko, a potem już na stałe. Wokół mieszkają sami praworządni obywatele: mają dobrze ubrane dzieci i zadbane psy. Nikomu nawet nie przyszłoby do głowy, żeby wyprowadzać na spacer pitbula w kolczatce. Jedyne lokator o innym kolorze skóry to piękna i zawsze aż do przesady wymuskana Afroamerykanka. Gabriella nazywa ją w myślach Czarną Barbie. Chyba obie uznały, że bliższa znajomość oznaczałaby stworzenie mniejszościowej koalicji i dlatego nie robią nic, żeby się zaprzyjaźnić.

W metrze linii Lexington Avenue Local większość pasażerów to Murzyni i Latynosi z Harlemu i Bronksu. Na Union Square Gabriella przesiada się w linię L w stronę północnego Brooklynu. W zatłoczonym wagonie pełno jest studentów, którzy jadą tylko kilka stacji. Większość wysiada na Williamsburg, a ci młodszy i bardziej wytatuowani na Bushwick.

Potem kończą się zrewitalizowane dzielnice i zaczynają slumsy. Kolejne stacje są wymazane graffiti. Kiedy otwierają się drzwi, śmierdzi moczem, a pod sufitem widać potłuczone lampy. Brud i zaniedbanie wzmagają atmosferę zagrożenia. Robi się naprawdę nieprzyjemnie. W tej części miasta większość nieruchomości jest obciążona nieściągalnymi długami. Stoją tu kamienice komunalne i sześciopiętrowe bloki z zaśmieconymi podwórkami z betonu. Sporo też jest pustostanów i niezabudowanych parceli, które

traktowane są jak składowiska złomu. To istny raj dla narkomanów. Po ulicach jeżdżą policyjne radiowozy, ale i tak co chwilę słychać ryk silnika pędzącego na złamanie karku sedana, którego kierowca spieszy się, żeby załatwić swoje ciemne interesy. Gliniarze ostrożnie wysiadają z samochodów, zawsze trzymając ręce na kaburze.

Podróż może zająć Gabrielli nawet półtorej godziny. Okazuje się, że pokonanie dystansu dzielącego Upper East Side i Canarsie może trwać dłużej niż lot do Waszyngtonu. Gabriella zawsze bierze ze sobą coś do czytania, zwykle wielką płachtę „Sunday Timesa”.

Mieszkanie, w którym dorastały razem z siostrą, znajduje się na drugim piętrze budynku pokrytego aluminiową elewacją, z niewielką murowaną werandą. Gabriella spędziła tu całe dzieciństwo: jedna łazienka i dwie małe sypialnie, razem osiemdziesiąt metrów kwadratowych dla czterech osób. Na obiad matka podaje ryż z fasolą i przyprawioną curry potrawkę z wołowego ogona. Przy stole siedzi też cierpiąca na cukrzycę i artretyzm babcia Teresa, u której, jak się okazuje, pojawiły się również objawy demencji. Zwraca się do Gabrielli imieniem, którego ta nie używała od piętnastu lat.

- Proszę, mów do mnie Gabriella.

- Ale przecież masz na imię Crystal - mówi Teresa, wyraźnie zmieszana, próbując zrozumieć, o co chodzi.

- Już nie, *abuela*^[35]. - Kiedy poszła na studia, uznała, że Crystal to dobry pseudonim dla striptizerki i zaczęła używać swojego drugiego imienia, tego po babci od strony ojca. Zrzucała swoją starą skórę warstwa po warstwie: inaczej się ubierała, mówiła z innym akcentem, słuchała innej muzyki i zmieniała poglądy. Starła się zbyt mocno nie odróżniać od dziewczyn studiujących na nowojorskim uniwersytecie.

O dwudziestej pierwszej wsiada w metro i rusza w drogę powrotną do domu. Wagon jest prawie pusty. W niedzielę wieczorem trasa łącząca najdalsze zakątki Brooklynu z Manhattanem nie należy do najpopularniejszych. W pociągu siedzi zaledwie kilka ciemnoskórych osób jadących do pracy na nocną zmianę. Mają na sobie tanie dzinsy i białe adidas. Grają na swoich telefonach albo po prostu gapią się przed siebie.

Na Sutter Avenue, w samym sercu dzielnicy East New York, do wagonu wsiada facet, z którym na pewno będą kłopoty. Od razu widać, że ma się za Bóg wie kogo: pozuje na twardziela, rozgląda się po pasażerach, dostrzega Gabriellę i bez żadnego skrępowania łapie się za krocze.

- Jak leci?

W odpowiedzi Gabriella nieznacznie się uśmiecha. Nie chce prowokować, ale jednocześnie nie może go w żaden sposób zachęcić. Niestety, takich gości nie da się po prostu zlekceważyć. Przynosi to skutek odwrotny od oczekiwanego.

Intruz siada obok niej. Zdecydowanie za blisko. Gabriella widzi, że kilku pasażerów zauważyło, co się dzieje, ale to osoby w średnim wieku lub nawet starszankowie. Albo kobiety. Na pewno nikt nie przyjdzie jej z pomocą.

- Dokąd jedziesz?

Gabriella milczy.

- Niezła z ciebie dupa, wiesz? - Dotyka jej policzka wierzchem dłoni. Gabriella odsuwa się z niesmakiem.

- Nie dotykaj mnie.

- Uważasz, że na ciebie nie zasługuję? - Wyciąga rękę i gładzi ją po udzie. No tak, napaść na tle seksualnym, myśli Gabriella.

Na kolejnej stacji jedna z pasażerek wstaje i przesiada się do innego, pozornie bezpieczniejszego wagonu. Nic nie widziałam, nic nie słyszałam.

Gabriella przygląda się napastnikowi: poźółkłe oczy, opadające powieki, blizna na podbródku, chiński tatuaż na karku. Czy jest uzbrojony? W dzisiejszych czasach każdy może kupić pistolet, nawet za pięćdziesiąt dolarów, połowa ceny przyzwoitych tenisówek.

- Nie przypominam sobie, żebym ci na to pozwoliła, *papi*^[36]. - Gabriella nauczyła się, że takie opryszki często boją się wrogo nastawionych przedstawicieli innych ras i narodowości. Tak więc kiedy atakuje ją jakiś Afroamerykanin, stara się podkreślić swoje latynoskie korzenie, a w towarzystwie agresywnych Latynosów zgrywa twardą Murzynkę. - Zabieraj łapę z mojego uda.

Bandyta spogląda na nią spode łba, ale nie wykonuje żadnego ruchu.

- Wielki z ciebie facet, *papi*. - Gabriella odwraca się i patrzy mu prosto w oczy. - Potrafisz tylko molestować samotne kobiety w metrze? Taki z ciebie chojrak?

Facet wciąga powietrze przez zęby.

- Dobra, twardzielu, liczę do trzech.

- Tak? - Cmoka lekceważąco. - A potem co?

Jednak Gabriella wcale nie ma zamiaru liczyć do trzech. Prawym łokciem wali go w szczękę, a kiedy słyszy zgrzyt zębów, wyprowadza lewy sierpowy, który ląduje na środku jego twarzy. Krew z rozciętej wargi obryzguje okno.

- Pierdolona suka! - Facet podskakuje jak oparzony, ale ona również

zrywa się na równe nogi. Śledzi wzrokiem każdy jego gest, w szczególności to, co robi z rękami. Jeśli jest uzbrojony, musi wiedzieć, że ona go obserwuje.

Całe szczęście napastnik łapie się tylko za zakrwawioną twarz i z niedowierzaniem patrzy na Gabriellę. Zupełnie się tego nie spodziewał i nie ma pojęcia, jak powinien zareagować.

Pociąg zwalnia przed następną stacją. Na brudną podłogę spadają wielkie czerwone krople.

Rozsuwają się drzwi.

Widać, że bandzior zastanawia się, czy nie zaatakować. Jest dużo wyższy i bez trudu powinien sobie poradzić. Jednak pamięta, że dosłownie przed chwilą ta baba z łatwością rozwalila mu twarz. Jeśli zostanie pobity w metrze przez kobietę, to będzie naprawdę upokarzające. Chyba lepiej odpuścić.

Patrzy na nią, starając się ocenić, jak bardzo jest zdeterminowana. Gabriella wytrzymuje jego spojrzenie. Po kilku sekundach to on się odwraca i wychodzi na słabo oświetlony peron.

Drzwi się zamykają. Gość spogląda przez ramię i wpatruje się w Gabriellę. Znowu głośno wciąga powietrze przez zęby. Stara się trzymać fason, chociaż wie, że przegrał. Zadufany gnojek. Niech się w ogóle cieszy, że żyje. Naprawdę mogła go zabić.

Pociąg rusza.

Starsza kobieta siedząca z tyłu wagonu zaczyna bić brawo, kiwając głową w stronę Gabrielli. Dołącza do niej jeszcze dwoje pasażerów. Słychać zgrzyt kół. Pociąg wchodzi w zakręt i powoli nabiera prędkości.

Rozdział 14

Dublin

Will siedzi w hotelowym lobby: stoły w stylu regencji, wypolerowane na wysoki połysk, lampy z błyszczącego mosiądzu, jedwabne obicia z frędzlami. Na sofie z wygiętym oparciem odpoczywa para Amerykanów. Nie odzywają się do siebie, tylko przeglądają dwa różne przewodniki. Will bardzo często widzi podobne małżeństwa - ludzie, którzy od wielu lat nie przeprowadzili ze sobą normalnej rozmowy, ale jakoś to wszystko wytrzymują. Trudno powiedzieć, czy wzbudzają w nim podziw, czy jest mu ich żal. Może i jedno, i drugie.

Sprawdza, która godzina, i przelicza czas na nowojorski. Chloe jest pewnie w pracy. Wysłała jej przyjaznego neutralnego esemesa i szybko dostaje odpowiedź. W zasadzie nie napisali sobie nic ważnego, ale nie o to przecież chodzi. Will chciał pokazać, że mu zależy, że potrzebuje kontaktu.

Kiedyś podczas zagranicznych wyjazdów codziennie rozmawiali ze sobą przez telefon, ale okazało się to niewygodne i nazbyt frustrujące. Przebywali w różnych strefach czasowych, a do tego dochodziły nieustanne problemy z zasięgiem i nawał prac. Wspólnie doszli do wniosku, że będą do siebie wysyłać esemesy. W ten sposób nie będą czuli wyrzutów sumienia, że odrywają małżonka od pilnych obowiązków.

Will podnosi wzrok i widzi, jak do lobby wchodzi dumnym krokiem barczysty, gładko ogolony mężczyzna w stroju biznesmena po pracy: zamszowe mokasyny, wyprasowana koszula z monogramami na mankietach, dzinsy i pleciony pasek. To pewnie facet, z którym się umówił. Nieznajomy patrzy na zegarek w taki sposób, żeby widać było jego markę. Jest kimś ważnym i każda sekunda jego cennego czasu warta jest miliony.

- Przepraszam - mówi Will. - Shane Nicholson?

- Tak. Will Rhodes, prawda? - Wymieniają uściski dłoni. - Miło cię poznać. - Poklepują się po plecach.

Wychodzą z hotelu. Shane wręcz tryska dobrym humorem. Dwaj Amerykanie za granicą, my kontra obcy. Shane nie przepada za Nowym Jorkiem, bez urazy, ale z zasady nie lubi wielkich miast. Sam mieszka z

rodziną w pałacu na przedmieściach, kupił go niemal za bezcen. Teraz korci go, żeby sprzedać nieruchomość z wielkim zyskiem, ponieważ ceny w końcu polecą na łeb, na szyję. Tak się stanie najdalej za dwa lata. Ale wtedy musiałby znaleźć jakieś inne lokum, a ten dom jest naprawdę ogromny.

No tak, myśli Will. Mój samochód, moje życie, mój dom, wszystko wielkie, na pewno większe od twojego.

Mijają kilka skrzyżowań i schodzą po schodkach do baru. Przed drzwiami stoi niewielki maszt z małą amerykańską flagą.

W środku włączone są wszystkie telewizory. Chociaż w Dublinie jest zimny niedzielny wieczór i na dodatek pada, w Stanach nie skończyło się jeszcze popołudnie i świeci piękne słońce. Na kanałach satelitarnych lecą rozgrywki ligi baseballowej. Shane przedstawia Willa swoim znajomym, kilkunastu facetom, z których najmłodszy nie ma jeszcze trzydziestki, a najstarszy jest już po pięćdziesiątce. Sami menadżerowie średniego i wyższego szczebla, których trudno od siebie odróżnić. Spece od wszystkiego, zajmujący się nie wiadomo czym.

- Wiecie, co myślę o Irlandczykach? - pyta Shane z szyderczym uśmiechem. - Próbujesz im wyjaśnić, co to jest EBITA^[37] albo kontrola jakości, a oni patrzą na ciebie, jakbyś postradał zmysły. - W skupieniu pije piwo. - Nie mają bladego pojęcia, jak się robi interesy.

- Wszyscy?

- No nie, są jakieś wyjątki - Ostrożnie wycofuje obraźliwą opinię, którą przed chwilą sformułował. Nie chce chyba wyjść na kompletnego bufona. - Ale wiecie, co mam na myśli.

Tak, próbujesz nam powiedzieć, że jesteś szowinistycznym dupkiem, myśli Will, ale nie mówi tego na głos. Nie przyszedł tutaj, żeby zrażać do siebie ludzi, którzy pracują dla zagranicznych ośrodków przetwarzania danych.

Odwraca się w stronę Brysona z Atlanty, siwego gościa o różowej twarzy, w niebieskiej sportowej marynarce z amerykańską flagą w klapie. Bryson zaczytuje się w biografiiach prezydentów Stanów Zjednoczonych i lubi snuć różne anegdoty związane z tym tematem. Zazwyczaj robi to w salach konferencyjnych, toaletach i barach takich jak ten. „Wiecie, że kiedy w Białym Domu rezydował stary Zachary Taylor...”

Bryson to kolejny ekspert od wszystkiego, który uważa, że życie polega na opowiadaniu różnych ciekawostek. Jego zdaniem wartość człowieka poznaje się po jego wiedzy, choćby najmniej przydatnej, może chodzić na

przykład o kolejność, w jakiej miotają piłkę starterzy Dodgersów, znajomość tras przewozów morskich lub systemu składek na ubezpieczenie zdrowotne albo umiejętność określenia, jakie mięso najlepiej nadaje się na grill. A jeśli się czegoś nie wie, wystarczy przekonująco udawać.

Will słucha tych dyrdymałów, reagując w odpowiednich miejscach i sprawiając wrażenie rozbawionego. Bryson to typ faceta, który wcześniej czy później palnie coś, czego nie powinien.

- Mam do ciebie pytanie - zagaduje Will, opanowując sztuczny rechot wywołany zupełnie nieśmiesznym dowcipem o Dunkach. - Który z tutejszych ekspatów ma jakieś mroczne tajemnice? - Bryson wygląda na zaskoczonego, ale po chwili okazuje się, że to tylko poza. - No wiesz, jakieś ciemne interesy? Romanse na boku? Defraudacje? Nie daj się prosić. - Will wzywa gestem barmana i kładzie pieniądze na kontuarze. - Stawiam następną kolejkę.

- No cóż, jest taki jeden dżentelmen. - Bryson o wszystkich mówi albo „dżentelmen”, albo „dama”, z wyjątkiem własnej żony, którą nazywa po prostu „żoną”. - Przychodzi tu oglądać futbol. - Rozgląda się konspiracyjnie, sprawdzając, czy nikt ich nie obserwuje, czym tylko przyciąga uwagę pozostałych gości. - Z nikim nie rozmawia. Na dobrą sprawę w ogóle się nie odzywa.

- No! no! Prawdziwy skandal! Dzięki za cynk, stary.

Bryson chichocze nad swoim piwem z miną kogoś, kto wie, że jego towarzysz nic nie zrozumiał. Po chwili odwraca się do Willa i mówi:

- Jest coś jeszcze. - Robi długą pauzę dla lepszego efektu. - Wszyscy uważamy, że ten gość bierze udział w programie ochrony świadków.

Sztokholm

Jest środek słonecznego letniego popołudnia. Amerykanin zakłada plecak i idzie na piechotę brukowanymi alejkami Starego Miasta, które ciągną się wzdłuż kamienic w kolorze ochry. Wąskie uliczki to wznoszą się, to opadają. Raz w górę, a raz w dół: wzgórza, schody, restauracje i kawiarnie. Mija gmach opery, a potem pałac królewski i wchodzi do śródmieścia, które nie wyróżnia się niczym szczególnym: węzły komunikacyjne, modernistyczne domy towarowe, chodniki z czarnymi plamami po gumie do żucia, sklepy H&M - w końcu stąd pochodzi ta firma - bary z kebabem, kieszonkowcy,

biurokraci i przykucnięci pod murami żebracy z nieobecny wzrokiem, potrząsający papierowymi kubkami. Przeciska się przez ludzką cizbę. Ociera się o spocone ciała, czuje zapach perfum i dymu papierosowego. W pewnym momencie uderza go smród przechodzącej obok całkiem młodej bezdomnej kobiety, która wzbudza w nim jednocześnie żal i przerażenie. To, co się z nią stało, jest z pewnością spełnieniem najgorszych koszmarów jej rodziców.

Amerykanin skręca z zatłoczonej ulicy i wchodzi na biegnącą wzdłuż kanału promenadę. Po jednej stronie ciągną się hotele, a po drugiej zacumowały małe promy, taksówki wodne i statki wypoczynkowe. Potem zaczynają się szerokie aleje pełne biegaczy i spacerowiczów. Na chodnikach poustawiane są kawiarniane stoliki osłonięte ogromnymi parasolami, a nad oknami wystawowymi wiszą markizy. Nad miastem rozciąga się wspaniałe niebo, a z wielu miejsc podziwiać można piękne widoki na okoliczne wzgórza, skarpy, zieleń i wodę. Na trawnikach leżą dziewczyny w bikini. Piją piwo i palą papierosy. Robią naraz wszystko, co w zasadzie jest zabronione, ale dla nich nie ma to żadnego znaczenia. Są młode, piękne i nieśmiertelne.

Amerykanin kupuje gazetę i siada na zewnątrz w kawiarni. Obok przejeżdżają biało-niebieskie tramwaje, suną drogie samochody, głównie porsche i volvo, śmigają skutery i pedałużają rowerzyści. Po drugiej stronie ulicy znajdują się salony luksusowych marek: Gucci i Vuitton. Produkty tych firm widać również w kawiarnianym ogródku. Świetnie ubrani goście wyskoczyli właśnie z pracy na lunch, ale wyglądają raczej jak aktorzy biorący udział w filmie, którego akcja rozgrywa się w biurze. Odpoczywają teraz w bufecie, który być może również stanowi część dekoracji.

W pewnym momencie Amerykanin dostrzega pasującego do opisu mężczyznę. Nieznajomy z kimś się wita, siada i woła kelnerkę, która całuje go w policzek. W tym mieście wszyscy się znają, ale ona dźwiga tacę z napojami, a on bezczelnie gapi się na jej tyłek.

Zza rogu wychodzi inny facet. To musi być Anders. Napakowany koksiaz w T-shircie opinającym nieproporcjonalnie rozrośnięty tułów. Na całym świecie aż roi się od takich koleśiów i wszyscy mają takie same fryzury, krótkie, mokre i lekko potargane.

Mężczyzna kiwa głową w stronę Amerykanina i zajmuje miejsce przy jego stoliku. Między nimi stoi puste krzesło, na którym nieznajomy kładzie małą reklamówkę z logo sklepu z koszulami. Ze środka wystaje skrawek bibuły.

- Powiedz mi, co to jest.

Anders obrzuca go gniewnym spojrzeniem i wybałusza oczy, a potem teatralnie wzrusza ramionami, popisując się swoją muskulaturą. Ten facet wykonuje mnóstwo ruchów tylko po to, żeby pochwalić się swoimi mięśniami.

- To produkt najwyższej jakości - mówi i głośno wzdycha.

Amerykanin szeroko się uśmiecha.

- Idę do toalety.

Anders prycha lekceważąco i zrezygnowany wyciąga przed siebie obie ręce, jakby chciał powiedzieć: „Rób, jak chcesz”.

Amerykanin wkłada torbę do zlewu, odpakowuje bibułę i wyciąga paszport. Facet na zdjęciu jest nawet do niego podobny. Ma długą brodę, taką samą, jaką zapuścił, kiedy przeprowadził się do Skandynawii. Wiek również mniej więcej się zgadza. W środku wbito kilka stempli z miejsc chętnie odwiedzanych przez brytyjskich turystów. Na tylnej okładce znajdują się resztki brudnej nalepki potwierdzającej nadanie bagażu. Świetnie to wygląda. Najważniejszego jednak nie widać. Amerykanin wraca do stolika.

- Twoja kolej - mówi Anders.

Amerykanin przesuwając gazetę tak, żeby ukazał się kawałek wyściełanej koperty. Anders podnosi ją ze stolika i idzie do łazienki, żeby przeliczyć pieniądze. Żadna ze stron biorących udział w tej transakcji nie grzeszy nadmiarem zaufania.

Kiedy wraca, Amerykanina już nie ma. Dosłownie przed chwilą zniknął za rogiem i teraz zdejmując granatową koszulę z bawełny oksfordzkiej i zostaje w białym T-shircie, po czym sięga do torby i zakłada na głowę czapkę oraz ciemne okulary. Z odpowiedniej odległości - dwóch, a nawet trzech przecznicy - śledzi każdy ruch gburowatego osiłka. Nie ma potrzeby podchodzić bliżej. W wyściełanej kopercie znajduje się cienkie urządzenie szpiegujące.

Irlandia

- Piszę artykuł o amerykańskich ekspatach.

Drzwi wejściowe blokuje mężczyzna, który nie wygląda, jakby miał zamiar wpuścić kogokolwiek do środka. Znad Morza Irlandzkiego, którego szary skrawek widać na końcu ulicy, wieje silny słony wiatr. Will odgarnia znad oczu niesforny kosmyk włosów.

- Możesz pan powtórzyć dla jakiego czasopisma?

- „Travelers”. Słyszał pan?

Mężczyzna kiwa głową.

- Znalazłby pan dla mnie kilka minut? Będę się streszczał.

- Przepraszam, ale jak mnie pan znalazł?

To nie zabrzmiało zbyt zachęcająco.

- Opowiedzieli mi o panu Amerykanie przesiadujący w barze sportowym.

- Dlaczego chce pan ze mną rozmawiać?

- Moim celem jest pokazanie, jak naprawdę wygląda życie ekspatriantów^[38]. Ktoś wspomniał, że lubi pan oglądać futbol. Czy właśnie tego najbardziej panu brakuje?

- Kto konkretnie o mnie opowiadał?

Will wpatruje się bacznie w nieznanego. Rzekomo nazywa się Tom Evans. Banalne imię i banalna twarz.

- Przepraszam za najście, panie Evans. Chyba rzeczywiście zaszło jakieś nieporozumienie.

Paryż

Omar dzieli pokój na drugim piętrze z Piotrem z Petersburga, Yangiem z Pekinu i Parvizem z Teheranu. Ma najlepsze biurko, tuż przy oknie, z widokiem na ascetyczny ogród leżący na tyłach budynku w stylu belle epoque przy placu Trocadéro. Niestety, znad rzędu monitorów niewiele widać, a rolety są niemal zawsze zaciągnięte. Omara cieszy więc sama świadomość, że ma przed sobą okno, przez które mogłoby wpadać naturalne światło i widziałyby dach znajdującego się kilka przecznic stąd Grand Palais. Jego mieszkanie na Goutte d'Or jest bardzo ciemne.

Udało mu się już włamać do systemu komputerowego wypożyczalni samochodów, obejść antypirackie zabezpieczenia i zsynchronizować swoją aplikację nawigacyjną z GPS-em śledzonego auta. Sprawdził dotychczasową trasę: kierowca przedarł się przez korki i wyjechał z miasta, a potem przemieszczał się na południe wzdłuż wybrzeża.

Samochód zatrzymał się przed jakimś domem. Zidentyfikowanie numeru telefonu stacjonarnego oraz adresów IP dwóch komputerów podłączonych do zaskakująco dobrze chronionej sieci wi-fi to bułka z masłem. Kolejną minutę zajmuje Omarowi namierzenie właściciela komórki używanej wewnątrz

budynku. Co ciekawe, telefon wcale nie należy do śledzonego. Po następnych trzech minutach Omar jest pewien, że rozpracował wszystkie kanały komunikacyjne, co oznacza, że posesja w hrabstwie Wicklow znalazła się pod pełną obserwacją. Omar przegląda mapę, klika na odnośniki ze zdjęciami i stwierdza, że dom stoi przy całkiem przyjemnej ulicy zakończonej schodzącą do morza skarpą. No tak, Irlandia to ładny kraj, myśli. Zupełnie inny niż Libia, trochę podobny do Francji, biorąc rzecz jasna pod uwagę różnice topograficzne w skali całego świata.

Na ekranie otwarte jest sześć okien, w których widać płynące nieprzerwanie strumienie informacji. Ale Omar zawsze chce czegoś więcej.

Tym razem nie musi długo czekać - po kilku minutach śledzony wychodzi z domu, zabierając ze sobą telefon, którego sygnał łączy się po chwili z GPS-em samochodu.

Auto rusza, a wtedy w domu ktoś uruchamia inną komórkę, która do tej pory musiała być wyłączona. To miejscowy numer na kartę prepaid. Omar musi się spieszyć, żeby namierzyć odbiorcę rozmowy. Klika i stuka jak oszalały w klawiaturę, ponieważ zdaje sobie sprawę, że to nie potrwa długo...

Nagle zalega cisza. Koniec połączenia.

Nie udało mu się zidentyfikować wybranego numeru, ale zdążył ustalić ogólną lokalizację: Langley, Wirginia.

Nowy Jork

Dzwoni budzik. Jest czwarta rano. Gabriella wypija espresso i przez trzydzieści minut ćwiczy na rowerze stacjonarnym, oglądając fragmenty wczorajszych talk-show. Celem treningu jest przede wszystkim pobudzenie organizmu i wpompowanie do krwi endorfin niezbędnych, żeby stawić czoło nowym obowiązkom zawodowym. Przed wyjściem robi w lustrze zdjęcie całej sylwetki, żeby mieć dowód, w co się ubrała.

Ściany mieszkania ozdobione są rzędami fotografii, ponumerowanych i podpisanych grubym ołówkiem: „Terrance Sanders”. Reporterskie zdjęcia zrobione w Azji, Afryce i na Bliskim Wschodzie przedstawiające wiejskie życie, biedę, czasem jakiś malowniczy krajobraz, ale zawsze czymś oszpecony: gnijącym drzewem, śmieciami, rozpadającą się ruderą. To nie są idealne kadry, jednak gdyby takie były, z powodzeniem mogłyby wylądować na okładkach kolorowych magazynów. Takie są w końcu oczekiwania

wydawców.

Na zewnątrz jest jeszcze ciemno. Obok zielonej markizy, w kręgu światła rzucanego przez uliczną latarnię, stoi limuzyna marki Lincoln. Za szybą widnieje kartka z wypisanym wielkimi literami nazwiskiem Rivera. Gabriella wsiada do środka i po chwili samochód rusza w kierunku centrum.

Gabriella pokazuje dokumenty zaspanemu ochroniarzowi. Zaraz zjawia się drugi i eskortuje ją do garderoby położonej tuż obok nieoznakowanych drzwi wychodzących na boczną uliczkę, na której mogą parkować służbowe samochody, nie przyciągając uwagi zbierającego się pod oknami studia tłumy wielbicieli różnych mniej lub bardziej znanych celebrytów. Niektórzy fani pokonują setki, a nawet tysiące kilometrów tylko po to, żeby po wielu godzinach nocnego oczekiwania, czasami w deszczu, zobaczyć z bliska aktorkę, piosenkarza albo słynnego szefa kuchni. Widzieli te same twarze tysiące razy na ekranie telewizora i na okładkach czasopism, ale teraz to dzieje się na żywo. Ich ulubiona gwiazda stoi po drugiej stronie kordonu oddzielającego zwykłych zjadaczy chleba od sław, które występują w telewizji.

Gabriella siedzi na sofie, przegląda notatki i powtarza w myślach to, co ma zamiar powiedzieć, od czasu do czasu dotykając palcami okrągłego wisiora zwisającego na cienkim łańcuszku ze złota. Zapisuje poranne selfie w folderze zatytułowanym „Telewizja”. Nie chce wystąpić przed kamerą dwa razy w tych samych ciuchach, więc musi prowadzić stosowną ewidencję. Nie ma stylisty i nie dysponuje specjalnym funduszem, który mogłaby przeznaczyć na nowe stroje. Jest zwykłą kobietą, która kupuje ubrania, płacąc za nie z własnej kieszeni. Pewnego razu po prostu zaprosili ją do studia, żeby o czymś opowiedziała. Potem znowu się z nią skontaktowali i po pewnym czasie stało się to rodzajem rutyny.

- Makijażystka już na panią czeka.

Gabriella siada w wypełnionym lustrami, mocno oświetlonym pokoiku. W zagraconym wnętrzu unosi się duszący zapach rozmaitych kosmetyków - pudrów, błyszczków i lakierów do włosów - ustawionych rzędami na szklanych półeczkach jak narzędzia w warsztacie samochodowym.

- Jak leci, skarbie?

- Nie najgorzej. A co u ciebie, Charlene?

- Nie mogę narzekać. Masz piękną cerę, więc praca z tobą to czysta przyjemność. Przy tobie czuję się jak geniusz. - Charlene zaczyna nakładać puder. - Mogę zapytać, skąd jesteś?

- Z Brooklynu.

- Naprawdę? Ja też. A konkretnie?

- Canarsie. A ty?

- East Flatbush. Ale wiesz, że nie do końca o to mi chodziło?

- Moi dziadkowie urodzili się w Portoryko, Gujanie, Rhode Island i Republice Dominikańskiej. Ich rodzice pochodzili natomiast z Norwegii, Indii, Afryki Zachodniej i Włoch, nie zapominając o sporej domieszce krwi rdzennych mieszkańców Karaibów i Ameryki Środkowej.

- Rzeczywiście niezła kombinacja. - Charlene zabiera się do oczu Gabrielli.

- Nigdy nie wiem, jak odpowiedzieć na pytanie dotyczące pochodzenia etnicznego. Jestem dobrym przykładem postrasowości, tak samo jak Jessica Alba, Jessica Biel, Vin Diesel i The Rock.

- On chyba woli, żeby mówić na niego Dwayne Johnson.

- Nie uważasz, że mogłabym zostać wielką gwiazdą, gdybym tylko umiała grać?

- Widziałam cię przed kamerą. Jesteś świetna!

- Dzięki. To prawda, że daję radę, jeśli mam do powiedzenia parę zdań i nawet udaje mi się nie spaść z krzesła, ale to nie to samo co aktorstwo. Wiem, bo próbowałam w ogólniaku.

- Do której szkoły chodziłaś?

- Do Murrow. A ty?

- Tilden.

- Chyba było trudno.

- Owszem, wiem coś o tym.

- Bywałam nawet na castingach, ale zorientowałam się, że brakuje mi talentu i szybko dałam sobie spokój. Aktorstwo to ciężki kawałek chleba, nawet jeśli jesteś świetna, a ja na pewno nie byłam.

- Masz za to nieziemską urodę.

- Dziękuję. - Gabriella szeroko się uśmiecha. - Ale to nie jest żadna umiejętność.

Charlene robi krok do tyłu, żeby ocenić efekty swojej pracy. Gabriella będzie musiała pamiętać, żeby przed wyjściem na ulicę zmyć mocny makijaż. Ostatnim razem zapomniała i czuła się jak klaun.

- W porządku, skarbie. Gotowe. Wyglądasz doskonale! - Charlene odpina od szyi swojej klientki osłaniający ubranie kołnierzyk i wyrzuca go do kosza.

- Powodzenia na wizji!

Dublin

- Will Rhodes?

Will odwraca się zaskoczony, że ktoś w tym mieście wypowiada na głos jego nazwisko. Za plecami widzi nieznanego faceta w luźnej koszuli, pod którą rysują się wielkie bicepsy, a spod mankietów wystają wytatuowane przedramiona.

W tym samym momencie czuje, jak ktoś obejmuje go w pasie żelaznym uściskiem. Spogląda na drugiego napastnika, który wygląda dokładnie tak samo jak ten pierwszy.

- Może pan z nami pójść? - Słyszy amerykański akcent i widzi dłoń wskazującą na zaparkowanego przy krawężniku sedana. Drzwi samochodu są otwarte.

- Mam jakiś wybór?

Mięśniak milczy.

- Mogę zobaczyć pańskie dokumenty? - Will czuje, jak serce staje mu w gardle. Zaczyna się zastanawiać, w którą stronę należy uciekać.

- To ciekawy pomysł - odpowiada Mięśniak. - Mam jednak lepszy. Chcesz wpierdol?

Drugi osiłek pcha Willa w stronę samochodu i wrzuca go na tylną kanapę, a sam siada obok. Mięśniak obchodzi auto i zajmuje miejsce na fotelu pasażera. Za kierownicą siedzi trzeci mężczyzna.

Myśli Willa biegną w kilkunastu różnych kierunkach. O co chodzi? Jak bardzo należy się bać? Na co powinien się przygotować? Samochód zwalnia i staje na czerwonym świetle. Will patrzy na klamkę. Czy po zatrzaśnięciu drzwi słyszał szczęk zamka? Niestety, nie jest sobie w stanie przypomnieć. Wygląda przez okno. Na rogu nikt nie stoi, nie widać też żadnych zaułków ani bocznych alejek. Wzdłuż ulicy ciągnie się rząd domów, ale wszystkie drzwi są zamknięte. Nie ma dokąd uciec ani gdzie się schować.

Zatrzymują się przed modernistycznym gmachem stojącym na terenie biurowego miasteczka. Między niskimi budynkami biegną brukowane alejki. Dużo tu zieleni: drzew, krzewów i trawy. Niby nic szczególnego, ale w zaistniałej sytuacji ten widok napawa Willa przerażeniem.

Wprowadzają go do holu i mijają ochroniarza, który kiwa głową, gdy Mięśniak przykłada kartę do czytnika, żeby otworzyć szklane drzwi. Potem

idą korytarzem wyłożonym wykładziną i wchodzą do sali konferencyjnej z owalnym stołem i sześcioma krzesłami.

- Will Rhodes? - Do pomieszczenia wchodzi jeszcze jeden Amerykanin. Ma przyprószone siwizną włosy, garnitur, krawat i wyglansowane buty. Wykonuje zdecydowane ruchy kogoś, kto lubi szybko przechodzić do rzeczy i chce, żeby inni o tym wiedzieli. - Dziękuję, że pan przyszedł. - Zamyka za sobą drzwi.

- Miałem jakiś wybór?

Tym razem Will słyszy szcęk zamka.

- Nie, nie miał pan.

Nowy Jork

Głos w słuchawce mówi:

- Wchodzimy na antenę.

- Naszym gościem jest dzisiaj Gabriella Rivera, zastępca redaktora naczelnego magazynu „Travelers”.

Dziennikarz zapowiadający Gabriellę pojechał do innego miasta, żeby nadać relację z jakiegoś zupełnie nieistotnego wydarzenia. Zapewne ma się to przyczynić do wzrostu oglądalności, co jest częścią niekończącej się i z góry przegranej walki o zwiększenie udziału w kurczącym się rynku programów śniadaniowych. Niestety, o siódmej rano w zwykły dzień tygodnia Amerykanie coraz częściej wolą robić inne rzeczy, niż siedzieć przed telewizorem.

- Gabriella pojawia się w naszym studiu co miesiąc, żeby poinformować o atrakcyjnych ofertach turystycznych, udzielić praktycznych wskazówek dotyczących taniego podróżowania i przedstawić ciekawe pomysły na kolejne wakacje.

W ciągu ostatniego roku nieco się z tym oswoiła, ale występy na żywo w ogólnokrajowym kanale telewizyjnym nadal ją stresują. Zastanawia się, czy kiedykolwiek się do tego przyzwyczai. Może w takich sytuacjach zawsze ma się tremę? To trochę tak jak z wizytą u dentysty.

- Dzień dobry, Gabriello!

- Dziękuję, Ted. Cieszę się, że tu jestem!

Posyła telewizzom promienny uśmiech. Producentka wykonawcza powiedziała jej kiedyś, że świetnie wypada przed kamerą, co jest rzekomo

niezwykłą rzadkością, tak jak wokalistka śpiewająca perfekcyjne wysokie C albo pałkarz, którego skuteczność wynosi ponad 0,3. Lucinda wiele razy kusila ją atrakcyjną ofertą pracy, zwykle podczas lunchów w modnej restauracji Micheal's, w której zbierają się grube ryby świata mediów. Siedziały przy stoliku nad talerzami z niebotycznie drogą zieleniną, a Lucinda rzucała nazwiskami i udawała, że wszystkich zna.

- Zgodnie z prognozą pogody czeka nas fala upałów, więc nic dziwnego, że zaczynamy myśleć, dokąd wybrać się zimą. W najnowszym numerze „Travelers” znajdziecie przegląd ośrodków narciarskich...

Potem włącza się autopilot i wszystko przebiega zgodnie z wcześniej przygotowanym scenariuszem. Gabriella wygłasza swój monolog, odpowiednio rozkładając akcenty i śmiejąc się z żarcików Teda. Im częściej występuje przed kamerą, tym bardziej zdaje sobie sprawę, jak trudno jest się nie pomylić, nie palnąć jakiejś głupoty, nie powiedzieć czegoś złośliwego lub nazbyt kontrowersyjnego. Mogłoby się wydawać, że to bułka z masłem, ale wcale tak nie jest.

Lucinda wyraźnie dała jej do zrozumienia, że gdyby zmieniła zdanie, propozycja pozostaje otwarta. Po wyjściu z restauracji lekko otumaniona Gabriella szła Pięćdziesiątą Piątą Ulicą, łamiąc sobie głowę, w jaki sposób mogłaby wymówić się od swoich obowiązków w „Travelers”, zostać cholerną gwiazdą telewizji - to chyba jakieś osiągnięcie, prawda? - i raz na zawsze wyplątać się z kłopotów związanych z tymi wszystkimi tajemnicami.

- Następnym razem zajmiemy się Europą. Amerykanie uważają Stary Kontynent za doskonały cel letnich wojaży, ale nie możemy zapominać, że także jesień i zima oferują wspaniałe możliwości, szczególnie na południu, gdzie jest pięknie i ciepło. Na przykład śródziemnomorskie wybrzeże Hiszpanii.

Właśnie takie występy - transmitowane na żywo nie tylko w telewizji, lecz także w internecie, archiwizowane po to, by można je było odtworzyć na dowolnym komputerze w każdym zakątku globu, oglądane przez miliony ludzi na całym świecie, a dostępne dla miliardów - są prawdziwym powodem, dla którego Gabriella pojawia się w studiu telewizyjnym.

Sztokholm

Amerykanin siedzi w małej kawiarni po drugiej stronie ulicy. Zajął

miejsce na zewnątrz, żeby mieć dobry widok na wejście do budynku, w którym mieszka Anders.

Tym razem nie ma na sobie żadnego przebrania. Jest sobą, czyli starszym panem rezydującym w Sztokholmie, który czyta gazetę, sącząc wieczornego drinka i patrząc na przechodzące blondynki.

Jaki los czekał podczas zimnej wojny zdemaskowanych podwójnych agentów, Amerykanów sprzedających wojskowe tajemnice albo Rosjan, którzy chcieli uciec na drugą stronę, ale im się nie udało? Za karę trafiali do jednego ze smutnych i ponurych krajów bloku wschodniego. Żywili się kleikiem i nosili szare ubrania, a po jakimś czasie, w środku dnia, na zatłoczonej ulicy w samym centrum miasta, dostawali kulkę w tył głowy, jednoznaczne ostrzeżenie dla żyjących. To była nagła śmierć, lecz trudno powiedzieć, że byli zaskoczeni. Nadal dochodziło do takich morderstw i istniało ryzyko, że również jego może to spotkać.

Ale nie w Sztokholmie. Przez kilka miesięcy posługiwał się jamajskim paszportem, jednak wkrótce to się zmieni. Zrzuci kolejną skórę i wyjedzie. Lepiej żyć gdzie indziej niż umrzeć w Szwecji.

Ostatnio znowu zastanawiał się, czy może warto w zamian za bezpieczeństwo podzielić się swoją wiedzą. Już wcześniej o tym myślał, tak naprawdę nie było tygodnia, żeby nie rozważał takiej możliwości, szczególnie kiedy się bał, doskwierała mu samotność albo miał wrażenie, że dopada go jakaś choroba. W jego wieku każda nowa dolegliwość może oznaczać koniec. W środku niekończącej się skandynawskiej zimy niemal każdej nocy chciał złapać za telefon i zadzwonić do szefa: „Cześć, muszę wrócić...”.

Nie miał jednak pojęcia, jak wiele mostów za sobą spalił. Czy stał się persona non grata? O co mogą go podejrzewać, a może nawet oskarżać? Nie mógł tego w żaden sposób sprawdzić. Kto co komu powiedział? Jakie mają plany wobec niego? Co o nim tak naprawdę myślą?

Może ucieczka to wcale nie był najlepszy pomysł, ale czy mogło być inaczej? Podejmujesz taką decyzję i do końca życia bierzesz za nią odpowiedzialność.

Podnosi wzrok. Otwierają się drzwi wejściowe do kamienicy, ale to nie Anders, tylko młoda matka z dwójką dzieci.

Jednak zaledwie kilka sekund później z budynku wychodzi wytatuowany osiłek.

Niedobrze.

Dublin

- Kim pan jest?

Mężczyzna odsuwa krzesło i siada, po czym kładzie na stole notes i długopis.

- Przepraszam, chyba rzeczywiście niezbyt jasno się wyraziłem. To ja mam do pana kilka pytań, a nie odwrotnie. Po co przyjechał pan do Dublina, panie Rhodes?

- Jestem dziennikarzem zajmującym się tematyką podróżniczą, pracuję dla „Travelers” i piszę właśnie artykuł o Irlandii.

- Widzę, że próbuje pan popisywać się swoją inteligencją.

- W ogóle uważam się za inteligentną osobę.

- Hm, jakoś tego nie widać. Dlaczego Dublin?

- To interesujące miejsce, czyż nie? Pan też tutaj przyjechał.

Mężczyzna wbija w niego wzrok i uderza długopisem o notes.

- Jakim cudem wylądował pan ostatnio w Yankee Doodle?

- Trudno powiedzieć. Namiary na ten lokal dał mi chyba znajomy znajomego kolegi z pracy. Musiałbym sprawdzić w notatkach, ale niestety nie mam ich teraz przy sobie. Pańscy ludzie na pewno je znajdą, kiedy będą przetrząsać mój pokój hotelowy. Tak więc tymczasem może mi się pan, do kurwy nędzy, przedstawi i powie, czego ode mnie chce?

Nieznajomy przygląda się Willowi, siedząc po drugiej stronie stołu konferencyjnego. Długopis cały czas leży na notesie. Najwyraźniej Will nie powiedział niczego godnego uwagi.

- Pracuję dla rządu. Moim zadaniem jest chronienie kraju przed jego wrogami.

- CIA?

- Departament Stanu.

- Czyli CIA.

Will jest śmiertelnie przerażony i robi wszystko, żeby tego nie okazać. Nie ma jednak pojęcia, co wzbudza w nim tak wielki strach. Może powinien przyznać, że jest tajnym współpracownikiem i grają dla tej samej drużyny? Niestety, nie ma na to żadnego dowodu. Nie wie, jak naprawdę nazywają się jego agenci prowadzący, kim są ich szefowie, dla którego wydziału pracują i gdzie znajduje się ich centrala. Brakuje mu konkretnych informacji i nie jest

w stanie niczego dowieść.

- Mógłby się pan wylegitymować?

- Naprawdę?

Will milczy.

- Proszę mnie posłuchać. Przyjechał pan do obcego kraju i wypytuje o różne rzeczy mieszkających tu Amerykanów. Niektórzy z nich zajmują się bardzo delikatnymi sprawami. Naszym zadaniem jest zapewnienie im bezpieczeństwa. To chyba całkiem normalne i nie powinno nikogo dziwić, prawda?

- Nie.

- Rozumiem, że dużo pan podróżuje. Pewnie łatwo wyobrazić sobie sytuację, w której to pan zwraca się o pomoc do amerykańskich urzędników. Na przykład wtedy, gdy wylądowałby pan w zagranicznym więzieniu. Czy miałyby jakiegokolwiek znaczenie, jaką legitymacją posługuje się funkcjonariusz, który przyjdzie panu na ratunek? CIA? Departament Stanu? Jaka to w gruncie rzeczy różnica?

- Ale ja nie siedzę w kryminale i nie zrobiłem nic złego.

Mężczyzna splata ręce na stole i pochyla się do przodu.

- Jest pan tego absolutnie pewny, panie Rhodes?

Sztokholm

Zmusza się, żeby nie wstać od stolika.

Młoda kobieta idzie powoli chodnikiem. W pewnym momencie przystaje, żeby pozdrowić jednego z przechodniów. Dzieci biegają wokół słupka, śpiewając jakąś piosenkę i dokazując.

Joe wzywa kelnera i kładzie pieniądze na blacie. Jest zdenerwowany i chciałby jak najszybciej stąd zniknąć.

Anders podchodzi do swojego motocykla. Kobieta odwraca się i coś do niego mówi, a on wybucha śmiechem. „Kurwa, nie jest dobrze, naprawdę nie jest dobrze. Stoją zbyt blisko siebie”.

Nagle jedno z dzieci zaczyna pędzić na złamanie karku wzdłuż ulicy, a drugie rusza za nim w pogoń. Matka coś krzyczy, ale jej nie słyszą, więc uśmiecha się do Andersa, wzrusza ramionami i zrywa się do biegu. Teraz cała trójka pędzi przed siebie z rozwianymi blond włosami. Anders patrzy na to, co się dzieje, i siada na motorze. Coraz bardziej się oddalają. Są już

pięćdziesiąt, sześćdziesiąt metrów od niego. Dzieci zbliżają się do rogu ulicy znajdującego się naprzeciwko kawiarni. Dzięki Bogu, wszystko w porządku. Amerykanin wstaje i odchodzi kilka kroków od stolika. Anders przekręca kluczyk w stacyjce i motocykl eksploduje.

Część trzecia

Rozdział 15

Nowy Jork

Powrót do domu zawsze zajmuje więcej czasu. Z Europy do Nowego Jorku leci się pod wiatr i podróż trwa dłużej niż w przeciwną stronę.

Will wyłącza tryb samolotowy i sprawdza na ekranie, czy nie wybuchł jakiś kryzys. Od pewnego czasu patrzy na pracę - swoją i pozostałych - z innej perspektywy. Śmieszy go fałszywe przekonanie, że ludzie robią coś niezwykle ważnego i pilnego: pogoń za wynikami, nieprzekraczalne terminy, przełomowe daty, maksymalnie napięte harmonogramy, skrupulatne korekty budżetów, skomplikowane strategie, konflikty wewnętrzne i niezdrowa rywalizacja, wykresy i grafy, raporty i notatki służbowe, nieustająca bieganina, banały i frazesy wygłaszane w salach konferencyjnych na całym świecie, zbiorowa halucynacja, że to, czym się zajmujemy, ma jakieś znaczenie, że jesteśmy ważni i dlatego brakuje nam wolnego czasu. „Skontaktuj się z moją asystentką. Rzuci okiem na grafik i sprawdzi, kiedy mam okienko. Jestem taki zajęty, ale ty pewnie też, prawda?” „Jasne, sam nie wiem, w co ręce włożyć”.

Will przechodzi przez bramkę dla członków programu Global Entry, która prowadzi do pustego stanowiska kontroli paszportowej. Potem łapie taksówkę i brnie przez ubogie dzielnice oddzielające lotnisko JFK od centrum miasta. Wysiada pod samym domem. Podczas jego wyjazdu z okien zniknęła sklejką i pojawiły się szyby. Budynek nie wygląda już, jakby miał być przeznaczony do rozbiórki.

W środku pali się światło, co oznacza, że Will zaraz przywita się z Chloe.

Wspina się po schodach. Jest zmęczony i tak naprawdę nie ma ochoty na pogawędkę z żoną. Znowu będzie musiał kłamać. Robi tak za każdym razem, gdy wraca do domu. Przez większość życia uważał się za osobę prawdomówną. Szczerłość i uczciwość pomagały mu również w pracy dziennikarza, dlatego naprawdę trudno mu się przyzwyczaić do ciągłych kłamstw. Podczas niemal każdej istotniejszej rozmowy z żoną lub z szefem musi im wciskać jakąś bujdę na resorach.

Chloe siedzi w kuchni i przegląda papiery. Wystawia policzek do

pocałunku, ale nie wstaje z krzesła. Mówi:

- Okna wyglądają całkiem nieźle.
- Naprawdę? Cieszę się, że ci się podobają.
- Muszę jednak przyznać, że byłam zaskoczona, kiedy pojawił się Victor.

Zapłaciłeś mu?

„Cholera, chyba nie będziemy drażnić tego tematu?”

- Tak.

- Skąd mamy na to pieniądze?

Niestety, wywołał wilka z lasu. Chociaż jest dobrze przygotowany, to teraz, kiedy kurtyna poszła w górę, czuje narastające zdenerwowanie. Musi postępować z całą premedytacją i opowiedzieć lipną historyjkę. Nie wpłacał wynagrodzenia z CIA do żadnego banku, żeby nie pozostawić śladów. Ale przecież jakoś musiał wydać tę forszę.

- Zaległy zwrot kosztów - mówi, podchodząc do blatu i nalewając sobie szklankę wody. - Z zeszłego roku.

Nie widzi twarzy Chloe, ale jest w stanie wyobrazić sobie jej zdziwioną minę. Na pewno przekrzywiła głowę i zastanawia się, jakim cudem zapomniała o tych pieniądzach. Nie zapomniała, ponieważ nigdy wcześniej na ten temat nie rozmawiali.

- Wydawało mi się, że ci o tym wspominałem.

- Nie pamiętam.

- Kiedy refinansowaliśmy kredyt hipoteczny, okazało się, że miesięczne harmonogramy naszych kont bardzo się od siebie różnią i żeby nie trzeba było się z tego tłumaczyć, zacząłem składać dokumenty do rozliczania kosztów z kilkutygodniowym opóźnieniem, a ten jeden zwrot po prostu wypadł mi z głowy.

Czuje się okropnie. Próbuje wmówić żonie, że zapomniał o czymś, co się w ogóle nie wydarzyło. To był zły pomysł. Szkoda, że nie może zacząć od początku i opowiedzieć jakiejś zupełnie innej historyjki. Ale, niestety, raz wypowiedzianego kłamstwa nie da się wycofać.

- Natknąłem się na te faktury kilka miesięcy temu. Mamy nowego wydawcę, Stephanie Bloom. Mówiłem ci o niej? - Chloe kręci głową. - No więc, ta baba ma rzekomo fioła na punkcie księgowości, dlatego każdy chce jak najszybciej wszystko rozliczyć, zanim zaczną się czepiać. Dostałem czek i od razu zapłaciłem Victorowi. - Łże jak pies, wyzbywając się resztek przyzwoitości. - Trochę jeszcze zostało. Masz ochotę się upić? Dean na pewno da nam zniżkę.

Chloe podnosi wzrok i patrzy mu prosto w oczy. Wygląda na zmęczoną i przygnębioną. Siedzi nad stosem rachunków, ponagleń i deklaracji podatkowych. Monotonia codziennego życia.

- Jasne - mówi. - Niezły pomysł.

- W porządku. Muszę się tylko ogarnąć. Chwilunia. - Z zagranicznych podróży Will często przywozi rozmaite powiedzonka, a w jego akcencie słyhać obce naleciałości. Dopiero po kilku dniach zaczyna mówić tak jak przed wyjazdem.

- Will?

- Tak?

- Kocham cię.



Kiedy sortuje brudne ubrania, czuje się jak ostatni drań. Część wrzuca do pralki, a część do worka, który trafi do pralni chemicznej. Wymienia wtyczki w ładowarkach na amerykańskie, z małymi, ostrymi końcówkami. Nie rozpakowuje kosmetyczki. Nigdy tego nie robi. Musi być gotowy na kolejny wyjazd.

Do pudełek po butach wkłada obcą walutę, mapy i służbowe karty kredytowe, po czym wychodzi na korytarz i zaczyna nasłuchiwać, żeby zorientować się, co robi Chloe. Z parteru dobiega szelest przeglądanej gazety.

Czym prędzej wraca do gabinetu i podchodzi do osłony kaloryfera składającej się z kawałka perforowanej stali, przez którą wydobywa się ciepło, i solidnej, drewnianej obudowy z klapką na zawiasach. Wyjmuje z kieszeni służbowy telefon CIA, otwiera klapkę, wkłada rękę do środka i kładzie urządzenie na podłodze.

Jeszcze jedna tajemnica. Na razie to dobra kryjówka, ale do jesieni, kiedy włączą ogrzewanie, będzie musiał znaleźć coś lepszego.



- Miło cię znowu widzieć, Stephanie - mówi Malcolm, ale w jego głosie wcale nie słyhać zadowolenia. - Proszę, rozgość się. - Wskazuje na krzesło.

Nowa wydawczyni siada i zakłada nogę na nogę. Malcolm celowo opóźnia początek rozmowy. Bierze czerwony marker, przechodzi na drugą stronę pokoju i staje pod tak zwaną Ścianą, czyli ogromnym schematem

przedstawiającym każdą szpaltę kolejnego numeru pisma: strony z artykułami i reklamami, zdjęcia, drobne ogłoszenia, początek jednego tekstu i końcówka innego, informacje o liczbie słów i terminach, nazwiska autorów, redaktorów, fotografów i grafików, ręcznie dopisane komentarze, na przykład „Wstępniak Malcolma” albo „Całostronicowa fotografia jedzenia”, ostateczna wersja reportażu z dopiskiem „Zatwierdzone przez MS” i datą nagryzmołoną na marginesie po prawej stronie. Co miesiąc to samo, jakby za każdym razem mieli odkrywać Amerykę.

Malcolm przekreśla wielkim krzyżykiem makietę strony ósmej i dziewiątej. Autor najwyraźniej zawałił termin. Tekst nie zostanie dostarczony na czas i bardzo możliwe, że w ogóle się nie ukáže.

- Tak więc - mówi, wracając za biurko - witam w redakcji. Cieszę się, że dołączyłaś do zespołu.

Stephanie uśmiecha się, ale raczej z przymusem.

- Słuchaj, zdaję sobie sprawę, że to niezręczna sytuacja.

- Niezręczna? Eee tam...

- Bardzo szanuję „Travelers” jako markę, a ciebie jako jej opiekuna. Chcę, żebyś o tym wiedział.

- Dziękuję, miło to słyszeć.

Na jej twarzy znowu pojawia się uśmiech, tym razem bardziej naturalny.

- No tak, ale jest pewien szkopuł... Wiesz, o co mi chodzi.

- Czyżby? - Malcolm mierzy ją wzrokiem. Przez dobre pięć minut kazał jej na siebie czekać w sekretariacie pod okiem swojej nieprzeniknionej asystentki. - Dlaczego po prostu mi tego nie wyjaśnisz? Chyba lepiej, żeby nie było między nami żadnych niedomówień.

- Trzydzieste trzecie piętro chce zwiększyć kontrolę nad finansami. Chodzi o wszystkie tytuły, nie tylko o „Travelers”. Cała siódemka ma być wypłacalna i trzeba dołożyć wszelkich starań, żeby do minimum ograniczyć marnotrawstwo. Każdy statek ma być całkowicie szczelny.

- Szczelny? Przepraszam, ale nie znam.

- Wydajny, jeśli wolisz bardziej tradycyjne określenie.

- Sądzę, że grube ryby z trzydziestego trzeciego piętra nie wierzą, że znamy się na tym biznesie. Na dodatek nie ufają mi i podważają moje kompetencje. Czekam tylko, aż ogłoszą stan upadłości. Skończymy jak Detroit. W każdym razie takie mam przecucie.

- Mylisz się. Przykro mi, że tak to odbierasz. Mogę tylko jeszcze raz powtórzyć, że wydawanie pisma nadal pozostaje całkowicie w twojej gestii.

Zachowujemy rozdział Kościoła od państwa. Zawsze tak było i nadal tak będzie.

Branża dziennikarska szczyci się długą historią wyraźnego rozgraniczania spraw redakcyjnych od biznesowych. Jednak magazyn „Travelers” - przynajmniej do tej pory - był pod tym względem wyjątkiem. Stanowiska redaktora naczelnego i wydawcy były połączone, co oznaczało, że jedna osoba odpowiadała zarówno za finanse, jak i za merytorykę. Niestety, spece od przejęć i fuzji uznali, że taki podział obowiązków jest mało klarowny. Zarząd American Periodical Group postanowił więc zatrudnić doświadczonego wydawcę, który miał za zadanie przynajmniej stworzyć pozory profesjonalnego zarządzania.

APG to kolejna niezależna, rodzinna firma, która zostanie pochłonięta przez bezduszną międzynarodową korporację. O jej losie zdecydował spadek cen akcji, malejące dywidendy i kwartalne raporty, które trafiały do rąk pozbawionych empatii udziałowców. Dla nich nie liczy się historia, tradycja i setki pracowników z rodzinami, dla których magazyn jest głównym źródłem utrzymania. Tak działa kapitalizm. Zero sentymentów.

Osoba powołana przez zarząd siedzi teraz naprzeciwko Malcolma i stara się nie dać się zastraszyć. To jej pierwszy dzień w nowej pracy. Malcolm nie ma najmniejszego zamiaru traktować jej ulgowo, a już na pewno nie dzisiaj. Doskonale zdaje sobie sprawę, że musi osiągnąć przewagę i zdominować konkurenta, ponieważ w przeciwnym razie to on zostanie zwolniony. Jeśli przegra, to cały ten cholerny interes szlag trafi.

- W porządku, dziękuję za wyjaśnienie, Stephanie. Masz do mnie jeszcze jakieś sprawy? Przepraszam, ale zbliża się termin wydania nowego numeru i jestem okropnie zajęty.

Po raz kolejny jego uwagę przyciąga malutki napastrzek z włóczki, który Stephanie nosi na palcu wskazującym lewej dłoni. To bardzo dziwny gadżet. Ma ogromną ochotę o to zapytać, ale się powstrzymuje, ponieważ nie chce dać jej satysfakcji.

- Potrzebuję hasła.

Malcolm udaje, że nie wie, o co chodzi.

- Możesz powtórzyć?

- Muszę mieć hasło administratora.

Przygląda się jej uważnie i widzi przed sobą nadgorliwego robota z dyplomem MBA. Nieźle się wystroiła: nowa fryzura, nowy kostium i nowe buty z idealnie wyprawionej skóry. Pewnie poszła wczoraj na zakupy na

Madison Avenue i uznała, że może zaszaleć. Prawdopodobnie ma teraz wyrzuty sumienia. Położyła się do łóżka lekko podenerwowana i nie mogła zasnąć. Po jaką cholereę wydała na buty sześćset dolców? A co, jeśli nowa praca nie przypadnie jej do gustu? Możliwe, że za parę miesięcy zrezygnuje albo ją wyleją. Znowu pójdzie do agencji rekrutacyjnej, ale tym razem będzie miała na koncie sześćset dolarów mniej, co zrujnuje jej budżet na ten rok. Pewnie planuje wydatki za pomocą specjalnej aplikacji zaprojektowanej przez kolegę z HBS.

Na samą myśl o tym skrócie Malcolma przechodzą dreszcze, jednak po chwili namysłu dochodzi do wniosku, że jakieś dziesięć lat temu Stephanie skończyła co najwyżej Wharton. Od razu czuje się lepiej. W końcu to on jest absolwentem Harvardu.

- Mam na myśli hasło umożliwiające dostęp do wszystkich plików na serwerze.

Wpatruje się w nią jeszcze przez kilka sekund, ale zdaje sobie sprawę, że tej bitwy nie uda mu się wygrać. Nie może ukrywać przed wydawcą danych finansowych. Zapisuje na kartce długi ciąg liter i cyfr, po czym podaje ją Stephanie, ale w ostatniej chwili po szczeniacku cofa rękę. Od razu orientuje się, że właśnie zrobił z siebie większego pajaca, niż zamierzał.

- Tylko bądź ostrożna.

- Rozumiem.

- Na pewno?

Stephanie głośno wzdycha. Widać, że traci cierpliwość i ma już dość mało profesjonalnej wrogości.

- Dziękuję za pomoc. - Być może w szkołach biznesu mają specjalne zajęcia na temat tego, jak radzić sobie z trudnymi kolegami? - Mam nadzieję, że będzie nam się dobrze pracowało. W końcu mamy takie same cele.

Naprawdę? - myśli Malcolm. - Śmiem wątpić.

W jaki sposób Will ma pisać o Irlandii, skoro nie może się nawet zająknąć o swoim uprowadzeniu? Albo o Argentynie, pomijając okoliczności nawiązania współpracy z CIA? Lub o Francji bez wspomnienia o pocałunku? Zrobił dużo notatek i przeżył całą masę przygód, ale wiele z nich musi pozostać tajemnicą.

Siedzi w archiwum i przegląda stare artykuły na temat Szmaragdowej Wyspy. Nie było ich wcale tak dużo, raptem kilka. Jeden z nich niemal trzydzieści lat temu wyszedł spod pióra Jonathana Mongeleacha. Jonathan był wtedy szeregowym redaktorem, tak jak teraz Will. Jego teksty podpisane

są inicjałami JM. Sporo podróżował po świecie, szukając idealnych miejsc, i chyba znalazł taki zakątek na zachodzie Irlandii: otoczony mnóstwem zieleni gotycki zamek, który przerobiono na hotel, ze świetnymi polami golfowymi w najbliższej okolicy. Ostatnie zdanie artykułu brzmiało: „Czy to idealne miejsce dla wybierającego się na emeryturę golfisty? Być może”.

Will ma podobne przemyślenia i bardzo często przelewa je na papier, jednak nigdy nie trafiają do druku. Wcześniej zawsze je usuwa.

Jonathan nie chciał spędzić emerytury w Irlandii i tak naprawdę wcale nie pasjonował się golfem. Być może planował wyjechać na starość w jakieś konkretne miejsce, jedno z tych, które odwiedził podczas swojej długiej kariery dziennikarskiej i w którym się zakochał.

Może właśnie teraz tam przebywa.



Malcolm znowu spotyka Willa w archiwum.

- Cześć, Rhodes.

Will siedzi pochylony nad starym numerem pisma. Na dźwięk głosu szefa podskakuje jak oparzony.

- Jak było w Zjednoczonym Królestwie?

- Pojechałem do Irlandii.

- Słuszna uwaga. Jak ci poszło?

- Całkiem nieźle.

Malcolm czeka na dalszy ciąg, ale Will milczy.

- Całkiem nieźle? Dwa słowa? Wiesz, że twoja praca polega na pisaniu o podróżach? - Will lekko się uśmiecha. - Co się dzieje, Rhodes? Jesteś jakiś nieswój.

- Przepraszam, Mal. To przemęczenie.

Malcolm zastanawia się, kiedy po raz pierwszy zauważył zmianę w zachowaniu młodszego kolegi. W którym momencie Will zamknął się w sobie? Niestety, Malcolm nie robił notatek i ma wrażenie, że przeoczył coś ważnego. Znają się od tak dawna, że wiele rzeczy po prostu mu umyka. W przyszłości musi być ostrożniejszy.

Ma też dziwne przeczucie, że Will czegoś się dowiedział. Ciekawe od kogo.



- Czy ty mnie przypadkiem nie śledzisz, Chloe Palmer?

- Rhodes. Nazywam się Chloe Rhodes.

Dean przywołuje gestem Marlona.

- Negroni z lodem i gównianym dżinem? - pyta Dean.

- Tym razem wezmę coś mniej gównianego. Zdaję się na twój gust, Marlon.

Barman odchodzi, zostawiając swojego szefa sam na sam z atrakcyjną kobietą.

Chloe siada na wysokim stołku obok Deana. Na kontuarze leżą porozrzucane papiery, które wyglądają na jakieś rachunki i faktury związane z prowadzeniem interesów, ale gdy Chloe bliżej się im przygląda, okazuje się, że to manuskrypt.

- Pracujesz nad nową książką?

- Chodzi ci o to? - Przytyka palec do ust i szepcze konfidencjonalnie, pochylając się do przodu. - Piszę powieść szpiegowską, ale ani pary z ust. Przyszłaś, żeby dokonać kradzieży własności intelektualnej? To nie w twoim stylu, panno Palmer, ale i tak bardzo seksowne. - Chloe odbiera swojego drinka. - Mam jednak wrażenie, że chciałaś się ze mną spotkać w innej sprawie.

- Czy zauważyłaś coś dziwnego w zachowaniu Willa?

Po odświeżeniu kontaktów Dean i Will spotkali się ze sobą parę razy, ale bez Chloe.

- Pytasz serio? Will jest najmniej dziwną osobą, jaką znam.

Dean ma rację. O jej mężu można powiedzieć wiele, ale nie to, że jest ekscentrykiem. Jednakże ostatnimi czasy w jego sposobie bycia doszło do niepokojących zmian. Zawsze świetnie im się układało, a tu nagle pojawiły się zgrzyty. Na początku Chloe myślała, że to jej wina: pochłonęła ją nowa praca i nowe obowiązki, miała dylematy moralne i zamknęła się w sobie. Ale to wcale nie oznacza, że z nim nie było tak samo.

Zaczęła mu się bacznie przyglądać. Wyraźnie unikał kontaktu i bardzo oględnie informował ją o swoich wyjazdach. Był małomówny i udzielał wymijających odpowiedzi. Nigdy wcześniej się tak nie zachowywał. Z czasem doszła do wniosku, że oddalają się od siebie nie z powodu jej sekretów, lecz z powodu sekretów Willa.

Nie spodziewała się, że Dean coś zauważył i podzieli się z nią jakimiś rewelacjami. Miała jednak nadzieję, że ta rozmowa pobudzi go do działania.

Od ponad dziesięciu lat stara się ją uwieść i na pewno uzna, że to świetna okazja, by wreszcie dopiąć swego.

Tajne pomieszczenie ukryte za ścianą w gabinecie Malcolma ma szerokość szafy, ale jest za to dość długie. Na wielkiej ścianie wisi mapa świata z jaskrawoczerwonymi Chinami i ZSRR oraz z nazwami nieistniejących już krajów: Czechosłowacja, Jugosławia, NRD, Górna Wolta. Stolice państw oznaczono dużymi sześcioramiennymi gwiazdami. Wyróżniono też strefy czasowe, ale kolory - zmatowiała żółć, bura szarość, blady błękit - dawno wypłowiały. Widać również wykonane ołówkiem lub długopisem zapiski, głównie liczby, zapomniane nazwiska, tajemnicze kody i zwykłe daty w miejscach takich jak Bułgaria, Chile, Wietnam, Angola, Nikaragua i Kuba. Pamiątki po zimnej wojnie. Tej mapy nie powieszono tutaj dla dekoracji, lecz korzystano z niej podczas codziennej pracy.

Na stalowych regałach umieszczono kilka zamykanych na klucz skrzynek w kolorze khaki. Reszta wyposażenia to taboret na kółkach z drewnianym siedzeniem wsunięty pod niewielkie metalowe biurko, na którym stoi staroświecki czarny telefon ze spiralnym przewodem i pusta staloszara tacka na dokumenty. Widać, że od dawna nikt jej nie używał. Ten pokój przypomina kapsułę czasu.

Jest tu tylko jedno współcześnie wyglądające urządzenie: nowoczesny laptop bez żadnego logo, podłączony do topornego pudełka, z którego bieżą nagie kable znikające w dziurze wyciętej w podłodze.

Taboret nie należy do najwygodniejszych, ale Malcolmowi to nie przeszkadza, ponieważ nigdy nie siedzi na nim dłużej niż kilka minut. Sekretne pomieszczenie istnieje od ponad pół wieku i Malcolm podejrzewa, że żaden z jego użytkowników nie przybywał tutaj dłużej niż niezbędne minimum.

Siada przy komputerze, połączonym z jednym miejscem na świecie. Szybko wklepuje tekst składający się z zaledwie jednej linijki. Wiadomość wygląda jak e-mail, ale nie zostanie wysłana przez internet.

„Mamy problem z Willem Rhodesem”.

Rozdział 16

Nowy Jork

- Zostałem uprowadzony.

Elle wyjmuje z torby cyfrowy dyktafon, kładzie go na stole i naciska czerwony przycisk. Często tak robi i Will podejrzewa, że chce mu w ten sposób przypomnieć o innych nagraniach znajdujących się w jej posiadaniu.

- Will, nie melodramatyzuj.

- Wbrew mojej woli zabrali mnie do jakiegoś biurowca i przesłuchali.

Wszystko działo się za granicą.

- Mówiłeś, że to był Amerykanin. Na pewno?

- Nie mam żadnych wątpliwości.

- Tak samo jak byłeś pewien, że jestem jakąś australijską laską mieszkającą na drugim końcu świata? Egzotyczny skok w bok?

Celne trafienie.

- Dam sobie uciąć rękę, że to był amerykański agent CIA - mówi Will.

Elle odsuwa się od stolika z laminatu, cały czas wpatrując się w Willa, jakby się nad czymś zastanawiała.

- Dobrze, zajmę się tym.

- To wszystko? - Naprawdę liczył na więcej.

- Mów ciszej. Czego ode mnie oczekujesz?

- Wyjaśnienia.

- W Agencji pracują tysiące ludzi. Może nawet dziesiątki tysięcy. Połowa z nas nie ma ze sobą żadnego kontaktu i zdarza się, że wchodzimy sobie w drogę. Tak więc całkiem prawdopodobne, że rzeczywiście przesłuchiwał cię ktoś z CIA.

Will spuszcza wzrok i wpatruje się w swoje piwo. Bierze łyk i od razu żałuje, że nie zamówił guinnessa. To nie jest jego ulubiony gatunek, ale przynajmniej ma jakiś smak.

- Nie wyglądasz najlepiej - mówi Elle. - Wszystko w porządku?

- Ostatnio kiepsko sypiam.

Will zawsze miał lekki sen - nigdy nie brakowało mu zmartwień, które dręczyły go w środku nocy - ale ostatnio ten problem znacznie się nasilił.

Stało się tak po wydarzeniach we Francji i Argentynie, tajnym szkoleniu w Wirginii, stresującym wyjeździe do Wielkiej Brytanii i niemiłej przygodzie w Dublinie. Do tego trzeba jeszcze dołożyć konieczność okłamywania Chloe, Malcolma i na dobrą sprawę każdego, z kim ma do czynienia. Nic dziwnego, że od jakiegoś czasu nie udaje mu się przespać całej nocy.

Elle nie pyta go o powody, ponieważ doskonale je zna.

- Czy ktoś to zauważył?

- Moja żona.

- Jest z natury podejrzliwa?

- Niezbyt.

- A twój szef? Czegoś się domyśla? Wygląda na zaniepokojonego?

- Możliwie, ale z zupełnie innych powodów.

- Z jakich? Mówiłeś mu o mnie?

Will nie chce się przyznać, ale uznaje, że chyba nie ma wyboru.

- Tak, opowiedziałem mu o tym, co stało się we Francji. Rzecz jasna nie o wszystkim. Nie mówiłem o pocałunku. Zwierzyłem się tylko, że podrywała mnie niezwykle atrakcyjna kobieta, ale oparłem się pokusie.

- Wyobrazasz sobie, że jesteś prawdziwym bohaterem, prawda?

- Spadaj.



- GEC to od wielu lat nasz najsolidniejszy reklamodawca - mówi Malcolm.

Stephanie przewraca kartki, szukając informacji, których nigdzie nie może znaleźć.

- Jaka to branża?

- Global Enterprises Corporation to międzynarodowa firma zajmująca się łącznością i logistyką.

- A konkretnie? - pyta, podnosząc wzrok znad papierów.

- Telekomunikacja, transport morski, outsourcing i tak dalej.

- W ogóle wiesz, o czym mówisz?

- A ty?

- Ostatnio dowiedziałam się, że podpisali umowę na rozwój usług telekomunikacyjnych we wschodniej Europie.

- Nie, chyba w południowej - wtrąca Malcolm, a Gabriella wzrusza ramionami.

- Mają siedzibę w Genewie?

- Przynajmniej na papierze, ale nie sądzę, żeby tam zapadały najważniejsze decyzje. Moim zdaniem większość działalności biznesowej prowadzą w Ameryce Północnej oraz w południowej i wschodniej Europie, a centralę ulokowali w Szwajcarii z powodu niskich podatków. To się nazywa inwersja. Rejestruje się firmę za granicą, żeby nie podlegać amerykańskim przepisom.

- Wiem. Skończyłam studia ekonomiczne, pamiętasz?

- Jak mógłbym zapomnieć?

Przed Stephanie piętrzą się stosy dokumentów dotyczących najważniejszych reklamodawców: historia współpracy, oficjalna korespondencja, umowy, odręczne notatki, a nawet zabazgrane karteczki samoprzylepne. Wszystko, co pozwoli lepiej zrozumieć, czego oczekują i jakie są powody, dla których zamieszczają swoje reklamy w magazynie „Travelers”.

- Dlaczego kontaktują się bezpośrednio z redaktorem naczelnym?

- Sami tak zdecydowali.

- Okej, ale czemu?

- Tradycja. Zaczęli współpracę, zanim którekolwiek z nas pojawiło się na świecie. Zasady zostały ustalone bardzo dawno temu. W każdym razie takie informacje dostałem, kiedy obejmowałem stanowisko.

- Jak to wygląda w praktyce?

- Kilka razy w roku jedno z nas - wyjaśnia Malcolm, wskazując na siebie i na Gabriellę - przygotowuje dla nich prezentację i odpowiada na pytania. Kiedyś byłem nawet na kolacji z jakimiś ważniakami z kierownictwa. Ty chyba też, prawda?

Gabriella potwierdza skinieniem głowy.

- Tak, jeden z nich zrobił się nieco... hm... nachalny. Było dość strasznie. Stephanie patrzy na nich, czekając na dalszy ciąg.

- No i co?

- Wkurzyłam się.

- Nie o to mi chodzi. Nie mają innych wymagań? W każdym numerze wykupują powierzchnię reklamową na trzeciej stronie okładki. Płacą normalną cenę, nie negocjują, nie korzystają ze zniżek ani żadnych przywilejów, tylko piętnastego każdego miesiąca zlecają przelew na nasze konto. Poza korektą inflacyjną nic się nie zmieniło od, czy ja dobrze widzę? - pięćdziesięciu dwóch lat.

Stephanie wpatruje się w całostronicową reklamę na błyszczącym papierze: kula ziemską, łączące się linie i jakiś banalny slogan, nieprzekazujący żadnych informacji.

- Dlaczego?

- Chyba nie rozumiem pytania.

- Nasi czytelnicy nie są. Przecież piszemy dla. Kurczę, nawet nie wiem, od czego zacząć.

- Mam wrażenie, że coś ci się nie podoba. Wiem, że nie masz wielkiego doświadczenia w tej branży, więc być może nie do końca pojmujesz, jak to wszystko funkcjonuje. Pozwól, że coś ci wyjaśnię: strony naszego magazynu to przestrzeń reklamowa, którą sprzedajemy.

- Przestań pieprzyć! - przerywa Stephanie, wpatrując się w Malcolma obojętnym wzrokiem. W jej głosie nie słychać zdenerwowania, tylko rzeczowy ton. Po prostu chciałyby uzyskać rozsądną odpowiedź.

Zaplanowała to spotkanie w swoim gabinecie, ale w ostatniej chwili Malcolm powiedział asystentce, żeby, nie podając żadnego wyjaśnienia, poinformowała Stephanie o zmianie miejsca. Redaktor naczelny nie ma zamiaru chodzić na zebrania do pokoju wydawcy. Będzie odgrywał tę farsę i zapraszał Stephanie do siebie, aż ta da za wygraną. Władza to nic innego jak kwestia percepcji.

- Co mogę jeszcze dodać? Prawie zawsze zmagamy się z trudniejszymi i bardziej skomplikowanymi problemami, niż mogłoby się wydawać. Niezwykle rzadko okazuje się, że jest łatwiej i prościej, niż sądziliśmy. Ta sytuacja nie wymaga naprawy. Szczerze mówiąc, nie rozumiem, o co ci chodzi.

- O co mi chodzi? Wyobraź sobie, że GEC przestaje nam płacić i przez kilka miesięcy nie potrafimy znaleźć równie hojnego reklamodawcy. Tracimy płynność finansową i jesteśmy w niezłej dupie. Okazuje się, że jakaś dziwna, mało znana firma jest od ponad pięćdziesięciu lat naszym najsolidniejszym partnerem, a my nie mamy pojęcia, dlaczego tak wspaniałomyślnie nas sponsoruje. Dla mnie to jest problem.

- No cóż, dla mnie to rozwiązanie.

Stephanie uderza w stół eleganckim piórem marki Montblanc. To pewnie prezent z okazji ukończenia studiów. „Gratulujemy, kochanie”, powiedzieli rodzice, kładąc na białym obrusie pudełeczko i kopertę z zaliczką na zakup mieszkania.

- Chciałabym przejść do następnej prezentacji.

Malcolm wybucha śmiechem.

- Jakoś trudno mi w to uwierzyć, ale jak sobie życzysz.

Stephanie nie daje się złapać na haczyk. Naprawdę świetnie sobie radzi. Nie reaguje na nieprzyjemne zaczepki Malcolma i zachowuje stoicki spokój. Może najwyższy czas, żeby trochę przystopował? Przecież nie są wrogami, przynajmniej na razie. Jeśli oboje utrzymają swoje stanowiska, a sytuacja w firmie się ustabilizuje, trzeba będzie popuścić cugle. Stephanie zaangażuje się w pracę i poczuje się odpowiedzialna za losy magazynu. Z czasem całkowicie się poświęci, ponieważ będzie pamiętała, jak trudno było na początku. Musiała nie tylko przezwyciężyć wrogość Malcolma i niechęć zespołu, lecz także przystosować się do specyficznej kultury panującej w firmie i nauczyć się rozwiązywać problemy. Będzie traktowała redakcję jak swój dom, a pracowników jak męża i dzieci, których nie ma. Zrobi wszystko, żeby ich ochronić. Nawet wtedy, gdy dowie się prawdy.



- Pokaż mi.

- Dlaczego?

- Co ci mówiłam o takich pytaniach, Will? Po prostu chcę wiedzieć i już.

Will bierze serwetkę i zaczyna na niej rysować długopisem.

- Tu jest gabinet Malcolma, a tutaj Gabrielli. Obok mój pokój, a dalej biegnie korytarz. W tej części redakcji siedzą graficy, a za rogiem jest dział edytorski. Na samym końcu znajduje się gabinet nowego wydawcy, Stephanie Bloom. Tutaj pracują ludzie sprzedający powierzchnię reklamową i spece od marketingu.

- To wszystko?

- Na dwudziestym ósmym piętrze też są nasze biura, dział informatyczny, księgowość i prawnicy, a na trzydziestym trzecim urzędują grube ryby. Jest tam również jakaś knajpa i może coś jeszcze, ale nie wiem, bo nigdy tam nie byłem.

- A na piętrach pomiędzy mieszczą się redakcje pozostałych magazynów?

- Tak, dla mężczyzn, dla młodych kobiet, o tematyce modowej, kulinarnej, sportowej. - Will wylicza je na palcach. - I jeszcze jeden... hm... Kurczę, nie mogę sobie przypomnieć. - Wszystkie tytuły mają zostać sprzedane. Jedna strona otrzyma prawo do nabycia akcji z bardzo dogodnym terminarzem, a druga przejmie aktywa o nieokreślonej wartości. Will nie potrafi zrozumieć,

jak przebiega taka transakcja. Przecież wymiana dotyczy dóbr niematerialnych, których ceny nie da się tak po prostu ustalić. - No tak, jest jeszcze pismo o biznesie! Zawsze o nim zapominam.

- Jakoś mnie to nie dziwi. - Elle przewraca kartkę w notatniku. - Opowiedz mi o Malcolmie Somersie.

- Co chcesz wiedzieć?

- A co jest twoim zdaniem najważniejsze?

- Malcolm ma wspaniałą żonę. Ma na imię Allison i wszyscy ją uwielbiają. Jest oddanym mężem i troskliwym ojcem dwojga dzieci. Jednak nigdy nie pogodził się z tym, że małżeństwo jest instytucją monogamiczną.

- Sugerujesz, że mamy do czynienia z notorycznym kobieciarzem?

- Na pewno podrywa Gabriellę i chyba coś między nimi było. Ja również z nią flirtuję, ale nigdy do niczego nie doszło. Być może tak samo jest w ich wypadku.

Słyszac tę historię, Elle unosi brew. Czy naprawdę kiedyś uważał ten gest za seksowny? Dlaczego?

- Dużo podróżuje?

- Nie, teraz prawie wcale i w zasadzie przestał pisać. Jeżeli gdzieś wyjeżdża, to tylko po to, żeby wziąć udział w jakimś ważnym spotkaniu, na przykład raucie z reklamodawcami albo imprezie promocyjnej. Znika wtedy na dzień, góra dwa. Znakomitą większość czasu spędza w biurze.

- A Gabriella Rivera? Co powinnam o niej wiedzieć?

W pierwszym momencie jest zdziwiony tym pytaniem, jednak po chwili zmienia zdanie. Niby dlaczego założył, że Elle nie wie, kim jest Gabs? Może CIA również próbowało ją zrekrutować i wcale niewykluczone, że im się udało. Czy zatem Gabriella - albo ktoś inny w redakcji „Travelers” - jest tajnym współpracownikiem Agencji?

- Dlaczego cię to interesuje? - mówi Will, uznając, że warto spróbować się postawić. - W jakim celu wypytujesz mnie o tych ludzi?

- Daj sobie spokój - odpowiada Elle, ucinając dyskusję. Will otwiera usta, jakby chciał coś jeszcze dodać, ale dochodzi do wniosku, że to bez sensu. Elle pyta, o co chce, a on ma grzecznie odpowiadać. Takie są zasady.

- Dla Gabs najważniejsze jest chyba to, żeby inni traktowali ją poważnie. Jest geniuszem z niezwykle wysokim ilorazem inteligencji. Mówi płynnie kilkoma językami, ma niesamowitą pamięć i wiele cennych umiejętności. Nigdy nie spotkałem kogoś, kto tak szybko pisze na komputerze, co w tej pracy jest nie do przecenienia.

- Ale?

- Ale jest bardzo atrakcyjną kobietą. Widziałaś ją? - Elle kiwa głową. - I lubi flirtować. Wydaje mi się, że właśnie z tego powodu nie tylko mężczyźni, lecz także kobiety bardzo często ją lekceważą. „No tak, to ta ponętna laska z «Travelers»”. Na dodatek ma afro-karaibskie i latynoskie korzenie. Kiedyś mi to dokładnie tłumaczyła, ale nie pamiętam szczegółów. To było naprawdę skomplikowane. W każdym razie ma bardzo ciemną karnację, a ta branża jest zdominowana przez białych. Podejrzewam, że martwi się tym, jak ją postrzegają.

- A kto się tym nie martwi?



- Dlaczego mówisz takie głupoty?

Gabriella patrzy na Malcolma spod przymrużonych powiek.

- O co ci chodzi?

- „Woda z kranu? Fantastycznie!”. Fantastycznie? Naprawdę?

- Po prostu chciałam być miła.

- Miła? Jakoś trudno w to uwierzyć.

- Pierdol się.

Malcolm przegląda menu, chociaż był już tutaj tyle razy, że zna je niemal na pamięć. Uważa jednak, że zawsze należy rzucić okiem na kartę, a ludzie, którzy tego nie robią, to nieznośni aroganci.

- Myślisz, że będzie z nią problem? - pyta Gabriella. - Mam na myśli Stephanie.

- Nie sądzę. - Malcolm nie jest sobie w stanie przypomnieć, których ryb nie powinien jeść. Na pewno tuńczyka, ale z jakiego powodu? Rtęć? Ołów? Zagrożenie dla delfinów? A co z miecznikiem?

Po drugiej stronie sali siedzi ten świętoszek Ashford Warren, który lubi wtykać nos w nie swoje sprawy i na pewno z wielką ochotą wygłosi pogadankę na temat etycznej konsumpcji i sprawiedliwego handlu. Kiedyś zrugął Malcolma za to, że ten wczesnym latem, kilka miesięcy przed sezonem, kupił jabłko. Na rynku pełno było wtedy dojrzałych owoców pestkowych z lokalnych sadów. Do kłótni doszło na Siedemnastej Ulicy. Mało się wtedy nie pobili. „Ale ja mam ochotę na jabłko, a nie brzoskwinię, ty zaszran moralisto”. Pierdolony kutas.

Ich spojrzenia się spotykają i Malcolm kiwa głową na powitanie.

W restauracji jest tłoczno, ale usłudźni kelnerzy mają wszystko pod kontrolą. Goście krążą między stolikami i witają się ze znajomymi, pękając z dumy, że są częścią tak doborowego towarzystwa. To poczucie samozadowolenia jest typowe dla wszelkich elitarnych stowarzyszeń, chociaż formalnie rzecz biorąc, ten lokal nie jest zamkniętym klubem.

- Gabs, czy ja mogę zamówić miecznika?

Gabriella udaje, że nie słyszała pytania.

- Naprawdę zamierzasz zabrać ją na następne spotkanie z GEC?

- Nie - odpowiada Malcolm.

- O! Będziesz miał kłopoty - mówi tonem przekomarzającej się dziewczynki. - Wiesz, kto jeszcze starał się o tę robotę?

- Chodzi o stanowisko wydawcy?

- Tak. Na pewno było wielu chętnych.

Malcolm stara się umniejszać swoją rolę i udawać kogoś, kto mało wie, nie jest szczególnie szanowany i ma niewielki wpływ na to, co się dzieje. Szczególnie trudno przychodzi mu to w obecności atrakcyjnych kobiet, przede wszystkim takich, o których snuje od dekady erotyczne fantazje. W zasadzie chodzi o jedną kobietę, która siedzi teraz naprzeciwko.

- Nie mam bladego pojęcia. W takich sprawach nikt się ze mną nie konsultuje.

Nieprawda. Zarząd pytał go o zdanie. Co więcej, Malcolm na własną rękę prześwietlił wszystkich kandydatów i dowiedział się, że Stephanie Bloom, córka powszechnie znienawidzonego multimilionera Seta Blooma, ma kilka czułych punktów, co będzie można w przyszłości wykorzystać, dlatego też bardzo mocno forsował jej kandydaturę, czym wprawił szefostwo w kompletne osłupienie. W ogóle nie spodziewali się, że poprze kogokolwiek, a już najmniej Stephanie. To była jedna z jego mistrzowskich zagrywek.

- Słuchaj, Gabs, co się dzieje z Willem? Jest ostatnio jakiś nieswój.

- Może chodzi o Chloe?

- Coś się stało?

- Nie mam pojęcia. Nie radzi sobie z nowymi obowiązkami?

- Nie sądzę. Dobrze mu idzie. Robi, co do niego należy.

- Dostałeś sprawozdania z zagranicznych placówek? - Malcolm potwierdza skinieniem głowy. - Czym się zatem martwisz?

- Szczerze mówiąc, nie wiem, ale mam złe przeczucia. Możesz go przypilnować?

- Porządnie?

- Tak.
- Zacząć już teraz?
- Byłoby najlepiej.

Malcolm czuje w kieszeni wibracje telefonu. Wyjmuje go i spogląda na ekran. To alarm ustawiony na 13.00. Podczas zagranicznych misji wojskowych musiał korzystać z zegara dwudziestoczerogodzinnego i tak już zostało.

- Przepraszam - mówi. - Muszę wysłać tweeta.
- Masz harmonogram wrzucania postów na Twittera?
- Inaczej bym zapomniał.

Błyskawicznie wstukuje tekst: „Och, jak cudownie zjeść lunch w café rouge!”. Zdaje sobie sprawę, że jego nieszczerłość zasługuje na pogardę. Na swoje usprawiedliwienie może powiedzieć, że z zasady nienawidzi durnych obowiązków, a tweetowania w szczególności. Nie łudzi się jednak, że takie argumenty przekonałyby kogokolwiek oprócz niego samego.

Poza tym alarm miał mu przypomnieć zupełnie o czymś innym.

- Przepraszam - mówi i wstaje od stolika. Wolałby, żeby Gabriella nie wiedziała, co tak naprawdę musi zrobić. Niech już lepiej myśli, że chodzi o tweety.



Allison Rabinowitz-Somers prowadzi swoje dzieci za ręce. Są jak pisklęta pod jej skrzydłami, jedno z prawej, drugie z lewej strony. Wie, że to głupie, ale już odczuwa tęsknotę za tą chwilą, która przecież wciąż trwa. To tak, jakby oplakiwała coś, czego jeszcze nie straciła. Żegna się ze swoimi latoroślami, całując je w jedwabiste główki, i przeciska się przez tłum rodziców, którzy witają się ze znajomymi - „Cześć! Jak leci?” - wystawiają policzki do pocałunków i przytykają do ucha zaciśnięte dłonie, jednocześnie wyciągając kciuk i mały palec. Allison nigdy nie dzwoni do ludzi, którzy wykonują taki gest.

Siada na ławce przy długim stole w pustej o tej porze szkolnej stołówce. Wszystko lśni tutaj czystością. Świeżo woskowane podłogi i ostry zapach środków dezynfekujących. Zdejmuje wstążkę z pudełka i odgina karton, ale tak, żeby wyeksponować logo niedawno otwartej cukierni znanej europejskiej marki, która już dorobiła się świetnych recenzji w „Timesie” i na popularnych blogach kulinarnych. Nalepka jest równie ważna jak zawartość

opakowania.

Schodzą się pozostałe matki z komitetu rodzicielskiego. Allison dopiero po chwili przypomina sobie, jaki jest cel tego zebrania. Panie zachwycają się croissantami i bułeczkami z czekoladą, chociaż na co dzień stronią od masła i mąki. Allison nie jest pod tym względem wyjątkiem. Bezmięsne piątki przerodziły się w poniedziałkowe głodówki, wegetariańskie tygodnie bez glutenu, wegańskie poranki i comiesięczne picie oczyszczających soków - jedno wyrzeczenie za drugim, żeby zbliżyć się do nieuchwytnego celu, jakim jest zrzucenie paru kilogramów lub przebiegnięcie półmaratonu. Allison ma wrażenie, że zanim skończy pięćdziesiątkę, będzie żywiła się jedynie trawą pszeniczną.

- Moje drogie... - Carrie udaje, że za chwilę się rozklei. Często przykłada dłoń do serca i wydaje się, że po jej policzkach zaraz popłyną łzy. Uwielbia informować cały świat o swoim altruizmie. Na Twitterze i Instagramie można dowiedzieć się wszystkiego o jej filantropijnych przedsięwzięciach - o uratowanym psie, adoptowanym kocie, ekologii i produktach fair trade. - Jesteście naprawdę niesamowite.

W podziękowaniu za bezinteresowne zaangażowanie wręczają Carrie talon na zakupy. „Naprawdę na to zasługujesz!”. Nie tylko wykonywała całe mnóstwo teoretycznie dobrowolnej pracy na rzecz szkoły, całe szczęście uprzyjemnianej częstymi pogaduszkami przy kawie - „Słyszałaś?”, „Dokąd jedziecie na narty”, „Skąd masz te buty?” - lecz także wzięła na swoje barki dodatkowe obowiązki, na przykład dekorację sali na potańcówkę oraz zbiórkę żywności i używanej odzieży dla potrzebujących. W gruncie rzeczy trudno powiedzieć, czy robiła to na ochotnika, czy mimo wszystko czuła jakąś presję. Poza tym cotygodniowa rutyna: manicure, pedicure, fryzjer, depilacja woskiem i od czasu do czasu masaż terapeutyczny, nie wspominając o badaniach lekarskich, testach psychologicznych i spotkaniach z pedagogiem, na które zabiera swoje latorośle. Do tego pediatra, ginekolog, dentysta i ortodonta, testy antynowotworowe i mammografia oraz ćwiczenia - o Boże, na samą myśl czuje się zmęczona - joga, tenis i pilates w Soulcycle. Trzeba jeszcze zrobić zakupy, oddać ubrania do pralni i zajrzeć do krawcowej, a potem odebrać pociechy ze szkoły i pomóc im w przygotowaniu projektów - w tym tygodniu rdzenni mieszkańcy Ameryki i taniec interpretacyjny. Niestety, nie obejdzie się bez wizyty w pasmanterii, Lincoln Centre i sklepie z zabawkami. Na dodatek każde z dzieci ma w klasie szesnaścioro kolegów i koleżanek, co oznacza, że co dwa tygodnie ktoś

organizuje przyjęcie urodzinowe. Oprócz tego wszystkiego zawsze, dosłownie zawsze, trzeba kupić mleko, sok i papier toaletowy. Jeśli tylko się na to pozwoli, obowiązki mogą bardzo łatwo wypełnić cały dzień, a potem cały tydzień, miesiąc, rok, dwa lata, dekadę.



Malcolm przeciska się między stolikami zastawionymi talerzami z rybą i zieleniną oraz szklankami z mrożoną herbatą i wodą mineralną. Kolejna wersja wielkowiejskiego spa. W toalecie jest pusto. Wchodzi do kabiny, zdejmuje marynarkę i wiesza ją na mosiężnym kołku. Ściąga spodnie i siada na sedesie.

Przechyla się na bok i otwiera podajnik z papierem toaletowym. W środku jest jedna nowa rolka i druga w połowie zużyta. Z kieszeni spodni wyjmuje czarny pendrive w magnetycznym pudełku, przytwierdza go do wnętrza i zamyka obudowę.

Następnie spuszcza wodę, wkłada spodnie i poprawia ubranie. Chociaż w łazience nikogo nie ma, podchodzi do umywalki i myje ręce. Trzeba przestrzegać zasad. Nie można sobie pobłażać.

Powiedziano mu, że jeśli pendrive zostanie włożony do gniazda komputera, na którym nie zainstalowano odpowiedniego programu deszyfrującego, wszystkie dane zostaną natychmiast skasowane. Nie zostanie nawet ślad skryptu aktywującego samozniszczenie. Tak więc nawet jeżeli jakaś nadgorliwa sprzątaczką - albo, co bardziej prawdopodobne, śledzący Malcolma agent - zjawi się w męskiej toalecie, znajdzie urządzenie i będzie wiedzieć, komu je przekazać, to i tak nie ma żadnych szans, żeby informacje dostały się w niewłaściwe ręce.

„Niewłaściwe” to jednak nie jest słowo, którym posługują się tajne służby. Należałoby raczej powiedzieć „niepowołane”. W tej branży trudno stwierdzić, kto stoi po właściwej stronie. Jasny podział na dobro i zło jest luksusem, na który Malcolm nie może sobie pozwolić, tak samo jak nie stać go na zakup odrzutowca. Fajnie byłoby mieć prywatny samolot, ale na jego brak nie można przecież narzekać.

Malcolm nie ma pojęcia, kto odbierze przesyłkę z wrażliwymi danymi. Nigdy mu o tym nie mówili i nigdy nie powiedzą. Po prostu wykonuje swoją robotę, a oni mu za to płacą.

Rozdział 17

Barcelona

Will mruży oczy, wpatrując się w ekran nowiutkiego telefonu, od którego odbija się ostre światło zalewające nadmorski bulwar. Ostatnimi czasy Chloe raczej nie odbiera, ale to wcale nie oznacza, że powinien przestać próbować. Dzwoni codziennie, wychodząc z założenia, że jest w tym jakiś sens. W końcu liczy się sam wysiłek, chęć skontaktowania się, znak, że mu zależy, że o niej pamięta.

Niestety, ogrania go coraz więcej wątpliwości. Chloe się od niego oddala - jest wiecznie zajęta i całkowicie poświęca się pracy. Wielokrotnie zaprzeczała, że coś się między nimi psuje. Tak, być może nie jest różowo, ale to wszystko stare sprawy: problemy z zajściem w ciążę, ciągnące się od dawna kłopoty finansowe, niekończący się remont zrujnowanego domu, zmiana pracy i wejście na nową ścieżkę zawodową. Jednak nie pojawiło się nic nowego. Jest tak samo jak wcześniej.

Wcześniej.

Wcześniej niż co? Niż jego powrót z Argentyny? Chloe nie wskaże tego momentu, ale Will doskonale zdaje sobie sprawę, od kiedy wszystko się zmieniło.

Prawie każde ostatnio wybrane połączenie na jego nowym telefonie to próba skontaktowania się z Chloe. Naciska na jej numer, czeka, aż sygnał pomknie od jednego europejskiego przekaźnika do następnego, przeleci nad Atlantykiem, zostanie odebrany przez amerykańskie anteny i dotrze do komórki jego żony, znajdującej się tysiące kilometrów od śródziemnomorskiego bulwaru, na którym teraz stoi.

Tak jak się spodziewał, włącza się poczta głosowa.

W tej całej sytuacji jest coś niemal wyzwalającego. Tylko jemu zależy na tym małżeństwie. Wszystko zmierza ku katastrofie, a on stoi przed następującym wyborem: albo ratować, co się da, albo odpuścić. Nie ma nic do stracenia - może tylko popełnić grzech zaniechania, więc uznaje, że lepiej próbować. Ciągle sobie powtarza, że nie może zostawić Chloe. Po wszystkim, co zrobił, chce, żeby to ona podjęła decyzję o rozstaniu. On na

pewno nie wyjdzie pierwszy z takim pomysłem.



Od powrotu z Argentyny Will zdążył już odwiedzić Anglię, Szkocję, Irlandię, chorwackie plaże i salzburskie kawiarnie, a teraz stoi na nadmorskim bulwarze w Hiszpanii. Zrobił tysiąc zdjęć i napisał ponad dziesięć tysięcy słów. Jego teksty zostały zredagowane, poprawione, zweryfikowane i wysłane do korekty, a następnie złożone, wydrukowane i dostarczone do kiosków, skrzynek pocztowych, księgarni i bibliotek. Setki tysięcy grubych egzemplarzy błyszczącego magazynu z wielką fotografią Willa na stronie z notkami o autorach: uśmiechnięty mężczyzna rozparty na bordowej kanapie w jakiejś *brasserie*^[39] na Montparnassie.

Zdjęcie zrobiła Chloe podczas ich miodowego miesiąca. Niestety, ostatnio Will więcej czasu spędza z Elle: siedzą razem w barach i restauracjach, na ławkach w parku i przy kawiarnianych stolikach, a on stara się szczegółowo opisać ludzi, których spotkał, przekazać złośliwe plotki, które usłyszał, i opowiedzieć o skandalach, które obity mu się o uszy. Wyjaśnił Elle, jak wygląda korporacyjna struktura „Travelers”, kto jest kim, czym się zajmuje, jak, gdzie, kiedy i dlaczego. Pewnego razu, po trzecim kieliszku barolo^[40], rozpuścił język i wyznał, że martwi go rosnąca obojętność Chloe.

Trzeba przyznać, że częściej prowadzi szczere, osobiste rozmowy ze swoją oficer prowadzącą niż z żoną.

Jego czas wypełniają wyjazdy służbowe, obowiązki związane ze współpracą z CIA, tajne treningi sztuk walki i pisanie. Nie dosypia i na dobrą sprawę nie prowadzi życia towarzyskiego. Kontakty z żoną też ograniczył do minimum. Ma natomiast dodatkowe trzydzieści tysięcy dolarów, które Elle przekazała mu w gotówce w plikach po dziesięć tysięcy. Część pieniędzy wydał na opłacenie podwykonawców, którzy nie mieli moralnych skrupułów, żeby nie wystawiać faktur i dostać wypłatę do ręki. Część nieudokumentowanego dochodu poszła na codzienne wydatki, dzięki czemu udało mu się zwiększyć saldo na rachunku oszczędnościowym. Kilka tysięcy zachomikował na czarną godzinę. Czuje, że już wkrótce będzie potrzebował tych pieniędzy.

Był jeszcze jeden plus tej sytuacji: nauczył się bić.



Rozmiar jachtu przerasta wszelkie oczekiwania dotyczące luksusowej łodzi wypoczynkowej. Do wyposażenia należy basen, lądowisko dla helikoptera i mały statek zanurzalny. Niewyobrażalne bogactwo dosłownie bije po oczach. Gospodarz imprezy zgromadził podobno majątek wart dwadzieścia miliardów dolarów netto, inaczej mówiąc dwadzieścia tysięcy milionów. Czym jest milion dolarów, jeśli masz do dyspozycji pozostałe dziewiętnaście tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć?

Willowi wydaje się, że wie, jakimi drogami można dojść do bogactwa. Spotkał w życiu wielu zamożnych ludzi - mieli wysokie pensje, jeszcze wyższe premie i prawo do nabycia akcji po niższej cenie, w odpowiednich momentach wykupywali obiecujące start-upy^[41], żyli z odsetek od zgromadzonego kapitału, spekulowali nieruchomościami albo po prostu dziedziczyli olbrzymie majątki po rodzinie. Najważniejsze zasady: unikaj płacenia podatków, inwestuj jak najwcześniej, wycofuj się, gdy ceny są najwyższe, tanio kupuj, drogo sprzedawaj.

Ale to? Will nie rozumie, w jaki sposób jeden człowiek może wejść w posiadanie takiej fortuny. Nie jest w stanie pojąć zasad funkcjonowania systemu, w ramach którego jakieś zajęcie może przynosić tak nieproporcjonalnie wysokie zyski. Co trzeba zrobić, żeby na to zasłużyć? Nie da się zarobić takich pieniędzy. Można je tylko ukraść albo wymyślić.

- Will Rhodes - przedstawia się młodej hostessie trzymającej w rękę podkładkę do pisania. Dziewczyna jest niezwykle atrakcyjna, co jest zresztą normą wśród personelu witającego gości w takich miejscach. Ubrany w czarny garnitur ochroniarz sprawdza wykrywaczem metalu stojącą przed Willem kobietę w krótkiej sukience.

Will wiedział o środkach bezpieczeństwa, ale i tak zaczyna się denerwować. Czuje, że się poci. Robi się naprawdę gorąco.

- *Bienvenido, Señor Rhodes* - mówi dziewczyna. - Zapraszam. - Wyciąga opalone ramię ozdobione srebrnymi bransoletkami i wskazuje trap prowadzący na pokład. - Za pół godziny podnosimy kotwicę.

Ochroniarz patrzy na Willa, jakby chciał powiedzieć: „Spokojnie, poczekaj. Ja tu rządę”. Wykrywacz metalu wydaje ciche piśnięcie w okolicach spinki do krawata, a potem kolejne przy klamrze do paska. Mężczyzna nie zwraca na to najmniejszej uwagi. Kiedy przesuwa urządzenie obok kieszeni spodni, ponownie rozlega się sygnał, tym razem głośniejszy. Will wyjmuje telefon.

Ochroniarz przez chwilę wpatruje się w ekran, ale uznaje, że to zwykły smartfon i pokazuje gestem, że można go schować. Potem bada wykrywaczem obie nogi Willa, ale już nic więcej się nie dzieje. Kiwa głową na znak, że skończył. Will wchodzi na trap.

Na pokładzie zgromadziła się przynajmniej setka gości. Will od razu orientuje się, że za bardzo się wystroił. Często mu się to zdarza. Zaledwie kilku facetów ma na sobie krawat, z wyjątkiem rzucających się w oczy członków ochrony w wypożyczonych strojach wieczorowych. W zasięgu wzroku ma ich sześciu, więc na całym jachcie musi ich być przynajmniej batalion.

Modowa konwencja szybko staje się jasna: im jesteś starszy, tym więcej ubrań masz na sobie i vice versa. Kuse bikini, wycięte kąpielówki, letnie sukienki, lniane marynarki, a nawet kilka fularów na szyjach mało atrakcyjnych, podstarzałych facetów. Na ich twarzach maluje się samozadowolenie płynące z faktu, że regularnie śpią z nieziemsko pięknymi dziewczętami. Na jachcie w ogóle nie ma kobiet w średnim wieku. Ten statek to prawdziwa oaza luksusu.

- *Buenas tardes. Me llamo Lucia-Elena. ¿Usted?*^[42]

- Will Rhodes. - Wyciąga rękę, żeby przywitać się z kobietą w połyskującej sukience z lekkiego materiału, z przyciągającym wzrok jaskrawym wzorem składającym się z wirujących plam w różnych odcieniach zieleni, fioletu i pomarańczy. - *Mucho gusto.*

- Jest pan Amerykaninem?

- Skąd to podejrzenie?

- Pańskie nazwisko, rzecz jasna.

- A nie mój straszny akcent?

- Może trochę też. *Un poco.*

- Wiem, mówię naprawdę koszmarnie. *Lo siento.* W ogóle nie powinni mnie wpuszczać do Hiszpanii.

- Nie musi być pan dla siebie aż tak surowy. Wielu z dzisiejszych gości nie jest w stanie powiedzieć ani słowa po hiszpańsku. Poznał już pan señora Miłoszewskiego?

- Jeszcze nie. Jestem dziennikarzem.

- Tak?

- Piszę o podróżach, winie i jedzeniu. Poruszam naprawdę ważne tematy. Nigdy nie zajmuję się tak trywialnymi rzeczami jak polityka czy gospodarka. W ogóle mnie to nie interesuje.

- Ma pan ochotę na cavę? - Kobieta przywołuje przechodzącego obok kelnera, który niesie tacę z winem musującym. Will bierze kieliszek i dziękuje:

- *Muchas gracias.*

- Przyszedł pan tutaj ze względów zawodowych, señor Rhodes?

- Proszę się do mnie zwracać po imieniu. Tak, mam zamiar napisać artykuł o wytwornym przyjęciu na luksusowym jachcie. - Sięga do kieszeni i na dowód swojej pracowitości wyciąga notes.

- Rozumiem - mówi Lucia-Elena i delikatnie się uśmiecha, wpatrując się w niego znad krawędzi kieliszka. Przezroczyste wino, kostki lodu, plasterek cytryny. - W takim razie, señor...

- Will, *por favor.*

- Will, pozwól, że przedstawię cię niektórym z pozostałych gości.

Dopiero w tym momencie Will orientuje się, że Lucia-Elena należy do obsługi. Jej zadaniem jest ułatwienie nawiązywania kontaktów, przełamywanie pierwszych lodów i przygotowanie gruntu do spotkań między ludźmi z różnych światów: rosyjskimi oligarchami, niemieckimi przemysłowcami, hiszpańskimi arystokratami, szwajcarskimi bankierami i amerykańskimi inwestorami. Młodymi dziewczynami i starszymi facetami.

W Nowym Jorku otwarto niedawno hotel, który płaci pięknym kobietom za siedzenie w lobby. Sama ich obecność ma stanowić obietnicę czegoś ekscytującego. Lucia-Elena w gruncie rzeczy zajmuje się tym samym, tylko w bardziej wyrafinowany sposób. Należy do grona ludzi, którym płaci się za to, żeby inni dobrze się bawili: barmanów, hostess, kucharzy, pracowników agencji matrymonialnych, tancerok egzotycznych i dziewczyn na telefon.

W środku miłej pogawędki z parą Brytyjczyków - seksowny młody lord i jego jeszcze seksowniejsza żona - Lucia-Elena przekrzywia głowę.

- Przyszedł señor Miłoszewski - szepcze i wskazuje na mężczyznę o srogim wyglądzie, który stara się robić wrażenie kogoś serdecznego, ale mu nie wychodzi. Obok niego kroczy dwóch równie mało sympatycznych typów. Nad ich ramionami widać oddalający się brzeg.

- Kim są ci weseli panowie?

- To jego wspólnicy.

Odpowiedź Luci-Eleny jest raczej enigmatyczna.

- Ten po prawej wygląda znajomo. Jak się nazywa?

- Señor Borchow.

- A ten drugi?

- Nie wiem. Wydaje mi się, że señor Miłoszewski chce się z tobą spotkać. Bardzo lubi dziennikarzy. Czy teraz jest odpowiedni moment?

Will odwraca się i staje twarzą w twarz z przerażającą fizys señora Miłoszewskiego.

- Oczywiście. - Will trzyma lewą rękę w kieszeni. Chwyta telefon i naciska palcem wskazującym guzik znajdujący się u góry obudowy, po czym zmienia ułożenie tułowia i w ciągu następnych kilku sekund wciska przycisk jeszcze pięć razy. Pół tuzina zdjęć zrobionych pod różnym kątem z miniaturowego obiektywu zamaskowanego jako brylant w spince do krawata.

- Jestem gotowy.

Nowy Jork

- Kolejny prezent? - zapytał kilka dni wcześniej. - Naprawdę nie musiałaś.

- To niezwykle zaawansowana technologia. - Elle położyła obok telefonu jeszcze jeden przedmiot schowany w aksamitnym pokrowcu. - To druga część zestawu. - Przesunęła pakunek po zniszczonym dębowym blacie pokrytym różnymi napisami wyciętymi w drewnie w ciągu ostatnich stu lat: inicjałami, dowcipami, wulgaryzmami, obelgami, pijackimi wyznaniem miłości, topornymi sercami przebitymi strzałą, penisami w stanie erekcji i piersiami, które mógł narysować jedynie ktoś, kto nigdy nie widział tej części kobiecej anatomii.

Will wyjął z pokrowca prostokątny kawałek metalu.

- Spinka do krawata?

Grawerowane srebro w stylu art déco ozdobione małym brylantem. Will sam nie kupiłby tak szpanerskiej biżuterii. Spinka była nadspodziewanie ciężka. Obrócił ją w palcach i zobaczył, że wykonano ją z wyjątkowo grubego kawałka metalu. Zaczął coś podejrzewać.

- To aparat - wyjaśniła Elle. - Obiektyw ukryty jest w oczku imitującym brylant. Soczewka odchylona jest dwadzieścia stopni w górę po to, by można było fotografować twarze ludzi, z którymi będziesz rozmawiał. Idealna odległość to od półtora do trzech metrów, ale zdjęcia można robić nawet z trzy razy większego dystansu.

- Coś mi umknęło?

- Migawka, chociaż nie jestem pewna, czy w cyfrowych aparatach to nadal tak się nazywa, jest zdalnie sterowana telefonem. Musisz przestawić

ten przełącznik i nacisnąć guzik.

- Nie to miałem na myśli. Czy umknął mi moment, w którym zgodziłem się fotografować jakichś oprychów podczas rejsu jachtem po wodach międzynarodowych?

- Przestań histeryzować.

- Histeryzować? Chyba jednak przesadzasz. Mam wszelkie powody, żeby być zaniepokojonym, a nawet przerażonym. Pytam cię jeszcze raz: czy wyraziłem na to zgodę?

- Nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo.

- Czyżby?

- Ten telefon niczym nie różni się od zwykłego smartfona. A to? Męska błyskotka.

- Męska błyskotka?

- Słuchaj, naprawdę ryzyko jest zerowe - powtórzyła, obracając w palcach spinkę. - Nikt się nie zorientuje. - Will zaczął się nerwowo bawić komórką. - Dostajesz do ręki technologię następnej generacji. To nie są zabawki dla amatorów. Poza tym płacimy ci.

- Nigdy nie rozmawialiśmy o takich zadaniach.

- Właśnie to robimy.

Po raz setny Will pomyślał, co by się stało, gdyby odmówił. Jakie konsekwencje zostałyby wobec niego wyciągnięte? Od razu wystrzeliliby z grubej rury? Czy teraz był dobry moment, żeby to sprawdzić?

- W porządku. Czego konkretnie oczekujecie?

- Weźmiesz udział w przyjęciu zorganizowanym przez jednego z najbogatszych i jednocześnie najbardziej skorumpowanych ludzi na świecie. Facet lubi się popisywać. Kupuje jachty, a nawet całe wyspy. Musi jednak mieć odpowiednią publiczność, inaczej te popisy tracą sens. Na pewno zaprosi więc swoich najważniejszych wspólników, zarówno tych legalnych, jak i tych... półlegalnych. Chcemy wiedzieć, kim są ci ludzie. Zrobisz im zdjęcia, wszystkim bez wyjątku, nawet tym, którzy sobie tego nie życzą. Szczególnie tym.

- Bułka z masłem. Coś jeszcze?

- Tak.

- Ja tylko żartowałem.

- A ja nie. Do każdej fotografii musisz dopasować nazwisko.

Morze Iberyjskie

- Jest pan dziennikarzem?

- Tak.

Will ściska wielką łapę potężnie zbudowanego Rosjanina i czuje, że z tym facetem lepiej nie zadzierać. Kumple Miłoszewskiego szybko się ulatniają i zaczynają krążyć w odległości kilku metrów, jakby nie chcieli mieć nic wspólnego z przedstawicielem amerykańskiej prasy.

- To prawdziwa przyjemność pana poznać, señor Miłoszewski. To niezwykle piękny jacht.

- Oczywiście. „Catherine” to największa jednostka tego typu na Morzu Śródziemnym. Nie najgorzej jak na biednego chłopca ze Smoleńska, prawda?

- Tak, całkiem nieźle.

- Pisze pan artykuł do gazety?

- Nie, dla magazynu. Nazywa się „Travelers”.

- Nie słyszałem. To pismo o podróżnikach?

- Raczej o podróżowaniu. Ogólnie o turystyce. Hotele, restauracje, rejsy, safari i tak dalej.

- Uwielbiam safari.

- Zgadza się, to wyjątkowe przeżycie. Czy często zaprasza pan gości na pokład „Catherine”?

- Jasne. Wszyscy lubią imprezy na jachcie.

Zbliża się do nich jeden z ochroniarzy w czarnym garniturze. Will zdaje sobie sprawę, że może wyglądać podejrzanie, majstrując przy schowanym w spodniach telefonie. Nie chce, żeby zawlekli go do maszynowni i porachowali mu żebra. Wyjmuje więc rękę z kieszeni.

- Oprowadzić pana?

- Tak, z przyjemnością. Jeśli rzecz jasna ma pan na to czas.

- Naturalnie. Dla dziennikarzy zawsze mam czas.

Miłoszewski kiwa głową w kierunku kogoś stojącego za plecami Willa. Ruszają przed siebie, a za nimi jak cień podąża ochroniarz, który nawet nie próbuje być dyskretny. W tym towarzystwie ostentacyjne zachowanie to najwyraźniej norma.

Dumny właściciel opowiada o parametrach technicznych łodzi: koniach mechanicznych, wyparciu, maksymalnej prędkości i zasięgu. To wszystko zrobiłoby niewątpliwie wrażenie na specjaliście, ale Will jest kompletnym ignorantem i dla niego to zupełna abstrakcja, jak liczba pi albo stała Plancka.

- Ma pan telefon? Chce pan zdjęcie z helikopterem?

Will rzuca okiem na śmigłowiec.

- Okej, czemu nie?

- Każdy chce mieć taką fotkę. Pomogę panu.

- Naprawdę nie trzeba, sam sobie poradzę.

- To będzie świetna ilustracja do artykułu - mówi Miłoszewski. - Proszę mi dać swój telefon. - Rosjanin wyciąga rękę. - Nalegam.

Rozdział 18

Nowy Jork

Kiedy Malcolm przekracza próg mieszkania, słyszy płacz dziecka. Ma wrażenie, że łzy i napady złości są nierozzerwalnie związane z jego powrotami do domu. To być może celowo wyreżyserowane przez Allison przedstawienie - „Uwaga! Teraz płaczemy!” - które ma go nie tylko zawstydzić - „Zobacz, jak wygląda moje życie!” - lecz także wyprowadzić z równowagi. Tym sposobem Allison może upiec dwa ptaki na jednym ogniu, jak mawia Sylvie, uroczo przekręcając znany związek frazeologiczny. Tak samo wygląda połowiczna wiedza jego córki na temat greckiej mitologii, wulkanu Krakatau, Delawarów i niedźwiedzi.

Malcolm nie potrzebuje, żeby wiecznie przypominać mu o jego zaniedbaniach. Sam czuje się wystarczająco winny z tego powodu i bardzo żałuje, że omija go tyle ważnych rzeczy.

Allison stoi w kuchni, w której panuje dziś wyjątkowy bałagan. Wnętrze zaprojektowano w hipernowoczesnym stylu, świetnie nadającym się na ilustrację do magazynu takiego jak „Travelers”. Jednak wystarczy, że na blacie wyląduje trochę okruchów i iluzja pryska.

- Cześć - mówi Malcolm.

Allison ogląda się przez ramię i w tym samym momencie kropla skwierczącego tłuszczu z otwartej patelni ląduje na jej skórze.

- Jasna cholera! - Piorunuje Malcolma wzrokiem, jakby to była jego wina, i odwraca się do kuchenki. - Możesz się nią zająć?

- Sylvie? Oczywiście. Co się stało?

Allison milczy, podkreślając w ten sposób swoje męczeństwo. O ósmej wydają dziś uroczystą kolację dla znajomych. To nie był jego pomysł i naprawdę trudno, żeby miał z tego powodu wyrzuty sumienia.

Idzie do salonu z sięgającymi od podłogi do sufitu oknami, przez które widać Brooklyn, mosty prowadzące na Manhattan, śródmiejskie drapacze chmur i ciągnące się aż po horyzont światła domów na Bronksie i Queens z milionami anonimowych lokatorów. Malcolm stoi w szklanym pudełku zawieszonym wysoko nad powierzchnią ziemi i musi jakoś sobie poradzić z

wściekłą żoną i wrzeszczącym dzieckiem.

Nagle jak spod ziemi wyrasta jego druga, bardziej zrównoważona emocjonalnie pociecha.

- Tato, mogę zjeść lizaka? - Peter w zasadzie sam zdążył udzielić sobie odpowiedzi, ponieważ w połowie zdjął już opakowanie.

- Dlaczego uważasz, że teraz jest czas na słodycze?

- Bo tak. - Malcolm musi przyznać, że to mocny argument. Peter od razu przeszedł do sedna. Po co marnować czas?

- Okej.

- Dziękuję, tato! - wykrzykuje i ucieka, zanim ojciec zdąży zmienić zdanie.

Malcolm nalewa sobie whisky, wypija spory łyk i odstawia szklanekę na stolik. Po chwili namysłu sięga po podkładkę. Alkohol ma temperaturę pokojową, a blat wykonany jest ze szkła, więc nie istnieje najmniejsze ryzyko uszkodzenia, ale Allison jest w tych kwestiach fanatyczką i naprawdę niewiele trzeba, żeby straciła panowanie nad sobą. Bardzo możliwe, że za moment wparuje do salonu i będzie chciała sprawdzić, co robi jej mąż.

Malcolm idzie długim korytarzem i wchodzi do pokoju córki.

- Cześć, dzieciaku - próbuje zagadnąć Sylvie, która leży na łóżku z twarzą wtuloną w poduszkę i szlocha.

Dziewczynka odwraca się do ojca. Ma czerwone oczy i mokre policzki, a z nosa ciekną jej smarki.

- Nienawidzę jej !

- Nienawidzisz mamy? Może trochę przesadzasz. Nienawiść to bardzo mocne słowo. Jak myślisz, kotku?

- Jest okropna. Nawrzeszczała na mnie. Powiedziała, że jej przeszkadzam.

- A jak było?

- Ona ciągle mówi, że jej przeszkadzam. - Sylvie przestaje płakać. - Nawet kiedy tak nie jest.

Malcolm całuje ją w czubek głowy.

- Czasami jest po prostu zdenerwowana.

- Ale ja nic nie zrobiłam. To nie fair.

- Jest zła tak w ogóle.

- Czemu?

Odpowiedź jest zbyt długa, zbyt skomplikowana i zbyt smutna, żeby mogła ją zrozumieć ośmiolatka.

- Trudno to wytłumaczyć, ale mama na pewno nie jest na ciebie zła.

Zdarza się, że widzisz ją w takim stanie i bierzesz to do siebie. Przykro mi. Mamie na pewno też jest przykro.

Morze Iberyjskie

- Niedawno kupiony? - Miłoszewski obraca telefon w dłoni. - Wygląda na nowkę.

- Uhm, tak. - Will czuje fizjologiczne objawy paniki, które mogą być widoczne dla eksperta. Miłoszewski jest chyba kimś takim.

- Jak się włącza aparat? - Rosjanin zaczyna bezczelnie majstrować przy nie swojej komórce. Zachowuje się jak ktoś, kto ma w zwyczaju brać bez pytania, co mu się podoba. - Aha, tutaj.

Racjonalnie rzecz biorąc, nie jest możliwe, żeby przypadkiem natknąć się na folder ze zrobionymi ukradkiem zdjęciami. Tak samo mało prawdopodobne jest mimowolne włączenie programu obsługującego drugi obiektów zamaskowany w spince od krawata. Użytkownik musiałby najpierw wejść na czwartą stronę ikon z aplikacjami, a następnie kliknąć na mapę nowojorskich połączeń autobusowych albo rozkład jazdy pociągów na Long Island. Chyba nikomu nie przysłoby to do głowy, a już na pewno nie rosyjskiemu multimiliarderowi na pokładzie luksusowego jachtu płynącego kilkanaście kilometrów od hiszpańskiego wybrzeża.

To absolutnie wykluczone.

Miłoszewski kilka razy przesuwając palcem po ekranie i zaczyna marszczyć czoło.

- Dużo aplikacji - mruczy.

Jest jeszcze ukryty dyktafon włączany automatycznie przez aparat. Sześciodziesięciosekundowe nagrania po każdym zdjęciu po to, by Will mógł zapisać nazwiska, które w przeciwnym razie szybko wypadłyby mu z głowy.

Miłoszewski wreszcie znajduje właściwą ikonę, podnosi telefon i przyjmuje charakterystyczną pozę, która jeszcze dziesięć lat temu była nikomu nieznaną.

Will przygląda się ochroniarzowi. W oczy rzucają się wytatuowane knykcie i lekko odkształcone ucho z brakującym kawałkiem małżowiny na samej górze.

- Zrobione. - Miłoszewski z podziwem wpatruje się w ekran. - Dobre zdjęcie. - Opuszcza rękę, po czym bierze zamach i rzuca telefon w stronę

stojącego trzy metry od niego Willa. Will reaguje o sekundę za późno i tylko muska urządzenie palcami. Komórka spada na ziemię i zaczyna zsuwać się po gładkiej powierzchni lądowiska. Tarcie jest minimalne, metal ślizga się po metalu, a telefon znajduje się niebezpiecznie blisko krawędzi pokładu.

Will rzuca się do przodu i niezdarnie, zgięty w pół, zaczyna gonić za zgubą. Potyka się, pada na kolana i z przerażeniem obserwuje, jak komórka coraz szybciej sunie w kierunku wody. Wyciąga rękę, ale brakuje mu kilku centymetrów. Przez moment wydaje się, że urządzenie się zatrzymało, ale to tylko złudzenie. Po chwili przechyla się przez metalowy rant i spada w dół.

- Cholera.

Will stara się skupić i ogarnąć rozmiar kłopotów, w które się wpakował. Klęczy na rozgrzanym metalu, a przez głowę przemykają mu dziesiątki myśli dotyczących tego, co właśnie stracił: zdjęcia dla CIA, elektroniczne bilety na pociąg, dwa tysiące pozycji na liście kontaktów - czy w ogóle ma jakąś kopię zapasową? - rozpoczęte e-maile i esemes od dyrektora hotelu w Salamance. W jaki sposób to wszystko odtworzy? O co w ogóle chodzi temu Miłoszewskiemu?

- Przepraszam - mówi Rosjanin, ale wcale nie wygląda, jakby było mu przykro.

Will odwraca się i zbliża do niezabezpieczonej relingiem krawędzi jachtu. Wychyla się i przez dłuższą chwilę nie może wyjść ze zdziwienia. Spodziewał się, że zobaczy wzburzone morze, a tymczasem jego oczom ukazał się kolejny pokład z lśniącego białego włókna szklanego. Znajduje się tam część wypoczynkowa z kanapami, szezlongami i otomanami. Na jednej z nich leży telefon. Chyba nic mu się nie stało.



Jest już późno. Will otwiera niewłaściwe drzwi. Wystrój kabiny przypomina kawalerkę z lat sześćdziesiątych albo raczej jej współczesną wersję odtworzoną w jakimś hotelu w Las Vegas: niskie meble, obłe kształty i włochaty biały dywan, na którym klęczy na czworakach całkowicie naga młoda kobieta, z którą kopuluje od tyłu łysy mężczyzna. Jest w ubraniu, ma tylko rozpięty rozporek i rozchełstaną jedwabną koszulę, spod której wystają siwe włoki. Jedną ręką trzyma dziewczynę za długie ciemne włosy, a drugą opiera na jej plecach, żeby utrzymać równowagę.

Oboje zauważają stojącego w progu Willa. Kobieta robi zawstydzoną

minę, a facet unosi podbródek i patrzy wyzywająco na intruza, nie przestając wykonywać szybkich ruchów biodrami i łapiąc swoją partnerkę mocniej za włosy, żeby jeszcze bardziej ją upodlić.

- Przepraszam - mówi Will i zamyka drzwi. Widzi jeszcze, jak kobieta wbija wzrok w dywan, zapewne wyobrażając sobie jakiś inny świat, odmienny od tego, w którym przyszło jej żyć.

Will szuka pary młodych Brytyjczyków i starszego gościa, który też ma tytuł lorda. Chcieli razem usiąść i obejrzeć jakąś komedię sytuacyjną, którą Brytyjczycy się strasznie zachwycali. Elena obiecała, że znajdzie odpowiednie miejsce. Gdzieś pod pokładem była rzekomo sala projekcyjna. Will powiedział, że za moment do nich dołączy, ale najpierw musi skorzystać z łazienki.

Tak naprawdę wcale nie chodziło o potrzeby fizjologiczne, ale o chwilę prywatności. Chciał zgrać zdjęcia na znajdujący się w chmurze serwer. W tym celu musiał zastosować skomplikowaną instrukcję, której Elle kazała mu się nauczyć na pamięć. Niestety, w malutkiej, ale eleganckiej toalecie okazało się, że jacht odpłynął zbyt daleko od brzegu i nie ma zasięgu. Will zaczął się zastanawiać, czy to również było celowe tak jak próba zniszczenia jego telefonu. Od uderzenia w lądowisko pękł w nim ekran.

Will nie ma zamiaru otwierać drzwi na chybił trafił i być świadkiem kolejnych upokorzeń. Szczęśliwym trafem znajduje jednak wejście z napisem „Kino”. Niestety, w środku siedzi grupka facetów i jak przystało na twardzieli ogląda *Ojca chrzestnego*.

Na pokładzie wieje bryza i panuje przyjemny chłód. Słychać głośną muzykę dyskotekową i wszędzie pełno jest pijanych gości.

- Znalazłeś coś ciekawego? - pyta go nagle Lucia-Elena. - Na którą masz ochotę?

Will nie jest pewien, czy dobrze zrozumiał pytanie.

- Może Suzanna? - Lucia-Elena kiwa głową w stronę wysokiej blondynki.
- Jest Czeszką. A ta dziewczyna o ponętnych kształtach w białym bikini to Francesca. Urodziła się we Włoszech. Jeśli nie przypadły ci do gustu, są też inne, ale żadnej akurat nie widzę.

- Uhm, nie mam...

- To wszystko rzecz jasna gratis. Señor Miłoszewski składa taką propozycję w ramach przeprosin za uszkodzenie komórki. Oczywiście dostaniesz też nowy smartfon. Śpisz w hotelu, prawda?

Will nie zgłasza sprzeciwu, ale też nie potwierdza. Jest pewien, że nie

przekazywał informacji na temat miejsca swojego pobytu żadnemu z pracowników Miłoszewskiego.

- Nowy telefon zostanie dostarczony przed południem.

- To naprawdę zbyteczne.

- Ale uczciwe. Señor Miłoszewski nie odniósłby tak wielkiego sukcesu, zachowując się nieuczciwie.

Will wie, że jego opiekunka to rozsądna, inteligentna, a nawet błyskotliwa kobieta. Lucia-Elena musi zdawać sobie sprawę, że to, co powiedziała o swoim szefie, to wierutne kłamstwo.

- Suzanna czy Francesca? Słyszałam, że Francesca jest w tych sprawach wyjątkowo utalentowana.



O drugiej nad ranem jacht przybija do brzegu. Całkiem spora grupa gości spędza noc na pokładzie. W porcie czekają samochody na tych, którzy zatrzymali się w luksusowych hotelach, secesyjnych apartamentach na Eixample i krytych dachówką domach górujących nad turkusowymi lagunami Costa Brava.

Po Willa nie wyjechało żadne auto. Na dodatek zgubił gdzieś Lucię-Elenę, która zaproponowała, że go podwiezie. Jednak może dobrze się stało. Chce wrócić do hotelu i położyć się spać bez konieczności odrzucania kolejnych propozycji. Ma wrażenie, że przez ostatnie trzy godziny zajmował się głównie odmawianiem. Ciągłe proponowano mu drinki, narkotyki i towarzystwo prostytutek.

Goście, na których nie czekają samochody, rzucają się do kilku taksówek. Kierowcy musieli zauważyć cumujący do brzegu jacht i wywęszyli łatwy łup w postaci wysokich stawek za kurs i astronomicznych napiwków. Popyt przewyższa podaż i wkrótce wszystkie auta rozjeżdżają się w różnych kierunkach.

Pozostali imprezowicze wyciągają telefony i organizują sobie jakiś transport. Will postanawia iść na piechotę. W Barcelonie tętni nocne życie. Wieczorem należy uciąć sobie drzemkę, kolację jada się około dwudziestej trzeciej, a druga nad ranem to stosunkowo wczesna pora. Na ulicach wciąż jest jeszcze pełno ludzi.

Will idzie przez La Barcelonetę, a potem wchodzi w kręte uliczki średniowiecznej Barri Gòtic. W tej dzielnicy od setek lat odbywają się nocne

hulanki. Jest tu wąsko i ciemno, a każdy krok odbija się głośnym echem. Na niewielkim placu rozgościli się włóczędzy. Obok Willa przebiegają psy, w powietrzu unosi się dym i słychać muzykę. Atmosfera beztrioskiej zabawy miesza się z poczuciem zagrożenia.

Will zdaje sobie sprawę, że ktoś za nim idzie, ale się nie odwraca. Najprawdopodobniej to zwykły przechodzień, a poza tym tak jak większość mężczyzn Will nie lubi okazywać strachu.

Na końcu zakręcającej uliczki zwalnia, ponieważ nie jest pewien, w którą stronę powinien skręcić. Nie chce się zgubić, więc wyjmuje telefon, żeby sprawdzić na mapie, gdzie jest. O tej porze i przy tym poziomie zmęczenia nie ma najmniejszej ochoty zablądzić.

Cichną kroki za jego plecami.

Wpatruje się w ekran telefonu przecięty głębokim pęknięciem w kształcie litery Y. Wyteża wzrok, żeby zobaczyć odbicie prawdziwego świata, a nie jego graficzną reprezentację składającą się z zaznaczonych na białym ulic, szarych budynków i zielonych parków.

Widzi stojących obok siebie dwóch mężczyzn. Tak, to oni. Pięćdziesiąt metrów za nim? Może siedemdziesiąt? Jeden z nich ma owalną twarz i bez skrępowania patrzy w stronę Willa.

Will skupia się na mapie. Hotel znajduje się jakieś pół kilometra stąd, może nawet mniej. Pięć minut szybkiego marszu, pod warunkiem że wybierze najkrótszą drogę. Ma jednak inny pomysł. Śledzi wzrokiem dłuższą, okrężną trasę z wieloma zakrętami. Około kilometra marszu. Zapamiętuje szlak, dziękując sobie w duchu, że dwie godziny temu przestał pić alkohol.

Rusza przed siebie, skręca w lewo i zaczyna znowu przebiegać nogami.

Za plecami znowu słyszy kroki.

Wchodzi w bardzo wąską uliczkę. Faceci, którzy go śledzą, na pewno stracili go z oczu, więc zrywa się do biegu. Za sześć minut powinien być w hotelu. Nie zdąży się zmęczyć, a kiedy jego prześladowcy zwolnią, on będzie w stanie przyspieszyć. Po pierwsze, zadziała adrenalina, a po drugie, jest od nich lepszym biegaczem. Takim typom płaci się za siłę, a nie za szybkość.

Mija obozowisko bezdomnych hippisów. Na skraju placu siedzi kilku palaczy, którzy na jego widok zaczynają wiwatować, a może z niego szydzić. Trudno powiedzieć.

Ciągle słyszy kroki, lecz odległość na pewno się nie zmniejsza. Goniący utrzymują dystans, ale Will jest pewien, że ich przetrzyma. Postanawia

zwiększyć tempo. Kolejny zakręt i kolejna wąska uliczka. Ma na sobie cienkie skarpetki i stopy trochę ślizgają się w butach. Całe szczęście, gumowe zelówki dobrze trzymają się nawierzchni. Byłoby o wiele gorzej, gdyby miał na nogach pantofle na skórzanej podeszwie z twardym obcasem.

Jeszcze bardziej przyspiesza. Teraz biegnie z prędkością dwudziestu kilometrów na godzinę. Ktoś, kto nie trenuje regularnie, nie jest w stanie utrzymać takiego tempa przez dłużej niż minutę. Kroki wyraźnie się oddalają.

Ostatni zakręt i Will wbiega na wąski chodnik, na którym przez większą część dnia kręci się sporo ludzi. Teraz jest jednak inaczej. Widać raptem kilka osób, palą się światła w jednej restauracji i paru hotelach. Przy krawężniku czeka taksówka.

Udało się. Jeszcze dwadzieścia sekund i będzie w hotelu. Wejdzie do lobby i pozdrowi nocnego recepcjonistę. Zwalnia i bierze głęboki oddech, żeby wypełnić świeżym powietrzem zmęczone płuca.

Wtedy kilka metrów przed nim jak spod ziemi wyrasta wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna. Jest zziąjany, ale i tak wygląda przerażająco. Will staje jak wryty.

Musieli wiedzieć, dokąd ucieka i gdzie śpi. To nie są zatem uliczni bandyci, tylko najprawdopodobniej ludzie Miłoszewskiego, tak samo dobrze poinformowani jak Lucia-Elena. Dlaczego więc po prostu nie czekali na niego pod hotelem? Może nie byli pewni, czy wróci na noc, i postanowili go śledzić. Po co zatem ganią za nim wąskimi uliczkami? Mieli zamiar go porwać?

Czego chcą? Jeżeli dybali na jego życie, mieli wystarczająco dużo okazji, żeby go zabić.

Chodzi zapewne o telefon. Planowali zainscenizować nocny napad i ukraść mu komórkę, a przy okazji trochę przetrzepać skórę, żeby miał nauczkę.

Wszystkie te myśli przemykają Willowi przez głowę w ciągu mniej niż jednej sekundy. Jego mózg działa na najwyższych obrotach, analizując możliwości i dokonując obliczeń. W tak krótkim czasie udaje mu się przeprowadzić skomplikowane argumentacje, między innymi taką, że nie powinien teraz za bardzo kombinować, tylko działać.

Co się stanie, jeśli ukradną mu telefon i go pobiją? Dozna fizycznych i emocjonalnych obrażeń, ale co będzie dalej? Jakiś zatrudniony przez Miłoszewskiego spec znajdzie ukryte aplikacje i dokopie się do zdjęć zrobionych ukradkiem podczas przyjęcia na jachcie. Zaczną podejrzewać, że

Will pracuje, no właśnie, dla kogo? Dla CIA? Dla biznesowej konkurencji Miłoszewskiego? Dla Interpolu? Nie będą mieli bladego pojęcia, kto go nasłał, i w żaden sposób nie uda im się tego sprawdzić.

Ale co, jeśli jakimś cudem wpadną na właściwy trop? Czy zostanie zdemaskowany? Wtedy przestanie być użyteczny dla CIA i pewnie zakończą z nim współpracę. Czy będą chcieli go zlikwidować? Chyba nie. Pewnie pozwolą mu odejść i wrócić do normalnego życia. Będzie zarabiał dziesięć tysięcy dolarów mniej miesięcznie, ale w zamian dostanie święty spokój. Tak, to najbardziej prawdopodobne.

Może tak po prostu stać i czekać, aż go napadną. Dostanie pięścią w twarz i kopa w gołęń. Trafi do szpitala na ostry dyżur, założą mu kilka szwów, spędzi godzinę z zaspanymi policjantami na posterunku, a rano złoży wizytę w konsulacie i będzie po krzyku.

Koniec ze szpiegowaniem. Nie będzie musiał chować służbowego telefonu za obudową kaloryfera ani ćwiczyć pokonywania tras kontrobservacyjnych. Koniec z zapamiętywaniem twarzy, nazwisk i miejsc. Koniec z szyfrowaniem notatek i wysyłaniem zakodowanych wiadomości. Koniec z CIA, z Rogerem i z Elle.

Jedna część jego mózgu stara się wszystko zracjonalizować, ale druga, bardziej pierwotna, staje okoniem. Okazuje się, że dobrowolne wystawienie się na niebezpieczeństwo, ból i możliwą śmierć jest na dobrą sprawę niemożliwe. Przecież można tego uniknąć.

Will słyszy za plecami jakiś hałas. Spogląda przez ramię i widzi wyłaniającego się zza rogu samotnego biegacza. Mężczyzna wygląda na wyczerpanego.

Will zdaje sobie sprawę, że czas ucieka. Odwraca się do faceta blokującego mu drogę i rusza do ataku.

Rozdział 19

Barcelona

Kilka minut po trzeciej nad ranem Will po cichu wchodzi do hotelowego lobby. W szczelinie pod drzwiami do pokoju nie widać światła. Nie słychać też żadnych hałasów. Zatrzymuje się na korytarzu i przykłada ucho do drewnianych drzwi. Wewnątrz panuje kompletna cisza. Z innego pokoju dobiega chrapanie, a na piętrze wyżej ktoś spuścił wodę w toalecie.

Opiera się plecami o ścianę i wyciąga rękę, żeby przytknąć kartę do czujnika. Zamek się otwiera, ale Will nie wchodzi do środka. Przysuwa ramię do tułowia i cierpliwie czeka, wsłuchując się w ciszę. Jest zwarty i gotowy, ale nic się nie dzieje. Po kilku chwilach rozlega się cichy trzask ryglującego się zamka.

Odczekuje kolejną minutę. Ciągle nic.

Nie ma czasu do stracenia. Recepcjonista na pewno właśnie chwycił za telefon i informuje kogo trzeba, że Amerykanin wrócił do hotelu. Will musi jak najszybciej zabrać swoje rzeczy i stąd zniknąć.

Ponownie otwiera drzwi, ale tym razem wchodzi do środka. Nie jest zdziwiony, że pokój został przetrząśnięty od góry do dołu. Wybebeszone walizki, porozrzucane po kątach ubrania, zwleczony z łóżka materac i przewracane krzesła. Gruntowna robota, której cel był zupełnie jasny.

Jeśli czegoś szukali, to tego nie znaleźli, ponieważ nie było tu nic interesującego. Zrobili kipsisz, żeby go ostrzec.

Szybko pakuje zniszczone bagaże i wychodzi ze zdewastowanego pokoju. Jak to wszystko wyjaśni na dole w recepcji? Czy to w ogóle konieczne? Może powinien zniknąć bez słowa, zaakceptować absurdalnie wysoką sumę, którą ściagną z jego karty kredytowej, i liczyć, że koszty pokryje redakcja „Travelers” albo CIA? W takiej chwili nie powinien się jednak martwić o pieniądze. W końcu jego życiu grozi niebezpieczeństwo.

Uznaje, że wezwanie windy może przyciągnąć uwagę, więc schodzi po schodach. W lobby jest pusto. Za kontuarem siedzi recepcjonista, który obrzucił Willa krytycznym spojrzeniem, gdy ten w środku nocy wchodził do hotelu w rozmamłanym ubraniu. Teraz mężczyzna najwyraźniej zastanawia

się, czy powinien interweniować. W końcu takie nagłe wymeldowanie, na dodatek bladym świtem, może budzić podejrzenia. Jednak facet ma problem z podjęciem decyzji i Will wychodzi na ulicę. Nocni portierzy z reguły nie są ani odważni, ani szczególnie przebojowi.

Na zewnątrz jest pusto. Will spogląda w stronę wąskiego zaułka, w którym wcześniej czaił się przez pół godziny, obserwując wejście do hotelu i sprawdzając, czy nie dzieje się coś podejrzanego. Znalazł to miejsce pierwszego dnia, tuż po zameldowaniu. Stały tam kubły na śmieci i jakieś motocykle, panował półmrok i było kilka zagłębień świetnie nadających się na kryjówkę. Do zaułka można było również wejść z innej ulicy, od strony północnej. Właśnie z tej drogi skorzystał minutę po tym, jak rozprawił się z napastnikiem.

„Trudno wymyślić coś lepszego niż mocny kopniak w krocze”, powiedział kiedyś jego instruktor sztuk walki. „Szczególnie jeśli ktoś nie wie, że zamierzasz go zaatakować. Wielu ludzi popełnia błąd i stara się uderzyć agresora pięścią w twarz, jednak niełatwo precyzyjnie wymierzyć taki cios. Na dodatek przeciwnik wszystko widzi i może zrobić unik. Ale kopnięcie w jaja? Łatwo trafić i niezwykle trudno się obronić”.

Właśnie tak zrobił z facetem, który blokował chodnik. Kiedy zgięty wpół osiłek próbował jakoś dojsć do siebie, Will błyskawicznie uniósł nogę i walnął go kolaniem w twarz. Mężczyzna runął na chodnik i zaczął wić się z bólu, a z jego złamanego nosa leciała krew.

Will rzucił się do ucieczki. Drugi napastnik nie miał najmniejszych szans, żeby go złapać. Nie tylko słabo biegał, lecz był także zmęczony, ponieważ musiał pokonać ponad kilometr dość szybkim tempem. Możliwe również, że obleciał go strach. W końcu jego kumpel leżał na chodniku w kałuży krwi. Ten typ raczej nie zacznie gonić kogoś kto, po pierwsze, już raz mu uciekł, a po drugie, okazał się niebezpieczny.

Na następnym skrzyżowaniu Will skręcił w prawo. Okrążył cały kwartał i wszedł w zaułek od drugiej strony. Zakradł się do wilgotnego, ciemnego zagłębienia, w którym znajdowało się tylne wejście do sklepu z espadrylami. Obserwował, jak zdyszany mięśniak pochyła się nad swoim rannym kolegą, a potem sięga po telefon. Minutę później przy krawężniku zatrzymał się mercedes, obaj mężczyźni wsiedli do środka i samochód ruszył z piskiem opon.

Will załadował zdjęcia na serwer i wysłał wiadomość alarmową, korzystając z kodów zapamiętanych podczas pobytu na wschodnim wybrzeżu

Wirginii. Potem już tylko czekał. Przyglądał się uważnie samochodom zaparkowanym wzdłuż ulicy, spacerującym pieszym, przejeżdżającym skuterom i taksówkom. Szukał potencjalnych zagrożeń. Jakiś facet przysnął za kierownicą sedana, ulicą przeszedł kilka razy ten sam przechodzień. Nic szczególnego się nie działo, ale Will wolał dmuchać na zimne. Po godzinie wyszedł z zaułka po północnej stronie, złapał taryfę i kazał się zawieźć do hotelu. Dał taksówkarzowi połówkę przedartego banknotu o nominale sto euro i powiedział, że ma na niego czekać na szerokim bulwarze za rogiem.

Jest wczesny rano. Will wsiada do taksówki i ruszają w drogę. Wymijają ciężarówki czekające na wjazd na teren wielkiego targu i jadących do pracy pierwszych rowerzystów. Na ulicach sporo jest skuterów i niewielkich samochodów małodlitrażowych.

Will rozsiada się na tylnym siedzeniu i szeroko się uśmiecha.

Nowy Jork

Ostatni wychodzą Stacey i Eric, para adwokatów zarabiających rocznie ponad milion dolarów. Pracują sześćdziesiąt godzin w tygodniu, a raz w miesiącu mogą wyjść wcześniej z biura i zjeść razem kolację albo odwiedzić znajomych. Starają się maksymalnie wykorzystać wieczór u Somersów. „Jasne, że mam ochotę na następnego drinka”. Jednak w pewnym momencie Malcolm natyka się w korytarzu na Stacey, która pisze esemesa, w panice stukając w telefon.

- Praca - mówi, przepraszająco wzruszając ramionami. - Tylko błagam, nie mów nic Ericowi.

Malcolm nie ma pojęcia, jaką tajemnicę może chować Stacey przed swoim drugim mężem, ale kiwa głową i odpowiada:

- Nie mam takiego zamiaru.

Goście zbierają się do wyjścia o jedenastej. Na pożegnanie obowiązkowe całusy w policzek oraz uściski dłoni. „Było cudownie”. Teraz trzeba jeszcze zrobić porządek.

- Zajmę się tym - mówi Malcolm, po czym zdejmując zegarek, podwija rękawy i rozgląda się, żeby ocenić sytuację. Naprawdę nie ma nic przeciwko sprzątnięciu po imprezie u boku żony. W kuchni odbywa się wtedy charakterystyczna, cicha pantomima. Każdy wykonuje swoje obowiązki. Robią, co do nich należy, starając się nie wchodzić sobie w drogę. Pracują

razem. Na tym polega małżeństwo.

- Oni naprawdę obmyślają strategię zamieszczania postów na Facebooku?

- pyta Malcolm.

- Tak mi się wydaje.

- Myślisz, że prowadzą dyskusje na temat tego, co zamierzają opublikować? Albo co udostępnić i polubić? To jest chore.

Allison jest zajęta odrywaniem z rolki kawałów folii aluminiowej. Robi to z dziwną zawziętością.

- Pamiętałeś, żeby zapłacić chesne?

- Zbliża się termin? - Puf! I nie ma ponad stu tysięcy dolarów. To tak, jakby co pół roku kupować nowy samochód.

- Już minął. W zeszłym tygodniu.

- Jutro się tym zajmę.

Allison prychnęła pogardliwie, zakładając, że jej mąż na pewno zapomni. Niestety, może mieć rację.

- W porządku, zrobię przelew, jak tylko skończymy zmywać. - Przez chwilę martwi się, czy ma wystarczająco dużo pieniędzy na koncie, ale gdyby zabrakło, wie, skąd je wziąć. - Możesz mi powiedzieć, co cię gryzie? - Malcolm wypił kilka szklaneczek szkockiej, a potem jeszcze parę kieliszków wina. W przeciwnym razie nie miałyby siły i odwagi, żeby stawić czoło swojej żonie i zadać tak bezpośrednie pytanie. - Co takiego zrobiłem? A może czegoś nie zrobiłem, oczywiście poza niezapłaceniem chesnego?

Allison kręci głową i zamyka wieczko plastikowego pojemnika, uderzając w nie nasadą dłoni.

- Nie jestem zwykłą... kurą domową.

- Nie - zaprzecza Malcolm, poruszając nerwowo kolanem. - Oczywiście, że nie.

- Skończyłam studia.

Słyszał to nieraz, zresztą nie tylko od swojej żony. Wiele kobiet z dyplomem magistra ma pretensje do całego świata, że siedzą w domu i zajmują się rodziną.

- Idę pooglądać telewizję - mówi Allison po skończonym zmywaniu i wychodzi z kuchni.

Kiedyś po kolacji ze znajomymi zawsze uprawiali seks. Allison najwyraźniej podniecał ten aspekt ich wspólnego pożycia, ale teraz jest odwrotnie. Ostatnio przechodzi przez trudny okres i Malcolm nie ma pojęcia, jak mógłby jej pomóc.

Zastanawia się, czy żona kocha go na tyle mocno, by spędzić z nim kolejne trzy, a może nawet cztery dekady. A co z jego miłością? Czy jest wystarczająco silna? A może za pięć, dziesięć albo piętnaście lat, kiedy dzieci będą już dorosłe, wspólnie dojdą do wniosku, że mają dość, i powiedzą sobie do widzenia. Albo wycofa się tylko jedna ze stron. Żeby wziąć ślub, potrzeba dwojga ludzi, ale żeby się rozwieść, wystarczy jedna osoba.

Nie przychodzą mu do głowy żadne pokrzepiające słowa. Allison stara się wymyślić jakiś pomysł na resztę życia, coś, co nie byłoby tylko oszukiwaniem samej siebie. Gdyby tylko wiedziała, jakie kłamstwa serwuje jej niemal codziennie mąż.

Malcolm idzie do swojego gabinetu. Nad biurkiem znajduje się korkowa tablica obwieszona różnymi rzeczami, które można znaleźć w większości domów: dziecięce rysunki, harmonogram zajęć pozaszkolnych, bilety do opery, rozkład jazdy pociągów do Montauk i inne przypięte pinezkami drobiazgi.

W tle gra włączony telewizor. Właśnie zaczyna się jakiś serial, leci tytułowa piosenka i słychać śmiech z taśmy.

Malcolm przyciska do ściany lewą część ramy i zwalnia magnetyczny zaczep. Tablica otwiera się na zawiasach, odsłaniając obrotową tarczę wbudowanego w ścianę sejfu.

Jeśli chodzi o środki bezpieczeństwa, to nie jest z pewnością najnowocześniejsza technologia, ale Malcolm nie chciał niczego wymyślnego. Droga zabawka mogłaby tylko wzbudzić podejrzenia. „Panie Somers, dlaczego zainstalował pan w domu tak zaawansowane urządzenie? Ma pan jakieś wyjątkowo cenne przedmioty? Czegoś się pan boi?”

Sejf jest prawie pusty i nie ma w nim niczego szczególnie kompromitującego. Malcolm wyjmuje dziwny przedmiot, który wygląda trochę jak pendrive, ale nim nie jest.

Siada przy komputerze. Wklepuje hasło, wylogowuje się z konta rodzinnego i wchodzi na swój prywatny alias^[43]. Uruchamia mało znaną przeglądarkę internetową, której ikona schowana jest w pozornie nieistotnym podkatalogu. Wpisuje adres URL i długą nazwę użytkownika, po czym podnosi wyjęte z sejfu urządzenie i włącza je, naciskając niewielki guzik. Na małym ekraniku pojawia się szereg cyfr. To generowany losowo kod dostępu, który zmienia się co sześćdziesiąt sekund. Wstukuje kod, żeby móc zlecić dokonanie przelewu. Pieniądze na czesne znajdą się wkrótce na jego amerykańskim rachunku. O istnieniu zarejestrowanego w Szwajcarii,

superbezpiecznego konta jego żona nie ma bladego pojęcia.

Barcelona

Tętniące życiem o siódmej nad ranem lotnisko to zawsze nieco zaskakujący widok. Reszta miasta pogrążona jest jeszcze we śnie albo dopiero budzi się do życia, a tutaj, gdzieś obok autostrady na peryferiach, krążą dziesiątki tysięcy zaaferowanych ludzi.

Will nie wie, kto będzie na niego czekał - nigdy go o tym nie informują - ale jest zdziwiony, gdy do stanowiska linii lotniczych Iberia podchodzi Elle. Zamienia kilka słów z pracownicą, obie kobiety wybuchają śmiechem, a potem Elle odchodzi.

Kiedy prawie znika w tłumie, Will rusza jej śladem. Oboje stają w kolejce do kawiarni. Dzieli ich kilku pasażerów z walizkami na kółkach i bagażem podręcznym. W wózku spacerowym smacznie śpi małe dziecko.

Jak powinien się zachować? W jaki sposób to rozegrać?

Z jednej strony jest wściekły na ich brak odpowiedzialności. To przez nich znalazł się w bardzo niebezpiecznej sytuacji. Mógł przecież zginąć, do jasnej cholery! Chociaż tak naprawdę nie jest w stanie dokładnie ocenić ryzyka. Czego chciały te oprychy? Czy były w stanie go zabić?

Z drugiej strony, świetnie sobie poradził, poczynawszy od przeprowadzonej na jachcie inwigilacji i mrożącego krew w żyłach spotkania z Miłoszewskim, przez doskonale zaplanowaną ucieczkę wąskimi uliczkami Barri Gòtic i skuteczny popis samoobrony, a skończywszy na wysłaniu wiadomości alarmowej i dotarciu na wyznaczone miejsce spotkania, czyli na lotnisko, gdzie stoi teraz cierpliwie w kolejce. Zrobił wszystko, czego od niego oczekiwano. Na dodatek sprawiło mu to wiele przyjemności. Czuje, że rozpiera go energia, jest zadowolony z siebie i rozentuzjasmowany. Jakby przed chwilą uprawiał seks.

Odbiera swoje espresso i rozgląda się dookoła. Elle siedzi na stołku przy wysokim, okrągłym stole i patrzy w jego stronę, dając mu wyraźny sygnał, żeby podszedł.

- *Buenos dias* - mówi Will, wyciągając podbródek i kiwając głową, jakby chciał zapytać, czy może się dosiąść.

- *Yo no hablo español*^[44] - odpowiada Elle z mocnym amerykańskim akcentem, chociaż na co dzień płynnie posługuje się hiszpańskim. - Mówi

pan po angielsku?

- Tak. Jestem Amerykaninem.

- Super!

Will siada.

- Dlaczego się spotykamy? - pyta Elle, nie zniżając głosu. W hali odlotów panuje nieustający hałas, który zagłusza ich rozmowę. W tej sytuacji podejrzanym byłoby mówienie szeptem.

Will kładzie na stole akcesoria typowego turysty: przewodnik, mapę i zabazgrany papier listowy z hotelowym logo.

- To jest najważniejsze - mówi, spoglądając na gęsto zapisaną kartkę. Tekst jest czytelny, chociaż pisał go w pośpiechu, siedząc półtorej godziny w krążącej po mieście taksówce. Tyle czasu potrzebował, żeby wreszcie kazać kierowcy jechać na lotnisko. Nie chciał być za wcześnie. Bał się, że w miejscu publicznym będzie za bardzo na widoku. Powiedział taksówkarzowi, że nie miał okazji zobaczyć najważniejszych zabytków. „Proszę mi pokazać Barcelonę, przynajmniej to, co uważa pan za najbardziej interesujące”.

Kartka skierowana jest w stronę Elle tak, że nawet nie musi jej obracać. Wystarczy, że opuści wzrok i może zacząć czytać starannie zredagowaną historię ostatnich dwunastu godzin z życia Willa Rhodesa. W tym samym czasie Will z udawanym zainteresowaniem studiuje przewodnik. Dwoje nieznanymi dzielących stolik w zatłoczonej kawiarni na lotnisku.

- Nieźle! - mruczy pod nosem Elle, ale nie wygląda na szczególnie zaskoczoną.

- Co ty tu w ogóle robisz? Śledzisz mnie?

- Oczywiście, że tak. To była twoja pierwsza poważna operacja. Musieliśmy mieć pewność, że nic ci nie grozi.

- W takim razie gdzie byliście dziś w nocy?

- Dlaczego zakładasz, że cię nie ubezpieczaliśmy?

Will stara się przypomnieć sobie ludzi, których widział na ulicach: taksówkarzy, włóczęgów, kierowcę śpiącego za kółkiem i prostytutkę.

- Kto mnie asekurował?

- To teraz bez znaczenia. - Elle wzrusza ramionami. - Nie groziło ci żadne poważne niebezpieczeństwo. A gdyby nawet, na pewno przyslibyśmy ci z pomocą.

- A co ze zbirami, których nasłał na mnie Miłoszewski? Czego chcieli?

- Twojego telefonu. Mieli za zadanie zniszczyć dokumentację zrobioną podczas imprezy na jachcie. Jednak Miłoszewski cię zlekceważył i wysłał

pólamatorów. To byli zwykli ochroniarze. Łatwo sobie z nimi poradziłeś, prawda? Niestety, dzisiaj nie popełni tego samego błędu, więc musisz stąd zniknąć. - Uderza palcem w leżący przed nią kawałek papieru. - Powinieneś jak najszybciej przejść przez kontrolę bezpieczeństwa. Nie korzystaj z toalet i nie wychodź na papierosa.

- Co takiego? Przecież ja nie palę...

- Wiem. Tylko żartowałam. - Dopija swoją kawę. - Dobrze się czujesz? - Will kiwa głową. - Cieszę się. - Odstawia filiżankę na spodek. - Świetnie dałeś sobie radę. Gratulacje.

Will patrzy, jak Elle znika w tłumie pasażerów. Naprawdę pierwszy raz była z nim za granicą? A może nie odstępuje go na krok od wielu miesięcy? Czy jest wart aż takiego zachodu? I takich wydatków?



Wysiada z taksówki na zalaną słońcem ulicę. Kolejny upalny dzień w stolicy Katalonii. Portier przytrzymuje drzwi, a Elle wchodzi do chłodnego lobby i kieruje się w stronę małej windy.

Wjeżdża na górę i zastyga w bezruchu. Na długim korytarzu jest cicho jak makiem zasiał, nigdzie nie widać wózków należących do obsługi i nie ma żadnych pokojówek. Za jej plecami słychać szum zamykającej się windy. Czuje, że obleciał ją strach. Wydarzenia minionej nocy są dla niej sporym zaskoczeniem. Już przesłuchanie w Dublinie było czymś niespodziewanym. Najwyraźniej Will przyciąga uwagę niezwykle ostrożnych ludzi. W jakimś sensie to dobrze - operacja przynosi spodziewane rezultaty - ale jednocześnie są powody do niepokoju. Will może się wpakować w poważne tarapaty, z których Elle nie będzie go w stanie wyciągnąć.

Idzie wzdłuż korytarza i otwiera kartą drzwi do swojego pokoju. W środku jest Roger. Siedzi przy biurku pochylony nad laptopem.

- Jest już w samolocie? - Elle potwierdza skinieniem głowy, po czym siada na łóżku i zrzuca buty. - Niewiele brakowało, prawda? Mogli go zabić.

- Nie przesadzaj - odpowiada Elle, rozmasowując stopę. - W każdym razie udało się. Mamy numery telefonów i wszystkie połączenia nawiązane przez tych typów po spotkaniu z Rhodesem. To ogromna sieć, zaledwie jeden, może dwa stopnie oddalenia.

Na ekranie komputera wyświetlona jest grafika przedstawiająca drzewo z numerami telefonów, które rozgałęzia się na cały świat.

- Wszystko jest wgrane na serwer?
- Tak, w Wirginii już nad tym pracują.

Roger jest oprócz Elle jedyną osobą w zespole, która ma jakikolwiek kontakt z centralą. To właśnie tam trafiają wszystkie dane, a następnie są analizowane i przekazywane odpowiednim agentom, którzy muszą być dobrze poinformowani o wszelkich ruchach obserwowanych przez siebie celów. To właśnie dlatego Elle tak dużo wie o podróżach Willa. Zna nie tylko numery lotów, terminali, gate'ów i przydzielonych miejsc na pokładzie, lecz także nazwy hoteli i knajp. Trafiają do niej szczegółowe informacje o rezerwacjach biletów kolejowych i wypożyczanych samochodach. Nie jest dla niej tajemnicą, do kogo Will dzwoni, wysyła esemesy i pisze e-maile oraz co i gdzie kupuje swojej żonie. Krótko mówiąc, Elle otrzymuje raporty o każdym śladzie zostawionym przez Willa w cyberprzestrzeni, którą non stop monitorują zatrudnieni w tym celu ludzie.

- Spójrz - mówi Roger - jest coś nowego. - Na ekranie pojawia się małe okienko z numerem, nazwiskiem i zdjęciem. To jakiś mężczyzna mieszkający w Abu Zabi. - Myślisz, że się uda?

Goście Miłoszewskiego mogą wreszcie dać Elle to, czego szuka. Operacja trwa już kilka miesięcy, ale jak na razie nie poczyniono widocznych postępów. Niektóre projekty im dłużej trwają, tym przynoszą lepsze efekty i są bezpieczniejsze. Trzeba uzbroić się w cierpliwość i czekać. Jednak w tym wypadku wcale tak nie jest. Od początku wiadomo, że w każdej chwili może dojść do katastrofy. Codziennie dzieje się coś, co potencjalnie zagraża całemu przedsięwzięciu.

Elle musi jednak zachować te myśli dla siebie.

- Tak, na pewno się uda - mówi, starając się przekonać samą siebie, że to prawda.

Rozdział 20

Nowy Jork

- Byłem przerażony - mówi Will.

Gabriella stoi w drzwiach jego pokoju, opierając się o futrynę. W rękach trzyma notatnik, teczkę wypełnioną arkuszami kalkulacyjnymi i harmonogramami oraz telefon z ekranem skierowanym do góry, żeby w każdej chwili można było zareagować na ewentualny kryzys. Dla większości ludzi dzień roboczy już się skończył, ale nie dla niej. Ona pracuje non stop.

Teoretycznie jest redaktorem, ale co to właściwie znaczy? Trudno powiedzieć. Czasami ma wrażenie, że redagowanie tekstów można by spokojnie skreślić z listy jej obowiązków zawodowych. Tak naprawdę zajmuje się przede wszystkim zarządzaniem, a nie pracą redakcyjną: nadzoruje budżety, kontroluje harmonogramy, rozwiązuje sytuacje kryzysowe. Nadal wmawia sobie, że jest inaczej, ale to mydlenie oczu. Od jakiegoś czasu nie robi już tego, co kiedyś.

Pewnego razu poskarżyła się Malcolmowi.

- Patrzysz na to z niewłaściwej perspektywy - powiedział, kręcąc głową. - Spotkania dotyczące procedur i finansów, godziny poświęcone na pomaganie innym w rozwiązywaniu ich problemów, kolacje z reklamodawcami, udział w branżowych konferencjach... To wszystko nie przeszkadza ci wcale w wykonywaniu prawdziwej pracy, ponieważ to jest twoja prawdziwa praca. Masz pod swoimi skrzydłami wielu ludzi. Ich sukcesy są twoimi sukcesami.

I właśnie dlatego stoi teraz w drzwiach pokoju Willa.

- O Boże, to okropne - mówi, starając się, żeby w jej głosie zabrzmiało współczucie, które rzeczywiście odczuwa. Gabriella nieraz była w podobnej sytuacji, sama, przestraszona, z dala od domu, setki kilometrów od kogoś, na kim mogłaby polegać. - Bałeś się czegoś konkretnego?

- Myślałem, że to wirus ebola, SARS, cholera albo tyfus - odpowiada Will, lekko się uśmiechając. - Jakaś kolejna ogólnoswiatowa epidemia.

- Dlaczego od razu wsiadłeś w samolot? - pyta Gabriella i siada na krześle dla gościa, rozglądając się po zawsze nieskazitelnie utrzymanym pomieszczeniu.

- Szczerze mówiąc, wolałem uniknąć zagranicznego szpitala. Jeśli rzeczywiście byłem pacjentem zero kolejnej pandemii, chciałem, żeby zdiagnozowano mnie w Nowym Jorku i właśnie tu leczono i poddano kwarantannie.

- I co było dalej?

- Zanim dotarłem do domu.

- Lepiej się poczułeś?

- Można tak powiedzieć. Ciągle nie byłem w najlepszej formie, ale przestałem się bać, że umrę.

- Jeszcze nie tym razem.

- No tak.

- Poza tym wszystko w porządku? - Will obrzuca ją zdziwionym spojrzeniem, udając, że nie wie, o co chodzi, ale Gabriella nie daje się nabrać. Pozwala jednak Willowi na to małe oszustwo i w żaden sposób nie reaguje. - Mam wrażenie, że ostatnio jesteś jakiś... nieobecny. Gniewasz się na mnie?

- Nie, wcale.

- W takim razie co jest grane?

Przyjaźnią się od kilkunastu lat, ale małżeństwo Willa sprawiło, że bardzo się od siebie oddalili, o wiele bardziej, niż kiedy to Gabriella wyszła za mąż. Od zawsze mieli się ku sobie i panowało między nimi erotyczne napięcie, niezwiązane wcale z kokieteryjnym zachowaniem Gabrielli. Kilka razy znaleźli się w sytuacji sam na sam, późno w nocy w jakimś odległym miejscu, lecz zawsze ktoś im przeszkodził albo okoliczności nie były do końca sprzyjające. Nigdy do niczego nie doszło, ale mogło dojść i - kto wie? - może kiedyś dojdzie. Życie jest długie, a małżeństwa nie trwają wiecznie, przynajmniej nie zawsze. Jej związek nie przetrwał próby czasu.

- Nic, wszystko okej - odpowiada Will. Gabriella jest niemal pewna, że łże jak pies, ale nie ma zamiaru go demaskować. Poza tym to chyba nie jej rola.

Relacja łącząca zatrudnionych w tej samej firmie równolatków, którzy mają porównywalne doświadczenie zawodowe i zajmują podobne stanowiska, jest dość dziwna: raz są sojusznikami, a raz wrogami. Można podkreślać wagę pracy zespołowej, ale tak naprawdę ludzie dzielą się na trzy kategorie: szefów, podwładnych i rywali. Will nie jest dla Gabrielli ani szefem, ani podwładnym.

- W porządku. - Gabriella wstaje i otwiera drzwi. - Pozdrów ode mnie Chloe.

Wychodzi na korytarz, skręca za rogiem, mija recepcję i wchodzi do

windy. Podczas jazdy w dół przegląda się w lustrze, poprawia spódnicę i włosy.

Wysiada na dwudziestym ósmym piętrze, na którym znajdują się archiwa, księgowość, dział informatyczny i prawniczy. Skinieniem głowy wita się z kilkoma mężczyznami, których na dobrą sprawę prawie nie zna. Posyła im też zniewalający uśmiech. W końcu tego od niej oczekują. Idąc dalej korytarzem, niemal czuje na sobie ich wzrok.

Zatrzymuje się przed otwartymi drzwiami do niewielkiego biura.

- Cześć, Stonely. Masz chwilkę?

- Jasne.

Wchodzi do zagraconego pokoiku. Wzdłuż ścian stoją wysokie regały, na których leżą klawiatury, monitory i kable.

- Zastanawiałam się, czy mógłbyś coś dla mnie zrobić - mówi Gabriella, zamykając za sobą drzwi i opierając się o framugę.



Intensywny trening bardzo łatwo może skończyć się nudnościami i przynajmniej raz w tygodniu Allison doprowadza się do takiego stanu. Opiera się o bar i mruczy pod nosem, nie mogąc się zdecydować, który sok zamówić.

I właśnie wtedy zauważa przystojnego headhuntera Stevena Jakiegoś tam. Ma seksowny dołek w podbródku oraz tak bujne włosy, że można by w nich coś schować. Kiedy się poznali, powiedział, że jest wiceprezesem agencji rekrutacyjnej i zajmuje się pozyskiwaniem talentów.

- Pozyskiwanie talentów? Jest taki zawód?

- Dla mnie tak.

Mężczyzna stoi obok i pisze coś na telefonie. Jest wyższy, niż jej się wydawało. Podczas ich pierwszego i jak do tej pory jedynego spotkania prawie cały czas siedział. Miała wtedy buty na wysokim obcasie, a on wstał tylko po to, żeby się przywitać, a potem uścisnąć jej rękę na pożegnanie. „Dziękuję, będziemy w kontakcie”, powiedział, ale nigdy więcej się nie odezwał.

To chyba nie najlepszy moment. Allison wciąż nie może opanować mdłości. Zastanawia się, czy powinna zacząć z nim rozmawiać, czy może lepiej udawać, że go nie widzi i wziąć nogi za pas. Kiedy podnosi wzrok, zdaje sobie sprawę, że już za późno na takie dywagacje.

- O, cześć... - duka zaskoczony headhunter.

- Allison. Allison Somers. Rabinowitz-Somers.

- Oczywiście! Allison! Miło cię znowu widzieć. Steven Roberts. - Na jego twarzy pojawia się niewymuszony śmiech i widać piękne białe zęby. Jest pod krawatem, ma na sobie garnitur, a w ręku trzyma elegancką teczkę. Przystojny mężczyzna z dobrą pracą. - Słuchaj, niestety nie mogę teraz rozmawiać. - Spogląda na telefon. - Ale kiedy cię zobaczyłem, przypomniało mi się, że chyba mamy dla ciebie ciekawą propozycję.

- Naprawdę?

Steven rozgląda się, jakby sprawdzał, czy nikt ich nie podsłuchuje.

- Czy byłabyś zainteresowana pracą w wydawnictwie edukacyjnym? - Allison unosi brwi ze zdziwienia. - Możesz odmówić, jeśli.

- Nie. Znaczący, tak! Oczywiście, że byłabym zainteresowana. - To nie jest do końca prawda, ale ma już dość zajmowania się dziećmi, więc każda oferta wydaje się warta rozważenia.

Steven szeroko się uśmiecha, znowu eksponując swoje zęby. Na pewno miał świetnego ortodontę. Może powinna poprosić o namiary? Zdaje sobie sprawę, że jej dzieci wkrótce będą potrzebować dobrego specjalisty. W wyobraźni widzi już poczekalnie, aparaty korekcyjne, łązy.

- Naprawdę jestem zainteresowana - powtarza, entuzjastycznie kiwając głową.

- Świetnie. W takim razie proponuję umówić się na drinka. Dziś wieczorem o siódmej?



Will stracił rachubę dni tygodnia i nawet nie wie, która jest godzina. Wszystko przez stan leniwego otępienia, w który wprawiły go zjedzone kanapki i wypite wino. Wszystko raczej pośledniej jakości, ale Will pozwala sobie na takie ekstrawagancje, ponieważ i tak płaci za to CIA. Jak to się dziwnie w życiu plecie.

Jest wczesny wieczór, ale wciąż panuje upał. W oddali, nad przecinającymi miasto ulicami, wisi chylące się ku zachodowi słońce, które wciąż świeci oślepiającym blaskiem. Will od czasu do czasu niespodziewanie przystaje, ogląda witryny, wchodzi do jadłodajni i stara się zapamiętać twarze pojawiające się w tłumie. Wszystko po to, by pozbyć się ewentualnego ogona.

Wie, że prowadzi podwójne życie, ale usprawiedliwianie się przed samym sobą przychodzi mu coraz łatwiej. W końcu to tylko praca. Wykonuje powierzone mu zadania i dostaje za to wynagrodzenie. To samo robi w „Travelers”. Jednym z jego pracodawców jest prywatna firma założona po to, by przynosiła zyski, a drugim agencja rządowa, której celem jest dbanie o narodowe bezpieczeństwo.

Niestety, nie wszystko jest takie proste. Will cały czas nie może zaakceptować tego, że kłamie. Czuje się przez to brudny, a niemal codziennie musi oszukiwać i konfabulować.

Drugi problem to ogromne ryzyko. Uznał, że treningi samoobrony są jak ubezpieczenie od powodzi. Chciał mieć pewność, że w obliczu niespodziewanej katastrofy będzie sobie w stanie poradzić. Dopiero w Barcelonie dotarło do niego, że depczą mu po piętach naprawdę brutalni ludzie. Do tej pory miał wrażenie, że gra zupełnie inną rolę. Nie do końca wierzył też, że Elle i jej tajemniczy kumple zdołaliby go obronić w ciemnych uliczkach Barri Gòtic. Co by się stało, gdyby jeden ze zbirów nasłanych przez Miłoszewskiego wyciągnął broń?

Will nie potrafi ocenić, jak wielkie grozi mu niebezpieczeństwo ani kto jest mu w stanie zapewnić ochronę. Czy powinien ufać CIA? Czy w ogóle dla nich pracuje? O Centralnej Agencji Wywiadowczej krąży wiele plotek i trudno stwierdzić, które są prawdziwe. Najpewniejszym źródłem wydają się książki wiarygodnych autorów publikowane przez duże, rzetelne wydawnictwa. Jak na razie wszystkie szczegóły operacji, w której bierze udział, znalazły potwierdzenie w lekturach. Jest tylko jeden wyjątek. Nigdzie nie natrafił na informację o tym, że agenci mogą uprawiać seks z potencjalnymi współpracownikami. Trzeba jednak przyznać, że nie natknął się również na jednoznaczne odrzucenie takiej możliwości.

Czasami to wszystko wydaje się wierutną bzdurą, a czasami trudno cokolwiek podważyć. Tylko jedna rzecz nie ulega wątpliwości: Will ma wrażenie, że jedzie po bandzie i robi się coraz niebezpieczniej.



- Nie jestem w stanie dalej tego robić.
- Ależ jesteś. - Elle uśmiecha się uspokajająco. - Świetnie sobie radzisz.

Siedzą w głębi taniej, zawilgoconej restauracji O'Somebody's na West Side. Większość klientów stanowią niechlujni starcy. Will zdążył już

podzielić się wrażeniami z rejsu i opowiedział o gościach Miłoszewskiego. Elle nagrała wszystko na swoim telefonie za pomocą specjalnej aplikacji. Byli na widoku, ale nie mogło to wzbudzić niczyich podejrzeń. Przed nastaniem ery smartfonów tego rodzaju spotkania musiały być o wiele bardziej kłopotliwe.

Twarde dane - zdjęcia i nazwiska - zostały wysłane wcześniej drogą elektroniczną. To tête-à-tête jest w zasadzie zbyteczne i można by je sobie darować, jednak ostatnio Will zrozumiał, że tak właśnie działa CIA. Lubią robić kilka razy to samo.

- Mogłem zginąć.

- Ciszej! - Elle mierzy go wściekłym wzrokiem. Obok przechodzi jakiś facet, prawie się o nich ocierając. Latynos w tanim czarnym garniturze i wyświechtanej białej koszuli. Wygląda na szofera, którego przypiliło i musi skorzystać z toalety.

- A Dublin? Coś ustaliliście?

- Ciągle badam tę sprawę.

- To samo mówiłaś ostatnim razem. W zasadzie non stop to powtarzasz.

- Pracuję nad tym.

- Słabo ci idzie.

Elle nie reaguje na tę zaczepkę.

Will rzuca okiem w stronę wiszącego za barem lustra. Ktoś próbował je wyczyścić, ale słabo się postarał, ponieważ wciąż pokrywają je brzydkie smugi. Will nie jest w stanie dostrzec własnego odbicia, ale dostrzega mężczyzn siedzących na wysokich stołkach. Pochylają się nad kuflami i szklaneczkami żytnej whisky, a na ich twarzach maluje się rozpacz i rozczarowanie. Znużony barman wygląda jak członek stowarzyszenia anonimowych alkoholików, który codziennie musi sobie przypominać, że już nie pije. Po ciężkiej nocy spędzonej w dusznej spelunie nie może się nawet orzeźwić szklanką zimnego piwa.

Will czuje, że rośnie w nim złość. Zawiódł się sam na sobie. Jest próżny i dlatego tak łatwo dał się wciągnąć w całe to bagno. Odwraca się do Elle i pyta:

- Kim była ta kobieta, którą spotkałem we Francji?

- To ja.

- Naprawdę ty? Nie odgrywałaś żadnej roli?

- A można być całkowicie sobą?

- Oczywiście, że tak.

- Jesteś pewien? Uważasz, że ludzie potrafią być otwarci i naturalni? Nie manipulują, nie są sztuczni i niczego nie knują? Zero jakiegokolwiek nieuczciwości?

- Nigdy nie miałaś męża.

- Jasne, o to chodzi. - Wybuchła śmiechem. - Zawsze jesteś szczery wobec swojej żony?

- Kiedyś tak było.

- Gówno prawda. Każdy gra jakąś rolę. Uśmiechamy się i mówimy sobie miłe rzeczy. Ubieramy się odpowiednio do okazji. Siedzimy cicho, kiedy mamy ochotę wrzeszczeć. Kłamiemy z pełną premedytacją. Codziennie robisz takie rzeczy, Will. Twoje zachowanie wcale nie zmieniło się po tym, jak mnie poznałeś. To dotyczy nas wszystkich. Dzięki temu społeczeństwo jakoś funkcjonuje. Takie jest życie. Ciągłe kogoś udajemy.

- Jesteś nieźle popierdolona.

- Być może. A kto nie jest?

- O Jezu... Wiesz co? Mam już dość. Przede wszystkim ciebie. Nie wierzę w ani jedno twoje słowo i myślę, że nie masz bladego pojęcia, w co się pakujesz. Przez ciebie mogę zginać, więc odchodzę z tego interesu.

Podnosi się z kanapy, ale Elle łapie go za nadgarstek i ściąga w dół.

- Przestań się wygłupiać. Jesteś całkowicie bezpieczny. Nie pozwolimy, żeby stała ci się krzywda.

- Rezygnuję.

- Czyżby? - Przysuwa się tak blisko, że ich twarze dzieli raptem kilka centymetrów. Will zdaje sobie sprawę, że wyglądają jak sprzeczący się kochankowie. - Jesteś gotowy ponieść wszelkie konsekwencje?

Oczywiście, że nie. Sytuacja wymknęła się spod kontroli. Dał się ponieść emocjom. Czuje, że powinien się wycofać, ale nie do końca. Musi coś ugrać, potrzebuje zapewnienia, że to wszystko nie jest jedną wielką ściemą.

- Chcę się spotkać z twoim szefem.



Pierwsze spotkanie z doradcą zawodowym zaczęło się dość niefortunnie.

- Nie sądzę - powiedział Judah - żebyś miała duże szanse na znalezienie pracy na stanowisku dyrektorskim.

Allison spojrzała na swoje CV - jedna strona ze szczegółami jej dotychczasowej kariery zawodowej, a u góry wielki nagłówek: Allison

Rabinowitz-Somers. Malcolm był zdecydowanie przeciwny łączeniu ich nazwisk: „To brzmi jak jakiś obóz harcerski w górach Catskill. Rabinowitz Summers. Lato u rabinów”. Kiedyś w porywie pijackiej fantazji zaproponował nawet, żeby dzieci przyjęły jej nazwisko.

- Sprawy miałyby się inaczej, gdybyś była lekarzem lub nauczycielem. Albo nawet stolarzem.

Stolarzem?

- Te zawody się nie zmieniają. Ale ty pracowałaś w marketingu. - Użył czasu przeszłego. Trochę zabolalo. - W tamtych czasach nikt nawet nie śnił o mediach społecznościowych - tłumaczył dalej, kręcąc głową. - Zdajesz sobie sprawę, jaki wpływ na tę branżę ma internet?

- Oczywiście, że tak. Przecież cały czas mam kontakt ze światem.

- Rozważałaś możliwość pójścia na staż?

Allison z trudem powstrzymała chęć uderzenia go pięścią w twarz. Mogłoby się to źle skończyć, ponieważ ćwiczyła boks. Doskonały sport dla kogoś, kto, tak jak ona, lubi wysiłek fizyczny i jest zdeklarowanym mizantropem.

- Staż to cenne doświadczenie dla dojrzałych ludzi, którzy chcą dokonać poważnych zmian w swoim życiu zawodowym.

Myślała, że za chwilę zwymiotuje i zabrudzi swoją plisowaną spódnicę niestrawionym sokiem warzywnym.

Na drugie spotkanie rekrutacyjne umówiła się z przystojnym headhunterem w hotelowej kawiarni, a teraz czeka na trzecie. Siedzi w eleganckim lokalu z długim, podświetlonym barem, pokrytymi pluszem stołkami i wyjątkowo energiczną obsługą. Kieliszek Montrachet kosztuje tu dwadzieścia dwa dolary, ale dają do niego świetne orzeszki. Większość klienteli stanowią osoby w średnim wieku, ubrane w spódnice lub garnitury. Raczej nie przychodzą tu zakochane pary. Bardzo stateczne miejsce, dobre na biznesowego drinka albo uroczystą kolację z drogim winem, za którą płaci się z funduszu reprezentacyjnego.

Steven od razu przechodzi do rzeczy. Pół godziny mija jak z bicza strzelił. Allison wydaje się, że zdążyła oczarować swojego rozmówcę, aż tu nagle on zaczyna się zbierać.

- Muszę lecieć. - Nerwowo spogląda na telefon i wyjaśnia, że do CV trzeba wprowadzić kilka drobnych zmian. - Chodzi o lekką zmianę perspektywy. Spotkajmy się pojutrze. Nie, lepiej jutro.

Bierze rachunek i kiedy ona zaczyna protestować, mówi:

- Nie wygłupiaj się.

Allison czuje się zbita z tropu. Kto tu dla kogo pracuje? Przecież to ona jest klientką, a on nie robi tego za darmo. W pewnym momencie będzie mu musiała zapłacić, tylko kiedy? Nie wie, ponieważ nigdy nie miała do czynienia z headhunterami.

Kiedy wstaje ze stołka, czerwieni się ze wstydu, ponieważ zauważa, że Steven dyskretnie ocenia jej nogi. Potem kładzie dłoń na jej ramieniu i całuje w policzek. Jego popołudniowy zarost przypominający drobny papier ścierny przyjemnie drapie jej skórę. Allison czuje, że przechodzi przez nią dreszcz. Jest zaskoczona, chociaż biorąc pod uwagę okoliczności, nie ma w tym chyba nic dziwnego.

- Więc widzimy się jutro? - pyta Steven, z nadzieją unosząc brwi. Na co on liczy?

- Jasne.

- Super. - Uśmiecha się i znowu widać jego wspaniałe uzębienie. No i ten dołeczek w podbródku. Allison wyobraża sobie, że wkłada tam czubek języka. O Boże, naprawdę o tym pomyślała?



Obok Stonely'ego siada nieznajomy mężczyzna. Następna stacja jest dość daleko, jakieś półtora kilometra. Pociąg nabiera prędkości i zaczyna kołysać się na boki. Przed West Fourth Street metro zwalnia i wtedy Stonely spogląda na współpasażera, ale zupełnie niepotrzebnie. Kto mógłby koło niego usiąść, o tej porze albo o jakiegokolwiek innej, kiedy w wagonie jest tyle wolnych miejsc?

Stonely wyciąga z kieszeni kopertę, w której schował cienki plik banknotów i samoprzylepną karteczkę z adresem, po czym wkłada ją w szczelinę między siedzeniami.

Pociąg się zatrzymuje.

Tajemniczy współpasażer wstaje i wychodzi z wagonu, trzymając kopertę w ręku.

Stonely wygląda przez okno i widzi, jak mężczyzna idzie wzdłuż peronu. Na moment spotykają się ich spojrzenia, ale metro zostaje błyskawicznie wessane w czarny tunel, zabierając Stonely'ego w stronę domu i rodziny.



- Chloe? Gdzie jesteś?

Chociaż Will wrócił dwie godziny później, niż zapowiadał, Chloe najwyraźniej gdzieś wyszła. Kiedy już wie, że jest sam, oddycha z ulgą.

Okropne. Naprawdę do tego doszło? Cieszy się, że żony nie ma w domu?

Wbiega po schodach do swojego gabinetu i po ciemku szuka sznurka, którym włącza nagą żarówkę zwisającą z ozdobnej rozety sufitowej. W całym domu jest czternaście miejsc, w których Will planuje zamontować nowe oświetlenie: głównie żyrandole i kinkiety, lecz także lampę kreślarską nad biurkiem. Ramię ma wychodzić bezpośrednio z gipsowej ściany, ale na razie udało się jedynie wyciąć w niej dziurę i zainstalować puszkę przyłączeniową. Szanse na dalszy postęp prac są niewielkie. Na liście priorytetów Willa lampa znajdowałaby się gdzieś między pozycją dwusetną a trzechsetną. Całe szczęście nigdy nie zabrał się do żmudnego procesu tworzenia rankingu nieskończonych przedsięwzięć, ponieważ mogłoby go to doprowadzić do czarnej rozpacz.

Z wysokiej półki ściąga pudełko po butach i zdejmuje pokrywkę. W środku znajduje się zbiór starych nalepek hotelowych, które kupił na pchlich targach w Brugii, Singapurze, Szarm el-Szejk i Rio de Janeiro. Któregoś dnia oprawi je w ramki i powiesi na niepomalowanych ścianach. To kolejny z wielkich projektów Willa czekających na moment, w którym będzie je można perfekcyjnie zrealizować.

Ostrożnie wyjmuje cenną kolekcję zapakowaną w cienkie torebki z plastiku i układa w stosik na podłodze, po czym bierze do ręki nóż do papieru. Nagle na parterze ktoś trzaska drzwiami.

- Chloe?

- Cześć!

Musi się pospieszyć. Podważa nożem dno pudełka, żeby dostać się do skrytki. W tym samym czasie słyszy głuchy odgłos rzucanej na podłogę torby, a następnie stukot kroków na parkiecie.

Wyciąga z kieszeni marynarki kopertę z ostatnią wypłatą i chowa ją do swojego skarbczyka. Ma w nim już kilka plików studolarowych banknotów.

Chloe wspina się po schodach, głośno stawiając stopy.

Trzęsą mu się ręce i ma problem z właściwym ułożeniem fałszywego denka.

Chloe wchodzi na piętro i zaczyna iść wzdłuż korytarza. Will wrzuca do pudełka plastikowe torebki, ale zdaje sobie sprawę, że nie zdąży. Zanim

pojawi się Chloe, nie będzie miał czasu wszystkiego uporządkować.

- Hej - mówi jego żona.

Will siedzi odwrócony plecami do drzwi.

- Cześć - odpowiada i wstaje, żeby się z nią przywitać, ale tak naprawdę nie chce, żeby weszła do pokoju i zobaczyła, czym się zajmuje.

- Co ty...?

Całuje ją w usta, nie pozwalając jej na dokończenie pytania. Mocno ją obejmuje i przyciska do siebie.

- Jak było w Waszyngtonie? - pyta.

- Okropna biurokracja. A twój wyjazd do Hiszpanii?

Co może jej powiedzieć?

- Wszystko okej. Poza tym że się pochorowałem.

- Strasznie mi przykro. Co to było? Zatrucie pokarmowe?

- Chyba tak.

Czy ona rzeczywiście zerknęła ponad jego ramieniem, żeby zobaczyć, co wcześniej robił?

- Najgorsze jest jednak to, że od ponad tygodnia nie widziałem swojej żony. I wcale nie stęskniłem się za rozmowami o złym samopoczuciu, tylko za zupełnie czymś innym... - Obejmuje ją w pasie i delikatnie wyprowadza na korytarz, żeby trzymała się z dala od jego sekretów.

Sypialnia znajduje się jakieś cztery metry od gabinetu, co daje Willowi chwilę na zebranie myśli. Dochodzi do wniosku, że musi udawać wyjątkowo napalonego męża, który nie jest w stanie zapanować nad swoim pożądaniem. Nie może pozwolić, by Chloe przejęła inicjatywę. Dzisiaj to on ma być na górze, chociaż wie, że ona woli inne pozycje. Trudno, czasem trzeba być egoistą. Chodzi o to, żeby już po wszystkim mógł jako pierwszy wstać z łóżka i wrócić do siebie, zanim ona zdąży to zrobić.

Rozdział 21

Nowy Jork

Kolejny dzień przeciekł mu przez palce. Jest już wpół do dziesiątej wieczorem, a on nie zdążył zadzwonić do domu. Co więcej, nie udało mu się zrobić nawet połowy rzeczy, które wcześniej zaplanował, między innymi nie przejrzał nagrań z monitoringu. Wie, że przynajmniej raz na dwa dni powinien poświęcić temu trochę czasu. Ostatni raz zajmował się tym prawie tydzień temu. Niestety, nic nie wskazuje, że jutro będzie mniej zajęty. A może zrobić to teraz? A co tam! I tak jest za późno, żeby zapunktować wczesnym powrotem do domu. Zresztą dzieciaki na pewno poszły już spać. Niech ich ojciec chociaż zasłuży na łatkę pracoholika.

Idzie korytarzem w stronę drzwi z tabliczką „Vito Parnell”. Tak nazywa się facet, na którego wszyscy mówią Sir Parmezan. To nie tylko żart z wykonywanego zawodu, lecz także przypomnienie popełnionej dawno temu gafy. Vito wyznał kiedyś nieopatrznie, że uwielbia kotlety cielęce z parmezanem.

Vito zaczął pisać o jedzeniu w czasach, kiedy nie było to jeszcze modne. Obecnie pracuje w „Travelers” jako dziennikarz i szefuje związanej z magazynem eksperymentalnej restauracji. Jest prawdziwą legendą i w całej branży słynie z niepowtarzalnego stylu oraz skrupulatnego przygotowania swoich artykułów, które powstają w ślimaczym tempie. Vito nie jest w stanie napisać szybko nawet banalnej notatki. Zawsze zjawia się wcześniej w redakcji i bardzo późno wychodzi.

- Cześć, Sir Parmezan - mówi Malcolm, przystając w progu jego biura.

- Hej, Malcolm - odpowiada Vito bez entuzjazmu. Nikt, kto o tej porze siedzi w pracy, nie ma ochoty na pogawędkę z szefem.

Na całe szczęście Malcolm idzie dalej i wchodzi do swojego gabinetu. Zamyka drzwi na klucz, ale nie przekręca kontaktu. Przez sięgające od podłogi do sufitu okna wpada do środka wystarczająco dużo światła. W stojących po drugiej stronie Avenue of the Americas biurowcach rozgrywa się interesujący spektakl, który mógłby znaleźć się w repertuarze jakiegoś awangardowego teatru: ubrane w fartuchy sprzątaczkę z nocnej zmiany

tańczą ze swoimi odkurzacami, konserwatorzy w jednocześnie w kombinezonach wspinają się po drabinach, a przy niektórych biurkach wciąż ślęczą bankowcy. Ich twarze oświetlone są przez stojące obok lampki, a na blatach walają się pudełka po jedzeniu na wynos i częściowo zgniecione puszki coli light, których nie udało się jeszcze wyrzucić do kosza. Cicha pantomima, której tematem jest samotność i alienacja.

Malcolm wchodzi do sekretnego pokoju, siada przy metalowym stoliku i uruchamia laptop. Znajduje folder, który zawiera skompresowane pliki wideo. Otwiera pierwszy z brzegu. Poniedziałek. Z zasady nie sprawdza nagrań z weekendu.

Odczekuje kilka sekund, aż film się zdekompresuje i zaczyna oglądać. Aktywowana ruchem kamera schowana jest w otworze wentylacyjnym pod sufitem i rejestruje wszystko, co dzieje się w domowym gabinecie służącym też jako pokój dla gości.

Na większości nagrań widać Allison: chodzi po dywanie, trzymając pod pachą koszyk z praniem, energicznym ruchem odsuwa zasłony, zbiera z podłogi porozrzucone poduszki. Wieczorem Malcolm widzi samego siebie: siedzi za biurkiem, uruchamia komputer, po minucie go wyłącza i gasi światło. To poniedziałek.

Wtorek niczym szczególnym się nie różni, może z jednym drobnym wyjątkiem: przez dziesięć minut Allison leży na sofie i rozmawia przez telefon, a potem przez kolejną minutę wpatruje się w przestrzeń z uśmiechem na ustach. Czyżby znowu zaczęła palić zioło?

Malcolm przewija nagranie, pomijając fragmenty, na których nic się nie dzieje. Na dobrą sprawę ten pokój przez większość czasu pozostaje nieużywany. Jest z nim tak jak z rzeczami, które ludzie kupują na wyprzedaży pod wpływem impulsu, a potem się dziwią: „Kurczę, wcale tego nie potrzebowaliśmy”.

W środę również wieje nudą aż do południa, kiedy zjawia się Allison. Malcolm z niecierpliwości przyspiesza odtwarzanie i dopiero po jakimś czasie orientuje się, co rzeczywiście zobaczył.

Cholera. Może tylko mu się wydawało?

Cofa nagranie do momentu, w którym otwierają się drzwi. Do pokoju wchodzi jego żona, ciągnąc kogoś za rękę. Po chwili w progu staje jakiś mężczyzna. Malcolm naciska pauzę i zaczyna mu się przyglądać. Widzi go pierwszy raz w życiu. Kto to jest?

Ponownie naciska „play” Allison i nieznajomy facet podchodzi do sofy i

błyskawicznie zdejmują ubrania, jednocześnie gorączkowo się obściskując. Ona rozpiną mu pasek, on ściąga jej majtki. Poszczególne części garderoby fruują w powietrzu i lądują na podłodze. Przez moment wygląda to niczym burza gradowa.

Allison kładzie się na kanapie, a mężczyzna łapie ją za łydki i rozchyła jej nogi, sam zaś klęka i chowa twarz między jej udami. Górna część ciała Allison znajduje się poza kadrem. Kamera została zainstalowana tak, żeby obserwować biurko, a nie sofę.

Mężczyzna wstaje. Jest całkiem nagi i wyraźnie widać jego członek w stanie erekcji.

Allison siada na krawędzi kanapy, pochyla się i otwiera usta. Pieści go językiem, rytmicznie poruszając głową. On gładzi ją po włosach i uszach.

Malcolm miał rzecz jasna do czynienia z pornografią, ale coś takiego widzi pierwszy raz w życiu. To nie żaden film, to dzieje się naprawdę, a na dodatek główną rolę odgrywa jego własna żona.

Allison wyjmując penisa z ust, odsuwa głowę i mówi coś do swojego lowelasa. Całe szczęście na nagraniu nie ma dźwięku. Malcolm nie jest pewien, czy byłby w stanie to znieść. Jego żona kładzie się na plecach, a nieznamy facet - kto to jest, do kurwy nędzy? - zaczyna się z nią kochać.

Malcolm znowu przewija. Obraz się trzęsie i widać mniej szczegółów. Kochankowie zmieniają pozycje. Przez jakiś czas ona jest na górze, a potem się odwraca i wypina pupę. Po chwili na ekranie pojawia się mało atrakcyjny widok męskich pośladków, których właściciel pieprzy od tyłu żonę Malcolma o 11.48 w środę rano. Dziś rano.

Wreszcie kończą i zaczynają odgrywać tę samą pantomimę co na początku, tylko tym razem w odwrotnej kolejności: szybko zakładają ubrania i wychodzą z pokoju. Przez moment widać puste pomieszczenie, a potem ekran robi się czarny. Kolejne nagranie zostało zarejestrowane pół godziny później. Allison jest sama i czegoś szuka. Po chwili znajduje na sofie jakiś mały przedmiot i przypina go do prawego ucha. To musi być kolczyk.

Malcolm zdaje sobie sprawę, że na całej sekstaśmie nie zauważył żadnej prezerwatywy.

Wyłącza komputer i siedzi przy słabym świetle, wpatrując się w ścianę z mapą nieistniejącego już świata.

Po tym, co zobaczył, czuje ogromny zawód, ale nie jest wcale zszokowany. To oczywiste, że jego żona jest samotna i nudzi się jak mops. Nic więc dziwnego, że szuka atrakcji, których on nie potrafi jej zapewnić. Jednak nie

sądził, że Allison posunie się do tego, żeby z pełną premedytacją znaleźć kochanka i przyprowadzić go do domu. Musi być naprawdę zdesperowana, jeśli z taką zachłannością rzuca się na zakazany owoc.

Malcolm uznaje, że nie ma sensu dłużej siedzieć w ponurym pokoju bez okien. W końcu to miejsce nie ma nic wspólnego z jego wiarołomną żoną.

Zaraz, zaraz - a co, jeśli jednak ma?



Will budzi się nagle kompletnie zdezorientowany.

- Słyszałaś?

- Co?

- Szz... - Siada na łóżku i przekrzywia głowę. - Wydaje mi się, że ktoś jest w domu - szepcze.

- O czym ty mówisz?

- Szz.

- Może powinniśmy zacząć hałasować. No wiesz, jak z niedźwiedziami.

Do sypialni sączy się przez okno słabe światło. Will spogląda na swoją żonę. Jakimi niedźwiedziami? Chociaż czemu nie, może rzeczywiście należy dać intruzowi do zrozumienia, że nie jest sam w domu.

Wstaje z łóżka.

- Will, co ty wyprawiasz? Nigdzie nie łaż.

Will rozgląda się po pokoju w poszukiwaniu broni. Najgroźniejszym przedmiotem, jaki ma w zasięgu wzroku, są szpilki, ale dochodzi do wniosku, że głupio się bronić damskim butem. Na czubkach palców schodzi po schodach i wychylając się zza poręczy, zagląda do salonu. Nagle z sypialni rozlega się krzyk Chloe:

- Hej!

Will odwraca się i widzi biegnącego prosto na niego mężczyznę.

Przygotowuje się na uderzenie i widzi, jak nieznajomy pochyla się, przyjmując pozycję napastnika, który ma zamiar staranować obrońcę. Will czuje, że traci grunt pod nogami i zaczyna spadać ze schodów, zaplątując się w nogi intruza. Mężczyzna następuje mu na rękę i kopie w udo, po czym zgrabnie nad nim przeskakuje i pędzi przed siebie. Will leci w dół głową do przodu, boleśnie obijając się o twarde stopnie. Szczególnie cierpi jego kość ogonowa, ramię i potylicą. Wciąż spadając, zdaje sobie sprawę, że napastnik na szczęście nie wyciągnął pistoletu i do niego nie strzelił. Wreszcie się

zatrzymuje i cały obolały może tylko śledzić wzrokiem uciekającego mężczyznę, który wbiega w korytarz, łapie leżące na podłodze torby i rzuca się w stronę drzwi wejściowych.



Malcolm słyszy, jak Allison kręci się po kuchni. Co ona tam robi o jedenastej wieczorem? Na pewno nie przygotowuje niczego do jedzenia, raczej stara się uniknąć seksu ze swoim małżonkiem. Perspektywa pójścia do łóżka z dwoma mężczyznami tego samego dnia, z mężem i kochankiem, musi być dla niej przerażająca. Malcolm nie ma pojęcia, czy jeszcze kiedykolwiek prześpi się ze swoją żoną.

Wolałby dowiedzieć się o zdradzie w mniej bezpośredni sposób. Gdyby nie musiał tego oglądać na własne oczy, przypominałoby to złamaną kość, która z czasem się zrośnie, a tak czuje, że toczy go od środka nieuleczalny nowotwór.

Wchodzi do gabinetu i patrzy na sofę. Dobrze, że Allison zachowała resztki przyzwoitości i nie poszła ze swoim gachem do sypialni. Ale czy na pewno? Skąd może to wiedzieć? Przecież w sypialni nie ma kamery.

Allison cały czas hałasuje w kuchni.

Malcolm otwiera sejf i wyjmuje z niego pendrive'a. Wklepuje hasło do komputera i zamienia kilka plików z wrażliwymi danymi na ich alternatywne wersje zapisane na pamięci przenośnej, po czym chowa pendrive'a do kieszeni. Będzie go nosił przy sobie, zanim nie zorientuje się, co jest grane.

To nie są rzecz jasna jedyne środki bezpieczeństwa, które należy przedsięwziąć. Układa w myślach listę priorytetów i odhacza to, co już zrobił. Istny koszmar.

Kim jest ten facet? Malcolm musi się tego dowiedzieć. A co potem? Nie zabije go za to, że przespał się z Allison. Jednak być może trzeba się będzie go pozbyć z zupełnie innych powodów.



- To wszystko? - Policjant przegląda listę przedmiotów, które znajdowały się w skradzionych torbach Willa i Chloe. - Z góry nic nie zginęło?
- Nie - odpowiada Will. - Nie zauważyliśmy, żeby czegoś brakowało.
- Twierdzi pani, że włamywacz był na trzecim piętrze? Widziała pani, jak

schodzi po schodach?

- Nie. Przechodził obok naszej sypialni, więc albo był na wyższej kondygnacji, albo myszkował w gabinecie - wyjaśnia Chloe.

- W gabinecie? Co tam państwo trzymają?

- Nic szczególnego - mówi Will. - Najcenniejszym przedmiotem jest chyba drukarka.

- A dokumenty? Teczki z ważnymi papierami? Paszporty? Akt notarialny? Ten dom jest państwa własnością, prawda? - Policjant rozgląda się dookoła, marszcząc czoło. Ma zblazowaną minę i mocny akcent nowojorczyka mieszkającego poza Manhattanem. Jego wymowa przypomina Willowi dzieciństwo i wizyty u wujka na Brooklynie. To język gliniarzy, strażaków, hydraulików, portierów i dyplomowanych księgowych, krótko mówiąc, czwartego pokolenia Irlandczyków, Włochów, Polaków i Niemców, których przodkowie przyплыли na Ellis Island. To również akcent czarnoskórych imigrantów z głębokiego Południa, których dziadowie i pradziadowie skolonizowali stare dzielnice Bronxu i Brooklynu, tradycyjnie zamieszkałe przez ludzi z Europy.

Tak właśnie brzmiał Nowy Jork i to jeszcze całkiem niedawno. Wtedy żyli tu głównie synowie i wnukowie rodowitych nowojorczyków, ale teraz w mieście dominują imigranci z innych części świata i przybysze z różnych zakątków Ameryki, tacy jak Will, którego akcent nie wyróżnia się niczym szczególnym. Will mógłby pochodzić skądkolwiek, a ten gliniarz na pewno urodził się w Nowym Jorku. Tak samo jak jego partner, który rozmawia z sąsiadami.

- Z gabinetu nic nie zginęło - kontynuuje Will. Nie ma najmniejszej ochoty, żeby ktoś zaczął grzebać w jego rzeczach. - Jestem tego pewien.

- Naprawdę? - pyta policjant.

Chloe przysłuchuje się rozmowie, zastanawiając się, czy jej mąż przypadkiem nie za bardzo szarżuje.

- Tak. Nasze paszporty są na swoim miejscu. Co do reszty nie mam absolutnej pewności, bo nie zrobiłem dokładnego spisu.

- A powinien pan - mówi gliniarz, odkładając notes. - Wie pan, jacy są ludzie w dzisiejszych czasach. Kradzież tożsamości i tak dalej. - Wzrusza ramionami, jakby rozmyślał nad stanem współczesnego świata.

- Racja. Muszę się do tego zabrać.

- Miał pan szczęście. Ogromne szczęście. Zdaje pan sobie z tego sprawę?



- Dlaczego to zrobiłeś?

Leżą w łóżku na plecach, wpatrując się w sufit, nadal podenerwowani z powodu włamania i wizyty policji na miejscu przestępstwa, chociaż tak naprawdę nic wielkiego się nie stało. W głowie Willa wciąż rozbrzmiewa głos niczego nieświadomego policjanta: „Miał pan szczęście”.

- O co ci chodzi?

- Po co za nim pobiegłeś? Przecież mógł cię zabić. To nie w twoim stylu.

- Jak to nie w moim stylu?

- Nie jesteś kimś, kto bezmyślnie pakuje się w tarapaty. - Chloe opiera się na łokciu i patrzy na słabo oświetloną twarz męża. Will zastanawia się, co takiego widzi. - Naprawdę bałeś się, że ten facet ukradnie coś cennego?

- Chyba nie.

- W takim razie dlaczego? Zrobiłeś to, żeby nie wyjść przede mną na tchórza? Mam nadzieję, że nic takiego nie przyszło ci do głowy.

No właśnie dlaczego? Czy chciał coś ochronić? Chodziło o gotówkę? Służbowy telefon? Bał się, że zostanie zdemaskowany? Właśnie w ten sposób wychodzą na jaw przestępstwa i zdrady. Jakieś niecodzienne wydarzenie, pozornie całkiem błahe, i nagle oszukiwany dodaje dwa do dwóch i wszystko staje się jasne.

Nie, to nie są prawdziwe przyczyny jego zachowania. Po prostu martwił się o swoją żonę.

Ale teraz ogarnia go niepokój. A co, jeśli Chloe dodała właśnie dwa do dwóch?

Rozdział 22

Nowy Jork

Chloe odwraca wzrok, żeby uniknąć odpowiedzi.

- Aż tak źle?

- Nieee - protestuje, ale w jej głosie słychać wahanie. Przeciąga końcówką samogłoskę ze wznoszącą intonacją, co brzmi, jakby zadawała pytanie. Najwyraźniej sama nie jest pewna.

- O mój Boże, Chlo, myślisz, że Will cię zdradza?

Dobrze, że Allie Somers nigdy nie będzie zajmować żadnego stanowiska dającego władzę. W wypadku zagrożenia jej pierwszą reakcją jest zawsze aktywowanie głowic nuklearnych.

Chloe doszła do podobnych wniosków znacznie wolniej, po miesiącach mglistych spekulacji. Postanowiła działać, kiedy pewnego razu Will poinformował ją, że wieczorem idzie na drinka, ale nie powiedział z kim.

Związała włosy w koński ogon, po czym założyła ciemne okulary i czapkę New York Mets, którą parę lat temu dostała na jakiejś imprezie, chociaż tak naprawdę kibicuje Yankees. W takim stroju trudno kogokolwiek rozpoznać, a na dodatek łatwo można się wyłgać. O wiele trudniej wytłumaczyć się z noszenia peruki.

Wsiadła do metra jadącego w stronę Manhattanu. Potem, zupełnie niepotrzebnie, kilka razy się przesiadała. Ostatni odcinek, jakieś czterysta metrów, pokonała na piechotę i stanęła w palącym słońcu na rogu bardzo ruchliwej ulicy. Naprzeciwko, w wysokim biurowcu, znajdowała się redakcja „Travelers”. Po pracy Will najprawdopodobniej pojawi się na dole i pójdzie do jakiegoś baru w centrum.

Tak się właśnie stało.

Chloe obserwowała męża z bezpiecznej odległości, a potem ruszyła jego śladem. Skręcił na rogu w zatłoczoną boczną uliczkę. W powietrzu unosiły się kłęby spalin, a stojący w korku kierowcy nie przestawali trąbić. Pozwoliła, żeby trochę się od niej oddalił.

Will dziwnie się zachowywał. W pewnym momencie nagle się zatrzymał, żeby zawiązać sznurowadło, które wcale nie wyglądało na rozwiązane. Przy

następnym skrzyżowaniu zerwał się do biegu, żeby zdążyć przejść na zielonym świetle, chociaż wcześniej nie sprawiał wrażenia, żeby gdzieś się spieszył. Po jakimś czasie wszedł do sklepu, ale niczego nie kupił, a potem niespodziewanie się odwrócił i przez pół kwartału szedł po własnych śladach, aż wreszcie skręcił.

Chloe uznała, że albo do końca zwariował, albo sprawdza, czy nikt go nie śledzi. Nieźle, pomyślała. To naprawdę dziwne.

Chociaż czy aby na pewno?

Zacząła lustrować wzrokiem tłum, starając się zapamiętać nakrycia głowy, fryzury i ubrania. Było to jednak prawie niemożliwe - w godzinach szczytu chodnikiem maszerowały setki, może tysiące przechodniów.

Will znowu skręcił, a Chloe wciąż bacznie przyglądała się ludziom: siwa czupryna kogoś w średnim wieku, usztywnione lakierem włosy jakiejś piękności z południa, trudne do pomylenia czerwone paski Prady i charakterystyczna beżowa krata Burberry.

Nagle zorientowała się, że Will gdzieś zniknął. Musiała go zgubić.

Weszła do zagraconego sklepu spożywczego i zaczęła wyglądać przez okno, ale Will dosłownie rozplynął się w powietrzu.

Wyciągnęła komórkę i uruchomiła aplikację sprzężoną z programem szpiegującym, który zainstalowała na smartfonie swojego męża. Był to prosty system śledzenia GPS, z którego korzystają rodzice sprawiających kłopoty nastolatków. Kilka tygodni temu, kiedy Will poszedł spać, zabrała mu telefon. Okazało się, że od dawna nie zmienił hasła - wciąż była to data ich ślubu - co było chyba dobrym znakiem. Gdyby dzwonił lub esemesował z kochanką, na pewno byłby ostrożniejszy.

Przejrzała odebrane i wysłane wiadomości, ale nic nie wzbudziło jej podejrzeń. Rzuciła okiem na e-maile - żadnych niespodzianek. Na liście ostatnich połączeń znajdował się Malcolm, Gabriella, redakcja „Travelers”, fryzjer, Dean Fowler i paru kumpli ze studiów, za którymi Chloe niespecjalnie przepadała. Oraz jej teść. Było też kilka lokalnych numerów niezapisanych w kontaktach, wszystkie poprzedzone prefiksem 212 albo 718. Zapisała je i sprawdziła następnego dnia rano, dzwoniąc z budki w innej dzielnicy. Okazało się, że były to bez wyjątku restauracje.

Potem Will wyjechał do Hiszpanii i nie dało się go śledzić w żaden skuteczny sposób. A teraz stał przyczajony całkiem niedaleko stąd.

Chloe wpatrywała się w ekran, na którym pulsowała nieruchoma niebieska kropka.

W pewnym momencie Will znowu zaczął iść, najpierw wzdłuż ulicy, posuwając się na południe, a potem przeszedł na drugą stronę. Odczekała minutę, żeby zachować odpowiedni dystans, i ruszyła jego śladem. Przeciął dwa skrzyżowania i zniknął we wnętrzu jakiegoś budynku, ale Chloe nie zauważyła, co się w nim mieści. Była zbyt zajęta szukaniem punktów orientacyjnych. Jej uwagę przyciągnął znak zakazu parkowania, czerwone sportowe auto i hydrant przeciwpożarowy. Minutę później stanęła przed lokalem, do którego wszedł jej mąż. Był to irlandzki pub sąsiadujący z parabankiem realizującym czeki i udzielającym krótkoterminowych pożyczek. Kuloodporne szyby mogły oznaczać, że to jedynie przykrywką i tak naprawdę chodziło o paserstwo i handel narkotykami.

Will Rhodes zupełnie nie pasował ani do tej okolicy, ani do tego pubu.

W środku siedziało paru ochlapusów i samotna, stosunkowo młoda blondynka. To na pewno ona. Chloe nie mogła się jej jednak dobrze przyjrzeć, ponieważ na pewno ściągnęłaby na siebie uwagę.

Podeszła do skrzyżowania. Ulice świeciły pustkami i nie dało się tak po prostu zniknąć w tłumie. Knajpa mogła znajdować się pod obserwacją i gdyby Chloe zaczęła się szwendać po chodniku, na pewno zostałaby zauważona.

Weszła do baru sprzedającego pizzę na wynos. Zamówiła kawałek, ale poprosiła, żeby go nie podgrzewać. Wezwała przez telefon czarną taksówkę. Auto zjawiło się po dwóch minutach. Chloe wskoczyła na tylne siedzenie. W środku było ciemno i chłodno.

- Dokąd jedziemy?

- Proszę skrócić za rogiem i zatrzymać się przy krawężniku. Muszę na kogoś zaczekać.

Szofer wykonał jej polecenie.

- Długo to potrwa?

Chloe sięgnęła po portfel, wyjęła banknot dwudziestodolarowy i wręczyła go kierowcy.

- Nie wiem. Ile mam czasu za te pieniądze?

- Dziesięć minut?

- Dobra, umowa stoi.

- Mogę zapalić?

- Jasne. - Chloe spojrzała na jego identyfikator. - Pedro, chciałabym cię o coś poprosić.

Mężczyzna obrzucił ją sceptycznym spojrzeniem, ale nie powiedział, czy

ma zamiar spełnić jej życzenie.

- Będę z tobą szczerą - kontynuowała. - Podejrzewam, że mąż mnie zdradza.

Uniósł lekko brwi, jakby się zastanawiał, jakiego rodzaju wariatka wsiadła do jego lincolna i kazała mu zaparkować na szemranej ulicy na Hell's Kitchen. Był jednak wystarczająco taktowny, żeby milczeć. Poza tym liczył, że może na tym nieźle zarobić.

- Wydaje mi się, że umówił się z kochanką w tym barze - dodała Chloe.

Rzucił okiem na drugą stronę ulicy i prychnął:

- To musi być nieźle gówno, jeśli spotykają się w takiej spelunie.

- Każdy romans to gówno.

- Nie wiem, nigdy się nie ożeniłem. Nie jestem wyznawcą monogamii.

Chloe znalazła w telefonie zdjęcie Willa i pokazała je kierowcy.

- To on.

- Aha. - Widać było, że Pedro nie jest specjalnie zaangażowany w tę rozmowę.

- Wydaje mi się, że popsuła ci się zapalniczka, a masz ochotę na papierosa. Nie wiem, czy wiesz, ale palenie zabija.

- Tak, coś o tym słyszałem.

- W tym barze na pewno mają zapalki. Podejrzewam, że pudełka są pomarańczowo-zielone, takie jak flaga Irlandii. - Wyjęła z portfela kolejną dwudziestkę. - Chcesz się założyć?

Pedro wziął banknot, ale zignorował propozycję zakładu. Uchylił lekko okna, wyłączył silnik i wyjął kluczyk ze stacyjki.

- Myślisz, że ukradnę ci samochód? Kurczę, zostaw chociaż klimatyzację.

Odwrócił się do niej i powiedział:

- Nie znam cię. Nie ufam wariatce, która każe mi śledzić jakiegoś kolesia w barze.

- Nie jakiegoś kolesia, tylko mojego męża.

- Jasne, na pewno w to uwierzę. Masz jego zdjęcia w swoim telefonie, ale to przecież żaden dowód. Nie chcę ryzykować. Zabieram ze sobą kluczyki.

- Nie bądź taki.

- Daj mi swoje prawo jazdy.

- Co takiego?

- Potrzebuję twojego prawa jazdy. Muszę mieć jakieś zabezpieczenie. Przecież to może być pułapka.

- Pułapka? Po co miałabym to robić?

- Może dlatego, że masz nierówno pod sufitem?

Chloe podała mu dokument.

- To jest twój aktualny adres? Mieszkasz na Lower East Side?

Nie widziała potrzeby, żeby mówić mu prawdę, więc kiwnęła głową.

- Hej ! - krzyknęła. - Wiesz, co masz robić?

- Cholera, czy ja wyglądam na idiotę? - Wysiadł z auta. W jednej ręce trzymał paczkę papierosów, a drugą macał się po kieszeniach taniego czarnego garnituru w poszukiwaniu zapalniczki. Rozejrzał się dookoła i zauważył bar. Całkiem nieźle udawał, przynajmniej jak na szofera. A może był także aktorem?

Przebiegł przez ulicę, otworzył drzwi i zniknął w ciemnym wnętrzu. Chloe obserwowała bar. Po dwóch minutach zaczęła się niepokoić. Przecież miał tylko wziąć zapalki.

Spojrzała na telefon z wciąż włączonym programem szpiegującym. Niebieska kropka zniknęła. Zamknęła aplikację i ponownie ją uruchomiła. Kropki wciąż nie było. Jak to możliwe? Czyżby Will odłączył zasilanie? Po co miałby to robić?

Wreszcie w wejściu do baru stanął Pedro. Wyjął papierosa i zaczął spokojnie palić, taksując wzrokiem przechodzące kobiety. Papierosy dają wiele możliwości wchodzenia w interakcje z nieznanymi i wsadzania nosa w nie swoje sprawy.

Kiedy skończył, wyrzucił niedopałek do rynsztoka i wolnym krokiem przeszedł na drugą stronę ulicy. Usiadł w fotelu kierowcy i włożył kluczyk do stacyjki, żeby włączyć klimatyzację.

- Strasznie długo to trwało.

- Zamówiłem szklaneczkę jacka.

- Dlaczego?

- Dlaczego nie?

No cóż, choćby dlatego, że prowadzisz samochód, pomyślała, ale nie powiedziała tego na głos.

- Miałem wymówkę, żeby się odlać. Toaleta jest na tyłach lokalu i mogłem się dobrze przyjrzeć temu twojemu koleśowi. Siedział z tyłu knajpy w towarzystwie jakiejś blondyny.

- Ładnej?

- Kwestia gustu.

- Wyglądali, jakby... no wiesz...

- Na moje oko o coś się sprzecjali.

- Jesteś pewien?

- Wiem, jak wygląda kłócąca się para. Podejrzewam, że ty też.

Po dziesięciu minutach Chloe wręczyła szoferowi następne dwadzieścia dolarów. Minęło jeszcze dziesięć minut i Pedro zarobił kolejną dwudziestkę. W tym czasie drzwi do baru kilkakrotnie się otwierały. Do środka wchodziłi trzeźwi klienci, a wychodzili mniej lub bardziej podpici. Wreszcie w progu stanął Will.

- Mam go śledzić?

Chloe zerknęła na telefon. Na ekranie znowu pojawiła się niebieska kropka. Poruszała się w stronę stacji metra. Will wracał do domu, do swojej żony.

- Nie trzeba. Wiem, dokąd idzie.

Pedro tylko skinął głową, jakby chciał powiedzieć: „W porządku, jak sobie zyczysz”.

Blondynka wyszła z baru dopiero po pięciu minutach. To było dość dziwne. Chloe znowu złapała swój smartfon. Miał sporo ciekawych funkcji - jedną z nich był specjalny obiektyw z wyjątkowo mocnym zoomem, znacznie lepszym niż ten montowany w zwykłych modelach. Błyskawicznie zrobiła dwie serie zdjęć, w sumie kilkanaście fotografii.

- To ona - powiedział Pedro i przez pół minuty się nie odezwał, uznając, że zdradzana kobieta potrzebuje trochę czasu. - Dokąd jedziemy?

- Na Brooklyn - odpowiedziała Chloe. - Muszę się tam z kimś spotkać. - Podała mu adres i rozsiadła się na wygodnym, pokrytym skórą siedzeniu. Przedzierali się przez duszne, zakorkowane miasto, ale w klimatyzowanym wnętrzu panował przyjemny chłód. Chloe rozważała wszystkie aspekty tego, co się stało. Kim jest ta zagadkowa kobieta? Dlaczego Will zachowywał się tak tajemniczo i w drodze na spotkanie chciał zgubić ewentualny ogon? Czemu po wejściu do baru wyjął ze swojego telefonu baterię?

- Planujesz konfrontację? - zapytał Pedro, przeliczając gotówkę, kiedy stali już przed domem na Brooklynie. W środku paliło się światło. Najwyraźniej metro jeździło szybciej niż limuzyna z szoferem i kosztowało dziesięć razy mniej.

- Jeszcze nie wiem - skłamała.

To było w poniedziałek wieczorem.

Teraz na pytanie Allison udziela podobnej odpowiedzi: „Nie wiem”. Znowu kłamie, tym razem przyjaciółce.

- Mój Boże, Chlo, podejrzewasz, z kim Will może mieć romans?

Chloe opiera się o marmurowy blat i dotyka kieliszka z winem, przybierając pozę udęconej kobiety.

- Być może - mówi, starając się powstrzymać płacz. Kiedy ociera łzę z policzka, zdaje sobie sprawę, że nie jest wcale pewna, czy tylko udaje.



Allison oplata Stevena nogami, złącza stopy i przyciąga go jeszcze bliżej do siebie. Czuje się jak jakiś seksualny ninja i boi się, że zaraz złamie mu kręgosłup. Te wygibasy mogą doprowadzić do jego śmierci, a ona przecież tylko chce, żeby skończył.

- Och! - jęczy mu do ucha i przejeżdża paznokciami po plecach tak, żeby poczuł, ale nie na tyle mocno, by go zranić. Nie wie, z kim jeszcze Steven chodzi do łóżka, ale na pewno ma więcej kochanek. Allison nie chce, żeby z jej powodu miał jakieś problemy. Podejrzewa, że jest żonaty albo przynajmniej ma dziewczynę lub narzeczoną. - O Boże, jak mi dobrze!

Miała już orgazm i czuje się w pełni zaspokojona. Trzeba przyznać, że Steven potrafi zrobić użytek ze swojego języka. Poza tym w tej pozycji Allison widzi niewiele więcej niż czubek jego głowy, co sprawia, że cała sytuacja przypomina jedną z jej seksualnych fantazji. Nie da się jednak ukryć, że zdradza swojego męża: leży na sofie w domowym gabinecie, jest druga po południu w zwykły dzień roboczy, a jakiś obcy facet wsadza w nią swojego kutasa. W zasadzie powinna już wychodzić na zebranie. Musi być w szkole - spogląda na zegar - cholera, za dwadzieścia minut.

- Chciałabym - szepcze mu do ucha - żebyś skończył w moich ustach. - Naprawdę musi się już zbierać. - Jesteś gotowy?

- Uhm.

Odsuwa kochanka od siebie, obejmuje wargami jego penisa i doprowadza do orgazmu, pomagając sobie dłońmi i nie żałując śliny. Jeśli się bliżej przyjrzeć, seks bywa czasem dość odrażający. Te wszystkie płyny, pfuj...

- Czas na ciebie - mówi, z trudem powstrzymując dreszcz obrzydzenia. - Napijesz się wody?

- Z przyjemnością - odpowiada Steven, szeroko się uśmiechając. Widać, że jest z siebie zadowolony. - Z lodem, dobrze?

Odwraca się do niego plecami i idzie do kuchni. Nie czuje się komfortowo, ponieważ wie, że rozsiadł się na sofie i bacznie ją obserwuje. W zasadzie Allison nie ma problemu ze swoim wyglądem, ale z oczywistych

względów widziała się nago tylko od przodu, więc w takich momentach ogrania ją niepokój.

Ale czy w ogóle powinna się przejmować? To był przecież ostatni raz. Podjęła tę decyzję godzinę temu, siedząc w restauracji i patrząc, jak Chloe wpada w rozpacz, ponieważ podejrzewa Willa o zdradę. Nie posądzała swojej przyjaciółki o takie reakcje. Starła się skupić na niej swoją uwagę i zapomnieć o własnych obsesjach, ale nie było łatwo. Cały czas myślała: Co ja robię z tym facetem? Czy to ma jakiś sens?

Nie potrafiła i nadal nie potrafi odpowiedzieć sobie na te pytania, w każdym razie nie w żaden zadowalający sposób.

Stoi w kuchni, przepłukuje usta i wypluwa wodę do zlewu. To nie jest chwila, z której mogłaby być dumna.

Po co wdała się w ten. no właśnie, w co? W romans? To chyba zbyt mocne słowo na określenie tego, co się stało. W każdym razie zależało jej, żeby ktoś znowu jej pożałował. Chciała podnieść poczucie własnej wartości i mieć wspomnienia, które mogłaby przywołać, gdy będzie składać pranie. Takie przygody mają jednak pewne minusy, na przykład w drodze do kuchni po zimną wodę trzeba się martwić o kształt własnych pośladków. W towarzystwie Malcolma w ogóle nie musi się tym przejmować.

Czy portierzy z dziennej zmiany podejrzewają, co się dzieje? Pewnie tak. Niewątpliwie mają z tego niezły ubaw. Podczas przerw na papierosa chichoczą, wymieniając się najnowszym plotkami. „Wiesz, co wyrabia pani Somers? Niezła historia”.

Allison nie czuje się z tym wszystkim aż tak źle, jak mogłoby się wydawać. Gdy pierwszy raz jechała w górę windą, przypuszczała, że będzie znaczenie gorzej. Myślała wtedy: Naprawdę mam zamiar to zrobić?

Jednak nie spływa to po niej jak po kaczce. Były momenty, w których czuła, że jej zachowanie jest w pełni usprawiedliwione. Chociaż nie miała żadnych dowodów, chciała odegrać się na Malcolmie za wszystkie jego zdrady. Od dawna coś podejrzewała, ale uznała, że nie warto przeprowadzać dochodzenia.

Cholera, no i wyszło na to, że to ona jest niewierną żoną.

Musi się z tego ostrożnie wycofać.

Wraca do mężczyzny, którego obecność w tym mieszkaniu staje się coraz mniej pożądana. Idzie nago korytarzem, trzymając w ręku wysoką, oszronioną szklankę z wodą i lodem.

Kurczę, myśli. Powinnam wziąć podkładkę.

Rozdział 23

Nowy Jork

Will podziwia odporność krzewu dzikiej róży. Mimo letnich upałów, zanieczyszczonego powietrza i zaniedbania ze strony właściciela, roślina nie uschła, lecz wypuszcza wciąż nowe, intensywnie czerwone kwiaty, jakby celowo drażniąc i prowokując.

Zatrzymuje się u podnóża schodów. Ile to już razy wspinał się na górę, obmyślając kolejne kłamstwo i obawiając się, że zostanie zdemaskowany?

Tym razem tak się stało.

- Gdzie byłeś w poniedziałek wieczorem? - Chloe stoi w kuchni i wpatruje się w niego podejrzliwym wzrokiem.

Will zamyka za sobą drzwi. Ciężka szklana szyba telepie się w ramie z nadgniętego drewna.

- Kiedy konkretnie? - Nie jest pewien, czy powinien wejść do kuchni, czy raczej wziąć nogi za pas. Mógłby schronić się w łazience i dać sobie trochę czasu na ochłonięcie i wymyślenie jakiegoś alibi.

- Po pracy. Zanim wróciłeś do domu.

Nie, ucieczka to zły pomysł. Zbliża się powoli do swojej żony.

- Poszedłem na drinka.

- Z kim?

Kilka przyjaciółek Chloe lubi urządzać takie przesłuchania. Nieustannie starają się wyciągnąć od swoich mężów lub partnerów jakieś tajne informacje. Jednak Chloe twierdziła, że tego nie rozumie i nigdy go nie szpiegowała ani nie nagabywała. W każdym razie nic o tym nie wiedział.

- Z Gabriellą.

- Okej. - Chloe krzyżuje ręce na piersiach. - Spróbujmy od początku, jednak tym razem wołałabym, żebyś trzymał się faktów. Z kim się spotkałeś?

Chloe nie spuszcza z niego wzroku. Will zdaje sobie sprawę, że obserwuje każdy jego ruch i jest wyczulona na każdy niuans tej rozmowy. Ona musi coś wiedzieć.

- Zanim odpowiesz, chciałabym cię poinformować, że widziałam, jak siedzisz w barze na Hell's Kitchen z jakąś blondynką.

Okej, teraz wszystko jasne.

Will wpatruje się w podłogę swojej piekielnej kuchni. Jakim cudem go wyśledziła? Pokonał skomplikowaną i wyczerpującą trasę kontrobservacyjną, a Chloe jest w końcu jego żoną, więc jak mógł jej nie zauważyć? Czyżby był aż tak nieudolny?

- Hm, ja...

Zdążył się na to przygotować i ma w zanadrzu odpowiednie kłamstwo. Spotkał się z mieszkającą w San Francisco byłą dziewczyną. Wie, że nie powinien się z nią widywać, dlatego nie poinformował Chloe o wyjściu na drinka - lub do kawiarni, restauracji albo jakiegoś innego miejsca, w którym akurat umówił się z Elle. Ich rozstanie nie przebiegło całkiem bezboleśnie, a ona nie chce się od niego odczepić.

Taka wersja wydarzeń nie stawia go w najlepszym świetle i z pewnością nadal jest winny, ale przynajmniej Chloe nie ma powodów, żeby go zostawić.

- Słuchaj... - Zamyka oczy, udając, że zbiera się na odwagę lub stara się skoncentrować. - Przepraszam. Ma na imię Lilian i kiedyś ze sobą chodziliśmy. Wyprowadziła się do San Francisco.

Trzask.

Will nie do końca wierzy w to, co się stało. Czy jego żona właśnie uderzyła go w twarz? A może to tylko halucynacje?

Dotyka ręką piekącego policzka. Nie, to rzeczywiście się dzieje, a ten ból jest jak najbardziej rzeczywisty.

- Żółta kartka. Jeśli okłamiesz mnie po raz trzeci, dostaniesz czerwoną, a to oznacza koniec naszego małżeństwa. Rozumiesz?

Musi przyznać, że nie do końca. Co ona tak naprawdę wie i w jaki sposób dotarła do tych informacji? Czy jedyną możliwością jest powiedzenie prawdy? A nawet jeśli uda mu się wymyślić na poczekaniu jakieś przekonujące kłamstwo, to czy należy iść w zaparte? Czego się najbardziej obawia?

Najgorsze jest to, że przespał się z Elle. Niezłe bagno. Czy z tego powodu rozpadnie się jego małżeństwo? Niewykluczone. Jak bardzo jest to prawdopodobne? Trudno powiedzieć.

A co, jeżeli pominie ten najwstydlivszy fragment? Czy wtedy to w ogóle będzie się trzymać kupy?

No tak, ale Chloe wie, że Elle nie jest jego byłą dziewczyną z Kalifornii, więc będzie w stanie zweryfikować każdego jego słowo.

Will nie chce, żeby Chloe odeszła, więc nie ma większego wyboru.

- Usiądźmy - mówi. - Zdaję sobie sprawę, że to zupełnie absurdalna historia.



Gabriella zamyka za sobą drzwi, przechodzi przez przestronny gabinet i siada naprzeciwko Malcolma.

- Laptop Willa jest czysty - mówi.

- Czy ja chcę wiedzieć, jak się tego dowiedziałas? - Kiedy wypowiada te słowa, orientuje się, że zadał wyjątkowo głupie pytanie.

Gabriella nawet nie próbuje odpowiadać.

- Na twardym dysku nie ma żadnych dziwnych plików - wyjaśnia. - Zero podejrzanych treści.

- Aha?

- Jedynym problemem jest to, że Will nie potrafi porządnie zabezpieczyć swojego komputera.

- Zdajesz sobie sprawę, że ja nie...

Gabriella podnosi rękę, żeby mu przerwać.

- Używa słabych haseł. Bardzo łatwo włamać się na jego konto bankowe. Mam wrażenie, że w ciągu ostatnich paru miesięcy stał się bardziej wypłacalny.

- Jakie sumy masz na myśli? - Malcolm przechyla głowę. - Ostatnio dałem mu podwyżkę. Zarabia teraz kilkaset dolarów więcej miesięcznie.

- Chodzi o większe pieniądze. A Chloe?

Wolałby nie odpowiadać na to pytanie, ale wie, że Gabriella tak łatwo nie odpuści. Będzie wiercić mu dziurę w brzuchu tak długo, aż dopnie swego.

- Dostała ostatnio poważne zlecenie.

- Dla nas?

- Pośrednio.

Gabriella chciałaby poznać szczegóły, lecz w tej sprawie Malcolm nie puści pary z ust. Wszelkie informacje o nowych zadaniach Chloe są z konieczności ściśle tajne.

- Nic więcej mi nie powiesz?

- Nie. I będę wdzięczny, jeśli to zrozumiesz.

Na twarzy Gabrielli pojawia się grymas niezadowolenia.

- W porządku. Dowiedziałam się czegoś jeszcze: Will zaczął chodzić na siłownię.

- I bardzo dobrze.

- Ale to szemrane miejsce prowadzone przez jakiegoś faceta w opuszczonym magazynie. Nie jest nigdzie zarejestrowane i ma kiepską lokalizację. Na dodatek za każdym razem, gdy Will się tam wybiera, kluczy ulicami, żeby zgubić ewentualny ogon.

O Boże, Will też? Dlaczego wszyscy muszą sprawiać kłopoty?

- Poczekaj - mówi Malcolm - niech zgadnę: Rhodes uczy się stepować.

- Trenuje MMA.



Chloe otwiera usta ze zdziwienia. Stoi wyprężona jak struna z odchylonymi do tyłu barkami. Will dobrze zna tę postawę: przyjmują ją często kobiety, które regularnie ćwiczą jogę. Najwyraźniej robią to nie tylko podczas treningów, lecz także gdy przedstawiają swoim mężom niepodważalne dowody ich fałszu i zdrady.

- Ściśle mówiąc, nie jestem szpiegiem - mówi Will - ale pracuję dla CIA. Zostałem zwerbowany do zbierania informacji na temat ludzi, których spotykam podczas moich zagranicznych podróży.

Robi przerwę i czeka na reakcję żony. Chloe odzywa się dopiero po kilku sekundach:

- Zdajesz sobie sprawę, że to bujda na resorach?

- Tak, oczywiście. Ostrzegałem cię, że trudno uwierzyć w tę historię, ale to najprawdziwsza prawda. Kobieta, z którą mnie widziałas, jest moim oficerem prowadzącym i bezpośrednio jej podlegam.

Chloe unosi brwi ze zdziwienia i rozgląda się, jakby szukała jakiegoś wsparcia, ale widzi tylko na pół ukończoną kuchnię, będącą centrum ich na pół ukończonego życia.

- Uhm, w porządku. Załóżmy, że ci wierzę - stwierdza Chloe, ale wyraz jej twarzy mówi coś zupełnie innego. Nie jest na tyle wspaniałomyślna, żeby znowu obdarzyć go zaufaniem. - Kiedy to się zaczęło?

- Kilka miesięcy temu.

Bał się tej rozmowy już od momentu, gdy stał w korytarzu w Saint-Émilion i całował się z Elle. Był wtedy niemal pewien, że wcześniej czy później Chloe o wszystkim się dowie.

- Zwerbowali mnie, kiedy byłem za granicą.

- Gdzie?

- W Argentynie.

- W jaki sposób?

- Podeszło do mnie dwoje ludzi. - Will zdaje sobie sprawę, że mówiąc to, odwrócił wzrok. Cholera jasna, Chloe zaraz się zorientuje, że znowu łże jak pies. - Zaprzyjaźniła się ze mną kobieta udająca dziennikarkę.

- Zaprzyjaźniła się z tobą? Co to znaczy?

- Potem dołączył do niej mężczyzna. Złożyli mi propozycję: pieniądze w zamian za informacje. Właśnie stąd mamy dodatkowe fundusze. Dziesięć tysięcy miesięcznie. Dzięki temu wstawiłem nowe okna i wyremontowałem część kuchni. - Pokazuje gestem dłoni, co ostatnio udało się zrobić. - No i kupiłem parę innych rzeczy.

Chloe krzyżuje ręce na piersiach, nie zmieniając powątpiewającego wyrazu twarzy.

- CIA płaci ci dziesięć tysięcy miesięcznie? Niby za co?

- Opowiadam im o różnych ludziach, których spotykam na swojej drodze. Namiary zdobywam albo przez redakcję, albo prywatnymi kanałami. Chodzi o mieszkających za granicą Amerykanów, dyplomatów, finansistów, lokalnych polityków, aktorów i tak dalej. Każdego, kto cokolwiek znaczy. - Will obserwuje, jak Chloe przetwarza to, co właśnie usłyszała.

- Czemu CIA się nimi interesuje?

- Nie mam pojęcia.

- Co masz na myśli?

- Nigdy mi tego nie mówią. Nie wolno mi pytać, dlaczego zajmuję się tym, czym się zajmuję. Nie płacą mi za wtykanie nosa w nie swoje sprawy. Moim zadaniem jest przekazywanie informacji na temat wpływowych osobistości z zagranicy.

- A z Nowego Jorku?

- Nie, raczej nie.

- Raczej?

- Nagabywali mnie o redakcję „Travelers”.

- Jak dużo chcieli wiedzieć?

- Całkiem sporo. Pytali o każdego pracownika i kazali mi opisać rozkład biura.

- A ja? Interesowali się mną?

- Tak. Maglowali mnie na temat życia prywatnego. Być może chcieli ocenić ryzyko dekonspiracji albo potrzebowali tych danych, żeby mną manipulować. Szczerze mówiąc, nie mam bladego pojęcia.

Chloe patrzy na niego spod przymrużonych powiek.

- Wiesz, że niezwykle trudno w to wszystko uwierzyć?

- Oczywiście, ale to szczerą prawdą.

- Uhm. Trudno było cię przekonać do współpracy?

- Chyba nie.

Chloe czeka, aż Will powie coś więcej, ale on milczy. Stara się mówić prawdę i wolałby nie kłamać, jeśli nie będzie to absolutnie konieczne.

- Czemu?

- Nie widziałem w tym nic złego. Potrzebowaliśmy i nadal potrzebujemy pieniędzy. Nikomu nie dzieje się żadna krzywda. Wydawało mi się, że to dobry pomysł.

- Dlaczego mi o niczym nie powiedziałaś?

- Hm, no cóż... - Akurat w tej sprawie musi zachować milczenie. Nie ma jednak pojęcia, jak mógłby się przekonująco wyłgać. Powinien się wcześniej przygotować i wszystko przećwiczyć, żeby mieć na podorędziu sprawdzone argumenty, z których wynikałyby logiczne wnioski. Do jasnej cholery, dlaczego tego nie przewidział? Winna było jego nieposkromiona pycha. - Zabronili mi. - Lepsze wytłumaczenie nie przychodzi mu do głowy.

- Zabronili?

- Wiem, masz rację, i tak powinienem był ci powiedzieć. Jest mi strasznie przykro.

Chloe wpatruje się w Willa badawczym wzrokiem.

- Nie wierzę.

- W co?

- W co? We wszystko. Ta gówno warta historyjka jest wyssana z palca.

- Co się zatem twoim zdaniem stało?

Chloe wybucha śmiechem.

- Moim zdaniem pieprzysz tę laskę i tyle.

- W takim razie dlaczego spotkaliśmy się w tym obskurnym lokalu i osobno z niego wyszliśmy? Tak wygląda romantyczna schadzka? Jak to wytłumaczysz?

- Nie wiem, Will. Sam mi to wytłumacz.

- Nie pieprzę się z nią, tylko dla niej pracuję!

Chloe z niedowierzaniem kręci głową.

- Wiem, że to brzmi niedorzecznie, ale taka jest prawda - mówi Will błagalnym tonem. - Żałuję, że trzymałem to przed tobą w tajemnicy, ale nie chcę cię dalej oszukiwać.



Kompletna katastrofa.

Malcolm czuje, jakby wpadł z deszczu pod rynnę. Najpierw rozmowa z Gabriellą i niepokojące rewelacje dotyczące Willa, a teraz to nagranie.

Jak mógł do tego dopuścić? O co w tym wszystkim chodzi? Czy to w ogóle ma jeszcze jakiegokolwiek znaczenie?

Przewija film do tyłu i zatrzymuje migający obraz w momencie, gdy jego żona wstaje z kanapy. Naciska „play” i patrzy, jak naga Allison przechodzi przez pokój. Dosłownie sekundę po jej wyjściu kochanek - do cholery, kim jest ten facet? - zrywa się na równe nogi, biegnie po dywanie z dyndającym między nogami, wciąż nabrzmałym kutasem, pochyla się i wyciąga coś z kieszeni leżących na podłodze spodni. Potem podchodzi do biurka i wkłada niewielkie urządzenie do jednego z gniazd w laptopie Malcolma. Wszystko widać jak na dłoni, ponieważ kamera wycelowana jest właśnie w tę stronę. Czy ten koleś chce skopiować zawartość twardego dysku? A może instaluje oprogramowanie szpiegujące?

Stoi w pełnej krasie na środku gabinetu. Podnosi jedną rękę, żeby spojrzeć na zegarek, a drugą opiera na biodrze. To wszystko jest na swój sposób zabawne i przypomina jakiś zaginiony skecz Monty Pythona. Malcolm wyobraża sobie, że pod kolejne sceny podłożono śmiech z taśmy. Nieistniejąca publiczność chichocze, gdy po dziesięciu sekundach gach wyciąga pendrive'a z komputera, a potem chowa go do kieszeni spodni. Następnie z gracją skacze na kanapę, czemu towarzyszą kaskady śmiechu i gromkie oklaski. Ten skurwysyn jest naprawdę nieźle wysportowany.

Widzowie uspokajają się w oczekiwaniu na powrót niczego nieświadomej Allison, kobiety, która została uwiedziona i wykorzystana. Malcolm rozumie powody, dla których przespała się z tym facetem, jednak niezależnie od stojących za tą decyzją smutków, rozczarowań i frustracji zetknięcie z rzeczywistością sprawia mu niewiarygodny ból. Publiczność powoli oswaja się z rozmiarami tragedii. Zalega cisza. Ktoś kaszle.

Malcolm odczuwa wszystkie możliwe negatywne emocje.

Patrzy na ścianę z nieaktualną mapą świata i prześlizguje się wzrokiem po nieodgrywających już żadnej roli państwach i miastach. Bułgaria? Trudno uwierzyć, że kiedyś miała dla Amerykanów decydujące znaczenie. Była jak kostka domina, którą trzeba odpowiednio ustawić. A teraz? Co tak naprawdę

liczy się dla Ameryki? Czy w ogóle istnieje jakaś ogólna strategia? A może chodzi jedynie o interesy korporacji takich jak Halliburton, ExxonMobil, Microsoft, Apple, Coca-Cola i Walmart?

Czy to jeszcze kogoś obchodzi?

A może ważne są tylko sprawy dotyczące bezpośrednio Malcolma Somersa? Na przykład to, co dzieje się teraz.

Łapie za wielką, toporną słuchawkę ze spiralnym kablem biegnącym do telefonu stacjonarnego wyposażonego w klawiaturę tonową i wystający guziczek służący do przerywania połączenia. Od zawsze bał się, że kiedyś będzie musiał odbyć tę rozmowę, ale nie ma wyboru i wystukuje długi numer. W ostatnim czasie każdego dnia nabierał coraz głębszego przekonania, że ta chwila nieuchronnie się zbliża, lecz ciągle ją odkładał, żeby mieć stuprocentową pewność. W tym samym czasie jego mieszkanie zostało przeczesane przez dwóch facetów mierzących rzekomo poziom stężenia radonu. Po tej wizycie Malcolm obsesyjnie oglądał nagrania z monitoringu, trzy, nawet cztery razy dziennie. Starał się też nie spuszczać oka ze swojej żony. Sprawy zaszły jednak za daleko i nie może dłużej trzymać tego w tajemnicy.

- Słucham?

- Cześć - mówi Malcolm. - Zostałem zdekspirowany.

W słuchawce rozlega się głośne westchnienie.

- Przez kogo?

- Jeszcze nie wiem.

Cisza.

- Wykradzono dane z mojego domowego komputera.

- O mój Boże...

Malcolm stara się przypomnieć hasło, którego do tej pory nie miał okazji użyć, przynajmniej nie w tym kontekście.

- Kompletna katastrofa - mówi.

Chociaż korzysta z rzekomo najlepiej chronionej linii telefonicznej na świecie, nie wierzy, że istnieje coś takiego jak bezpieczne połączenie, tak samo jak nie istnieją bezpieczne e-maile, bezpieczne pliki i bezpieczne komputery. Właśnie o to w tym wszystkim chodzi.

Niestety, nie ma też bezpiecznych małżeństw.

Mężczyzna nie odpowiada na hasło, ale trzeba założyć, że zrozumiał komunikat. Tak działają szyfry i Malcolm nie powinien się o nic dopytywać.

- Wiesz, jak do tego doszło?

- Tak, ze szczegółami.
- Czy problem został rozwiązany?
- Uhm, jeszcze nie. To skomplikowana sprawa.
- Chyba zawsze tak jest.

Malcolm nie chce się zagłębiać w szczegóły.

- Pracujemy nad tym - mówi.
- Hm.
- Naprawdę. Wszystko jest pod kontrolą.
- Jeśli zajdzie taka konieczność, poprosisz mnie o pomoc?
- Oczywiście, ale na razie panujemy nad sytuacją.
- Jesteś pewien? Bo mam wątpliwości.

Tak, jestem pewien, że kłamię, myśli Malcolm. Tak naprawdę nic nie jest pod kontrolą, ale zdążył się nauczyć, że nie należy mówić tego na głos.

- Tak, jestem pewien.

Pingvellir, Islandia

W czasie swojej kariery Amerykanin korzystał z wielu fałszywych tożsamości. Czasami nie lada wyzwaniem było zapamiętanie, którego imienia, kiedy, gdzie i w czyim towarzystwie powinien używać. Zawsze posługiwał się typowo amerykańskimi imionami, jednosylabowymi, pochodzącymi od postaci biblijnych, na przykład Jim, Tom, Matt lub Mike, a ostatnio Joe, co było lekko ironiczne, ponieważ w Stanach to słowo oznacza także przeciętnego zjadacza chleba, a on kimś takim na pewno nie jest.

Pewnie już do śmierci będzie się posługiwał tym imieniem i dobrze się z tym czuje. Nie musi się zastanawiać, gdy ktoś go zapyta:

- Jak się nazywasz?

- Joe - odpowiada młodej kobiecie z aparatem fotograficznym. - Miło cię poznać.

Stoją na wulkanicznym skrawku lądu wrzynającym się w północny Atlantyk, na dnie szerokiej i głębokiej rozpadliny, w miejscu, w którym stykają się dwie płyty tektoniczne, eurazjatycka i północnoamerykańska. Jedna ciągnie się aż do zachodniego wybrzeża Ameryki Północnej, a druga do Pacyfiku. Odpychają się od siebie, co powoduje trzęsienia ziemi w Japonii i południowo-zachodnich stanach. Co roku szczelina się powiększa, tak samo zresztą jak cała wyspa. Towarzyszą temu wstrząsy sejsmiczne, erupcje

wulkanów i inne gwałtowne zjawiska geologiczne. Wszystko po to, żeby płyty mogły się od siebie oddalić kilka milimetrów rocznie.

W tym miejscu zebrał się również w 933 roku najstarszy parlament świata. Z osady wychodzą liczne szlaki turystyczne, można też zobaczyć kościół i pospacerować po mostach przecinających jezioro kingvallavatn. To niezwykle malownicza okolica. Na Islandii pogoda nikogo nie rozpieszcza, więc zawsze, nawet w brzydkie dni, można tu spotkać turystów.

Kiedy Amerykanin opuszcza tętniące życiem skandynawskie miasto, zaszywa się w kompletnej głuszy i tylko czasami wyrusza w drogę, żeby zwiedzić okoliczne atrakcje, park narodowy z gejzerami lub jakąś większą miejscowość. Cały czas planuje trasy ucieczki, przygotowuje plany awaryjne i wymyśla alternatywne rozwiązania. Nie ma pracy ani żadnych obowiązków. Musi tylko utrzymać się przy życiu. Jest niemal pewien, że któregoś dnia wreszcie po niego przyjdą. Co rano budzi się z myślą, że to będzie właśnie dzisiaj.

Rozdział 24

Nowy Jork

Wiadomość jest krótka:

„Potrzebuję czasu do namysłu. Pojechałam do mamy. C.”.

Will ze złością ciska karteczkę, która przelatuje nad pustą poduszką Chloe. Oświetlane przez poranne słońce drobinki kurzu tworzą miniaturową burzę śnieżną.

Przez pół nocy nie spał, zastanawiając się, co zrobi jego żona. Lub co mu zakomunikuje. W pewnym momencie zakończyła rozmowę. Powiedziała, że ma już dość wysłuchiwanie kolejnych argumentów. Nie interesowały jej szczegóły spotkań operacyjnych, zagranicznych misji i szkoleń z pokonywania tras kontrolobserwacyjnych. Will chciał ją przekonać, że naprawdę jest współpracownikiem CIA, ale ona nie dała mu szansy.

- Przestań - powiedziała. - Wystarczy. Idę spać.

- Mogę iść z tobą?

Wbiła w niego wzrok, dając mu do zrozumienia, że odpowiedź nie jest wcale taka oczywista.

- Nie mam ochoty kontynuować tej rozmowy i nie chcę, żebyś mnie dotykał. Po tym, co się stało, to chyba oczywiste.

Przewracał się do drugiej, może trzeciej nad ranem, aż wreszcie zapadł w niespokojny sen. Musiał jednak spać na tyle głęboko, że nie zauważył, jak Chloe wstała z łóżka, spakowała się i wyszła z domu.

Zostawiła go.

Od zawsze miała skłonność do uciekania przed problemami. Stroniła od konfrontacji i unikała spotkań, podczas których nie czuła się komfortowo. Zdarzało jej się urywać z imprez, wychodzić z kina i niepostrzeżenie wymykać z pikników jedynie dlatego, że nie najlepiej się bawiła. Gdy tylko pojawiły się kłopoty, kończyła również swoje związki. Sama przyznała, że po kilku przygodnych romansach czmychała bladym świtem, zanim obudził się jej partner, a raz na studiach wyszła nawet przez okno.

Ale ich małżeństwa nie da się przecież tak łatwo spisać na straty.

Chloe wróci, a jeśli nie, to Will zrobi wszystko, żeby ją odzyskać.



Malcolm od bardzo dawna nie jechał w weekend metrem linii F i ma wrażenie, że w wagonie siedzą prawie sami brodacze. „Hej, faceci z bujnym zarostem - pisze dwoma kciukami kolejnego tweeta. - Już wiemy, że jesteście bardzo męscy. Czas się ogolić”.

Podróż strasznie się dłuży, a po wyjściu ze stacji czeka go jeszcze monotonny spacer w upale. Przynajmniej ma wystarczająco dużo czasu, żeby się zastanowić, co powinien zrobić ze swoją niewierną żoną.

Najbardziej chciałby złapać ją na gorącym uczynku i wybuchnąć niepohamowanym gniewem: „O mój Boże! Co się tutaj dzieje?” - ale wtedy sprawy wymknęłyby się spod kontroli. Poza tym jej kochanek - co za obrzydliwe słowo - wiedziałby, że został nakryty. Mógłby więc zacząć podejrzewać, że do zdemaskowania doszło już wcześniej, a to oznaczałoby... No cóż, to nie jest najlepszy plan. Jakie są zatem inne możliwości?

Po pierwsze, Malcolm może ją zapytać wprost: „Masz romans?”. Allison na pewno zaprzeczy, ale potraktuje to jako poważne ostrzeżenie i zacznie mieć wątpliwości. W końcu powie swojemu lowelasowi: „Słuchaj, mój mąż coś podejrzewa. Przepraszam, ale musimy z tym skończyć.”.

Po drugie, można zabrać się do tego od strony kochanka. Malcolm potrafiłby chyba wymyślić jakiś sposób na to, by subtelnie dać mu do zrozumienia, że powinien wycofać się z tego związku.

Po trzecie, można wszystko zlekceważyć i poczekać, aż romans sam się wypali. Tak to się zazwyczaj kończy, chociaż rzecz jasna zdarza się, że miłości przegradzają się w coś poważniejszego.

W tym wypadku to jednak wykluczone. Allie nie zostawi przecież Malcolma, nawet jeśli będzie tego chciała. To chyba najbardziej upokarzający aspekt tej sytuacji i to pod wieloma względami. Ten facet na pewno nie planuje z nią żadnej przyszłości. Wkrótce się nią znudzi i nie będzie chciał jej znać. Być może już dał sobie spokój, zwłaszcza że udało mu się włamać do komputera Malcolma. Czy Allison będzie załamana, czy tylko trochę zawiedziona? Wyjdzie jej to na dobre czy wręcz przeciwnie?

Na razie wyjechała z dziećmi na weekend do Bridgehampton. Mają tam spędzić czas z innymi rodzinami. Pocięchy będą się pluskać w basenie, a mamy siedzieć na brzegu w różowych strojach. Za tydzień zaczynają się wakacje i na lato cała trójka przeniesie się nad ocean. Główne atrakcje to

obóz surfingowy, lekcje gry w tenisa, zajęcia w bibliotece i muzeum, imprezy po zawodach hipiczych i pokazowy mecz softballu z udziałem gwiazd. Być może upalne słońce sprawi, że Allison zapomni o romansie.

W ten weekend Malcolmowi udało się wymówić od wyjazdu.

- Przepraszam, ale muszę nadrobić zaległości. W środę zamykamy numer.

Widział, że Allison miała wielką ochotę wzruszyć ramionami, ale w ostatniej chwili się powstrzymała. W zasadzie to ma głęboko gdzieś, czy mąż będzie jej towarzyszył. Nie lubi tylko, gdy w sobotni wieczór, tak jak dzisiaj, musi iść sama na proszoną kolację do znajomych. Czuje się wtedy trochę niezręcznie.

Ma to jednak swoje plusy. Koleżanki z Hamptons konkurują między sobą, porównując, jak bardzo ważni są ich partnerzy. Weekendy, podczas których mężowie nie mogą „wyrwać się z miasta”, są dowodem na ich wysoką pozycję zawodową. Muszą zostać w Nowym Jorku, ponieważ przygotowują się do procesu albo zbliża się termin podpisania wielkiego kontraktu. Większość tego towarzystwa jest związana z Wall Street i Malcolm zdaje sobie sprawę, z jak wielką przyjemnością Allison w pewnym momencie ogłasza: „Mój mąż zamyka właśnie numer”. Praca w branży kreatywnej robi na zebranych pewne wrażenie i Allison jest przekonana, że dzięki temu rośnie jej kapitał społeczny, co chociaż częściowo pokrywa braki prawdziwego kapitału.

Malcolm zastanawia się, czy dla Allison stanowi to rzeczywisty problem. Czują, że brakuje im pieniędzy, co tylko pokazuje, jak względne są kwestie finansowe.

Te rozważania przypominają mu o Willu. Trzeba się wreszcie dowiedzieć, co on kombinuje. Niestety, nie odbiera telefonu, więc Malcolm zostawia wiadomość: - Cześć, Rhodes. W ten weekend będę w mieście. Chcesz wyskoczyć na drinka? Oddzwoń w wolnej chwili.

Malcolm mijają wielki kompleks boisk do gry w baseball i piłkę nożną. Na trawnikach stoją małe przenośne grille, pomarańczowe lodówki turystyczne, food trucki z meksykańskim jedzeniem i wózki z lodami. Wokół biegają rozwrzeszczane dzieciaki, a czerwoni na twarzy faceci w średnim wieku opierają się o ogrodzenie, ściskając w rękach puszki z piwem, schowane w pomarszczonych torebkach z brązowego papieru. Zewsząd dobiegają odgłosy toczących się właśnie meczów. Słychać sędziowskie gwizdki, uderzenia kijów, jęki zawodników i aplauz widzów. Po boiskach biegają dorośli mężczyźni w jaskrawych spodenkach piłkarskich albo wypłowiałych i

brudnych strojach do gry w baseball. Co ciekawe, chociaż leżący na powierzchni dwudziestu hektarów ośrodek sportowy znajduje się w geograficznym centrum największego anglojęzycznego miasta na świecie, nikt nie mówi tu po angielsku.

Providence

Kiedy pociąg wjeżdża na stację, pojawia się bezprzewodowy internet. W kącie ekranu laptopa widać białe słupki i Chloe może wreszcie dokończyć transakcję zakupu biletu lotniczego do Punta Cana, dominikańskiego kurortu z piaszczystymi plażami, ciepłym morzem i strzelistymi palmami, pod którymi serwują zimne drinki. W środku lata nie ma tam zbyt wielu turystów z północno-wschodnich stanów Ameryki, więc przeloty i hotele są stosunkowo niedrogie.

Chloe wypełnia kolejne okienka formularza: numer karty programu lojalnościowego, numer paszportu, numer telefonu oraz dane osoby, z którą należy się skontaktować w nagłych wypadkach. Odruchowo zaczyna wpisywać numer komórki Willa, ale przerywa w połowie. Jej palce przez chwilę unoszą się nad klawiaturą...

Nie. Naciska „backspace” i kasuje wpisane cyfry.

Falls Church

Jak się okazało, ubezpieczenie nie jest wcale tak wszechstronne, jak próbowano mu wmówić. Zakład opieki zdrowotnej twierdzi, że problemy z sercem kwalifikują się jako schorzenie istniejące przed wejściem w życie polisy. To oczywiście prawda, ale czy nie każda choroba w jakiś sposób podpada pod tę kategorię?

Żeby zarobić na zabieg, Raji trzynasty dzień z rzędu bierze nadgodziny. Dość łatwo dostał na to zgodę przełożonych. Stało się tak zapewne dlatego, że osoby ze skróconej listy muszą się znajdować pod jeszcze bardziej wzmożoną obserwacją. To naprawdę mnóstwo roboty, na dobrą sprawę dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Ciekawe, czym zajmuje się ta kobieta. Musiała wstać skoro świt, ponieważ bardzo wcześnie rano weszła do nowojorskiego metra. Otworzyła

bramkę kartą magnetyczną, za którą zapłaciła tydzień temu kredytówką American Express. Dwadzieścia jeden minut później dotarła na Pennsylvania Station i kupiła bilet w jedną stronę na pociąg do Portland w stanie Maine. W przedziale zalogowała się do sieci wi-fi i zarezerwowała lot na Dominikanę. Raji wpisuje właśnie w formularz szczegóły tej transakcji:

Amerykański paszport numer 10414962

Lot: 83 BOS do GUA

Kategoria biletu: D2

Miejsce: 39D

Kod alarmowy: 2

Raji ogląda na ekranie jej fotografię. Pamięta, że zajmował się tą kobietą już na początku swojej pracy. To było kilka lat temu, a jego zadaniem było śledzenie podejrzanych turystów. Kiedyś naprawdę dużo podróżowała po całym świecie. Potem nieoczekiwanie przestała - w zeszłym roku wyjechała za granicę raptem kilka razy. Raji zastanawiał się, co się stało i czy wszystko z nią w porządku. Właśnie dowiedział się, że znowu wyruszyła w drogę. Sprawilo mu to pewną ulgę.

Zarezerwowała pokój w luksusowym ośrodku wypoczynkowym. Hotel zapewnia transfer z lotniska, więc Raji nie spodziewa się, że kobieta będzie szukała na własną rękę jakiegoś środka transportu i pewnie nie wypożyczy samochodu. W dzisiejszych czasach podróżowanie wiąże się zazwyczaj z dokonywaniem wielu rezerwacji, płaceniem zaliczek, podawaniem numerów kart kredytowych.

Nagle zdaje sobie sprawę, że podczas jej poprzedniej wyprawy wydarzyło się coś dziwnego. Szybko sprawdza dane i wpatruje się w ekran, starając się zrozumieć, o co w tym chodzi.

Opuszcza swój boks. W połowie drogi do gabinetu Brocka zatrzymuje się i jeszcze raz się nad wszystkim zastanawia, ale tym razem z innej perspektywy. Co on z tego będzie miał? Dlaczego ma wychodzić przed szereg i robić rzeczy, które wykraczają poza zakres jego obowiązków? A może nie ma racji? Po co narażać się na krytykę? Zaczną na niego naciskać, pospieszać i zrobi się nerwowo. Do czego jest mu to potrzebne? Przecież i bez tego ma całą masę problemów.

Stoi na środku pomalowanego na szaro korytarza. Wszystko wokół wydaje się bure i pozbawione wyrazu. Otaczają go bezbarwni ludzie wykonujący nudną pracę. Odwraca się w stronę swojego biurka. Do diabła z nimi, myśli. Niech to wszystko szlag trafi.

Jednak po chwili znowu zmienia zdanie. Nie potrafi migać się od obowiązków, nawet jeśli jego przełożonych gównem to obchodzi.

- Szefie? - Puka delikatnie do drzwi.

Brock podnosi głowę i robi niezadowoloną minę. Znowu ktoś odrywa go od pracy. Nikt nie wie, czym on się tak naprawdę zajmuje, ale wszyscy podejrzewają, że przez cały dzień ogląda pornosy.

- Co się stało, Raji?

- Wydaje mi się, że coś znalazłem.

Nowy Jork

Stonely wyjmując z lodówki turystycznej kilka garści kostek lodu, wkłada je do plastikowej torebki i zawiązuje supeł. Bierze zamach i trzy razy uderza torebką w słupek płotu, żeby zgnieść jej zawartość. W tym samym czasie zerka za ogrodzenie, starając się zapamiętać twarze kolegów z drużyny, przeciwników i znajomych, którzy będą świadkami jego rozmowy z szefem.

Przykłada łódź do zniekształconego palca, który złamał w połowie drugiego roku gry w lidze Triple-A. Miał wtedy najlepsze wyniki, ale dwumiesięczna kontuzja zrujnowała obiecujący sezon. Od razu wiedział, że to złamanie, ale robił dobrą minę do złej gry. Miał nadzieję, że palec sam się zagoi. Rzecz jasna wcale tak się nie stało. Kiedy w końcu się przyznał, koledzy zaczęli przezywać go Stonely. Kpili z tego, że okłamywał sam siebie tylko po to, by zachować wizerunek prawdziwego twardziela, a tak naprawdę jest maminsynkiem bojącym się stawić czoło rzeczywistości. Chciał być stalowym wojownikiem, ale nic z tego nie wyszło.

Kiedy po zakończeniu następnego sezonu drużyna wracała z Toledo, podszedł do trenera, który siedział na samym przedzie autobusu obłożony papierami, i zapytał:

- Szefie, czy mógłby mi pan napisać referencje?

Po dwudziestogodzinnej podróży autokarem firmy Greyhound - z Louisville, przez Cincinnati, Columbus i Filadelfię - i kilku tygodniach poszukiwań znalazł tymczasową pracę w biurze pocztowym i zapisał się na kursy komputerowe. Potem miał już z górki. Dostał jeden awans, a potem kolejny. To było trzynaście lat temu.

- Szefie, przyjechał pan na Brooklyn, żeby oglądać baseball, ale przecież Yankees grają w Baltimore, a pan nie znosi Metsów.

Na twarzy Malcolma pojawia się uśmiech kogoś, kto przynosi złe wiadomości.

- Pamiętasz, jak w zeszłym roku poprosiłem cię, żebyś zajął się pewną sprawą?

Stonely spuszcza głowę i spogląda na swoje brudne spodnie, buty z kolcami i wyliniałą trawę. Jego uwagę przyciąga niedopałek papierosa i kawałek zgniecionego plastiku, który mógł służyć jako zatyczka do fiolki z crackiem.

- Jasne, jak mógłbym zapomnieć?

- Chcę, żebyś zrobił jeszcze raz to samo.

Stonely patrzy Malcolmowi prosto w oczy. Nie podoba mu się, że jakiś biały ważniak traktuje go jak chłopca na posyłki, którego można wynająć do czarnej roboty. Nie chce jednak stracić pracy, a przecież Malcolm w każdej chwili może go zwolnić. Poza tym lubi swojego szefa, a dodatkowe pieniądze zawsze się przydadzą, więc chyba nie ma specjalnego wyboru. Całe szczęście, nie musi pałać do tej roboty entuzjazmem.

- O kogo chodzi tym razem?

- Jakiś dupek pieprzy moją żonę.

Stonely nie jest w stanie ukryć zdziwienia.

- Serio?

- Serio.

- Jest pan pewien, że to dobry pomysł?

- Nie, ale musimy to zrobić.

Stonely wcale nie ma ochoty pakować się w tarapaty, ale nie ma nic do gadania, ponieważ to Malcolm podejmuje decyzje.

- Kiedy?

- Jak tylko będziesz mógł.

Boston

Kiedy pociąg wjeżdża na stację, po raz kolejny dzwoni telefon, a w zasadzie wibruje i świeci, domagając się uwagi. To znowu Will.

Chloe naciska „ignoruj”. Nie ma ochoty rozmawiać z mężem i wysłuchiwać jego błagań: „Proszę, uwierz mi. To wszystko prawda”.

Jest wściekła i nie chce wchodzić z nikim w żadne interakcje, przynajmniej do momentu, aż nie zdecyduje, jak poradzić sobie z tym całym

ambarasem. Chyba nie ma zbyt wielu możliwości.

Najchętniej zapadłaby się pod ziemię, ale to wcale nie jest takie proste. Jeszcze piętnaście lat temu ludzie wyjeżdżali na wakacje i przez tydzień albo dwa ginął o nich wszelki śluch. Odpoczywali w spokoju w Gwatemali, Tanzanii albo Nowej Zelandii. Zresztą nie trzeba było uciekać aż tak daleko. Wystarczyło wynająć domek w Rehoboth albo rozbić namiot na kempingu w górach Poconos. Nikt nie publikował zdjęć w mediach społecznościowych, nie odbierało się telefonów i nie odpowiadało na e-maile i esemesy. Jeśli ktoś był na urlopie, to oznaczało, że nie ma z nim kontaktu. Być może potrzebowali go w pracy albo ktoś za nim tęsknił, ale wszyscy jakoś sobie z tym radzili.

Chloe wstaje i przechodzi przez wagon, łapiąc się za oparcia siedzeń, żeby nie stracić równowagi. Pociąg wjeżdża do New Hampshire, kołysząc się na boki. Chloe wślizguje się do toalety i zamyka drzwi na zasuwkę. Znowu dzwoni telefon. Tym razem to ta menda Malcolm.

Zawarli jasną umowę: Chloe odejdzie z redakcji i zacznie współpracować z „Travelers” jako wolny strzelec. Dostanie jedno lub dwa ważne zlecenia rocznie. Szefostwo oczekuje od niej perfekcji i starannego przygotowania. W zamian Malcolm obiecał, że w żaden sposób nie będzie w to mieszał Willa. Ustalili to podczas szczerzej rozmowy. Nie posługiwali się szyfrem i w klarowny sposób przedstawili swoje warunki. Chloe zrobiła wszystko, żeby nie było żadnych nieporozumień i niejednoznaczności.

Na razie dostała do realizacji jedno zadanie. To była najtrudniejsza rzecz, jaką do tej pory zrobiła w życiu, ale dobrze jej poszło. Wywiązała się z umowy, a Malcolm znowu nawalił.

Kładzie wibrujący telefon na podłodze i podnosi nogę, żeby go roztrzaskać. Ma już dość tego ciągłego nagabywania. Zniszczy go i połamie kartę SIM, a potem wyrzuci poszczególne elementy z pociągu, kawałek po kawałku.

Może jednak nie. Przecież będzie potrzebowała jakiegoś kontaktu ze światem. Szkopuł w tym, że komórka to świetne urządzenie szpiegujące, które zawsze mamy przy sobie, niezależnie od tego, gdzie aktualnie jesteśmy. Will miał lepszy pomysł, gdy szedł na tajne spotkanie. Chloe klęka, podnosi telefon z podłogi i wyjmuje z niego baterię.

Falls Church

- Pokażę ci, co mnie zdziwiło - mówi Raji. - Ta kobieta, Chloe Rhodes, pojechała taksówką na nowojorskie lotnisko i zapłaciła za kurs kartą. Odprawiła się, ale bez bagażu, a potem kupiła parę rzeczy w hali odlotów. Korzystała z tej samej kredytówki. Popatrz.

Brock pochyła się do przodu i opiera dłoń o biurko Rajiego. Kiedy to robi, napina mięśnie przedramienia, a tatuaż Semper Fi rozciąga się na jego skórze. Brock wykorzystuje każdą okazję, żeby popisać się muskulaturą i przypomnieć wszystkim, że kiedyś służył w piechocie morskiej.

Raji odtwarza nagrania z dwóch różnych kamer lotniskowego monitoringu. Najpierw w jednym sklepie kobieta kupuje sałatkę w pudełku i jakiś napój, a potem w innym kilka czasopism i gumę do żucia.

- Teraz wchodzi do samolotu - objaśnia Raji. Chloe podaje kartę pokładową komuś z obsługi i po chwili znika w rękawie. - A to już port docelowy, po przejściu kontroli paszportowej. - Kliknięcie. - I moment, w którym nasza znajoma opuszcza lotnisko.

- Niezła laska.

- Owszem. Dwie rzeczy wydają mi się dziwne. Po pierwsze, w drodze powrotnej do Nowego Jorku w ogóle nie weszła do tego terminalu.

Na chwilę zalega cisza. Brock zastanawia się, czy dobrze wszystko zrozumiał.

- Jesteś pewien?

- Nie na sto procent, ale raczej tak. Musiała przylecieć z jakiegoś innego miasta i tylko czekała na transfer. Na razie nie udało mi się znaleźć żadnych nagrań uchwytyjących moment, gdy wysiadała z samolotu. Jej nazwisko nie figuruje na listach pasażerów, ale jeszcze będę szukał. Przecież w jakiś sposób musiała wejść na teren lotniska, prawda?

- Uhm.

- Przyjechała na kilka dni do Europy, a potem jeszcze dokądś poleciała. Spędziła w podróży strasznie dużo czasu.

- Chyba masz rację, Raji.

- Jest jeszcze jedna rzecz, która mnie intryguje. Podczas wyjazdu w ogóle nie korzystała ze swojej kredytówki, ani w Turcji, ani w Grecji, ani w Bułgarii. Co jeszcze dziwniejsze, nie używała żadnej innej karty. Była trzy dni za granicą, w tym czasie jeszcze gdzieś wyskoczyła, i ani razu za nic nie zapłaciła plastikiem.

- Hm.

- Zero transakcji w taksówkach, hotelach lub restauracjach. Jeszcze w Nowym Jorku, na samym początku podróży, zrobiła zakupy na lotnisku, a potem już nic. Ta kobieta nie miała też przy sobie żadnej karty do wypłacania pieniędzy z bankomatu. W każdym razie nie udało mi się niczego takiego zidentyfikować.

- Może wzięła ze sobą na tyle dużo tureckich... hm...?

- Lirów.

- Tak, lirów, że wystarczyło na trzy dni?

- To możliwe, ale dość dziwne, prawda?

- Chyba tak. Jak to wyjaśnisz, Raji?

- Mam dwie teorie. Albo cały czas ktoś za nią płacił.

- Możliwe. Albo?

- Albo wcale nie poleciała do Stambułu.

Rozdział 25

Nowy Jork

W niedzielny wieczór Will siedzi sam w domu i jest mu z tym źle. Liczy na powrót Chloe. W końcu jutro jego żona powinna iść do pracy, a nie należy do osób, które biorą zwolnienia albo lekceważą obowiązki. Na pewno wróci i to jeszcze dzisiaj.

Kiedy był singlem, nienawidził niedzielnych wieczorów. W tygodniu samotność mu nie doskwierała, ponieważ wszystko odbywało się zgodnie z ustalonym porządkiem. W piątek i sobotę imprezował albo chodził na randki, a w niedzielę rano zazwyczaj budził się sam, niewyspany i na kacu. Czasami cały dzień spędzał we własnym towarzystwie, załatwiał różne sprawy, robił pranie, chodził na zakupy, sprzątał mieszkanie i ćwiczył. Jednak wieczorem dopadała go chandra. Teraz jest tak samo.

Powinien gdzieś wyjść, żeby zapomnieć o swoim rozpadającym się małżeństwie. Najlepiej na drinka do Ebbets Field.

Nagle przychodzi mu do głowy pewien pomysł. W barze Deana może kupić coś więcej niż tylko alkohol.



Dean stoi obok barmana i coś do niego mówi konspiracyjnym szeptem. Ich głowy są od siebie oddalone o zaledwie kilka centymetrów. Nagle spostrzega Willa i mówi na cały głos:

- Pan William Rhodes. Witam w naszych skromnych progach. Proszę się rozgościć. Jak się miewa pana atrakcyjna żona?

- Hm, chyba nieźle.

- Zastanawiałem się ostatnio, co słyszeć u Gabrielli Rivery.

- A co konkretnie chciałbyś wiedzieć?

- Czy ty kiedyś... no wiesz...

- Nie.

- Ona w ogóle kogoś ma?

- Jest wdową, Dean. Pamiętasz Terry'ego Sandersa? Byli małżeństwem.

- O cholera, naprawdę?

- Naprawdę. Słuchaj, mogę mieć do ciebie prośbę?

Dean od zawsze znany był z tego, że potrafi wszystko załatwić. Czasami sporo ryzykował, ale jak do tej pory był za to nagradzany, a nie karany.

- Jasne.

Will rozgląda się dookoła, sprawdzając, czy nikt ich nie podsłuchuje. Jak zwykle poważny Marlon stoi na drugim końcu baru i rozmawia z jakimś podejrzanym typem. Obok nie siedzą inni goście i gra muzyka, co zapewnia im wystarczająco dużo prywatności.

- Wiem, że to dziwnie zabrzmiało.

- Dawaj.

- Chciałbym kupić fałszywy paszport.

Na twarzy Deana pojawia się szeroki uśmiech.

- Co ty kombinujesz?

- Potrzebuję zabezpieczenia.

- Zabezpieczenia? Przed czym?

- Przed tym co nieprzewidywalne, Dean. Wypadki chodzą po ludziach.



Następnego dnia wieczorem Will idzie do innego baru, bardziej szemranego, położonego w gorszej dzielnicy, w której znajduje się mniej eleganckich domów z brązowego piaskowca, a więcej warsztatów samochodowych. Trudniej tu złapać taksówkę, sklepy są gorzej zaopatrzone w świeże produkty, a ulice rzadziej patrolowane przez policję. Podaje rękę facetowi, który na serio traktuje rockandrollowy styl. Trzyma wykałaczkę w zębach, nosi kolczyki, a jego ciało pokrywają tatuaże. Jest ubrany w czarne dżinsy we wzory, martensy, skórzaną kurtkę z ćwiekami i T-shirt Ramonesów. Tacy goście zawsze noszą koszulki Ramonesów albo The Clash.

- Pięć tysięcy za kanadyjski, a dziesięć za amerykański - mówi rockers, przesuując wykałaczkę z jednego kącika ust do drugiego.

- Okej. Wezmę kanadyjski.

- Wystarczy, żeby wyjechać ze Stanów, ale w drugą stronę może być gorzej.

Całe szczęście to już nie będzie problem Willa. Wróci pod własnym nazwiskiem albo na zawsze zostanie za granicą. Bierze do rąk fałszywy

dokument, przerzuca strony, dotyka papieru, sprawdza dane osobowe. Douglas Davis.

- Kto to jest?

- Co za różnica?

- Z egzystencjalnego punktu widzenia żadna, ale mnie interesują praktyczne konsekwencje.

- Jakiś ćpun z Hamilton w prowincji Ontario. Sprzedał paszport i obiecał, że nie zgłosi zaginięcia, aż do... hm... - Mężczyzna sprawdza swoje notatki - kwietnia przyszłego roku.

- A co, jeśli zrobi to wcześniej?

- Gość, który kupił od niego ten papier, połamię mu nogi.

- Ale najpierw ja wyląduję w więzieniu.

- Owszem, istnieje takie ryzyko. - Mężczyzna robi taką minę, jakby chciał dodać: „Co mam ci powiedzieć?”. Will nie ma pojęcia, jakie wyjaśnienie byłoby dla niego satysfakcjonujące.

- Zamienisz zdjęcie?

- Jasne. Paszport będzie gotowy na jutro. Masz gotówkę?

Will rozgląda się po obskurnej sali, w której aż roi się od podejrzanych typów.

- Nie, zapłacę przy odbiorze.

- Spoko.

Will czuje, że powinien pokazać, kto tu rządzi. Nie chce wyjść na kompletnego frajera. Już na samym początku postawił się na przegranej pozycji, ponieważ musiał zaufać obcemu facetowi, na dodatek kryminaliście.

- Chcę się spotkać w innym miejscu - mówi, starając się wyglądać na twardziela.

- Nie ma problemu. - Rockers jest zadziwiająco bezkonfliktowy. Czy to nie jest podejrzane? - Za dodatkowego tysiąka mogę dorzucić prawo jazdy.

~ ♦ ~

W poniedziałek Will spędza większość czasu w archiwum, starając się unikać swoich współpracowników. Zamienia tylko kilka słów ze Stonelym Rodriguezem, który siada przy stoliku obok, żeby zjeść lunch - talerz zupy i słone krakersy - po czym jednym ruchem dłoni zrzuca okruchy na podłogę. Po pracy Will płaci za fałszywy paszport pieniędzmi CIA, a potem siedzi w domu, rozmyślając nad swoim nowym życiem.

Jednak we wtorek nie może się już chować. Ma robocze spotkanie z Gabriellą, a następnie jest umówiony z Jean w sprawie pilnych zmian w układzie graficznym jednego z artykułów.

Potem zagląda do niego Malcolm.

- Wszystko u ciebie w porządku, Rhodes? Kiepsko wyglądasz.

Skończył się weekend, mija kolejny dzień roboczy, a Chloe wciąż nie odpowiedziała na żaden telefon, esemes ani e-mail. Nie pojawiła się też w pracy i najprawdopodobniej w ogóle nie planuje wrócić do domu.

Will nie ma szczególnej ochoty rozmawiać o tym z Malcolmem, ani zresztą z kimkolwiek innym. Czułby się skrępowany i upokorzony, a na dodatek musiałby znowu zacząć konfabulować. Powiedzenie prawdy o Chloe oznaczałoby dalsze wikłanie się w kłamstwa na temat tego, co stało się wcześniej.

Odejścia Chloe nie da się jednak długo ukrywać. Im dłużej będzie to robił, tym bardziej Malcolm będzie obrażony, gdy się o wszystkim dowie. Są w końcu przyjaciółmi. Po co więc zwlekać?

- Chloe mnie zostawiła.

- Co takiego? - Malcolm siada na krześle.

- Trochę się ostatnio sprzeczailiśmy i sprawy poszły za daleko. - To brzmi wiarygodnie, chociaż pewnie mało oryginalnie. - Uznała, że ma już dość i pojechała do matki.

- Kiedy?

- Pod koniec zeszłego tygodnia.

- Rozmawiałaś z nią?

- Nie odpowiada na moje telefony.

- Cholera jasna, to bardzo niedobrze. Coś się stało? Doszło do jakiejś dzikiej awantury?

- Nie, chyba nazbierało się zbyt wiele drobnych spraw. Zresztą sam nie wiem. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co jest grane.

- Myślisz, że ona kogoś ma?

Will nie jest zdziwiony tym pytaniem. W końcu Malcolmowi wszystko kojarzy się z seksem.

- Być może, tylko nie rozumiem, dlaczego wyjechała do Maine. - Dopiero gdy wypowiada te słowa, zdaje sobie sprawę, że Chloe mogła go okłamać. A co, jeśli jej ucieczka nie była wcale związana z jego wybrykami? Zaczyna mieć mętlik w głowie i już wie, że czeka go kolejna bezsenna noc.

Późnym popołudniem udaje mu się wreszcie dodzwonić do teściowej.

- Connie, daj spokój, przecież wiem, że ona tam jest.

- Wybacz, Will, ale moja córka nie ma ochoty z tobą rozmawiać i nie chce mi powiedzieć dlaczego. Co ty jej zrobiłeś?

Nie da się tego wyjaśnić w jednym ani nawet w dwóch zdaniach, więc Will nawet nie próbuje.

- Powiedz jej, że ją kocham.



Malcolm zna numer na pamięć. Dzwoni, ale od razu włącza się poczta głosowa.

- Cześć - mówi. - Słyszałem, że zostawiłaś męża. Wydaje mi się, że może to mieć jakiś związek z naszymi... hm... ustaleniami. - Nie wie, kto odbierze telefon i odsłucha to nagranie. Musi być ostrożny, ale jednocześnie wiarygodny. Chce zatrzeć ślady, udając, że ukrywa zupełnie inną tajemnicę. - Koniecznie muszę z tobą porozmawiać. - Zostawia swój numer, chociaż Chloe go przecież zna, po czym się rozłącza i przez dłuższą chwilę wpatruje w ekran, zastanawiając się, co jest grane. Niewątpliwie sprawy wymknęły się spod kontroli.



Will postanawia przespacerować się do domu na piechotę. To jakieś siedem kilometrów, dwie godziny drogi. Jest piękna pogoda: ciepło, sucho i bezchmurnie, a na dodatek wieje przyjemny wiaterek.

A może zamiast siedzieć w domu, pójdzie do baru dla singli i poderwie jakąś młodą laskę z kolczykiem w nosie. Hej, chcesz się zabawić? Przecież Chloe i tak myśli, że ją zdradza, więc co mu szkodzi? Po przygodzie z Elle może wreszcie zacząć prowadzić rozpustne życie.

Pogrążony w myślach idzie zatłoczonymi ulicami. Mija Bryant Park, Herald Square, Madison Square i Flatiron Building. Przechodzi przez Union Square i Washington Square Park. Wszędzie jest pełno ludzi. Na SoHo zaczynają go boleć nogi, ale nie daje za wygraną. Przecina Chinatown i Civic Center z gmachami, w których mieszczą się miejskie instytucje; klasyczna architektura, kolumny, portyki i szerokie fasady z wapienia.

Kiedy wchodzi na most Brookliński, ma wrażenie, że wspina się na nieboskłon. Słońce powoli chyli się ku zachodowi i wokół roztacza się

wspaniałą widok na port, Dolny Manhattan, centrum Brooklynu, most Manhattański i śródmiejskie drapacze chmur.

Jest już prawie na drugim brzegu, gdy nagle zatrzymuje się jak wryty.

- Czego ode mnie chcesz?

Na środku kładki z szerokich drewnianych desek stoi Elle i blokuje mu drogę. Z jednej strony mijają ją piesi, a z drugiej śmigają rowerzyści. Przed sobą ma Manhattan, gdzie mieści się redakcja „Travelers”, a za plecami dzielnicę, w której znajduje się jego dom.

- Dzwoniłam do ciebie.

- Wiem. - Cztery razy w ciągu ostatnich trzech dni. Wyznaczała kolejne spotkania, na których się nie pojawiał. Will rusza przed siebie szybkim krokiem, ale ona podąża za nim jak cień. - Czego chcesz?

- Chcę, żebyś odebrał pieprzony telefon.

- Ten? - Wyjmuje z kieszeni komórkę i pokazuje ją Elle. - O to ci chodzi? Elle milczy.

Will kiwa głową i przerzuca telefon przez barierkę. Urządzenie ląduje na jezdni, odbija się dwa razy od nawierzchni i wpada pod koła zdezelowanej furgonetki. Will jeszcze bardziej przyspiesza kroku. Kładka zaczyna opadać w dół.

- Co ty wyrabiasz?

- Dobrze pytanie. Co ja wyrabiam? Pracuję dla ciebie od pięciu miesięcy...

- Nie pracujesz dla mnie. Nie jesteś moją sekretarką.

- Jakie to ma znaczenie? Od pół roku składałam ci szczegółowe raporty na temat każdej minuty mojego życia, okłamuję wszystkich dookoła, opierdalam się w pracy i zaniedbuję dom. I wiesz co? Zostawiła mnie żona.

- Chloe? Kiedy?

- Jeśli chcesz ją odnaleźć i pokazać jej tę swoją sekstaśmę, to proszę bardzo. Już zrujnowałaś mi życie. Świetna robota! Mam nadzieję, że jesteś z siebie dumna. - Pod stopami Will czuje, że miękkie, sprężyste deski ustąpiły miejsca twardemu betonowi. - Kończę z tym. Odchodzę.

- Odchodzisz? - Elle wybucha śmiechem. - To nie jest zwykła praca. Naprawdę wydaje ci się, że możesz zwyczajnie zrezygnować?

Will wcale tego nie planował. Tak się po prostu stało. Sytuacja wymknęła się spod kontroli.

- Zatrzymaj się! - krzyczy Elle i chwyta go za ramię.

- Spadaj. - Most nagle się kończy. Will wyrywa się i zbiega ze schodów prowadzących na ulicę.

- Stój!

- Bo co? - Odwraca się. Pod przęsłem mostu jest już całkiem ciemno. Zapaliły się uliczne latarnie i migają reflektory samochodów. - Co masz zamiar zrobić? Zastrzelisz mnie? - Wyciąga szeroko ręce, jakby ją do tego zachęcając.

- Nie. Powiem ci prawdę.

- Okej. Słucham.

- Nie tutaj. - Stoją na chodniku, a nad ich głowami dudnią przejeżdżające po moście pojazdy. Pulsujący hałas odbija się echem od kamieni i betonu.

- Dlaczego?

- Will, nie zachowuj się jak idiota. Nie możemy rozmawiać w miejscu publicznym.

- Czemu nie? Kwestia bezpieczeństwa narodowego? - prycha lekceważąco. - Szczerze mówiąc, nie wierzę, że pracujesz dla CIA. - Elle piorunuje go wzrokiem. - Chciałem spotkać się z twoim szefem i co?

- Ma ważniejsze sprawy na głowie. Nie może być na każde twoje zawołanie. - Elle wyciąga rękę niczym matka, która każe dziecku wychodzić z piaskownicy. - Idziemy.

- Pierdol się - mówi Will i odwraca się na pięcie.

Nagle przy krawężniku hamuje z piskiem opon samochód i otwierają się tylne drzwi. Niemal w tej samej chwili ktoś mocno łapie Willa od tyłu.

Will stara się wyrwać, ale stojący za nim facet jest wysoki i mocno zbudowany. Will nie może się obrócić i wyprowadzić żadnego ciosu. Na dobrą sprawę nie jest nawet w stanie poruszyć rękami. Jedyne, co mu pozostaje, to unieść kolano i z całej siły grzmotnąć napastnika piętą w stopę. Mężczyzna zwalnia uścisk, co prawda nie do końca, ale na tyle, że Willowi udaje się wyswobodzić jedno ramię, wziąć zamach i walnąć go łokciem w brzuch. Rozlega się głucho łupnięcie.

Teraz Will może się odwrócić. Podnosi prawą rękę. Jest gotowy, a nawet chętny, żeby znokautować tego znajomo wyglądającego faceta. Tak, to na pewno Roger.

Jednak w tym samym momencie kobieta znana jako Eleanor Hardwick daje Willowi fangę i po raz drugi w czasie ich krótkiej, acz burzliwej znajomości powala go na ziemię.

Rozdział 26

Nowy Jork

Ktoś ściąga mu z głowy kaptur.

Will rozgląda się, mrużąc oczy w ostrym świetle jarzeniówek. Siedzi przy stole konferencyjnym, na którym stoi jakieś skomplikowane urządzenie przypominające telefon. Na niskim regale leżą materiały biurowe: kilka ryz papieru i pudełko ze spinaczami.

W pokoju nie ma okien. W jednej ścianie znajdują się drzwi otoczone panelami z matowego szkła, na drugiej wisi ekran ciekłokrystaliczny, na trzeciej oprawiona fotografia prezydenta USA, a na czwartej koliste godło CIA z laminowanego kartonu o średnicy dziewięćdziesięciu centymetrów: niebieskie tło ze złotą obwódką, orzeł z profilu, biała tarcza z eksplodującą gwiazdą w kolorze czerwonym, u dołu napis „Stany Zjednoczone Ameryki”, a u góry „Centralna Agencja Wywiadowcza”.

Na drugim końcu stołu siedzi Roger. Trzyma w ręku kaptur, który jeszcze w samochodzie założyli Willowi na głowę. Podróż trwała piętnaście minut. Will jest niemal pewien, że przejechali przez most, a potem krążyli po Manhattanie. Auto podskakiwało na wybojach i zatrzymywało się na światłach, a na koniec ostro skręciło i zjechało po stromej rampie do podziemnego garażu.

Na samym początku drogi Elle chwyciła za telefon.

- Przepraszam, że przeszkadzam. Chciałabym cię poinformować, że za chwilę będziemy. - Potem przez jakiś czas milczała, słuchając, co ma do powiedzenia jej rozmówca. - Bardzo mi przykro, ale to musi być dziś wieczorem.

Wyciągnęli Willa z samochodu i zaprowadzili do windy. Słyszał szum zamykanych drzwi, a potem dzwonek sygnalizujący, że dojechali na właściwe piętro. Ktoś złapał go za łokieć i wyprowadził na korytarz. Przeszli jakieś trzydzieści kroków, po drodze trzy razy zakręcając. Potem posadzili go na krześle i wreszcie zdjęli kaptur. Znowu mógł widzieć. Co za ulga.

Nagle rozlega się pukanie. Roger wstaje, podchodzi do drzwi, wychyla się i odbiera jakiś pakunek.

- Trzymaj. - Podaje Willowi torebkę z lodem i papierowe ręczniki związane gumką recepturką. Will przykładła zimny kompres do nosa. Dopiero teraz zauważa, że ma krwotok, rozciętą wargę i poluzowany ząb. To nawet zabawne: ci ludzie najpierw dają mu pięścią w twarz, a potem przynoszą lód.

Dziesięć minut później otwierają się drzwi i do pokoju wchodzi Elle, a za nią nieznamy facet w garniturze, ale bez krawata.

- Will Rhodes - mówi mężczyzna. - Rozumiem, że kategorycznie domagał się pan jak najszybszego spotkania z przełożonym agentki Hardwick. Czy to prawda?

Elle zajmuje miejsce na drugim końcu stołu. Will spogląda w jej stronę, ale ona milczy. Ma jednak taką minę, jakby chciała powiedzieć: „Proszę bardzo, przecież tego chciałeś”.

- Tak, zgadza się.

- Nazywam się Mike Russell. - Wyciąga rękę na powitanie. - Miło pana poznać.

Wymieniają uścisk dłoni, ale Will nie wstaje z krzesła.

- Czy mogę się dowiedzieć, jakie zajmuje pan stanowisko? - Will odkłada torebkę z lodem. - Da mi pan swoją wizytówkę?

- To, niestety, niemożliwe.

- Co się stanie, jeśli zadzwonię jutro do CIA i poproszę o rozmowę z Mikiem Russellem? Połączą mnie?

- Przykro mi, ale to działa zupełnie inaczej.

Mike ma na sobie źle dopasowany szarobrazowy garnitur z jednorzędową marynarką zapinaną na dwa guziki. Wyjątkowo niemodny strój dla słabo opłacanych urzędników. Coś takiego można dostać za dziewięćdziesiąt pięć dolarów w jednym z marketów z tanią odzieżą, które wyrosły jak grzyby po deszczu wokół dzielnic biurowych. To karykatura złego garnituru.

- Chce się pan czegoś napić? Może wody? - Mike wskazuje na zroszoną plastikową butelkę. Na szyjce widać naklejkę z ceną, \$1.29. Woda mineralna z pobliskiego sklepu.

Will kręci głową.

Mike siada przy stole między Willem a Elle.

- Obawiam się, że nie byłem z tobą do końca szczerą - mówi Elle.

Will prychnął z pogardą. „No co ty nie powiesz?”

- Poinformowałam cię, że zostałeś zwerbowany po to, by zbierać informacje na temat ludzi, których spotykasz podczas swoich zagranicznych wojaży. Niektórzy mogą okazać się dla nas cennymi źródłami

wywiadowczymi. To jednak tylko część prawdy, a w zasadzie jej niewielki fragment. W gruncie rzeczy oczekujemy od ciebie czegoś zupełnie innego.

Will spogląda na Mike'a. Trudno stwierdzić, czy jego koszula była kiedyś biała, czy została już wyprodukowana w kolorze żółtawej szarości. Jest naprawdę obrzydliwa. Razem z tanim garniturem stanowi strój, który kostiumolodzy z Hollywood mogliby zaprojektować dla postaci typowego nieudacznika.

Willowi wydaje się również, że Mike ma przekłute ucho. Nie za bardzo pasuje to do oficera CIA, ale przecież każdy był kiedyś młody.

- Prawdziwy cel tej operacji, twojej operacji, znajduje się o wiele bliżej i jest o wiele bardziej sprecyzowany. Interesuje nas przede wszystkim redakcja „Travelers”. - Will unosi brwi ze zdziwienia. - Zwerbowałeś cię, ponieważ jesteś tam nowy i nie zostałeś dopuszczony do kręgu wtajemniczonych. Nie masz więc pojęcia, co tam się rzeczywiście dzieje, i nie zacząłeś się jeszcze wysługiwać bestii.

- Że co?

- Przedsiębiorstwa można porównać do żywych organizmów. Mają głęboko zakorzeniony instynkt samozachowawczy. To chyba nic dziwnego, prawda? W końcu w każdej firmie pracują ludzie kierujący się własnym interesem. Wszyscy jesteśmy zwierzętami walczącymi o przetrwanie i chcemy tego, co dla nas najlepsze. Pragniemy żyć i odnosić sukcesy. Dostajemy pracę i zaczynamy być lojalni wobec szefostwa, dzięki czemu firma lepiej radzi sobie na rynku, a my mamy zagwarantowane źródło utrzymania. To rodzaj symbiozy.

- O czym ty mówisz?

- Pracuję dla Centralnej Agencji Wywiadowczej, Will. Jestem lojalna wobec swojej firmy nie tylko dlatego, że CIA zajmuje się ważnymi sprawami i realizuje szczytne cele, lecz także ponieważ zapewnia mi środki do życia. Zależy mi na sukcesach Agencji, bo wtedy sama jestem w stanie przetrwać.

Will czuje, że lód zaczyna go parzyć.

- Jestem pewna, że Malcolm Somers ma taki sam stosunek do „Travelers”. Przecież pracuje tam od bardzo dawna. Tak samo Gabriella Rivera. Nie mam wątpliwości, że oboje są lojalni wobec firmy, dzięki czemu magazyn nadal nieźle sobie radzi, a oni utrzymują się na powierzchni. Rozumiesz?

- Owszem, to nie jest fizyka kwantowa.

- Czasami walcząc o przetrwanie, mamy rozbieżne cele i dochodzi do konfliktów. Rzecz jasna można to poddać ocenie wartościującej, ale żaden

osąd etyczno-moralny nie zmienia istoty problemu. Chodzi o antagonizm. To proste i uniwersalne.

- Masz zamiar przejść do sedna?
- Gdzieś ci się spieszy, Will? Masz randkę ze swoją żoną?
- Odpierdol się ode mnie.

Will ma wrażenie, że Mike z trudem powstrzymuje uśmiech.

- Jak sobie życzysz - mówi Elle. - Tak więc CIA i „Travelers” są ze sobą w konflikcie. Jedna z tych firm to rządowa agencja zajmująca się zbieraniem i analizowaniem informacji, od których zależy bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych. A ta druga robi coś wręcz przeciwnego.



Tajny gabinet pozbawiony jest okien i przez ani jeden dzień w roku nie wpada do niego naturalne światło. Od reszty budynku odgradza go zwyczajne biuro: duże, widne i przestronne, z regałami wypełnionymi książkami i ze ścianami, na których wiszą zdjęcia starych okładek pisma i zajmująca cztery metry kwadratowe makietą kolejnego numeru.

W sekretnym pokoju czas się jednak zatrzymał. Wystrój tego pomieszczenia nie zmienił się od siedemdziesięciu pięciu lat, czyli od czasów założenia „Travelers”. To miejsce zostało stworzone tylko w jednym celu - by jeden konkretny człowiek mógł skontaktować się z innym konkretnym człowiekiem.

- Mam coraz więcej problemów - mówi Malcolm.
- Czego potrzebujesz, żeby je rozwiązać?
- Musimy wtajemniczyć Rhodesa.
- Jesteś pewien, że to dobry pomysł?
- Nie mamy wyboru.
- A co, jeśli się wystraszy i pojawi się ryzyko, że zacznie sypać?

Malcolm chciałby powiedzieć coś w stylu: „Nie ma sensu martwić się na zapas”, ale zamiast tego stwierdza:

- Zatrzymamy go i poczekamy, aż zmieni zdanie.
- A co, jeżeli nie zmieni?
- Spokojnie, wiem, jakie są zasady.
- Na pewno?
- Tak.
- W porządku. Kiedy?

- Jutro.

- Dlaczego nie dziś?

Malcolm ma inne plany na wieczór. Idzie na koncert fortepianowy swojej córki. Ostatnio nauczyła się korzystać z pedałów i gra już obiema rękami. Musi tam być, szczególnie że ostatnim razem nawalił. To było kilka miesięcy temu.

- Wolałbym jutro - powtarza.

Przygotował dość skomplikowane kłamstwo mające uwiarygodnić jego wybór, ale wolałby z niego nie korzystać. Całe szczęście człowiek po drugiej stronie słuchawki nie zadaje więcej pytań.



- To absurdalne.

- Naprawdę tak myślisz, Will? - Elle wpatruje się w niego przez sekundę, jakby czekając na odpowiedź, a potem kontynuuje: - Czy przewozisz przez granicę zaplombowane koperty z pieczętką „Tajne. Do rąk własnych”?

- Przecież nikt nie chowałby ważnych informacji w kopertach z takim napisem.

- Czyżby? A może właśnie tak to się robi? Przekazywałeś je ludziom, których nie znasz. Jakimś podejrzanym typom w Paryżu, Dublinie, Sztokholmie, Berlinie i Atenach, a nawet w Kairze i Bejrucie. - Will milczy. - Niektóre z kopert wracały. Dostawałeś polecenie doręczenia ich Somersowi. Tylko Somersowi. Jeśli to rzeczywiście dokumenty kadrowe, to czemu nie trafiały bezpośrednio do działu HR? Dlaczego redaktor naczelny odgrywał rolę pośrednika?

Elle wygląda, jakby naprawdę interesowała ją odpowiedź na to pytanie.

- Nie mam pojęcia.

- Dla mnie to oczywiste. Te papiery nie miały nic wspólnego z działem HR.

- W takim razie co było w kopertach?

- A jak myślisz?

- Nie wiem. - Elle nie odrywa od niego wzroku, spodziewając się, że jednak coś powie. - Jakiego wyjaśnienia ode mnie oczekujecie? Sami wymyśliliście tę niedorzeczną teorię.

- Jak to się dzieje, że „Travelers” ciągle utrzymuje się na powierzchni? W ciągu ostatnich pięciu lat wpływy z reklamy spadły o czterdzieści procent, a

liczba prenumeratorów obniżyła się o połowę. Sprzedaż w kioskach poleciała na łeb na szyję. Firmie powinno grozić bankructwo, a tymczasem nie dokonano żadnych cięć budżetowych, prawda? Czy szefowie „Travelers” robią coś inaczej niż inne czasopisma? Znają jakiś sekret, który sprawia, że papierowy magazyn wraz ze swoją przybudówką, czyli siecią tradycyjnych biur podróży, wciąż zachowuje rentowność?

Will nie ma bladego pojęcia, jak to możliwe. Nie zna się na prowadzeniu biznesu.

- Przyjrzyjmy się teraz Malcolmowi Somersowi. Nie sądzisz, że ma więcej kasy niż przeciętny redaktor naczelny? Mieszka w luksusowym apartamencie, a lato spędza w wakacyjnym domu w Hamptons.

- Tylko go wynajmuje...

- Kiedy jego żona zrezygnowała z pracy? Dekadę temu? Mimo to dzieci chodzą do prywatnej szkoły. Wiesz, ile wynosi chesne? Czterdzieści trzy tysiące dolarów rocznie za łebka. Muszą tam serwować naprawdę niezłe lunchy.

Zawsze myślał, że Somersowie mają inne źródła dochodów. Podejrzewał, że Allison pochodzi z bogatej rodziny, ale nigdy o to nie zapytał. Z zasady nie rozmawia o finansach osobistych, nawet z własną żoną.

- A Gabriella Rivera? Stoicie mniej więcej na równi w hierarchii zawodowej, więc wasze zarobki powinny być w przybliżeniu takie same. Gabriella może dostaje odrobinę wyższą pensję, ponieważ jej stanowisko ma bardziej efektowną nazwę. Jak sądzisz?

Will nie ma zamiaru przyznawać Elle racji, ale trudno się z nią nie zgodzić.

- Tymczasem Gabriella prowadzi dość ekstrawagancki styl życia i ma dużo więcej pieniędzy od ciebie. Jest właścicielką ogromnego mieszkania na Upper East Side. Nie jest też w ogóle zadłużona.

Will słyszał, że ten apartament jest w jakiś sposób powiązany z rodziną jej zmarłego męża. W każdym razie istnieje jakieś wyjaśnienie, dlaczego Gabriella może sobie na niego pozwolić. A co, jeśli to tylko oficjalna wersja... ?

- A ty? Mieszkasz w domu, który w każdej chwili może zostać przeznaczony do rozbiórki, czyż nie? - Will milczy. - Nieruchomość leży na Brooklynie, na granicy slumsów. Poza tym toniesz po uszy w długach. Jak wyjaśnisz tę ogromną różnicę?

Elle robi przerwę. Albo czeka na odpowiedź, albo chce, żeby te wszystkie

fakty dotarły do jego świadomości i ułożyły się w logiczną całość.

- Czy teraz to dla ciebie jasne?

Will kątem oka zauważa, że Mike wykonuje jakiś ruch. Okazuje się, że tylko spogląda na zegarek. Przywieźli go tutaj, żeby był świadkiem ich rozmowy. Pewnie czuje się jak na tureckim kazaniu. Willowi udaje się odczytać godzinę. Zegarek ma biały cyferblat i cienkie wskazówki. Za kwadrans dziewiąta. Z tej odległości nie widać niestety nazwy producenta, ale Will ma wrażenie, że rozpoznaje logo: stykające się ze sobą litery J i L, jedna będąca lustrzanym odbiciem drugiej. Może J. Lindeberg? Mike nie wygląda jednak na faceta, który nosiłby zegarek szwedzkiej marki produkującej odzież i akcesoria dla młodych ludzi. To musi być coś innego.

- Co się twoim zdaniem stało z Jonathanem Mongeleachem? - pyta Elle.

- Hm? - Will wciąż nie może oderwać wzroku od nadgarstka Mike'a.

- No wiesz, wszyscy go lubili. Był duszą towarzystwa, miał wielu przyjaciół, prowadził ekscytujące życie. Pisały o nim gazety, najczęściej na szóstej stronie w dziale „Styl”. - Co w tym niby złego? - I ktoś taki nagle znika.

Will wzrusza ramionami.

- Całą swoją karierę zawodową poświęcił magazynowi, a przez połowę tego czasu stał na jego czele. Pewnego dnia zapadł się pod ziemię. Rozumiesz coś z tego?

- Nic nie wiem o życiu Jonathana.

- Ale masz chyba jakieś podejrzenia? Na pewno rozmawiałeś o tym z Somersem. W końcu dzięki zniknięciu Mongeleacha obaj dostaliście nową pracę. To miało dla ciebie niebagatelne znaczenie.

- Krążyło wiele plotek. - Większość dotyczyła życia erotycznego Jonathana. Miał rzekomo skłonność do blondynek o skandynawskiej urodzie. Trzeba jednak pamiętać, że ludzie najchętniej powtarzają pogłoski dotyczące seksu. Ten temat zawsze cieszy się powodzeniem. - Nie byłem jednak w stanie ich zweryfikować.

- Jasne, ale co wydaje ci się najbardziej prawdopodobne?

Will nigdy nie wyciągnął żadnych jednoznacznych wniosków w sprawie zniknięcia Jonathana.

- A może wreszcie powiesz mi, do czego zmierzasz?

- Chcielibyśmy, żebyś sam do tego doszedł. Na pewno potrafisz.

- Do kurwy nędzy, czego ode mnie chcecie?! - krzyczy tak głośno, że zebrani aż podskakują z wrażenia. - Jezu Chryste, powiecie mi wreszcie, o co

chodzi? !

Elle odsuwa się od stołu, a na jej twarzy pojawia się złośliwy uśmiech.

- „Travelers” - oświadcza - zajmuje się zdobywaniem i sprzedażą skradzionych danych wywiadowczych. Pracujesz więc dla najemnej siatki szpiegowskiej. - Will nie ma pojęcia, w jaki sposób mógłby obalić ten zarzut. To, co przed chwilą usłyszał, brzmi całkiem wiarygodnie. - Na dodatek popełniłeś zradę stanu. Wiesz, jaka za to grozi kara?

Część czwarta

Rozdział 27

Nowy Jork

Will powoli i ostrożnie zbliża się do swojego domu.

Z jakiegoś powodu nie świeci się dzisiaj latarnia uliczna, przy drzwiach wejściowych wciąż nie zainstalowano kinkietów, a w środku nie ma nikogo, kto mógłby włączyć światło. Pusty dom przyprawia go o gęsią skórę.

Wyjmuje klucz, ogląda się przez ramię i zaczyna wchodzić po schodach, zdając sobie sprawę, że wybałusza oczy i kuli ramiona jak zastraszony mieszczuch.

W środku przekręca każdy kontakt, który napotyka na swojej drodze. Nalewa sobie whisky na trzy palce, osiemnastoletnia single malt od niewielkiego producenta, jeden z łupów zdobytych na jakiejś imprezie promocyjnej albo konferencji prasowej. Will dostaje dużo prezentów: butelki dobrych alkoholi, ręczniki plażowe, okulary przeciwsłoneczne, bejsbolówki, darmowe noclegi w hotelach, wykwintne posiłki w restauracjach, a nawet weekendowe wyjazdy all inclusive do luksusowych ośrodków wypoczynkowych. Niestety, żadną z tych rzeczy nie da się zapłacić rachunków.

Pije duży łyk i odstawia szklanę na blat z polerowanego czarnego granitu. Obok zlewu widać mały otwór zatkany korkiem, ponieważ do tej pory Willowi nie udało się kupić dozownika do mydła. Stołek barowy znalazł natomiast na ulicy. Przed nocną zbiórką śmieci wielkogabarytowych ktoś wystawił go na chodnik z naklejoną karteczką „Za darmo!”. Will przytargał go do domu, umył i wkręcił brakującą śrubę, dzięki czemu siedzenie przestało się chybotać. Pewnie właśnie dlatego ktoś pozbył się tego mebla. Poprzedni właściciel był zbyt leniwy, żeby dokonać tak banalnej naprawy albo miał to gdzieś. A może stołek po prostu mu się nie podobał. Trzeba przyznać, że nie jest specjalnie wygodny.

Will stara się zrozumieć główne zarzuty CIA: Jonathan Mongeleach został zdrajcą do wynajęcia, ponieważ musiał zarobić na swój ekstrawagancki styl życia - kobiety, hazard, imprezy i narkotyki. Jako redaktor naczelny zarabiał psie pieniądze, przynajmniej w porównaniu ze swoimi znajomymi, a obracał

się w środowisku, w którym dosłownie roilo się od milionerów, dzieciaków z bogatych rodzin i europejskiej arystokracji.

Zwęszył swoją szansę w połowie lat osiemdziesiątych, kiedy to królowała wszechobecna chciwość, a Reagan robił wszystko, żeby doprowadzić zimną wojnę do zwycięskiego końca. W tych niepewnych czasach świetnie radzili sobie rozmaici spekulanci i kombinatorzy: producenci broni, inżynierowie lotnictwa, handlarze narkotyków z Azji Środkowej i przywódcy związkowi z Ameryki Łacińskiej. Z nadarżającej się okazji skorzystał więc i amerykański cywil. Na każdej wojnie, nawet zimnej, można nieźle zarobić.

Nie wiadomo, czy Jonathanowi przeszkadzało, że z ofertą zgłosili się do niego Rosjanie. Może przyjął tę propozycję z radością? Trudno powiedzieć, ponieważ nigdy nie ujawnił swoich poglądów politycznych. Jednak czyny przemawiają głośniejszym niż słowa. Zdradził swoją ojczyznę: został kurierem przekazującym z Waszyngtonu do Moskwy skradzione dane wywiadowcze. Informacji dostarczali mu skorumpowani dyplomaci i zdemaskowani współpracownicy CIA, a punktami przerzutowymi były radzieckie ambasady.

Po jakimś czasie rozszerzył swoją działalność i zajął się zbieraniem plotek: kto z kim sypia, kto ma problemy z narkotykami, kto jest ukrytym homoseksualistą. Miał świetne kontakty i dużo podróżował, więc okazał się dla KGB niezastąpiony w wyszukiwaniu wysoko postawionych źródeł informacji, gotowych do współpracy za pieniądze. To był prosty układ.

Sytuacja się skomplikowała, kiedy został redaktorem naczelnym „Travelers”. Postanowił włączyć część personelu w działalność kuriersko-szpiegowską. Czasopismo stało się świetnym kamuflażem, a pracownicy, świadomie lub nie, zaczęli pełnić funkcję tajnych agentów. Jonathan zwerbował Malcolma, prawdopodobnie Gabriellę i kilka innych osób.

Po zakończeniu zimnej wojny i rozpadzie Związku Radzieckiego Moskwa nadal bardzo chętnie kupowała dane skradzione z centrali CIA w Langley. Okazało się, że postkomuniści są jeszcze bardziej spragnieni tajemnic niż partyjni aparatczycy. Nowe elity rozkradały majątek swojego kraju i niszczyły jego potęgę. Dla nich grabież była codzienną praktyką, a nie ostatecznością.

Elle twierdziła, że szpiegowski proceder kwitnie od przynajmniej trzydziestu lat. W tym czasie władze w Moskwie w dużym stopniu uzależniły się od nieprzerwanego strumienia informacji, które wykradali z CIA pracownicy „Travelers”. Rosjanie nie chcieli, żeby to źródło wyschło i zastosowali środki zapobiegawcze. Jonathan planował iść na emeryturę, więc

do przejścia po nim schedy zaczęto szykować Malcolma. W zeszłym roku Mongeleach zniknął - być może został do tego zmuszony albo sam tak zdecydował. Jego miejsce zajął Malcolm i od razu zatrudnił Willa, który dołączył do prawdopodobnie dość szerokiego grona niczego nieświadomych szpiegów.

Z jednej strony to wszystko brzmiało naprawdę wiarygodnie, lecz z drugiej nie trzymało się kupy. Nie istniała jednak osoba, która mogłaby pomóc Willowi w rozwikłaniu zagadki i ustaleniu, co jest prawdą. Rzecz jasna poza Malcolmem, ale jego odpowiedź nie byłaby wiarygodna.

Dzwoni telefon. Czyżby wreszcie Chloe uznała, że czas skontaktować się z mężem? Nie, to tylko budzik, informujący, że minęło piętnaście minut. Will znowu przykłada do obolałej szczęki torebkę z lodem.

Kiedy Elle skończyła swój długi wywód, Will wbił wzrok w wielkie godło CIA. Dlaczego je tu powieszono? Żeby przypomnieć ludziom, gdzie pracują?

- Co się stało z Jonathanem? - zapytał.

- Nie wiemy. Mógł uciec, ponieważ przestraszył się, że go złapiemy.

- Do Rosji?

- Uważasz, że jest typem faceta, który chciałby mieszkać w Rosji? - Will nie ma pojęcia, jakiego typu facetem jest, albo był, Jonathan Mongeleach. - Możliwe również, że przestał być użyteczny albo stracił wiarygodność, i dlatego go zlikwidowali.

Na minutę zaległa cisza. Will dostał to, o co prosił: spotkał się z szefem i dowiedział się, na czym polega operacja, w której bierze udział. Nie miał pojęcia, o co jeszcze powinien zapytać, ani czego się spodziewać.

- W porządku - stwierdził. - Jakie macie wobec mnie oczekiwania?



Wypuszczają powietrze, jakby przez wiele godzin wstrzymywali oddech.

- Nieźle - mówi Roger. Elle tylko przytakuje. - Myślisz, że się udało?

- Na pewno. - Sama nie jest o tym przekonana, ale co ma im powiedzieć? Z ich strony nie może już liczyć na konstruktywną krytykę. Nie w tym momencie.

- Niewiele brakowało. - Roger lekko się uśmiecha i kręci głową, zdziwiony, że wszystko poszło po ich myśli.

- Tak, masz rację. - Elle odwraca się do drugiego mężczyzny. - Mike, dzięki, że udało ci się przyjechać w tak krótkim czasie.

- Żaden problem. Planowaliśmy to na przyszły tydzień, prawda?

- Tak. - Na jej twarzy pojawia się uśmiech. Nie może się jednak powstrzymać i znowu spogląda na jego nadgarstek. Popęłił błąd. Kiedy do niego zadzwoniła, siedział w barze. Poszedł do domu, żeby się przebrać w garnitur, ale zapomniał zdjąć zegarek. Czy Will to zauważył?

- Myślisz, że to zrobi? - pyta Roger.

- Wkrótce się dowiemy.



Will chowa głowę pod poduszkę i zapada w niespokojny sen. Co jakiś czas się budzi i widzi na zegarze kolejne godziny, siódmą, a potem ósmą. Dokucza mu spuchnięta szczęka i dręczy kac po wypitych wieczorem pięciu szklaneczkach whisky. Nie może też uspokoić myśli, ale trudno się dziwić - w końcu jego świat wywrócił się do góry nogami.

O dziewiątej zwleka się z łóżka. Powinien być w biurze za godzinę, ponieważ dopiero wtedy redakcja zaczyna tętnić życiem. Nie chce wzbudzać podejrzeń i narażać się na niepotrzebne pytania, w każdym razie nie po tym, czego dowiedział się wczoraj, i biorąc pod uwagę to, co ma zrobić dzisiaj.

Grzebie w szafce z lekami. Co to za szajs? Kremy, balsamy i żele, leki przeciwhistaminowe, przeciwzapalne i antyseptyczne, niebieskie tabletki jakiegoś antydepresantu. W szafce znaleźć można farmaceutyki warte setki, a może nawet tysiące dolarów, ale gdzie, do kurwy nędzy, są środki przeciwbólowe? Szczęka naprawdę daje mu się we znaki. Chyba musi przestać wdawać się w bójki.

Wreszcie udaje mu się namierzyć w kącie bursztynową buteleczkę. Receptę na ten lek wypisał dentysta przed jakimś zabiegiem poważniejszym, niż można się było spodziewać. Will zdejmuje zakrętkę... Co takiego? Tylko jedna tabletkę? Połyka ją i spogląda na etykietę. Przysługuje mu jeszcze jedno opakowanie. Na pewno będzie go potrzebował, więc dzwoni do apteki na Lower East Side, z której usług korzystają z Chloe od wielu lat. Od kiedy przeprowadził się na Brooklyn, nie potrzebował farmaceuty, więc nie znalazł niczego w najbliższej okolicy.

Lekarstwo będzie gotowe za kilka godzin. Odbierze je w czasie przerwy na lunch.

Nie odkłada komórki, lecz po raz kolejny wybiera numer Chloe. Od razu włącza się skrzynka pocztowa. Telefonuje więc do teściowej. Rozmowa jest

krótka i frustrująca.

- Przekaż Chloe, że dzwoniłem.

- Jasne - mówi Connie. - Nie dawaj za wygraną, Will.

Rozpakowuje urządzenie, które dostał wczoraj w biurze CIA, po czym wkłada je do swojej płóciennie-skórzanej torby i chowa między kilka magazynów. W nocy sporo się o nim dowiedział. Niestety, nie mógł znaleźć w internecie instrukcji obsługi tego konkretnego modelu. Ma jednak nadzieję, że sobie poradzi.



- Czy wszyscy pamiętają, że do piątku należy przesłać aktualne wersje biogramów? - Gabriella rozgląda się po sali konferencyjnej, zatrzymując wzrok na tych osobach, które mogą zignorować narzucony termin. Nie da się ukryć, że zadanie jest męczące. Trzeba wziąć udział w sesji zdjęciowej, szczegółowo i bez kompleksów opisać swoje życie, zebrać linki do starych artykułów, wystąpień telewizyjnych i autorskich stron internetowych, a następnie załadować pliki na odświeżoną witrynę magazynu „Travelers”. Pracownicy mają za zadanie pokazać, że są prawdziwymi osobowościami, niemal gwiazdami w swoim fachu. Powinni z wypiętą pierśią obnosić się z sukcesami, żeby zrobić wrażenie na internautach i zapewnić nowej stronie powodzenie.

Will spogląda na Gabriellę. Od kilku miesięcy to ona prowadzi zebrania robocze. Malcolm przekazał jej tę funkcję w ramach zwiększania liczby obowiązków menadżerskich. Kiedy wróciła z zagranicy, została mianowana zastępcą redaktora naczelnego. Wcześniej zajmowała obecne stanowisko Willa - była europejskim korespondentem „Travelers”. Jednak po tym, co przydarzyło się jej mężowi w Afryce, straciła ochotę na latanie samolotem po świecie i wałęsanie się po ciemnych ulicach podejrzanych dzielnic. Nie sprawiało jej to przyjemności i przestała być w tym dobra.

Wróciła do Nowego Jorku i przekazała swoje obowiązki nowo zatrudnionemu Willowi. Sama natomiast zajęła się układaniem harmonogramów, logistyką i finansami. Została też twarzą magazynu - chodziła na spotkania z reklamodawcami, brała udział w targach branżowych i występowała w telewizji. Dostała wyższą pensję i prawie każdej nocy spała we własnym łóżku.

Ale czy to znaczy, że nie sprzedawała już tajemnic państwowych agentom

obcych służb? A może powierzono jej nowe zadania szpiegowskie? Czyżby codziennie przychodziła do pracy i wszystkich okłamywała?

Will przez całe życie dawał ludziom wysoki kredyt zaufania. Starał się ich poznać i przynajmniej przez chwilę spojrzeć na świat ich oczami. Prawie zawsze z wielką ulgą stwierdzał, że nawet pozornie najczarniejsze dusze kryją w sobie ogromne pokłady człowieczeństwa. Utwierdzało go to w jego optymizmie, ale ten czas już się skończył. Teraz wszędzie widział nieufność, kłamstwo i zdradę. Jego świat legł w gruzach.

- Czy podjęto już decyzję w sprawie tematu kolejnego numeru specjalnego? - pyta Vito. - Ostatni był o jedzeniu.

Gabriella spogląda na przeciwny kraniec stołu. Wszyscy zebrani podążają za jej wzrokiem. Malcolm podnosi głowę i zabiera głos:

- Podejrzewam, że zdajecie sobie sprawę, jak bardzo jestem zniesmaczony tą decyzją. - Bierze do ręki okulary. Wygląda jak Cronkite ogłaszający śmierć Kennedy'ego. - Niestety, w marcu wydajemy pierwszy dodatek poświęcony towarom luksusowym. - Słysząc jęk zawodu. - Co mogę powiedzieć? W takim świecie przyszło nam żyć.



Will zamyka się w swoim pokoiku i wyjmuje urządzenie z torby. Jest większe, niż mu się wczoraj wydawało, bardziej rzuca się w oczy.

Patrzy na zegarek: 11.52.

Dzwoni telefon. To asystentka z działu graficznego. Will nie odbiera. Zdejmuje z półki kilka książek, układa je na biurku w stos i chowa między nimi urządzenie, tak żeby wyglądało jak kolejny wolumin. Następnie rozrzuca na blacie teczki z dokumentami, długopisy, czasopisma wydawane przez konkurencję, otwarty słownik i poradnik dobrego stylu. W zazwyczaj starannie uporządkowanym wnętrzu stara się stworzyć wrażenie twórczego bałaganu.

Przechodzi przez pokój i staje w progu, żeby ocenić wynik swojej pracy. Rozgardiasz wygląda mało przekonująco, ale może dlatego, że Will zdaje sobie sprawę z tego, jak powstał.

Jest 11.54.

Na podłodzie leży otwarta torba. Sięga po nią i zaczyna szukać kabla, ale nigdzie nie może go znaleźć. Czyżby zostawił go w domu? Niech to szlag.

Stara się sobie przypomnieć, co robił wczoraj wieczorem i dziś rano.

Kiedy mógł wyjąć przewód z torby? Gdzie go położył? I po jaką cholere to zrobił?

Rozgląda się w popłochu i właśnie wtedy dostrzega zgubę - leży na samym środku zawalonego papierami biurka. Tak bardzo kombinował, że niemal oszukał sam siebie.

Spogląda w stronę drzwi. Pusto. Patrzy na zegarek: 11.55.

Znowu dzwoni telefon. Tym razem to Jean, dyrektor artystyczna. Nie teraz.

Podłącza kabel do komputera, odwraca się, żeby sprawdzić, czy na pewno nikt go nie obserwuje, po czym wkłada wtyczkę do urządzenia. Siada na krześle i podnosi wzrok...

W progu stoi Malcolm.

Rozdział 28

Nowy Jork

Elle położyła urządzenie na stole. Wyglądało jak powieść w twardej oprawie. W oczy rzuciła się obwoluta z metalicznego papieru, w jaskrawych kolorach, z napuszoną notką reklamową, jakby wydawca chciał dać do zrozumienia, że to niezwykle ważna, być może nawet niebezpieczna publikacja.

Will miał wrażenie, że siedzą w sali konferencyjnej już od wielu lat. Zupełnie stracił rachubę czasu, nie wiedział, która jest godzina, w jakiej części miasta się znajduje, kim są ci ludzie i czego od niego chcą. Czuł się kompletnie zagubiony.

- Co to jest? - zapytał.
- Rodzaj komputera.
- A konkretnie?

Chociaż obwoluta celowo wprowadzała w błąd, urządzenie nie było wcale wykonane z papieru i kleju. To był metalowy przedmiot w kartonowym futerale.

- Widzisz gniazdko? O tutaj, w tym miejscu.
- To trochę psuje kamuflaż.
- Tak, ale tylko wtedy gdy urządzenie jest podłączone. Poza tym wygląda jak książka.
- Aha.
- Codziennie o piątej po południu redakcyjny serwer tworzy kopię zapasową plików wszystkich użytkowników. Rozumiesz?

- Chodzi o cały personel czy tylko o jego część?

Na twarzy Elle pojawia się grymas niezadowolenia.

- To jest niezwykle pojemny twardej dysk - wyjaśnia, stukając palcem w urządzenie. - Można na nim zapisać dosłownie każdy plik z komputerów „Travelers”. Jednak żeby skopiować zawartość serwera, trzeba najpierw złamać zabezpieczenia. To może zająć trzydzieści minut, ale równie dobrze cztery, a nawet pięć godzin. Wiele zależy od przypadku. Nie jesteśmy w stanie przewidzieć, ile czasu potrzeba. Musisz podłączyć urządzenie do

swojego komputera stacjonarnego w południe, odłączyć o wpół do szóstej i jak najszybciej mi je oddać. Ten sprzęt nie powinien leżeć w redakcji dłużej niż to konieczne.

Will zaczął wyobrażać sobie osoby, które mogą wejść nieproszone do jego pokoju: Malcolm, Gabriella, dyrektor artystyczna, któryś z redaktorów, personel sprzątający.

- Co się stanie, jeśli ktoś to zobaczy?

- Zależy kto.

- Na przykład Malcolm. Co wtedy?

- Mamy przesrane. To znaczy ty masz przesrane, bo Malcolm nie ma pojęcia o moim istnieniu.

- Jak wtedy zareagować?

- Przede wszystkim nie możesz do tego dopuścić.

- To takie proste?

- Co mam ci powiedzieć, Will?

- Czy musimy przeprowadzać tę akcję akurat jutro?

- Dlaczego nie?

Na chwilę zaległa cisza.

- Słuchaj, to z twojego powodu przyspieszyliśmy bieg spraw. Sam tego chciałeś. - Elle wskazała gestem na biuro CIA. - Przycisnąłeś nas i teraz nie możemy zwlekać. Jak najszybciej trzeba im się dobrać do skóry. Potrzebujemy twardych dowodów. - Will skinął głową. - Jeszcze jedno: nie ufaj nikomu, kto ma jakiegokolwiek związek z „Travelers”.

- Przecież moja żona dla nich pracuje - prychnął Will.

- Tak, zdaję sobie z tego sprawę.

~ ♦ ~

Will czuje, że serce podchodzi mu do gardła. Z całych sił stara się nie spojrzeć na kabel łączący atrapę książki z komputerem. Nie ma pojęcia, czy stojący w drzwiach Malcolm - jego szef, przyjaciel, tajny agent i potencjalny wróg - zorientuje się, że coś jest nie tak.

- Wszystko w porządku, Rhodes? - Malcolm wygląda na zaniepokojonego. Will nie jest jednak pewien, czy to szczerza troska. - Nie wdajesz się chyba w kolejną bójkę?

- Nie. - Will maca swoją szczękę. - Chociaż w zasadzie tak. Tym razem zaatakowała mnie poręcz. I to we własnym domu.

- Musisz mi mówić, że planujesz się upić w samotności. Chętnie dotrzymam ci towarzystwa. - Malcolm wciąż sterczy w progu i przygląda się panującemu w pokoju bałaganowi. Doskonale zdaje sobie sprawę, że Will jest pedantem. To żadna tajemnica. Wszyscy o tym wiedzą. - Na pewno nic się nie stało?

Nie, myśli Will. Absolutnie nic.

- Odezwała się do ciebie Chloe? - Will kręci głową. - Słuchaj, masz może chwilkę? - Malcolm kładzie rękę na klamce, jakby miał zamiar zamknąć za sobą drzwi. Kurwa, tylko nie to...

- Aha.

Nagle w drzwiach staje dziewczyna z działu graficznego.

- Will? Próbowałam się do ciebie dodzwonić. Jean na gwałt cię potrzebuje. Musimy się pospieszyć, bo numer idzie dzisiaj do drukarni.

Will spogląda na Malcolma. Szef zaciska usta, zastanawiając się, czy skorzystać z autorytetu redaktora naczelnego i zatrzymać pracownika, czy pozwolić mu zająć się jego obowiązkami.

Spogląda na zegarek i głośno wzdycha.

- Okej, Rhodes, nie będę ci przeszkadzał. Możemy wyskoczyć wieczorem na drinka? Muszę z tobą pogadać.

Will nie ma na to najmniejszej ochoty, ale co może powiedzieć?

- Jasne, Mal. - Wstaje z krzesła i z trudem powstrzymuje chęć uporządkowania biurka. - Z przyjemnością.

~ ♦ ~

Dział graficzny zajmuje duże pomieszczenie bez ścianek działowych. Białe meble, duże monitory, wszędzie drukarki i skanery. Przypomina to salę informatyczną w szkole średniej. Nawet pracownicy starają się wyglądać jak nastolatki: trampki, džinsy, T-shirty, słuchawki na głowie, a gdzieś w kącie deskorolka.

- Dziękuję, że przyszedłeś. - Jean podchodzi do wielkiego ekranu, przed którym siedzi Vito i przegląda jakieś zdjęcia. - Potrzebujesz pomocy? - zwraca się do Sir Parmezana.

- Nie, nie. Czekam na Penelopę. Musimy...

- Szczerze mówiąc, mało mnie to obchodzi. - Jean jest znana z lekceważącego stosunku do korporacyjnej etykiety. - Mógłbyś się przesunąć?

Vito wykonuje jej polecenie i robi trochę miejsca.

- Widzisz górny rząd? - Jean wskazuje na kilka fotografii, na których dominuje bujna zieleń. - Czy to są te same góry? Dostałam od ciebie listę z opisami, ale nie jest to dla mnie jasne.

Will przysuwa się do monitora i patrzy na zdjęcia.

- Tak, w okolicach Edynburga.

- W Szkocji? - pyta Vito.

- A jest jakiś inny Edynburg?

- Mógłbym przysiąc, że to Islandia.

- Byłeś na Islandii? - Will nie potrafi sobie wyobrazić tego potężnie zbudowanego Afroamerykanina przechadzającego się po skandynawskiej wyspie.

Vito kręci głową.

- Nie, ale pracowałem nad artykułem o tym kraju. Było bardzo dużo fotografii.

- Nigdy nie opublikowaliśmy tekstu o Islandii.

- Ależ nieprawda.

Will nie jest sobie w stanie niczego podobnego przypomnieć.

- Przeczesalem całe archiwum i nic takiego nie znalazłem.

- Musiałeś coś przeoczyć albo ktoś zabrał ten numer, co wcale nie jest takie dziwne, biorąc pod uwagę zachowanie niektórych ludzi w tej firmie. - Vito od zawsze walczy z kolegami, którzy w różnym stopniu nie szanują własności, czasu i pracy innych. Świat nie jest tak uporządkowany, jakby Vito sobie życzył.

- Pamiętasz, kiedy to było?

- Tak i to bardzo dobrze: końcówka tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego. Mój początek w „Travelers”. Byłem asystentem i po raz pierwszy pracowałem z Jonathanem.



Will musi użyć obu rąk, żeby ściągnąć z półki segregator z numerami z drugiej połowy 1994 roku. Kładzie go na podstawce do maszyny do pisania, którą ktoś zostawił na stole w czasach, kiedy jeszcze korzystano z takich urządzeń.

Poszczególne egzemplarze są ze sobą pospinane, ale każda okładka jest oznaczona kawałkiem grubego kartonu. Will zaczyna przeglądać zawartość: lipiec, sierpień, wrzesień, październik i...

Grudzień.

Zaczyna od początku, tym razem weryfikując numerację stron. Robi to powoli, żeby nie popełnić błędu.

Znowu to samo. Brakuje listopada 1994 roku.

Odwraca segregator. Sprawdza, jaki mechanizm spinający zastosowano i jeszcze raz przygląda się okładkom. Rozmontowanie tego ustrojstwa to nie jest wcale bułka z masłem. Ktoś musiał się niezłe napracować, żeby zdekompletować ten rocznik. A może nie tylko ten?

Will zabiera się do kolejnych segregatorów. Robi to metodycznie, miesiąc po miesiącu, rok po roku. Brakuje dwóch numerów: tego z artykułem Jonathana Mongeleacha o Islandii oraz majowego z 1992 roku.



- Jesteśmy na miejscu, Hektorze. - Malcolm rozgląda się po zielonej uliczce, położonej około czterystu metrów od jego domu. Rzadko odwiedza dzielnice mieszkaniowe w ciągu dnia, a już prawie nigdy w środku tygodnia. Jest miło, spokojnie i romantycznie. - Wsiadam. Dziękuję.

Staje na chodniku i odprowadza wzrokiem odjeżdżający samochód, który skręca za rogiem i znika z pola widzenia. Malcolm rusza przed siebie na piechotę. W połowie następnego kwartału wsiada na tylne siedzenie srebrnego SUV-a. Auto ma przyciemniane szyby i zdjęte tablice rejestracyjne.

- Co się dzieje? - pyta.

Za kierownicą siedzi Stonely. Spogląda na zegarek i mówi:

- Dwadzieścia minut temu weszła do tej kawiarni.

Malcolm podejrzewał, że przyjdzie mu w życiu robić wiele popieprzonych rzeczy, ale czegoś takiego się nie spodziewał. Przez kilka minut siedzą w milczeniu. Malcolm nie ma pojęcia, o czym myśli Stonely, ale jest mu wdzięczny, że nie próbuje wciągać go w rozmowę.

W pewnym momencie z kawiarni wychodzi Allison i jej kochanek. Nie sprawiają wrażenia ludzi, którzy mają romans.

- To on? - pyta Stonely.

- Tak.

Stonely bierze do ręki telefon, naciska guzik, chwilę odczeka i mówi do słuchawki:

- To ten typ.

Malcolm widzi, jak po drugiej stronie ulicy w ślad za parą rusza nieznamy mężczyzna.

- W porządku. Na mnie już czas. Powodzenia.

- Dzięki, szefie.

- Pamiętaj tylko, żeby ona niczego nie zobaczyła i o niczym się nie dowiedziała.

- Jasne.

- Stonely?

- Tak, szefie.

- Ty też powinieneś się ukryć. Wszyscy wiedzą, że dla mnie pracujesz.

- Oczywiście. - Stonely przekręca klucz w stacyjce. - Proszę się o to nie martwić.

Byłoby cudownie, gdyby Malcolm nie musiał się przejmować takimi pierdołami. Jeszcze całkiem niedawno w ogóle nie przyszłoby mu to do głowy.

Wysiada z samochodu, odwraca się tyłem, żeby nie zobaczyła go Allison, i znika za rogiem. Wraca do pracy, do swojego życia zawodowego, które ostatnio miało negatywny wpływ na jego życie prywatne. Jednak to się wkrótce zmieni. Malcolm właśnie przeszedł do kontraktów.



Główny oddział Nowojorskiej Biblioteki Publicznej przypomina bardziej atrakcję turystyczną, przed którą trzeba sobie zrobić obowiązkowe selfie, niż normalnie funkcjonującą instytucję. Przed gmachem kłębi się tłum ludzi: przytulają się do słynnych lwów, wylegują na schodach lub wpatrzeni w ekrany telefonów sączą kawę ze Starbucksa.

Po długim oczekiwaniu na realizację zamówienia Will stwierdza, że rocznik magazynu „Travelers” z 1994 roku jest zdekompletowany. Staje przy szerokiej ladzie, żeby poinformować o tym bibliotekarkę.

- Niestety, brakuje numerów, których szukam.

Kobieta spogląda na niego znad okularów.

- Hm, to naprawdę dziwne.

- Owszem. - Will nie sądzi, żeby bibliotekarka była w stanie udzielić mu jakichkolwiek wyjaśnień. Cóż ona może wiedzieć? - A inne oddziały?

- Szczerze mówiąc, nie mam bladego pojęcia. Chodzi panu o „Travel + Leisure”?

- Nie, o „Travelers”.

- Wydaje mi się, że mają siedzibę w Nowym Jorku. Próbował pan w redakcji?

- Tak, próbowałem.

Idzie do stanowisk z komputerami, pochyla się nad klawiaturą i zaczyna przeszukiwać aukcje internetowe. Znajduje kilkanaście ofert w bardzo różnych cenach, od kompletnych roczników w idealnym stanie do pojedynczych sztuk sprzedawanych przez handlarzy starzyzną. Przegląda opisy, lecz większość okazuje się mało obiecująca. Wreszcie udaje mu się namierzyć gościa, który twierdzi, że ma wszystkie numery. „Zapytaj o szczegóły!”

Will pisze do niego wiadomość, ale dla pewności wysyła też e-maile do kilku innych sprzedających: „Szukam «Travelers» z maja 1992 i listopada 1994”.

Wstaje i odchodzi od stołu, ale po chwili zmienia zdanie. Wraca, usuwa historię przeglądania, czyści pamięć podręczną i dla pewności wyłącza komputer.



- Kogo moje oczy widzą? Will Rhodes! Co słychać?

Farmaceuta nosi okulary zawieszane na szyi na metalowym łańcuszku. Zsunął je na sam czubek nosa i szeroko się uśmiecha. Ma sporą nadwagę, dwadzieścia dodatkowych kilogramów w pasie, i kiedy siedzi, przypomina kobietę w mnogiej ciąży.

- W porządku. A co u pana? Jak idą interesy?

Silverstein rozkłada ręce i robi minę drobnego kupca zmagającego się z losem: rosnące koszty wynajmu, zaniżanie cen przez internetową konkurencję, federalna biurokracja, kłopoty z pracownikami i być może nawet plaga gryzoni pustoszących magazyn.

- Dobrze się panu mieszka na Brooklynie? - pyta. - Warto było się przeprowadzać? - Will wzrusza ramionami. - Idzie pan w ślady kolejnych pokoleń imigrantów. Najpierw uciekali z Lower East Side na Brooklyn, potem ich dzieci przenosiły się na przedmieścia, a następna generacja opuszczała Long Island i wracała na Lower East Side. Niekończący się cykl. Nie mam racji?

- Pełna zgoda, panie Silverstein. - Farmaceuta jest raptem dziesięć lat

starszy od Willa, ale zachowuje się, jakby pochodził nie z tej epoki i dlatego inni tak właśnie go traktują.

- Można też dać sobie spokój z tym szaleństwem i tak jak moja rodzina nie ruszać się z miejsca. Od stu dwudziestu lat mieszkamy w tej samej dzielnicy.

- Silverstein zaczyna grzebać pod ladą, szukając czegoś w szufladzie. - Założę się, że na Brooklynie nie znalazł pan równie dobrej apteki.

- Szczerze mówiąc, nawet nie szukałem.

- Ma pan szczęście.

- Jestem jeszcze młody.

- Na jedno wychodzi. - Silverstein znajduje wreszcie buteleczkę z tabletkami i lekko nią potrząsa. - Trzeba brać co cztery godziny i nie więcej niż cztery razy na dobę. To naprawdę ważne. - Trudno w to uwierzyć, ale zaczyna grozić Willowi palcem. - Od takich leków łatwo się uzależnić.

- Rozumiem.

- Dziwię się, że ta recepta pozwala na zakup drugiego opakowania. Aha, teraz wszystko jasne, za pierwszym razem było tylko dwanaście tabletek.

Spogląda na Willa znad okularów, a potem pochyla się nad ekranem. Wstukuje coś w klawiaturę i marszczy czoło. Widać, że darzy swój komputer głęboką niechęcią.

- Płaci pan dziesięć dolarów. Proszę podpisać w tym miejscu.

Will bierze do ręki rysik i składa swój autograf na elektronicznym wyświetlaczu.

- Miło było znowu pana zobaczyć. Proszę o siebie dbać.

- Dziękuję, panie Silverstein.

Will odwraca się i przechodzi obok zajmujących całą ścianę dębowych regałów, przy których stoją biblioteczne drabiny. Zatrzymuje się przed szklanymi drzwiami z mosiężnym dzwonkiem i starannie wykaligrafowaną nazwą apteki: „Silverstein i Synowie od 1922 roku”. Niby nic szczególnego, ale w dzisiejszych czasach takie rzeczy stają się coraz większą rzadkością.

- Proszę zaczekać! Może przy okazji odbierze pan leki dla swojej żony?

- Mojej żony?

- Tak. Dzwoniliśmy do niej dwa razy, ale chyba wyjechała z miasta.

- Uhm.

Will stoi jak wrośnięty w ziemię, w połowie odwrócony do Silversteina, ale ze stopami wciąż skierowanymi w stronę wyjścia. W ciągu jednej sekundy przychodzi mu na myśl pół tuzina medykamentów, których mogła potrzebować Chloe. Antybiotyk na chroniczny kaszel? Ale przecież ostatnio

nie kasłała. Środek rozkurczowy na naciągnięte podczas jogi mięśnie pleców? Inhalator na zapalenie zatok? Maść na grzybicę? Antydepresant na ukrywaną do tej pory depresję? Wszystko wydaje się równie prawdopodobne.

- Tak, nie ma jej w Nowym Jorku.

- Wiem, że niełatwo tu dojechać, odkąd się wyprowadziliście.

Silverstein otwiera jedną szufladę, a potem następną i wyjmuje z niej papierową torebkę.

Will rzuca okiem na przypiętą do torebki receptę - chce mieć pewność, że to rzeczywiście dla Chloe - ale stara się nie patrzeć na etykietę. Celowo odsuwa moment, w którym dowie się, co to za lek. To jak z kotem Schrödingera^[45]. Przed otwarciem pudełka nie wiadomo, czy jest żywy, czy martwy. Świat pozostaje zawieszony między dwiema możliwościami. Tak jest zarówno w wypadku abstrakcyjnego kota, jak i małżeństwa Willa.



- Trzymaj. - Roger podał Willowi czarny kaptur. Właśnie skończyło się spotkanie w sali konferencyjnej z wielkim godłem CIA na ścianie. Will zasłonił głowę. Wyprowadzili go na korytarz, wsadzili do windy, a potem wpełnęli na tylne siedzenie samochodu. Auto ruszyło i powoli wyjechało z podziemnego parkingu.

- Dlaczego cię zostawiła? - zapytała Elle. - Co ją do tego skłoniło?

Will zrelacjonował jej rozmowę z Chloe. Przez pięć minut słuchała w milczeniu, ani razu mu nie przerywając.

- Myślisz, że ci uwierzyła?

- W co?

- Że pracujesz dla CIA.

- Nie mam pojęcia.

- Powiedziałaś, że pytałam cię o „Travelers”? O Malcolma i Gabriellę?

Will poczuł rosnący ucisk w żołądku, jakby ktoś wykręcał mu wnętrzności. Wiedział nawet kto: kobieta, która siedziała obok niego w samochodzie.

- Jesteś pewien, że odeszła właśnie z tego powodu? A może chodziło o coś innego?

Portland w stanie Maine

Chloe podchodzi do nabrzeża. Przez chwilę wpatruje się w wodę i leżące po drugiej stronie zatoki wyspy. Nagle czuje czyjąś dłoń na swoim barku i słyszy głęboki męski głos:

- Cześć. - Odwraca się do mężczyzny i mocno go obejmuje. - Cieszę się, że mogę cię znowu zobaczyć.

Uśmiecha się do niego, a on gładzi ją po ramieniu. To serdeczny gest, pobawiony seksualnego podtekstu. Ktoś z zewnątrz pomyślałby, że ma przed sobą dwoje przyjaciół, być może znajomych ze studiów lub sąsiadów z czasów dzieciństwa albo kuzynów spędzających ze sobą bardzo dużo czasu. Nic z tego nie jest jednak prawdą.

- Dziękuję, że przyjechałeś. To naprawdę kawał drogi. Miałeś przyjemny lot?

- Tak. A co u ciebie? Wszystko w porządku?

- Niezupełnie.

Mężczyzna kiwa głową, ale nic nie mówi.

- Słuchaj, wiem, że to wszystko brzmi absurdalnie. Ja sama nie jestem w stanie w to uwierzyć. - Od zatoki wieje dość silny wiatr i woda jest lekko wzburzona. - Will powiedział mi, że podczas jednego z wyjazdów skontaktowało się z nim dwoje ludzi, kobieta i mężczyzna, podających się za agentów CIA. Zaoferowali mu dziesięć tysięcy dolarów miesięcznie za przekazywanie informacji zbieranych podczas zagranicznych podróży.

- Naprawdę? Co konkretnie miał robić?

- Opowiadać o ludziach, których spotkał, i miejscach, w których bywał. Interesowały ich przyjęcia w ambasadach, imprezy z politykami i tym podobne. Will miał im pomóc w zidentyfikowaniu potencjalnych współpracowników.

- Dziwne, ale nie można tego całkiem wykluczyć. Kiedy się do niego zgłosili?

- Kilka miesięcy temu.

- Dostawał pieniądze?

- Tak, gotówkę. Podpisywał też pokwitowania, które dawał mu jego oficer prowadzący. W każdym razie tak nazwał tę osobę.

Mężczyzna unosi brwi ze zdziwienia.

- Masz jakiś pomysł, kto to może być?

Chloe podaje mu swój telefon.

- Zrobiłam zdjęcie tej kobiecie.
- Mężczyzna patrzy na ekran, marszczy czoło i kręci głową.
- Nie znam jej, ale prześlij mi tę fotografię. Potrzebuję paru godzin.

Nowy Jork

Will wpatruje się w plastikowe opakowanie przypominające miniaturową ruletkę. Jego zawartość ma wyeliminować wszelki przypadek, więc ten lek jest w zasadzie przeciwieństwem gry hazardowej. Zaznaczone dni tygodnia, różnokolorowe tabletki, charakterystyczny grzechot, którego Will nie słyszał przez ostatni rok, czyli od czasu, kiedy postanowili, że Chloe zajdzie w ciążę. Przynajmniej tak mu się wydawało.

Czuje, że ma mętlik w głowie i zastanawia się nad możliwymi konsekwencjami swojego odkrycia. Chloe nie jest z pewnością pierwszą kobietą, która twierdzi, że chce mieć dziecko, a tak naprawdę robi wszystko, żeby temu zapobiec. Dlaczego? Może ma z kimś romans, a kłamstwa Willa były tylko wymówką? Poznała innego faceta i planuje zostawić męża? A może już do tego doszło?

Naprawdę pojechała do Maine? Will wydzwania do teściowej i za każdym razem Chloe rzekomo nie ma w domu. Założył, że nie chce z nim rozmawiać, ale może Connie tylko ją kryje. Niewykluczone, że jest w innym miejscu, u boku swojego kochanka. Pewnie właśnie dlatego w ostatnim czasie była taka nieuchwytna. Rzadko odbierała telefony i zaczęła regularnie ćwiczyć. Z pewnością po to, żeby lepiej wyglądać. Ale nie dla swojego męża.

A co, jeśli Will martwi się nie tą zdradą co trzeba? Wychodzi na to, że zupełnie nie zrozumiał natury problemu, któremu musi stawić czoło.

Rozdział 29

Nowy Jork

Dzwoni telefon. Nieznany numer z prefiksem 718.

- Halo? Tu Will Rhodes.

- Kto?

- Will Rhodes. Z kim mam przyjemność?

- He?

- Will Rhodes.

- Może pan mówić trochę głośniej? Nic nie słyszę.

- Nazywam się Will Rhodes - powtarza powoli i wyraźnie. - Dzwonił pan do mnie. O co chodzi?

- Bernie Katz.

- Znamy się?

- Kontaktował się pan ze mną w sprawie starych magazynów.

- A! No tak! Dziękuję, że pan oddzwania.

- Wydaje mi się, że mam to, czego pan szuka.

- „Travelers” z maja dziewięćdziesiąt dwa i listopada dziewięćdziesiąt cztery?

- Tak, mam wszystkie numery.

- Super. Ile pan za to chce?

- Za całość?

- Nie, za jeden egzemplarz. To znaczy za dwa.

- Dziesięć?

- Dziesięć dolarów?

- Nie, dziesięć tysięcy.

Will nie wie, jak zareagować.

- Żartuję. Dziesięć za egzemplarz plus koszty wysyłki.

- Mogę odebrać osobiście? Też jestem w Nowym Jorku.

- Aha. A skąd pan wie, gdzie ja jestem?

- Wyświetlił mi się numer kierunkowy.

- A, no tak... Mieszkam w dzielnicy, którą wy nazywacie Prospect Heights.

- Wy?

Mężczyzna nie odpowiada, ale Will na niego nie naciska. Po co wszczynać niepotrzebną kłótnię?

- Mogę tam być za pół godziny. - W słuchawce rozlega się chichot. - Co w tym zabawnego?

- Mam osiemdziesiąt jeden lat. - mówi Bernie Katz, z trudem powstrzymując śmiech - i pierwszy raz w życiu widzę, żeby komuś tak zależało na starym numerze jakiegoś czasopisma.



Stonely obserwuje, jak młoda kobieta znana mu jako Ray idzie chodnikiem, chwiejąc się lekko na wysokich obcasach. Kilka razy spogląda ukradkiem na kochankę Allison, ale stara się unikać kontaktu wzrokowego. Jej zadaniem jest zdekoncentrować tego mężczyznę i odwrócić jego uwagę. Poza tym zależy jej, żeby w krytycznym momencie się zatrzymał. Kiedy dziewczyna zbliża się na odległość półtora metra, potyka się i upada na trotuar.

- O mój Boże! - Mężczyzna klęka obok niej jak prawdziwy dżentelmen. - Nic pani nie jest?

W tym samym momencie Alonso, który od poprzedniego skrzyżowania szedł kilka kroków za nim, wbija mu igłę w ramię. Mężczyzna osuwa się na ziemię.

Stonely zatrzymuje furgonetkę przy krawężniku, ale zostaje za kierownicą. Julio wyskakuje tylnymi drzwiami i w trójkę wciągają nieprzytomnego faceta do środka, po czym krępują mu ręce specjalną taśmą używaną przez policję zamiast kajdanek i zasłaniają mu głowę poszewką na poduszkę.

- Wszystko okej? - pyta Stonely. Chociaż sam nie brał udziału w akcji, serce wali mu jak młotem. Sprawdza lusterka, ale nie widzi żadnych świadków.

Wszyscy potwierdzają chrząknięciem, z wyjątkiem porwanego mężczyzny, który odzyska przytomność dopiero, gdy wyciągną go z furgonetki i zamkną w dobrze zabezpieczonej wilgotnej piwnicy jakieś dziesięć kilometrów stąd, w zupełnie innym świecie. Jego stary świat przestał właśnie istnieć.



To dość szczególny rodzaj nowojorskiej kamienicy: dwa skrzydła z wejściem do klatki schodowej na niższym poziomie, podwójne windy, zaniedbane podwórko, schody przeciwpożarowe na wspornikach, marmurowe podłogi i gipsowane ściany z ozdobnym gzymsem. Jednak wszystko w bardzo złym stanie: odpadające tynki, popękane szyby, nagie kable wystające z okienka w windzie, która jest tak wolna, że Will ma wątpliwości, czy w ogóle jedzie w górę. W kabinie uwagę przyciągają okrągłe guziki z bakelitu i mosiężne przełączniki. Wreszcie pierwsze drzwi rozsuwają się ze zgrzytem, a potem samemu trzeba otworzyć drugie, prowadzące na korytarz, w którym śmierdzi gotowaną kapustą. Poszczególne części budynku oznaczone są literami: A i B z przodu, C w środku, a D i E na tyłach. Przy toaletach zamontowano potężne spłuczki ciśnieniowe, które wyglądają, jakby z wielką siłą zasysały nieczystości do pneumatycznej rury prowadzącej bezpośrednio w kosmos. Na prawie każdej framudze zawieszona jest mezuzah^[46], chociaż większość lokatorów nie jest już pewnie Żydami, ale kiedyś na pewno była. Najwyraźniej nikomu nie chciało się zdjąć tych dziwnych pudełeczek.

Will podchodzi do drzwi z tabliczką „Katz” i dzwoni. Odczekuje kilka sekund i jeszcze raz naciska przycisk.

- Chwileczkę! Już idę! - rozlega się stłumiony głos. - Proszę o cierpliwość. Kto tam?

- Will Rhodes.

Cisza.

- Przyszedłem po magazyny.

- Aha, no tak. - Drzwi się otwierają. - Proszę wejść.

Przechodzą przez długi ciemny korytarz i stają w progu zagraconego salonu. Wszędzie leżą sterty czasopism, książek i rozmaitych papierów. Niektóre stosy podparte są deskami pochodzącymi być może z rozmontowanego regału. Na półkach stoją szklane wazy i geometryczne rzeźby, ściany obwieszane są obrazami i rysunkami oprawionymi w ramki, a na podłodze leży zawilgocony dywan. W powietrzu unosi się zapach tytoniu fajkowego wymieszany z aromatem chińskich dań na wynos i charakterystyczną wonią kociej kuwety. Takie pokoje śnią się Willowi w koszmarach.

- Nieźle! - Will przygląda się kolekcji magazynów ułożonych w stosy lub

poukładanych tradycyjnie na półkach. - Po co panu to wszystko?

- Jestem maniakiem! Przez pięćdziesiąt lat pracowałem w tej branży.

- Pięćdziesiąt?

- Dokładnie czterdzieści osiem.

- Czym się pan zajmował, jeśli wolno zapytać?

- Korektą, opracowaniem graficznym, edycją zdjęć, sprzedażą powierzchni reklamowej. Łatwiej powiedzieć, czym się nie zajmowałem. Przez jakiś czas byłem nawet redaktorem naczelnym! Proszę mi uwierzyć, to była gówniana robota. W końcu przenieśli mnie do małego biura i płacili za to, żebym się do niczego nie wtrącał. W sumie nie było aż tak źle. Na koniec dostałem elegancki zegarek. Pożegnali się ze mną i życzyli powodzenia.

- To ten, który ma pan na ręce?

- Nie... Dali mi rolexa, ale to do mnie nie pasuje. Moim zdaniem zegarek coś o nas mówi, wyraża naszą osobowość. Przecież codziennie go nosimy, w odróżnieniu od reszty garderoby. Wolę coś mniej ostentacyjnego. - Wyciąga nadgarstek i pokazuje czasomierz marki International Watch Company. Will nigdy się tym nie interesował i nie ma pojęcia, jak wygląda hierarchia prestiżu. Sam kupuje tanie, używane zegarki, zazwyczaj za granicą, ale nawet on wie, że IWC to droga zabawka.

Powoli przyzwyczajają się do bałaganu i jego oczy wyławiają interesujące szczegóły: meble firmy Heywood-Wakefield, oryginalne obrazy olejne i szkice węglem, plakat reklamujący koncert zespołu Blondie z wykonanym szminką odręcznym podpisem Debbie Harry.

Luksusowy zegarek stawia właściciela w innym świetle. Starszy mężczyzna wcale nie jest biedakiem, lecz raczej niechlujnym ekscentrykiem.

- Mógłbym zobaczyć magazyny?

- Oczywiście! - Katz przechodzi przez pokój, powłócząc nogami, i staje obok pianina, którego Will wcześniej nawet nie zauważył. Instrument jest wciśnięty pod wbudowany w ścianę regał. Przez dobrą minutę staruszek przeszukuje swoje zbiory. Wreszcie znajduje oba numery „Travelers”, ale dla pewności jeszcze raz porównuje daty wydania z okładki i grzbietu. Podaje czasopisma Willowi, a ten wręcza mu w zamian banknot dwudziestodolarowy.

- Czy to nie dekompletuje całej kolekcji?

- Chyba tak.

- Dlaczego pan to robi? - Mężczyzna pokazuje mu dwudziestodolarówkę i rozciąga ją w palcach. - Nie wierzę, że chodzi o pieniądze. Jaki jest

prawdziwy powód?

Katz patrzy mu prosto w oczy.

- Mieszkam tu od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku. W tym mieszkaniu wychowałem dwoje dzieci. Tutaj zmarła moja żona. - Omiata wzrokiem zagracony pokój. - Kamienica została ostatnio sprzedana, a lokatorzy mają się wyprowadzić. Na pewno nie będzie mnie stać na większy metraż. Coś porównywalnego mogę znaleźć najbliżej na Queens i to jeśli uśmiechnie się do mnie szczęście. Muszę się pozbyć tych wszystkich gratów... - Wskazuje ręką na zgromadzone przez całe życie przedmioty. - Wolę je sprzedać ludziom, którzy są nimi zainteresowani, niż wystawić na chodnik sępom na pożarcie.

Will przypomina sobie o znalezionym na ulicy stołku. Czy w takim razie on także jest sępem?

- Interesuje pana coś jeszcze? Wszystko jest na sprzedaż.

Will kręci głową.

- Niestety, jestem splukany.

- Ha! W takim razie nie powinien pan chodzić po domach i kupować starych czasopism. Proszę. - Oddaje Willowi dwudziestodolarówkę. - Niech pan lepiej kupi żonie kwiaty. Nic innego nie ma tak naprawdę znaczenia.

Will nie przyjmuje pieniędzy, więc staruszek wciska mu banknot do kieszeni marynarki, deformując starannie ułożoną poszetkę.

- Dziękuję, panie Katz.

- Nie ma sprawy. - Idą ciemnym korytarzem po skrzypiącym parkiecie.

Will wchodzi do windy i naciska guzik. Słysząc zgrzyt mechanizmu i po chwili kabina jedzie w dół. Zastanawia się, gdzie powinien usiąść, żeby przejrzeć magazyny i znaleźć powód, dla którego zniknęły z archiwum. Patrzy na zegarek, starość nieznanej marki kupiony kiedyś w Niemczech, i myśli, co ten przedmiot o nim mówi, jakie aspiracje i marzenia zdradza. Will stara się skupić na słowach starszego mężczyzny, ale coś go rozprasza...

Inne zegarki.



- To znowu pan? Przyszedł pan po stare numery „Vanity Fair”? - Will kręci głową. - Mam też gramofon należący kiedyś do George’a Plimptona.

- Jest pan ekspertem od zegarków, prawda?

- Ekspertem? Gruba przesada. - Katz wzrusza ramionami. - Wiem tyle, co

kot napłakał.

- Mogę panu coś pokazać? Ale musiałbym to najpierw narysować.

Mężczyzna otwiera drzwi i wracają do zagraconego salonu.

Will pamięta logo, ponieważ wyglądało podejrzanie znajomo. Gryzmoli na kartce stykające się ze sobą litery J i L, które jego zdaniem mogły oznaczać „J. Lindeberg”, choć teraz wydaje mu się to mało prawdopodobne. Mike, gość w tanim garniturze, z przekłutym uchem i mocnym akcentem, z pewnością nie odwiedzał sklepów tej szwedzkiej marki.

- Poznaje pan? Widziałem faceta, który miał zegarek z tym logo.

- Jasne. Jaeger-LeCoultre. Szwajcarska firma.

- Ekskluzywna?

- Nawet bardzo. Z tej samej półki co moja cebula. - Katz podnosi rękę, żeby Will jeszcze raz dobrze się przyjrzał. - Najtańsze modele kosztują pewnie siedem i pół, może nawet dziesięć tysięcy.

- A podróbki?

- Pewnie istnieją. Fałszuje się każdą drogą rzecz.

- Mam na myśli takie z bazaru, masowo produkowane.

- Wątpię. Jaeger to niszowa, mało popularna marka, nie jak Rolex lub Gucci, których fałszywki można kupić dosłownie wszędzie. Zdziwiłbym się, gdyby istnieli ludzie gotowi zapłacić sto dolarów za imitację jaegera. Jeśli widział pan faceta z takim zegarkiem, to na pewno miał na ręce przedmiot wart minimum dziesięć tysięcy dolarów.



Will wychodzi z kamienicy, skręca za rogiem i dostaje się prosto na plan filmowy. Asystenci produkcji, w słuchawkach na głowie i spodniach dzwonkach, przeganiają pieszych na drugą stronę ulicy. Wzdłuż krawężników stoją lśniące samochody z późnych lat sześćdziesiątych lub wczesnych siedemdziesiątych, z niesamowicie długimi karoseriami coupé i obwieszonymi lusterkami wstecznymi. Widać też ciężarówkę dostawczą z emblematami dawno nieistniejących marek i rower o opływowym kształcie oparty o hydrant przeciwpożarowy.

- Przepraszam, ale nie wolno się zatrzymywać. Proszę przechodzić!

Z bliska Will zauważa, że wnętrza samochodów są zaniedbane: podarta tapicerka, zardzewiałe dźwignie zmiany biegów, schowki z wyłamanymi drzwiczkami. Zastanawia się, czy auta w ogóle są na chodzie. Może to tylko

odpicowane nadwozia ze świeżym lakierem i oponami z białymi bokami, ale bez funkcjonujących silników? Zwykle atrapy stworzone tylko po to, żeby oszukać widzów.

Udaje mu się znaleźć wolne miejsce w zatłoczonej kawiarni. Słysząc nieprzyjemnie głośny warkot młynka, syk pary do spieniania mleka, brzęk łyżeczek, stukot filiżanek i niewybredne żarty dochodzące od stolika obok. Najwyraźniej jakiś facet nie ustaje w wysiłkach, żeby zaciągnąć do łóżka swoją towarzyszkę.

Dzwoni telefon. To Malcolm. Will naciska „Ignoruj”.

Numer z listopada 1994 poświęcony jest Skandynawii. Każdy kraj, nawet Grenlandia, ma osobny artykuł. Autorzy poruszają szeroki wachlarz tematów: fiordy, tkaniny, sfermentowane mięso rekina, marynowane śledzie, kompot z borówki brusznicy, wędzone maskonury, letnie domki do wynajęcia, hotel z lodu, gorące źródła, gejzery, wulkany, lodowce, zorza polarna i polarne słońce...

Willa interesują tylko dwa teksty, te napisane przez Mongeleacha, i bardzo szybko udaje mu się znaleźć to, czego szuka.

Gorzej jest z majem 1992. W tym wydaniu nie ma żadnego artykułu Jonathana i ani słowa o Skandynawii. Naprawdę nic szczególnego, może poza faktem, że to pierwszy numer, który ukazał się po rozpadzie Związku Radzieckiego.

Will jest pewien, że coś mu umknęło. Wraca do początku i zaczyna przeglądać czasopismo jeszcze raz.



Malcolm zostawia wiadomość: „Cześć, Will. Pamiętasz o wieczornym drinku? Możemy się spotkać o szóstej? Przez parę godzin nie będzie mnie w biurze, więc dzwoń na komórkę”.

Auto zatrzymuje się na rogu ruchliwego skrzyżowania, gdzieś na środkowym Manhattanie. Hector wyciąga szyję, żeby przyjrzeć się okolicy.

- To na pewno tutaj, szefie?

- Tak, dziękuję - mówi Malcolm. - Widzimy się jutro.

Wychodzi z samochodu i skręca w boczną uliczkę, przy której czeka na niego srebrny SUV. Za kierownicą siedzi jeden z ludzi Stonely'ego. Malcolm nie zna jego imienia.

Przejeżdżają na drugą stronę rzeki i przez kilka kilometrów pędzą

brooklińską autostradą. Potem kluczą pustymi uliczkami, wzdłuż których ciągną się zburzone kamienice, opuszczone magazyny i niezabudowane parcele. Samochód zatrzymuje się przed zrujnowanym szeregowcem. Drzwi wejściowe ozdobione są naklejkami „Przeznaczone do rozbiórki” i „Z nakazu szeryfa”. Wisi też na nich kłódka z łańcuchem.

Malcolm wysiada z auta. W oddali widzi linię dachów manhattańskich drapaczy chmur. Jest nawet w stanie dostrzec wieżowiec, w którym mieszka. To tak naprawdę zupełnie inne miasto, choć na Brooklynie mieszka znacznie więcej ludzi.

Obchodzi budynek i wali pięścią we wzmocnione drzwi ze stali. Na zaśmieconym podwórku stoi przenośna toaleta, która zupełnie tu nie pasuje. Ktoś wygląda przez wizjer i po chwili słychać zgrzyt zamków, szcęk przesuwanej zasuw i głośne skrzypnięcie otwieranych drzwi.

Potężnie zbudowany mężczyzna zajmuje większość małego ciemnego przedpokoju. Jedynym meblem w tym ciasnym pomieszczeniu jest barowy stołek. Malcolm zauważa podłączony do gniazdka telefon, który leży bezpośrednio na podłodze. W dzisiejszych czasach trzeba korzystać z każdej okazji, żeby podładować komórkę. Alonso zamyka wejście i otwiera kluczem drzwi prowadzące do wnętrza domu.

Malcolm wchodzi do środka. Za plecami słyszy głośne łupnięcie, a następnie metaliczny dźwięk przekręcanego w zamku klucza.

W urządzonej po spartańsku piwnicy nie ma okien. W rogu stoi bojler z wielkim zbiornikiem i termą. Wszystkie rury są jednak odłączone. Poza tym widać kilka wiader, mop i plastikowy kosz na śmieci. Ze skrzynki elektrycznej wystaje płatanina postrzępionych kabli.

Na środku, pod zwisającą z sufitu żarówką, na drewnianym krześle siedzi mężczyzna znany jako Steven Roberts. Jest skrępowany srebrną taśmą izolacyjną. Ręce przywiązano mu do tułowia, nogi unieruchomiono w kostkach i kolanach, a do ust wetknięto coś, co wygląda na zwiniętą w kulkę skarpetkę. Przyklejono ją do twarzy taśmą, na której widać ślady krwi z rozbitego nosa.

- Cześć. Nazywam się Malcolm Somers.

Steven wytrzeszcza oczy z przerażenia. Metr przed nim stoi składany stolik.

- Jak z pewnością wiesz, pieprzysz się z moją żoną. Nie mam jednak o to pretensji. Allison to bardzo atrakcyjna kobieta, prawda?

Z oczywistych względów mężczyzna nie jest w stanie udzielić

odpowiedzi.

- Mam się do siebie zwracać Steven? A może używasz tego imienia tylko przy mojej żonie?

Malcolm podchodzi do stolika i przygląda się leżącym na nim narzędziom. Jest tam młotek, szczypce do cięcia drutu, klucz francuski i kombinerki.

- Szczerze mówiąc, to na twoim miejscu sam bym się z nią przespał.

Bierze do ręki szczypce i przysuwa je do twarzy Stevena. Zaciska rączki i obserwuje, jak działa mechanizm. Po chwili odkłada przyrząd na stół i gładzi palcami pozostałe przedmioty. Wybiera młotek, ocenia jego ciężar i sprawdza, czy dobrze leży w dłoni.

Steven od trzech godzin siedzi w piwnicy i do tej pory nikt nie odezwał się do niego ani słowem. Cały czas ma przed sobą stolik, którego nie da się tak po prostu zignorować. Chodzi o to, żeby więzień wyobraził sobie wszelkie możliwe cierpienia, które można zadać młotkiem lub kombinerkami. Powinien zrozumieć, że już za chwilę jego życie zmieni się w krwawy horror. Widział to na filmach i w telewizji, czytał o tym w publikowanych w prasie raportach Kongresu, być może docierały do niego jakieś plotki. Niewykluczone, że sam był świadkiem zadawania tortur. Malcolm wcale by się nie dziwił, gdyby się okazało, że ten facet brał już udział w tak zwanych twardych przesłuchaniach, rzecz jasna po drugiej stronie.

Przed wejściem do tego pomieszczenia Steven na pewno zdawał sobie sprawę, do jakich niecznych celów można wykorzystać domowe narzędzia. Kilka godzin spędzonych przed stolikiem tylko bardziej pobudziło jego wyobraźnię. Teraz już wie nie tylko, kto go porwał, lecz także, co może się stać z poszczególnymi częściami jego ciała.

- W każdym razie nie jesteś tutaj dlatego, że pieprzysz się z moją żoną... - Malcolm podchodzi do Stevena, trzymając młotek przy swoim boku. - Popełniłeś też inne przestępstwo. - Zatrzymuje się. Mężczyzna wybałusza oczy i rozpaczliwie się wije. - Wiesz, co zrobiłeś, prawda?

Steven kręci głową.

- Ależ nie ściemniaj. Dla nas obu powinno być jasne, z jakiego powodu tu trafiłeś. Muszę się od ciebie czegoś dowiedzieć. - Mężczyzna zaprzecza coraz energiczniej. - Mam przeczucie, że nie jesteś zbyt chętny do współpracy. To bardzo niedobrze. Jeśli chcesz utrudniać mi życie, to ja odplacę ci tym samym.

Rozdział 30

Nowy Jork

Miasto może osiągnąć gigantyczne rozmiary, ponad osiem milionów mieszkańców, zgiełk i zamęt, drapacze chmur, korki i zatory, nieustannie zderzające się ze sobą różne światy. Jednak w każdej metropolii istnieją również niezależnie funkcjonujące małe wioski, niektóre wyodrębnione geograficznie, inne będące enklawami zawodowymi lub społecznymi, które niekiedy na siebie nachodzą.

Wszystkie kobiety, z którymi Will spotykał się w Nowym Jorku, pochodziły z takich właśnie wiosek. Nigdy nie umówił się na randkę z pracownicą banku, prawniczką, wykładowczynią akademicką, lekarką, kierowcą autobusu, projektantką biżuterii lub nauczycielką ze szkoły podstawowej. Z jednym wyjątkiem wszystkie dziewczyny, z którymi poszedł do łóżka, skończyły studia, miały białą skórę, urodziły się w latach siedemdziesiątych lub osiemdziesiątych, mieszkały na Manhattanie albo na Brooklynie i pracowały w mediach albo w przemyśle turystycznym.

Te wioski nie są zbyt ludne, więc Will ciągle wpada na swoje byłe narzeczone i kochanki. Czasami czuje się przez nie osaczony. Zdarza się tak podczas branżowych imprez i konferencji lub przy kolacji w którejś z brooklińskich kamienic z brązowego piaskowca.

Jedna z tych kobiet pojawia się właśnie na horyzoncie, ta, która jest wyjątkiem.

Will stara się sobie przypomnieć, co czuł, gdy ją spotkał. Czy naprawdę uwierzył, że to miłość od pierwszego wejrzenia? Jeśli dobrze pamięta, snuł się wtedy po Francji pogrążony w romantycznych fantazjach na temat jej uniesionej brwi. Jakim cudem mógł sobie coś takiego ubzdurać? Nigdy więcej nie zaufa swojemu penisowi.

- Część, Will - mówi kobieta i całuje go najpierw w lewy, a potem w prawy policzek, jakby byli starymi znajomymi. - Cieszę się, że cię widzę. - Stawia torebkę na podłodze obok płóciennego chlebaka Willa i plastikowej siatki z sieciowej apteki, którą znaleźć można dosłownie na co trzecim skrzyżowaniu. Nowojorskie ulice zaczynają powoli przypominać

czteropasmowe arterie znane z podmiejskich dzielnic, z takimi samymi sklepami stojącymi w dokładnie takiej samej kolejności. Zakłęty krąg amerykańskich przedmieść. - Wszystko u ciebie w porządku? - pyta Elle, siadając na wysokim stołku. - Jak minął dzień w biurze?

- Nie stało się nic złego, jeśli o to ci chodzi.

Elle wybucha teatralnym śmiechem, żeby zrobić odpowiednie wrażenie na siedzących w pobliżu ludziach.

Barman pyta, czy coś podać.

- Nie, dziękuję. Chciałam się tylko przywitać. - Nie mają o czym rozmawiać. To nie jest spotkanie robocze, tylko przekazanie łupów. - Fajnie, że na siebie wpadliśmy.

- No.

Elle podnosi swoją torebkę i plastikową siatkę z logo popularnej apteki z zupełnie nietuzinkową zawartością w postaci twardego dysku.

No cóż - myśli Will - jestem trochę rozczarowany. Czy o to chodziło w tej skomplikowanej operacji? Właśnie dlatego moje życie runęło w gruzach?

Podjeżdża, że Elle zabierze dysk na Midtown, pewnie tam, gdzie wczoraj był, do tajnego biura, leżącego gdzieś w pobliżu innych budynków rządowych. W godzinach szczytu ulice są zakorkowane, więc pewnie pojedzie metrem. Wsiądzie po przejechaniu kilku stacji i resztę drogi pokona na piechotę. Zanim podłączy dysk do komputera, minie kwadrans, może trochę więcej. Will nie ma pojęcia, ile czasu zajmie gruntowne zbadanie zawartości. Pięć minut? Trzy dni? Jedno jest pewne: kiedy Elle się zorientuje, będzie wściekła i zrobi wszystko, żeby go dorwać.

Will nie ma więc dużo czasu, na pewno nie tyle, żeby pokonać pełną trasę kontrobowej. Nie będzie w stanie ustalić, kto go śledzi, ale musi wprowadzić tych ludzi w pole.

Scarborough w stanie Maine

Chloe schodzi ze strychu po składanych schodach, trzymając w ręku stary, zakurzony plecak. Ostatni raz używała go ponad dziesięć lat temu. Wciąż przechowuje wiele rzeczy na poddaszu w domu swojej matki. Czy to oznacza, że jeszcze nie do końca wydorowała?

Nie chce brać ze sobą walizki na kółkach. Zależy jej na innym wizerunku. Tazczy więc plecak na podwórko i stawia pod trelią, żeby wysechł.

- Muszę na trochę wyjechać, mam. Spędzę parę dni w hotelu na Dominikanie. O tej porze roku ceny są śmiesznie niskie. Potem wyruszę na samotną wyprawę z plecakiem. Nigdy nie byłam na Haiti.

Chloe nie ma wcale zamiaru jechać na Karaiby. Kilka miesięcy temu załatwiła sobie na tego rodzaju tajne wyprawy dwa fałszywe paszporty. Jeden spaliła w kuble na śmieci w Stambule, a drugi ma przy sobie w kieszeni.

- Pamiętaj, że zawsze mogę ci pomóc. I błagam, czasami do mnie zadzwoń. Daj chociaż znak, że żyjesz.

Chloe podejrzewała, że będzie ciężko, być może nawet bardzo.

- Spróbuję, ale nie mogę niczego obiecać - mówi.

- W każdym małżeństwie są jakieś problemy, kochanie.

Chloe nie reaguje na ten frazes rodem z popołudniowego talk-show. Nigdy nie podejrzewała, że na starość jej matka będzie spędzała tak dużo czasu przed telewizorem, ale tak się właśnie stało.

- Zdziwiłabym się, gdyby wasze kłopoty były szczególnie wyjątkowe i nie dało się ich rozwiązać.



Zdarza się, że dokładnie tak przebiegają długotrwałe operacje - najpierw miesiące, czasami lata przygotowań, następnie ciągnąca się niemiłosiernie faza wstępna, wreszcie powolna realizacja. A potem, zupełnie nieoczekiwanie, przychodzi ten dzień i bum! Koniec. Tak może się stać i tym razem i niewykluczone, że to właśnie dzisiaj.

Dla Elle to był długi rok. Zaczął się kilka przecnic stąd, w niczym niewyróżniającej się okolicy, w tanim hotelu, w którym spędziła samotną noc. Wcześniej tylko raz odwiedziła Nowy Jork, nie podobał jej się, nie znała go i nie miała ochoty się do niego przekonywać. Na świecie było wystarczająco dużo ludzi zakochanych w tym mieście i nie potrzeba kolejnych.

Spotkanie miało się odbyć o jedenastej, ale jego miejsce zostało ujawnione dopiero godzinę wcześniej. Elle dostała esemesa z adresem, nazwą hotelu i numerem pokoju.

Poszła na piechotę do znanego na całym świecie skrzyżowania, przy którym zieleń Central Parku spotyka się z komercją Piątej Alei: uliczni rysownicy, konne bryczki, złoty pomnik, wielopoziomowa fontanna i Plaza Hotel, hordy nastolatków robiących sobie zdjęcia przed sklepem

Abercrombie & Fitch i bogate matrony wchodzące chwiejnym krokiem do domu towarowego Bergdorf, żeby pomacać suknie wieczorowe za siedem tysięcy dolarów.

Od razu zorientowała się, że to nie jest po prostu luksusowe miejsce, chociaż nigdy wcześniej o nim nie słyszała. Znała tylko te nowojorskie hotele, które pokazywali w popularnych filmach.

Przy drzwiach stał w charakterystycznej pozie ochroniarz ubrany w czarny garnitur. Elle zaczęła się zastanawiać, czy był na Bliskim Wschodzie w tym samym czasie co ona i czy wrócił do Stanów zupełnie nieprzygotowany na wymagania cywilnego rynku pracy. Być może również zderzył się z rzeczywistością, która nie miała nic wspólnego z zapewnieniami dowódców twierdzących, że podczas służby żołnierze zdobywają wiele cennych umiejętności przydatnych również w cywilu. W praktyce wcale nie byli rozchwytywani i w końcu zaczynali karierę w jednym z nielicznych zawodów dla ludzi z takimi kompetencjami jak oni. Tak było pewnie i z tym gościem. Dostał kamizelkę kuloodporną i broń, którą mógł nosić tylko w ukryciu.

Przeszukał ją, ani na chwilę nie zmieniając wyrazu twarzy, po czym otworzył drzwi.

Istnieje pewien rodzaj przystojnych mężczyzn, u których wszystko jest perfekcyjne: perfekcyjnie skrojony garnitur, perfekcyjna cera i włosy, perfekcyjnie wypastowane buty, perfekcyjne ciało i sylwetka. Kiedy się uśmiechają, bije od nich nieskrywana pewność siebie i ukazują się ich perfekcyjnie białe zęby. Tacy faceci przywiązują ogromną wagę do swojej aparycji. Od kobiet wymaga się, żeby wyglądały tak dobrze, jak to tylko możliwe. Jeśli tego nie robią, celowo rzucają wyzwanie światu. Elle zawsze myślała, że w wypadku mężczyzn obsesyjne dbanie o siebie jest jakąś anomalią, może nawet aberracją. W takich facetach jest coś przerażającego.

Ktoś taki stanął właśnie w progu.

- Dziękuję, że pani przyszła - powiedział i zamknął za nią drzwi. - Jestem również wdzięczny za dyskrecję.

Rozejrzała się po apartamencie, którego wystrój mógł zaprojektować Liberace.

- Mam do pana pytanie. Dlaczego spotykamy się w Nowym Jorku? Przecież siedziba firmy mieści się w Waszyngtonie.

Jeszcze przed otrzymaniem zaproszenia na spotkanie spędziła wiele godzin, badając swojego potencjalnego pracodawcę. Wielokrotnie widziała

jego twarz i charakterystyczny uśmiech. To był ktoś sławny. Mimo to jego fizjonomia zrobiła na niej wrażenie. Nie była przygotowana na taką dawkę męskiego seksapilu: białe zęby, idealne rysy twarzy, pełne wargi, kwadratowa szczęka. Widziała już w swoim życiu niejednego bardzo przystojnego mężczyznę, z kilkoma poszła nawet do łóżka, ale ich atrakcyjność związana była z młodością, siłą i wigorem. Tymczasem ten facet był już dobrze po czterdziestce, a wciąż wyglądał powalająco.

- Moje biuro jest w zasadzie miejscem publicznym. Cały Waszyngton to w gruncie rzeczy małe, plotkarskie miasteczko. A Nowy Jork? Jeśli się postarać, można tu znaleźć dużo prywatności.

Elle zaczęła się zastanawiać, czy przebywanie w towarzystwie niezwykle wpływowego człowieka w hotelowym apartamencie strzeżonym przez uzbrojonego ochroniarza to rzeczywiście dobry pomysł.

- Poza tym większość tego, co planuję, będzie się dziać właśnie tutaj, w Nowym Jorku. Do realizacji mojego projektu potrzebuję wyjątkowego menadżera. Powinna to być osoba posiadająca nie tylko odpowiednie doświadczenie i umiejętności, lecz także adekwatny... wygląd. Ma pani świetne rekomendacje i jest jedyną kandydatką, którą do tej pory zaprosiłem na rozmowę.

- Dziękuję za okazane mi zaufanie - powiedziała przez grzeczność, ale wcale tak nie myślała. Czuła, że jego pochlebstwa stawiają pod znakiem zapytania całą resztę. - Zechciałby mi pan wreszcie powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi?

Mężczyzna wybuchnął śmiechem.

- Nie lubi pani towarzyskich gadek? Najpierw trzeba się lepiej poznać.

- Jestem pewna, że zdążył mnie pan gruntownie przeświecić. W przeciwnym razie nie zostałabym tu zaproszona. Zresztą ja również starałam się przygotować, co z pewnością pana nie dziwi.

- Tak czy inaczej, nie wiem o pani wszystkim.

- Czyżby?

- Dlaczego wylali panią z CIA?

- Kto powiedział, że mnie wylali?

Cisza.

- Powie mi pan, po co zostałam tu zaproszona, czy mam stąd wyjść?

Uśmiechnął się pobłaźliwie, pochylił do przodu i zrobił poważną minę.

- Jestem zainteresowany kupnem korporacji wydającej czasopisma. Sprawa jest w toku.

- Tak, American Periodical Group.

- Zgadza się - powiedział, nie przestając się uśmiechać. - Czyta pani plotki dla finansistów?

- Uważa pan, że nie prenumeruję „Forbesa”? Cóż, jestem tylko blondynką bez grosza przy duszy, mam trzydzieści dwa lata, służyłam w piechocie morskiej i na dodatek pochodzę z głębokiej prowincji.

Elle studiowała w college’u, ale tylko przez dwa lata, ponieważ ciągle odkrywała, że nie uczono tego, czego chciała. Postawiła więc na samokształcenie i zarywała noce, żeby zaspokoić głód wiedzy. Obsesyjnie zgłębiała jakiś temat, a potem z takim samym zapałem zabierała się do kolejnego.

- Nie sądzę, żeby czytała pani „Forbesa”, ponieważ to magazyn dla ludzi zajmujących się zawodowo biznesem, a pani do tego grona nie należy. Tak samo jak nie spodziewałbym się, że wśród czytelników pisma znajdują się kardiochirurdzy, inżynierowie raketowi czy matematycy z Nagrodą Nobla. Wcale nie dlatego, że są głupi.

- No cóż, ma pan rację. Nie czytam „Forbesa”, ale kiedyś to robiłam.

- Zatem zdaje sobie pani sprawę, że jeśli ta transakcja dojdzie do skutku, będzie mnie to kosztowało ponad dwa miliardy dolarów.

- Naprawdę? - Uśmiechnęła się znacząco. - Będzie pana kosztowało?

- Co ma pani na myśli?

- Przecież nie wypisze pan czeku na dwa miliardy. Nie po to odmawiał pan sobie dosłownie wszystkiego, żeby zaoszczędzić parę groszy. Jadł pan kanapki z dżemem, jeździł autobusem i tak dalej. Wiem, jak to wygląda.

- Mogłaby mnie pani oświecić?

- Od indywidualnych i instytucjonalnych inwestorów pożyczycy pan dwa miliardy dolarów w formie kredytów bankowych i ofert sprzedaży akcji. Jest to możliwe dzięki korzystnym regulacjom uchwalonym przez obieralnych przedstawicieli, którym ludzie tacy jak pan przekazują znaczne sumy pieniędzy na prowadzenie kampanii. Urzędnicy muszą się potem odwdzięczyć, na przykład ułatwiając dostęp do ogromnych funduszy, zarówno publicznych, jak i prywatnych. Właśnie stamtąd weźmie pan te dwa miliardy, które przeniesie pan z jednej korporacji, żeby przejąć kontrolę nad drugą. To nie są tak naprawdę pańskie pieniądze, to w ogóle nie są prawdziwe pieniądze, i w gruncie rzeczy nie wydaje pan ani grosza.

Mężczyzna wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę.

- W porządku, ujmę to nieco inaczej - powiedział niczym niezrażony. -

Jestem odpowiedzialny za transakcję wartą wiele miliardów dolarów, która będzie miała wpływ na życie tysięcy ludzi. Czy to jest uczciwy opis sytuacji?

- Elle wzruszyła ramionami. - Jedną z rzeczy, o które muszę się zatroszczyć, jest zachowanie tak zwanej należytej staranności. Zastosowałem wymagane procedury i dowiedziałem się, że jeden z magazynów prowadzi na boku nielegalną działalność.

- W jaki sposób uzyskał pan te informacje?

- No cóż, mam swoje sposoby. Bez tego niewiele bym w życiu osiągnął.

- Okej.

- Z moich obowiązków powierniczych wynika, że powinienem dołożyć wszelkich starań, żeby potwierdzić albo odrzucić te oskarżenia.

- A nie jest pan przypadkiem zobowiązany zgłosić tego organom ochrony porządku publicznego?

Nie odpowiedział na to pytanie.

- Jeśli tak to panu przeszkadza, dlaczego się pan po prostu nie wycofa? Co prawda nie znam się na biznesie, ale mam wrażenie, że jeśli nie zostanie pan właścicielem American Periodical Group, to mimo wszystko da pan sobie radę.

- Nie chcę się wycofywać.

- Czy w APG jest coś, co szczególnie pana interesuje? Jakież pozostałości po umierającej branży, którym nie można się oprzeć?

- Ze względu na charakter tej nielegalnej działalności - kontynuował, ignorując jej pytanie - nie jestem w stanie użyć środków, po które zazwyczaj sięga się w takich sytuacjach.

- Jakich środków?

- Na przykład audytu śledczego, prawników specjalizujących się w fuzjach i przejęciach lub licencjonowanych prywatnych detektywów.

- Na czym polegają te oskarżenia?

- Niestety, na razie nie mogę ujawnić żadnych szczegółów. Jestem pewien, że pani to rozumie.

- Nie do końca.

Znowu się uśmiechnął. Tym razem był to ciepły, pocieszający uśmiech, taki, który sprawia, że człowiek ma ochotę zwinąć się w kłębek.

- W zaistniałej sytuacji powinniśmy rozważyć podpisanie umowy poufności.

- Dlaczego?

- Nie mogę całkowicie zdać się na obcą osobę, nawet na kogoś z tak

świetnymi rekomendacjami.

- W porządku. Jak mam pana do siebie przekonać?
- Przyjmując tę pracę i zgadzając się na proponowane wynagrodzenie.
- O jakiej sumie mówimy?
- Ćwierć miliona teraz, a kolejne ćwierć po zakończeniu projektu.

Przewiduję, że wszystko zajmie od sześciu do dwunastu miesięcy.

- Czyli razem pół miliona dolarów?
- Zgadza się.
- I nie jest to zabójstwo na zlecenie?
- A co, jeśli jest?

Przez kilka sekund patrzyli sobie prosto w oczy. Elle przestała odczuwać fizyczne zagrożenie, ale zaczęła obawiać się prowokacji. Tylko dlaczego ktoś taki jak ten facet miałby zastawiać na nią pułapkę?

- Nie, nie chodzi o zabójstwo na zlecenie.
- Ale ktoś może zginąć?
- Mam nadzieję, że nie. - Liczyła na bardziej zdecydowane zaprzeczenie.
- Pół miliona to kupa pieniędzy za pracę, w której nie istnieje ryzyko, że będzie trzeba kogoś zabić.
- Chodzi o bardzo poważną transakcję biznesową.
- Oczywiście. Jednak czym jest pół miliona w porównaniu z dwoma miliardami?

- Sama pani powiedziała, że te dwa miliardy to nie do końca moje pieniądze. Natomiast pół miliona płacę już z własnej kieszeni.

- Czyli stawka nie podlega negocjacom?
- Nie, nie podlega.

Spojrzała w stronę okien. Pokój znajdował się wysoko nad Piątą Aleją, więc spodziewała się, że zobaczy wspaniały widok na Central Park. Niestety, żaluzje były zasunięte. Ten facet musi być niezłym paranoikiem.

- Chciałabym podjąć rozsądną decyzję, ale chyba nie mam wystarczająco dużo informacji.

- Tak jak mówiłem, na razie nie mogę...
- Ujawnić żadnych szczegółów. Tak, wiem.

Niewątpliwie pociągała ją perspektywa dobrego zarobku, pół miliona to naprawdę spora suma, ale głównym argumentem przy podejmowaniu decyzji była walka z nudą. Przez dekadę Elle była uzależniona od adrenaliny, a przez ostatni rok walczyła z objawami odstawienia. Starła się prowadzić normalne życie, co przypominało terapię odwykową: szukała słabszych zamienników,

nie stroniła od rozrywek, widywała się ze znajomymi i przekonywała samą siebie, że dobrze jej idzie. A ta nowa propozycja? To mógł być naprawdę mocny towar.

Niby chodziło o szpiegostwo korporacyjne, ale ten facet coś przed nią ukrywał, być może o wielu rzeczach nie mówił jej prawdy. Kogoś takiego jak ona nie zatrudnia się przecież do banalnych zadań związanych z wywiadem gospodarczym, tylko do prawdziwego szpiegowania.

Od czasu ich pierwszej rozmowy poświęciła wiele energii, próbując dociec, dlaczego temu mężczyźnie tak bardzo zależy na przejęciu kontroli nad korporacją wydającą prasę. Nie udało jej się tego zrozumieć. Poznała jedynie fakty, które wyszły na światło dzienne podczas operacji, ale nie miała pojęcia, w jaki sposób zleceniodawca zamierza tę wiedzę wykorzystać.

Ten facet był niewątpliwie dobry w tym, co robił, i odniósł ogromny sukces. Spójrzmy jednak na innych mistrzów w swoim fachu. Na przykład Adolf Hitler. Naprawdę wyśmienity faszystowski dyktator, który jako pierwszy od wielu tysięcy lat był bliski podbicia całego świata. Nie oznacza to jednak, że tacy ludzie są godni podziwu i zaufania. Tak samo było z tym gościem - nie ufała mu i nie wzbudzał w niej zachwyty, lecz mimo to chciała dla niego pracować.

- Wszystko podlega negocjacji - powiedziała. Mężczyzna uniósł brwi ze zdziwienia. - Okrąży milion i obiecuję, że transakcja dojdzie do skutku.

Rozdział 31

Nowy Jork

Will wsiada do zatłoczonego metra jadącego w kierunku East Broadway, na skraj Chinatown, gdzie nowi imigranci z Azji mieszkają obok Afroamerykanów, Latynosów i ortodoksyjnych Żydów. Trudno uwierzyć, że to nie plan filmowy, lecz rzeczywistość. W tej okolicy to Will rzuca się w oczy, podobnie jak ludzie, którzy mogą go śledzić.

Idzie wzdłuż parku, w którym organizowane są spontaniczne mecze koszykówki, dzieci jeżdżą na trójkołowych rowerkach, a kilku młodzieńców wygląda, jakby handlowało narkotykami, ale być może chcą tylko zrobić takie wrażenie. Wchodzi do małego sklepu z kratami w oknach i kuloodporną szybą oddzielającą kasjerkę od potencjalnych bandytów. Kupuje butelkę wody i rusza w dalszą drogę. Po jakimś czasie przystaje, żeby się napić i rozejrzeć. W zasięgu wzroku nie widać nikogo o białym kolorze skóry.

Letnie słońce schowało się już za budynkami, tymi na pierwszym planie, niskimi, bardziej zaniedbanymi, i tymi wyższymi, lśniącymi w oddali jakieś dwa kilometry stąd w Financial District. Will maszeruje szybkim krokiem. Skręca raptem kilka razy i prawie wcale się nie zatrzymuje. Jest niemal pewien, że nikt go nie śledzi.

Kiedy zbliża się do kwartału, w którym kiedyś mieszkał razem z Chloe, traci pewność siebie. Jeśli ktoś go szuka, to całkiem możliwe, że właśnie w tej okolicy.

Patrzy na zegarek. Elle wyszła z knajpy osiemnaście minut temu. Niewykluczone, że dokładnie w tym momencie siedzi już u siebie w biurze i sprawdza zawartość dysku.

Will wchodzi do kolejnego marketu i kupuje gumę do żucia. W tym lokalu nie ma krat i kuloodpornych szyb, więc nic nie zasłania widoku na ulicę, wzdłuż której ciągną się bary, restauracje i sklepy: spożywczy, monopolowy, z używanymi ubraniami, ze starymi płytami winylowymi, z okularami i z artykułami gospodarstwa domowego. Jest przyjemny, letni wieczór. Chodnikami spaceruje mnóstwo ludzi, palą papierosy, gapią się w telefony, czekają na autobus albo starają się złapać taksówkę. Któraś z tych osób może

deptać Willowi po piętach.

Nie da się jednak tego stwierdzić na sto procent. Will może jedynie spróbować wyłowić z tłumu znajome twarze. Na pewno nie wysłano za nim setki agentów, nie jest w końcu słynnym zbiegiem ze Związku Radzieckiego. Ilu ludzi może brać udział w tej operacji?

Jego stara kamienica nic się nie zmieniła, sześć pięter, schody przeciwpożarowe z metalu, fasada z czerwonej cegły z licznymi kamiennymi zdobieniami - gzymsami, nadprożami i architrawami^[47] - które kiedyś stosowano dosłownie wszędzie, nawet w dzielnicach slumsów.

Kiedy zmieniają się światła, Will przebiega na drugą stronę szerokiej alei. Klatka schodowa jest zawsze otwarta. Wewnętrzne drzwi trzeba jednak otworzyć kluczem, którego nigdy nie oddał właścicielowi mieszkania. W przedsionku zawsze ktoś koczuje: w zimie chowają się tu zmarznięci bezdomni, dzieciaki palą skręty, obściskuje się podpita młodzież, a czasem na brudnej podłodze leży narkoman w obszarpanych ubraniach i ze skórą pokrytą bliznami. Ten budynek nie należy do bezpiecznych, ale dzięki temu ma w sobie coś romantycznego. Groza jest pod jakimś względem atrakcyjna, ale szybko można mieć tego dosyć. Ryzyko potrafi być bardzo wyczerpujące.

Za drzwiami ciągnie się długi korytarz z rzędem mocno zniszczonych, mosiężnych skrzynek na listy. W sumie jest ich dziesięć, wszystkie z wyłamanymi zamkami. Ogłoszenia dla lokatorów wiszą przypięte pinezkami do ściany. Na samoprzylepnej karteczce ktoś napisał, że z powodu koniecznych prac remontowanych w piątek nie będzie ciepłej wody. Pod informacją podpisał się Calvin, nieuchwytny dozorca pracujący w kilku kamienicach naraz i dlatego zawsze zajęty gdzie indziej.

Will idzie na tył budynku i zaczyna schodzić po stromych, brudnych, ciemnych schodach. Lokatorzy tutaj nie zaglądają, ponieważ w piwnicy nie ma nic ciekawego: ani pralni, ani komórek magazynowych, ani żadnego przejścia. Dosłownie nic. Will w ogóle nie wiedziałby o istnieniu tych zakamarków, gdyby kiedyś nie szukał schowka na wyjątkowo duży prezent dla Chloe.

Pamięta, że w zwykły dzień tygodnia poszedł na zwiad z latarką w rękę niczym włamywacz, chociaż wiedział, że nie popełnia żadnego przestępstwa. Mimo to nie mógł pozbyć się wrażenia, że robi coś złego. Bał się również, że nakryje go Calvin. Właśnie wtedy znalazł skrytkę z zakurzonymi rowerami, starym wózkiem spacerowym i pudełkiem z dekoracjami na Boże Narodzenie. Wstawił tam narty dla swojej żony.

Żelazne dwuteowniki^[48] wzmacniają schody od dołu, tworząc ciemne wnęki z wystającymi ze ścian półkami. Ciężko się tam dostać, a w środku na pewno mieszkają szczury i karaluchy. Być może są tam nawet rakotwórcze płytki z azbestem. Chyba nikt z własnej woli nie wchodziłby do tych przyprawiających o gęsią skórę podziemi.

Will wczołguje się pod trzeci stopień od dołu i zaczyna macać w ciemnościach. Ma za mało miejsca nad głową i robi się niezbyt przyjemnie. Sięga w lewo... Potem w prawo...

Czuje, że zaraz wpadnie w panikę. Atmosferę grozy wzmacnia jeszcze buzująca w żyłach adrenalina. Za dużo emocji na raz: ucieczka z Midtown, manewry kontrobservacyjne i na dodatek zupełnie nieracjonalny lęk przed leniwym dozorcą.

Nigdzie nie może znaleźć schowanego wcześniej pakunku. Jak to możliwe?

Wyciąga rękę jeszcze głębiej, starając się przeszukać całą wnękę.

Cholera.

Wypęła na zewnątrz i rozgląda się dookoła. Czyżby Calvin odkrył jego skrytkę? A może ktoś inny? Elle? Roger? Chloe?

Nagle słyhać trzaśnięcie drzwiami, a po chwili rozlega się dudnienie ciężkich kroków. Will przekrzywia głowę jak pies i struchlały ze strachu czeka, co się stanie.

Czego tak bardzo się boi?

Wszystkiego. Tego, co dzieje się teraz, i tego, co go czeka dziś wieczorem, jutro i w najbliższej przyszłości. To dopiero początek, a sprawy już przybierają niewłaściwy obrót. Oby nie doszło do katastrofy.

Zamyka oczy, bierze głęboki wdech i liczy do dziesięciu, żeby się uspokoić.

Przygląda się uważnie żelaznym podporom i jeszcze raz liczy stopnie.

I wtedy zdaje sobie sprawę, że szukał w niewłaściwym miejscu. Sportowa torba zabezpieczona taśmą izolacyjną leży dokładnie tam, gdzie ją schował po powrocie z Islandii, kiedy po raz pierwszy nie na żarty się przestraszył. Odrywa taśmę i wyciąga swój dobytek spod schodów.



Trzyma rękę na klamce, gotowy, żeby wyjść na zewnątrz i zniknąć z tej cholernej kamienicy, zanim nakryje go Calvin, któryś z lokatorów albo

policja. W ostatniej chwili się waha. Przysuwa twarz do okienka w kształcie rombu, ze wzmocnionego, pokratkowanego szkła. Na szybie widać resztki naklejki reklamującej całodobowe usługi ślusarskie i plamę, która w najlepszym wypadku jest pozostałością po smarkach.

Na ulicy jest tyle samo ludzi co dziesięć minut temu. Kilka twarzy wygląda znajomo. Tłumek czekających na autobus niewiele się zmienił, a przed sklepem monopolowym snuje się ten sam zaniedbany facet w średnim wieku. Dziwnie się zachowuje, ale powinno to martwić policję, a nie Willa.

Jest jeszcze ktoś: mężczyzna w lekkim garniturze, butach na gumowej podeszwie i ciemnych okularach, które niezbyt dobrze zakrywają jego oczy. Widać, że patrzy prosto na kamienicę, w której chowa się Will. Ten typ świetnie wtopiłby się w tłum przechodniów na Midtown, ale na Lower East Side pasuje jak pięść do nosa.

Will odwraca się na pięcie, jeszcze raz przechodzi przez obskurny korytarz i wspina się po schodach na samą górę. Na ostatnim piętrze znajduje się drabinka prowadząca na dach, którą zagraadza bramka z napisem: „Wyjście przeciwpożarowe. Po otwarciu włączy się alarm”.

Zastanawia się, czy bramka jest rzeczywiście podłączona do instalacji alarmowej. W tym budynku wydaje się to mało prawdopodobne. Możliwe, że została odłączona, ktoś zdążył ją popsuć albo w ogóle źle ją zainstalowano. Will wiele razy wchodził na dach, najczęściej były to spontaniczne wyprawy organizowane podczas imprez. Brali ze sobą lód, piwo, kilka butelek wina, obrus mający służyć za koc piknikowy i lornetkę, żeby oglądać pokazy fajerwerków z okazji Dnia Niepodległości. Wtedy nie było tu żadnej bramki.

A co, jeśli alarm działa? Będzie go słyszeć na ulicy? Czy ludzie, którzy śledzą Willa, szybko się zorientują? Jak dużo czasu im to zajmie?

Will nie ma jednak innego wyboru. Naciska na czerwoną dźwignię, żeby zwolnić zamek, otwiera bramkę i...

Włącza się alarm. Rozlega się przeraźliwy pisk i zaczyna błyskać jaskrawa żarówka rozświetlająca ciemny korytarz na ostatnim piętrze. Nieprzyjemne migotanie i hałas atakują zmysły, a wszystko przez zamontowane pod sufitem, niewinnie wyglądające pudełeczko.

Will wbiega na górę, pokonując po dwa stopnie na raz. Otwiera duże metalowe drzwi i wychodzi na rozmiękłą smołę. Na dachu stoi kilka krzeseł ogrodowych i japoński grill *hibachi*. Całe szczęście, nie ma tu żadnych ludzi.

Podchodzi do krawędzi budynku i kładzie się na brzuchu. W gzymsie wywiercono otwory o sporej średnicy będące częścią systemu

odprowadzającego wodę. Poniżej znajdują się lejki połączone z przymocowanymi do fasady rynnami. Will wygląda przez jeden z tych otworów i po drugiej stronie ulicy dostrzega mężczyznę w garniturze, który rozgląda się to w prawo, to w lewo, najwyraźniej nieświadomy, że włączył się alarm. W pewnym momencie patrzy w górę i przeszukuje wzrokiem dach. Czy jest w stanie zobaczyć Willa? Nie, to niemożliwie. Absolutnie wykluczone.

Mężczyzna wyjmuje z kieszeni telefon, mówi coś do słuchawki, po czym kiwa głową i zaczyna przechodzić przez ulicę.

Will wstaje, podbiega do murku odgradzającego jeden budynek od następnego i przeskakuje na drugą stronę. Robi tak jeszcze dwa razy. Każda kamienica ma sześć pięter, dachy pokryte są podobnym materiałem i znajdują się na mniej więcej takiej samej wysokości. Will zauważa, że lokatorzy są tu regularnymi gośćmi, choć to przecież nielegalne. Świadczą o tym tanie, składane meble, wielkie plastikowe kosze na śmieci, niedopałki papierosów, puste butelki po piwie, a nawet rozerwane żółte pudełko po prezerwatywach, które ktoś musiał otwierać w pośpiechu.

Zatrzymuje się na skraju czwartej kamienicy, z trudem łapiąc oddech. Następny dach położony jest przynajmniej jedno piętro niżej. Will rozgląda się w poszukiwaniu drabiny, jakiegoś sznura, czegokolwiek. Niestety, nic takiego nie może znaleźć.

Powinien skręcić i zejść z dachu na ulicę w miejscu, które nie znajduje się pod obserwacją.

Z jakiegoś powodu alarm wyje coraz głośniejszy. Nieprzyjemny ryk wyraźnie wybija się ponad szum wielkiego miasta, zagłuszając ciężarówkę, autobusy i jęczącą w oddali syrenę. Will ogląda się przez ramię i widzi, jak z impetem otwierają się drzwi prowadzące na dach.

Zdaje sobie sprawę, że nie ma więcej czasu.

Skacze.



- Ale to przecież ty mnie zwerbowałeś - duka mężczyzna, zanosząc się kaszlem, ponieważ ma sucho w gardle.

- Co takiego?

Facet od wielu godzin siedział z zatkanymi ustami. Dopiero przed chwilą Malcolm wyjął mu knebel z ust.

- Mogę się napić wody?
 - Nie. Co masz na myśli, mówiąc, że ja cię zwerbowałem?
- Mężczyzna patrzy na niego błagalnym wzrokiem.
- Bardzo cię proszę.
 - Do cholery, najpierw powiedz, o co tutaj chodzi.
 - Miałem ci pomóc wyplątać się z intercyzy.

Malcolm stara się zrozumieć to, co właśnie usłyszał, ale nie jest w stanie się skoncentrować. Dochodzi do wniosku, że szkoda energii na wyciskanie prawdy z tego typu. Przynajmniej na razie. Najpierw musi zrobić coś innego.

Puka do zamkniętych od zewnątrz drzwi. Słychać zgrzyt, po czym drzwi się otwierają.

- Tak?
- Czas na palce - mówi Malcolm.
- Co?

- *Oye* - krzyczy Alonso w stronę podwórka - *ven acá*^[49] - Do piwnicy schodzi inny mężczyzna i przejmuje funkcję strażnika. Drzwi się zatrzasują i znowu słychać chrobot zasuw.

Alonso, zatrudniony z powodu skłonności do przemocy, podchodzi powolnym krokiem do siedzącego na krześle Stevena.

- Co to ma do cholery znaczyć? Jakie palce?! - wrzeszczy przerażony więzień.

Alonso sięga do tylnej kieszeni zwisających mu luźno z bioder workowatych džinsów i wyciąga dużą skórzaną pochwę.

- O Boże, nie. Błagam.

Bierze do ręki nóż z czarną rękojeścią i długim, grubym ostrzem z ząbkowaną końcówką. Taki majcher oferuje wiele możliwości. Nadaje się do krojenia, dźgania, a nawet przepiłowywania różnych przedmiotów, zwierząt i ludzi. To naprawdę paskudne narzędzie.

- Proszę - skamle Steven. - Nie...



Kiedy leci w dół, w jego głowie pojawiają się wspomnienia z weekendowego kursu akrobacji spadochronowych. Wziął w nim udział bardzo dawno temu tylko po to, żeby móc o tym napisać. Po nudnych wykładach przyszedł czas na monotonne ćwiczenia praktyczne: wyskakiwanie z samolotu, spadanie i lądowanie tak, żeby nie połamać sobie

kostek i goleni, czyli z napiętymi mięśniami stóp i miękkimi kolanami. Po dotknięciu ziemi trzeba rzucić się do przodu i lekko wysunąć ramiona, żeby zamortyzować siłę uderzenia i równomiernie rozłożyć ciężar na różne kości, stawy i grupy mięśni.

Lot z jednego dachu na drugi trwa dłużej, niż mogłoby się wydawać. Jeszcze turlając się po asfalcie, Will zaczyna się zastanawiać, jakie odniósł obrażenia i czy nie zerwał któregoś ze stawów. Wreszcie się zatrzymuje, pomagając sobie kolanem. Czuje ból w lewej kostce. Szybko wstaje i porusza stopą, żeby sprawdzić, jak bardzo jest źle. Boli, ale da się przeżyć.

Zbliża się do przedniej krawędzi budynku i widzi piętnastometrową przepaść, a na samym dole ulicę. Niestety, tędy nie da się uciec. Biegnie więc na tył kamienicy. Na elewacji zamontowano schody i drabiny przeciwpożarowe, które zaczynają się jednak dopiero piętro niżej. Nie prowadzi tam żadne zejście, a na dodatek połowa podestu zastawiona jest roślinami w doniczkach.

Powinien skakać? To jakieś trzy metry, nie więcej. A co, jeśli nie trafi?

Wychyla się znad gzymsu, szukając lepszego rozwiązania. Cztery domy dalej widzi schody przeciwpożarowe prowadzące na sam dach. Czy ma wystarczająco dużo czasu, żeby się tam dostać, nie będąc zauważonym? Zdaje sobie sprawę, że musi jak najszybciej zejść na dół, zanim facet, który depcze mu po piętach, poinformuje o wszystkim swojego partnera stojącego na ulicy.

Nie, ma najwyżej kilka sekund. Musi stąd błyskawicznie zniknąć.

Znowu nie ma żadnego wyboru i skacze.

Rozdział 32

Nowy Jork

Alonso trzyma przed twarzą Stevena wielki nóż przypominający rekwizyt z horroru.

- Proszę - błaga więzień. - Nie rób tego.

Malcolm nie zwraca na to najmniejszej uwagi. Jego palce śmigają po ekranie smartfonu: „Przepraszam, Rhodes, ale się nie wyrobię. Możemy się umówić na 19.00?”. Kiedy kończy, chowa komórkę do kieszeni i mówi do Alonso:

- Na co czekasz? Do roboty.

- Nie! Litości!

Alonso wykonuje błyskawiczny ruch i przecina taśmę krępującą prawą rękę Stevena. Po chwili tnie jeszcze raz i uwalnia jego lewą rękę.

Steven patrzy na swoje oswobodzone dłonie. Ogląda je uważnie, szukając ran, ponieważ nie może uwierzyć, że nie stało się nic strasznego.

Malcolm podaje Alonso metalowe pudełeczko.

- Co to jest? - pyta Steven. Zaczyna wyobrażać sobie wszystkie okropne rzeczy, które można zrobić za pomocą tego przedmiotu, i znowu wpada w panikę. Na Boga, co jest w środku?



Will znowu leci w dół, ale po chwili orientuje się, że tym razem wyskoczył za bardzo do przodu i oddala się od elewacji. To się źle skończy, może nawet tragicznie. Próbuje odwrócić się we właściwą stronę, ale mu nie wychodzi. Wszystko dzieje się zbyt szybko. Jakimś cudem zahacza prawą stopą o poręcz i zawisa na trzycentymetrowym kawałku żelaza, dwa metry nad górnym podestem schodów przeciwpożarowych, dwanaście metrów nad chodnikiem, o który można sobie roztrzaskać wszystkie kości.

Ma złudne wrażenie, że uda mu się zachować równowagę, lecz siła rozpędu ciągnie go w dół. Pod wpływem ciężaru stopa zaczyna zsuwać się z poręczy. Prawa fizyki są nieubłagane i Will czuje, że jego ciało odgina się do

tyłu i oddala od budynku. Po chwili znowu spada i za wszelką cenę próbuje uczeplić się poręczy, nie jest jednak w stanie dobrze się chwycić i ponownie się ześlizguje. Wymachuje rękami, próbując złapać za cokolwiek. Gdy czuje w dłoni kawałek metalu, zaciska palce, a jego ramię zalewa palący ból. Nie może uwierzyć, że się udało. Przestał spadać i zawisł na poręczy schodów przeciwpożarowych. Na razie nic mu nie grozi, przynajmniej przez najbliższą sekundę, a jeśli uda się podciągnąć...

Wyrzuca drugą rękę w górę i łapie za metalową barierkę. Chwył jest o wiele stabilniejszy. Zbiera siły, po czym zaczyna machać nogami wahadłowym ruchem, to w jedną, to w drugą stronę, żeby nabrać odpowiedniego rozpędu. Kiedy osiąga maksymalną amplitudę, puszcza balustradę. Tym razem jest spokojniejszy, ponieważ wie, że będzie spadał przez najwyżej dwa metry. Po chwili uderza w podest, wpadając prosto na karton z pustymi butelkami po winie.

W oknie siedzi kot i zaczyna na niego prychać.

- Co się stało, Gertrudo? - rozlega się głos jakiejś kobiety. - Ktoś jest na zewnątrz? - Ta baba nie będzie zadowolona, gdy zobaczy Willa na schodach przeciwpożarowych, i pewnie zacznie wrzeszczeć.

Will zdaje sobie sprawę, że powinien zniknąć jej z oczu, więc czym prędzej zbiega na dół. Jego kroki dudnią na metalowych stopniach, a cała konstrukcja mocno się chwieje. Will nawet nie próbuje zachowywać się cicho - trudno, niech krzyczą, dzwonią po policję, wyciągają noże i kije baseballowe. On musi stąd jak najszybciej zniknąć.

Nie jest wcale zdziwiony, gdy odkrywa, że ostatni odcinek schodów prowadzący bezpośrednio na podwórko jest zatarasowany, co jest rzecz jasna niezgodne z prawem. Przepisy potrafią być naprawdę upierdliwie, ale ich przestrzeganie może czasem uratować komuś życie.

Przechodzi przez poręcz, opuszcza się na rękach i przez pół sekundy zwisa w powietrzu, po czym rozluźnia uchwyt i leci w dół.

Ten upadek okazuje się najboleśniejczy.

Kuśtyka przez podwórko, które jest skrawkiem otwartej przestrzeni między kilkoma budynkami. Wzdłuż brukowanych alejek stoją zioła w doniczkach i rosną kwiaty. Poza tym widać kubły na śmieci, pojemniki z trutką na szczury i dziecięce zabawki. Jest jeszcze niska, ciemna loggia i wyjście na boczną uliczkę.

Will wychyla się zza rogu i rozgląda po okolicy. Snuje się tu raptem kilka osób i żadna nie wygląda podejrzanie. Nagle pojawia się wolna taksówka.

Will zatrzymuje auto, otwiera drzwiczki i siada na lepkiej kanapie. Czuje pulsujący ból w kostce. Mówi, dokąd chce jechać, ale nie słyszy własnego głosu. Oby tylko kierowca dobrze go zrozumiał.

Taksówka skręca w szeroką aleję i - cholera jasna! - zbliża się do stojącego na chodniku faceta, który śledził Willa jeszcze na Midtown.

Will zsuwa się z kanapy i siada dalej od okna. Niestety, samochód zatrzymuje się na czerwonym świetle i Will zdaje sobie sprawę, że znalazł się na linii wzroku swojego prześladowcy. Stara się usiąść jeszcze niżej i zasłania twarz ręką, udając, że rozmawia przez nieistniejący telefon.

- Wszystko w porządku? - Taksówkarz obserwuje jego dziwne zachowanie w lusterku wstecznym. - Będzie pan wymiotował?

- Nie, dobrze się czuję.

- Ma pan jakiś problem?

Światła się zmieniają, samochód rusza do przodu i przejeżdża przez skrzyżowanie. Zagrożenie minęło.

- Każdy ma jakieś problemy.



Stoi na zatłoczonej stacji metra. Wjeżdżający pociąg włacza na peron zastałe powietrze. Wchodzi do wagonu niepewnym krokiem i pada na ławkę. Po drugiej stronie jakiś facet mówi przynajmniej o połowę za głośno. Niezwykle starannie artykułuje każdą głoskę, a jego usta wykonują przy tym niemal akrobatyczne ruchy. Najwyraźniej popisuje się przed swoim towarzyszem teatralną dykcją i nieskazitelną wymową. Zachowuje się jak pretensjonalny kelner, który tak dokładnie i z takim namaszczeniem wymawia *pot-au-feu*^[50] i *bouillabaisse*^[51], że goście nie mają pojęcia, o czym jest mowa.

Siedzący obok Willa mężczyzna głośno wzdycha i przykłada dłoń do czoła, jakby chciał powiedzieć: Dłużej tego nie wytrzymam. Bez żadnego skrępowania wyraża emocje w miejscu publicznym, zupełnie nie dbając o to, co mogą pomyśleć o nim inni pasażerowie.

Will wbija wzrok w swoje buty, starając się nie patrzeć na otaczających go ludzi. Potrzebuje chwili skupienia, żeby z dostępnych faktów ułożyć jakąś przekonującą narrację. Śledzi główny wątek, ale ma wrażenie, jakby przypatrywał się pojedynczej linii na obrazie Joana Miró, która wiję się w różne strony i zlewa z różnymi kształtami i formami, ale zasadniczo

prowadzi donikąd. Jej kres tak naprawdę w ogóle nie istnieje i jest kompletnie bez znaczenia. Liczy się tylko podróż.

Will jest niemal pewien, że każde wyjaśnienie, które do tej pory usłyszał, jest mocno naciągane. Ktoś go okłamuje. Niewykluczone, że wszyscy wciskają mu kit. Najwyższy czas poznać prawdę.

Jedzie kilka przystanków, po czym rzuca okiem na wiszącą za jego plecami mapę. Tak, to tutaj.

Mimo że do następnej stacji jest jeszcze daleko, nagle wstaje i idzie na koniec wagonu. Facet, który wzdychał, w ogóle tego nie zauważa, ale dziwne zachowanie przyciąga uwagę oratora. Will ma ochotę przyjrzeć się współpasażerom, ale nie chce, żeby ktoś go zapamiętał i już po wszystkim podał rysopis policji.

Szybkim ruchem pociąga za hamulec bezpieczeństwa. Wążący trzysta ton stalowy kolos wydaje z siebie ogłuszający pisk, szarpie i hamuje.

Will otwiera drzwi i wychodzi na platformę między wagonami. Przeskakuje przez łańcuch zabezpieczający i skacze na dno tunelu. Rozpoznaje trzecią szynę, sześćset dwadzieścia pięć woltów, która na całe szczęście znajduje się po drugiej stronie pociągu, po czym rusza przed siebie wąskim przesmykiem ciągnącym się między usmoloną ścianą a wagonami. Drogę oświetla mu sączący się z okien blask jarzeniówek.

Kiedy mija cały skład, przystaje, żeby się rozejrzeć. Poprzednia stacja jest całkiem blisko, jeden, może dwa uliczne kwartały stąd. Na końcu mrocznego tunelu widać niezwykłą jasność przypominającą lśniąca surowicę na czubku ciemnej strzykawki.

Will rusza przed siebie szybkim truchtem. Ogląda się przez ramię, ale nie widzi, żeby ktokolwiek go śledził. Nikt nie wygląda też przez okienko w ostatnim wagonie unieruchomionego pociągu.

Zbliża się do stopni prowadzących na stację i wchodzi na peron. Zauważa go uczennica o azjatyckiej urodzie ubrana w plisowany mundurek, ale szybko odwraca wzrok i zaczyna czytać książkę. Poza tym żaden z czekających na metro nie zwraca na Willa najmniejszej uwagi.

Will wspina się po schodach, żeby wsiąść w pociąg linii A, który właśnie wtacza się na peron. Metro przejeżdża pod East River i zatrzymuje się na kolejnych stacjach, już po stronie Brooklynu: Brooklyn Heights, Clinton Hill, Bedford-Stuyvesant, Brownsville, Ozone Park i Jamaica. Podróż wydaje się trwać w nieskończoność. W Londynie nie da się co prawda tanio i szybko przemieszczać z miejsca na miejsce, ale można za to złapać pociąg na

dworcu Paddington i po piętnastu minutach być już na Heathrow. W Nowym Jorku, żeby dojechać z centrum na lotnisko, trzeba przesiąść się z linii A na AirTrain, a pokonanie całej trasy zajmuje godzinę. Metro jedzie wolno, wagon niemiłosiernie się trzęsie, a na niektórych odcinkach może być naprawdę niebezpiecznie.

Will robi bilans doznanych obrażeń: skręcona kostka, otarcia na obu rękach i rozcięta goleń.

- Wszystko w porządku? Nieźle się pan załatwił.

Will próbuje zatamować krwawienie nogawką swoich dzinsów, ale tylko brudzi sobie spodnie.

- Nic mi nie jest - mówi, kiwając głową do siedzącego naprzeciwko mężczyzny. Pociąg robi właśnie pętlę wokół lotniska, objeżdżając wszystkie terminale. Port lotniczy im. Johna F. Kennedy'ego, dziwne miasto w mieście wybudowane na podmokłych terenach wokół Jamaica Bay, daje zatrudnienie trzydziestu siedmiu tysiącom ludzi. Ten facet jest z pewnością jednym z pracowników, ponieważ tak jak Will podróżuje AirTrainem bez żadnego większego bagażu.



Przez dłuższą chwilę przygląda się tłumowi kłębiącemu się w hali odlotów. Przy stanowiskach odprawy biletowo-bagażowej stoją tysiące ludzi, część cierpliwie czeka, część przebiera nerwowo nogami i biadoli. Cały teren znajduje się pod baczna obserwacją pracowników linii lotniczych, agentów Administracji Bezpieczeństwa Transportu, policjantów i kamer monitoringu.

Podchodzi do samoobsługowego automatu, wyjmując z kieszeni paszport i przesuwając go przez czytnik. Na ekranie pojawia się napis „Przeszukiwanie danych... Przeszukiwanie danych...”.

Will ma wrażenie, że wszyscy się na niego gapią. Ma wielką ochotę spojrzeć przez ramię, ale wie, że powinien za wszelką cenę się powstrzymać.

„Przeszukiwanie danych.”

To trwa zbyt długo. Serce znowu zaczyna walić mu jak młot.

Niemożliwe. Coś musi być nie tak. Może automat się popsuł?

Will podnosi wzrok znad ekranu, żeby jeszcze raz przyjrzeć się hali odlotów. Jego oczy wędrują w stronę ochroniarzy i policjantów, którzy również obserwują terminal, tropiąc dziwnie zachowujących się pasażerów.

„Przeszukiwanie.”

Nagle ekran robi się czarny. Cholera! Co się stało?

„Znaleziono dane”.

Trzęsącą się ręką wklepuje niezbędne informacje. Nie ma bagażu, nie podróżuje z małymi dziećmi, zgadza się na różne środki bezpieczeństwa i inne bzdury. No, szybciej !

W końcu urządzenie wypluwa kartę pokładową.

Will dochodzi do wniosku, że w takim stanie nie powinien pokazywać się na oczy pracownikom ochrony. Najpierw musi doprowadzić się do porządku. Wchodzi do łazienki, myje ręce i zakrwawioną nogę, owija ranę bandażem z apteczki, którą zawsze trzyma w torbie podróżnej, opłukuje twarz i przeczesuje włosy, a na koniec wyciera się papierowymi ręcznikami.

W porządku, mówi sam do siebie. Jestem zagonionym pasażerem. Poce się z powodu upału. Spieszę się na samolot i nie mam nic do ukrycia.

Kolejka do stanowisk kontroli bezpieczeństwa jest wyjątkowo krótka. W końcu zgodnie z nomenklaturą Administracji Bezpieczeństwa Transportu Will należy do grona tak zwanych zaufanych podróżnych.

- Proszę podejść.

Will wkłada do plastikowego pojemnika klucze, zegarek i monety, wyjmując ręce z kieszeni i sprawdza, czy nie ma przy sobie czegoś jeszcze. Plecak i marynarka lądują na taśmociągu. W środku nie schował żadnych metalowych przedmiotów. Nic z wyjątkiem. Fałszywych dokumentów i sporej ilości gotówki.

Chyba powinien zostać w marynarce. Patrzy, jak jego dobytek znika we wnętrzu aparatu rentgenowskiego.

Niech to szlag.

Ochroniarz każe mu przejść przez bramkę, która od razu zaczyna piszczeć jak szalona. O co chodzi?

- Czy ma pan w kieszeni telefon? - No tak, oczywiście, że ma. Wrzuca komórkę do plastikowego pojemnika i w tym samym momencie taśmociąg się zatrzymuje. W środku tej pieprzonej maszyny jest ciągle jego torba i marynarka.

Facet obsługujący rentgen gapi się w ekran. Przesuwa taśmę trochę do przodu, a potem znowu do tyłu i mruży oczy. Woła swojego kolegę i coś do siebie szepczą. Jeden z nich kiwa głową.

Cholera. Cholera. Cholera.

Całe szczęście taśmociąg znowu rusza do przodu.

- Proszę pana?

O mój Boże! Will patrzy na ochroniarzy, którzy stoją mu na drodze do wolności. Kim oni są? Dlaczego należy im ufać? Czy w ogóle sprawdzano ich wiarygodność? Dla kogo pracują? Kto dał im władzę rozporządzania ludzkim życiem?

- Czy ta torba sportowa należy do pana?

Sportowa? Przecież on nie ma takiej...

- Tak - odpowiada mężczyzna stojący obok Willa.

- Ma pan w środku zapalniczkę?

Dzięki Bogu. Will zbiera swoje rzeczy, zakłada wypchaną kontrabandą marynarkę i szybkim krokiem oddala się od stanowiska kontroli. W rękę ściska paszport i kartę pokładową, jakby to były jego koła ratunkowe.



Spogląda na elektroniczną tablicę. Lot do Portland w stanie Maine, bramka numer 34. Pasażerowie już wchodzą na pokład.

Znowu wibruje mu telefon. Kolejny esemes od Malcolma: „Rhodes, co się kurwa dzieje? Umawiamy się na tego drinka czy nie?”

Will idzie do toalety, zamyka się w kabinie i przebiera w zapasowe ubrania: džinsy, T-shirt i czapkę z daszkiem. Zza paska spodni wyjmując wyściełaną kopertę i chowa do niej paszport. Gruby plik banknotów dwudziesto-, pięćdziesięcio- i studolarowych postanawia zatrzymać przy sobie.

Z koperty wyjmując inny dokument tożsamości, tym razem kanadyjski, wystawiony na nazwisko Douglasa Davisa, i inną kartę pokładową.

Bierze do ręki dwa pendrive'y, jeden wsadza do prawej kieszeni spodni, a drugi do tylnej.

Pakuje stare ciuchy do torby i wychodzi z łazienki.

- Pasażer Will Rhodes lecący do Portland o godzinie ósmej piętnaście proszony jest o natychmiastowe zgłoszenie się do wyjścia numer trzydzieści cztery. To ostatnie wezwanie.

Rozgląda się i widzi, że gate numer trzydzieści cztery znajduje się jakieś sto metrów po jego prawej stronie.

Will skręca w lewo.

Scarborough

- Halo?

- Cześć, Chloe. Tu Dean.

Chloe nie odpowiada. Czy to naprawdę Dean? Ten facet ma niezły tupet.

- Dean Fowler - precyzuje mężczyzna.

- Możesz w to wierzyć lub nie, ale nie znam innego Deana. Poza tym poznałam cię po głosie.

- Miło to słyszeć. Chloe...

- Tak?

- Wczoraj wieczorem był u mnie twój mąż i miał do mnie dość. szczególną prośbę.

Aha, więc dlatego dzwoni. Wcale nie chce jej poderwać. Przynajmniej nie tak nachalnie jak zwykle. Może postanowił zastosować subtelniejsze metody?

- Po prostu powiedz, o co chodzi.

- Nie znam szczegółów, ale gdybyś chciała, mógłbym się wszystkiego dowiedzieć.

- Owszem, chcę.

Nowy Jork

Will stara się skupić wzrok, ale nie może zdecydować na czym. Czy ma się gapić na własne buty? A może na kark stojącego przed nim faceta? Nie, lepiej wybrać coś bardziej neutralnego. Powinien spoglądać lubieżnie na jakąś atrakcyjną kobietę, na przykład na tę w sąsiedniej kolejce: krótka spódnica, wysokie obcasy, zbyt dużo błyszczyka i tandetny strój. Trudno, nie ma innego wyboru. Lepiej wyjść na obleśnego typa o złym guście niż na zbiega.

Włożył kartę pokładową do środka paszportu należącego do osoby, której nikt nie ściga. W każdym razie taką ma nadzieję. Nigdy wcześniej nie korzystał z tego dokumentu, tak naprawdę pierwszy raz w życiu posługuje się nie swoim dowodem tożsamości. Może ten kanadyjski ćpun zgłosił już kradzież policji? Albo został aresztowany i skazany za popełnienie jakiegoś przestępstwa, a jego papiery unieważniono? Niewykluczone, że to w ogóle nie jest autentyczny paszport, a sprzedawca go oszukał. A co, jeśli pan Ramones, który opchnął mu to gówno na tyłach jakiejś speluny na Bed-Stuy,

również trafił za kratki i postanowił sypać, żeby dostać łagodniejszy wyrok?

Pewnie skończy się na tym, że Willa także za chwilę aresztują, tuż przed bramką prowadzącą na pokład samolotu.

Podaje dokumenty kobiecie z obsługi. Czuje, że serce bije mu coraz szybciej. Dziewczyna rzuca okiem na fotografię i porównuje ją z twarzą pasażera.

Will ma tak głośny puls, że dosłownie huczy mu w uszach. Czy stojący obok ludzie to słyszą?

Kobieta przykłada kartę pokładową do skanera i przyciska papier, żeby urządzenie odczytało kod paskowy. Will chciałby, żeby rozległo się przyjemne piknięcie, takie samo jak przy sąsiednim stanowisku, przez które przechodzi opalona pasażerka, posyłając mu delikatny uśmiech. Niestety, zamiast tego słyszczy niskie bzyczenie, które w teleturniejach oznacza zazwyczaj złą odpowiedź...

Cholera, zaraz zacznie wyc alarm, zapalą się światła stroboskopowe i wpadnie tu brygada antyterrorystyczna z bronią gotową do strzału.

Rozdział 33

Reston w stanie Wirginia

- Dziękuję, że tak szybko się tym zająłeś - mówi Elle, zamykając za sobą drzwi i rozglądając się po smutnym mieszkanku Rajiego: pokryte skajem meble, ogromny telewizor, zero jakichkolwiek ozdób na ścianach, butelki po piwie ustawione pod oknem w kuchni jak żołnierze broniący cytadeli. - Przepraszam za najście o tak późnej porze.

- Nie ma sprawy. Powinienem zapewniać klientom kompleksową obsługę. Smakowało pani?

- Tak, całkiem niezła knajpa. - Jedzenie było paskudne. - Dziękuję za rekomendację.

Elle zauważyła puste szkło już godzinę temu, kiedy zostawiała Rajiemu dysk. Postanowiła nie wracać z pustymi rękami i przytargała piwo w plastikowej torbie.

- Mam dla ciebie prezent.

Kiedy stawia sześciopak na kuchennym blacie, z sąsiedniego pokoju dobiegają odgłosy pracy: skrzypiące krzesło i stukot klawiatury.

Nie chce niczego dotykać, więc wyjmuje kartonowe opakowanie, pomagając sobie chusteczką, po czym chowa ją do kieszeni razem ze złożoną reklamówką. Dla pewności przed przyjściem tutaj okleiła sobie plastrami koniuszki palców, wskazującego i kciuka, a rękę również stara się trzymać w kieszeniach.

- Powiedz mi, Raji, co takiego znalazłeś?

Z wyrazu jego twarzy wynika, że nie ma dla niej dobrych wiadomości.

- Przykro mi, ale jeśli dane, których pani szuka, w ogóle są na tym dysku, to zostały bardzo dobrze ukryte.

- Na pewno zrozumiałeś, o co mi chodzi?

- Tak, o pliki utworzone lub modyfikowane przez Malcolma Somersa, które mogą zawierać aliasy odnoszące się do nazwisk, liczb, sum pieniężnych lub lokalizacji albo do jakichkolwiek powiązań między tymi danymi.

- I nic takiego nie znalazłeś?

- Nie. Co więcej, nie natrafiłem na żadne pliki utworzone lub

zmodyfikowane przez Malcolma Somersa.

- Nic?

- Nic.

- To zupełnie bez sensu. Czy to możliwe, żeby Somers nie trzymał żadnych dokumentów ani na swoim pececie, ani na redakcyjnym serwerze?

- Tak, ale wykluczone, żeby nie było tam jego folderów. Coś pani pokażę.

Elle pochyla się do przodu i patrzy na ekran ponad jego ramieniem.

- Widzi pani to drzewo organizacji? Gałęzie odpowiadają poszczególnym działom magazynu: redakcyjnemu, graficznemu, pro...

- Rozumiem.

- W gałęziach znajdują się nazwy użytkowników.

- Okej.

- Tu są wolni strzelcy. A tutaj archiwum.

- Mój Boże, ogromne.

- Tak, te katalogi zawierają pliki, które od trzech lat nie zostały zmodyfikowane. Po tym czasie są automatycznie archiwizowane. Tutaj ma pani tysiące folderów przypisanych każdemu użytkownikowi, który kiedykolwiek utworzył jakiś plik w ramach tej organizacji, rzecz jasna od kiedy zagościły tu komputery, czyli od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku. Wtedy to było raptem kilka dokumentów. Widzi pani?

- Aha.

- Malcolm Somers pracuje w tej firmie od dziesięciu lat?

- Tak, zgadza się. - Elle stara się przewidzieć, co będzie dalej.

- Ale nie ma żadnego folderu - kontynuuje Raji. - Ani aktywnego, ani zarchiwizowanego.

- Co to znaczy?

- Są dwie możliwości. Po pierwsze, z jakiegoś powodu Somers nie chce przechowywać plików i poprosił o usunięcie katalogów, aktywnego i archiwalnego, utworzonych pod jego nazwiskiem w chwili, gdy został pracownikiem firmy. Usunęła je ręcznie osoba z uprawnieniami administracyjnymi.

- A ta druga możliwość?

- Foldery są na serwerze, ale nie na dysku zewnętrznym.

- Czy to możliwe, żeby nie udało się ich skopiować?

- Nie.

- Czyli ktoś musiał je usunąć?

- Zgadza się. Albo w czasie przenoszenia katalogów z serwera, albo

bezpośrednio z dysku, po tym jak dane zostały zduplikowane.

- Można ustalić, co się stało?

- Z dużą dozą prawdopodobieństwa. - Raji otwiera nowe okno, w którym pojawia się pozornie nic nieznaczący strumień liczb. - Ja stawiam na tę drugą możliwość. Widzi pani tę linijkę?

- Tak.

- Tworzenie kopii zakończyło się dziś o godzinie 14:09:51. A to?

- Uhm.

- Pliki trafiły do kosza, a kosz opróżniono o 16:20:11. To nie była automatyczna procedura, zrobił to konkretny użytkownik. - Raji odwraca się od komputera i patrzy na Elle. - Katalogi Malcolma Somersa i wszystkie znajdujące się w nich dane usunęła osoba, która miała przy sobie ten dysk dziś po południu o czwartej dwadzieścia.

Will Rhodes, ten zakłamany sukinsyn.

- Proszę jeszcze spojrzeć na tę linijkę. - Raji znowu wskazuje palcem na ekran. - Pliki zostały najpierw przeniesione na jakiś inny dysk, a dopiero potem trafiły do kosza.

Hm? Rhodes skopiował pliki, a potem je usunął? Co on kombinuje?

- Na tym dysku nic jednak nie ma, więc chodzi o jakieś inne urządzenie zewnętrzne - mówi Raji. - Przykro mi.

- To nie twoja wina.

Biedny facet. Cała operacja spoczywała na jego barkach, ale on nie zdawał sobie z tego sprawy i co więcej, nigdy się o tym nie dowie. Elle potrzebowała dostępu do satelitów, baz danych i skomplikowanych systemów służących do ciągłej inwigilacji amerykańskiego społeczeństwa. Sama nie była w stanie tego ogarnąć, więc zgłosiła się do wyspecjalizowanej firmy.

W gruncie rzeczy nie chodziło o samego Rajiego, który nie miał przecież jakichś wyjątkowych kwalifikacji. Liczyło się raczej to, że jego pracodawca świadczył profesjonalne usługi, a Rajiego można się było niezwykle łatwo pozbyć. Od samego początku pracował tylko dla niej i zgodnie z nader jasno sformułowanymi warunkami umowy był jedyną osobą, która mogła mieć dostęp do danych operacyjnych. Chociaż Virginia Data Associates szczyści się tym, że potrafi nie tylko zdobywać sekrety, lecz także ich strzec, to nawet tak szanowana firma musi stosować się do nakazów sądowych. Żeby zmniejszyć prawdopodobieństwo takiego rozwoju wypadków, Elle uznała, że należy wtajemniczyć w operację tylko jednego pracownika.

Raji jest także jedyną osobą w VDA, która kiedykolwiek widziała Elle na oczy.

- Twój szef nic o tym nie wie, prawda?

- O czym?

Elle wskazuje palcem na dysk.

- O skopiowanych plikach.

- Nie.

- A o czymś innym?

- Ma ogólne pojęcie. Wie, że zajmuję się śledzeniem małej grupy powiązanych ze sobą obywateli Stanów Zjednoczonych, ich podróży i wydatków.

- Zna jakieś szczegóły?

Raji zaczyna się denerwować.

- Dlaczego pani pyta?

- Potrzebuję informacji do raportu. Nie udało mi się znaleźć tego, czego szukałam, więc muszę się wytłumaczyć. Nie martw się, to nie będzie miało na ciebie żadnego wpływu. - Raji nie wygląda na przekonanego. - Obiecuję! Wykonałeś kawał dobrej roboty, ale muszę wiedzieć, czy ktoś jeszcze znalazł się w posiadaniu wrażliwych danych. Na pewno to rozumiesz.

Raji spuszcza wzrok.

- Konsultowałem się ze swoim kierownikiem, ale tylko raz. Chodziło o kobietę, która pojechała incognito do Włoch, chociaż oficjalnie była w Turcji. Chloe Rhodes.

- Dlaczego?

- Potrzebowałem wsparcia. Chociaż zorientowałem się, co jest grane, nie miałem wystarczających mocy przerobowych, żeby przejrzeć wszystkie nagrania z monitoringu. Było tego naprawdę dużo, na dodatek kiepskiej jakości, a chciałem się dowiedzieć, dokąd ona tak naprawdę poleciała. Musiałem uzyskać pomoc z zewnątrz, bez tego ucierpiałyby moje pozostałe obowiązki.

- I co wtedy zrobiłeś?

- Zgłosiłem zapotrzebowanie na freelancerów^[52]. Skrupulatnie przejrzeli nagrania z całego dnia, ze wszystkich dostępnych kamer na lotnisku w Stambule.

- Wtajemniczyłeś ich w operację?

- Nie. Dostali tylko zdjęcie. Nie znali nazwiska, pseudonimu ani numeru paszportu. Ich zadaniem było znalezienie tej kobiety. Nic więcej.

- To właśnie ty odkryłeś, że poleciała na Capri?
- Tak.
- Zatem ani twój szef, ani żaden z tych freelancerów nie znają szczegółów?
- Nie.
- Doskonale! Naprawdę doceniam twoją dyskrecję, Raji. Świetna robota. - Odwraca się w stronę kuchni. - Chcesz piwo? Sama chętnie się napiję.
- Tak, dziękuję. - Raji zaczyna wstawać z krzesła, ale Elle go powstrzymuje.
- Teraz moja kolej, żeby coś dla ciebie zrobić. - Podchodzi do blatu, bierze dwie butelki, odkręca kapsle i chowa je do kieszeni.
Po chwili wyciąga foliową torebkę, w której znajduje się niewielka, biała tabletką wyglądająca na całkowicie nieszkodliwy środek przeciwbólowy albo jakiś popularny lek na choroby zakaźne, alergie lub nadciśnienie. Równie dobrze mógłby to być antydepresant lub pigułka antykoncepcyjna. Przeciętny Amerykanin wydaje rocznie na farmaceutyki około tysiąca dolarów.
Ten specyfik to jednak zupełnie coś innego. Zwykły pacjent nie dostałby na niego recepty. Apteki w ogóle go nie sprzedają, a ubezpieczyciele nie umieszczają na liście leków refundowanych. Nawet zaprzyjaźniony handlarz narkotyków nie miałby tego na składzie.
Elle wrzuca niegroźnie wyglądającą tabletkę do jednej z butelek.

Północny Atlantyk

Will nie ma przy sobie środków nasennych, które zazwyczaj bierze podczas męczących lotów międzykontynentalnych. Nie chce pić alkoholu, chociaż pulsująca w żyłach czysta adrenalina sprawia, że czuje się nadmiernie pobudzony i trudno mu uspokoić gonitwę myśli.

Okropny dźwięk, który rozległ się przy bramce, był tylko sygnałem, że miejsce Willa znajduje się przy wyjściu awaryjnym. Jednak z wrażenia niemal dostał zawału i potrzebuje teraz kilku godzin, żeby w pełni opanować nerwy. Dopiero w połowie drogi przez Atlantyk udaje mu się zdrzemnąć.

Budzi się nagle, przestraszony, jakby jego mózg bał się zapaść w głęboki sen. Samolot przelatuje właśnie nad zachodnią Irlandią.

Will wyjmuje stare egzemplarze „Travelers”, usunięte z archiwum, żeby przypadkowy czytelnik nie odkrył kryjących się w nich sekretów. Po lekturze

numeru z listopada 1994 roku Will jest niemal pewien, że Jonathan Mongeleach mieszka obecnie w Skandynawii.

Ale co z majem 1992 roku? Najistotniejszy jest chyba jednostronicowy artykuł poświęcony Jean-Pierre'owi Fourierowi, człowiekowi, który w 1949 roku otworzył w Paryżu pierwsze zagraniczne przedstawicielstwo „Travelers”. Tekst ukazał się z okazji przejścia Fouriera na emeryturę, co zbiegło się w czasie z jego siedemdziesiątymi urodzinami i rozpadem Związku Radzieckiego. Monsieur Fourier niemal przez całe życie mieszkał w tym samym domu na Wyspie Świętego Ludwika i planował tam umrzeć. Wiele wskazywało, że wciąż żyje, ponieważ jeszcze w zeszłym roku „Le Monde” cytował jego wypowiedź na temat konsjerżów pracujących w luksusowych hotelach.

Portland

- Mam dobrą i złą wiadomość - mówi mężczyzna. - Którą chcesz najpierw usłyszeć?

Chloe rozgląda się po restauracji przypominającej co drugi lokal na Brooklynie, w którym serwuje się produkty własnego wyrobu i kuchnię fusion.

- Kobieta, która twierdzi, że jest oficerem prowadzącym, wcale nie pracuje dla CIA.

Chloe zakłada, że ta średnio ekscytująca rewelacja to dobra wiadomość.

- Okej - odpowiada bez entuzjazmu.

- Ale kiedyś pracowała.

- Odeszła ze służby?

- No cóż, nie do końca. Po prostu współpraca przestała być możliwa.

- Hm? Co się stało?

- Zginęła w Libii. Pięć lat temu.

Reston

Elle pociąga łyk piwa ze swojej butelki, a drugą podaje Rajiemu, trzymając szyjkę między oklejonymi palcami.

- Głupio wyszło. Przepraszam - mówi Raji.

Elle siada na sofie, jakiś metr od niego.

- Mogę cię o coś zapytać?

- Jasne.

- Jak ci się wydaje, dla kogo pracujesz?

- Dla Virginia Data Associates.

- No tak, ale kto za tym wszystkim stoi? - Raji robi skonsternowaną minę.

- Jakaś prywatna firma? Może rodzinny biznes? Spółka należąca do korporacji notowanej na giełdzie? Dostawca rządowy? - Tak naprawdę opinia Rajiego nie ma najmniejszego znaczenia, ale Elle jest po prostu ciekawa, a to ostatnia okazja, żeby się dowiedzieć. - Krótko mówiąc, kto korzysta z twojej pracy? Robisz to w interesie publicznym czy prywatnym?

Raji nieśmiało się uśmiecha.

- Zawsze wydawało mi się, że Virginia Data Associates jest w jakiś sposób powiązana z NSA^[53], a może nawet z CIA.

Wielu Amerykanów uważa, że pracuje dla swojego rządu, na przykład ochroniarze zatrudnieni przez Departament Stanu w Ameryce Łacińskiej, szeregowi żołnierze na Bliskim Wschodzie i analitycy danych ślęczący nad komputerami na przedmieściach Waszyngtonu. Chociaż mają dobre powody, by tak sądzić, w rzeczywistości głęboko się mylą. Po zamachach z 11 września zapanowała prawdziwa obsesja antyterrorystyczna i wiele miliardów dolarów popłynęło z kieszeni podatników do prywatnych firm zatrudniających nie tylko bezwzględnych najemników, lecz także niczego nieświadomych specjalistów, takich jak Raji, którzy siedzą w swoich smutnych mieszkaniach i popijają piwo.

Elle znowu pociąga z butelki, ale nic nie mówi.

- Mam rację? - pyta Raji.

Nie, nie masz. Elle rozumie jednak, dlaczego ten facet może tak myśleć. W końcu VDA zajmuje się wszystkim tym, czym zdaniem przeciętnych Amerykanów trudnią się instytucje rządowe, o ile rzecz jasna do ich zadań należy śledzenie zwykłych obywateli, podsłuchiwanie ich rozmów telefonicznych, czytanie esemesów i e-maili oraz obserwowanie aktywności w mediach społecznościowych. Krótko mówiąc, szpiegowanie w imię bezpieczeństwa publicznego. Ludziom trudno uwierzyć, że takie działania, znacznie wykraczające poza domowy monitoring, można powierzyć firmom z sektora prywatnego.

- Tak - mówi. Nie ma żadnego powodu, żeby wyprowadzać go z błędu. Na jego twarzy pojawia się promienny uśmiech. Widać, że jest z siebie dumny.

Elle dokładnie prześwietliła Rajiego, zanim wybrała go na swojego pracownika. Jego teczka osobowa w VDA nie zawierała żadnych pożytecznych informacji. To naprawdę zadziwiające, jak pobieżny może być proces lustrowania ludzi zatrudnianych w takich przedsiębiorstwach. Jednak Elle była bardziej skrupulatna. Jej uwagę przyciągnęły wychodzące z jego konta przelewy, których odbiorcami byli szpital, kardiolog i apteka. Od razu stało się jasne, że ten gość musi mieć problemy z sercem. Chodziło zapewne o rodzaj schorzenia, o którym nie opowiada się podczas rozmowy rekrutacyjnej. Raji nie wpisał tego do kwestionariusza, a rutynowe badanie moczu też niczego nie wykryło, ponieważ jego głównym celem jest stwierdzenie obecności narkotyków.

Ale Elle o wszystkim się dowiedziała. Zawsze trzeba mieć dobry plan awaryjny.

Wyciąga rękę w jego stronę i stukają się butelkami nad poręczą sofy.

- Na zdrowie.

- Na zdrowie. - Raji wygląda na zadowolonego z siebie. W końcu od samego początku podejrzewał, że tak naprawdę pracuje dla CIA.

- Wiesz co? - Raji patrzy na nią zdziwionym wzrokiem. Nie ma pojęcia, o co może jej chodzić. - Myślę, że powinniśmy się upić. Co ty na to?

Na pewno się zgodzi. W końcu ma wystający brzuch, na półkach stoi kolekcja gier komputerowych, a pamięć podręczna jego przeglądarki internetowej jest wypełniona pornografią. Wypija duży łyk, a rozpuszczona tabletką spływa do jego żołądka. Za minutę, góra dwie śmiertelna substancja przedostanie się do krwiobiegu, a za kolejne sześćdziesiąt sekund trafi do serca.

Raji odkłada pustą butelkę i wstaje z krzesła.

- Masz ochotę na następne piwo?

Elle potwierdza skinieniem głowy.

Raji znika w kuchni. Słychać brzęk butelek wyjmowanych z kartonowego opakowania i syk odkręcanego kapsla.

Nagle Raji zaczyna jęczeć z bólu.

- Auu... Aaa...

Mogłaby zawołać: „Dobrze się czujesz?”, ale doskonale zdaje sobie sprawę, co się dzieje. Nie na sensu udawać.

Nerwowo podskakuje na sofie, gdy jedna z butelek roztrzaskuje się o podłogę. Za chwilę taki sam los spotyka drugą.

- Ooo...

Ludzie lubią sobie wyobrazać, że postępują szlachetnie i robią coś dobrego dla ludzkości, a nawet dla całej planety. Gnuśni bankierzy, rzekomo pomnażający bogactwo, chełpią się swoimi wątpliwymi osiągnięciami, a szefowie towarzystw ubezpieczeniowych udają, że ich prywatne odrzutowce nie zostały kupione za składki zwykłych zjadaczy chleba, którzy z trudem wiążą koniec z końcem.

Elle również ma kłopoty z wytłumaczeniem swojego postępowania i w ostatnim czasie nie jest jej łatwo zasnąć. Dzisiejsza noc będzie wyjątkowo trudna. Już od dawna próbuje wyrzucić ze świadomości kategorie dobra i zła. Wmawia sobie, że świat to straszne miejsce, a ona musi jakoś przetrwać. Jeżeli nie robiłaby tych wszystkich okropnych rzeczy, na pewno ktoś by ją zastąpił. Jej odmowa niczego by nie zmieniła.

Rozgląda się dookoła, lustrując wzrokiem powierzchnie mebli i sprawdzając, czy na pewno niczego nie dotknęła, z wyjątkiem butelek, które ma zamiar spakować i wyrzucić daleko stąd. Zakrętki i plastikową reklamówkę już dawno temu wsadziła do kieszeni. Jest jeszcze ten zupełnie bezużyteczny dysk, który również musi ze sobą zabrać i przekazać zleceniodawcy. W jaki sposób wytłumaczy się z tak rażącego błędu?

Nagle z kuchni dobiega głuchy odgłos. Raji stracił równowagę i upadł na podłogę. Musiał się w coś mocno uderzyć. W łokieć? A może w głowę?

Słysząc chrzęst kruszonego szkła.

- Aaa...

Raji z trudem łapie oddech.

Dobrze, że to się dzieje w sąsiednim pomieszczeniu. Elle siedzi na taniej sofie i nie musi patrzeć, jak niewinny człowiek dostaje ostrego zawału serca, leżąc na linoleum w obskurnej kuchni.

Nie miała wyjścia. Musiała zapobiec niekorzystnemu rozwojowi wypadków. Tak to sobie tłumaczy.

Za jakąś minutę Raji odejdzie z tego świata, a przyczyna śmierci będzie całkiem naturalna. W zasadzie nie dało się tego uniknąć.

Portland

- Dziękuję za informacje - mówi Chloe.

- Co masz zamiar zrobić?

- Jeszcze nie wiem. Chyba najpierw trochę pojeżdżę po świecie.

- Powiesz mi.? - Przerywa w pół zdania, widząc jej minę. - Nie, chyba jednak nie.

- Słuchaj, za parę tygodni najprawdopodobniej zobaczymy się w biurze. Jeszcze raz ci dziękuję. Bardzo mi pomogłeś.

Mężczyzna rusza w kierunku wyjścia, ale po kilku krokach się odwraca.

- Tak przy okazji. - Podchodzi do Chloe i staje jakieś trzydzieści centymetrów przed nią. - Chciałem ci powiedzieć - mówi łagodnym głosem - że we Włoszech świetnie się spisałaś. Dobra robota.

Chloe jest zaskoczona i nie ma pojęcia, jak zareagować. Nie sądziła, że ktokolwiek o tym wspomni. Tak naprawdę wydawało jej się, że to tajemnica.

- Jestem pod wrażeniem, że udało ci się z taką łatwością zatrzeć ślady. W zasadzie nie musiałaś niczego robić. Istny majstersztyk.

Chodziło jej o to, żeby policja na Capri jak najdłużej szukała zwłok Taylora Lindhursta. Dawało to Chloe więcej czasu na ucieczkę z Włoch, zmianę tożsamości w Stambule i powrót do Ameryki, ale nie to było najważniejsze. Z upływem czasu coraz trudniej rozwikłać zagadkę. Pamięć świadków blednie, fizyczne dowody zbrodni znikają albo ktoś je przypadkowo niszczy, a trop zostawiony przez zabójcę się zaciera.

- Nikt w biurze nie jest w stanie uwierzyć, że to była twoja pierwsza akcja. Nigdy wcześniej tego nie robiłaś?

Chloe z trudem powstrzymuje uśmiech. Nie powinna przesadnie ekscytować się takimi komplementami, więc tylko kręci głową.

- No cóż - mówi mężczyzna. - Masz wrodzony talent.

Część piąta

Rozdział 34

Paryż

Wyspa Świętego Ludwika to zaledwie kilka ulic na krzyż i parę kwartałów kamienic. Kilkadziesiąt sklepów i firm, kilkaset budynków i nie więcej niż kilka tysięcy mieszkańców. To nie powinno być trudne.

Will czuje zmęczenie, ale wciąż jest niezdrowo pobudzony. Wchodzi do kawiarni, udaje, że czyta gazetę, przez chwilę gawędzi z kelnerem i płaci rachunek.

- *Merci, Monsieur!* - mówi przesadnie podnieconym głosem.

- *Merci à vous!* - odpowiada kelner bez entuzjazmu. Jest zwykły dzień tygodnia, klientów jak na lekarstwo i nikt nie zamawia niczego droższego niż filiżanka kawy. Ten facet stoi na nogach już od paru godzin i dopiero teraz dostał swój pierwszy napiwek: niecałe euro.

- *Monsieur, une question, s'il vous plaît? Parlez-vous anglais?*

- *Bien sûr*^[54]. - Francuz przerzuca ścierkę przez ramię.

- Szukam mężczyzny, który pracował dla tego samego magazynu co ja. Chodzi o „Travelers”. To amerykańskie czasopismo. Może pan słyszał? - Kelner chyba nie do końca zrozumiał pytanie. - W każdym razie ten człowiek jest dość stary, *quatre-vingt quinze*^[55], i mieszka właśnie tutaj, na Wyspie Świętego Ludwika. Nazywa się Jean-Pierre Fourier.

- Jean-Pierre? Fourier?

Will stara się opanować emocje. Czyżby się udało? To byłoby zbyt proste. Kelner mruży oczy i w skupieniu przeszukuje zasoby swojej pamięci. Will kładzie na tacy dwadzieścia euro. Mężczyzna podnosi banknot, starannie go składa i chowa do kieszeni.

- Przykro mi, *Monsieur, mais non.* - Kręci głową. - Proszę zapytać madame Bouchardeau w *épicerie*^[56]. Pracuje tam od czterdziestu, może nawet pięćdziesięciu lat. Zna każdego, kto mieszka na wyspie.

Pięć minut później Will stoi przed sprzedawcą, który robi zasmuconą minę.

- *Je suis désolé, Monsieur*^[57]. - Okazuje się, że madame Bouchardeau pojawi się w sklepie dopiero po południu, ale nie wiadomo, o której godzinie.

To starsza pani i trudno cokolwiek przewidzieć. Poza tym może wcale nie mieć ochoty na rozmowę z nieznanym obcokrajowcem.

Will snuje się po zadbanej wysepce, z której roztacza się piękna panorama Notre Dame, a na końcu każdej uliczki widać Sekwanę. Przygląda się nazwiskom przy dzwonekch do drzwi, ale na dobrą sprawę stracił nadzieję. Zagląda do *brasserie*^[58], winiarni, sklepu z serami i lodziarni. Niektórzy słyszeli o panu Fourierze, inni znają go osobiście, ale nikt nie ma pojęcia, gdzie on mieszka.

Nowy Jork

- Cześć. Masz jakiś kontakt z Willem?

Gabriella patrzy na stojącego w drzwiach szefa. Jest zajęta redagowaniem zbyt długiego artykułu. Trzyma w ręku czerwony długopis i czasem skreśla całe akapity, a czasem tylko pojedyncze słowa. To jeden z jej codziennych obowiązków - nieustające skracanie, przymiotnik tu, całe zdanie tam, mniejsze odstępy między literami. Dobra, zrobione, następny.

- Nie. - Odrywa się od pracy i skupia uwagę na Malcolmie. - A ty kiedy ostatni raz z nim rozmawiałaś?

- Wczoraj rano, kiedy szedł do działu graficznego. Od tamtej pory zapadł się pod ziemię. Nie pojawił się na kolegium redakcyjnym, a potem mieliśmy iść na drinka, ale mnie olał. Nie odpowiada na esemesy i e-maile.

To zupełnie do niego niepodobne.

- Rozmawiałaś z Chloe?

- Jeszcze nie. Oni... hm... Chloe go zostawiła.

- Co takiego? Naprawdę?

- To jakaś dziwna sprawa. Wiesz coś o tym?

- Nie. Musisz do niej zadzwonić. A może wolisz, żebym ja to zrobiła?

- Nie, sam się tym zajmę.

- Martwisz się?

- Nawet bardzo.

- Czym?

Malcolm nerwowo chichocze.

- Wszystkim - mówi, stukając palcami we framugę. - Dobra, dziękuję za pomoc, Gabs.

Paryż

Za każdym razem, gdy wkłada rękę do przedniej kieszeni, natrafia na pendrive. Ciekawszy jest jednak ten schowany z tyłu spodni. Załadował na niego pliki wczoraj po południu, po wizycie na Prospect Heights i odebraniu archiwalnych numerów „Travelers” od Bernie Katza. Wrócił na Midtown, ale było jeszcze wcześnie, więc żeby zabić czas, zrobił dodatkowe kółko wokół kwartału. Wszedł do redakcji dokładnie pięć po czwartej, kiedy na dobre rozpoczęło się kolegium. Celowo się spóźnił, żeby nikogo nie spotkać.

Przypomniał sobie skomplikowaną instrukcję, którą znalazł poprzedniego dnia w internecie. Podłączył dysk zewnętrzny do komputera, przeszukał katalogi, znalazł pliki utworzone przez Malcolma i przeniósł je na pamięć przenośną. Nie miał pojęcia, jakie związki łączą „Travelers” z CIA. Uznał, że najpierw musi się wszystkiego dowiedzieć, a dopiero potem może pomagać lub szkodzić jednej ze stron.

Pliki były zatytułowane zgodnie z obowiązującymi w firmie wytycznymi. Otworzył kilka na chybił trafił: stare artykuły, jakieś notatki, zdjęcia i raporty wydatków. Żaden nie był ostatnio modyfikowany, oprócz tych zawierających pisane przez Malcolma comiesięczne wstępniaki.

Uwagę Willa przyciągnął folder z arkuszami kalkulacyjnymi o dziwnych nazwach: na początku dwie litery, a potem długi ciąg liczb przedzielonych spacjami co cztery cyfry, w sumie od szesnastu do ponad trzydziestu znaków. Wyglądało to znajomo, ale Will nie był sobie w stanie przypomnieć, w jakich okolicznościach widział coś podobnego.

Otworzył jeden z plików. W środku znajdowały się dwie kolumny: w jednej daty, a w drugiej najprawdopodobniej sumy pieniędzy.

Tak samo wyglądały dwa następne pliki.

Will otworzył kilkanaście arkuszy. W każdym to samo: daty i liczby. Niektóre z plików utworzono wiele lat temu i składały się z zaledwie kilku wierszy. W innych znajdowały się setki wpisów dokonywanych przez wiele dziesięcioleci. Niewątpliwie były to dane finansowe.

Will skupił się na nazwach. Na początku dwie litery: ES, GB, IL, GE, TR, CH...

To skróty oznaczające państwa! No tak, ale co z tego? Może chodzi o numery kierunkowe? Nie, to nie są przecież liczby. W takim razie kody bankowe. Tak, kody IBAN^[59]. Will miał zatem przed sobą konta bankowe

należące do ludzi otrzymujących od „Travelers” wynagrodzenie.

Na liście znaleźć można było każde państwo, w którym firma miała swoje przedstawicielstwo, ale nie tylko. Sporo kont zarejestrowanych było we Francji. Nic dziwnego, Paryż jest w końcu europejską centralą firmy. Jednak Willowi wydawało się, że we francuskim przedstawicielstwie pracują tylko dwie osoby, plus trzy w biurze podróży na parterze. Tymczasem na liście płac znajdowało się kilkadziesiąt osób, które - jak wynikało z dokumentów - regularnie otrzymywały wynagrodzenie.

Kim one są?

Niewątpliwie jest wśród nich staruszek mieszkający na Wyspie Świętego Ludwika. Niestety, nikt nie zna jego adresu.

Jednak podczas lunchu do Willa uśmiecha się szczęście.

- *Oui, oui, certainement. Là-bas* - mówi kelner, wskazując na stojącą za kościołem kamienicę. - *Sans doute*^[60].

Will w pośpiechu płaci rachunek i wybiega na zewnątrz. Obok dzwonka widnieje nazwisko Fourier. Naciska guzik. Stara się uzbroić w cierpliwość, oczekuje pełną minutę i dzwoni jeszcze raz. Spokojnie, to leciwy jegomość i dojdzie do domofonu może mu zająć trochę czasu.

Cisza.

Will po raz trzeci naciska przycisk.

W drzwiach wychodzących na ulicę pojawia się starsza kobieta.

- *Oui?*

- *Bonjour. Je cherche Monsieur Jean-Pierre Fourier*^[61]. - Kobieta milczy.

- Zna pani monsieur Fouriera ? - kontynuuje Will, przechodząc na angielski.

- *Oui. Il était mon père*^[62].

W całym rozgorączkowaniu Will nie zauważa, że Francuzka użyła czasu przeszłego.

- Mógłbym z nim porozmawiać? Mam do niego ważną sprawę.

Kobieta krzyżuje ręce na piersiach.

Will wyjmuję z kieszeni wizytówkę.

- Pracuję dla „Travelers”. Staram się znaleźć kolegę pani ojca. Miałem nadzieję, że mi pomoże.

- Przykro mi, ale mój ojciec nie żyje.

Nowy Jork

Malcolm znowu próbuje dodzwonić się do Chloe, ale od razu włącza się poczta głosowa. Zostawia wiadomość: „Cześć, tu Malcolm. Przykro mi, że się hm... pokłóciliście. W każdym razie Will zapadł się pod ziemię i zaczynam się martwić. Możesz się ze mną skontaktować?”

Chowa telefon do kieszeni i wygląda przez okno. W tej okolicy wszystko jest na opak. Zanedbana ulica gdzieś na Brooklynie przypomina bardziej Bagdad w czasie wojny niż Nowy Jork z najniższą przestępczością i najwyższymi cenami nieruchomości w historii. Tutaj jest jednak zupełnie odwrotnie: domy można kupić za bezcen, a na ulicach rządzi bezprawie.

Malcolm idzie na tył budynku przeznaczonego do rozbiórki, schodzi do piwnicy, mija niezwykle spokojnego strażnika i otwiera drzwi.

Od jego ostatniej wizyty minął cały dzień. W środku siedzi ten sam facet, ale nie jest już przywiązany do krzesła. Skorzystał ze swobody i skulony opiera się o nagi mur. Dostaje jedzenie i wodę, wolno mu korzystać z przenośnej toalety na podwórku i nie odniósł żadnych fizycznych obrażeń. Przynajmniej na razie.

Mężczyzna obserwuje Malcolma, który wchodzi do piwnicy i zatrzaskuje za sobą drzwi, po czym odwraca w jego stronę krzesło i siada.

- Nazywasz się Timothy Dunne? - Więzień potwierdza skinieniem głowy.
- Jesteś z Nashville?
- Tak - odpowiada i zalewa się łzami.

Mieli jego odciski palców i numer ubezpieczenia społecznego. Został gruntownie prześwietlony i udało się odtworzyć całkiem wiarygodną biografię, która w każdym szczególe pasowała do tego, co mówił. Istniała rzecz jasna możliwość, że wszystkie dane zostały starannie spreparowane. Oznaczałoby to jednak, że mają do czynienia ze świetnie wyszkolonym superszpiegiem, ale było to bardzo mało prawdopodobne. Nikt nie marnowałby umiejętności takiej osoby na banalną operację przeprowadzaną na terenie Stanów Zjednoczonych, której przedmiotem był amerykański obywatel.

- Timothy Dunne z Nashville. Wpakowałeś się w niezłe tarapaty.

- Tak, wiem. - Mężczyzna stara się zapanować nad płaczem i uspokoić nerwy, ale nie za bardzo mu wychodzi. - Przepraszam. To naprawdę nie pan mnie wynajął?

Wcześniej Malcolm nie dał mu szansy na swobodną wypowiedź. Uznał, że szkoda czasu na wysłuchiwanie bzdur. Najpierw musiał ustalić,

przynajmniej w ogólnym zarysie, kim tak naprawdę jest ten koleś.

- Nie, Timothy. - Facet przestaje się kontrolować i wybucha głośnym szlochem. - Przestań się mazać. Chcę, żebyś wziął się w garść. - Malcolm stara się zachęcić go do mówienia, a jednocześnie zachować groźny ton głosu. Nie jest to łatwe i przypomina spacer po linie. - Masz mi powiedzieć, co się stało, krok po kroku, od samego początku.

Timothy kiwa głową i ociera łzy z policzków. Z nosa lecą mu smarki. Kompletnie się rozkleił.

- Przyjechałem do Nowego Jorku sześć lat temu...

- Nie, nie interesuje mnie historia twojego życia. - Tak naprawdę Malcolmowi trochę go żal, ale nie czas, żeby to okazywać. - Chcę wiedzieć, jak zaczęła się przygoda z moją żoną.

- Jestem aktorem. Szukali obsady do niezależnego filmu, więc odpowiedziałem na ogłoszenie. „Przystojny mężczyzna między trzydziestką a czterdziestką”. Casting przeprowadzała niejaka Nancy, ale nie sądzę, żeby to było jej prawdziwe imię. - Malcolm przewraca oczami. - To było otwarte przesłuchanie, więc pojawił się tłum chętnych. Widziałem parę znajomych twarzy.

- Gdzie?

- W hotelowym apartamencie w Theater District. Trwało w sumie pięć minut. Najpierw krótka gadka o niczym, a potem poprosili mnie o przeczytanie paru linijek tekstu i wypełnienie jakichś formularzy. Film miał być kręcony w Toronto, więc producenci musieli mieć pewność, że aktorzy płacą podatki w Stanach, mają aktualne paszporty i tak dalej.

Dlaczego kazali grupie aktorów złożyć podpisy, podać numery ubezpieczenia społecznego i pokazać dokumenty? Pewnie chcieli ich gruntownie prześwietlić: zweryfikować ich finanse, dokonać analizy zdolności kredytowej i sprawdzić przeszłość kryminalną. Szukali odpowiedniego kandydata.

- Byłeś kiedyś skazany?

- Hm. nie.

- Na pewno?

- Tylko mnie aresztowali, jeszcze w Tennessee... To była skomplikowana sprawa.

- Tak jak zawsze, ale mimo to jestem pewien, że potrafisz to dobrze wyjaśnić.

- Zostałem oskarżony o próbę szantażu. Jedna wielka pomyłka.

Postanowiłem współpracować z policją, więc potraktowali mnie łagodnie i zakwalifikowali ten czyn jako wykroczenie. - Wychodzi na to, że Timothy to drobny chuligan. - Wtedy wyjechałem do Nowego Jorku.

- Aha, w takim razie wróćmy do teraźniejszości. Dostałeś tę rolę?

- Tak, ale zdjęcia miały się zacząć dopiero w następnym miesiącu.

- Czym się w tym czasie zajmowałeś? Kontaktowała się z tobą ta cała Nancy?

- Nadal chodziłem do starej pracy i trochę imprezowałem. To był dla mnie duży sukces, pierwsza rola w filmie. Od sześciu lat mieszkam w Nowym Jorku i staram się być aktorem. Zdaje pan sobie sprawę, jakie to trudne? Do miasta przyjeżdża masa ludzi chcących zrobić karierę w tej branży.

- Tak, powszechnie o tym wiadomo. Zacząłeś wydawać te pieniądze?

Timothy kiwa głową.

- Mieli mi płacić tysiąc dolarów przez dziesięć dni z rzędu. To dla mnie kupa forsy.

- Uhm.

- Po paru tygodniach zadzwoniła Nancy i zaprosiła mnie na spotkanie. Okazało się, że nie jest żadną producentką i wcale nie chodzi o film. Powiedziała, że tak naprawdę pracuje jako prywatny detektyw i jej klient chciałby zrobić coś ryzykownego, ale w granicach prawa. Zaproponowała dwa razy większą stawkę za dużo łatwiejszą robotę. Miałem się dowiedzieć, o co konkretnie chodzi dopiero po podpisaniu umowy poufności i wzięciu zaliczki.

Świetnie go podeszła. Najpierw obiecała pieniądze, potem się z tego wycofała, ale po chwili złożyła jeszcze atrakcyjniejszą ofertę.

- Chciałem dostać gwarancję, że nie chodzi o nic brutalnego. Brzydzą się przemocą. Moja sytuacja nie była jednak godna pozazdroszczenia. Wydałem część kasy i naprawdę potrzebowałem jakiegoś dobrze płatnego zajęcia. Jeszcze podczas spotkania Nancy pokazała mi kopertę z pięcioma tysiącami dolarów w gotówce. Od tej sumy nie trzeba było płacić podatku. Mogłem ją wziąć i wyjść na ulicę.

- Więc się zgodziłeś?

Kiwa głową.

- Klientem był jakiś bogaty koleś, który chciał się rozwieść, ale podpisał intercyzę. Jedynym wyjściem było przyłapanie żony na zdradzie.

- Rozumiem. Zatem twoim zadaniem było uwiedzenie mojej żony?

Timothy wytrzeszcza oczy ze zdziwienia.

- Przepraszam, nie miałem pojęcia...

- O czym nie miałeś pojęcia? - Malcolm kręci głową. - Słuchaj, nie próbuj się przede mną usprawiedliwiać. Po prostu powiedz, co się stało, dobrze? - Timothy przytakuje. - Jaki mieliście plan?

- Jest taki magazyn branżowy, ale nie pamiętam dokładnie nazwy. „Ad World”? „Ad Age”? Coś w tym stylu. Ukazało się w nim ogłoszenie, które miało przyciągnąć uwagę hm. jak mam o niej mówić?

- O kim? O mojej żonie? A jakie masz możliwości?

- Pani Somers? Allison? Pańska żona? - Timothy najwyraźniej obawia się, że zła decyzja może się obrócić przeciwko niemu. - Tak więc. uhm. Allison. spotkała się z doradcą zawodowym i zaprenumerowała to czasopismo. Chciała wrócić do pracy i rozwijać swoją karierę. Wcześniej zrobiła sobie dłuższą przerwę, żeby. hm.

- Wychować nasze dzieci?

- Tak. Odpowiedziała na anons i umówiliśmy się na spotkanie.

- W biurze?

- Nie, w hotelu. To znaczy nie w pokoju hotelowym, tylko w naprawdę eleganckiej kawiarni. Grałem rolę headhuntera, który spotyka się ze swoimi klientami na mieście. Powiedziałem, że jest świetną kandydatką, ale ta konkretna oferta do niej nie pasuje. Byłem pod wrażeniem jej dotychczasowych osiągnięć i obiecałem, że poszukam czegoś ciekawego. Potem przez jakiś czas się nie odzywałem.

- To był twój pomysł?

- Nie, wykonywałem instrukcję Nancy. Potem niby przypadkiem na siebie wpadliśmy i przypomniałem sobie, że mam dla niej interesującą propozycję. Poszliśmy na drinka, a potem na lunch. Okazało się, że oferta jest już nieaktualna, ale nie odwołałem spotkania, ponieważ bardzo chciałem się z nią zobaczyć. Powtarzałem, że zależy mi na. Naprawdę chce pan to wszystko usłyszeć?

- Tak.

- Powtarzałem, że bardzo mi na niej zależy. Chciałem ją codziennie widzieć i mówiłem, że nie mogę przestać o niej myśleć. Proszę pana, ja naprawdę nie chcę. uhm. błagam. Jest mi bardzo przykro.

Malcolm macha lekceważąco ręką.

- Opowiedz o pendrivie.

- Zdaniem Nancy potrzebowaliśmy mocnych dowodów, żeby unieważnić intercyzę. Najlepiej, jeśli Allison sama przyznałaby się do zdrady. Nasz

klient wiedział, że jego żona prowadzi elektroniczny dziennik na komputerze stojącym w domowym gabinecie. - Timothy unosi brwi, jakby chciał zapytać, czy to prawda. Malcolm kręci głową. - W każdym razie pecet był zabezpieczony hasłem. Mąż nie mógł rzecz jasna poprosić o kod dostępu, żeby pogrzebać w tym gównie.

- Tak więc miałeś wykraść sekretne pamiętniki?

- Tak. Musiałem podłączyć do komputera specjalny pendrive i odczekać dziesięć sekund. W tym czasie zostałyby skopiowane wszystkie pliki. I na tym kończyła się moja rola.

- Naprawdę?

- Owszem. Podczas ostatniego spotkania planowałem z nią zerwać. Chciałem jej powiedzieć, że zachowałem się nieprofesjonalnie, przekroczyłem wszelkie granice, ryzykowałem swoją karierę i tak dalej. Ale nie dała mi szansy.

- Dlaczego?

- Bo sama mnie rzuciła.

Paryż

- Jest mi niezmiernie przykro. Kiedy umarł pani ojciec?

- Miesiąc temu - odpowiada pani Fourier, uśmiechając się z rezygnacją.

Will czuje, że traci resztkę nadziei. Czy monsieur Fourier został zamordowany i zabrał swoje tajemnice do grobu?

- Był chory?

- Nie, umarł ze starości.

- Może coś zostawił?

- Oczywiście. Wszystko.

- Chodzi o coś niezwykłego, coś, czego się pani nie spodziewała.

- Tak, nie sądziłam, że miał telefon komórkowy.

Nowy Jork

Teren leżący za domem w ogóle nie przypomina ogrodu. To w końcu tylko zapuszczone podwórko za niegdyś zamieszkanym budynkiem. Malcolm nie wychował się w bogatej rodzinie, wręcz przeciwnie, urodził się

pięćdziesiąt kilometrów na wschód stąd, na robotniczych przedmieściach, które jednak w niczym nie przypominają miejskich slumsów zasiedlonych przez margin es społeczny. Od pięciu dekad szaleje tu skrajna bieda i epidemia narkomanii, a beznadziejną sytuację pogarsza jeszcze brutalność policji, agresja miejscowych, puste obietnice szukających poparcia polityków oraz nieustannie rosnąca dysproporcja między dochodami biednych i bogatych.

Na zewnątrz stoi Alonso i pali papierosa. Kiedy widzi Malcolma, wyciąga w jego stronę paczkę.

- Ma pan ochotę?

Malcolm kręci głową, ale po chwili zmienia zdanie.

- W sumie czemu nie. - Alonso wytrząsa papierosa i osłania dłonią płomień zapalniczki. Mentolowy, dziwny smak. Papierosy to w ogóle osobliwy wynalazek. - Dzięki.

Palą w milczeniu, przyglądając się niskiej zabudowie znajdującego się w pobliżu osiedla komunalnego.

- Skąd jesteś, Alonso?

- Urodziłem się w Meksyku.

- Aha. A gdzie konkretnie?

- W Campeche. - Alonso spluwa na trawę. Najwyraźniej należy do grona ludzi, którzy co kilka minut pozbywają się nadmiaru flegmy, jakby chcieli powiedzieć światu: „Pierdol się”.

- To na półwyspie Yukatan?

Malcolm podejrzewa, że Alonso nie ma ochoty na towarzyskie pogawędki z facetem, który jest szefem jego szefa, białasem robiącym krzywdę innemu białasowi z jakichś niejasnych powodów, bo nie chodzi przecież ani o narkotyki, ani o pieniądze. Alonso nie ma pojęcia, co jest grane i w ogóle go to nie interesuje.

- Zabieramy się stąd - mówi Malcolm, rzucając na ziemię papierosa. Przez chwilę boi się, że żarzący się niedopałek wywoła pożar, ale uznaje, że dobrze by się stało, gdyby to wszystko szlag trafił. - Pozbądź się go tak, jak ustaliliśmy.

Paryż

- Nie, do niczego nie jest mi potrzebny. Poza tym nie wierzę, że to telefon

mojego ojca. - Wzrusza ramionami. - Proszę go zatrzymać.

Potrzeba kilku minut, żeby przywrócić urządzenie do życia. Will zabiera komórkę do zatłoczonej kawiarni i siada przy małym stoliku. Kelner z ostentacyjną wyrozumiałością traktuje amerykańskiego turystę, któremu najbardziej zależy na dostępie do gniazdka elektrycznego.

Will czeka, aż bateria się trochę naładuje. W tym czasie podchodzi do wiszącego przy toaletach staroświeckiego automatu telefonicznego i dzwoni do żony. Chloe nie odbiera, więc Will jeszcze raz nagrywa się na pocztę głosową.

- Cześć. Tęsknię za tobą.

Wraca do stolika i otwiera należącą do Fouriera komórkę z klapką. Przegląda listę kontaktów, na której znajduje się kilkanaście pozycji, większość w Paryżu, ale jest też nowojorski numer poprzedzony prefiksem 347. Fourier wybierał go całkiem niedawno. Jest jeszcze coś: kontakt na Islandii.

Scarborough

Kilka minut po odsłuchaniu wiadomości od Willa - dzwonił z jakiegoś nieznanego numeru w Paryżu - znowu wibruje jej telefon. Tym razem odbiera.

- Jesteś ostatnią osobą, z którą mam ochotę rozmawiać.

- Ja? Co takiego zrobiłem?

Chloe wychodzi z krytego gontem domu swojej matki i idzie w stronę drzew i krzewów, zza których widać plażę i bezkresny ocean.

- Przestań pieprzyć. Doskonale wiesz, o co mi chodzi.

- Nie, nie wiem.

- Will mi powiedział.

- Ale co?

- Obiecałeś, że nie będziesz go w to angażował.

- Tak właśnie jest.

- To w takim razie co to za nowe zadanie, które mu zleciłeś?

- Okej, w porządku, przyznaję ci rację, ale bądźmy poważni, on nie ma pojęcia, co jest grane. Dla niego to tylko nowy felieton. Nic więcej. Dałem mu nawet podwyżkę!

- A kim jest ta blondynka?

Na sekundę zalega cisza.

- Blondynka? - Znowu pauza. - Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- I co to za brednie o tym, że został zwerbowany?

- Uhm?

Malcolm sprawia wrażenie zaskoczonego. Chloe prawie mu wierzy, lecz zdaje sobie sprawę, że nie powinna. Malcolm to w końcu nałogowy kłamca. Jego praca polega na wciskaniu kitu wszystkim dookoła: podwładnym, żonie, przyjaciółom, dosłownie każdemu.

- Próbujesz mi wmówić, że nic o tym nie wiesz i nie masz pojęcia, kim jest ta kobieta?

W słuchawce słychać tylko szum zakłóceń. Chloe podejrzewa, że Malcolm właśnie się zastanawia, czy powinien jej wyjawić prawdę albo jak dużo może powiedzieć przez telefon.

- Mal?

- Will był ostatni raz w redakcji wczoraj rano, a potem zapadł się pod ziemię. Z nikim się nie kontaktował. Nie odpowiada na e-maile i esemesy.

Chloe czuje, że robi jej się niedobrze i z coraz większym trudem opanowuje ogarniającą ją panikę.

- Nie wyjechał za granicę, żeby załatwić jakieś stare sprawy? - Chloe słyszy w swoim głosie nutę desperacji.

- Rozmawiałem z nim wczoraj w biurze i nic nie mówił o żadnym wyjeździe. Mieliśmy iść na drinka, ale się nie pojawił.

Właśnie spełnia się najgorszy koszmar Chloe: zamordują Willa i to z powodu jej pracy.

- Miałem zamiar go wtajemniczyć i wprowadzić do kręgu. Planowałem to zrobić wczoraj wieczorem.

- Co konkretnie chciałeś mu powiedzieć?

- Wszystko.

- O mnie też?

- Nie, to twoja decyzja, ale uznałem, że o całej reszcie powinien się dowiedzieć.

- Dlaczego? Coś się stało?

- Obawiam się, że zostałem... hm... zdemaskowany, a cała operacja stanęła pod znakiem zapytania.

Chloe czuje, jak strach przeradza się we wściekłość, tak jakby jedna emocja mówiła do drugiej: „Hej, przesuń się, teraz moja kolej”.

- Ty pierdolony dupku. - Malcolm nawet nie próbuje się bronić. - Musiałam zmienić swoje plany życiowe. Zdajesz sobie z tego sprawę? - Malcolm wciąż milczy, ale Chloe zna odpowiedź na to pytanie. - Bałam się, że tak to się właśnie skończy. Byłam niemal pewna, że będziesz łągał jak pies.

- Ja nie.

- I w końcu Will również zacznie mnie okłamywać. Całe to cholerne małżeństwo szlag trafi, a moje życie legnie w gruzach.

Właśnie dlatego Chloe brała za plecami Willa środki antykoncepcyjne. Nie chciała zajść w ciążę, ponieważ jej mąż właśnie zaczął pracę w „Travelers” i mógł zostać wciągnięty w bardzo niebezpieczne intrygi. Obawiała się, że Will zostanie zdekonspirowany, a może nawet zamordowany tak jak mąż Gabrielli, którego porwano za granicą dla okupu, a potem zabito z zimną krwią. W tamtym czasie Gabriella spodziewała się dziecka i wieczorem po pogrzebie Terrance’a doszło do poronienia. Chloe nie miała najmniejszej ochoty przechodzić przez coś podobnego, a już na pewno nie z powodu pracy.

- Wiesz, gdzie on może być? Jestem naprawdę zaniepokojony.

- Ja też. - Chloe nie uważa jednak, żeby powiedzenie Malcolmowi prawdy było jakimkolwiek rozwiązaniem. Boi się, że mogłoby to tylko pogorszyć sytuację. - Nie mam jednak bladego pojęcia, gdzie go szukać.

- Nie odzywał się do ciebie?

Chloe ma dziwne przeczucie, że daje się złapać w pułapkę. Czyżby Malcolm o wszystkim wiedział? Mógł przecież śledzić jej telefon.

- Nie, zero kontaktu.

Chloe próbowała wyperswadować mężowi zmianę pracy. Powiedziała, że jeśli zatrudni się w redakcji „Travelers”, to ona odejdzie. Tak też się stało.

Ale tak naprawdę została w firmie. Przeszła tylko do innego działu, kierowanego przez innych ludzi, i zaczęła pełnić zupełnie inne obowiązki.

Rozdział 35

Nowy Jork

- Szefie?
- Cześć, Stonely. Wszystko w porządku?
- Hm, niezupełnie.
- Chodzi o tego faceta?

- Nie, nim już się zajęliśmy. - Przerażonego aktorkę lekko sponiewierał ten psychopata Alonso, a potem puścili go wolno, ostrzegając, że jeśli nie będzie współpracował, to dostanie solidniejszy łomot. „Czego ode mnie chcecie?” - zapytał, plując krwią. „Masz zniknąć”.

Facet zrobił, co mu kazali. Spakował swoje rzeczy i wsiadł do autobusu Greyhound. Rzecz jasna nie było gwarancji, że kiedyś nie wróci, ale wtedy nie będzie to miało żadnego znaczenia, a już na pewno nie dla Stonely'ego, słabo zorientowanego, o co chodzi w tej całej aferze.

Stonely nie wie o bardzo wielu rzeczach. Nie ma pojęcia, dlaczego w redakcji obowiązują wyśrubowane wymogi bezpieczeństwa i czemu służą tajne spotkania z szefem. Nie rozumie też, po co jest angażowany w szpiegowanie pracowników firmy i musi brać udział w tych wszystkich porwaniach, przesłuchaniach i włamaniach. Stara się wykonywać polecenia i nie zaprzętać sobie głowy abstrakcyjnymi dywagacjami. W końcu w każdej pracy robisz to, co ci każą.

Mimo to nadmiar tajemnic sprawia, że nie czuje się w pełni zadowolony. Zdaje sobie jednak sprawę, że powinien mieć realistyczne oczekiwania - nie był w pełni usatysfakcjonowany nawet jako zawodowy baseballista. „Travelers” gwarantuje mu stabilne zatrudnienie, ubezpieczenie zdrowotne, płatny urlop i emerytalny plan oszczędnościowy. Grając w lidze baseballowej, nie dostawał żadnej z tych rzeczy i na dodatek groziły mu kontuzje.

Poza tym znakomita większość jego znajomych ma gorszą pracę.

- Chodzi o coś, co stało się w biurze - mówi Stonely.

O mój Boże, tylko nie to! Will zniknął, Chloe wyjechała z miasta i kłamie w żywe oczy, Allison została uwiedziona przez typa, który próbował włamać się do jego komputera. Do kurwy nędzy, co jeszcze może się wydarzyć?

- Wczoraj podczas rutynowej konserwacji systemu ktoś skopiował wszystkie pliki.

- Wszystkie pliki?

- Tak, każdy dokument stworzony w redakcji, w każdym dziale, łącznie z archiwum.

- Co takiego? Kto to zrobił?

- Nie wiem, ale kopia została utworzona na komputerze Willa Rhodesa.

Stonely czeka na dalsze instrukcje, ale o nic nie pyta.

- W porządku, dziękuję. Widzimy się jutro.

Malcolm siada za biurkiem i łapie się za głowę. O co w tym wszystkim chodzi? Jak ma zareagować? Czy powinien przyznać się swojemu szefowi, że sprawy wymknęły się spod kontroli? Co się wtedy stanie?

Mogą go zabić i to bardzo szybko. Nawet dziś wieczorem.

Nie, informowanie góry to nie jest najlepszy pomysł.

Musi wziąć sprawy w swoje ręce i to jak najszybciej.

Otwiera drzwi schowane w regale i wchodzi do sekretnego pokoju. Zajmuje miejsce przy wąskim stoliku i bierze do ręki słuchawkę telefonu stacjonarnego podłączonego do kabla, który znika w ścianie i biegnie bezpośrednio do ukrytej w piwnicy skrzynki. Całą instalację sprawdza co tydzień małomówny technik Iwan i usuwa wszystko, co wygląda choć trochę podejrzanie.

Malcolm spogląda na zegarek. Jest już późno i na pewno obudzi pierwszą osobę, do której ma zamiar zadzwonić. Trochę mu jej szkoda, ale trzeba przyznać, że ma to swoje zalety. Czasami dobrze wybić kogoś ze snu i postawić w trudnej sytuacji, zanim w pełni dojdzie do siebie. Telefon o takiej porze to jasny sygnał, że sprawy wymagają natychmiastowej uwagi.

Wystukuje z pamięci długi numer i odczeka kilka sekund, aż ktoś podniesie słuchawkę po drugiej stronie oceanu.

Kobieta odbiera już po pierwszym dzwonku.

Paryż

Will chciał być tutaj wcześniej, ale się nie udało. Większą część dnia poświęcił na przeczesanie każdego zakątka Wyspy Świętego Ludwika. Bolały go stopy, piekła zwichnięta kostka i dokuczały stare siniaki. Był kompletnie wypompowany. Między placem Pigalle a dworcem Saint-Lazare znalazł hotel na godziny i zapłacił za pokój z widokiem na szyb wentylacyjny. Położył się na niewygodnym materacu z nadzieją na kilka minut spokoju. Nie dochodził tam uliczny zgiełk i nie istniało ryzyko, że nagle wtargnie ktoś z obsługi. Poczł się jak w bezpiecznym kokonie i zamiast w krótką drzemkę zapadł w sześciogodzinny sen.

Teraz jest już środek nocy. Od kwadransa stoi w ciemnej bramie i obserwuje paryskie biuro „Travelers”. Na całej ulicy nie widać ani śladu życia.

Ma na sobie za dużą czarną czapkę baseballową z jakimś absurdalnym logo. Daszek nie tylko zakrywa twarz, lecz jest także dobrym kamuflażem. W tym idiotycznym nakryciu głowy Will wygląda jak trzydziestolatek udający dzieciaka chodzącego do modnych klubów.

Kiedy podchodzi do drzwi wejściowych, serce zaczyna mu walić jak młot. Kartę zbliżeniową już wcześniej wyjął z portfela i wsadził do kieszeni. Przesuwa ją obok czytnika, ale nic się nie dzieje.

Próbuje jeszcze kilka razy, ale bez skutku. Wreszcie przypomina sobie, że należy przytknąć kartę całą powierzchnią. Robi tak i słyszy zgrzyt otwieranego zamka.

Wspina się po okazałych schodach i staje przed drzwiami do biura. Naciska guzik i ze ściany wysuwa się specjalny panel. Przeciąga kartę przez szczelinę i wchodzi do środka.

W pustych pokojach późno wieczorem Will zawsze czuje się nieswojo, jakby znalazł się na obcym terenie i chciał zrobić coś złego, chociaż ma pełne prawo tam przebywać. Tym razem zdaje sobie jednak sprawę, że jest intruzem.

Podchodzi do biurka Inez i siada na jej krześle. Wyciąga rękę i zawiesza palce nad otwierającym szufladę pulpitem z klawiaturą. Nie ma pojęcia, ile razy może się pomylić. Możliwe, że wcale.

Ćwiczył na telefonie w pokoju hotelowym. Tak długo eksperymentował, aż sekwencja dźwięków zabrzmiała znajomo. Wydawało mu się, że rozpracował hasło. Nie był tylko pewien ostatniej cyfry - pozostały dwie możliwości. Jednak w głębi duszy bał się, że wszystko sobie wymyślił, a wybierany tonowo kod wcale nie przypomina fragmentu piosenki zespołu

Pearl Jam, której nauczył się grać na gitarze osiemnaście lat temu.

Wystukuje pierwsze pięć cyfr i zastanawia się nad szóstą. Albo siódemka albo ósemka. Decyduje się na siódemkę.

Szuflada ani drgnie, ale nie włącza się też żaden alarm, w każdym razie Will nic nie słyszy.

Próbuje jeszcze raz, tym razem wybierając na końcu ósemkę.

Rozlega się cichy trzask.

Will otwiera szufladę, rzuca okiem na schowane w środku dokumenty i niemal od razu znajduje to, czego szuka.

Kładzie jedną z teczek na blacie i zaczyna przepisywać do notesu interesujące go dane. Trudno powiedzieć, czy to dobrze, czy źle, ale nie ma tego zbyt wiele.

W biurze panuje niemal kompletna cisza i słychać tylko skrzypienie pióra po papierze.

Nagle zza okna dobiega pomruk niewielkiego silnika. Pojazd wyraźnie się zbliża, przez kilka sekund hałas utrzymuje się na tym samym poziomie, po czym na chwilę się wzmaga i niespodziewanie ustaje.

Co to takiego?

Will podrywa się z krzesła, w kilku susach podbiega do okna i wygląda na ulicę.

Cholera.

Co powinien teraz zrobić? Nie chce wynosić stąd tych papierów - ktoś pewnie od razu zauważy ich brak - ale przecież są mu potrzebne. A może Inez wcale się nie zorientuje? Niewykluczone, że przyjechała do redakcji z całkiem błahego powodu: zgubiła klucze do mieszkania, a w biurze trzyma zapasowy zestaw, albo zadzwonili do niej z Nowego Jorku, ponieważ na gwałt potrzebują jakiegoś zdjęcia albo artykułu. Zapewne w ogóle nie otworzy szuflady, a jej wizyta nie ma nic wspólnego z jego nocną eskapadą.

Will wyjmuje z biurka kilka teczek. Po chwili namysłu bierze jeszcze ostry nóż do papieru.



Inez zsiada ze swojej vespy, wkłada kask do schowka i rozgląda się po opustoszałej ulicy. Jest środek nocy i nie powinno tu być żadnych oznak życia. Nie widzi nic podejrzanego i znudzona szeroko ziewa.

Wchodzi do budynku. Kiedy wspina się na pierwsze piętro, wydaje jej się,

że słyszy jakiś hałas. Zatrzymuje się i zaczyna nasłuchiwać, przekręcając głowę to w jedną, to w drugą stronę.

Cisza.

Rusza przed siebie, delikatnie stawiając kroki, żeby obcasy za głośno nie stukały.

Na piętrze znowu przystaje i lustruje korytarz. Widzi kilka zamkniętych drzwi, jeden zapalony kinkiet i dwa zgaszone. Patrzy w górę i w dół klatki schodowej, żeby sprawdzić, co dzieje się na parterze i na wyższych kondygnacjach.

Wchodzi do biura i rozgląda się po całym pomieszczeniu, badając wzrokiem przestrzeń między meblami, okna, stoły, krzesła, szafę na okrycia wierzchnie i troje drzwi prowadzących do łazienki, kuchni i schowka. Nic nie wzbudza jej podejrzeń.

Na środku pokoju stoi masywne biurko, które niczym magnes przyciąga papiery ze wszystkich zakątków redakcji. Inez włącza komputer i wstukuje hasło na pulpicie z klawiaturą, po czym przykładą prawą dłoń do skanera odcisków palców ukrytego w górnej szufladzie. Na monitorze pojawia się okienko dialogowe. Wpisuje jeden kod dostępu, a potem następny. System akceptuje wprowadzone dane.

Pierwszą rzeczą, którą robi, jest znalezienie akt personalnych Willa Rhodesa. Drukuje kilka kopii jego najbardziej aktualnej fotografii, w wysokiej rozdzielczości, na błyszczącym papierze. Przegląda pozostałe pliki JPG i natrafia na zdjęcie z profilu, które również drukuje w paru egzemplarzach.

Sprawdza, która jest godzina. Za chwilę powinni się pojawić pozostali członkowie zespołu.

Z innej szuflady wyjmuje kosmetyczkę. Kiedy ją obudzili, była półprzytomna i nie miała czasu doprowadzić się do porządku. Dla niej zaczął się właśnie kolejny dzień pracy i będzie w biurze przez najbliższe - kto wie? - osiemnaście godzin. Musi wyszczotkować zęby, umyć twarz i nałożyć makijaż. Nie chce wyglądać jak ktoś, kto przed chwilą wstał z łóżka.

Wchodzi do łazienki, ale się nie zamyka. Po co miałyby to robić?



Will ma przed sobą wielkie, ciężkie i stare drzwi z sześcioma ozdobnymi panelami, mosiężnym okuciem, wgniecioną gałką i dużą ośmiokątną dziurką

od klucza, przez którą obserwuje, co dzieje się w pokoju. Żeby zmienić kąt widzenia, musi przesunąć całą głowę. Widzi, jak piegowata Inez znika w łazience z czymś, co wygląda jak kosmetyczka.

Powoli przekręca gałkę i delikatnie uchyla drzwi, ale tylko na tyle, żeby dało się wyśliznąć na zewnątrz.

Słysząc lejącą się wodę, a na podłogę pada trójkąt jasnego światła. Odgłosy dochodzące z łazienki zagłuszają to, co dzieje się w pokoju. Will zdaje sobie sprawę, że musi jak najszybciej skorzystać z nadarzającej się okazji.

Błyskawicznie wychodzi ze schowka, zatrzaskuje za sobą drzwi i biegnie na drugi koniec biura, starając się nie hałasować. Przekłada ukradzione teczki z prawej do lewej ręki, żeby mieć większą swobodę, ale robi to wyjątkowo niezdarne i papiery lądują na ziemi.

Kłęka i w popłochu zbiera porozrzucane kartki w formacie A4, złożone na pół większe arkusze, fotografie na błyszczącym papierze, fiszki i blankiety. Nie jest łatwo, ponieważ dokumenty wypadają z dłoni i ślizgają się po podłodze.

Nagle Inez zakręca wodę i słysząc buczenie w rurach.

Will, wciąż przyczajony na czworakach, spogląda przez ramię. Nie ma pojęcia, co by zrobił, gdyby nagle stanęła w drzwiach.

Zastyga w bezruchu i gapi się w stronę łazienki. Trójkąt światła lekko się przesuwają. Inez musiała stanąć w innym miejscu.

Na pewno to nie koniec jej porannych ablucji. Do czego się teraz zabierze? Umyje twarz? Wyszczotkuje zęby?

Will oczekuje sekundę, a potem jeszcze jedną. Światło na podłodze znowu się porusza, ale nadal jest cicho.

Mocno chwyta teczki w lewą dłoń, upewniając się, że tym razem mu nie wypadną, i podnosi się z klęczek. Od drzwi dzieli go zaledwie kilka kroków. Idzie po marmurowej posadzce, stawiając stopy najciszej, jak potrafi, najpierw pięta, potem palce, jakby ostrożnie osuszał atrament, żeby broń Boże go nie rozmazać. Kładzie dłoń na klamce i czuje pod palcami gładki, chłodny mosiądz.

Naciska spokojnie, powoli, bez zbędnych hałasów.

Rozlega się suchy trzask zwalnianego zamka. Will nieruchomieje i ogląda się przez ramię. Nadal nic.

Pociąga za klamkę i wymyka się bezszelestnie na korytarz, po czym obraca się na pięcie i stara się zamknąć za sobą drzwi. I właśnie wtedy ze

środka dochodzi dziwny stukot. Zagląda przez szparę i widzi, że z podłogi zniknął jasny trójkąt...

Uciekł z pułapki w ostatniej chwili.



Otwierają się drzwi i do biura wchodzi Omar i Piotr.

- *Bonjour* - pozdrawiają Inez.

Mężczyźni mieszkają stosunkowo niedaleko, a Piotr jest jedynym pracownikiem paryskiej filii „Travelers”, który jest na tyle nierozsądny, żeby mieć własny samochód. Auto przydaje się kilka razy w roku, na przykład dziś, kiedy Piotr mógł w środku nocy podwieźć do pracy Omara.

Piotr jest uzależniony od kofeiny i od razu zajmuje się zaparzeniem dzbanka kawy.

Omar siada naprzeciwko Inez i zaczyna przeglądać wczorajszą gazetę.

Następny zjawia się Parviz. Nie może powstrzymać się od ziewania, ma skołtunione włosy, przekrzywione okulary i rozmamłane ubranie. Ostatni przychodzi pedantyczny Yang.

Wszyscy siadają na krzesłach wokół biurka Inez i przecierają zaspane oczy. Jest cztery po trzeciej nad ranem.

- Okej - mówi Inez po angielsku - dziękuję za szybkie przybycie. - Rozdaje zdjęcia zebranemu wokół niej zespołowi informatyków. - To jest Will Rhodes.

Naprawdę nie miałyby nic przeciwko, gdyby ludzie odwiedzający redakcję myśleli, że jest tylko niczego nieświadomą sekretarką, która przekazuje materiały przygotowane przez kogoś innego, mądrzejszego i ważniejszego.

Niestety, o czymś takim może jedynie pomarzyć. Bezpośrednio podlega jej nie tylko czwórka ściągniętych w środku nocy informatyków, lecz także zatrudniony w Paryżu amerykański asystent Barry i szefowie pozostałych ośmiu europejskich przedstawicielstw „Travelers”, kontrolujący rozległą siatkę współpracowników, która składa się z setek freelancerów zbierających informacje za pięćdziesiąt euro, sto funtów lub przedterminowe wyjście z więzienia. Należą do niej koczujący na dworcach cyganie, oblegający turystyczne atrakcje żebracy, pogranicznicy, hotelowi konsjerże i skorumpowani policjanci.

Inez nie jest więc żadną sekretarką, lecz dyrektorem Pionu Operacji w

Europie.

- Wczoraj wieczorem Will Rhodes wsiadł na pokład rejsowego samolotu lecącego z Nowego Jorku do Maine. Dziś po południu zostawił wiadomość na poczcie głosowej swojej żony. Dzwonił z automatu telefonicznego na Wyspie Świętego Ludwika, tutaj w Paryżu. - Inez stuka palcem w fotografię Willa. - Waszym zadaniem jest go znaleźć. Do roboty.



W połowie drogi w dół Will słyszy, jak znowu otwierają się drzwi wejściowe i na klatce schodowej rozbrzmiewają głosy dwóch mężczyzn. Prędko zawraca i biegnie na górę.

Co się do cholery dzieje? Skąd się tutaj wzięli kumple Inez? A może nie mają z nią nic wspólnego i wcale nie idą do biura „Travelers”?

W środku nocy? Nie, wykluczone, na pewno tam idą.

Will wpada na korytarz i rozpaczliwie łapie za klamki kolejnych drzwi. Niestety, wszystkie są zamknięte. Spogląda w stronę wyższych kondygnacji, lecz nigdy tam nie był i nie ma pojęcia, co go czeka.

Stukot kroków staje się coraz głośniejszy. Jeden z facetów mówi coś po francusku, ale mamrocze tak niewyraźnie, że trudno go zrozumieć.

Will rzuca się biegiem po schodach.

Na półpiętrze przystaje przed niewielkim oknem, przez które mógłby się przecisnąć, i otwiera mosiężną zasuwkę. Po drugiej stronie znajduje się wąski parapet i pionowa rynna. Do ziemi jest jakieś osiem metrów.

Cholera, znowu skok w dół?

Mężczyźni są coraz bliżej.

Will zdejmuje mały plecak i chowa w nim ukradzione dokumenty, po czym wskakuje na parapet i zamyka za sobą okno. Orientuje się, że stojąc na zewnątrz, nie jest w stanie zasunąć z powrotem zasuwki. Jeśli koledzy Inez wejdą na półpiętro, ten pozornie drobny szczegół na pewno nie umknie ich uwadze. Will nie może się po prostu schować, musi uciekać. I to szybko.

Przekłada nogę na drugą stronę rynny i chwytą ją mocno rękami. Czy jest wystarczająco solidna i należycie przytwierdzona do ściany?

Zaczyna zsuwać się w dół. Stara się kontrolować ślizg, obejmując metalową rurę udami i przyciskając do niej kostki. W pewnym momencie rani sobie nadgarstek o wystającą śrubę i obija kolana o mur, ale na całe szczęście w jego żyłach krąży już adrenalina, więc nie zwraca na to

szczególnej uwagi. Wreszcie ląduje na pokrytym żwirem podwórku. Traci równowagę i spada na tyłek, starając się chronić głowę przed uderzeniem o twardą nawierzchnię.

Niestety, robi przy tym sporo hałasu.

Podrywa się na równe nogi i rozgląda dookoła. Nic nie widać, ale przecież musi być stąd jakieś wyjście. Obchodzi podwórko, macając ściany. Natrafia na drewniane drzwi, lecz to tylko wiata między budynkami.

Czeka, aż oczy przyzwyczają się do ciemności, ale nie dociera tu żadne światło, więc wciąż otacza go nieprzenikniony mrok.

Wyciąga ręce i rusza przed siebie, stawiając stopy powoli i ostrożnie. Ma nadzieję, że idzie we właściwym kierunku. Dochodzi do rogu podwórka i dotyka ściany. Udaje mu się wymacać klamkę. Naciska i szarpie, ale drzwi ani drgną.

Przesuwa dłonią po framudze i natrafia na zasuwkę. Otwiera ją i ciągnie, lecz znowu bez skutku. Postanawia zmienić taktykę. Napiera na drzwi i tym razem się udaje.

Blask ulicznych latarni jest oślepiający jak wybuch bomby atomowej. Opiera głowę o mur i wygląda na ulicę.

Cholera!

Daje nura z powrotem i zamyka za sobą drzwi. Chodnikiem zbliża się nieznajomy mężczyzna. Jego kroki są coraz głośniejsze. Po chwili zwalnia i staje pod drzwiami.

Will wyjmuje z kieszeni ostry nóż do papieru, który zabrał z biurka Inez.

Zalega cisza.

Boże, naprawdę wolałby tego nie robić.

Przez kolejną długą sekundę nic się nie dzieje.

Wreszcie znowu słychać kroki, a potem nieznajomy wchodzi do kamienicy i zatrzaskuje za sobą ciężkie drzwi tak mocno, że aż trzęsą się ściany.

Mimo że jest środek nocy, na górze musi być naprawdę bardzo dużo ludzi. Willowi wydawało się, że paryska redakcja „Travelers” to mało istotna filia, w której niewiele się dzieje. Najwyraźniej go szukają, nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Czy już wiedzą, że jest w Paryżu? I dlaczego w ogóle chcą go złapać? Pracują dla Malcolma? A może dla Elle? Lub dla CIA? Albo dla tych, którzy stoją po drugiej stronie, kimkolwiek by byli.

A dla kogo tak naprawdę pracuje Will?

Portland

Za każdym razem, gdy otwierają się drzwi, do środka wpada smród znajdującego się po drugiej stronie ulicy targu rybnego. W rynsztokach zalega lód, a mewy wrzeszczą, walcząc o odpadki.

Chloe powoli sączy piwo i bez entuzjazmu zjada rzadki i zupełnie nijaki chowder^[63]. Z całego dania najbardziej smakuje jej posypka z pokruszonych krakersów ostrygowych. W tym mieście jest pełno dobrych knajp, ale ta zdecydowanie do nich nie należy. Jej główną zaletą jest jednak to, że nie zagładają tu urlopowicze i weekendowi przyjezdni ubrani zazwyczaj w spodnie w kolorze khaki, obszarpane koszule i kamizelki z polaru z logo wielkich korporacji. Wielu z nich to siwowłosi menadżerowie firm z branży przemysłowej i finansowej, masowo odwiedzający tę część stanu Maine, którą reklamuje się jako wakacyjny raj.

Do lokalu wchodzi mężczyzna w zupełnie innym stylu i siada na stołku obok Chloe. Wygląda na typowego mięśniaka z prowincji: pokryte tatuażami, napuchnięte od sterydów ramiona, szorty bojówki, klapki, zniszczona bejsbolówka z logo Boston Red Sox i szyderczy uśmiezek. Ten facet nie chce, żeby ktokolwiek miał wątpliwości co do jego nastroju.

Kiwa głową w stronę barmana i mówi:

- Piwo z beczki.

Na kontuarze ląduje szklanka, z której wylewa się gęsta piana. Mężczyzna wypija połowę duszkiem i beka.

- Sorry - mruczy pod nosem i rozgląda się dookoła. Kiedy jest pewien, że nikt go nie podsłuchuje, przysuwa się do Chloe i mówi: - Ty jesteś Danny i przyszedłeś w wiadomej sprawie?

- Tak.

- Cześć, jak leci? - Mierzy ją wzrokiem, a ona odpowiada mu lekko kpiącym spojrzeniem. - Łódź odpływa o czwartej nad ranem z końca pomostu.

- Jak się nazywa?

- „Artemida”.

- A kapitan?

- Connor.

- Jakies inne ważne informacje?

- To zależy.

- Co powinnam wiedzieć?

Przez chwilę pogrąża się w myślach i bierze kilka łyków piwa.

- Jeśli masz chorobę morską, to będziesz rzygać jak kot.

- Aha.

- No i będzie zimno.

- Okej.

- To wszystko - mówi i dopija piwo. - Ty stawiasz.

Niezły przyjemniaczek.

- A, jeszcze jedno. Dwa tysiące.

- Uhm?

- Gotówką.

Rozdział 36

Londyn

Elle wychodzi z jasno oświetlonej stacji metra na szare ulice Knightbridge: domy z wyblakłej cegły, wąskie chodniki, tanie sieciówki Topshop i Boots, eleganckie domy towarowe Harrods i Harvey Nichols, hotele i ambasady, arystokracja mieszkająca się z plebsem i ciągle ryzyko wpadnięcia pod nadjeżdżający z nieoczekiwanej strony piętrowy autobus. Namalowane na ulicach i trotuarach napisy „Patrz w lewo” i „Patrz w prawo” nie odnoszą w przypadku Elle spodziewanego rezultatu. Jakiś wewnętrzny instynkt nakazuje jej najpierw spojrzeć w przeciwnym kierunku. Podejrzewa, że ten patologiczny brak zaufania może ją kiedyś kosztować życie.

Zatrzymuje się nagle przed sklepem i udaje, że ogląda buty na wystawie. Kontrolna obserwacja jest zawsze uciążliwa, ale najbardziej wtedy, kiedy nam się spieszy.

Odwraca się w stronę, z której przyszła, i lustruje tłum w poszukiwaniu znajomych twarzy, ale ku swojemu zaskoczeniu nie widzi nic podejrzanego. Od półtorej godziny próbuje zmylić potencjalny ogon: jechała taksówką i trzema różnymi liniami metra, przedzierała się na piechotę przez ludzką masę zmierzającą do City w czasie porannych godzin szczytu, a potem skręciła we Fleet Street i przez trzy minuty stała na podeście zabudowanych schodów prowadzących z Farringdon Street na Holborn Viaduct: wyblakłe żółte cegły i żelazne poręcze pomalowane odpryskującą czerwoną farbą. Jeśli ktoś deptałby jej po piętach, musiałby ją minąć w tym miejscu, ale nic takiego się nie stało.

Wcześniej jechała pociągiem z Heathrow i leciała samolotem z Waszyngtonu. Nie ma najmniejszych szans, żeby ktoś ją śledził. Koniec tej zabawy.

Wchodzi do wielogwiazdkowego hotelu z pluszowymi dywanami na podłogach i marmurowym lobby udekorowanym wyrafinowanymi kompozycjami kwiatowymi - kompletne marnotrawstwo, ponieważ rośliny i tak niedługo zwiędną. Tłum ciemnoskórych pracowników w liberjach rzuca w kierunku Elle podejrzliwe spojrzenia. Nie wykonują żadnych ruchów i

zachowują stoicki spokój, ale nie spuszczaają z niej wzroku.

Elle czuje się jak dziwka. W jakimś stopniu jest tak za każdym razem, gdy wchodzi do hotelu bez żadnego bagażu. Można być prostytutką na wiele różnych sposobów i Elle przećwiczyła większość z nich.

Lista wstydlivych rzeczy, które robiła, jest długa i ciągle rośnie. Chodzi nie tylko o nieprzemyślane decyzje, głupie wyskoki i żenujące wybryki, lecz także o kilka - może nawet więcej niż kilka - postępów, które większość ludzi określiłaby mianem złych lub niemoralnych. Zaczyna podejrzewać, że cała ta trwająca od paru miesięcy operacja jest jedną wielką wpadką, której już wkrótce będzie bardzo żałować.

Wchodzi do damskiej toalety. W środku panuje nieskazitelna czystość, roznosi się zapach róż, a w tle gra spokojna muzyka. W takim miejscu można by się zdrzemnąć. Zmywa z siebie trudy długiego lotu, jazdy pociągiem i uciążliwego spaceru po brudnym mieście. Szczotkuje i spina włosy, różuje policzki, szminkuje usta i maluje rzęsy. Zakłada tanie, ale całkiem eleganckie kolczyki. Owija szyję apaszką ze wzorem z pewnością znanym bywalcom takiego hotelu jak ten. Zaciska pasek, rozchyła dekolt, podchodzi do lustra i wpatruje w swoje odbicie. Jest całkiem nieźle, myśli. Młodziej, szczuplej i ładniej nie będę już wyglądać.

Mężczyzna obsługujący windę ubrany jest w fikuśny uniform z mosiężnymi guzikami. Taki strój ma tylko jeden cel: upokorzyć osobę, która go nosi.

- Który pokój, proszę pani?

- Chwileczkę... - Sprawdza w telefonie. - Apartament Parkowy.

- Dobrze. - Windziarz kiwa głową. - A godność naszego gościa?

- Hm. Chuck Worth. - To nie jest jego prawdziwe nazwisko, ale większość ludzi znanych i nieprzyzwoicie bogatych podróżuje po świecie pod pseudonimem, głównie ze względów bezpieczeństwa. Jeśli chcemy spotkać w hotelu Angelinę Jolie albo Billa Gatesa, musimy podać odpowiedni alias.

- Oczywiście, proszę pani.

Na końcu krótkiego korytarza, przed drzwiami do apartamentu, stoi ochroniarz. Nigdy wcześniej go nie widziała.

- W jakiej sprawie?

- Jestem umówiona na jedenastą.

- Jak się nazywasz?

- Elle. - W ciągu ostatniego roku nie używała innego imienia i zaczyna się zastanawiać, czy już zawsze tak będzie.

- Muszę cię przeszukać.

Na jej twarzy pojawia się ironiczny uśmiezek, jakby właśnie usłyszała po raz tysięczny ten sam dowcip.

- Nawet, kurwa, nie próbuj.

W tym momencie lekko uchylają się drzwi i w szczelinie ukazuje się głowa szefa.

- W porządku, Walt. Możesz ją wpuścić - mówi mężczyzna i spogląda na Elle. Jego wzrok przyciąga duża czarna torebka wypchana nie wiadomo czym. - Ale to proszę zostawić na zewnątrz.

Elle zdejmuje torbę z ramienia i podaje ją Waltowi.

- Potrzebuję jedynie urządzenia przypominającego książkę - mówi.

Walt szpera w środku, wyjmując dysk i przekazuje go szefowi, który tylko kiwa głową.

Elle wchodzi do przestronnego apartamentu z wielkimi oknami wychodzącymi na Hyde Park, meblami pokrytymi pluszową tapicerką i stolikiem koktajlowym, na którym stoi srebrna zastawa: patera z ciastkami i misa pełna pięknych owoców. Nikt nie będzie tego jadł, lecz właśnie w tak rozrzutny sposób podejmuje się milionerów, zawsze i wszędzie. Cały czas dostają rzeczy, których nie chcą i nie potrzebują.

- Rozgość się - mówi mężczyzna. - Twój telefon?

Elle wyjmując baterię i kładzie obie części na stoliku obok patery ze słodkościami.

- Na tym dysku - mówi, wskazując palcem na urządzenie - znajduje się kopia plików z serwera „Travelers” wykonana podczas rutynowej konserwacji systemu.

- Świetnie. Możemy na to spojrzeć?

- Nie tak szybko. Jest tutaj wszystko z wyjątkiem dokumentów należących do Malcolma Somersa. Ktoś celowo usunął jego foldery i prawie na pewno był to Will Rhodes.

Mężczyzna bacznie się jej przypatruje.

- Rozpracował nas.

- Na to wygląda.

- W jaki sposób?

- Nie mam pojęcia.

- Czy to możliwe, żeby wiedział od samego początku?

- Nie wydaje mi się. Nie jest aż tak dobrym aktorem.

- Skąd wiesz? Może był we wszystkim wtajemniczony, zanim jeszcze go

zwerbowałaś? Rozważałaś w ogóle taką ewentualność?

Owszem, brała to pod uwagę. Na początku, w fazie planowania operacji, mogła wybrać dowolnego pracownika „Travelers”. Wszystkich gruntownie prześwietliła: zastępczynię redaktora naczelnego, która niedawno straciła męża, informatyka z nieuregulowanym statusem imigracyjnym, Afroamerykanina o skłonnościach homoseksualnych, zajmującego się jedzeniem i od wielu lat piszącego do tej pory nieopublikowaną powieść, oraz pretensjonalną szefową działu graficznego.

Najważniejszym kryterium były problemy finansowe. Wielu ludzi zakłada, że szpieczy, zdrajcy i podwójni agenci kierują się głównie pobudkami politycznymi, ale wcale tak nie jest. Znakomita większość działalności wywiadowczej prowadzona jest z bardzo prostego powodu: dla pieniędzy.

Will miał odpowiednią motywację. Tkwił po uszy w długach, co było związane przede wszystkim z nierozważną i na dobrą sprawę nieodwracalną decyzją inwestowania w zrujnowaną nieruchomość. Poza tym był jednak czysty - przeciętny obywatel, bez żadnych związków ze służbami.

Elle zdawała sobie sprawę, że Will może stracić wiarygodność i okazać się zupełnie bezużyteczny, jednak na początku na sto procent nie odgrywał roli podwójnego agenta. Miała co do tego absolutną pewność, o ile rzecz jasna w zaistniałej sytuacji można w ogóle mówić o absolutnej pewności.

A jego żona? To zupełnie inna historia, ale zgodnie z planem Chloe miała być z tej operacji całkowicie wykluczona.

- Kiedy go werbowałam, Will Rhodes dla nikogo innego nie pracował.

- Co się w takim razie stało?

- Albo zaczął nas podejrzewać...

- Zaczął ciebie podejrzewać.

- Tak, mnie. Lub Somers coś wywęszył i we wszystko go wtajemniczył.

- Co jest twoim zdaniem bardziej prawdopodobne?

- A jest jakaś różnica?

- Być może żadna, ale nie chciałabyś wiedzieć, czy to przypadkiem nie ty wszystko spieprzyłaś? - Elle odwraca wzrok. - Okej. W takim razie trzeba zakończyć tę część operacji.

- To nie będzie takie proste.

- Niby dlaczego?

- Nie możemy go znaleźć.

- Co masz na myśli?

- Nie wiem, czy dałoby się to jeszcze jaśniej wyrazić. Której części nie rozumiesz?

Na jego twarzy znowu pojawia się szeroki telewizyjny uśmiech.

- Kiedy pan Rhodes zapadł się pod ziemię?

- Zaraz po tym, jak przekazał mi ten dysk.

- No cóż, nie stawia cię to w najlepszym świetle.

- Zniknął też Timothy Dunne.

- Powinienem wiedzieć, kto to taki?

- Zatrudnił się go, żeby uwiódł żonę Malcolma Somersa i skopiował dane z jego domowego komputera.

- Aha. On także zniknął czy tylko chwilowo nie jesteś w stanie go zlokalizować?

Istnieje jakaś niewielka możliwość, że Timothy poszedł w tango. Walczący o uznanie aktor, który dla pieniędzy musiał zrezygnować ze swoich zasad, wsiadł w autobus do Atlantic City z zamiarem przepuszczenia całej kasy na hazard i alkohol. Kiedy nie będzie miał już grosza przy duszy, wróci do swojej nowojorskiej nędzy i znowu zostanie splukanym artystą, zapracowanym, wierzącym w ideały i święcie przekonanym, że zasługuje na sławę i majątek, które przypadają w udziale tylko nielicznym.

O wiele bardziej prawdopodobne wydaje się jednak, że został rozpracowany przez Somersa. Niewykluczone, że Somers go uprowadził i torturował albo tylko mu groził. Timothy na pewno szybko pękł, zaczął sypać i wygadał wszystko, co wie na temat operacji.

Redaktor naczelny „Travelers” zdaje więc sobie sprawę, że przystojny, lecz niezbyt rozgarnięty aktor został wynajęty, żeby uwieść mu żonę i wykraść dokumenty z jego komputera. Somers jest zatem w pełni świadomy, że ktoś próbuje infiltrować jego firmę z zewnątrz.

Ale czy wie, że zagrożenie czai się również w samej redakcji? Czy domyśla się, że jest atakowany z dwóch stron? Taka strategia została wybrana celowo, żeby na wypadek zdemaskowania jednego agenta istnienie tego drugiego wydawało się niezwykle mało prawdopodobne.

- Timothy’ego nie da się ze mną powiązać - mówi Elle. - A tym bardziej z tobą.

Mężczyzna z obrzydzeniem kręci głową.

- Co za niewiarygodna strata czasu i pieniędzy.

Elle nie może zaprzeczyć. Kiedy tydzień temu Timothy przekazał jej pendrive, natychmiast włożyła go do swojego laptopa. Całe szczęście

komputer był wyposażony w niezwykle zaawansowaną technologię chroniącą przed złośliwym oprogramowaniem. Niemal od razu pojawił się komunikat o groźnym wirusie atakującym dane zapisane na twardym dysku. Somers był najwyraźniej przygotowany na tego rodzaju infiltrację. I wcale nie miał zamiaru się patyczkować.

„Cholera!” - krzyknęła i wyrwała urządzenie z portu USB. Przerazona zastanawiała się, ile danych zostało wykradzonych w ciągu tych kilku sekund. Jakże mogą być konsekwencje paru chwil cyfrowego seksu bez zabezpieczeń? Jej mieszkanie przestało być bezpieczną przystanią. Musiała się stąd jak najszybciej ewakuować i czym prędzej zniszczyć komputer.

- Owszem, to prawda - przyznaje. - Ta strategia okazała się nieskuteczna. Chociaż od samego początku liczyliśmy się z ogromnym ryzykiem, trzeba było sprawdzić każdy kamień, prawda?

- Tak. Ale duplikacja plików okazała się wielkim głazem, pod którym nic nie było. Na dodatek ten głaz stacza nam się teraz na głowę - Mężczyzna pochyła się do przodu. - Co twoim zdaniem powinniśmy zrobić?

Paryż

- Mam coś! - krzyczy Omar. Jako pierwszy natrafił na ślad, co zresztą nikogo nie dziwi.

Inez wstaje od wciśniętego w kąt małego biurka wykorzystywanego jako zapasowe stanowisko pracy. Informatycy siedzą przy wielkich stołach zastawionych drogim sprzętem komputerowym. Na jej blacie jest miejsce tylko na stary laptop, kubek herbaty ziołowej i notes. Pochyla się nad ramieniem Omara i wpatruje w nagranie z monitoringu.

- Gdzie to jest?

- Lotnisko de Gaulle'a. - Omar naciska przycisk, przesuwa kursor i otwiera dwa nowe okna. - To jest zapis z kamery umieszczonej w hali przylotów. Z dzisiejszego ranka. Chociaż nie, jest już przecież następny dzień. Wczorajszego ranka.

- Jaki pasz... ?

- Chwileczkę. - Omar zaczyna stukać w klawiaturę jak szalony. Na ekranie pojawia się widok z kamer śledzących kolejne etapy wędrówki Willa: terminal, korytarze, schody ruchome i wreszcie kolejka do kontroli paszportowej. Niestety, na żadnym z nagrań nie widać samego paszportu.

- *Quel dommage*^[64] - mówi Omar, nie przestając uderzać w klawisze.
- Musimy dostać się do tych danych i ustalić, pod jakim nazwiskiem podróżuje.

Omar kręci głową.

- *C'est pas possible*^[65].

- Nie mów tak. Na pewno jest jakiś sposób. - Omar odwraca się do szefowej. - Musi się udać. Jeszcze nad tym popracuj - kontynuuje Inez. - Parviz, zlokalizowałeś fizyczny ślad?

Podchodzi do biurka, przy którym pracuje Irańczyk. Chodził w Anglii do szkoły z internatem, studiował w Niemczech i skończył Massachusetts Institute of Technology. Ma najlepsze wykształcenie w tym gronie, ale jednocześnie jest najmniej zdyscyplinowanym pracownikiem. Zawsze się spóźnia, przychodzi zaspany, często na kacu, i nie można na nim polegać. Prowadzi nocny tryb życia, nastawia budzik na dwudziestą czwartą i o drugiej nad ranem idzie tańczyć do klubu.

- Właśnie wsiada do taksówki.

- Jesteś pewien, że to on?

Parviz otwiera kolejne okna, w których pokazuje się Will.

- Tak.

- Dobra, teraz satelity.

Parviz uruchamia odpowiednią aplikację, wybiera coś z rozwijanego menu i na ekranie pojawiają się rozmaite dane.

- Potrzebuję paru minut.

Londyn

- Ja? - Elle prychna lekceważąco. - Nie mam żadnych propozycji. Mój udział w tej operacji właśnie się skończył.

- Chyba sobie żartujesz.

- Nie. To koniec.

Do tej pory kilka razy cudem udało się uniknąć nieszczęścia. Najpierw w Dublinie prawdziwi agenci CIA zabrali Willa na przesłuchanie. Naprawdę niewiele brakowało. Potem w Barcelonie Will został zaatakowany przez rosyjskich gangsterów. Elle wątpi, czy byłaby w stanie ich powstrzymać, nawet gdyby chciała spróbować. Trzecim ostrzeżeniem były zainfekowane pliki wykradzione z domowego komputera Malcolma Somersa. No i wreszcie

afera z dyskiem zewnętrznym. Na dobrą sprawę cała ta cholerna operacja składa się z serii wpadek. Jakby ktoś rzucił na nią urok.

- Najwyższy czas dać za wygraną i brać nogi za pas, zanim dojdzie do katastrofy.

- Ale przecież już do niej doszło.

- Ani mnie, ani tobie nic się nie stało, więc jaką katastrofę masz na myśli? Chciałeś uzyskać dostęp do tajnych informacji na temat firmy, którą planujesz kupić. Nie udało się. No i co z tego?

Elle zdaje sobie sprawę, że nie do końca legalne działania, które wykraczają poza procedury należytej staranności, to tylko kamuflaż dla czegoś znacznie poważniejszego. Nie ma jednak pojęcia, o co konkretnie chodzi. Pozwoliła wciągnąć się w grę, której zasad nie rozumie, a to zawsze błąd.

- Na czym niby polega ta katastrofa? - Mężczyzna milczy. - Do cholery, masz zamiar mi powiedzieć, co jest grane?

- Nie. Właśnie dlatego zapłaciłem ci milion dolarów...

- Formalnie rzecz biorąc, jeszcze tego nie zrobiłeś.

- Plus zwrot kosztów, które, jak sądzę, są całkiem znaczne. Przede wszystkim wynagrodzenie dla twojego partnera Rogera i reszty zespołu. Pięć osób na pełny etat, prawda?

- Cztery.

- Do tego cała masa freelancerów. No i jeszcze ten zaginiony aktor, jak mu tam? Timothy? Poza tym pokoje hotelowe w różnych zakątkach świata, apartamenty w Nowym Jorku, bilety lotnicze, wynajem samochodów, paliwo i jedzenie oraz ogromne honorarium dla VDA.

- To są koszty. Nic z tego nie zostało w mojej kieszeni.

- I tak odejdziesz z milionem dolarów.

- To wcale nie jest takie pewne, szczególnie jeśli zacznę zabijać amerykańskich obywateli.

- Kto mówił o zabijaniu Amerykanów? O nic takiego cię nie prosiłem.

Elle czuje, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Dlaczego tak zdecydowanie zaprzeczył? Cholera, czyżby nagrywał tę rozmowę? Na jego twarzy maluje się niedowierzanie, ale Elle nie ma pojęcia, czy jest szczerzy, czy tylko udaje moralne oburzenie jak kapitan Renault z *Casablanki*.

- Żartuję - mówi mężczyzna. - Oczywiście, że musisz sprzątnąć Willa Rhodesa. Myślę, że doskonale to rozumiesz.

Do tej pory wydawało jej się, że ma do czynienia z odnoszącym sukcesy

socjopatą. Czy on naprawdę uważa, że zabijanie kogoś jest zabawne? Czyżby miał nierówno pod sufitem?

W swoim życiu znalazła się w wielu ryzykownych sytuacjach i zaczyna podejrzewać, że również tym razem wydarzy się coś niebezpiecznego. Czy to możliwe, że ten facet ma zamiar ją zamordować i to właśnie teraz?

Nie, myśli. Nie tutaj. Nie w luksusowym apartamencie na Kensington. Naśle na nią jakiegoś zbira, ale później, w zupełnie innych okolicznościach. Na pewno tak się stanie, nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

Elle już wcześniej podejrzewała, że to wszystko może się dla niej fatalnie skończyć. Kiedy w Wirginii raz na zawsze uciszyła jedynego pracownika VDA, który mógł ją zidentyfikować i znał szczegóły operacji, pomyślała, że sama powinna trzymać się z dala od tego gówna. Chciała wsiąść w wypożyczony samochód i wyjechać na zwykłą amerykańską czteropasmówkę, po czym pomknąć autostradą międzystanową w kierunku lotniska, kupić bilet na samolot i zapaść się pod ziemię.

Kiedyś już zniknęła, jednak tym razem byłoby o wiele trudniej. Deptałby jej po piętach ktoś, kto pokazał, że jest w stanie ścigać zbiegów z uporem maniaka. Na tym właśnie polegała ta operacja, cały rok wyjęty z życia.

Powinna zrobić tak, żeby nie chcieli jej zabić. Musi wziąć się w garść, odzyskać pewność siebie, wykorzystać niezłomną wolę i siłę charakteru, żeby zastraszyć człowieka, który próbuje ją sterroryzować. Ten człowiek baczenie się jej teraz przygląda.

- Co takiego wie Will Rhodes? - pyta Elle. - Na dobrą sprawę nic.

- Ale może łatwo naprowadzić na twój trop. A poza tym jest chyba świadomy tego, co jest grane?

Tak, to prawda, ale Elle nie chce tego przyznać i tylko kręci głową. Chociaż wolałaby zabić Willa, niż sama zginąć, to jednak perspektywa zlikwidowania swojego agenta niespecjalnie się jej uśmiecha. Przez ostatnie kilka miesięcy zdążyła go polubić, przynajmniej na tyle, żeby nie mieć ochoty robić mu krzywdy. O ile rzecz jasna nie będzie to konieczne.

- Próbujesz mi powiedzieć, że nie istnieją żadne nagrania, na których jesteście razem? - kontynuuje mężczyzna. - Uważasz, że to wykluczone? Jesteś pewna, że nikt z obozu treningowego nie puści pary z ust? A Falls Church? Francja, Argentyna i Hiszpania? Twierdzisz, że jeśli Rhodes pójdzie z tą historią do CIA, to nikt mu nie uwierzy i nie złączą cię szukać? Naprawdę sądzisz, że jesteś nieuchwytna?

- Ja nie istnieję i właśnie dlatego mnie zatrudniłeś.

- Owszem, to prawda, ale tylko tak długo, jak świat jest o tym przekonany. A co, jeżeli ktoś zacznie węszyć i porówna fotografie z sekcji zwłok z tymi zrobionymi przed wypadkiem? Wtedy twój zgon przestanie być taki oczywisty, a z czasem zaczną wypływać kolejne dowody...

- To bardzo mało prawdopodobne.

- Rhodes to nitka prowadząca do kłębka i twoim zadaniem jest go zlikwidować.

Elle wybucha lekceważącym śmiechem, lecz zdaje sobie sprawę, że znalazła się na przegranej pozycji.

To była naprawdę długa operacja: ramy czasowe ustalono mało precyzyjnie, prawdziwy cel pozostał nieznanym, a sukces od samego początku stał pod znakiem zapytania. Mimo to Elle nie spodziewała się, że znowu będzie musiała drzeć o własne życie.

Pięć lat temu w zasypanym piaskiem obozowisku w Libii jej oddział został zniemacka zaatakowany. Najprawdopodobniej ktoś ich zdradził. Połowa agentów zginęła, a reszta rozpierzchła się na cztery strony świata.

Kilka dni później dowiedziała się, że uznano ją za zmarłą. Postanowiła pozostać w ukryciu, przynajmniej do czasu, gdy zorientuje się, co się tak naprawdę stało, kto ich wydał i dlaczego. Jednak nigdy nie udało jej się tego ustalić i uznała, że nie warto się ujawniać.

Oficjalnie była martwa. Skorzystała z okazji, żeby zostać jeszcze bardziej ekstremalną wersją tajnego agenta. Nie miała nazwiska i numeru ubezpieczenia społecznego. Nie musiała wypełniać deklaracji podatkowych i formularzy ani pisać raportów. Nie dotyczyły jej żadne reguły i przepisy. Była wolna od codziennej harówki związanej z karierą specjalisty od mokrej roboty w Centralnej Agencji Wywiadowczej.

Wybrała śmierć.

Stopniowo zaczęły krążyć plotki o pewnej kobiecie, niezwykle kompetentnej Amerykance, nader elastycznej w kwestiach moralnych i potrafiącej zająć się sprawami, którymi z różnych względów nie mogą zająć się inni.

- Albo Will Rhodes - mężczyzna nachyla się do niej - albo ty.

Rozdział 37

Paryż

- Mam go !

Inez podbiega do biurka Parviza i pochyla się nad ogromnym monitorem, na którym widać rozmyty obraz satelitarny przedstawiający miasto filmowane bezpośrednio z góry: czarne kropki kominów, trójkątne cienie rzucane przez skośne dachy i okna mansardowe, zielononiebieska wstęga Sekwany oraz prostokąty samochodów, wśród nich jeden skręcający w lewo w Quai des Célestins.

- *Merde* - mruczy pod nosem, gdy orientuje się, co jest grane. Auto przejeżdża przez Pont Marie i nagle się zatrzymuje. Otwierają się drzwi i ktoś wysiada.

Inez jest zaskoczona, że Will przyjechał właśnie na Wyspę Świętego Ludwika, chociaż nie tam, gdzie znajduje się mieszkanie Jean-Pierre'a Fouriera.

Starają się go śledzić, ale nie jest łatwo. Przez jakiś czas obserwują małą figurkę, która krąży ulicami, wchodzi do różnych budynków, a potem z nich wychodzi i przeciska się przez tłumy przechodniów. W pewnym momencie tracą go z oczu. Jest środek popołudnia. Will staje się jedną z wielu małych kropek, których nie da się od siebie odróżnić. Z wysokości setek kilometrów wszyscy ludzie wyglądają tak samo.

- Zadzwoń do mnie, jak coś znajdziesz - mówi Inez i wychodzi z biura.

- Dokąd idziesz?

- Muszę go odszukać.

Londyn

Mężczyzna stoi przed oknem panoramicznym, z którego roztacza się widok na londyński park. Elle wykorzystuje okazję, żeby przyjrzeć się srebrnej zastawie. Szuka jakiegoś noża, widelca lub podobnego przedmiotu, który można by wsadzić komuś w oko. Zaczyna mieć bardzo złe przeczucia.

- Jesteś pewna, że Rhodes wziął nogi za pas? - pyta mężczyzna, nie odwracając się do niej. Czy widzi jej odbicie w szybie? Pewnie tak.

- Przez całą dobę obserwujemy jego dom i biuro. Od dawna się tam nie pojawił. Nie zostawił też żadnych śladów elektronicznych: nie używał kart kredytowych, nie wykonał żadnej transakcji bankowej i nikt nie skanował jego paszportu. Jestem przekonana, że podróżuje pod fałszywym nazwiskiem.

- Chyba że nigdzie nie wyjechał.

- Tak, ale to wydaje mi się niezwykle mało prawdopodobne.

- Liczy się czas.

- Oczywiście.

- Jak myślisz, gdzie teraz jest?

- Nie mam bladego pojęcia. I co więcej, nie wiem, jak miałabym go znaleźć.

Mężczyzna milczy.

- Słuchaj - mówi Elle - zdaję sobie sprawę, że w tej operacji nie chodzi wcale o przejęcie jakiegoś magazynu. Jeżeli mam ci się do czegośkolwiek przydać, musisz mi powiedzieć, co jest grane. - Podrywa się z krzesła. - Więc albo mi wszystko wyjaśnisz, albo wychodzę.

Mężczyzna odwraca się do niej, przybierając groźną pozę.

Elle tylko się uśmiecha.

- I nie myśl, że coś mnie powstrzyma przed zabiciem Walta.

Zatoka Maine

Kuter rybacki płynie w stronę lekko rozświetlonego widnokągu. Po zawałonym sprzętem pokładzie krząta się załoga. Chloe cieszy się, że może siedzieć w kabinie, zawinięta w wyjedzony przez mole wełniany koc, z dala od tego zamieszania i przenikliwego wiatru.

Nagle zauważa coś na linii horyzontu, po lewej stronie. Patrzy na zegarek. Tak, możliwe, że to już.

Zrzuca koc i bierze do ręki lornetkę. Jest jednak za ciemno i za daleko, żeby mieć pewność.

Załoga ma pełne ręce roboty i od kiedy wypłynęli w morze, nikt nie zwraca na Chloe specjalnej uwagi. Kiedy weszła na pokład, wręczyła Connorowi kopertę z gotówką. Otworzył ją i skrupulatnie przeliczył

pieniądze. Zero zaufania, nawet się nie przedstawił ani nie podał jej ręki. Rybacy są najwyraźniej przyzwyczajeni do tajemniczych pasażerów i traktują ich jak część ładunku. Connor wręczył im kilka banknotów jako premię za milczenie.

Chloe otwiera drzwi do kabiny.

- Hej! - krzyczy i wskazuje podbródkiem na zbliżającą się szybko łódź. Connor odwraca się w jej stronę. - To ta? - pyta Chloe, ale mężczyzna tylko wzrusza ramionami.

Pomyłka może oznaczać poważne kłopoty. Chloe podejrzewa, że załoga jest przygotowana na taki rozwój wypadków. Ma jednak nadzieję, że uda się uniknąć konfrontacji. Jakoś trudno jej sobie wyobrazić bitwę morską na wodach Wilkinson Bay.

Znowu patrzy przez lornetkę. Tak, to musi być jej łódź. Zabierze ją bezpośrednio do Nowej Szkocji, dzięki czemu Chloe nie będzie musiała przechodzić kontroli paszportowej na lotnisku i cały świat stanie przed nią otworem. Zasuwa plecak i zarzuca go na ramię. Ostatni raz podróżowała z takim bagażem piętnaście lat temu. W tamtych czasach włościła się po świecie dla niewinnej radości przemieszczania się z miejsca na miejsce. Niestety, nigdy więcej czegoś takiego nie poczuje. Tak to już jest z niewinnością. Traci się ją raz na zawsze.

Húsavík, Islandia

W zniszczonej łodzi nie ma nic eleganckiego: wyblakły biały kadłub z ledwie widocznym niebieskim pasem i zagracony pokład z kabestanami^[66] i walającymi się wszędzie grubymi linami i częściami takielunku. Powolny, osiemnastometrowy wół roboczy, który taranuje fale, żeby pokonać silny prąd morski.

Will stoi na rufie i patrzy na oddalającą się wioskę: spowite mgłą domy z blachy falistej pomalowanej na jaskrawe kolory, głównie czerwień i szafir, oraz kościół z miętowozielonym dachem odcinającym się na tle brązowej góry Húsavíkurfjall.

Kapitan zmienia kurs na prawo i zaczynają wypływać z zatoki Skjálfandi w stronę otwartych wód Morza Norweskiego. Will wciąż patrzy na południe, przyglądając się znikającej linii brzegowej, podczas gdy łódź telepie się na północ, gdzie nie ma już żadnego lądu, tylko polarna czapa lodowa.

Na pokładzie jest kilkudziesięciu pasażerów. Siedzą na wysokich drewnianych ławkach albo opierają się o metalowe nadburcie i lustrują wzrokiem skłębioną szarą wodę w poszukiwaniu wielorybów. Właśnie z tego słynie Húsavík, przynajmniej jeśli chodzi o turystów. Przyjeżdżają tu z całego świata i zakładają niewygodne ubrania mające ich chronić przed paskudną pogodą: grube gumowane kombinezony, obowiązkowo w kolorze jasnopomarańczowym, żeby łatwiej było dostrzec nieszczęśnika, który wypadł za burtę. W takich warunkach już po chwili dostaje się hipotermii. Koło podbiegunowe znajduje się zaledwie osiemdziesiąt kilometrów stąd.

Załoga składa się z trzech osób. W sterówce siedzi kapitan, młodszy niż można się było spodziewać, wysoki, z jasną karnacją i lodowoszarymi oczami. Jest też kobieta w średnim wieku, krzepka i barczysta, lecz na swój sposób piękna. Pomagała wszystkim założyć kombinezony, przypominające te noszone w więzieniu, a teraz chodzi po pokładzie i roznosi papierowe kubeczki z gorącą czekoladą. Trzeci załogant stoi na bocianim gnieździe z przytkniętą do oczu wojskową lornetką. Ma mocną szczękę porośniętą kilkudniowym siwym zarostem, a na głowie obcisłą wełnianą czapkę w ciemnym kolorze. Will nie za bardzo może mu się przyjrzeć, ponieważ mężczyzna znajduje się pięć metrów nad pokładem, pod niebieskoszarym niebem.

Po czterdziestu pięciu minutach rejsu zaczyna padać. Mocno zacina i krople deszczu siekają twarze, sprawiając, że turyści czują się przemarznięci do szpiku kości. Łódź podskakuje na falach i kołysze się na wszystkie strony. Nigdzie nie widać brzegu.

- Tam! - krzyczy facet z bocianiego gniazda, wskazując na coś ręką. Wszyscy patrzą w górę, a potem podążają wzrokiem za jego wyciągniętym palcem. Kilkaset metrów od lewej burty pojawił się wieloryb. Tłum zaczyna wzdychać z podniecenia. Kapitan skręca i przyspiesza, żeby dogonić zwierzę, które jest mniej więcej tak duże jak łódź. Jezus Maria, ten stwór jest naprawdę gigantyczny!

Wieloryb co chwilę przecina powierzchnię wody, a mężczyzna na bocianim gnieździe wygłasza wyuczony na pamięć wykład. Mówi o zwyczajach godowych, wychowywaniu młodych, płetwach i fiszbinach, biciu ogonem i tak zwanym szpiegowaniu, czyli charakterystycznym wystawianiu głowy. Mniej lub bardziej interesujące informacje okraszone naukową terminologią. W pewnym momencie grupka ludzi rozbiega się w popłochu i dopiero po kilku sekundach Will orientuje się, że uciekali od kobiety, która

stoi oparta o burtę i puszcza pawia. Wymiociny wpadają bezgłośnie do wody, zostawiając na kadłubie musztardowe plamy, które zostają jednak szybko zmyte przez kolejne fale regularnie przelewające się przez pokład i spływające po drugiej stronie łodzi.

Wieloryb pojawia się jeszcze kilkanaście razy, a stateczek cały czas dotrzymuje mu towarzystwa. Wreszcie zwierzę nurkuje i już więcej nie wypływa. Pięć minut później kapitan daje za wygraną i łódź płynie w stronę lądu, gdziekolwiek to jest. Nigdzie nie widać słońca ani gwiazd, ani linii horyzontu. Nie ma żadnego punktu odniesienia umożliwiającego ustalenie kierunku.

Paryż

- Madame Fourier? Nazywam się Inez d' Auvergne.

Starsza pani patrzy na nią spod przymrużonych powiek, ale nic nie mówi.

- Pracuję w „Travelers”.

- Aaa, „Travelers”. Chyba macie dzisiaj urwanie głowy.

- Tak, przepraszam, że przeszkadzam, ale mój kolega, który wcześniej panią odwiedził...

- Ten Amerykanin?

- Tak, Amerykanin. O czym rozmawialiście?

- Proszę jego o to zapytać.

- Przyszłam z tym do pani.

Madame Fourier wygląda, jakby miała ochotę zatrzaskać Inez drzwi przed nosem, ale tego nie robi.

- O niczym szczególnym. Powiedziałam mu, że umarł mój ojciec, bo nie był tego świadomy.

- To wszystko?

- Pytał też, czy nie znalazłam w rzeczach ojca czegoś dziwnego. Był tam telefon komórkowy, o którego istnieniu nie miałam pojęcia.

- Mogę go zobaczyć?

- Nie.

- Dlaczego?

- Ponieważ go oddałam.

- Amerykaninowi?

- Tak, oczywiście. - Madame Fourier wzrusza ramionami. - Przecież nie

był mi do niczego potrzebny.

Húsavík

Łódź przybija do pomostu. Pasażerowie zdejmują kombinezony i z wyraźną ulgą opuszczają pokład, zadowoleni, że mogą wreszcie zejść na stały ląd. Grupki turystów rozbiegają się w różnych kierunkach w poszukiwaniu schronienia, toalety, która nie kołysze się z boku na bok, lub suchego miejsca serwującego ciepłe posiłki.

Wyprawa okazała się sukcesem. Wieloryb został uwieczniony na tysiącach fotografii i wielogodzinnych nagraniach wideo, nieostrych, rozmazanych i ze zniekształconym dźwiękiem przypominającym radiowe zakłócenia. Dobrze, że w ogóle się udało - łódź podskakiwała na falach, nie wiadomo było, gdzie jest horyzont, piana pryskała w obiektyw, a widok zasłaniali co chwilę inni pasażerowie.

Will kręci się wokół łodzi, czekając na okazję. Wreszcie podchodzi do siwowłosego faceta z bocianiego gniazda, mówi, że jest dziennikarzem specjalizującym się w tematyce podróżniczej i pyta, czy poświęci mu kilka minut. Prosi też o zgodę na robienie notatek.

- Okej - mówi mężczyzna. - Może mi pan dotrzymać towarzystwa podczas sprzątanía pokładu.

- Jest pan Amerykaninem? Co pana tutaj sprowadziło? - Will trzyma długopis w gotowości i przybiera charakterystyczną pozę reportera.

- Miałem dość.

- Czego?

- Ameryki. - Mężczyzna zwija grubą linę. Ostatni pasażerowie schodzą z pokładu i wręczają mu drobne monety jako napiwek.

- A konkretnie?

- Wszystkiego. Konsumpcjonizmu, kapitalizmu, polityków i wygadywanych przez nich bzdur, systemu opieki zdrowotnej, wojny z narkotykami, liczby więźniów, braku perspektyw dla ludzi z marginesu społecznego... Mam kontynuować?

Will kręci głową.

- Kiedy pan wyjechał?

- Pięć lat temu.

- Dlaczego akurat Islandia?

Wskazuje podbródkiem na koleżankę układającą kombinezony jeden na drugim.

- Poznaliśmy się na pieszej wycieczce w Utah.

- I przyjechał pan za nią aż tutaj? - Will wyciąga ręce w stronę niczym niewyróżniającego się portu, deszczu i szarej mgły.

- Miłość jest ważniejsza od pogody.

Rozmawiają jeszcze pięć minut. Will robi notatki, ale nie dowiaduje się niczego interesującego, w każdym razie nie z jego obecnej perspektywy.

- Mam jeszcze jedną sprawę - mówi. - Szukam pewnego Amerykanina. Jest mniej więcej w pańskim wieku, może trochę starszy. Przyjechał na Islandię jakiś rok temu. Zna pan kogoś takiego? A może coś pan słyszał?

- Do Húsavík? - Wybucha śmiechem. - Nie. Nie osiedlają się tu Amerykanie. Widział pan tę miejscowość? Tam mieszka osiem osób na krzyż.

- Wydaje mi się, że właśnie czegoś takiego szukał. Miejsca, w którym można by zniknąć.

- No cóż, są odludzia i odludzia. Húsavík to wbrew pozorom nie najlepsza kryjówka. Jest się na widoku, ściągają tu tłumy turystów i trudno wyśledzić kogoś, kto przyjechał, żeby zawracać nam głowę.

- Czy zna pan w takim razie jakiś lepszy zakątek Islandii, w którym można się schować?

Mężczyzna wypuszcza z rąk ciężki zwój liny, który z głuchym odgłosem uderza w pokład.

- Przykro mi - mówi - ale nie wiem. A teraz proszę mi wybaczyć. Mam jeszcze masę roboty.

Nowy Jork

- Gotowa? - pyta Lucinda.

- Jeszcze raz dziękuję - mówi Gabriella. - Mam wobec ciebie dług wdzięczności.

- Nie przesadzaj. To uczciwa propozycja: przez sześćdziesiąt sekund opowiesz o rejsach, a potem możesz gadać o czym chcesz, pod warunkiem że nie naruszysz żadnej z zasad Federalnej Komisji Łączności. - Lucinda szeroko się uśmiecha. - Mówię serio.

Lucinda to całkiem rozsądna osoba, chociaż telewizja niekoniecznie

wygląda na rozsądne miejsce pracy, ale kto wie? Patrząc z zewnątrz, nikt nie domyśliłby się, co tak naprawdę dzieje się w „Travelers”, i nie podejrzewałby, że ludzie zatrudnieni w redakcji ryzykują życie.

Porwanie Terrance’a nie wzięło się znikąd. To wcale nie był mało prawdopodobny scenariusz, wręcz przeciwnie, taki rozwój wypadków nie tylko brano pod uwagę, lecz także o nim rozmawiano i przygotowywano plany awaryjne.

Terrance wykonywał jednocześnie dwie funkcje: afrykańskiego korespondenta i jednego z redakcyjnych fotografów. Spełniał się w tej pracy, a szefostwo również było z niego zadowolone. Wiązało się z tym jednak pewne ryzyko i wszyscy zdawali sobie z tego sprawę. Najbardziej obawiali się porwania z pobudek politycznych i właśnie tak się stało, zresztą nie pierwszy raz w historii magazynu.

Redakcja nie miała nawet szans na zapłacenie okupu. Terrance był przetrzymywany przez zaledwie czterdzieści osiem godzin, a potem brutalnie go zamordowano. Makabryczne nagranie z egzekucji umieścili w internecie sudańscy ekstremiści. Terrance został uznany za amerykańskiego szpiega, który próbował wykraść tajemnice państwowe, i dostał to, na co zasłużył. Prezydent Sudanu oficjalnie przeprosił za ten godny ubolewania incydent. Redakcja uporczywie twierdziła, że Terrance był tylko niewinnym fotoreporterem. Departament Stanu potępił terroryzm i wydał nowe ostrzeżenia dla podróżujących do tej części świata. CIA wyparło się jakichkolwiek związków z tym człowiekiem.

Załamana psychicznie wdowa, Gabriella Rivera, poprosiła nowego szefa o zmianę stanowiska i pracę za biurkiem. Schowała do szuflady swoje paszporty i wzięła do ręki korektorski ołówek. Zgodziła się na regularne występy w telewizji śniadaniowej, które stały się kanałem służącym do przekazywania szyfrowanych wiadomości działającej na całym świecie siatce współpracowników „Travelers”. Szyfrowana komunikacja elektroniczna miała już pięćdziesięcioletnią historię - wcześniej wykorzystywano w tym celu reklamy słuchowisk radiowych, wieczorne wiadomości i nadawane w ciągu dnia programy z telefonicznym udziałem widzów lub słuchaczy. Gabriella informowała nieznaną liczbę agentów o miejscu wykonania następnej misji i przekazywała im instrukcje wydawane przez ludzi, których nigdy nie spotkała.

Niewykluczone, że jej czas w „Travelers” dobiegał końca. Praca w redakcji pochłonęła jej młodość i zabrała męża. Co dostała w zamian? Nic

konkretnego. Jedyne, czego się nauczyła, to nikomu nie ufać.

Postanowiła zostać w firmie tak długo, aż nie wymyśli czegoś lepszego. Nie jest jednak przekonana, czy kiedykolwiek będzie w stanie to zrobić. Może wystarczy, jeśli zadowolą się czymś innym.

Lucinda prowadzi ją do tapicerowanego krzesła. Podbiega asystentka. Przyczepia Gabrielli mikrofon do klapy żakietu i montuje nadajnik przy pasku spódnicy, po czym sprawdza, czy wszystko działa, i błyskawicznie znika.

- Na serio mówiłaś o tym, że mogłabym tutaj pracować?

- Tak, to ciągle aktualne. Zmieniłaś zdanie?

- Jeszcze nie wiem. Ale chciałabym pogadać.

Lucinda szeroko się uśmiecha, kiwa głową i robi krok do tyłu dokładnie w chwili, gdy zapala się światelko u góry kamery.

- Dziękuję, Ted - mówi Gabriella. - Cieszę się, że tu jestem! Tej jesieni w branży turystycznej wszystko może się zdarzyć.

To zdanie oznacza, że kilkuset rozsianych po całym świecie tajnych współpracowników powinno jak najszybciej zawiesić swoją działalność.

Húsavík

Will zamawia to samo co wszyscy, czyli wielki talerz rybnego gulaszu z ziemniakami w bulionie szafranowym. To danie można dostać w każdym zakątku Islandii. Bez zastanowienia wyjmuje notes i zapisuje nazwę miejscowości, adres restauracji oraz menu razem z cenami. Po chwili zdaje sobie sprawę, że akurat o tej podróży niczego nie napisze. Zamyka więc notatnik i zaczyna jeść. Całe szczęście w knajpie jest w miarę spokojnie.

Na zewnątrz ciągle zacina zimny, nieprzyjemny deszcz. Wsiada do wynajętego samochodu i przekręca kluczyk w stacyjce.

Nagle ktoś mocnym szarpnięciem otwiera drzwi od strony pasażera.

Londyn

- Masz rację.

- Jasne, że mam rację. - Mężczyzna odwraca się od okna.

- Na czym więc polega moje zadanie? - pyta Elle.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że trzymałem to w tajemnicy dla twojego dobra.

- Przestań pieprzyć. Nie robisz niczego dla czyjegoś dobra.

Otwiera usta, żeby zaprzeczyć, ale uznaje, że szkoda fatygi. W tym momencie nie ma to już żadnego znaczenia. Siada na krześle, zakłada nogę na nogę i pogrąża się w myślach, a może chce tylko sprawić takie wrażenie. Wreszcie zaczyna mówić:

- Przez długi czas krążyły plotki o supertajnej komórce CIA ulokowanej poza oficjalną strukturą dowodzenia.

- Co to znaczy?

- Mniej więcej tyle, że jej agenci mają pełną swobodę działania w dowolnym miejscu na świecie.

- W porządku. I co dalej?

- Kilka lat temu dowiedziałem się z zaufanego źródła, że taka komórka rzeczywiście istnieje i działa pod całkowicie legalną przykrywką międzynarodowej korporacji medialnej.

Elle otwiera usta ze zdziwienia.

- Firma zajmująca się zbieraniem informacji, której reporterzy są tak naprawdę szpiegami, a wszystkim kieruje redaktor naczelny.

- Pierdolisz.

- Ani trochę.

- Próbujesz mi powiedzieć, że „Travelers” to zakamuflowany oddział CIA?

- Staramy się to ustalić, moja droga. Na tym właśnie polega twoje zadanie.

Elle pozwala, żeby te informacje dotarły do jej świadomości. To, co usłyszała, wydaje się nie trzymać kupy, lecz należy pamiętać, że CIA może się poszczycić długą historią pozornie mało wiarygodnych przykrywek dla swoich operacji. Czy tak jest również w tym wypadku?

- Najpierw prześwieciłem działalność międzynarodowych agencji prasowych, ale nic nie znalazłem. Potem wzięłem na tapetę kilka magazynów informacyjnych. Przyjąłem błędne założenie, że poważna działalność szpiegowska będzie prowadzona przez równie poważnych reporterów specjalizujących się w polityce globalnej.

- Co sprawiło, że zmieniłeś zdanie?

- Pewnego razu na koktajlu spotkałem Jonathana Mongeleacha. Jego afrykańskim korespondentem był niejaki Terrance Sanders...

- Mąż Gabrielli Rivery?

- Tak. Został uprowadzony dla okupu i brutalnie zamordowany. Makabryczna historia, a był przecież tylko Bogu ducha winnym amerykańskim cywilem wykonującym swoją pracę.

- No tak, chyba że to, co robił, wcale nie było takie niewinne.

- Właśnie. Daniel Pearl to był inny przypadek: szef filii „Wall Street Journal”, Żyd pracujący na muzułmańskim terytorium. Ale Sanders? - Kręci głową. - Przyjrzałem się temu uważniej. Wiesz, ile artykułów o Afryce ukazuje się rocznie w „Travelers”? - Podnosi w górę dwa palce. - Po co im afrykański korespondent? To wygląda na złą alokację zasobów. Zacząłem kopać głębiej: personel, reklamodawcy, historia czasopisma. I wiesz, co się wtedy stało?

- Możesz przestać mnie przepytywać? Czuję się jak uczennica.

- Znika Jonathan Mongeleach. Wszystko wskazuje na to, że nie został zamordowany ani porwany, tylko sam postanowił zapaść się pod ziemię. Po co?

- Serio? Naprawdę mam już dość tego teleturnieju.

- Przyłapali go. Tylko na czym? Oto jest pytanie. Okradał firmę i nakryli go na gorącym uczynku? Sprzedawał tajemnice służbowe za pieniądze, kokainę albo seks oralny? Wyszło na jaw jego uzależnienie od hazardu, narkotyków albo alkoholu? A może chodzi o molestowanie albo mobbing? Jeśli cokolwiek z tego jest prawdą, przejęcie „Travelers” razem ze spółką macierzystą przestaje mnie interesować. Jestem w końcu człowiekiem nowych mediów. Po co mi papierowe magazyny? Będą z nimi same kłopoty, a w końcu i tak zbankrutują.

Elle przestała się martwić, że zostanie zamordowana przez tego faceta. Teraz boi się, co mogą jej zrobić pozostałe strony uwikłane w tę aferę.

- Zależy mi tylko na jednym - mówi mężczyzna. - Chcę mieć własną siatkę szpiegowską.

Rozdział 38

Húsavík

Will nie ma nawet czasu, żeby wpaść w panikę.

- Wiesz, kim jestem? - pyta nieznajomy.
- Amerykaninem z bocianiego gniazda.
- Nie o to mi chodzi.

Deszcz bębni w dach samochodu. Will wpatruje się w siwego mężczyznę i zastanawia, czy powinien dalej kłamać.

- Nazywasz się John Collins i byłeś pilotem marynarki wojennej.
- To z mojego powodu przyjechałeś do Húsavík?
- Do pewnego stopnia. Jesteś jedynym Amerykaninem figurującym w naszych islandzkich dokumentach.

- W waszych dokumentach? Co masz na myśli?

- Mój magazyn prowadzi teczki osobowe. Chodzi głównie o amerykańskich obywateli mieszkających za granicą, do których możemy się zwrócić z prośbą o pomoc, na przykład gdy potrzebujemy jakichś szczegółowych informacji lub namiarów na kogoś z tego regionu. Znalazłem twoje dane w dokumentach poświęconych Islandii i pomyślałem, że możesz coś wiedzieć o poszukiwanym przeze mnie Amerykaninie.

- O kogo chodzi?

- O mojego byłego szefa.

- Nie znam tego magazynu i nic nie wiem o twoim byłym szefie. Jestem tylko gościem, który kiedyś pilotował samoloty, a potem pracował w wojskowym zaopatrzeniu. Nie mam pojęcia, dlaczego figuruję w waszych dokumentach i nie podoba mi się, że przyjechałeś tutaj i zwracasz mi głowę.

- Przepraszam, nie miałem takiego zamiaru. Po prostu muszę kogoś odnaleźć i wcale nie chodzi o ciebie. Wydawało mi się, że jesteś typem gościa, który może mi pomóc.

Mężczyzna wpatruje się w Willa, po czym odwraca się do okna. Nic nie mówi, ale nadal siedzi w samochodzie. Przez dłuższą chwilę panuje milczenie.

Wreszcie głośno wzdycha.

- Okej. Jeżeli miałbym się ukryć na tej wyspie, to gdzieś bliżej Reykjavíku, najlepiej w odległości kilku godzin jazdy samochodem od miasta. Większe skupiska ludzi są płynne i bardziej anonimowe. Sporo tam hippisów, robotników sezonowych i obcokrajowców. Wiesz, że w tej części Islandii mieszkał Bobby Fischer? - Owszem, mówiła mu o tym niemal każda napotkana tu osoba. - Poza tym łatwiej o zaopatrzenie, a produkty żywnościowe są dużo tańsze. No i jest znacznie bliżej do stolicy, co ma znaczenie szczególnie w zimie. Przez pół roku Húsavík to dziura zapomniana przez Boga i ludzi. Naprawdę trudno to sobie wyobrazić.

Will jakoś nie ma z tym problemu.

- Znasz jakieś konkretne miejsce? A może kogoś spotkałeś?

- Tak. Wiosną pojechaliśmy pod namiot w okolice Snæfellsjökull. Wiesz, gdzie to jest?

- Mniej więcej.

- Widzieliśmy się z bratankiem Emiliany, który mieszka w czymś w rodzaju komuny. Gadaliśmy o tym, co słychać na półwyspie Snæfellsnes, na przykład, że na stacji benzynowej zatrudnili nową dziewczynę, takie rzeczy.

- Rozumiem.

- Powiedział mi, że grał w karty z jakimś Amerykaninem, starszym facetem, który przez część roku mieszka sam na farmie w otoczeniu owiec, ale nie zajmuje się hodowlą. Czy chodzi ci o kogoś takiego?

- Być może.

Mężczyzna kiwa głową, kładzie rękę na klamce, ale nie otwiera drzwi.

- Dlaczego szukasz ludzi, którzy nie chcą, żeby ktoś ich znalazł?

To naprawdę cholernie dobre pytanie.

- Na tym polega moja praca.

- Powinieneś zająć się czymś innym. - Naciska klamkę i wychodzi z samochodu. - To bardzo niebezpieczne zajęcie.

Paryż

Inez wsiada na swoją vespę i już po dziesięciu minutach jest z powrotem w biurze. Wbiega na górę, gdzie zespół informatyków zajmuje się eksplorowaniem różnych cyberświatów. Każdy trzyma prawą rękę na myszce, na głowie ma słuchawki z muzyką i przegląda nagrania z monitoringu w poszukiwaniu jakiegoś śladu Willa Rhodesa. Na ekranach

widać ulice, hotelowe lobby, bankomaty i stacje metra.

Kiedy Inez wchodzi do pokoju, wszyscy ściągają słuchawki.

- Coś znaleźliście?

Tylko kręcą głowami.

Inez schodzi piętro niżej do zagraconego biura i siada na obrotowym krześle. Wczoraj w nocy spała zaledwie trzy godziny.

Wstukuje kod, żeby otworzyć biurko. Wysuwa środkową szufladę, w której schowane są teczki z kontaktami z Europy Zachodniej. Europa Wschodnia znajduje się szufladę niżej. Najgrubsze teczki, dobre kilkanaście centymetrów, zawierają dokumentację poświęconą Francji, Niemcom i Wielkiej Brytanii, z podziałem na poszczególne miasta. Inez przegląda Francję i wyciąga skoroszyt z Paryżem, około stu stron, a na każdej zdjęcie, dane kontaktowe, adres i namiary na współników.

Will musiał przyjechać do Paryża, żeby porozmawiać z jedną z tych osób.

Zatrząskuje szufladę tak mocno, że trzęsie się całe biurko, i zaczyna przeglądać papiery.

Nie może się jednak skupić, ponieważ jakaś niepokojąca myśl wciąż kołocz się jej po głowie. Czy widziała coś podejrzanego podczas drogi powrotnej z Wyspy Świętego Ludwika? Może wtedy, gdy przejeżdżała przez plac Zgody albo gdy pędziła Champs-Élysées?

Nie, to było później, już w budynku redakcji. Na piętrze informatyków?

Nie, raczej tutaj, na jej biurku.

Jeszcze raz wklepuje kod, szarpie za ciężką szufladę zamocowaną na kulkowych prowadnicach i wysuwa ją do samego końca. Przez kilka sekund wpatruje się w ułożone równo dokumenty. Zakładki indeksujące są poprzestawiane.

Nie, chodzi o coś innego. Brakuje jednej teczki.

Nie, dwóch. Islandii i Szwecji.

~ ♦ ~

Inez ma zamiar złamać protokół i zrobić coś niezgodnego ze ściśle przestrzeganymi regułami bezpiecznej komunikacji i pierwszym przykazaniem dekalogu wyznawanego przez zagraniczne przedstawicielstwa „Travelers”. Jednak to wyjątkowa sytuacja.

Dzwoni do głównej centrali w Nowym Jorku. Odbiera asystentka i prosi, żeby Inez zaczekała.

Wreszcie w słuchawce rozlega się męski głos:

- Halo. - Tylko dwie sylaby wypowiedziane nieprzyjaznym tonem. Mężczyzna nie przedstawia się i nie pyta, z kim ma przyjemność. Od razu wiadomo, że ani nie chce nic mówić, ani niczego słyszeć. Ta rozmowa w ogóle nie powinna mieć miejsca.

- Wydaje mi się, że nasz wspólny znajomy jest właśnie w drodze do Szwecji lub Islandii - mówi Inez bez żadnego wstępu. Najlepiej od razu przejść do rzeczy.

- Niewykluczone, że już tam dotarł.

- Skąd to wiesz?

- Wczoraj w środku nocy wyniósł z biura teczkę dotyczącą tych krajów.

- Orientuje się, że ten opis może być nieco mylący. Spogląda na zegarek i dodaje:

- Dziewięć godzin temu.

- Jesteś pewna?

Ma wystarczająco dużo dowodów: oglądała nagranie z monitoringu, na którym widać, jak Will wchodzi do budynku o godzinie 2.41 nad ranem, dostała potwierdzenie, że do otwarcia drzwi użyto jego karty, no i sama stwierdziła fizyczny brak dokumentów.

- Tak.

- To wszystko?

- Tak.

Oczekuje, że mężczyzna jeszcze coś powie lub o coś zapyta. Dopiero po chwili zdaje sobie sprawę, że linia jest głucha. Trzyma telefon w dłoni, zbierając siły na powrót do pokoju informatyków. Musi pokierować poszukiwaniami i spytać, czy nie potrzebują jedzenia, picia albo jakichś stymulantów, ponieważ na pewno prędko stąd nie wyjdą.

Nowy Jork

- Co się stało? - pyta Gabriella.

- Wszystko wskazuje na to, że Will był wczoraj w nocy w Paryżu i ukradł dokumenty z naszymi kontaktami na Islandii i w Szwecji.

- Dziwne. On musi coś wiedzieć.

- Pewnie tak. Na dodatek podróżuje pod nie swoim nazwiskiem, co oznacza, że załatwił sobie fałszywy paszport. Ciekaw jestem, skąd go

wytrzasnął.

- Ja mu nie pomogłam, jeśli o to pytasz.

- Ja też nie.

Gabriella zakłada nogę na nogę.

- Na jego miejscu skontaktowałabym się z Deanem Fowlerem. Od dawna się przyjaźnią, a jak zapewne wiesz, Dean ma swoje dojścia.

- Słuchaj, Gabs, czy w takim razie mogłabyś z nim pogadać?

- Jasne. A ty co zamierzasz zrobić?

- Jadę na Islandię.

- Dlaczego akurat tam?

- Bo jest znacznie bliżej niż do Szwecji.

Akureyri, Islandia

Will pędzi na złamanie karku, żeby złapać samolot do Reykjavíku. Ruch uliczny jest niewielki. Jedzie przez wyludnione doliny, wzdłuż rwących potoków i skalistych grzbietów górskich. Niemal cały czas towarzyszą mu stada wełnistych owiec. Pokonuje trasę w dobrym tempie, ale i tak nie jest pewien, czy zdąży. Co chwilę zerka na deskę rozdzielczą, po czym naciska gaz i przyspiesza, jeszcze bardziej przekraczając dozwoloną prędkość. Dwa razy musi się zatrzymać, żeby przepuścić przechodzące przez jezdnię owce. Nie ma żadnego sposobu, żeby je wyminąć.

Kilka kilometrów przed Akureyri wjeżdża w gęstą mgłę i musi zwolnić. Robi się niebezpiecznie. Prawie nic nie widać, a droga zaczyna zbiegać w dół ostrymi zakosami w kierunku wschodniego brzegu Eyjafjörður, najdłuższego fiordu Islandii.

Spogląda na zegar. Jest coraz później. Dodaje gazu i słyszy, jak automatyczna skrzynia wrzuca wyższy bieg. Przysuwa twarz do przedniej szyby, żeby w porę zauważyć wjeżdżające pod górę...

Cholera! Szarpie kierownicę w prawo i w ostatniej chwili unika zderzenia z jadącym z naprzeciwka samochodem. Kierowca głośno trąbi, a Will skręca w lewo, żeby nie zjechać z szosy i nie wpaść do rowu. Na śliskiej nawierzchni zarzuca tyłem samochodu i Will czuje, że serce wali mu jak młotem.

Mocno ściska koło kierownicy i udaje mu się zapanować nad pojazdem.

Droga się wyrównuje i biegnie teraz wzdłuż fiordu oddzielającego Willa

od miasta, od portu lotniczego i od małego samolotu, który ma go zabrać tam, gdzie powinien być. Kiedy wjeżdża na most, wciska gaz do dechy. Silnik zaczyna wyć, a wskazówka szybkościomierza błyskawicznie przesuwa się w prawo.

Wzdłuż wody ciągnie się pas startowy. To nie jest wcale najmniejsze lotnisko, jakie w życiu odwiedził - można coś zjeść i wypożyczyć samochód - ale już z daleka widać wszystko, co się na nim dzieje. Przed niewielkim terminalem, w odległości krótkiego spaceru, stoi samolot, na którego pokład powinien właśnie wchodzić.

W połowie drogi przez most widzi, jak zamykają się drzwi i od kadłuba odjeżdżają schodki. Kiedy zjeżdża na stały ląd, samolot zaczyna kołować.

To był ostatni lot tego dnia.

Londyn

- Słucham cię. - Elle odgarnia włosy i przyciska telefon do ucha.

- Jestem na lotnisku Kennedy'ego. Piętnaście minut temu redaktor przeszedł przez kontrolę bezpieczeństwa. Dzwoniłem do naszego głównego kontaktu w Wirginii, ale nie odbiera. Złapałem za to jego szefa.

Elle zdaje sobie sprawę, że ich główny kontakt w Wirginii już nigdy nie odbierze żadnego telefonu, ale nie chce, żeby Roger o tym wiedział. Mógłby się zacząć zastanawiać, jak długo sam będzie w stanie odbierać telefony.

- Dobrze zrobiłeś. I co?

- Redaktor odprawił się na samolot linii Icelandair do Keflavík. Klasa biznesowa. Zgodnie z rozkładem będzie na miejscu za siedem godzin. Ja wsiadam do autokaru.

Elle spogląda na tablicę odlotów i szuka następnego połączenia na Islandię. Po zakończeniu spotkania w hotelowym apartamencie pojechała na Heathrow i czekała na informacje od Rogera. Wcześniej myślała, że jej pracodawca jest chciwym i amoralnym kapitalistą, ale zmieniła zdanie. Ten facet to tak naprawdę niezwykle przebiegły megaloman. Nie jest jednak pewna, czy to dla niej lepiej, czy gorzej.

- Twoim zdaniem „Travelers” to siatka szpiegowska, której szukam?

- zapytał.

Mogło tak być, chociaż ta teoria brzmiała dość absurdalnie.

- Nie mam pojęcia - powiedziała.

- Wiesz, kto może to potwierdzić?

Elle milczała.

- Zanim Rhodes skasował z tego dysku pliki Malcolma Somersa, zrobił kopię na własny użytek, prawda?

Przytaknęła.

- Musiał coś znaleźć i zabrał to ze sobą.

Elle zaczęła wstawać z krzesła, wciąż kiwając głową.

- On wie, co jest grane. Musisz go dorwać.

Nowy Jork

- Cześć, Dean.

- Gabriella Rivera! Cóż za widok dla moich zmęczonych oczu.

- Bołą cię oczy? Powinieneś dać im czasem odpocząć i przestać pożerać wzrokiem każdą kobietę, która wchodzi do tego lokalu.

- Ha, ha. - Dean odwraca się do faceta stojącego za barem. - Marlon?

Barman spogląda na swojego szefa.

- Dla ciebie jak zwykle manhattan? - pyta Dean.

Gabriella kręci przecząco głową.

- Nie, dzisiaj tylko woda sodowa, jeśli to nie kłopot.

Marlon nawet nie próbuje ukryć, że jest zdegustowany, ale cóż może zrobić? Sięga do lodówki, wyjmuje z niej małą butelkę i odkręca kapsel. W tym barze nie serwują wody sodowej z zapleśniałego syfonu.

- Dean, chciałabym ci zadać pytanie i oczekuję szczerzej odpowiedzi.

Na jego twarzy pojawia się szeroki uśmiech.

- Jasne, nie ma sprawy. - Pochyliła się do przodu i szepcze jej do ucha:

- Owszem, jest tak duży, jak słyszałaś.

- Mówił ci już ktoś, że jesteś zboczonym sukinsynem?

Dean wzrusza ramionami, ale nie przestaje szczerzyć zębów.

- Will Rhodes wpakował się w tarapaty. Wyjechał z kraju z fałszywym paszportem. Muszę go odnaleźć. Wiesz może, skąd wziął lewe papiery? I zanim mi odpowiesz, chciałabym ci powiedzieć, że jestem gotowa na wymianę informacji.

- O, to ciekawe. Co dla mnie masz?

- Doszły mnie słuchy, że Marlon nie serwuje tylko wymyślnych koktajli i małych buteleczek wody sodowej. - Gabriella uderza palcem wskazującym w

skrzydełko swojego nosa. - Zachowam jednak te rewelacje dla siebie, chociaż mogłabym z tym pójść na policję.

Dean momentalnie przestaje się uśmiechać.

- Czego ode mnie chcesz?

Akureyri

Will wjeżdża na teren bezużytecznego o tej porze lotniska. Zatrzymuje się na stacji benzynowej i rozprostowuje nogi, po czym spogląda na mapę, żeby prześledzić nową trasę. Korzysta z toalety, kupuje napoje z kofeiną i coś do jedzenia. Udaje mu się znaleźć automat telefoniczny i znowu dzwoni do żony. Ma zamiar próbować codziennie. Być może tylko to mu pozostało, ale nie zamierza rezygnować.

Wraca do samochodu i czym prędzej ucieka od wilgotnej szarości jednego z najbardziej pochmurnych miejsc na świecie. Już po kilku minutach znowu jest sam na drodze. Pędzi po wąskiej wstędze asfaltu wijącej się dnem doliny. Po obu stronach ciągną się lodowce i pola czarnych skał wulkanicznych porośniętych delikatnym zielonym mchem. Prawie nigdzie nie widać drzew.

Nie zapada też zmrok. Co prawda słońce chowa się za horyzontem, ale nie robi się całkiem ciemno. Przypomina to nigdy niekończący się zmierzch. Will mknie przez tę dziwną noc, po drodze mijając zaledwie kilka samochodów i nie spotykając żadnego radiowozu. W całym kraju pracuje tylko kilkuset gliniarzy, a znakomita większość nie nosi przy sobie broni palnej. Na Islandii dochodzi przeciętnie do jednego zabójstwa rocznie. Dla porównania, w Stanach Zjednoczonych zamordowano w zeszłym roku piętnaście tysięcy osób.

Między innymi takich rzeczy dowiedział się z artykułu Jonathana Mongeleacha: niezwykle niski wskaźnik brutalnej przestępczości i niewielka liczba policjantów. Poza tym na całej wyspie angielski jest w powszechnym użyciu i posługiwanie się tym językiem nie przyciąga niczyjej uwagi. Islandia nie odgrywa też prawie żadnej roli w polityce światowej i w związku z tym szanse, że będą tutaj węszyć agenci obcych wywiadów lub funkcjonariusze międzynarodowych organów porządku publicznego, są bliskie zeru. Właśnie z tych powodów wybrał to miejsce Bobby Fischer i najprawdopodobniej również dlatego postanowił się tu zaszyć Jonathan Mongeleach.

Po trzech godzinach jazdy Will zdaje sobie sprawę, że właśnie zasnął za kierownicą. Spanikowany podskakuje na siedzeniu i nieprzytomnie mruga oczami. Do celu zostały jeszcze dwie godziny drogi. Nigdzie nie widać żadnych śladów cywilizacji, tylko pustą szosę przecinającą rozległe połacie pokrytych porostami skał wulkanicznych, które ciągną się po sam horyzont. Wie, że nie da rady i musi odpocząć.

W końcu aż tak bardzo mu się nie spieszy. Chce rozwiązać zagadkę, ale nie ma przecież noża na gardle. Nikt nie wie, dokąd wyjechał i nie będą go szukać.

Rozgląda się dookoła, lustrując wzrokiem bezlitosny i nieprzystępny krajobraz. Zjeżdża na pobocze. Samochód kołysze się na wybojach. Jak okiem sięgnąć, nie ma tu żadnego miejsca na kryjówkę: zero drzew i wzniesień, za którymi można by się schować. W tej okolicy jest się cały czas na widoku, co może mieć duże znaczenie, jeżeli ktoś depta nam po piętach. Will słyszał kiedyś dowcip: co trzeba zrobić, jeśli zgubisz się w islandzkim lesie? Wystarczy wstać.

Zrzuca buty, rozkłada fotel, kładzie się na boku i zamyka oczy.

Po chwili przypomina sobie, że powinien zamknąć drzwi. Być może na Islandii nikt nikogo nie morduje, ale on jest Amerykaninem, a przedstawiciele tej nacji potrafią się zabijać bez żadnego powodu.

Halifax, Nowa Szkocja

Chloe wkłada baterię i czeka, aż telefon złapie sygnał. Spodziewa się, a nawet ma nadzieję, że dostanie wiadomość, która pomoże jej wybrać cel podróży. Nadal nie wie, dokąd powinna jechać.

Na ekranie pojawiają się kresczki zasięgu. Przychodzi esemes od operatora z wysokością opłat za połączenia, wiadomości tekstowe i transfer danych. Chloe uruchamia program pocztowy i przegląda listę e-maili. Nic ważnego. Nic, co miałoby teraz jakiegokolwiek znaczenie.

I nic nowego na poczcie głosowej. Cholera.

Ma zamiar wyłączyć telefon, ale urządzenie zaczyna wibrować.

Dwie nowe wiadomości. Lepiej późno niż wcale.

Pierwsza od Larissy, która dba o to, żeby nie zwiędły rosnące przed domem róże. Nastolatka przychodzi do ogrodu raz w tygodniu. Podlewa i przycina krzew oraz użyźnia ziemię nawozem domowej roboty - kawowe

fusy wymieszane z octem. Chloe zatrudniła ją wczesną wiosną, kiedy zorientowała się, że roślina jest w opłakanym stanie. W przyszłym tygodniu Larissy nie będzie i zastąpi ją młodsza siostra.

Druga wiadomość została nagrana kilka godzin temu. Ktoś dzwonił z nieznanego numeru poprzedzonego prefiksem +354.

Co to za kraj?

Rozdział 39

Keflavík, Islandia

Elle siedzi w samochodzie zaparkowanym przed lotniskiem. Z terminalu wylewają się kolejne fale pasażerów z czerwonymi, zapuchniętymi oczami: z Denver, Seattle, Bostonu, Toronto i wreszcie z Nowego Jorku. Grupki ludzi z walizkami na kółkach - sprawdzają swoje telefony, niosą na rękach dzieci, wchodzą do autobusów, wsiadają do taksówek i rozglądają się dookoła w poszukiwaniu lodowców i gejzerów, wulkanów i gorących źródeł, czyli wszystkiego, czego nie można zobaczyć na parkingu, nawet na Islandii.

Z budynku wylania się Malcolm Somers. Niczym niewyróżniający się biznesman bez bagażu, który przyleciał tylko na jeden dzień: krawat i garnitur, wysoko uniesiony podbródek, wyprostowane plecy i mnóstwo pretensji do całego świata. Gdzie jest mój samochód? Proszę mnie zawieźć na moje spotkanie. Moje to i moje tamto. Wygląda dokładnie na kogoś, kim w gruncie rzeczy jest, czyli na pewnego siebie, zbyt wysoko opłacanego dupka. Szkoda, że to nie jego będzie musiała zabić.

Somers kieruje się do znajdującej się po prawej stronie ulicy wypożyczalni samochodów. Nie jeździ tam żaden autobus ani pociąg. Trzeba iść na piechotę.

Z tłumu wynurza się Roger. Elle miga światłami. Roger podchodzi i wsiada do auta.

- Cześć - mówi. - Wiemy już, pod jakim aliasem podróżuje?

Elle obraca w jego stronę ekran komputera, na którym widać zdjęcie, nazwisko oraz numery paszportu i prawa jazdy.

Otwiera kolejne okno w przeglądarce. Dane z wypożyczalni: marka, model, kolor i numer rejestracyjny. Rozgląda się i błyskawicznie lokalizuje auto Somersa. Dokładnie taki sam wóz jak jej, tylko w innym kolorze. Cały parking jest zastawiony właśnie takimi samochodami.

Odwraca się do Rogera i wskazuje podbródkiem na drugą stronę ulicy.

- Będziemy się musieli wymieniać. Jadę pierwsza, a kiedy znajdziemy się na autostradzie, wyprzedzisz mnie. Masz naładowany telefon?

- Tak.

- Dobrze. - Podaje mu przejściówkę, kabel i kluczyki do drugiego auta. - Plan jest następujący: zachowujemy kilometrowe odstępy. Somers, za nim samochód A, dalej samochód B.

- Strasznie daleko.

- On wie, co robi, i na pewno będzie sprawdzał, czy nie ma ogona. Musimy zachować szczególną ostrożność.

- Broń?

Elle kręci głową.

- Reykjavik to nie Mogadiszu.

Roger wygląda na zaniepokojonego. Chociaż jest wielkim i silnym facetem, walka wręcz nigdy nie była jego mocną stroną. Najbardziej lubi strzelać.

Półwysep Snæfellsnes, Islandia

- Jasne - mówi kucharz. - Wydaje mi się, że wiem, o kim pan mówi.

- Naprawdę? - Przez większą część dnia Will jeździł po okolicy i rozpytywał o starszego Amerykanina. Był już zmęczony i coraz bardziej sfrustrowany. Zaczął podejrzewać, że John Collins z Húsavík celowo go okłamał i naprowadził na fałszywy ślad tylko po to, żeby się go pozbyć. W sumie nic dziwnego. Na jego miejscu Will zrobiłby to samo.

Stoi teraz na parkingu obok przydrożnej restauracji. Kucharz wyszedł na zewnątrz, żeby odebrać dostawę: płócienny worek czerwonych ziemniaków.

- Ten Amerykanin ma na imię Joe, ale wydaje mi się, że nie przyjechał na Islandię w zeszłym roku, tylko dwa lata temu, i nie mieszka tu na stałe. Wrócił kilka miesięcy temu.

- Skąd?

- Z Monachium. W każdym razie tak twierdzi.

- Mógłby mi pan powiedzieć, gdzie jest jego dom?

- Jasne, musi pan jechać dalej wzdłuż tej drogi jakieś czterdzieści minut.

Ma pan mapę?

W ciągu ostatnich kilku lat Will na dobre zrezygnował z papieru na rzecz o wiele praktyczniejszych aplikacji mobilnych wykorzystujących nawigację satelitarną. Wiedza z trudem zdobyta przez jednostkę ustąpiła miejsca niepodważalnej mądrości zbiorowej opartej na mechanizmach biologicznego sprzężenia zwrotnego. Will szczególnie lubi oprogramowanie pozwalające

uniknąć korków. Teraz nie ma jednak przy sobie ani komputera, ani smartfonu, a auto z wypożyczalni nie jest wyposażone w GPS. Na stacji benzynowej kupił więc staroświecką mapę.

Kucharz rozkłada ją na masce samochodu. Karoseria jest zakurzona i uwalana błotem. W końcu Will przemierzył tym autem całą północną Islandię przy typowej dla tej wyspy pogodzie.

- To gdzieś tutaj - mówi, jadąc palcem po mapie. - Dobrze go widać. Pomarańczowy dom nad stromym klifem, oddalony kawałek od głównej drogi.



Dzwoni telefon stacjonarny. Zaledwie kilka osób zna ten numer, tylko lokalni mieszkańcy, prawie sami rodowici Islandczycy z wyjątkiem Stasa z samego końca półwyspu. Okropne miejsce do życia, ale Niemiec specjalnie się tam przeprowadził, jakby chciał coś komuś udowodnić.

- Cześć, Joe. Tu Einar.

- Einar! Jak się masz?

- Dobrze, dziękuję. Słuchaj, Joe, właśnie wypytywał o ciebie jakiś facet.

- O mnie?

- Nie podał twojego imienia, ale pasujesz do opisu. Szuka mieszkającego w tej okolicy Amerykanina mniej więcej w twoim wieku.

- O czym rozmawialiście? - Joe wyciąga szyję, żeby zobaczyć przez kuchenne okienko biegnącą ze wschodu drogę dojazdową łączącą jego posiadłość z resztą świata. Zdawał sobie sprawę, że zagrożenie przyjdzie właśnie z tej strony. Jednak jest na to przygotowany. Tak jak zawsze. - Powiedziałeś mu, gdzie mnie znaleźć?

- Niestety tak. Przepraszam. Wiem, że to nie było zbyt rozsądne.

- Nie, Einar, nie masz za co przepraszać. Dobrze zrobiłeś. Miałem zamiar pomajstrować przy łódce i zastanawiam się, czy starczy mi czasu. Kiedy wyjechał?

- Przed chwilą.

- Okej, dzięki. Ciekaw jestem kto to. Może wreszcie wyśledził mnie brat, z którym od dawna nie utrzymuję kontaktów, i chce mnie przeprosić za to, jakim jest draniem?

Joe nie ma rodzeństwa, z którym by się pokłócił.

Einar wybucha śmiechem.

- Nie, nie wydaje mi się. Facet jest w moim wieku. Może to twój bratanek?

- Przyjechał największym mercedesem, jaki w życiu widziałeś?

- Nie, białym chevroletem.

- W takim razie to nie on. Ten kutas zawsze jeździ luksusowymi autami, nawet jeśli tylko je wypożycza. - Joe ma już opis faceta i jego samochodu, chociaż wcale o to nie pytał. - Dobra, Einar, dzięki, że dałeś mi cynk. Zatem widzimy się w niedzielę na pokerze?

- Jasne.

Joe odkłada słuchawkę na widełki i wygląda przez okno. Zdaje sobie sprawę, że po tej rozmowie sprzątnięcie intruza nie ujdzie mu płazem. Trudno będzie przekonująco wytłumaczyć, że został zaskoczony albo uparcie twierdzić, że nic nie wie o zaginionym obcokrajowcu i nie ma nawet pojęcia, o kogo chodzi. Owszem, może być trudno, ale jest szansa, że się uda. Poza tym najprawdopodobniej w ogóle nie będzie musiał niczego wyjaśniać, ponieważ do tego czasu zdąży stąd zniknąć.

Kłęką i otwiera dolną szufladę komody, w której nie ma nic ciekawego, tylko kilka kuchennych ścierek. Zdejmuje szufladę z prowadnic i kładzie ją na podłodze, po czym wsuwa rękę w ciemną otchłań i wyciąga stamtąd jeszcze jedną ścierkę, starannie złożoną i związaną sznurkiem. Rozwija pakunek. W środku znajduje się zielony paszport z godłem Republiki Południowej Afryki, spięty gumką recepturką plik banknotów oraz nóż myśliwski, wielki, ostry i długi.



Will już z daleka widzi pomarańczowy budynek przycupnięty w miejscu, w którym ląd styka się ze złowrogo szarym morzem i takim samym niebem. Kiedy skręca w drogę dojazdową, dom chowa się za nierównym wzniesieniem pokrytym falującymi połaciami mchu. Po drugiej stronie pieni się wodospad spływający ze zbocza ciemnej, ponurej góry.

Odludne miejsce położone z dala od cywilizacji, piękne i spokojne. Nic dziwnego, że ktoś postanowił się tu zaszyć. To zupełne przeciwieństwo wielkomiejskiego zgiełku.

Wąska, kręta i wyboista droga została wydrążona w polu lawy. Will jedzie powoli, starając się uważać na podwozie. Pokonanie krótkiego odcinka trwa dłużej, niż się spodziewał, ale tak jest na całej wyspie z powodu owiec, mgły

i wlokących się na niskim biegu ciężarówek, których nie da się wyprzedzić. Will ma wrażenie, że oprócz niego nikomu się tutaj nie spieszy. Przez kilka miesięcy w roku owce swobodnie przemierzają islandzkie pastwiska i chodzą tam, gdzie mają ochotę. Dopiero jesienią hodowcy dzielą je między sobą. Hej, ta jest twoja. Bee! A ta moja, dzięki.

Will wjeżdża na teren posesji, ale nigdzie nie widać samochodu, co oznacza, że nikogo nie ma w domu. Rozgląda się dookoła, ale nie wysiada z auta i nawet nie przestawia dźwigni biegów w pozycję parkowania. Co ma zrobić?

Zawraca na małym podwórku i zatrzymuje się przodem do drogi, gotowy do dalszej jazdy. Ale dokąd? Przecież przyjechał tu tylko po to, żeby spotkać się z mężczyzną mieszkającym w tym domu. Postanawia wysiąść i rozejrzeć się po okolicy.

Znowu zaczęło padać, całe szczęście niezbyt mocno, a nad ziemią unosi się chłodna mgła, jakby wypuszczona z zamontowanego na niebie wielkiego nawilżacza powietrza. Will przyciska twarz do szyby, ale w środku niewiele widać. Podchodzi do następnego okna. Jego oczom ukazuje się po spartańsku urządzonej salon, życie na pół gwizdka jak w domku letniskowym, z którego właściciel korzysta przez tydzień lub dwa w roku, a przez resztę czasu agent wynajmuje go turystom na siedmiodniowe pobyty, najchętniej od soboty do soboty. Na stole powinien leżeć segregator dla gości z informacjami, gdzie najlepiej zrobić zakupy i jak włączyć kapryśne jacuzzi.

Will kładzie rękę na klamce, zastanawiając się, co mu grozi za wtargnięcie na cudzy teren. Jeśli lokator nie jest osobą, której szuka, nie ma sensu ryzykować. Jednak jeżeli trafił na właściwego człowieka, nieuprawnione wejście do jego domu może skończyć się tragicznie.

- *Halló?* - krzyczy, ale nie spodziewa się odpowiedzi. Cisza.

Obchodzi teren posesji, lecz nie ma tu nic interesującego, tylko mała szopa na rower i narzędzia, stos drewna przykryty plastikową plandeką, stół z...

Co to? Kątem oka zauważa jakiś ruch po prawej stronie, a w niskich krzakach coś szeleści.

- *Halló?*

Widzi jasnowłosą postać w ciemnym ubraniu.

- Hej! Poczekaj! - Will wbiega na ścieżkę znikającą w gęstych zaroślach. Pod jego butami chlupocze błoto. Zaczyna mocniej wiać i coraz bardziej pada. Z daleka okolica wyglądała zachęcająco - mech przypominał miękkie

koc z moheru - ale okazuje się, że pod spodem leżą surowe wulkaniczne skały o ostrych krawędziach, a grunt jest nierówny, co daje się we znaki jego podeszwom, poranionym nogom i obolałemu ciału. Zaledwie trzy dni temu skakał po nowojorskich dachach i zaliczył nieprzyjemne lądowanie. Dokuczają mu zeszywniałe kostki, a pod skórą wciąż zbiera się krew i pojawiają się nowe siniaki. Jego kończyny, ramiona i klatka piersiowa pokryte są plamami w różnych odcieniach czerni i fioletu.

Posuwa się naprzód, ostrożnie stawiając stopy. Obiega występ skalny i nagle orientuje się, że grunt urywa mu się pod nogami. W ostatniej chwili zatrzymuje się na krawędzi urwiska, wyższego, niż się spodziewał.

- Jonathan? - woła, starając się przekrzyczeć wiatr. - Tu Will Rhodes!

Na dole rozciąga się plaża usłana kamieniami różnych rozmiarów. Na drobniejszych otoczkach spoczywają spore głazy. Kilkaset metrów na wschód Will dostrzega drewniane schody, wąską zatoczkę z krótkim pomostem i małą motorówkę. Nie ma tam żadnego domu, więc przystań musi należeć do faceta, którego próbuje dogonić.

- Chcę tylko porozmawiać!

Znowu widzi jakiś ruch i słyszy szelest liści. Obchodzi kolejny występ skalny, większy od poprzedniego i w jeszcze dziwniejszym kształcie, jakby narysowanym przez dziecko lub Dr. Seussa^[67]. Will przechodzi na drugą stronę i staje na samej krawędzi przepaści. Z wrażenia wstrzymuje oddech. Czubkiem buta strąca kamyk, który ląduje na plaży położonej przynajmniej dwadzieścia metrów niżej. Odgłos upadku zagłuszają rozbijające się o brzeg fale.

Will idzie dalej, starając się zachować czujność. Zdaje sobie sprawę, że jeden fałszywy krok może prowadzić do fatalnego w skutkach wypadku.

Nagle słyszy za plecami jakiś hałas, trzask łamanej gałązki i szelest w zaroślach. Odwraca się na pięcie. Ptak? A może niedźwiedź. Czy na Islandii są niedźwiedzie? To pewnie tylko owca. One są w stanie wejść dosłownie wszędzie.

Przed Willem wyrasta kolejna skała wulkaniczna, wokół której prowadzi wąska ścieżka wciśnięta między urwisko a kamienną ścianę.

- Hej! - krzyczy. - Daj mi chociaż minutę!

Żadnej odpowiedzi.

Spogląda przez ramię i zastanawia się, czy nie powinien wrócić na teren posesji, gdzie stoi jego samochód i gdzie mógłby się poczuć stosunkowo bezpiecznie. Nie musiałby uganiać się za jakimś facetem, balansując na

skraju stromizny.

Na dobre się rozpadało i Will czuje, że ma mokre ramiona, a krople deszczu ściekają mu z włosów na policzki.

Jest już prawie po drugiej stronie głazu. Jeszcze jeden krok i wejdzie na ścieżkę prowadzącą w kierunku lądu, z dala od niebezpiecznego klifu.

Uff! Co za ulga.

I właśnie w chwili, gdy Will traci koncentrację, zza skały wysuwa się czyjaś ręka, łapie go za koszulę na plecach, szarpie do tyłu i przerzuca przez krawędź urwiska.

Rozdział 40

Islandia

Malcolm zatrzymuje się na ruchliwej stacji benzynowej i z trudem wysiada z małego samochodu. Strzykają mu stawy i bolą go mięśnie. Szczególnie doskwiera mu prawe kolano, na którym nie jest w stanie porządnie stanąć.

Przez minutę się rozciąga, po czym idzie do minimarketu ze znanym szyldem: niezdrowe jedzenie, tanie piwo, zawinięte w folię kanapki, butelki z olejem silnikowym, zadziwiająco czysta łazienka i rozbudowany dział z pamiątkami. Wolałby, żeby sklep był mniejszy, ale na islandzkiej prowincji nie ma wielkiego wyboru: jeden hotel i jedna stacja benzynowa. Decydujesz się albo nie.

W części spożywczej kupuje kawę, baton i jabłko, a w sekcji przemysłowej scyzoryk z czterema ostrzami.

Po dwóch godzinach jazdy poczuł, że musi skorzystać z toalety. Za kilka lat oddawanie moczu będzie mu sprawiało więcej przyjemności niż orgazm. Rozwiedzie się z Allison i zaprzyjaźni z pisuarem.

Staje przed oknem, popija kawę i przygląda się szerokiej asfaltowej drodze łączącej stację z ruchliwą dwupasmówką. Kilka samochodów odjeżdża, kilka przyjeżdża, ale żaden nie wygląda znajomo.

Wraca do swojego auta, otwiera korek wlewu paliwa i zaczyna tankować. W pewnym momencie dostrzega czarnego forda stojącego po drugiej stronie parkingu, za głównym budynkiem. Taki sam model i rocznik jak wóz Malcolma, możliwe, że z tej samej wypożyczalni. Wcześniej na pewno go tutaj nie było. Musiał przyjechać, kiedy Malcolm korzystał z łazienki.

Z samochodu wysiada kobieta. Siedziała w środku przez dobre kilka minut i na coś czekała. Na co?

Na to, aż Malcolm wyjdzie na parking, żeby ona mogła wejść do sklepu.

Stoi obrócona bokiem i rusza przed siebie, nie patrząc w jego kierunku. Malcolm nie może się jej dobrze przyjrzeć, ale ma wrażenie, że gdzieś już ją widział.

Kobieta znika w budynku. Malcolm zostawia pistolet do nalewania paliwa

w baku, przechodzi przez brukowany plac i staje obok jej samochodu, którego całe szczęście nie widać ze sklepowych okien. Upewnia się, że nikt go nie obserwuje, klęka przy tylnej oponie, wbija scyzoryk głęboko w bieżnik i przekręca ostrze. Tak samo robi z pozostałymi kołami.

Zdaje sobie sprawę, że to nie wszystko. Na pewno jest jeszcze drugie auto. Nie udało mu się całkowicie pozbyć ogona, ale teraz jego prześladowcom będzie dwa razy trudniej go śledzić.

Wraca do swojego forda, zamyka wlew paliwa, siada na fotelu kierowcy i czeka, aż kobieta wyjdzie ze stacji. Chciałby się jej lepiej przyjrzeć.

Mija minuta, potem dwie...

Czyżby kolejka do damskiej toalety?

Trzy minuty... Cztery...

Kobieta nie może się zorientować, że Malcolm wie, co jest grane, i zaczął jej szukać. Nie powinien więc wchodzić do środka, żeby sprawdzić, co się dzieje. Jeśli będzie jednak siedzieć za długo w samochodzie, przyciągnie uwagę tej drugiej osoby, która jest pewnie gdzieś w okolicy i może go teraz obserwować.

Upłynęło siedem minut.

Malcolm wchodzi do sklepu i staje przed chłodziarkami z jedzeniem i napojami. W czystych szybach widzi dokładnie, co się dzieje z tyłu. Udaje, że nie może się zdecydować i przechyla głowę to w jedną, to w drugą stronę.

Wreszcie ją widzi. Wcale nie czeka w kolejce do łazienki, lecz robi to samo co Malcolm - pozoruje robienie zakupów. Dlaczego? Czeka, aż on stąd zniknie, ponieważ dopiero wtedy będzie mogła odjechać. A to oznacza, że jej partner z drugiego samochodu musi być w pobliżu i nie spuszcza z niego oka, cały czas informując ją, co się dzieje.

Kobieta niewątpliwie wygląda znajomo. Gdzie mógł ją wcześniej zobaczyć? Na pewno nie na Islandii, nie w samolocie i nie na lotnisku. Ani w lusterku wstecznym.

Jest coraz bardziej wkurzony, że nie może sobie tego przypomnieć.

Bierze z półki butelkę, szybko się odwraca i w końcu może się przyjrzeć twarzy tej kobiety, a nie tylko jej lustrzanemu odbiciu. Nabiera całkowitej pewności, że już ją widział, a być może nawet ją zna. Czy to możliwe?

Trudno powiedzieć.

Czy z wiekiem traci się pamięć? Czy już zaczął osuwać się w otchłań demencji?

Wyjmuje zwitek banknotów, zielonych i fioletowych, z brodatymi

facetami i kobietami w kapeluszach. To jedna z walut o zadziwiająco niskiej wycenie. Nawet najtańsze rzeczy kosztują przynajmniej sto koron, a na co dzień trzeba nosić przy sobie same grube nominały i dokonywać obliczeń na cztero- lub nawet pięciocyfrowych liczbach. Malcolm dowiedział się ostatnio od swojego ośmioletniego dziecka, że istnieje specjalna, nieznana mu do tej pory metoda mnożenia zwana amerykańskim algorytmem. Wyprowadziło go to z równowagi.

Odwraca się od kasjerki i ponownie przygląda się śledzącej go kobiecie, tym razem od przodu. Nie ma najmniejszych wątpliwości - już ją kiedyś widział.

Ale nie na żywo, tylko na ekranie. Małym ekranie telefonu komórkowego.

To było wiosną na korcie tenisowym. Ma przed sobą Australijkę, która wodziła Willa na pokuszenie.



- Kim jesteś?! - krzyczy mężczyzna zza pleców Willa. - Czego chcesz?

Will zwisa ze skraju przepaści z twarzą skierowaną w stronę kamienistej plaży. Nie ma pojęcia, co powinien odpowiedzieć ani w jaki sposób mógłby szybko przejść do sedna i wyłuszczyć sprawę tak, żeby uratować własną skórę.

Zdaje sobie sprawę, jak to będzie wyglądało - kolejny zbyt pewny siebie i nieprzygotowany Amerykanin w nieodpowiednich butach pośliznął się na błotnistej ścieżce biegnącej wzdłuż stromego klifu i spadł na plażę. To jedyne sensowne wytłumaczenie, a w promieniu wielu kilometrów nie ma nikogo, kto mógłby temu zaprzeczyć. Wyobraża sobie, jak leci w dół, obraca się w powietrzu i uderza głową w skałę, łamiąc sobie kark i kręgosłup. Roztrzaskana czaszka i płuca przebite żebrami. Zginie na wiele różnych sposobów tylko dlatego, że udzielił niewłaściwej odpowiedzi.

- Nazywam się Will Rhodes! - wrzeszczy, przekrzykując wiatr. - Jestem dziennikarzem piszącym o turystyce. Szukam faceta, który był kiedyś redaktorem naczelnym mojego magazynu, Jonathana Mongeleacha.

- To nie ja.

- Okej!

Czuje, że traci oparcie pod prawą stopą. Wolałby nie zginąć przez przypadek. To byłoby straszne. Próbuje skorygować pozycję, przesuając ciężar ciała na piętę, ale jeszcze bardziej przechyla się do przodu, a uścisk

mężczyzny trzymającego go za kark jakby słabnie i robi się niepewny.

Will zaczyna drzeć się w niebogłosy...

Ale nie spada. Wciąż zwisa nad urwiskiem.

- Po co tutaj przyjechałeś? - Mężczyzna sprawia wrażenie spokojniejszego i już nie krzyczy.

- Dostałem namiary od Amerykanina z Húsavík. Powiedział, że możesz być człowiekiem, którego szukam.

Cisza.

- Słuchaj, mógłbyś mi pomóc wdrapać się na górę? Tutaj jest naprawdę przerażająco.

Mężczyzna milczy i nie wykonuje żadnego ruchu. Nagle coś się zmienia, następuje jakieś przesunięcie i przez ułamek sekundy Will ma wrażenie, że leci w dół. Jednak dzieje się coś zupełnie innego - zostaje wciągnięty na rozmokłą ścieżkę i z ulgą pada na ziemię. Ma ochotę z wdzięczności uściskać tłuste, grzaskie błoto przypominające fusy na dnie zaparzacza do kawy.

Podnosi wzrok i patrzy na starszego mężczyznę z pomarszczoną twarzą, gęstą brodą i umięśnionymi ramionami. Spod obcisłej wełnianej czapeczki wystaje grzywa siwych, niemal białych włosów. Jest bardzo podobny do rybaka z mrożonek firmy Gorton's, ale w ogóle nie przypomina Jonathana Mongeleacha.

- Chcę, żebyś dobrze mnie zrozumiał - mówi nieznajomy. - Nadal mogę cię zabić i to na kilka różnych sposobów. Wstawaj, tylko powoli.

Will z trudem podnosi się z ziemi.

- Nawet nie próbuj żadnych sztuczek.

Już za późno na takie ostrzeżenia.



Malcolm podłączył swoją komórkę do zamontowanego w aucie bluetootha i przez małe głośniki dochodzi teraz lekko zniekształcony głos Gabrielli.

- Jeszcze niecałe pięćdziesiąt kilometrów. Droga dojazdowa będzie po twojej lewej stronie, wąska, chyba gruntowa, długa na jakieś czterysta metrów. Dom stoi siedemdziesiąt metrów od urwiska, ale pomiędzy coś jeszcze jest. Trudno to nazwać, patrząc na zdjęcia satelitarne. Jakieś niewielkie wzgórze? Zielone, ale w innym odcieniu niż drzewa i krzewy.

- Pewnie mech porastający skały wulkaniczne. Cała wyspa to jedno wielkie pole lawy.

- Okej. Między tymi wzniesieniami wije się ścieżka. Biegnie przez kilkaset metrów od domu wzdłuż krawędzi klifu do zatoczki z pomostem i małą motorówką.

- Mamy jakieś sprawdzone informacje o tym, kto tam mieszka?

- Niestety, nie. Posesja należy do miejscowego rolnika. Jego rodzina kupiła ten teren osiemdziesiąt lat temu. Rachunek za prąd wystawiany jest zbiorczo na kilka sąsiadujących ze sobą gospodarstw. Nie ma telefonu, kablówki ani internetu.

- Jezu - szepcze Malcolm. - Jak w klasztorze. Nieźle.

- Musi być wesoło.

- Czy mamy pewność, że jest tam jakiś lokator?

- Trudno powiedzieć, Mal. Wiemy tylko, że ktoś zużywa prąd, a na podwórku stoi samochód, który nie należy do Willa. Pytasz, czy dom na odludziu we wschodniej części Islandii jest objęty całodobowym monitoringiem, do którego miałabym dostęp?

Malcolm patrzy na przesuwany się za szybą krajobraz: potężne góry, spowita mgłą zatoka, pasące się na polach owce. Ciągłe odnosi wrażenie, że nic tutaj nie ma, że to zupełnie pustkowienie. Jednak wcale tak nie jest. Brakuje tylko ludzi. W tym kraju właśnie to najbardziej rzuca się w oczy.

Idealna kryjówka. Nic dziwnego, że Jonathan Mongeleach wybrał właśnie Islandię. Zaskakujące jest raczej to, że na jego trop trafił Will Rhodes. Naprawdę szkoda, że Malcolm będzie musiał zabić swojego kumpla.

- Dobra, Gabs. Kiedy satelita będzie poza zasięgiem?

- Straciliśmy kontakt dwie minuty temu. Przez następną godzinę jesteś ślepy jak nietoperz. Myślisz, że to naprawdę Jonathan?

- Tak.

- No cóż, w takim razie życzę powodzenia. Aha, jeszcze jedno.

- Uhm?

- Uważaj na siebie.



Wnętrze domu jest schludne i przytulne. Nie ma tu zbyt wielu przedmiotów i nie wszystkie są szczególnie ładne, ale w pokojach panuje czystość i porządek: poukładane z pedantyczną starannością koce, równe stosy talerzy i komplet kubków zwisających pod identycznym kątem z takich samych haczyków.

Mężczyzna wręcza jeden z kubków Willowi.

- Dlaczego szukasz tego człowieka?

- To długa historia.

Nieznajomy nie wygląda na zaskoczonego.

- Opowiedz mi o wszystkim.

Will pije łyk gorącej gorzkiej kawy.

- Kim jesteś?

- To nie ma żadnego znaczenia. Teraz rozmawiamy o tobie i powodach, dla których się tu zjawiłeś.

Will czuje się wyczerpany. Ma już dość nieustannej bieganiny, kłamstw, tego, że nikomu nie może zaufać i ciągle musi dochowywać tajemnicy. Pieprzyć to, myśli. Czas o tym komuś opowiedzieć.

Zaczyna więc od samego początku, od tego, jak Elle zarzuciła przynętę w Bordeaux, złapała go na haczyk w Mendozie, wypatroszyła i oskrobała z łusek w Nowym Jorku i Wirginii, a potem przyrządziła z niego filetowaną potrawę zgodnie z jej przepisem, łatwą do przełknięcia i strawienia, bez zbędnych dodatków w postaci jego małżeństwa, sumienia i spokojnego snu.

Mężczyzna od czasu do czasu przerywa, zadając bardzo konkretne, wręcz osobiste pytania.

- To był pełny stosunek seksualny?

- Czy któraś z osób w pokoju hotelowym miała broń?

- Mniej więcej ile kilometrów na północ od Chesapeake Bay Bridge-Tunnel znajdował się obóz treningowy?

- Czy jeszcze kiedyś uprawiałeś z nią seks?

- Próbowaleś się skontaktować z prawdziwą Elle Hardwick w Australii?

- Od jak dawna twoja żona pracuje w „Travelers”?

- Ile razy ćwiczyłeś pokonywanie tras kontrobservacyjnych?

- Jak wyglądały rachunki za twoje miesięczne wynagrodzenie?

Pyta również o magazyn i planowane przejęcie: kiedy po raz pierwszy dotarły do Willa plotki na ten temat, kim jest potencjalny nabywca i kiedy ma do tego dojść.

Potem mężczyzna milczy, a Will opowiada o ucieczce z East Village przez Paryż do Akureyri i długiej jeździe samochodem przez niezamieszkaną pustkowiem w szarym świetle niekończącego się zmierzchu.

Czuje, jakby zrzucił z siebie ogromny ciężar. Przez wiele miesięcy dźwigał wypchany kłamstwami plecak i właśnie udało mu się go zdjąć. Zawartość wysypała się na podłogę, a nieznajomy mężczyzna zaczął ją

skrupulatnie analizować.

Siwy Amerykanin siedzi teraz na drewnianym krześle z prostym oparciem, pochyla się do przodu i wpatruje w ogień migoczący za szklanymi drzwiczkami żeliwnego piecyka. Zamyka oczy i Willowi wydaje się, że zasnął. Po chwili się jednak odzywa:

- To skomplikowana sytuacja.

Will wybucha śmiechem.

- Nie sądzę, żeby ludzie, których spotkałeś w Argentynie, pracowali dla CIA.

- Skąd ta pewność?

- Po pierwsze, w Agencji nie zatrudnia się kobiet, które w ramach swoich obowiązków służbowych miałyby sypiać z mężczyznami - mówi, kręcąc głową. - Flirtowanie, robienie słodkich oczu, wdzięczenie się, czemu nie? Być może nawet pocałunek lub dwa, jeśli tym sposobem uzyskałoby się gwarancję otwarcia drzwi, których inaczej nie da się sforsować. Podejrzewam, że niektóre agentki mogą działać w ten sposób, a ich przełożeni nie mają nic przeciwko.

- A tajne operacje?

- Tajne operacje? Nie obraż się, ale nie masz bladego pojęcia, o czym mówisz.

Will nie może temu zaprzeczyć.

- Wiesz, jak się nazywa seks za pieniądze?

Cisza.

- CIA angażuje się w wiele podejrzanych działań, niektóre są bez wątplenia niemoralne, a inne niezgodne z prawem. Szczególnie jeśli chodzi o tak zwane tajne operacje. Jednak Centralna Agencja Wywiadowcza to nie burdel, a jej pracownice nie są prostytutkami.

Will kiwa głową.

- Żaden zespół w Langley nie bawiłby się w organizowanie akcji, opierając się tylko i wyłącznie na, po pierwsze, zapłaceniu agentce za uprawianie seksu z potencjalnym szpiegiem, po drugie, sfilmowaniu z ukrycia ich łóżkowych wyczynów, i po trzecie, na szantażowaniu tym nagraniem, żeby zmusić kogoś do współpracy.

Rzeczywiście, to rozumowanie sformułowane na głos przez postronnego obserwatora brzmi naprawdę idiotycznie.

- Za jednym zamachem złamanych zostaje pół tuzina przepisów stanowych i federalnych, a na dodatek cała operacja dotyczy amerykańskiego

obywatela i odbywa się na terytorium Stanów Zjednoczonych, co samo w sobie jest niezgodne z prawem i może nie na żarty rozzłościć FBI.

- No cóż, gwoli prawdy, wszystkie te przestępstwa popełniono w Argentynie. To chyba ma jakieś znaczenie?

- Poza tym bądźmy szczerzy, kogo próbują zwerbować? Ciebie? Nie obraż się, ale nie jesteś premierem Chin ani szefem rosyjskich służb wywiadowczych.

Will tylko wzrusza ramionami.

Mężczyzna wstaje i przechodzi przez niewielki pokój, mijając starannie złożone koce, stosy książek i wiszącą na ścianie kuszę.

- Niewątpliwie ktoś uważa, że masz dostęp do wyjątkowo cennych informacji, dla których zdobycia warto się poświęcić i ponieść niemałe koszty. Ale na pewno nie jest to CIA.

Otwiera drzwiczki żeliwnego piecyka, bierze do ręki pogrzebacz i rozgarnia drewno. Słychać skwierczenie, lecą iskry, a przez pokój przesuwają się fala ciepła wprawiająca w drganie zimne powietrze. Za piecykiem stoją oparte o ścianę narty biegówki i para śniegowców. Obok wisi kusza i kołczan na bełty.

- Domyślasz się, o jakie informacje może im chodzić?

Owszem, Will nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Elle - kimkolwiek jest i dla kogokolwiek pracuje - chce za wszelką cenę zdobyć rejestr pracowników „Travelers”. Jednak nie interesują jej ludzie zatrudnieni w nowojorskiej centrali i w zagranicznych filiach. W końcu bardzo łatwo ich namierzyć bez konieczności organizowania skomplikowanej operacji.

Elle potrzebuje danych dotyczących miejsca pobytu freelancerów oraz ich personaliów. Dlaczego? Istnieje jedno wyjaśnienie: ponieważ to szpiegdy. Nie ma innej możliwości.

Will nie wie tylko, dla kogo szpiegują. Dla CIA? A może dla tej drugiej strony? Tylko kim, do cholery, jest ta druga strona?

Raptem obaj podskakują jak oparzeni. W kuchni wyje alarm przeciwpożarowy.

- Co się stało? - pyta Will.

- Ktoś się zbliża. - Mężczyzna podbiega do okna i wygląda na zewnątrz. - A mówiłeś, że nikt cię nie śledził.

- Przyjechałem prosto z Húsavík, a po drodze spałem w zaparkowanym na poboczu samochodzie. Na pewno zauważyłbym ogon.

- Wypożyczyłeś auto w Akureyri? - Mężczyzna nagle ożył. Szybciej mówi

i szybciej się porusza. - Na jakie nazwisko?

- Na fałszywe. Mam kanadyjski paszport i prawo jazdy.

- Skąd wzięłeś te dokumenty? - Wkłada sztormiak i klepie się po kieszeniach.

- Załatwił mi je pewien koleś z Brooklynu.

- Dobrze go znasz?

- Nie, wcale.

- No cóż, najwyraźniej cię wydymał. - Zdejmuje z haczyka suszącą się kurtkę i rzuca ją Willowi, po czym podchodzi do otwartej szafy i wyjmuje z niej plecak. - Kiedy się tu zjawią, zbiegnę na plażę. Ruszą za mną w pogoń, ale zdążę wsiąść do łodzi. Nie będą w stanie mnie wyśledzić, a moja noga nigdy więcej tu nie postanie. Widzimy się po raz pierwszy i ostatni. Rozumiesz?

Will przytakuje.

- Wyjdiesz z tego domu i nigdy tu nie wrócisz. To naprawdę ważne. Za nic w świecie nie wolno ci się tu znowu pojawić. - Patrzy Willowi prosto w oczy, czekając na potwierdzenie. Will kiwa głową. - Weź mój samochód. - Podaje Willowi kluczyki. - Za szopą zaczyna się gruntowa droga dojazdowa. Auto stoi za zakrętem. Schowaj się w nim i siedź tak długo, aż zobaczysz, kim są intruzi, którzy będą mnie gonić. Potem odlicz do pięćdziesięciu i odjedź, jak szybko się da.

Will zakłada kurtkę i razem podchodzą do tylnych drzwi.

- Kiedy dotrzesz do głównej drogi, skręć w lewo i objeżdż półwysep od północnej strony. Pod żadnym pozorem nigdzie się nie zatrzymuj. Musisz się schronić w jakiejś miejscowości turystycznej. Wiesz, gdzie jest Geysir?

- Nie do końca. - Wychodzą przed dom. Wieje wiatr i ciągle pada.

- A Þingvellir?

- Z grubsza.

- Co z ciebie za podróżnik?

Will tylko się uśmiecha i zapina suwak swojej supernowoczesnej kurtki przeciwdeszczowej kupionej przy pomoście w Húsavík, tuż przed wejściem na pokład łodzi, z której miał obserwować wieloryby.

- Þingvellir łatwo znaleźć. W schowku jest mapa. Zostaw auto na parkingu z autokarami turystycznymi. Wmieszaj się w tłum wsiadających i wytłumacz kierowcy, że się zgubiłeś, a twoja grupa cię zostawiła. Daj mu pięćset koron i poproś, żeby zabrał cię do Reykjavíku. Na pewno się zgodzi.

Idą przez podwórko, którego nie widać z drogi dojazdowej, ale

niewykluczone, że ktoś obserwuje ich z innego miejsca.

- Wszystko jasne? Nie wracaj samochodem do stolicy. Przed Reykjavikiem jest kilka miejsc, w których niemal zawsze tworzą się korki. Łatwo je obserwować, również za pomocą elektronicznego monitoringu. Od razu cię znajdą. Wsiądź do autokaru i zajmij miejsce z dala od okien.

Przed szopą ścieżka się rozwidła. Szersza prowadzi do ukrytego samochodu, a węższa w stronę klifu, oceanu i przystani z łodzią. Mężczyzna klepie Willa po ramieniu i rusza przed siebie.

- Hej ! - krzyczy Will.

Nieznajomy się odwraca.

- Jesteś pewien, że w Argentynie nie zwerbowało mnie CIA?

- Tak, całkowicie.

Krople rzęsistego deszczu spadają Willowi na gołą głowę i moczą mu włosy. Przeciera twarz, żeby lepiej przyjrzeć się tajemniczemu mężczyźnie. W końcu widzi go po raz ostatni.

- Skąd to wiesz?

- Ponieważ wtedy już od jakiegoś czasu pracowałeś dla CIA, tylko o tym nie wiedziałeś.

Rozdział 41

Półwysep Snæfellsnes

Samochód toczy się wzdłuż drogi dojazdowej. Malcolm gasi przednie światła i stara się jednocześnie obserwować poślubioną koleinami nawierzchnię i szukać w oddali jakichś znaków życia lub zbliżającego się niebezpieczeństwa.

Za zakrętem zjeżdża na wąziutkie pobocze, zatrzymuje auto i wysiada. Dalej ma zamiar iść na piechotę, trzymając się z dala od dojazdówki. Maszeruje wzdłuż brzegu i głównej szosy, ostrożnie stawiając stopy na nierównym gruncie porośniętym śliskim i gąbczastym mchem. Pod skórzanymi podeszwami wykonanych na zamówienie eleganckich butów czuje krawędzie ostrych skał. Nie da się ukryć, że jego strój nie pasuje do tych okoliczności.

Schodzi ze zbocza i staje na dnie płytkiego zagłębienia melioracyjnego przecinającego pole lawy. Dnem biegnie niewidoczna z drogi dojazdowej wąska ścieżka. Malcolm rusza szybkim krokiem w stronę domu, starając się omijać kałuże. Dostrzega światło w oknach, zaparkowany na podwórku samochód Willa i wijący się z komina dym. Na zewnątrz panuje jednak spokój, a w środku nie widać żadnego ruchu.

Nagle słyszy coś za plecami. Na szosie pojawia się jeszcze jedno auto. Zwalnia i zatrzymuje się przy wjeździe na dojazdówkę, w miejscu, którego nie można dostrzec ani z domu, ani zza zakrętu, gdzie zaparkował Malcolm. Z zagłębienia w polu lawy widać jednak wszystko jak na dłoni.

Otwierają się drzwiczki i od strony pasażera wysiada kobieta, a od strony kierowcy mężczyzna. Najprawdopodobniej dopiero po przejechaniu kilku kilometrów zauważyła, że jej ford dziwnie się przechyla i znosi go w kierunku pobocza, a potem usłyszała dziwny stukot przedziurawionych opon. Ciekawe, czy od razu się zorientowała, co się stało. Musiała poczekać na swojego kumpla i dalszą część drogi pokonali już razem. Teraz robią to samo co Malcolm - chcą podejść do domu tak, żeby nikt ich nie zobaczył. Malcolm wybrał bardziej okrężną i lepiej zamaskowaną trasę. Schyla się jeszcze niżej, kładzie na mokrym mchu i czuje wbijające się w brzuch kamienie.

Jeśli rola tej kobiety ograniczałaby się do próby uwiedzenia Willa we Francji, to z pewnością by jej tutaj nie było. To absolutnie wykluczone. Chodzi o coś więcej niż zwykłą zdradę. Malcolm jest niemal pewien, że Will został wplątany w jakąś poważną aferę i dostał propozycję nie do odrzucenia.

Kiedy zaczął się dziwnie zachowywać? Wczesną wiosną? Cztery, może pięć miesięcy temu.

Pytanie tylko, jakie zadania przez ten czas dla niej wykonywał. Możliwe, że zwerbowała go na wiosnę, ale dopiero kilka dni temu zmusiła do kradzieży danych z serwera „Travelers”. Dlaczego właśnie teraz?

Przecież mniej więcej w tym samym czasie ta sama kobieta - bo przecież to musiała być ona - zapłaciła marnemu aktorzyńce za uwiedzenie żony Malcolma i włamanie się do jego domowego komputera.

Czyli to właśnie ona depcze mu po piętach i atakuje „Travelers”. Kim jest?

Malcolm obserwuje, jak sprawnie porusza się po nierównym terenie. W gruncie rzeczy gównu go obchodzi, z kim ma do czynienia. O wiele ważniejsze jest to, dla kogo ta baba pracuje.

Być może dla Centralnej Agencji Wywiadowczej, a konkretnie dla jakiejś zakamuflowanej komórki realizującej supertajny plan, którego istotną część stanowi gruntowne prześwietlenie działalności „Travelers”. Niewykluczone, że na magazyn padły podejrzenia o kontakty z wrogimi służbami albo niejasne powiązania z prywatnymi firmami zajmującymi się szpiegostwem. Ktoś w Langley chce się dowiedzieć, co knuje szefostwo czasopisma i właśnie dlatego ukradziono dane z serwera, śledzi się obecnych pracowników i szuka byłych redaktorów naczelnych.

Możliwe również, że Australijka pracuje dla obcego wywiadu. Malcolm wcale by się nie zdziwił, gdyby chodziło o Rosjan, Chińczyków, Koreańczyków z KRLD lub też praktycznie kogokolwiek z Bliskiego Wschodu. Operacja sprawia wrażenie dość skomplikowanej, ale koszty nie są zaporowe, a ryzyko zdemaskowania stosunkowo niewielkie.

Najbardziej prawdopodobne wydaje się jednak, że ta kobieta i jej zespół to freelancerzy, zapewne ekswojskowi lub nawet byli agenci CIA - niewinni najemnicy, jeśli w ogóle można użyć takiego określenia, którzy nie mają pojęcia, dla kogo w rzeczywistości pracują.

Tak to właśnie wygląda. Naprawiająca świat organizacja pozarządowa jest finansowana przelewami ze szwajcarskiego konta, na którym znajdują się pieniądze zrabowane przez nazistów, a pozornie Bogu ducha winne

laboratorium badawcze dostaje kasę od korporacji farmaceutycznej świadomie przymykającej oko na groźne efekty uboczne produkowanych przez siebie leków.

Niewykluczone więc, że za przejęciem grupy prasowej wydającej „Travelers” stoi jakiś socjopata ze skłonnością do megalomanii, który nie chce kupować kota w worku. I właśnie on wynajął najemników po to, by szczegółowo prześwietili działalność Malcolma.

A co, jeśli socjopata już wie, czym tak naprawdę zajmuje się magazyn i właśnie dlatego chce go kupić? To byłoby dobre wyjaśnienie.

Tak, ten człowiek jest zainteresowany American Periodical Group z jednej prostej przyczyny, która nie ma nic wspólnego z branżą wydawniczą. Ten socjopata ma chrapkę na przejęcie siatki wywiadowczej działającej pod przykrywką czasopisma podróźniczego. Korzystając z dźwigni finansowej, chce wydać dwa miliardy korporacyjnych dolarów, żeby uzyskać kontrolę nad znajdującą się w prywatnych rękach międzynarodową agencją szpiegowską.

Teraz wszystko trzyma się kupy.



Z perspektywy czasu Malcolm nie jest w stanie uwierzyć, jak bardzo był naiwny i nieświadomy tego, jak działa świat.

To było cztery miesiące po operacji kolana. Lekarze mieli nadzieję, że zabieg w ogóle nie będzie konieczny. Malcolm nawet nie podejrzewał, że już nigdy nie zagra w swojej drużynie - nie założy ochraniaczy na barki, nie wsunie w spodnie wkładki na uda i nie zapnie kratki osłaniającej twarz. Miał dużo nauki, przechodził rehabilitację, a sezon już się skończył. Bardzo się starał być pilnym studentem elitarnego uniwersytetu.

Kiedy miesiąc przed końcem roku akademickiego spotkał się ze swoim opiekunem naukowym, nie przeszło mu przez myśl, że może potrzebować pomocy finansowej. Przez pięć minut miło sobie gawędzili - miał dobre stopnie, świetnie sobie radził ze stresem, wszystko dobrze się układało, z wyjątkiem kontuzji nogi i dwóch esejów, które miał oddać jeszcze tego samego dnia.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę! - powiedział profesor.

W progu stanął nieznajomy mężczyzna w biznesowym garniturze. Nikt w

kampusie nie nosił takiego stroju - tutaj królował tweed i stare, wymięte marynarki, które zawsze wyglądały tak, jakby trzeba je było zanieść do pralni. Niespodziewany gość miał na sobie luźny jednorzędowy uniform, typowy dla biurokratów, polityków, prawników i różnej maści lobbystów. Granatowe spodnie i marynarka, biała koszula, czerwony krawat, wyglansowane czarne buty pasujące do czarnego paska, a do tego wpięty w klapę znaczek z amerykańską flagą, podkreślający patriotyzm właściciela albo będący ukłonem w stronę przełożonych, którzy uważają, że prawdziwy patriota powinien nosić takie gadżety.

- To jest mój stary znajomy Gerald Hastings. Pracuje dla rządu. - Profesor wstał z krzesła. - Miło cię znowu widzieć, Gerry.

Uścisnęli sobie dłonie, po czym opiekun Malcolma oznajmił:

- Muszę skorzystać z łazienki. Wracam za kilka minut.

I zniknął.

Kiedy profesor wyszedł, Malcolm poczuł się nieswojo. Po chwili zrobiło się jeszcze dziwniej. Hastings usiadł za wielkim biurkiem i oświadczył:

- Na drugim roku został pan rozgrywającym uczelnianej reprezentacji. Jestem pod wrażeniem, panie Somers. Słyszałem jednak, że miał pan pecha na boisku.

- Mimo wszystko to był dla mnie udany sezon.

- Ale operacja nie do końca się udała, prawda?

- Nie, wszystko w porządku. Powoli wracam do zdrowia.

Malcolm przyzwyczyił się do wygłaszania komunałów. Nie mówił prawdy, ponieważ tak było łatwiej, a poza tym ludzie woleli dobre wiadomości. Powtarzał tego rodzaju kłamstwa tak często, że czasami sam w nie wierzył.

- Dostaje pan przyznawany raz do roku grant?

Na uniwersytetach zrzeszonych w Ivy League nie istniały stypendia sportowe, ale w szczególnych wypadkach uczelnie były skłonne oferować kandydatom specjalne pakiety finansowe dorównujące ofercie szkół wyższych bardziej nastawionych na sport. W przeciwnym razie Malcolma nie byłoby stać na studiowanie na Harvardzie. Jego rodzice musieli wziąć odwrócony kredyt hipoteczny, żeby pokryć koszty leczenia jednego z członków rodziny, co kompletnie zrujnowało ich finanse. Oboje mieli stałe etaty na sąsiadujących uniwersytetach. Poznali się na zajęciach na wydziale filologii angielskiej i zostali parą już na studiach. Na zaproszeniach ślubnych zamiast daty napisali Bloomsday i goście mieli pecha, jeśli nie wiedzieli,

który to dzień. Żywili nadzieję, że ich syn zostanie pisarzem intelektualistą, będzie dostawał stypendia, jeździł po świecie zapraszany na gościnne wykłady i odbierał prestiżowe nagrody przyznawane przez niszowe czasopisma. Trochę się przeliczyli.

- A czy pańscy rodzice dysponują... hm... wystarczającymi środkami finansowymi, żeby pokryć koszty dalszych studiów? - Dziwnie było o tym rozmawiać z kimś zupełnie obcym. - Czesne? Akademik? Podręczniki? Wyżywienie? To wszystko sporo kosztuje. Zdaje pan sobie z tego sprawę, prawda?

Mężczyzna postawił w gruncie rzeczy dwa różne pytania i Malcolm nie był pewien, na które odpowiada.

- Nie, proszę pana.

Nie miało to jednak wielkiego znaczenia, ponieważ odpowiedź na oba brzmiała dokładnie tak samo.

- Nie - powtórzył nieznajomy, zgadzając się z Malcolmem. - Przykro mi, że prześladuje pana zły los. Naprawdę panu współczuję. Jednak czasami, gdy zamykają się jedne drzwi, otwierają się inne.

- Tak, proszę pana.

- Proponuję, żeby zajął się pan kulturą, historią i językami Bliskiego Wschodu.

- To ciekawe. Na razie chodzę na kurs przygotowujący do studiów prawniczych.

- Jest coś takiego?

- Tylko nieoficjalnie.

- Nie uważa pan, że mamy już wystarczająco wielu prawników?

Malcolm nie do końca rozumiał, co ten facet miał na myśli - w Ameryce wszystkiego było za dużo, w końcu to Ameryka - ale nie dopytywał. Na ogół dorośli go nie onieśmielali, lecz ten szary biurokrata miał w sobie coś przerażającego.

- Stoi przed panem wiele możliwości. Jest pan przystojnym i elokwentnym młodym człowiekiem, nie tylko sportowcem i liderem, lecz także osobą obdarzoną talentem naukowym.

- O jakich możliwościach pan mówi? Czym miałbym się zajmować na Bliskim Wschodzie?

- Może dziennikarstwem? Nie zdziwiłbym się, gdyby w ciągu najbliższych kilku lat pojawiły się z naszej strony... hm... ciekawe oferty. Z pewnością poradziłby pan sobie.

Jako rozgrywający reprezentacji Harvardu Malcolm był przekonany, że jest w stanie sprostać niemal każdemu wyzwaniu i nikt nie musiał mu o tym przypominać.

O wiele ciekawsze były kolejne słowa Hastingsa:

- Proponujemy stypendium. - Z kieszeni marynarki wyjął złożoną na trzy części kartkę papieru i położył ją przed Malcolmem. - Bardzo przyzwoite, pokrywające wszystkie koszty. To oferta skierowana do studentów określonych fakultetów. Listę znajdzie pan na samej górze dokumentu.

Pukanie do drzwi.

- Jeszcze minutę - krzyknął Hastings do profesora próbującego dostać się do swojego gabinetu. Wtedy Malcolm zdał sobie sprawę, co jest grane. Jego opiekun naukowy doskonale orientował się w sytuacji, ponieważ takie spotkania odbywały się tutaj regularnie.

- Papiery trzeba złożyć do końca roku akademickiego, a wyniki ogłaszamy w połowie lata. - Hastings zaczął stukać palcem w leżącą na stole kartkę papieru. - Proszę się zastanowić, panie Somers. To dobre miejsce pracy.

Malcolm podejrzewał, o co chodzi, ale uznał, że w tej sytuacji trzeba mieć absolutną pewność.

- O jakim miejscu pan mówi?

Hastings wstał zza biurka i wyciągnął rękę na pożegnanie. Przez sekundę Malcolm myślał, że jego pytanie pozostanie bez odpowiedzi, ale się mylił.

- O Centralnej Agencji Wywiadowczej. Mam na myśli karierę w CIA.



Will wbiega na gruntową drogę i zatrzymuje się przed samochodem Amerykanina. Otwiera drzwi od strony kierowcy i wsiada do środka, gdzie jest sucho i nikt go nie widzi. Auto ma brudną i powgniataną karoserię, ale wewnątrz jest czyste i przytulne. Zupełnie tak samo było z pomarańczowym domkiem na skraju klifu.

Wygląda przez przednią szybę i dostrzega miejsce, w którym kończy się łąd i zaczyna przepaść. Nagle pojawia się tam rozmazana postać: siwy mężczyzna w niebieskim sztormiaku.

Will jeszcze bardziej zsuwa się z fotela, żeby nikt go nie zobaczył. Mimo to nadal ma wrażenie, że jest na widoku. Czuje się jak w pułapce i boi się, że przyjdzie mu tu zginąć.

Wysiada z samochodu i zdaje sobie sprawę, że czerwona kurtka to nie był

najlepszy wybór. Zdejmuje ją i wywraca na drugą stronę - szara podszewka na pewno nie będzie rzucać się w oczy - po czym rusza szybkim krokiem przez pole lawy w kierunku ścieżki biegnącej wzdłuż krawędzi urwiska. W połowie drogi przystaje i pada na kolana, żeby się schować. Byłoby znacznie łatwiej, gdyby na tej wyspie rosły jakieś drzewa.

Na szczycie klifu pojawia się inny mężczyzna. Przez moment Will nie jest pewien, czy go dobrze rozpoznał, ponieważ ostatni raz widział tego gościa w pozbawionej okien sali konferencyjnej na Manhattanie. Skąd ten typ wziął się na Islandii? To Roger, pomagier Elle, a to oznacza, że i ona musi być gdzieś w pobliżu.

Teraz to oczywiste. Któż inny by go ścigał?

Elle musi być wściekła z powodu wykasowanych plików. Przyjechała, żeby się zemścić? Jeśli tak, to Will nie ma co liczyć na łagodny wymiar kary.

Skrada się po nierównym gruncie w stronę domu, uważając, żeby nie poranić się o zdradliwe skały wulkaniczne. Nigdzie nie widać żadnego ruchu. Gdzie ona może być?

Na pewno przyjechali samochodem - nie ma przecież innej możliwości - jednak gdzie go zaparkowali? Rozciągnięty nad ziemią drut uruchamiający alarm musiał zostać zamontowany zaraz za zjazdem z głównej szosy, a to oznacza, że zostawili auto gdzieś na dojazdówce. To wąska, w zasadzie prowizoryczna droga, na której ledwie mieści się jeden pojazd, a i tak trzeba uważać, żeby nie przebić opony o leżące po obu stronach ostre kamienie albo nie wpaść do rowu. Jeśli właśnie tam się zatrzymali, Will nie będzie w stanie wyjechać. Wpadł w pułapkę.

Co może zrobić? Pozostaje ucieczka na piechotę. Już wcześniej udawało mu się wybrnąć w ten sposób z tarapatów. Znajdzie ich samochód i spróbuje go unieruchomić. Tylko jak? Słabo zna się na motoryzacji. Odłączy świece zapłonowe albo przetnie przewód paliwowy, a potem rzuci się na złamanie karku w stronę głównej szosy, licząc, że ktoś zlituje się nad zdesperowanym autostopowiczem. Chyba że wcześniej Elle naprawi auto, wyruszy w pogoń i go zabije.

Nie, to nie jest najlepszy plan.

O wilku mowa. Elle właśnie wyłania się zza domu. Will daje nura w krzaki i zdaje sobie sprawę, że jest już na ścieżce prowadzącej do urwiska.

Idzie szybkim krokiem, starając się sobie przypomnieć, gdzie znajduje się duża formacja skalna, za którą mógłby się wczolgać, znaleźć kryjówkę i poczekać, aż... No właśnie, aż co? Przecież oni stąd nie odjadą. Dlaczego

mieliby to robić?

Nie powinien się łądzić. Zniknęliby tylko w sytuacji, gdyby mieli pewność, że jest na łodzi, która właśnie w tym momencie wypływa z zatoczki. Niestety, widać jak na dłoni, że na pokładzie przebywa tylko jedna osoba i nie jest to Will.

Cholera.

Przyspiesza i zaczyna biec w stronę pierwszego występu skalnego, widocznego jakieś sto metrów przed nim. Za piętnaście, najwyżej dwadzieścia sekund będzie na miejscu. Powinno się udać. Wbija wzrok w ścieżkę, szukając kamieni, dziur i innych pułapek, w które mógłby wpaść, a potem runąć jak długi w błoto albo przelecieć przez krawędź klifu i skrócić sobie kark. Zdaje sobie sprawę, że w takich warunkach łatwo popełnić błąd. Stara się zaplanować kolejne trzy, cztery kroki naprzód, najpierw prawa noga, potem lewa i tak dalej.

Kiedy od celu dzieli go zaledwie kilka metrów, zaczyna wypatrywać jakiejś szczeliny, w której mógłby się schować, ale zdaje sobie sprawę, że jego plan spalił na panewce. Z jednej strony skała stromo opada do morza, a z drugiej rozciąga się łagodne zbocze pozbawione jakichkolwiek wypukłości lub skosów mogących posłużyć za kryjówkę.

Musi się spieszyć. Dobiegnięcie do kolejnego występu zajmie mu piętnaście sekund.

Rzuca się do biegu. Już z oddali widzi, że następna formacja skalna oferuje wiele możliwości. Najbardziej podoba mu się rząd kamiennych kolumn i coś w rodzaju wnęki. Przedostanie się na drugą stronę nie będzie jednak łatwe. Trzeba szczególnie uważać na mech, pod którym kryją się różne wgłębienia i nierówności. W najlepszym wypadku można złamać kostkę, a w najgorszym stracić grunt pod nogami i polecieć w dół.

Jeszcze tylko kilka sekund, a potem przeskoczy na zastygłą lawę i ostrożnie przejdzie dookoła.

Nagle jak spod ziemi wyrasta Roger. Wyłania się zza skały i nieruchomieje na samym środku ścieżki.

Will zatrzymuje się jakieś trzy metry od niego. Obaj stoją przy samej krawędzi urwiska.



Elle zagląda przez okno do szopy z blachy falistej. W środku jest ciemno i

niewykluczone, że ktoś się tam ukrywa.

Skrada się do drzwi i delikatnie naciska klamkę, świadoma, że metalowe przedmioty wystawione na działanie żywiolów mogą wydawać z siebie nieprzyjemne zgrzyty i piski. Okazuje się jednak, że mechanizm jest dobrze utrzymany i drzwi otwierają się niemal bezszelestnie.

Rozgląda się po wnętrzu. Nikogo tu nie ma, chyba że w podłodze znajduje się kłapa, a pod nią wydrążona w ziemi piwnica. Szanse na to są niewielkie, a poza tym Elle nie ma czasu na grzebanie się w błocie. Już chce odwrócić się do wyjścia, ale coś przyciąga jej uwagę. Robi dwa duże kroki i staje po przeciwnej stronie niewielkiego pomieszczenia, przed tablicą, na której wiszą różne narzędzia ogrodnicze, ekwipunek żeglarski i sprzęt do uprawiania sportów zimowych.

Zdecydowanym ruchem zdejmuje ze ściany czekan i waży go w dłoni. Stosunkowo mały, lekki, z gumowym uchwytem i nylonową pętlą na nadgarstek. Tym razem będzie więcej krwi, ale trudno. Zwykle wybiera coś mniej drastycznego.



Kiedy kobieta znika z pola widzenia, robi się spokojnie. Wszyscy poszli w stronę morza. Malcolm skrada się pod dom, starając się chować, ale przy tym ukształtowaniu terenu nie jest to łatwe. Musi liczyć na łut szczęścia.

Rzecz jasna mógłby się po prostu wycofać. Wrócić do samochodu i odjechać w siną dal. Ci ludzie - kimkolwiek są - w końcu dorwaliby Willa i wycisnęli z niego informacje, które rzekomo ukradł. Jednak z każdą upływającą minutą ma to coraz mniejsze znaczenie. Rozproszeni po całym świecie współpracownicy magazynu „Travelers” otrzymali właśnie informacje, że ich numerowane konta przestały być bezpieczne, a bankierzy w Luksemburgu, Liechtensteinie i na Kajmanach witają wielu dawno niewidzianych klientów, którzy przyszli zamknąć swoje rachunki. Zgromadzone środki trafią najpierw do Hongkongu, Singapuru, Nowego Jorku i Londynu, a następnie na nowo utworzone konta w Andorze, na wyspie Man albo w dokładnie tych samych instytucjach finansowych, z których właśnie je wycofano. Taki manewr wystarczy, żeby zatrzeć ślady. Napędzane ludzką chciwością i spowite mgłą tajemniczy mechanizmy ułatwiające pranie brudnych pieniędzy i uchylanie się od płacenia podatków są bardzo skuteczne.

Możliwe, że znajdują się maruderzy, którzy nie zdążą na czas. Zasyfrowana wiadomość wysłana przez Gabriellę dziś rano za pomocą telewizji mogła nie dotrzeć do pojedynczych agentów, zwłaszcza tych mieszkających gdzieś na odludziu i pozbawionych kontaktu ze światem. Kiedy zorientują się, że ich konta zostały zamrożone, będzie już za późno. Jak wygląda zatem najgorszy scenariusz? Kilka osób straci trochę pieniędzy.

Poza tym nie ma czego ukraść i nie ma kogo zdemaskować. Pliki Malcolma nie zawierają żadnych szczególnie obciążających informacji. Na tym właśnie - przynajmniej częściowo - polegała działalność „Travelers”: zero elektronicznych dokumentów.

I zero elektronicznej komunikacji, w każdym razie na istotne tematy. Jeśli kierujesz tajną komórką wywiadowczą działającą poza oficjalnymi strukturami CIA i jednym z twoich zadań jest strzeżenie tajemnic przed resztą Agencji, musisz zdawać sobie sprawę, że nie ma czegoś takiego jak bezpieczna komunikacja elektroniczna. Nie istnieją szyfry, kody, podstępny i wybiegi, których nie dałoby się rozgryźć, a do każdego telefonu można się stosunkowo łatwo włamać. Jedynym sposobem na bezpieczną łączność jest rezygnacja z systemów teleinformatycznych. Stąd właśnie wzięły się koperty kolportowane po całym świecie przez niczego nieświadomych kurierów.

Tak więc człowiek, który próbuje infiltrować „Travelers” z nadzieją, że uda mu się wykraść niezwykle cenne dane, bardzo się zawiedzie. Chyba że namierzy kogoś, kto zna całą prawdę i w jakiś sposób zmusi go do jej ujawnienia.

Do tego grona należy jednak zaledwie kilka osób: Malcolm, Gabriella i dwóch ludzi z centrali w Langley.

I ktoś jeszcze.

Malcolm nie jest pewien, gdzie przebywa ta piąta osoba. Być może to lokator pomarańczowego domu stojącego na skraju urwiska. Istnieje ryzyko, że zostanie schwytany, torturowany, a potem przekazany w ręce ludzi, którzy zaoferują najwięcej pieniędzy. Możliwe, że na oczach Malcolma operacja prowadzona z sukcesami od siedemdziesięciu pięciu lat legnie w gruzach. W rezultacie setki tajnych agentów na całym świecie stracą źródło utrzymania, a część z nich także życie. Niewykluczone, że w gronie nieszczęśliwych znajdzie się również Malcolm.

W tej sytuacji wycofanie się nie jest żadnym rozwiązaniem.

Nie ma więc wyboru i przykucnięty zaczyna skradać się w stronę domu.



- Daj spokój, Will. To koniec twojej bohaterskiej ucieczki. - Roger blokuje ścieżkę swoim masywnym ciałem. Rozstawia szeroko stopy i wyciąga ramiona, dając Willowi do zrozumienia, że dalej nie przejdzie. - Nie ma powodu, żeby komuś stała się krzywda. Mam rzecz jasna na myśli ciebie.

Will zastanawia się, czy nie powinien odwrócić się na pięcie. Zdaje sobie sprawę, że gdzieś za plecami czai się Elle. Może uda się ją wywieść w pole? Albo pokonać? Mało prawdopodobne. Ta kobieta jest w końcu świetnie wyszkolonym oficerem CIA i na pewno opanowała różne sztuki walki. Niewykluczone też, że jest uzbrojona.

Natomiast Roger nie ma przy sobie broni. Jest większy i silniejszy, ale Will już wcześniej sprawdził jego umiejętności. Na dodatek od czasu ich ostatniej konfrontacji sporo trenował właśnie po to, by poradzić sobie z obezwładnieniem potężniejszego przeciwnika, czyli w gruncie rzeczy tego konkretnego mężczyzny.

Rzuca się do przodu, podnosi prawą pięść i mierzy w szczękę Rogera, jednak ten robi unik i kontratakuję. Will odchyła głowę. Kiedy wielka łapa ociera się o jego ucho, Will czuje nieprzyjemne pieczenie. Au!

Cofa się, żeby być poza zasięgiem.

Roger robi krok do przodu.

Will próbuje zadać kolejny cios, ale przeciwnik umiejętnie się broni.

Atakuje jeszcze raz, lecz bez skutku, tak jak się spodziewał.

Wyłożył karty na stół i jest gotowy na nieuniknioną odpowiedź. Roger bierze zamach i wymierza prawy sierpowy - większa siła i więcej bólu, jeśli rzecz jasna trafi...

Jednak nie trafia. Will wykonuje manewr ćwiczony na treningach dziesiątki razy: klęka na lewym kolanie, jednocześnie zataczając łuk prawą stopą. Udaje mu się zahaczyć o kostkę Rogera i wytrącić go z równowagi. Musi zrobić to samo z jego drugą nogą. Odchyła się jeszcze bardziej do tyłu, opierając się o ziemię lewym łokciem, i stara się z całej siły kopnąć przeciwnika. Zdaje sobie sprawę, że ten cios może mu ocalić życie. Jeśli się uda, Roger straci grunt pod nogami i runie w przepaść.

Po chwili widać w powietrzu jego stopy. Rozpaczliwie wyciąga ręce, ale tylna część ciała ciągnie go w dół. Traci równowagę i pada jak długi. Siła uderzenia jest tak duża, że przez ciało Rogera przebiega dreszcz. Tak samo musiało to wyglądać, gdy Will wywrócił się na mokry trawnik w Argentynie.

Wtedy wyrznął głową w ziemię i zemdłał.

Roger zachowuje co prawda przytomność, ale tylko część jego tułowia ląduje na ścieżce. Reszta przelatuje przez krawędź urwiska. Siła ciężenia spycha go w dół. Próbuje się podciągnąć, wbija palce w błoto, ale jego ciało nieubłaganie ześlizguje się z klifu. Wytrzeszcza oczy z przerażenia, a z jego ust wydobywa się zdławiony krzyk.

Will obserwuje wszystko z bezpiecznej odległości. Albo ocali Rogerowi życie, albo pozwoli mu umrzeć. A może będzie to zabójstwo?

Nie ma jednak czasu na takie dywagacje. W zaistniałych okolicznościach trudno z racjonalnego punktu widzenia rozważyć wszystkie za i przeciw. Czy to sytuacja typu zabij albo zgiń?

W końcu zwycięża instynkt. Will łapie Rogera za nadgarstek, przynajmniej na chwilę ratując go przed pewną śmiercią.

- Wciągnij go na górę.

Na ścieżce pojawia się Elle. Stoi jakieś trzy metry dalej i trzyma w ręku czekan.

- Wciągnij go na górę albo cię zabiję. Przysięgam!

Nadal pada deszcz, ale na południowym zachodzie chmury się rozstąpiły i nad horyzontem pojawia się zachodzące słońce. Will mruży oczy, żeby lepiej przyjrzeć się Rogerowi. Na jego twarzy maluje się błaganie, jednak mimo że zwisa nad przepaścią, próbuje przynajmniej w minimalnym stopniu odzyskać kontrolę nad swoim losem. Delikatnie zmienia pozycję, ale teraz jest jeszcze gorzej i jego nadgarstek zaczyna się wyślizgiwać.

- Will! - krzyczy Elle.

Will słyszy kroki za plecami, a kątem oka zauważa błysk światła odbijającego się od ostrza czekana. Odwraca się i w jego polu widzenia pojawia się jeszcze jeden mężczyzna, który rzuca się do przodu z wyciągniętymi rękami...

Elle robi zgrabny unik, bierze zamach i wbija czekan w nogę upadającego na ziemię intruza.

Roger korzysta z okazji, przechyla tułów, wyciąga wolną rękę i łapie Willa za rękaw koszuli. Traci jednak resztki równowagi i jeszcze bardziej się zsuwa, a po chwili leci już w dół, ściągając Willa z krawędzi urwiska.

Will nie jest w stanie powstrzymać upadku. Takie są prawa fizyki: nic nie da się zrobić, gdy jest się szczepionym ze spadającym ciałem ważącym ponad sto kilo. To sytuacja bez wyjścia.

Rozdział 42

Półwysep Snæfellsnes

Malcolm z głuchym łomotem upada na ziemię i zatrzymuje się na skraju przepaści. Czuje przeszywający ból w nodze, tam, gdzie wbiło się ostrze czekana.

Widzi, jak Will zsuwa się z klifu i jedną ręką łapie go za kostkę, a drugą próbuje schwycić jego łydkę. Przez chwilę wydaje mu się, że trzyma wystarczająco mocno, jednak Will wyslizguje się, ściągany w dół przez drugiego mężczyznę. Malcolm zaciska dłonie i zapiera się nogami, ale...

- Aaaaaaaaaa.

Po chwili krzyk się urywa.

Nie udało się. Malcolm ma puste ręce.

Kłęka i wychyla się znad krawędzi urwiska. Na plaży leży rozciągnięte ciało z nogami wykręconymi pod dziwnym kątem, jednak to na pewno nie Will.

Gdzie on jest?

Wisi poniżej, przyklejony do skalnej ściany, ze stopami ledwo zaczepionymi na wąskiej kamiennej półce i z jedną ręką kurczowo zaciśniętą na rachitycznym krzaczku, który jakimś cudem przetrwał na niegościnnym klifie wystawionym na działanie żywiołów.

Will jeszcze żyje, ale to tylko kwestia czasu.

Malcolm zauważa leżący w błocie czekan. Rzuca się w jego stronę, ale brakuje kilku centymetrów. Wyciąga rękę najdalej, jak potrafi, i prawie dotyka go palcami.

Niestety, Elle jest szybsza.

- Przykro mi - mówi, następując Malcolmowi na dłoń i podnosząc z ziemi groźne narzędzie. Spogląda na Willa. W każdej chwili może runąć w dół i nie stanowi już żadnego zagrożenia. Odwraca się do Malcolm, który osunął się na ścieżkę i krwawi z głębokiej rany na nodze. On również został wyeliminowany z gry. Na koniec wysuwa szyję za krawędź klifu. Na plaży leżą powykręcane zwłoki Rogera. Wychodzi na to, że tylko ona wyszła z tego bez szwanku.

- Czego chcesz? - pyta Malcolm, licząc, że możliwe są jeszcze jakieś negocjacje.

- Wszystkich nazwisk i miejsc, w których przebywają ci ludzie.

- Jacy ludzie?

- Naprawdę? Nawet w takich okolicznościach masz zamiar traktować mnie protekcjonalnie?

Wbija obcas w jego palce. Malcolm wrzeszczy z bólu.

- Hej ! - krzyczy z dołu Will. - Oddam ci te pliki!

- Gdzie one są?

- W mojej kieszeni, zgrane na pendrivie.



Jest prawie pewna, że to nieprawda. Spogląda na Willa, a potem przenosi wzrok na Malcolma, który sprawia wrażenie pokonanego. Wygląda jak ktoś, kto właśnie zdał sobie sprawę, że wszystko stracił. Trzeba jednak uważać. To może być wybieg. Malcolm Somers nie jest w końcu pierwszym lepszym idiotą.

Elle musi się mieć na baczności i to nie tylko teraz, lecz od tej pory już zawsze. Jeśli zabije obu tych facetów - a w zasadzie zwłaszcza jeśli ich zabije - ta sprawa nigdy się nie skończy. Will jest tylko płótką, figurantem, którego śmiercią nikt się specjalnie nie przejmie, ale Malcolm to zupełnie co innego. Pozbycie się go oznacza poważne konsekwencje. Elle nie będzie mogła wrócić do Stanów Zjednoczonych ani pojawić się w żadnym kraju, w którym działa CIA, czyli teoretycznie w większości państw świata, a praktycznie wszędzie.

Milion dolarów z pewnością nie wystarczy, ale Elle nie ma wątpliwości, że będzie w stanie wyciągnąć więcej. Musi tylko dostarczyć to, czego szuka jej zleceniodawca. A co, jeżeli się nie uda? No cóż, tego problemu chyba nie da się rozwiązać.

- Pomóż mu, Somers. Tylko nic nie kombinujcie, bo będę musiała was zabić - mówi, bawiąc się czekaniem.

Malcolm wyciąga obie ręce i chwyta przyjaciela za nadgarstki, po czym wyciąga go z otchłani. Will głośno jęczy. Jego ciało zawadza o skalistą krawędź urwiska, która rani mu klatkę piersiową, brzuch i uda. Na skórze pojawia się długie, głębokie zadrapanie.

Podniesienie bezwładnego ciała wygląda na kawał ciężkiej roboty. Na

dodatek Malcolm ma skaleczoną nogę. To musi boleć jak cholera. Elle zdaje sobie sprawę, że ma przed sobą dwa ranne zwierzęta, groźniejsze niż kiedykolwiek.



Malcolm wyraźnie utyka, a z jego uda leje się krew. Will wlecze się trzy metry za nim. Elle trzyma w jednej ręce czekan, a w drugiej nóż, którym od czasu do czasu dźga Willa w plecy. Tymi dwoma narzędziami jest w stanie błyskawicznie wyrządzić dużo krzywdy.

Na oddalonej o kilkaset metrów głównej szosie panuje cisza. W dzień przejeżdżają tędy autokary, minibusy, kampery i wynajęte samochody z żądnymi wrażeń turystami zmierzającymi w kierunku parku narodowego, wulkanu i lodowca. Teraz, chociaż wciąż świeci słońce, jest noc i w okolicy nie ma żywej duszy.

Dzisiaj Will już dwa razy zwisał z tego samego klifu i dwa razy ktoś wciągnął go na górę i prowadził do pomarańczowego domu.

Elle rozgląda się po pokoju, omiatając wzrokiem meble, sprzęt sportowy, drzwi wejściowe i ciemną garderobę. Zagląda do środka, włącza światło i na chwilę znika, po czym wraca, trzymając w ręku szpulę żyłki wędkarskiej.

- Siadaj. Somers cię zwiąże.

- Daj spokój - protestuje Will.

- Siadaj, kurwa! - krzyczy Elle, wymachując nożem. - I ani słowa więcej.

Malcolm zaczyna przywiązywać ramiona i tułów Willa do oparcia krzesła.

- Kto tutaj mieszka?

- Niejaki Joe. Wydaje mi się, że pracował kiedyś dla CIA.

- Czyli nie Mongeleach?

- Nie.

- Wiesz, gdzie on jest?

Will kręci głową.

- Okej - mówi Elle, kiedy Will jest już unieruchomiony. - Teraz zobaczmy, jakie skarby są na tym pendrivie. Somers! Podaj mi go.

Will stara się nawiązać z Malcolmem kontakt wzrokowy, ale ten nawet nie podnosi głowy.

- Prawa przednia kieszeń, Mal.

Malcolm kiwa głową. Grzebie w spodniach Willa, wyjmując urządzenie i wręcza je Elle, która nie wie, że nagrane są na nim jedynie bezwartościowe

dane. Jest jeszcze drugi pendrive, schowany w tylnej kieszeni, zawierający kompletną kopię plików z serwera.

- Teraz siadaj.

Malcolm łapie się za krwawiącą nogę i chwiejnym krokiem podchodzi do krzesła.

- Gdzie jest komputer?

- Nie sądzę, żeby w ogóle tutaj był - mówi Will. - Do tego domu nie dotarł jeszcze dwudziesty pierwszy wiek.

Elle przeczesuje wzrokiem każdy kąt pokoju.

- Dlaczego od razu nie dałeś mi tego pieprzonego pendrive'a? Po jasną cholera musiałam za tobą gonić aż na koniec świata?

- Bo nie wiem, co tak naprawdę chcesz ukraść i nie mam pojęcia, dla kogo pracujesz, ale na pewno nie dla CIA.

- Czyżby? Skąd możesz mieć takie informacje?

- Pamiętasz Mike'a z sali konferencyjnej? Był ubrany w tani garnitur i wyglądał jak typowy urzędnik państwowy.

- No i co z tego?

- Miał na nadgarstku zegarek wart dziesięć tysięcy dolarów.

Elle jest wyraźnie zbита z tropu, co tylko potwierdza, że Will się nie myli. Mike tylko udawał agenta ledwie wiążącego koniec z końcem.

- Dobra, mądralo, w takim razie powiedz, dla kogo pracuję.

- Nie mam pojęcia. A sama to wiesz?

Wpatruje się w Willa, a potem przenosi wzrok na Malcolma.

- Somers, dawaj kluczyki do waszych samochodów.

Malcolm jęczy z bólu i z trudem sięga do kieszeni, a potem wyciąga kluczyki ze spodni Willa. Z jego raną musi być coraz gorzej.

- Dobra, a teraz telefon.

- Nie mam go przy sobie.

Bez żadnego ostrzeżenia Elle wali go pięścią w twarz. Mocny cios prosto w szczękę.

- Kurwa! - Malcolm masuje obolałe miejsce. - Zostawiłem w aucie.

Elle wbija w niego wzrok, po czym bierze żyłkę i przywiązuje mu do krzesła jedną nogę i jedną rękę tak, żeby nie sprawiać niepotrzebnego bólu.

- Idę do swojego samochodu, żeby sprawdzić, co nagraliście na ten pendrive. - Podnosi w górę urządzenie, na którym nie ma żadnych nazwisk i adresów, tylko numery kont z kodami krajów. Na tej podstawie nie da się zidentyfikować właścicieli. Takie dane nikogo nie zadowolą. - Czy jest coś,

co chcielibyście mi wyjaśnić? Zanim zmarnuję swój czas i wysiłek, stracę resztki cierpliwości i wrócę tutaj, żeby poderżnąć wam gardła.

Odwraca się do Malcolma. Redaktor naczelny „Travelers” ma rozerwane spodnie, a spływająca po nodze krew zalewa mu but i skapuje na drewnianą podłogę.

- Somers? - Odłożyła czekan, ale nadal ściska w ręku nóż. - Masz mi coś do powiedzenia?

Malcolm jest cały spocony i wygląda jak śmierć na chorągwi.

Elle nisko się nad nim pochyła. Ostrze znajduje się teraz kilka centymetrów od jego twarzy, ale zagrożenie przychodzi z innej strony. Nagle Elle mocno ściska jego skaleczoną nogę. Malcolm zaczyna wyć z bólu, mimo to Elle nie zwalnia uchwytu przez dobre pięć sekund. Dla Malcolma to niemal wieczność.

Wreszcie ból ustaje. Malcolm przestaje krzyczeć i tylko głośno oddycha, z trudem łapiąc powietrze. Jest w kiepskim stanie i nie wytrzyma długo takich tortur.

- Somers?

Gapi się na nią nieobecny wzrokiem.

- Wyglądasz jak ktoś, kto chce zrzucić ciężar z serca.

Cisza.

- Nie mam racji? - Patrzy na jego nogę. - Dobra, spróbujemy jeszcze raz. -

Wyciąga rękę...

- Nie! - krzyczy Will z drugiego końca pokoju. - Przestań!

Elle ogląda się przez ramię.

- Dlaczego?

- Na pendrivie nie ma żadnych nazwisk ani adresów, tylko numery kont.

- Okłamałeś mnie, Will? Nieładnie. Jestem zawiedziona.

Will spogląda na Malcolma. Jego szef wpatruje się w okno szeroko otwartymi oczami.

- Dobra, w takim razie pozostaje mi tylko zdecydować, kogo mam najpierw zabić.

Malcolm coś mówi, ale zbyt cicho, żeby go zrozumieć.

- Co tam mamrociesz? - pyta Elle.

- Powiem ci wszystko, ale błagam, możesz coś zrobić z moją nogą?

Malcolm wypija duży łyk whisky. Elle rozdziera nogawkę spodni, dezynfekuje ranę alkoholem, po czym zakłada gazę i owija opatrunek taśmą. Malcolm zagryza dolną wargę tak mocno, że pojawia się na niej krew, ale nie krzyczy.

- To długa historia.

- Mamy dużo czasu - mówi Elle i ponownie napełnia szklanę.

- Okej. - Malcolm kiwa głową. - Benjamin Donaldson wstąpił do wojska zaraz po ataku na Pearl Harbor.

- Chyba żartujesz? Druga wojna światowa?

- Chcesz poznać całą prawdę czy nie?

Elle głośno wzdycha i siada na krześle.

- Dobra, opowiadaj.

- Podczas pobytu w Europie Benji został zwerbowany przez OSS^[68], czyli Biuro Służb Strategicznych, i w czasie wojny szpiegował we Francji. W pewnym momencie odkrył, że nawet najcenniejsze dane wywiadowcze stają się bezużyteczne, jeśli trafiają w ręce niesolidnego kuriera. Niestety, żadnemu człowiekowi nie można w pełni zaufać, o czym Benji przekonał się na własnej skórze, kiedy, całkiem dosłownie, ktoś wbił mu nóż w plecy. Ledwie uszedł z życiem i przez wiele miesięcy leżał w szpitalu Waltera Reeda, zastanawiając się, jak doszło do zdrady i czy można było tego uniknąć. Doszedł do wniosku, że istnieje tylko jeden sposób: godny zaufania kurier nie powinien wiedzieć, czym się tak naprawdę zajmuje.

W tym momencie Will zrozumiał, że Elle miała rację w kwestii kopert ostemplowanych „Tajne, do rąk własnych”.

- Jednak wojna się skończyła. Truman odnosił się z niechęcią do działań szpiegowskich w czasach pokoju i nie przepadał za Billem Donovanem, szefem Biura Służb Strategicznych. Zwolnił go, rozwiązał OSS i zamknął przedstawicielstwa w Europie i Azji. Z dwunastu tysięcy funkcjonariuszy zostawił jedną szóstą. Nawet Allen Dulles^[69] zaczął pracę w kancelarii adwokackiej w Nowym Jorku, a Benji Donaldson został dziennikarzem.

Malcolm podnosi ranną nogę i kładzie ją na krześle. Na jego twarzy pojawia się grymas bólu.

- Truman stworzył nową agencję, ale na jej czele postawił dyletanta, właściciela wielkiej sieci supermarketów. Okres powojenny to kompletna katastrofa: dane wywiadowcze zbierane były przez amatorów, a następnie przekazywane słabo zabezpieczonymi kanałami do pobieżnej analizy. Jednym słowem kłapa.

Malcolm pociąga łyk szkockiej. Trzeba przyznać, że wygląda już trochę lepiej.

- Jeden ze współzałożycieli CIA, Frank Wisner, zaczął organizować w Georgetown przyjęcia, na które goście przynosili własne jedzenie, zwykle w niedziele, kiedy służba miała wychodne. Żarcie było takie sobie, ale słyszałem, że przychodziła Julia Child^[70], choć w tamtych czasach jeszcze niespecjalnie umiała gotować. Alkohol lał się strumieniami, a towarzystwo urządziło burzę mózgow. Któregoś razu na oryginalny pomysł wpadł były agent OSS, który pracował dla jakiegoś magazynu w Nowym Jorku.

- Kurczę - przerywa mu Will. Zastanawiał się, dokąd zmierza ta historia, ale teraz wszystko stało się jasne.

- O dziwo pozornie idiotyczna propozycja Benjiego zyskała aprobatę.

Will nie jest w stanie w to uwierzyć.

- Magazyn „Travelers” powstał w celu prowadzenia dwóch operacji. Po pierwsze, chodziło o indoktrynację. Artykuły miały chwalić naszych sojuszników i wzmacniać przekonanie, że Ameryka uratowała świat przed Hitlerem, za co wszyscy byli jej dozgonnie wdzięczni. Will, wiesz, o czym mówię?

Tak, czytał te szowinistyczne teksty z lat czterdziestych, pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. To była sponsorowana przez rząd propaganda.

- Po drugie, czasopismo miało być czymś w rodzaju firmy kurierskiej. Chodziło o przykrywkę pozwalającą Amerykanom jeździć po całym świecie bez wzbudzania podejrzeń. Pamiętajmy, że działo się to w czasach, gdy dane wywiadowcze przekazywano sobie z ręki do ręki, a ludzie spotykali się twarzą w twarz. Stworzono tajny kanał komunikacyjny, którego największą zaletą było bezpieczeństwo, ponieważ kurierzy, czyli dziennikarze, fotografowie i redaktorzy, nie wiedzieli, że zajmują się szpiegostwem. Co więcej, nie mieli pojęcia, dla kogo tak naprawdę pracują i czym się zajmują.

Malcolm przerywa i wbija wzrok w Elle.

- A ty wiesz, kto cię zatrudnia?

Elle milczy.

- Odpowiesz na moje pytanie? - nalega Malcolm.

- Chyba żartujesz. Jasne, że nie. Mów dalej.

- Magazyn przynosił dochody, a tajna działalność kurierska okazała się sukcesem. Benji zaczął więc myśleć o ekspansji. Dlaczego? Z tych samych powodów, dla których inne firmy decydują się na tak zwany rozrost misji: chcą uzasadnić własne istnienie i zaspokoić ambicję, a tej Benjaminowi

nigdy nie brakowało. Działo się to w okresie rozkwitu myślenia korporacyjnego. Nie wystarczyło dobrze prosperować, należało nieustannie się rozrastać. Rok zastoju oznaczał porażkę. Benji zaproponował więc nowe zadanie polegające na zbieraniu danych wywiadowczych przez niewielkie zespoły działające niezależnie od zagranicznych placówek CIA. Nie było łatwo przepchnąć ten pomysł w Langley, ale w końcu się udało. W tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym roku Benji dostał zielone światło na przeprowadzenie programu pilotażowego.

- Paryska filia - mruczy pod nosem Will.

- Celem była kontrola ogromnych funduszy napływających do Europy w ramach planu Marshalla. Podobną funkcję przez wiele dziesięcioleci pełniły pozostałe zagraniczne przedstawicielstwa „Travelers”, na przykład Hongkong, Bejrut czy też Meksyk. Nadzorowały amerykańską pomoc finansową i sprawdzały, do kogo trafiają pieniądze. Wszystko po to, by dbać o interesy Stanów Zjednoczonych. Magazyn sam zajmował się zatrudnianiem agentów i tworzeniem siatki szpiegowskiej. Musiał też ciągle uzasadniać własną użyteczność. Specjalizował się w zbieraniu danych wywiadowczych na poziomie lokalnym. Istotną część stanowiły plotki, które można było wykorzystać przy werbowaniu konfidentów. Kto płacił łapówki miejscowemu komendantowi policji? Kto wydawał więcej, niż oficjalnie zarabiał? Kto sypiał z czyją żoną?

Malcolm przerywa i wpatruje się w Elle.

- Sporo pieprzenia.

Elle nie reaguje, a Will nie rozumie, o co chodzi.

- Jednak nie wszystko miało charakter osobisty - kontynuuje Malcolm. - Redakcja starała się również dowiedzieć na przykład, gdzie osiedlili się niedawno przybyli imigranci z Niemiec albo który zakład metalurgiczny w ostatnim czasie powiększył dwukrotnie zatrudnienie. W tej robocie najlepiej sprawdzali się miejscowi, którzy oficjalnie wykonywali zawody związane z poszukiwaniem i zbieraniem informacji.

Czy oznacza to, że znający wszystkich ważnych ludzi w mieście szefowie przedstawicielstw „Travelers” w Paryżu, Londynie, Rzymie i Stambule to szpiedzy?

- Nasze filie są tajnymi komórkami Centralnej Agencji Wywiadowczej?
Malcolm kiwa głową.

A więc Inez jest szpiegiem? I pan Mamrot?

- W okresie podsycanych przez Hoovera zatargów między CIA a FBI

ochrona tajności prowadzonych przez nas operacji stała się jeszcze istotniejsza i redaktor naczelny został bezpośrednim podwładnym dyrektora Agencji.

- Próbujesz powiedzieć, że twoim przełożonym jest szef CIA? - pyta Elle.

- Tak. A twoim?

- To ja jestem od zadawania pytań, Somers. Na czym polegają twoje zadania?

- CIA nie może realizować pewnych operacji na własną rękę, ponieważ nie da się stwierdzić, którzy pracownicy Agencji są całkowicie godni zaufania. Istnieją też wrażliwe dane, których nie można przekazywać normalnymi kanałami, na przykład te dotyczące podwójnych agentów, kretów albo śledztw wewnętrznych, krótko mówiąc, osób, na których nie można polegać. Głównym zadaniem „Travelers” było więc szukanie ludzi, byłych i aktualnych szpiegów, współpracowników obcych służb, uciekinierów i przestępców, którzy nie chcą, żeby ktokolwiek ich znalazł.

- Ciekawy paradoks, czyż nie? Jonathan Mongeleach stworzył mechanizm, dzięki któremu można było wytropić jego samego.

Elle ma rację, ale Malcolm zbywa ją milczeniem.

- W jaki sposób przekazujecie dane wywiadowcze do Langley?

- Przez skrzynki kontaktowe. Męskie toalety w restauracjach.

- A jak trafiają do was fundusze na prowadzenie działalności?

- Mamy fałszywego reklamodawcę, a w zasadzie kilku. Środki są przelewane na numerowane konta w Szwajcarii. Większość idzie bezpośrednio na finansowanie zagranicznych przedstawicielstw, które mają własne budżety operacyjne i są niezależnymi firmami działającymi poza amerykańską jurysdykcją. Do Nowego Jorku wraca tylko niewielka część tych pieniędzy pozwalająca na utrzymanie magazynu w dobrej kondycji.

Will widzi, że Elle jest pod wrażeniem tej misternej konstrukcji. Sama brała udział w niejednym wyrafinowanym przekręcie.

- Kto o tym wie?

- Praktycznie nikt. Większość naszych zagranicznych pracowników myśli, że są zatrudnieni w biurach podróży.

- A siatka szpiegowska?

Kątem oka Will zauważa w oknie po drugiej stronie pokoju jakiś ruch, jakby błysk lub refleks światła. Co to było?

- Uliczni informatorzy oraz zwerbowani przez nas urzędnicy państwowi, pracownicy ambasad, przedsiębiorcy i ludzie mediów uważają, że mają do

czynienia z dziennikarzami. I tak jest w rzeczywistości: Will jest reporterem, a ja redaktorem naczelnym.

Will lustruje wzrokiem pomieszczenie, starając się nie ruszać głową, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Wygasł ogień w kominku i widać tylko tłący się żar. Poza tym nic się nie zmieniło. Czegoś jednak brakuje.

- Pracujesz dla CIA, od kiedy skończyłeś studia?

- Mniej więcej. Najpierw przez rok szkolili mnie na Farmie i w Langley.

Elle spogląda na Willa.

- A on?

Malcolm również patrzy na swojego kolegę.

- Nie wiem, co podejrzewał, ale do dzisiejszego wieczora nie miał chyba o tym wszystkim zielonego pojęcia. Chyba że wygadała się przed nim jego żona.

To jest pytanie, a Malcolm oczekuje odpowiedzi. Will kręci głową, ale nie może się skoncentrować. Właśnie zdał sobie sprawę, że na pewno brakuje czegoś, co wisiało wcześniej na ścianie. Zniknęła kusza. Will nie przypomina sobie, żeby Joe zabrał ją ze sobą.



- Nie istnieje więc żaden rejestr? - pyta wyraźnie rozczarowana Elle. - Nie ma listy nazwisk, adresów i pseudonimów?

- Nie.

Elle staje na środku pokoju, między dwoma pojmanymi mężczyznami, i zastanawia się, jakie ma możliwości. Niestety, żadna nie wydaje się szczególnie atrakcyjna.

- Dlaczego mi nie powiesz, kogo konkretnie szukasz?

- Bo szukam wszystkich. Właśnie na tym polega problem. Potrzebuję danych osobowych całej siatki szpiegowskiej. Muszę też znaleźć Mongeleacha. Gdzie on jest?

Obaj kręcą głowami.

- Zdajecie sobie sprawę, że jeżeli się tego od was nie dowiem, do niczego nie jesteście mi potrzebni?

Cisza.

Elle nie ma wyboru. Musi zabić Willa. Somersa niestety też. Trzeba doprowadzić tę sprawę do końca. Will to jeszcze nowicjusz, więc niczego nie zrozumie, ale Somers na pewno wie, co jest grane.

Nie ma sensu tego przeciągać. Odwraca się do Willa i patrzy mu prosto w oczy. Robi jeden krok do przodu, a potem następny.

- Przykro mi - mówi i wyciąga nóż z kieszeni.



Nagle otwierają się drzwi i do pokoju wpada Chloe.

- Nie! - krzyczy.

Elle szybko się odwraca, ściskając w dłoni nóż z długim ostrzem, masywną rękojeścią i zakrzywionym szpicem, którym można zrobić sporo krzywdy. Jednak ta broń nie może się równać z kuszą, którą trzyma w rękach Chloe.

- Proszę, proszę - mówi Elle. - To pewnie żona. - Kobiety mierzą się wzrokiem z odległości sześciu metrów, starając się ocenić przeciwnika. - Wiele o tobie słyszałam.

Chloe nie czuje się w pełni kompetentna, jeśli chodzi o obsługę kuszy. Co prawda kiedyś strzelała ze znacznie prostszej wersji podobnego ustrojstwa, ale to było dwadzieścia lat temu podczas kolonii letnich. Kiedy dom był pusty, zdjęła ze ściany sprzęt oraz belty. Szybko nauczyła się go ładować i wyszła na zewnątrz, żeby poćwiczyć. Niestety, jej celność pozostawiała wiele do życzenia.

Miała jednak nadzieję, że nie będzie musiała sprawdzać swoich umiejętności w praktyce. Tak naprawdę nadal na to liczy. Chce tylko, żeby ta kobieta stąd zniknęła i zostawiła ich w spokoju, żeby mogli wziąć się w garść i wrócić do domu. Jednak wydaje się to mało prawdopodobne.

- Will, powiedz mi, którą z nas wolisz pieprzyć?

A więc o to chodzi. Właśnie w ten sposób Will dał się wciągnąć w to gówno i dlatego wszyscy się tutaj spotkali. Chloe spogląda na swojego męża. Will wygląda na kompletnie załamane. Ma skruszoną minę, a w jego oczach maluje się rozpacz i bezbrzeżny smutek.

Chloe się tego spodziewała. Co więcej, przekonała samą siebie, że nie ma to większego znaczenia. Will wpadł w sidła zastawione przez chytręgo zawodowca, ale tak naprawdę ją kocha. Ona również chce z nim być i ma nadzieję, że jakoś sobie z tym poradzi. Być może nawet już sobie poradziła.

W tym momencie jej podejrzenia zostały jednak w stu procentach potwierdzone i ból jest znacznie większy niż wtedy, gdy tylko się wszystkiego domyślała.

Elle przesuwa się w stronę Willa.

- Wolisz w łóżku swoją żonę?

Stara się wyprowadzić mnie z równowagi, myśli Chloe. Nie mogę jej na to pozwolić.

- A może lepiej było ci ze mną? - Robi kolejny krok.

- Stój w miejscu - mówi Chloe i naciska na dźwignię spustową.

Wydaje jej się, że w zamkniętym pomieszczeniu bełt leci szybciej niż na świeżym powietrzu. Najpierw słychać świst, a potem, gdy grot zanurza się w ciele, coś w rodzaju cmoknięcia i skowyt bólu.

Chloe nie trafiła dokładnie tam, gdzie mierzyła, czyli w środek tułowia, ale i tak strzała dosięgnęła celu i zraniła Elle w bok.

Elle trzyma się jednak na nogach. Patrzy na wystający z jej ciała długi bełt, a po chwili przenosi wzrok na Chloe.

I właśnie w tym momencie słychać telefon. Dzwonienie odbija się echem od drewnianych ścian.

Elle odwraca się do Willa. Chloe przeczuwa, co się święci. Upuszcza kuszę na ziemię, odbija się mocno od podłogi i skacze na drugą stronę pokoju.

Telefon nie przestaje dzwonić.

Obala Elle na ziemię dokładnie w chwili, gdy ta próbuje ugodzić jej męża. Will stara się odsunąć, ale niewiele może zrobić, ponieważ wciąż jest związany.

Chloe łapie ranną Elle za nadgarstek i usiłuje wytrącić jej nóż z ręki, jednocześnie wbijając kolano w brzuch.

Włącza się automatyczna sekretarka.

- Cześć, tu Joe.

Willowi udaje się przewrócić krzesło i upada na bok. Wymachuje bezradnie stopami, ale po chwili zdaje sobie sprawę, że związane ręce naciskają na wystającą z ciała Elle strzałę.

- Proszę zostawić wiadomość.

Rozlega się charakterystyczny sygnał dźwiękowy.

Will zmienia nieco pozycję i napiera na bełt, który wbija się coraz głębiej w klatkę piersiową kobiety, przechodzi między żebrami i przebija płuca...

Elle traci przytomność i nóż upada z brzękiem na podłogę.

- Przecież mówiłem, żebyś nie wracał do tego domu! - To głos Amerykanina nagrywającego wiadomość na własną sekretarkę. - Słuchaj, masz dziewięćdziesiąt sekund. Potem chałupa wyleci w powietrze.



Chloe podnosi nóż i przecina żyłkę, którą jej mąż przywiązany jest do krzesła. Will zrywa się na równe nogi i biegnie przez pokój, żeby za pomocą tego samego narzędzia oswobodzić Malcolma. Kiedy próbuje go podnieść, szklanka z whisky roztrzaskuje się o podłogę. Malcolm jęczy z bólu. W ciągu pół godziny jego unieruchomiona noga spuchła i pojawiły się na niej siniaki, a z rany znowu zaczęła sączyć się krew.

- Poradzisz sobie!

Malcolm z trudem kuśtyka w stronę drzwi i wychodzi przed dom. Will i Chloe pomagają mu przejść przez podwórko, a potem cała trójka stara się jak najszybciej ewakuować. Idą drogą dojazdową, co chwilę się potykając, ale nie dają za wygraną. Słyszą tylko odgłosy własnych kroków i nierówne oddechy. Zastanawiają się, ile czasu im zostało. W pewnym momencie Will widzi na niebie rozbłysk. Ułamek sekundy później czuje podmuch fali uderzeniowej, a huk eksplozji uszkadza mu bębenki w uszach. Upada na brzuch, a fruujące dookoła kamienie i kawałki drewna ranią mu skórę i wbijają się w ciało. Nagle wszystko się uspokaja i słychać tylko trzask płonącego ognia. Will przewraca się na plecy i patrzy w niebo. Jest noc, ale w Skandynawii trwa niekończący się zmierzch. Po jednej stronie nad ciemnym horyzontem widać gwiazdy, a po drugiej szafirowy zachód słońca. Obok Willa leżą jego szef i jego żona. Są ranni, ale żyją.

Epilog

Keflavík

Były amerykański szpieg obserwuje przez lornetkę starannie zaplanowaną serię wybuchów. Siedzi w łódce unoszącej się na wodzie kilkaset metrów od brzegu, a jego dom stoi na wysokim klifie i wygląda jak płonący w ciemności stos pogrzebowy. Trudno stwierdzić, czy ktoś przeżył. Nawet nie wie, ilu ludzi było w środku, ale w gruncie rzeczy nie za bardzo go to obchodzi.

Włącza silnik, z dużą szybkością przepływa przez zatokę i kotwiczy w ustronnym miejscu. Kładzie się, ale nie sądzi, żeby udało mu się zasnąć. Czasami musi wystarczyć tylko taki odpoczynek.

Rano porzuca łódź na plaży i wspina się na szczyt urwiska. Staje na drodze i łapie autobus jadący do Reykjavíku, po czym idzie do hotelu na ulicy Hverfisgata, w którym zawsze są wolne miejsca. Wynajmuje pokój i postanawia się zdrzemnąć.

Przez całe życie był gładko ogolonym, schludnym mężczyzną w krawacie i garniturze z lnianą poszetką. Co miesiąc chodził do fryzjera, miał zawsze wyglansowane buty i poważnych przełożonych w Langley, którzy zmieniali się w regularnych odstępach czasu. Kilka lat temu podczas długiej podróży do Islandii po raz pierwszy zapuścił brodę i włosy.

Teraz musi się ogolić. Do małego zlewu spadają poskręcane siwe kłaki. Korzysta z jednorazowej maszynki i kilkanaście razy się zacina, ponieważ ma nieprzyzwyczajoną skórę. Włosy strzyże elektryczną golarką na długość pół centymetra. Jego fryzura przypomina teraz białą wykładzinę w pseudoeleganckim domu na przedmieściach. Zakłada kupiony wcześniej w sklepie na rogu gładki T-shirt i spodnie bojówki.

Być może przypomina sobie z dawnych czasów, ale na pewno nie można w nim rozpoznać brodacza z chaty na odludziu.

Znowu musi uciekać, tym razem jeszcze dalej i już chyba na zawsze. Nie chodzi o to, że wytropił go jakiś dziennikarzyna piszący o turystyce, nasłany przez korporacyjnego szczura, który szuka tajnych informacji mogących ułatwić mu przejęcie spółki medialnej. Z czymś takim łatwo by sobie poradził. Wystarczyłoby samo spalenie domu i ucieczka.

Prawdziwym problemem, którego na razie nie udało mu się rozwiązać, jest to, że korporacyjny szczer tak naprawdę szuka siatki szpiegowskiej działającej pod przykrywką magazynu podróżniczego: agentów, tajnych współpracowników i całej struktury chroniącej rozmaite sekrety i kłamstwa. Krótko mówiąc, zależy mu na zdemaskowaniu tajnej agencji wywiadowczej wykonującej zlecenia amerykańskiego rządu, ale poza oficjalną kuratelą CIA. I udało mu się osiągnąć ten cel.

Co gorsza, ten typ chce również odnaleźć Joego. Nazywa się Charlie Wolfe i znają się od wielu dziesięcioleci. Charlie zabija swoich wrogów bez mrugnięcia okiem, a Joe dołączył do tego grona, gdy postanowił zapaść się pod ziemię.

Zorganizował już następną kryjówkę: umeblowane mieszkanie w samym centrum Luksemburga. To zawsze było dobre miejsce, żeby się zaszyć i zachomikować pieniądze. Ciche i spokojne miasto pełne obcokrajowców, bankierów, prawników i księgowych, nie wspominając o dobrych lekarzach, których pomocy na pewno będzie potrzebował.

Chyba że wcześniej zostanie złapany albo zabity. Zanim dotrze do Luksemburga, musi uważać, żeby ktoś go nie rozpoznał. Cały czas powinien mieć się na baczności.

Łapie autobus i jedzie na lotnisko. Siada przy okrągłym stoliku w rogu wielkiej kawiarni w głównym terminalu i zaczyna przeglądać jakieś gazety i czasopisma, nie przestając bacznie obserwować wszystkiego, co dzieje się dookoła.

Wreszcie pojawia się trójka turystów wyglądających, jakby właśnie wrócili z podróży na koniec świata.



W pierwszym odruchu Chloe chciała sprawdzić, jak czuje się Will. Był cały zakrwawiony, miał liczne otarcia i zadrapania, ale żadnych głębokich ran. Wydawało się, że nic poważnego mu nie dolega. Przekręcił się na bok i wpatrywał w niebo. Malcolm też był w niezłym stanie, rzecz jasna biorąc pod uwagę to, co się wcześniej stało.

Westchnęła z ulgą. Zrobiło jej się lżej na sercu, nie tylko dlatego, że towarzyszący jej mężczyźni nie doznali poważniejszych obrażeń, lecz także ponieważ instynkt kazał jej najpierw zatroszczyć się o innych. Bała się, że straciła ludzkie uczucia. Od dawna żyła z bolesną świadomością, że jest

nałogowym kłamcą. Była tajną agentką, zanim jeszcze poznała Willa. Nigdy mu o tym nie powiedziała - nawet wtedy, gdy został jej mężem, ani później, kiedy odeszła z redakcji, a on zaczął pracować w „Travelers”.

Tak naprawdę nie zmieniła branży, tylko przeszła na inne stanowisko. Przestała przesiadywać w biurze za śmiesznie niskie pieniądze płacone dziennikarzom, którzy w ramach dodatkowych obowiązków zajmowali się szukaniem ukrywających się tajnych agentów. Zamiast tego została wolnym strzelcem: badała tropy, przygotowywała operacje i wreszcie likwidowała niewygodnych szpiegów, których namierzali szeregowi pracownicy, na przykład jej mąż.

Była więc nie tylko oszustką, lecz także morderczynią i nie chciała, żeby Will się o tym dowiedział. Uważała, że powinna trzymać wszystko w sekrecie. W końcu Malcolm obiecał, że nigdy nie wtajemniczy Willa w to, co się dzieje w redakcji. I dotrzymał słowa. To nie była jego wina.

A co, jeśli to Will ponosi odpowiedzialność za tę aferę? Chloe nie miała pojęcia, do czego tak naprawdę doszło między nim a tą kobietą. Była jednak prawie pewna, że nie chodziło jedynie o zwykłą zdradę.

Czy chciała znać szczegóły? Postanowiła, że mu przebaczy, a poznanie zbyt wielu detali mogłoby tylko pogorszyć sytuację.

Wyciągnęła rękę i dotknęła zakrwawionego policzka Willa. Leżeli obok siebie na wyboistej drodze i patrzyli sobie głęboko w oczy.

Nagle zorientowała się, że po jej twarzy płyną łzy. Nie miała pojęcia, kiedy zaczęła płakać.



Zeszłej wiosny, tego samego dnia, kiedy po raz pierwszy spotkał Elle, zamontował na desce rozdzielczej wypożyczonego fiata elektroniczne urządzenie. Wybierał się właśnie na wycieczkę w góry. To była pozornie zwykła nawigacja samochodowa, w zasadzie nic szczególnego: mały wybór głosów, ograniczone menu i słaba reakcja na zmieniające się warunki drogowe.

Ten prosty sprzęt miał jednak jedną wyjątkową funkcję: był w stanie przechwytywać sygnały telefonów komórkowych i przekazywać je przez satelitę do głównego komputera stojącego w biurze na drugim piętrze paryskiego przedstawicielstwa „Travelers”. Bardzo szybko specjalny algorytm zarejestrował połączenie między telefonem na kartę w zabitej

dechami wsi we francuskich Pirenejach a numerem komórkowym w centrum Moskwy, z którego po chwili ktoś zadzwonił na aparat stacjonarny znajdujący się kilka przecznic dalej. Przyciągnęło to uwagę Omara.

Sygnal szybko zniknął, ale dwa dni później znowu się pojawił, tym razem w Montpellier. Zamontowana w banku kamera sfilmowała kilkadziesiąt osób, które mogły posługiwać się tym telefonem. Niezwykle skuteczny program rozpoznający twarze dopasował jedną z nich do fotografii będącej częścią niewielkiej tajnej bazy danych. Po zapoznaniu się z notatkami Willa Omar dodał do bazy nazwisko Taylor Lindhurst, a po sprawdzeniu wyciągów z banku jeszcze jeden alias: Sean Cullen. Wszystkie te informacje uzupełniły teczkę wpływowego ekspraco wnika „Travelers”, którego podejrzewano o szpiegostwo na rzecz Rosjan. Kiedy dwa lata wcześniej mężczyzna zapadł się pod ziemię, podejrzania zostały potwierdzone. Dzięki mimowolnej pomocy Willa udało się jednak namierzyć zdrajcę.

Omar przekazał zgromadzone dane wywiadowcze Inez, ta je zaszyfrowała, wsadziła do koperty z pieczętką „Tajne. Do rąk własnych” i podrzuciła Willowi do hotelu. Po powrocie do Nowego Jorku Will przekazał dokumenty Malcolmowi.

Byłego agenta, który zdradził swoją ojczyznę, nie można było tak po prostu ścigać w ramach obowiązującego prawa, ponieważ groziło to zdemaskowaniem całkowicie nielegalnej operacji prowadzonej pod przykrywką magazynu podróźniczego. I nie chodziło wcale o jakieś drobne uchybienia lub niedociągnięcia formalne. Ujawnienie tego, czym naprawdę zajmuje się „Travelers”, doprowadziłoby do dymisji dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej, a dla Malcolma Somersa skończyłoby się zapewne dożywotnim więzieniem lub czymś jeszcze gorszym.

Niestety, zdekonspirowanego szpiega nie można było oddać w ręce sprawiedliwości. Wykluczone było jednak, żeby dalej swobodnie przemieszczał się po świecie i handlował tajemnicami państwowymi. Istniało tylko jedno rozwiązanie i miała się tym zająć Chloe.

Wycieczka na Capri i zlikwidowanie Taylora Lindhursta to była jej pierwsza misja.

Drugim zadaniem było rozprawienie się z niejaką Elle Hardwick, socjopatką i byłą agentką CIA. Chloe nie jest jednak pewna, czy doprowadziła do jej śmierci. Tak, strzeliła z kuszy, ale rana nie była śmiertelna i to Will wbił belt głębiej w ciało ofiary. Czy grot przeszył jej serce? To byłoby coś.

Trzeba zatem uznać, że zabili ją razem. To trochę tak jak wspólnie zdobyty punkt. Potem opatrzyli nogę Malcolma, używając nici, wysterylizowanej alkoholem igły, pudełka zapalek, trzech opakowań gazy, kilku rolek taśmy i ogromnej ilości dostępnych bez recepty środków przeciwbólowych wymieszanych z whisky. Nie było to szczególnie rozsądne, ale nie mieli wyboru. Operację przeprowadzono na tylnym siedzeniu samochodu Malcolma, zaparkowanego na skraju pola lawy.

Kiedy przechodzą przez halę odlotów, Malcolm nadal wygląda na zamroczonego. Starają się nie zwracać na siebie uwagi. Will trzyma się jakieś pięćdziesiąt metrów z tyłu. Kobieta prowadząca kulejącego mężczyznę może wzbudzać podejrzenia, ale gdyby szli we trójkę, na pewno zaraz zostaliby zatrzymani.

Na środku przestronnego terminalu Malcolm nagle się zatrzymuje i mruczy pod nosem:

- Muszę usiąść. - Jest spocony, a na jego twarzy pojawia się grymas bólu.

Idą do dużej kawiarni i Malcolm dosłownie pada na krzesło.

Planują kupić bilety na zwykły rejsowy samolot, co może okazać się błędem, ale to Malcolm tutaj rządzi.



Wyjawił przed Willem i Elle wiele tajemnic. Nie zrobił tego, ponieważ był torturowany, ale dlatego że przegrał. Przez lata uprawiał brutalny sport zespołowy i grał na pozycji rozgrywającego. Rozpieprzył sobie przez to prawe kolano, ale nauczył się również, że umiejętne panowanie nad nerwami to połowa sukcesu. Od tego czasu zawsze zachowuje zimną krew.

Rozważył wszelkie możliwości i doszedł do wniosku, że jedynym sposobem na przetrwanie będzie powiedzenie prawdy. Niestety się przeliczył. Okazało się, że Elle rzeczywiście chciała ich zabić. Kurczę, ale przynajmniej próbował jakoś wybrnąć z tarapatów, a w końcu i tak ocaleli.

Czy będzie to miało wpływ na jego karierę zawodową? Kobieta, która poznała sekrety „Travelers”, nie żyje. Jej partner też. A mężczyzna, który ich wynajął? Może coś wiedzieć? Ma jakieś dowody? Raczej nie.

Być może Malcolm nie jest w stanie logicznie myśleć, ale wydaje mu się, że jeśli będzie dobrze zarządzał swoim zespołem, to ewentualne zagrożenie z zewnątrz da się w porę zneutralizować.

Czasami jesteś świadomy, że zbliża się koniec, a czasami nie. Ludzie

popelniają błędy.

Podłącza ładowarkę do gniazdka i czeka, aż telefon się uruchomi i zacznie go informować o nowych problemach. Jest środek normalnego tygodnia pracy, a Malcolm nadal jest redaktorem naczelnym, nawet po drugiej stronie oceanu.

Reanimowany smartfon zaczyna wibrować, jakby się cieszył, że wrócił do życia. Trudno mu się dziwić.



Will przechodzi przez halę odpraw, czując na sobie wzrok innych pasażerów. Zastanawia się, czy już zawsze będzie miał wrażenie, że jest obserwowany.

Chloe daje mu do zrozumienia, że może usiąść przy tym samym stoliku. Malcolm jest odwrócony plecami i szepcze coś do telefonu, zasłaniając drugie ucho ręką.

- Dobrze się czuje? - pyta Will.

- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. A z tobą wszystko w porządku?

W ciągu ostatniego dnia cały jego świat wywrócił się do góry nogami. Nie jest pewien, kim są otaczający go ludzie, włączając w to własną żonę. Nie ma pojęcia, co powinien odpowiedzieć na jej pytanie, ale zanim zdąży coś wymyślić, Malcolm się odwraca, odkłada telefon i mierzy ich wzrokiem.

- Dzwonili z Paryża. Jeden z naszych ludzi jest prawie pewien, że widział wczoraj Jonathana.

- Mój Boże, gdzie?

- W Helsinkach, w terminalu promowym.

Chloe zamyka oczy i obraca szyją niczym szykujący się do walki bokser. Przez całe dorosłe życie była agentem CIA. Zwerbowali ją, kiedy chodziła jeszcze do college'u, tak samo jak Malcolma, Gabriellę, Jonathana i wielu innych. Czy te rewelacje sprawiają, że jest dla Willa inną osobą? Czy on również się zmienił, kiedy został szpiegiem? Albo raczej, kiedy mu się wydawało, że został szpiegiem.

- Możliwe kierunki - mówi Malcolm - to Mariehamn, Petersburg lub Tallin.

Chloe otwiera szeroko oczy i szuka tablicy odlotów, po czym bierze głęboki oddech i kiwa głową, jakby chciała powiedzieć: „W porządku, rozumiem”.

- Jesteś gotowa?

- Tak. - Odwraca się do Willa i łapie go za rękę. - Słuchaj, muszę lecieć. Nie wiem...

- Jadę z tobą - przerywa jej w pół słowa.

Chloe patrzy na Malcolma.

- Na pewno, Will? - pyta Malcolm.

Nie, nie jest tego pewien, ale jego stare życie legło przecież w gruzach. Teraz może albo zaakceptować zmiany, albo je odrzucić. Zawsze zgadzał się na nowe wyzwania, więc kiwa głową.

- W porządku - mówi Chloe i wstaje od stolika, żeby założyć plecak. - Wyjaśnię ci wszystko w samolocie. Musimy się pospieszyć.

Idą jednak zbyt szybkim krokiem i za bardzo rzucają się w oczy. Will łapie ją delikatnie za łokieć i szepcze:

- Trochę wolniej.

Nagle słyszą za plecami krzyk Malcolma:

- Hej!

Stają jak wryci i spoglądają na niego przez ramię.

- Tylko na siebie uważajcie!

Próbują się uśmiechnąć, a potem ruszają przed siebie.

Will zdaje sobie sprawę, że zupełnie nieświadomie lustruje wzrokiem terminal - nowy nawyk będący częścią jego nowego życia, szukanie ludzi, którzy mogą deptać mu po piętach. Obserwuje wypełniający halę odlotów tłum pasażerów. Na całym świecie wygląda to podobnie: głównie turyści w wygodnych butach i biznesmeni w pogniecionych garniturach z wełny czesankowej. Niektórzy zrezygnowani, inni niespokojni, zmęczeni lub podekscytowani. Jadą na wakacje lub w podróż służbową. Być może dokądś uciekają. Nikt nie wydaje się jednak zainteresowany Willem. Tysiące ludzi zamkniętych w odrębnych światach, pogrążonych we własnych myślach, pochłoniętych swoimi planami i problemami, rozmyślających nad punktem docelowym. Podróżnicy, ciągle w drodze, tak jak my wszyscy.

Podziękowania

Podróżnicy to powieść o pracy i codziennym trudzie. Ponieważ piszę te słowa w weekend poprzedzający Święto Pracy^[71], chciałbym podziękować wszystkim, których wysiłek ułatwił mi życie w ciągu ostatnich dwóch lat, kiedy pisałem tę książkę, a szczególnie ludziom zajmującym się edukacją moich dzieci.

Pragnę wyrazić wdzięczność pracownikom Szkoły Podstawowej nr 41: nauczycielom klas czwartych i piątych, Chrisowi Strouse'owi, Katie Zarkin, Kristianowi Blumowi, Nancy Wahl, Johnowi Bairdowi i Emily Cacciapaglii, doradcy zawodowemu Bobowi Caputowi, koordynatorce odpowiedzialnej za kontakty z rodzicami Michelle Farinet oraz pani dyrektor Kelly Shannon.

Chciałbym także złożyć podziękowania szkole muzycznej Greenwich House i Josepewi Riesowi; ośrodkowi zajęć pozaszkolnych Gilsports for Kids i Gilowi Rubinowi; Greenwich Village Little League, Toddowi Irwinowi, Robowi Magillowi, Tomowi Mullarkeyowi, Frankowi Saracinie i Carin Ehrenberg oraz Veritas, Alexowi Wengerowi i Lee Reitelmanowi.

Ponadto dziękuję pracownikom Orient Yacht Clubu: Willi Cassidy-Gardner, Allison Ferraris, Cooperowi Nefsky'emu, Sarze Morton i Cindy McKinney.

Wyrazy wdzięczności należą się również Verze Pavone, Harriet Rhine, Susan McIntosh i DeCourcy'emu McIntoshowi.

Pragnę gorąco podziękować wszystkim ludziom, dzięki którym ta książka jest lepsza albo przynajmniej nie tak zła, jak mogłaby być: Mattowi Brombergowi, Angusowi Cargillowi, Terry'emu Dealowi, Davidowi Gernertowi, Adamowi Goldbergerowi, Hannie Griffiths, Pat Herbst, Jane Lauder, Nate'owi Robersonowi, Adamowi Sachsowi, Lindsay Sagnette, Molly Stern, Zachary'emu Wagmanowi oraz, jak zawsze, Madeline McIntosh.

Na koniec dziękuję mojemu synowi Alexowi, który wymyślił imię Stonely Rodriguez i nadał je kamykowi znalezionemu na plaży latem 2014 roku. Jego brat Sam wyrzucił Stonely'ego przez okno samochodu na Main Street w Belfaście w stanie Maine. Mamy nadzieję, że Stonely wie gdzie tam długie i szczęśliwe życie.

- [1] Czego chcesz? (hiszp.; wszystkie przypisy pochodzą od redakcji).
- [2] Jakiegoś kutasa. (hiszp.)
- [3] *Serape* - wełniany szal noszony w krajach Ameryki Łacińskiej.
- [4] Slangowe określenie kokainy. (hiszp.)
- [5] Ekspaci - wybitni specjaliści, którzy opuścili ojczyznę, by pracować za granicą.
- [6] Szukam kawiarni, która nazywa się Le Fouquet's. Czy pan ją zna? (fr.)
- [7] Tak. (...) Jest tam. (fr.)
- [8] Dziękujemy. Jest pan bardzo uprzejmy. (fr.)
- [9] - Dzień dobry, panie Rhodes. Jak się pan miewa? - Dobrze, a ty? - W porządku. I dziękuję. (fr.)
- [10] Tak, tak myślę. (fr.)
- [11] - Dziękuję pani, jak zawsze. - Nie ma za co, panie Rhodes. (fr.)
- [12] Winiarnia. (fr.)
- [13] - W porządku, proszę pana? - Wspaniale, Pierre. Wspaniale. (fr.)
- [14] Już lecę! (fr.)
- [15] Dziękujemy wam! Zapraszamy do stołu! (fr.)
- [16] Gra słów: *elle* to po francusku „ona”. Dosłowne tłumaczenie zdania brzmi: „Ona, która nazywa się dosłownie ona”. (fr.)
- [17] *Amuse-bouche* - (zwane też *amuse-gueule*) to przystawki wielkości jednego, najwyżej dwóch kęsów. Od zwykłych przystawek różnią się również tym, że to nie klient wybiera je z menu, ale są one poczęstunkiem proponowanym przez szefa kuchni, jednakowym dla wszystkich zgromadzonych przy stole gości.
- [18] Okropnie smutna. (fr.)
- [19] Zajazd. (fr.)
- [20] *Meursault* - burgundzkie wino o lekko słodkim smaku.
- [21] *Galette* - placek z ciasta francuskiego najczęściej nadziewanego masą migdałową.
- [22] Dzień dobry! (...) Jestem Will Rhodes! Ja... (hiszp.)
- [23] Winiarnia. (fr.)
- [24] Malbec - czerwony szczep winny pochodzący z Francji. Najbardziej popularny w Cahors.
- [25] Jeszcze jedną lemoniadę, pani Delgado? (wł.)
- [26] Estancja - rodzaj gospodarstwa rolnego w północnej Argentynie, o powierzchni od 15000 do 35000 ha. W większości przypadków jest własnością firm specjalizujących się w produkcji spożywczej. Hoduje się na niej przede wszystkim zwierzęta opasowe i owce oraz rośliny pastewne i zboża.
- [27] Witamy, panie Rhodes. (hiszp.)
- [28] Proszę pani (...) Mógłbym prosić kieliszek? (wł.)
- [29] Przepraszam (...) Czy mogłabym prosić o papierosa? (wł.)
- [30] MI6 - Secret Intelligence Service (SIS), znana także jako MI6 - dawniej Military Intelligence Section 6, wywiad wojskowy sekcja 6 - brytyjska służba specjalna powołana w roku 1909 do prowadzenia wywiadu zagranicznego.
- [31] Diagram Venna - schemat służący ilustrowaniu zależności między zbiorami.

- [32] Langley - miejscowość w USA w hrabstwie Fairfax w stanie Wirginia. Siedziba władz Centralnej Agencji Wywiadowczej i Federal Highway Administration.
- [33] Haggis - specjał szkockiej kuchni narodowej, przyrządzany z owczych podrobów, wymieszanych z cebulą, mąką owsianą, tłuszczem i przyprawami, zaszytych i duszonych w owczym żołądku.
- [34] MMA - mieszane sztuki walki (ang. *mixed martial arts*) - dyscyplina sportowa, w której zawodnicy sztuk i sportów walki walczą, wykorzystując dozwolone techniki.
- [35] *Abuela* - babcia. (hiszp.)
- [36] *Papi* - tatko. (hiszp.)
- [37] EBITA - (ang. *earnings before interest, taxes and amortization*) - zysk operacyjny przedsiębiorstwa przed potrąceniem odsetek od zaciągniętych zobowiązań oprocentowanych.
- [38] Ekspatrianci - osoby, które opuściły swoją ojczyznę dobrowolnie lub pod przymusem.
- [39] *Brasserie* - knajpka. (franc.)
- [40] Barolo - wino z Piemontu, jest niewątpliwie jednym z najbardziej uznanych i rozpoznawalnych włoskich win na świecie.
- [41] Start-up - przedsiębiorstwo lub tymczasowa organizacja stworzona w celu poszukiwania modelu biznesowego, który gwarantowałby jej rozwój. Przedsiębiorstwa te mają zwykle krótką historię, są w fazie rozwojowej i aktywnie poszukują nowych rynków.
- [42] Dzień dobry. Mam na imię Lucia-Elena. A pan? (hiszp.)
- [43] Alias internetowy - alternatywny (dodatkowy) atrakcyjny i łatwy do zapamiętania adres URL lub adres poczty elektronicznej.
- [44] Ja nie mówię po hiszpańsku. (hiszp.)
- [45] Kot Schrödingera- eksperyment myślowy, czasem określany mianem paradoksu, opublikowany w 1935 roku przez austriackiego fizyka.
- [46] Mezuz - zwitek pergaminu z naniesionymi dwoma fragmentami Tory, umieszczony w pojemniku wykonanym z drewna, metalu, kości lub szkła albo w rurce, i zawieszany na zewnętrznej prawej framudze drzwi.
- [47] Architrav - główny (najniższy) poziomy człon belkowania antycznego, który podtrzymywał belki stropu. Spoczywał on bezpośrednio na kolumnach.
- [48] Dwuteownik - kształtownik, którego przekrój poprzeczny ma kształt dwóch zetkniętych pionowymi kreskami liter T
- [49] Ej (...) - chodź no tu. (hiszp.)
- [50] Sztuka mięsa w rosole. (fr.)
- [51] Marsylska zupa rybna. (fr.)
- [52] Freelancer - osoba pracująca bez etatu, realizująca projekty na zlecenie, najczęściej specjalizująca się w danej dziedzinie.
- [53] National Security Agency (NSA) - amerykańska wewnętrzna agencja wywiadowcza koordynująca m.in. zadania wywiadu elektronicznego, powstała w kwietniu 1952 roku na bazie struktury działającej od 1949 roku Agencji Bezpieczeństwa Sił Zbrojnych, Armed Forces Security Agency - AFSA.
- [54] Przepraszam pana, czy mogę pana o coś zapytać? Czy mówi pan po angielsku? - Oczywiście. (fr.)
- [55] Dziewięćdziesiąt pięć. (fr.)

- [56] Sklepie spożywczym. (fr.)
- [57] Przykro mi, proszę pana. (fr.)
- [58] Piwiarnia. (fr.)
- [59] Kod IBAN - bankowy kod pozwalający na identyfikację instytucji bankowej przy krajowych i międzynarodowych przelewach pieniędzy.
- [60] Tak, tak, z pewnością. Tam (...) Bez wątpienia. (fr.)
- [61] Słucham? - Szukam pana Jean-Pierre'a Fouriera. (fr.)
- [62] Tak. Był moim ojcem. (fr.)
- [63] Chowder - zupa rybna lub z owocami morza, popularna na wschodnim wybrzeżu USA, w Australii i Nowej Zelandii.
- [64] Fatalnie (dosł. Ale szkoda). (fr.)
- [65] To niemożliwe. (fr.)
- [66] Kabestan - urządzenie spotykane zazwyczaj na jednostkach pływających lub w przemyśle, służące do ułatwienia wybierania bądź luzowania lin, łańcuchów będących pod znacznym obciążeniem.
- [67] Dr. Seuss - Theodor Seuss Geisel znany jako Dr. Seuss - amerykański autor książek dla dzieci, które weszły do kanonu literatury tego gatunku.
- [68] Office of Strategic Services (OSS) - Biuro Służb Strategicznych - agencja wywiadowcza Stanów Zjednoczonych działająca w latach 1942-1946, poprzednik CIA.
- [69] Allen Welsh Dulles - szef amerykańskiego wywiadu w Europie podczas II wojny światowej, dyrektor Centrali Wywiadu od lutego 1953 do listopada 1961 oraz członek Komisji Warrena.
- [70] Julia Child - amerykańska kucharka, autorka książek kucharskich i programów kulinarnych, dzięki którym spopularyzowała w USA kuchnię francuską.
- [71] W Stanach Zjednoczonych Święto Pracy obchodzone jest w pierwszy poniedziałek września.